4767/62

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

BIBLIOTEKA
WARSZAWSKA.

PISMO POŚWIĘCONE

NAUKOM, SZTUKOM I PRZEMYSŁOWI.

1856.

Tom drugi.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LXII.

WARSZAWA.

W DRUKARNI GAZETY CODZIENNEJ.

1856.

4620. 1856. 2
II.

Wolno drukować, z warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanéj liczby egzemplarzy.

Warszawa, d. 14 (26) marca 1856 r.

Starszy Cenzor,

F. Sobieszczański.

Biblioteka Sejmu Śląskiego
30.000/—
X-14161
4620/II 2.
1856

Władysławowi Syrokomli
tę przyjacielską pamiątkę przesyła autor.

JERMOŁA.

OBRAZKI WIEJSKIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

Amor omnia vincit.

Było to na Polesiu wołyńskiém, w jednéj z tych szczęśliwie zapomnianych okolic, przez które dotąd ani trakt pocztowy, ani żaden większy nie przerznął się gościniec; w zapadłym kątku, gdzie życie jest niemal średniowieczne i średniowieczna panuje prostota i poczciwość, rubaszność i ubóstwo. Proszę mnie nie posądzać, jakobym przez to chciał dać do zrozumienia, że wielkiemi traktami z cywilizacyą razem maszerują wszystkie występki z mantelzakami grzechów na plecach; ale, ale, jest podobno chwila między jedném a drugiém życiem, przejście w którém nim się nowe wyrobi, a stare umrze, pozostaje tylko dość niecieka-we ni to, ni owo. Ta chwila już gdzieindziéj wybijająca na zegarze, nie przyszła jeszcze dla okolicy naszéj;

żyło się tam, zwłaszcza po małych dworkach, na wzór XVI i XVII wieku, ich obyczajami, ich wiarą i trybem. Wprawdzie żółto pomalowane bogatsze dwory pół-panków już zaczynały przodować jakiejś reformie, ale ta drobnéj szlachcie wydawała się jeszcze niczém więcéj jeno monstrualném dziwactwem. I mogłoż być inaczéj w poczciwéj téj dziurze, do któréj gazety dochodziły miesięcznemi paczkami, pocztę stanowili żydzi jadący na szabas do miasteczek, a handlowy ruch ograniczał się targami na bydło i łapcie (wyjmuję drzewo, o którém niżéj). Są ludzie, którzy uwierzyć może nie zechcą, że kąt taki znajdować się może na świecie; ale najprawdziwsza prawda, że na Pińszczyznie w Zarzeczu są, lub niedawno jeszcze były dwory, gdzie się dopytywano o zdrowie króla Stanisława Augusta, zostając w zupełnéj niewiadomości wypadków, które od Kościuszkowskich czasów ubiegły. Nikt tam nie widział żołnierza, nikt nie znał urzędnika; a ci, co jeżdżą płacić podatki do Pińska, niebardzo pytają komu je składają, i obwijając w chustkę kwit, nie wdają się w czytanie, które niebardzoby się im zapewne powiodło.

To tylko między nawiasami, bo w okolicy o któréj mowa, nie tak już było dziko: i kalendarze berdyczowskie dochodziły tu regularnie ostatnich dni grudnia, niosąc z sobą promyk cywilizacyi i zasób najpotrzebniejszych wiadomości dla tutejszych obywateli; na czele ich planetę mającą panować, ciekawą nowinę Wielkiéjnocy, wschody i zachody słońca, i sposób wygubiania pluskiew wynaleziony w Anglii! Poczta była nie daléj jak o mil dziesięć, ale po nią bogatsi posyłali raz w miesiąc, lub co najdaléj w sześć tygodni: niektórzy nawet tą drogą odbierali listy.

Większość jednak, powiedzmy prawdę, uważała za daleko pewniejsze w razie interesu, choćby o mil pięćdziesiąt wyprawiać umyślnego posłańca. Nie ma na świecie całym posłańców jak Poleszucy: nikt tak szybko nie chodzi, tak się nie dopyta, nie dotrze, o odpowiedź nie dokuczy i cało ze wszystkich niebezpieczeństw nie wyjdzie. Na oko wziąłbyś owego w szaréj świcie, obwieszonego sakwami i prowizyą łapciów odartusa, za włóczęgę lub żebraka; gdy tymczasem za okładzinami jego czapki lub cholewą buta,

w świstku papieru krociowa często sprawa i najważniejszy interes spoczywa. Pan Bóg stworzył Poleszuka na posłańca: przewącha zawsze drogę najbliższą, trafi wszędzie i prześliźnie się z nieporównaną szybkością. To też w nałogach szlacheckich jest dotąd posłaniec; i poczta najlepsza nie potrafi go zastąpić. W każdéj wiosce jest takich kilku kwalifikowanych pieszaków, którzy per pedes apostolorum o kilkadziesiąt mil chodzą, i byle im parę złotych czystego zarobku, gotowi pójść z listem do Kalkuty. Dotąd trwa podanie o takim Poleszuku, którego jakiś pan Ogiński wyprawił do kuzyna swojego do Paryża, a ten mu w kilka miesięcy odpowiedź z pokłonem dostawił.

Posłaniec Poleszuk choćby miał konia, to go nie użyje, uważając go raczéj za niepotrzebny ciężar, niżeli za siłę pomocniczą.

Aleśmy się znowu rozgadali nie do rzeczy z tą charakterystyką poleskich posłańców: wróćmy więc do przedmiotu. Okolica nasza, któréj położenia geograficznego bliżéj oznaczać nie widzimy potrzeby, nie tak zapadła jak pińskie Zarzecze, między niém a Wołyniem usadowiona, stanowiła coś pośredniego. Był to wielki szmat kraju jeszcze po wiekszéj części zarosłego lasami sosnowemi i dębowemi, wśród których na roztrzebionych polach tu i owdzie siedziały zakopcone smolnemi dymami wioski. Horyń spławny przerzynał bory dając im wysoką cenę handlową, i główny dochód dóbr na nich też polegał. Przy prostocie obyczajów i życia tutejszego, które wykwintném być ani potrzebowało, ani chciało, wszyscy tu niemal robili majątki i tyli na starość. Mięso najdrożéj sprzedawało się funt po trzy grosze, a żydzi je od wrót do wrót rozwozili; baran ze skórą płacił się około 3 złotych, chleba nie brakło, zarobku także: a na pozór nędzny, kołtunowaty, czarny Poleszuk nie mieniałby się na swój byt z pokaźniejszym Wołyniakiem. Wieśniak tutejszy nie spuszczając się na rolę, ma różne sposoby zarobkowania, które mu nie dopuszczają obawiać się zbytnio nieurodzaju, będącego klęską ostateczną gdzieindziéj, zwłaszcza gdy jakich nie siedm, ale bodaj dwa lub trzy lat po sobie głodnych wypadnie. Las i rzeka od których go nie odpychają dziedzice, stanowią dlań nieprze-

brane źródło drobnych dochodów i przemysłów. Las naprzód, mało co lub nawet po wycięciu towaru nic nierobiący stosunkowo dziedzicowi, wszystkiém jest dla chłopka; gdyż zarobkowanie z takich rzeczy jak kora dębowa, lipowe łyka, obody, płozy, wyrób naczyń gospodarskich, obręcze, łapcie, łoza do wyplatania, skałki na podpał, i t. p., nie zajmuje dworu, a wieśniak wszędzie prawie dotąd jeszcze swobodnie wyrabia co chce, psując nawet młodzież i najlepsze drzewa. Suszone grzyby, jagody, dziki owoc jabłoni i grusz, tarnina, dają także choć niewielki grosz w potrzebie. Na brzegach rzeki zarobkują rękami: najmują się na flisów, stawią więcierze i saki, jeżdżą z poświatem i ościami: dość, że tu z głodu umrzéć nie można; a choć bieda dokuczy (bo gdzież ta dobrodziejka nie zajrzy), byle przednówek przekołatać, wlecze się daléj a daléj. Trafiają się i tu ciężkie, c z a r n e, jak je u nas nazywają godziny; trafia się chléb pieczony z plewą, z korą, z owsem, z hreczką, ale świat nie byłby światem, żeby na nim wciąż było jak w niebie.

Po dworach to także patryarchalny żywot, do którego utrzymania handel i zamorskie kraje niewiele się przykładają, tak że niemalby się bez nich obejść tu można, trochę ścisnąwszy. Wszystkiego dostarcza wioska, wszystko się robi na wsi, a z kupnych rzeczy to tylko cukier, kawa, butelczyna wina frankońskiego zwanego tu francuzkiém, jaka ćwierć funta herbaty, trocha pieprzu:—ot i po wszystkiém. W bardzo też wielu razach cukier się zastępuje miodem, który nic nie kosztuje, kawa cykoryą, herbata rumiankiem i daleko zdrowszym lipowym kwiatem lub melissą, wino miodem i wódką, a pieprz chrzanem. Mięso bije się w domu lub żydek je przywozi o k o po dziewięć, po siedm i po sześć groszy, w dodatku ofiarując ozory i flaki; drób hoduje się na folwarku, świece leją się u siebie, sukno tka na starożytnym warsztacie, rozczulającym prostotą, płótna snują na wsi, i nie ma rodzaju majsterstwa, któregobyś w znaczniejszych wioskach nie znalazł. Kowal, stelmach, cieśla, bednarz, mularz choć nie tędzy, aleć przecie są. W razie gwałtownéj potrzeby, gdy przypilni a majstra nie ma, wyrwie się Poleszuk, który widział kiedyś jak coś gdzieś robiono, podejmie się spro-

bować, i najczęściéj tym sposobem zepsuwszy kilka razy, wychodzi na professyonistę.

Nie powiem, żeby tu bardzo kwitły przemysł i sztuki;.... ale téż w Polesiu niewiele się wymaga od artysty. Szewc kiedy ci but uszyje, prawda że zdaje się na pozór nie na ludzką nogę stworzony: taki czegoś okrągły, niezgrabny, twardy i jakby z żelaza wykuty. Ale po probuj chodzić: we dwa lata po wodzie i błocie ani dratwa nie puści, ani ci skóra pęknie, takie to sumienne i gruntowne.

Nogi się nie pytają jak jéj tam będzie: niech Pana Boga chwali że ją skóra pokrywa, a podeszwa zastępuje żywą; nagniotki uważają się za naturalne następstwo lat i pracy, nie winę obuwia.....

I tak we wszystkiém co się tu robi: mocno, bezpiecznie, grubo, a choć dla oka niepokaźnie, choć rozpieszczonym niewygodnie, tém gorzéj oku co się popsuło, i skórze, która się wydelikaciła. Dodam, że każdy rzemieślnik w tym szczęśliwym kraju, w którym z professyi ich niewielu, a najwięcéj amatorowie, bo wszyscy potrosze są wszystkiém, uważa się sam za artystę, istotę wyższą, poczęści niezrozumianą i nie ocenioną przez współobywateli, mającą prawo dźwigać do karczmy swą wyższość zapoznaną, z dumą godną szacunku, ale wartą razem śmiechu. Stosunki z dworem, wysiłek ducha na odgadnienie niewyuczonych tajemnic rzemiosła, uczucie siebie jako niezbędnego w społeczeństwie członka i jednéj z osi koła towarzyskiego, budzą to uczucie, które i w innych kręgach i pod innemi strefami znajdzie się tak jak na naszém Polesiu. W tym względzie niejeden artysta paryzki stoi na równi z tutejszym szewcem. Znałem szczególnéj jednego łatacza..... Ale to znowu byłby niepotrzebny epizod: idźmy daléj i nie zbaczajmy z drogi.

Rozległe lasy stanowią tu wszędzie tło i opasanie każdego widoku. Wśród nich gdzieniegdzie spotkasz polanki, błyszczą stawki i rzeczułki, kisną odwieczne nieosuszone błota, zielenieją sianożęcia nawpół łozami zarosłe, szarzeją i czernieją chaty odwiecznym okopcone dymem. Jak błyszczący pas, srebrny Horyń majestatycznie przerzyna się środkiem drzémiącéj okolicy, którą ożywia i wzbogaca: maleńkie miasteczka tutejsze

prawie wszystkie leżą nad jego brzegami, Gdzieindziéj nie dałoby się to nazwać imieniem tak wiele obiecującém, ale w Polesiu, gdzie targowica i niedzielny zjazd, cerkiew i kościół, rynek, a nadewszystko więcéj niż jeden żyd, to już miasteczko.

Ilość Izraelitów stanowi wartość mieściny: im więcéj ich, tém się bogatsze nazywa. W każdéj takiéj maleńkiéj stolicy jest królujący w niéj Boruch, Zelman lub Majorko, który handluje wszystkiém, dostarcza czego się podoba, od kożucha do zegarka, kupuje zboże i plewy, ma dom zajezdny, arak, tytuń i cukier, a zna na wylot sąsiedztwo całe, pełen mając pugilares listów jego i kwitków. Kramnica w rynku po większéj części zastosowuje się do potrzeb biednego wieśniaka, począwszy od garnka, pasa, czapki, do żelaza, soli, dziegciu i t. p. Dwa lub trzy sklepiki bławatne, kilka korzennych—ot i wszystko. Na łasce żydków żyje całkiem takie miasteczko: oni są jego duszą. Zresztą mieszczanie zarazem zajmują się rolą: bo u nas mało jest takich osad, gdzieby gospodarstwo rolne nie wchodziło po słowiańsku do zajęć mieszkańców! Trochę ubogiéj szlachty, jakiś tam ubogi urzędnik, ksiądz proboszcz, oficyaliści dworu:—ot i reszta ludności. W ciągu tygodnia pusto, dzieci żydowskie po ulicach grają w kręgle i kamyki, kury, kozy i krowy chodzą w rynku swobodnie; za to w niedzielę ani się przecisnąć tyle drew, tyle fur, taki gwar i żwawy targ na wszelkiego rodzaju produkta, a raz w rok w dzień odpustu lub prażniku, to jarmark całą gębą. Wówczas i markietani we trzy lub cztery powózki przyjeżdzają i budy stawiają na placu, i żyd czapnik na wysokich żerdziach rozwiesza przy ścianie swe ponętne wyroby, i cygan konował, i szejne katarynka, i towarzystwo ogromne. Zjeżdżają się wszyscy dobrodzieje z żonami z sąsiednich parafii, wszyscy ekonomowie i pisarze, szlachta czynszowa, i wieśniacy co jakiś towar niezwyczajny, jak np. skóry, wełnę, sukno. płótno i t. p. mają do zbycia. Aż pociecha patrzéć, aż miło słuchać co to tam za gwar, rwetes, jakie wre życie potężne. W rynku co chwila ktoś dobija targu i idą do karczmy zapijać mohorycz; a tu baby z cebulą, czosnkiem i tytuniem, z krasnemi pasami i zapaskami strach co zbierają groszaków. Nazajutrz po

jarmarku, ba! nawet do piérwszego ulewnego deszczu, który te ślady spłucze, poznasz jedném wejrzeniem na placyk co się na nim działo; niekiedy nawet krwawe zarzniętych koz i baranów pobojowiska, straszniejszych się rzeczy dozwalają domyślać, niż w istocie były.

Za ten dzień jeden szału, okolica rok cały najczęściéj spoczywa w téj błogiéj odrętwiałości, w téj smętnéj ciszy, która tu stanowi tło powszedniego bytu. Człowiek najczęściéj mimowoli, ale musi zastosować się do tego, co go okrąża: nie jesteśmy nigdy zupełnie wyzwoleni z pod tych wpływów, jakim ulega gąsieniczka zielona na liściu zielonym, czerwona w krasnym owocu. W krajach drzémiących jak Polesie, gdzie szum drzew odwiecznych, błoto do snu kołysze, a spokojem oddycha się w ciężkiém, wilgotném i smolnemi dymy przesyconém powietrzu, mieszkaniec zamknięty powoli uczuwa coraz tępiéj płynącą krew, coraz wolniéj krążące myśli: zachciewa mu się spoczynku, wzdryga się na burzliwe losy i przyrasta jak grzyb do ziemi. Wieśniacy w czterdziestu kilku leciech zapuszczają brody, a panowie w tymże wieku wkładają szlafroki, zrzekają się fraków, dozwalają wąsom rosnąć jak im się podoba, i jeśli żonaci nie wyjeżdżają z domu, a kawalerowie poczynają się domyślać, że ożenienie do niczego nie prowadzi, prócz niepotrzebnéj subjekcyi.

Odwiedziny są tu bardzo rzadkie, choć stosunki przyjazne: w lecie gorąco, w zimie mroźno, w jesieni błoto i grzęzawica, na wiosnę bywają komary. Przezwycięża się lenistwo tylko na imieniny kochanego sąsiada, lub w gwałtownéj potrzebie. A że bez posiłku jakiego i wyżyć niepodobna, żyd arendarz pospolicie go dostarcza. Przychodzi on zawołany lub w porze zwyczajnéj, staje w progu i poczyna zdawać sprawę z tego, co pochwycił w ciągu tygodnia w swych wycieczkach, czy też co od przyjeżdżających do młyna, do kowala, do folusza posłyszał. Tu się zwykle nie więcéj dowiaduje nad to, kto ile posiał, kto co zżął, czy gdzie nie wyjechał, czy sprzedał i po czemu, kto do kogo i po co jeździł i t. p.; ale ta odrobina karmi na jakiś czas dostatecznie, kieruje gospodarstwem, zachęca, niecierpliwi, odpycha, a niekiedy z domu dla sprawdzenia wypędza.

Nie szukajmy tu naturalnie żadnych nowostek, ani zbytniego do nich popędu: niedowiarstwo raczéj i wstręt idą przed niemi. Wszystko się robi po staremu; ale za to chcecieli tradycyi żywéj, czynnéj, pamiątek i śladów zgasłego gdzieindziej życia przeszłości, nigdzie ich więcéj jak tutaj. Pan dzieli z czeladzią głęboki dla nich szacunek, a jeśli go Bóg pokarał ziarnem filozofii, nawet w takim razie niby się śmieje z przesądów, ale w kątku im hołduje, bo z krwią i mlekiem, z powietrzem i słowem weszły weń od dzieciństwa.

Będzie tak, że we wsi od lat pięciuset zamczyska nie ma, a taki miejsce gdzie dwór stoi, podzamczem się nazywa; drwa wioząc dla dziedzica powiedzą: na zamek. Gdzie była stara cerkiew, dziś może ogród dobrodzieja i kartofle, ale zagony te mianują monasterzyskiem i t. p. Na rozdrożu mogiła od wieku wpadła w ziemię bez śladu, krzyż się z niéj obalił i spruchniał; tylko po gęstszym chwaście poznasz gdzie ziemię użyźnił: a nie przejedzie ci chłop, żeby obyczajem pogańskim gałęzi lub kamyka na to miejsce nie rzucił. Żyje tu wszystko co żyło: i powieść o założeniu osady oboranéj parą czarnych byków, co ją ma bronić od zarazy i pomorku na bydło, i historya jakiegoś kniazia, który się wstawku utopił, i napad tatarski, i bajka o dwóch braciach co się w jednéj kochając dziewczynie zabili, a ona z żalu po nich na mogile ich się obwiesiła.

Pieśń jedna powtarza się od lat tysiąca, obyczaj jeden rządzi zawsze niemi, i są mu wierni jak obowiązkowi zaciągniętemu względem ojców.

Przenieśmy się teraz w opisaną okolicę nad brzegi Horynia.

Przyznam się, że pomimo przywiązania mego do naszéj ziemi, są lata w których wiosny u nas, pięknéj owéj, świeżéj, zielonéj, wesołéj, zefirów pełnéj, poetycznéj wiosny, dopatrzéć się trudno: wygląda ona na bajkę wierutną i niepotrzebnie na zaoskomienie pożyczony grecki mythus. Zaczyna się tu od wichru i deszczu nawpół ze śniegiem, od błota nawpół z mrozami, od skąpéj zieleni przypruszonéj szronem, i przykrzejszego nad zimowy mróz chłodu, przejmujących nocy i dni w cie-

niu nabawiających dreszczem, zbytkiem jakiejś surowizny w powietrzu; potém nagle po syberyjsku przechodzimy do nieznośnych upałów, a zima podawszy rękę latu, wiośnie całkiem broni przystępu na ziemię. Nie wiem gdzie się wówczas podziewa zachwalona owa i opiewana wiosna sielankowa, którą tak regularnie zapowiada na 9 marca Berdyczowski kalendarz, tak jak nie wiem co się dzieje ze staremi księżycami, gdyż wielkiéj podpada wątpliwości owa dawniéj przyjęta teorya nianiek, wedle któréj Pan Bóg z nich nowe miał wykrawywać gwiazdy, a okrawki zrzucał i otrzęsał deszczem areolitów Wiosna zapewne musi wówczas biedna wędrować gdzieś sobie do innych krajów, jeżeli to prawda wedle Kämtza i innych meteorologów, że pewna summa ciepła i chłodu zawsze się w roku bez niedoimki wyszafować musi, tu czy gdzieindziéj: może więc pociesza chłodniejsze strefy, lub dodaje ciepła gdzie go aż nadto. Bądź co bądź, to pewna, że u nas często jéjmość swego obowiązku nie pełni; nie zawadziłoby jéj przypomnieć, że może w końcu stracić miejsce jak urzędnik nie pełniący służby, lub obywatel po kilkakroć nie stawiający się na wybory, który się sam ipso facto od wotowania odsądza.

Nieznośnieśmy się rozgadali, nie prawdaż? A wiecie kochani czytelnicy (jeźli kochani) czego to jest skutkiem?—Nie starości jeszcze, nie chęci powiększenia tomu, ale posłuszeństwa krytyce, która poprawiać każe i poprawiać bez końca. Ile razy przepisuje się rękopism na nowo, zawsze się coś doda, a że oto raz trzeci, chwała Bogu tę powiastkę przechodzę, narosło w niéj przypisków bez końca. Już teraz powracam do wiosny, a od niéj da Bóg doczekać, jakoś się powoli dobijemy do celu téj fantastycznéj podróży.

Są tedy szczęśliwe i u nas lata, kiedy wiosna zbierze się przyjść w porze, jeśli nie na zawołanie kalendarza Berdyczowskiego, to na przepowiednie chłopskie, i spełnia święcie co do niéj należy.

W tym roku o którym mowa (chronologia na nicby się nie przydała, a czasy niezbyt są dawne), właśnie się upamiętała bałamutka i dawszy zimie wytrzymać z mrozami i śniegiem do drugiéj połowy marca, jakby jéj na

świecie nie było, niespodzianie potém wionęła od południa wiatrem ciepłym i deszczem kroplistym: spłukała paskudną poczerniałą skorupę, przejęła do gruntu stężałe ziemie, zaświeciła słoneczkiem wesołém, tak, że w chwili nastąpiła czarodziejska zmiana dekoracyi.

Wszystko tylko zdawało się oczekiwać znaku, będąc w gotowości do odegrania swojéj roli: bociany oddawna już przechadzały się wychudzone nad ciepłemi źródliskami, długiemi dzioby napróżno macając ich głębie, wśród któréj tylko kawałki lodu pływały; skowronek marzł, ale śpiewał biedak zaglądając ku słonku; na drzewach pączki były nabrzmiałe i pełne, wilcze-łyko i leszczyna promyka tylko czekały, by zakwitnąć; trawy niecierpliwiły się pod kilkomiesięczną pleśnią. Jak tylko wionął wietrzyk, spadł deszcz i wiosnę posłyszano nadjeżdżającą, zapachniała ziemia i piorunem ruszyło się wszystko. Dzień jeden ogromne zrobił zmiany: bocian podleciał i na oschłém zaklekotał gnieździe, skowronek puścił się śmieléj w górę, wilcze-łyko całe się ustroiło w różowe kwiaty, leszczyna swe purpurowe rozwinęła lilijki, trawa powyskakiwała z ziemi, anemony pootwierały się, pijąc chciwie piérwszą kroplę rosy i piérwszy promyk światła; powysychały kałuże niezgłębione, poweselało, rozjaśniło się, świat stał się innym i odmłodniał.

Wiosna tego rodzaju przychodząca w porze i taka jaką być powinna, wszędzie jest piękną, ale nigdzie może wdzięczniejszą jak nad brzegami rzek wielkich, gdzie ruch i życie budzi potężne. Nad Horyniem rozlanym ogromnie, szeroko zatapiającym ługi, i gdzieniegdzie wykradającym się aż na pola, w lasach zalegających brzegi jego, szczególniéj pięknie było i wesoło. Wprawdzie bór czarny nie pozieleniał jeszcze, ale czuć już w nim było budzące się życie: powietrze miało tę woń wiosenną wilgotnéj ziemi, pączków, trawy, wody, tak miłą i upajającą, która tajemniczą ma własność przypominania nam lat młodych; wody szemrały zwycięzko połamawszy nietylko lody, ale groble i zasieki, niosąc co gdzie na drodze pochwytały i rozrzucając na brzegi; las choć szumiał suchemi jeszcze gałęziami, ale już inaczéj, innym językiem jak w zimie.

Nad rzeką ludzie ruszali się także po zimowym spoczynku, biorąc się do handlu i pracy: wiązano drzewo w gąski, przyrządzano pasy, gromadzono rozpierzchłe bale, gotowano się do żeglugi, a świeżo zbudowana skarbówka oporządzała się właśnie, aby za chwilę wypłynąć z komendantem téj wyprawy. Tak zwana skarbówka jestto na mocno związanéj tratwie, często zgrabnie i schludnie zbudowany domeczek z tarcic, w którym na czas żeglugi mieści się gospodarz i wódz, kassa, policya, rachunki, spiżarnia, wódka w kufach i piekarnia dostarczająca chleba dla czeladzi. Nie wiem jak tam skarbówka do Gdańska przychodzi, może okopcona, brudna, zszarzana i niepozorna; ale na odjezdnem wygląda jak cacko: chciałoby się w niéj trochę pobujać po wodach, taka czegoś miła i ładna. Na nieszczęście najpospolitszym jéj mieszkańcem bywa gruby, tłusty, sapiący, czosnkiem przejęty, cebulą faszerowany żyd faktor kupiecki.

Właśnie w tém miejscu, gdzieśmy się u brzegu Horynia zastanowili, żółciła się nieopodal od niego mała, ale ładniuchna skarbówka; dokoła niéj gęsto stojące pasy tak pokrywały wodę, że po nich nietylko do domku, ale na kilkanaście sążni daléj w rzekę przechadzać się było można. Wszystko to wstrzymane oczekiwało znaku do wyjścia, ale ludzi brakło jeszcze: zbierano flisów, skupowano zapasy, zwlekano od dnia do dnia, a jeszcze też żadna się na Horyniu nie pokazała partya, którąby ostrogską uprzedziła.

Otaczający kraj choć nagi jeszcze, nie był bez pewnego smutnego wdzięku. Z téj strony szeroko rozlanéj wody, nieco odsuniętą od ługów rozsiadła się wielka wieś poleska ze swemi chatami szaremi i mnóstwem drzew, które ją umajały latem; z cerkwią starożytną otoczoną krużgankami i oryginalną dzwonnicą, z cmentarzem w sosnowym borku, wśród którego gdzieniegdzie białe wytykały się brzozy. Za rzeką ściana borów rozciągała się w prawo i lewo jak zajrzeć okiem, a na płaszczyznie zajętéj wodami, podtopione łozy wskazywały dopóki wody opaść miały. Wieś długa była wielka i stara, jak z wzrosłych drzew panujących nad nią wnosić było można.

Oko szukając w niéj dopełniającego całości dworu, domyślało się go na pagórku nad Horyniem; ale zbliżywszy się, w sadzie i drzewach porąbanych okrywających zaroślami i pniakami to miejsce, dojrzałeś tylko ruin drewnianych budowli i smutnéj jakiéjś pustki. Dom mieszkalny stał napół rozwalony, z kominem jednym już obnażonym, a obok niego z zamieszkałego jeszcze, ale odrapanego dymiło się folwarku. Dziedzica znać tu oddawna nie było, krzyż nawet stojący u wrót dziedzińca wywalił się podgniły i butwiał na ziemi, a płot obłamany przepuszczał idących i jadących, gdy obok wrosło w piasek wisznice jakby na szyderstwo stały zamknięte, choć w nich już i jednego szczebla nie było.

Między wsią a dworem zamiast dawniéj szerokiéj drogi, dziś bujnie trawą porosłéj, wiły się ścieżki powydeptywane przez bydło, które się tu zwykle paść chodziło.

Toż samo opuszczenie widać było i we wsi na tych budowlach, których utrzymanie od dziedzica zależy; ale mimo to binduga, drzewo, zarobek, wlewały tu trochę zamożności i życia.

W chwili gdy się nasza powieść poczyna, na tratwach przygotowanych do wypłynienia, ludzi już było niewielu: mrok powoli padał, chłód od wody zawiewał. Na klocu porzuconym siedział z fajeczką drewnianą w ustach stary już i przygarbiony człowieczek, a obok niego przechadzał się coś z chłopska, coś z szlachecka i dworska odziany młody parobek. Trudno było poznać po starcu ile lat mógł liczyć sobie: są bowiem fizyonomie, które doszedłszy pewnego wieku zmieniają się tak nagle i starzeją odrazu, że lata późniejsze już na nich nie zostawują śladu. I tu powiedzieć było ciężko, czy pięćdziesiąt czy o dwadzieścia więcéj miał mały, złamany człowieczek. Niewielkiego bardzo wzrostu, trochę zgięty w krzyżach, z głową łysą i osiwiałą, z zapuszczoną od niedawna, bo jeszcze niewzrosłą brodą i wąsami, cały pomarszczony jak zwiędłe jabłko zimowe, wyglądał dość jeszcze świeżo i czerstwo: cera jego miała krwi trochę, oko blasku, a rysy dawniéj regularne z pod pofałdowanéj skóry jeszcze się rozpoznać dawały. Wyraz ich spokojnie i łagodnie smutny,

miał niezwyczajną cechę swobody ducha, którą rzadko na twarzy biedniejszych ludzi spotykamy: rzekłbyś, że rachunek jego ze światem całkiem był skończony i że zań czekał tylko cierpliwie obiecanéj zapłaty. Po ubiorze trudno go było zaliczyć do jakiegoś określonego stanu: nie byłto prosty wieśniak, choć strojem niewiele się różnił od niego. Świtka jaką miał na sobie była nieco krótszą od sukman poleskich, podpasywał ją skórzany pas z klamrą, spodnie były z cieńszego ciemnego sukna, na szyi chusteczka jakaś staruszka, na głowie czapka z daszkiem wychodzona i wytarta. W téj odzieży ubogiéj, mimo jéj zużycia przeglądało jakieś staranie o siebie: koszula wystająca z za chustki była świeża, sukmana czysta, łapcie na nogach lipowe, parcianemi pooplatane sznurkami.

Stojący naprzeciw staruszka młody chłopek flisak, ni to dworak ni wieśniak także, z długim ciemnym włosem opadającym na szyję obnażoną, z oczyma małemi piwnemi biegającemi żywo, rysów był właściwych ludowi poleskiemu, z którego pochodzić musiał, twarzy prawie kwadratowéj, ust dosyć szerokich, nieco zadartego choć kształtnego nosa, czoła nizkiego ale roztropnego. Ogół jego fizyonomii oznaczał dosyć dowcipu, opromienionego jeszcze młodością i właściwém jéj weselem, a niebacznością na jutro.

— Nas jest w chacie trzech,—mówił do starego— pan mi pozwolił nająć się na flisaka, a przyznam się wam, że to życie taki lepiéj mi smakuje aniżeli pańszczyzna i gnicie w chacie pod piecem....

Staruszek ruszył ramionami.

— Ja tu widzę,—rzekł—że ty mnie nie posłuchasz, bo ci się już na flis zachciało, a młodemu jak co w głowie zaświta, nie przekona go nikt, chyba bieda... No, Bóg z tobą, a ja taki powiem swoje....

Rozśmiał się młody.

— A niechżeno ja powiem wam wprzódy co myślę, przerwał, to potém nastawię ucha na to, co mi mówić chcecie. Naprzód to taki młodemu świata zobaczyć nie zawadzi:—nietyle go co w oknie; powtóre juściż mnie tu swobodniéj z żydem, który zawsze potrochu się boi, choć sam nie wié czego, niż tam z panem i ekonomem; a naostatek i grosz się na podatek zarobi.

— Wszystko to prawda—zawołał stary—i jeszczeby się co dodać znalazło, ale starym oczom inaczéj się widzi: człowiek w téj wędrówce i od chaty i od regularnéj roboty odwyknie, mandrowanie, taj włóczęga zasmakują, a nie ma gorszéj rzeczy, jak swoje gniazdo sobie obrzydzić. Do domu powróciwszy wszystko się wydaje niepotemu: chleb gorzki, strawa postna, ludzie nudni, pańszczyzna ciężka. Zacznie się do żyda i karczmy zaglądać na pociechę, to się do wódki przywyknie:—ot i człowiek przepadł. Gdybym ja miał syna, tobym go nie puścił z domu na żydowskie ręce. Komu Bóg w chacie siedzieć przeznaczył, niech daleko od progu się nie odbija.

Młody chłopak zamyślił się słuchając.

— Albożto—rzekł po chwili—zaraz już człowiek ma zapomnieć w czém wyrósł i do czego się urodził? Oj! nie, ojcze, nie! Alboto co złego świata zobaczyć i umieć co na starość dzieciom powiadać? Prędzéj się zatęskni za swemi niż swojego zapomni, a potém smaczniejszy chleb domowy.

— Wszystko to prawda, prawda potrosze; aby nie do zbytku, aby z Bogiem, i Ilisaczkiby się trochę przydało—odpowiedział stary.—Ale jak to łatwo się rozhulać, jak to łatwo nawyknąć codzień co nowego mieć i coraz czego innego żądać, a potém rozleniwieć i ręce opuścić? Na drzewie codzień jakaś okazya do kieliszka: żyd psia wiara na każdéj mieliznie, przy każdéj śluzie wódczyskiem zalewa, a ludzi poczciwych diabli biorą... Byle jego drzewo do Niemców doszło, i talary się posypały, co jemu Ilisy! Mnie ot, jak widzicie, wiek minął i nie zachciało się nawet zobaczyć, co tam daléj po świecie się święci: małom kiedy za wrota wyruszył, a niczego u Pana Boga nie proszę, tylko żebym tu moje kości położył.

— Kiedy wam z tém dobrze?

— Dobrze? hę? juściż teraz musi być dobrze, bo świat nie dla mnie, a byle kąt i łyżka strawy, więcéj człeku nie potrzeba; ale bywało różnie, a wszystko na swojém śmietnisku jakoś i złą dolę przeżyć łatwiéj przyszło.

— A wyście tutejsi?—spytał Ilisak.

— Tu się urodziłem, wiek przestękałem i życia dokończę—odparł staruszek trochę smutnie..... Grzybowi nie tańcować!

— To ciekawa być musi historya?

— Czyja?

— A wasza?

— Moja! albo to historya! Biéda się urodziła i biedą zdechła.....

— Ot nie ma co robić z wieczorem, do karczmy się boję: gdybyście ojcze powiedzieli mi o sobie. Samemu tak siedzieć na gąskach nie wesoło..... godzinaby przeszła..... a jabym się co od was uauczył... .

Stary rozśmiał się jakoś łagodnie.

— A co ja tobie powiem, rzekł, moja dola nie ciekawa: podobnych wiele na świecie! Sam jeden jak palec zostałem się na starość, żywego ducha coby mi powiedział żeśmy swoi..... Ale staremu, widzisz bratku, w to graj żeby gadać, aby go kto słuchał: nie wyzywaj wilka z lasu, bo się nie odczepisz od gaduły.

— E! mówcieno tylko, mówcie, mnie to nie dokuczy, ja słuchać lubię.

— Jak zapamiętam—począł stary — oto tu, nad brzegiem Horynia latałem z chłopakami wiejskiemi, a choć w podartéj koszulince i ze łbem gołym, jak mi się ta biéda przypomni, żadnéjbym w świecie rozkoszy nie pomieniał na nią.

— A rodzice wasi?

— Obojga nie pamiętam: odumarli mnie sześcioletniego z jakiejś gorączki; a że byli przybysze kędyś z Wołynia, nikogom nawet krewnego tu nie miał i nikt się do mnie nie przypytał. Jak przez mgłę widzę, że mnie nakaźny do sąsiedniéj chaty zapędził ze cmentarza po pogrzebie, a stara kobieta, którą nazywałem kumą, dała mi wielką misę strawy, bom od dwóch dni nic, oprócz chleba suchego schowanego za nadrę nie jadł. Nazajutrz posłali mnie paść gęsi, potém wzięli do świń, gdy zobaczyli że sobie radę dać umiem, w ostatku kazali mi iść do bydła gromadzkiego. Oj! nie było rozkoszy jak w tém życiu pastuszem. Prawda, że dodnia na rosę musieliśmy pędzać krowy, ale się za to we dnie smaczno pod krzakiem zdrzémnęło, gdy bydło było da-

leko od szkody, a w lesie albo na ługu nasza gromadka swobodnie się dobrze nahulała. Z bydłem niewiele kłopotu: bo to stworzenie roztropne, jak się raz przyzwyczai do wygonu, to go z miejsca i kijem nie spędzisz; raz, drugi od szkody popilnowawszy, daléj już i samo nie pójdzie, a człowiek tyle tylko że popatrzy zdaleka, huknie, resztę czasu może sobie swobodnie bawić się jak mu się zechce.

— E! co mi to za rozkosz—przerwał młody chłopak—kiedy ludzi nie ma....

— Toż nas tam bywała gromada, a jak nałożemy gdzie ognia w łozach na hrudku, albo w lesie przy starym pniu spruchniałym, napieczemy kartofli, napieczem grzybów i syrojeżek, przysmażym przyniesionéj słoninki, co to bywała za uczta! A jak poczniemy śpiéwać, a lasy nam wtórować, aż się serce raduje, tak pieśń nasza daleko rozlega się i leci.

To téż kiedy mnie raz pan nasz, dawniejszy dziedzic, świéć Panie duszy jego, napotkał w lesie idąc ze strzelbą na polowanie, zagadał do mnie, a coś mu się widać z oczu podobałem i zażądał mnie zaraz do dworu na kozaczka, samemu Panu Bogu wiadomo, jak mi się tam iść nie chciało!

— Aha! toście dworsko służyli!

— Całe życie, mój synku, całe życie!

— I cóżeście sobie na starość wysłużyli? torbę?

— Oto poczekaj, nie narzekam ja, choć mi się praca moja może nie tak poszczęściła jak drugim; ale na coby mi się to dziś przydało, gdybym miał i więcéj? Anibym jadł smaczniéj, ani spał spokojniéj? Posłuchajno, a potém powiész, czegom się dosłużył. Przyprowadzili mnie tedy nazajutrz gwałtem do dworu, odzieli, umyli, postrzygli, i nie było rady: choć się płakać chciało, musiałem zostać gdzie kazano. Ale trzeciego, czwartego dnia jużem się był wciągnął do roboty, bo to nie było nic tak ciężkiego: otargiwano mnie w kredensie dopóki nie puszczono do pokoju. Pan nasz był wówczas jeszcze nie stary człowiek, piękny mężczyzna, a co lepiéj, najpoczciwszego serca: ledwie zagadał, a jużeś czuł, że go pokochać musisz i poszanować, bo z wejrzenia i postawy pan był całą gębą: choćbyś go w sukmanę przebrał, i po nocy poznałeś,

że go Pan Bóg stworzył na panowanie. Aleć to panowanie nikomu ciężkie nie było: do człowieka srogo nie przemówił rozgniewawszy się nawet; milczał tylko i to była największa kara dla ludzi, gdy do kogo mówić nie chciał, a twarz odwracał. Jaki pan, taki kram; i stary kozak co mnie miał w ręku, i inni dworscy nie byli źli: prędkom się oswoił z niemi. Popędzali mną trochę, wyręczali się, ale najwięcéj nogi cierpiały na posyłkach, a nie pamiętam nawet, żeby mnie kto trącił lub połajał. Kozak bywało mówi zawsze: to sierota, biédactwo, nie godzi się nad nim znęcać. I zapomniało się życie pastusze, a w kilka tygodni potém, spotykając na grobli starego Hryndę i moich dawnych wiejskich towarzyszów pasterstwa, tylkom się do nich zdaleka uśmiechał, pokazując szarawary z czerwoną wypustką, ale do lasu już nie miałem ochoty. Służba nie była ciężka: pan chciał mnie miéć przy pokoju i do tego tylko wprawiali. Koło niego niebardzo się kto strudził: najwięcéj sam sobie usługiwał, rzadko zapotrzebował człowieka, a obchodził się po ojcowsku. Ze starym kozakiem tak byli jak bracia, tylko kozak często gdérał na niego.

— Dobre jakieś widać było panisko.

— Karaj Boże do wieku—odparł łzy ocierając stary—nie ma już na świecie takich ludzi: to mi był brat i ojciec!... Mieszkał ot tam widzicie, gdzie sterczy komin starego dworu, ale za jego czasów to inaczéj wyglądało.... Ho! ho! taki był u niego ład i porządek w najmniejszym kątku, że na szerokim dziedzińcu słominkibyś niepotrzebnéj nie znalazł, a dziś to chlewy i rozwaliny!

Stary westchnął ciężko i tak mówił daléj:

— Z domu bardzo rzadko wyjeżdżał, do niego téż nieczęsto ludzie przybywali; wszakże gość się czasem trafił, a choć jak w klasztorze, nie było u nas smutno we dworze, bośmy się zawsze i on i my koło czegoś krzątali: gospodarzył, polował, ogródek swój porządkował i czyścił, a chwili nie spróżnował. Lubił konie, psy, polowanie, drzewa, czasem nawet na rybę chadzał, i ot tak czas płynął, żeś się nie obejrzał, jak drugi koniec roku zobaczył. Nieżonaty był i sam jeden jak pa-

lec. Gdzieś mówili zdaleka przyjechał i.majątek ten kupił, ale już do niego ludzie tak przystali, jakby z pradziadów żyli pod nim, i kochali go we wsi jak ojca.

Łatwoż-bo się było do niego przywiązać, takieto było serdeczne i poczciwe, a względne na biédę ludzką i człowieka najmniejszego, że nikt do niego nie przyszedł darmo i nie odszedł z żalem. Ja tam się taki zaraz przywiązał, i wpół roku jużem starego kozaka, który nie zdążał zastępował przy nim. Tamtemu się chciało wypocząć, bo miał sobie nadane grunt i dożywocie; to téż mnie wyuczywszy i wpuściwszy do pokoju, sam się prędko do chaty wyprosił. Ale co to nałóg stary: zdawało mu się, że już będzie odpoczywał na swojém, a po trzech tygodniach jak począł z nudy zaglądać do dworu, tak często chatę kołkiem podparłszy z nami lulkę kurzył, w ganku siedząc od rana do nocy, a którego dnia pana nie zobaczył, to jakby nie jadł tak mu koło serca było głodno.

I mnie téżby był już biczem nie wypędził od niego, bo panisko było jakich nie ma, powiadam wam.

Dość powiedzieć, choć to głupstwo, tak każdego uważał, że kiedy co smaczniejszego jadł, czy to owoc z ogrodu, czy potrawę jaką, nigdy się nie trafiło, żeby choć kąska ludziom do skosztowania nie zostawił. W kilka lat kiedym go lepiéj poznał, stał mi się ojcem, i jak każdy z nas życiebym chętnie dał za niego. Ze wszystkich dworskich najbliżéj go byłem: chodziliśmy razem na polowanie, które niezmiernie lubił, jeździliśmy na rybę, pracowali w ogrodzie. Bywało pamiętam dodnia wstajemy ochoczo, a stary bekas, wyżeł jegomości, czując co się święci, podskakuje, wykręca się i szczeka; my torby na plecy i w chrusty lub na błoto, a czasem i dzień tak cały o kieliszku wódki, chlebie i serze przechodzimy. Dziwiłem się, że taki poczciwy człowiek mało żył z ludźmi; ale kiedym go bliżéj poznał, dopatrzyłem się, że choć poczciwie dźwigał się i krzepił i uśmiechał, coś tam było w jego życiu takiego, o czém nikt nie wiedział, a co mu je trało. Bywało najweselszy zamyśli się nagle, westchnie, łzy mu po twarzy jak groch pociekną, ale ledwie je poczuł—oho! już albo strzelba na ramię i w las, albo na ogród, albo do jakiéj tam roboty, i nie poznasz że płakał.

Takiegomto ja miał pana, a było mi tak dobrze, że człowiek o sobie ani myślał. Dorosłem lat, on sam mi się naprzykrzał, czybym się ożenić nie chciał i osiąść na gruncie: ale jakże się było od niego oddalić? Przytém że u nas we dworze takeśmy byli od kobiét odwykli, jakby ich na świecie nie było; i zdawało się, że bez nich całe życie obejść się można, a kozak stary utrzymywał, że to tylko śmieci robi.

A taki sam się ożenił potém!

Pan nie zagadał do żadnéj, nie spojrzał nigdy; my téż choć się czasem poswawoliło za dworem, ale nam w głowie nie postało, żeby się żenić! I tak pan sobie postarzał, i my sobie: jedni pomarli, drudzy jak ja powoli starzeć poczęli, a ja rychléj niż kto, bo mi w trzydziestu leciech nie wiedzieć z czego głowa poszpakowaciała. Życie się we dworze nie zmieniło, jegomość wciąż krzepko się trzymał, na polowanie chodził; ale wszakże coraz mniéj zapalczywie, więcéj około ogródka się krzątając, bo na nogi szwankować powoli zaczął. Myślę, że je chodząc po błocie zerwał, bo chodził bardzo wiele i niezmiernie szybko.

Kiedy się począł pochylać i trochę niedomagać, jeszcze jakoś smutniejszy się zrobił: pracy już mu było dobrać ciężko, do książek się wziął więcéj a stękał, i w nocy wzdychał czasem, wywołując imię boże, aż mnie śpiącemu w drugiéj izbie łzy się do oczu cisnęły.

Cośmy go chcieli zabawić, to tém, to owém, coraz nam przychodziło ciężéj: jam mu ptastwo hodował, rozrywało go to trochę, ale z dnia na dzień zaczął gorzéj zapadać i obojętnieć na wszystko.

Jak tylko się położył, zaczęli powoli zaglądać do nas zdaleka jacyś dotąd nieznajomi panowie. Przyjechała jakaś jejmość, mówiono że jego bratowa, potém mąż jéj jakoby brat pański, różnych krewniaków siła co go dawniéj ani znali, a teraz nie wiem jak i zkąd z pod ziemi powychodzili.

Ale takie to wszystko było do niego niepodobne, jakby mu zupełnie obce: grzeczni, potulni, cicho gadający, tylko od ich własnych ludzi wiedzieliśmy, że się to poprzebierało dla jegomości, bo doma byli całkiem inni. Nie wiem jak to pan hurtem wszystko poodpra-

wiał, że za jednym zamachem pojechali z gniewem, a myśmy znowu sami chwała Bogu zostali.

I ot tak wlekło się życie coraz smutniejsze: anim się opatrzył jak lat trzydzieści z okładem przesłużyłem przy nim, a ostatek prawie ciągle przy łóżku. Bywało tyle jego zabawy i rozkoszy, co ze mną, ze starym bekasem i hodowaném ptastwem dzikiém, albo jak mu jaka książka do smaku przypadła, to ją dzień i noc czytał i zdawał się spokojniejszy. Widać już było, że meta niedaleka, aleśmy go tak kochali, że żaden z nas o sobie nie pomyślał, a śmierć jego ani się nam nawinęła na pamięć, ani co tam potém będzie. Miałem około lat czterdziestu, kiedy poczciwe panisko umarło. Spędziłem życie przy nim, przywykłem jak pies do niego, i kiedyśmy go położyli na katafalku, myślałem, że i ja się na nim wyciągnę, tak nie wiedziałem co począć z sobą.

Siadłem w nogach i płakałem. Przyjechali sądowi, popieczętowali, spisali, ktoś tam się zajął pogrzebem, ja ani wiem co się ze mną działo. Nazajutrz wróciłem do pokoju, pozamiatałem, poskładałem wszystko jakby żył jeszcze, i osłupiały czekałem nie wiedząc czego. Chwilami zdawało mi się, że to tylko sen jakiś przykry. Nierychło dopiéro przypędzili pocztą krewni, owa pani bratowa, brat, bratanki i cała czereda, i nuż się tu dopiéro ujadać, szukać testamentu. Zburzyli dom cały, a gdy nic się nie znalazło, podobno odepchnąwszy resztę familii, wzięli wszystko pan brat i bratowa.

Nuż tedy robić porządek, sprzedawać, wypuszczać arendy, pieniądze ciągnąć i swój rząd stanowić: ja tylko prosiłem, żeby mnie przy dworze zostawili, ale na co im był dwór, kiedy tu mieszkać nie mieli. Kazali mi iść na wieś do chaty: nie było dokąd, a że pan nieboszczyk nie rozporządził niczém, niewiele brakło, żebym znów pastuchem nie został na miejscu starego Hryndy. Tyle mieli łaski nademną, że gdy się przekonali jak im wszystko oddałem w całości, pozwolili mi resztę życia swobodnie tu przepędzić. Chaty żadnéj nie było wolnéj, krewnych nie miałem. Widzicie tam starą rozwaloną karczmę nad bindugą podle dębów za mogiłą? otóż to tam dali mi kąt i ogródek za roczny czynsz trzy rublowy. Tu już lat dwadzieścia i kilka mieszkam i Pana

Boga chwalę: co dzień pójdę do dworu, pomyślę, popłaczę i nazad do mojéj dziury.

— Tak sam jeden?

— Jak widzicie. Mojato już dola nie mieć nikogo i umierać samemu! Od czasu jak pan umarł, anim się ja do żadnego człowieka, ani się do mnie człowiek żaden nie potrafił przywiązać; nie skarżę się, bo mi na wsi krzywdy nikt nie robi, prędzéj pomoże, alem taki sam jeden... a! jak palec....

— Na starość to tęskno—odparł parobczak.

— A tęskno—westchnął stary—nie ma co mówić, ale cóż na to poradzić? Z siwym włosem i o kiju żenić się nie pora: a ktoby tam za mnie poszedł, chyba taka, któréjbym ja nie chciał. Brata, swata, rodzonych, nie dał mi pan Bóg; co robić! trzeba samemu zdychać jak się samemu żyło.

— I nie narzekacie?—spytał zdziwiony flisak.

— Alboby to co pomogło?—rzekł powoli staruszek—albobym Pana Boga obraziwszy sobie ulżył, czy losu odmienił! Czyto zresztą człowiek choćby i do takiego życia się nie przyzwyczai?... Aby dzień do wieczora!

To mówiąc westchnął stary, fajkę wytrząsł i za kij swój wziąwszy, gotował się odchodzić.

— Dobranoc wam synku!... A wy tu myślicie nocować?

— Żyd prosił, żebym przespał w skarbówce, bo tam worki z mąką i fasy ze słoniną, to się boi szkody.

— U nasby to szkody być nie powinno, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże—odpowiedział stary, ta i dobranoc wam...

— Dobranoc bat'ku! dobranoc!

I rozstali się tak ci ludzie, których traf zbliżył, a godzina rozmowy poprzyjaźniła, wiedząc, że się już może w życiu nigdy więcéj nie zobaczą. Dziwna rzecz: im prostsze obyczaje, im piérwotniejszy stan społeczności, tém, uważaliśmy to zawsze, stosunki przyjazne między ludźmi są łatwiejsze, bardziéj braterskie i prędsze. Cywilizowani naprzykład im więcéj chcą za ucywilizowanych uchodzić, tém grzeczniéj i przyzwoiciéj unikają zbliżenia się do siebie, omijają się. Prze-

mówić do nieprezentowanego i nieznajomego człowieka jest prawie grzechem towarzyskim; przepytać się do kogo przy pierwszém spotkaniu, niedarowaną nieprzyzwoitością. U ludu wcale inaczéj, nie powiem że gorzéj: godzina jedna spaja i brata, słowo poczciwe lub twarz obiecująca wywołują zaraz wywnętrzenia, przyjaźń jedna się łatwo, i bywa gorąca jak nienawiść. Ludzie tu są jeszcze ludźmi: późniéj przerabiają się na jakieś lalki, pewnym pociągnieniom sznurka posłuszne.

Stary Jermoła z głową przypomnieniami życia swojego nabitą, powracał do domu powoli, a parobek świszcząc piosenkę i myśląc o biednym dziadku sierocie, przygotowywał garść słomy na któréj miał się położyć we drzwiach skarbówki, rad będąc odpocząć, bo po zachodzie słońca, wieśniak gotów usnąć w każdéj godzinie, byleby mu było wolno.

Jermoła tymczasem powlókł się do domu, do którego niedaleką miał drogę. Pomiędzy wioską a brzegiem rzeki, na piaszczystym wygonie zarosłym zrzadka wyniosłemi staremi sosnami i wiekuistemi dębami, gdzieniegdzie poobcinanemi przez leniwych gospodarzy, którzy po drwa do lasu jeździć nie chcieli: widać było budowę dziwną, służącą staremu za schronienie. Nie chata to była, nie dwór, raczéj pustka i ruina: stara karczma opuszczona, niegdyś na zbyt wielką pobudowana skalę, zrujnowana jakimś przypadkiem, bez dachu, ze sterczącemi krokwiami, gołemi i częścią słomianego poszycia, zawieszoną nad kawałkiem ścian jeszcze cało stojących. Jeden róg w zrąb zbudowanego karczmiska choć wychylony i skantowany trzymał się jeszcze: widać w nim było okno nawpół zalepione gliną z kilką szybami u góry, drzwi połatane na nowo, i ściany które od dawnéj pobiały i nalepy, dziś szary tylko i wątpliwy kolor zachowały.

Reszta gospody cała była stosem przegniłych belek i brusów, poczerniałego drzewa, kupą gnoju porosłego chwastem i bezkształtném rumowiskiem. Jakim cudem trzymał się tam ten dachu szczątek nad izbą mieszkalną i sama budowa, może podpierana nawalonemi obok gruzami? odgadnąć trudno.

Obok niéj płot z żerdek ogradzał maleńki kilkogrzędowy ogródek, opasany kilką wzniosłemi dębami i sosnami.

Nad dachem stary komin obnażony, czarny, popękany, znać służył na coś jeszcze mieszkańcowi tego kąta. Ruina ta jak większa część naszych zwalisk drewnianych, nie miała wspaniałości i powagi rumowisk kamiennych, nieszlachetną była i brudną: mogłeś policzyć ile jeszcze lat żyć będzie, dopóki się nie zmieni w mogiłę chwastów bujnych i zielsk nieużytecznych. Zgnilizna od drzewa na ziemi przechodziła do ścian trzymających się jeszcze: widać ją było poczynającą dzieło zniszczenia, gdzie tylko opadły tynk i glina. Smutno było spojrzéć na te zwaliska i pomyśléć, że człowiek jakiś został zmuszony w nich zamieszkać. A jednak przywykły do swego śmietniska Jermoła, bez wstrętu zbliżył się do téj kletki, otworzył drzwi i wszedł do swojéj izby; a że w niéj już panowała ciemność, naprzód skrzesał ognia i podpalił trzaski przygotowane w piecyku.

Powoli rozjaśniały kątki alkierza i już go można było obejrzéć przy blasku suchego łuczywa. Była to niewielka izdebka narożna, nad którą ściel i dach trzymały się jeszcze: dawniéj musiała być to sypialnia i skład pana arendarza. Drzwi wiodące od niéj do drugiéj izby szynkowéj, dziś zrujnowanéj i niemieszkalnéj, zabite były deskami i oblepione słomą z gliną; stary piec co rok poprawiany i lepiony, straciwszy już dawny kształt prostokątny, wyglądał garbato, koślawo, nieforemnie i guzowato: zamiast blaszki zamykał się kilką cegłami. Obok komin całkiem był zamurowany, wierzchni gzems jego służył za rodzaj półki, a wnętrze zastępowało szafę.

Sprzęt jak się domyślać łatwo, nie był wykwintny: nawpół wiejskiego pochodzenia, od siekiery obrobiony, wpół z resztek i łamu dworskiego się składał. Gdy Jermołę odprawiono z próżnemi rękami po trzydziestokilko-letniéj służbie, za całą nagrodę styranego życia dano mu jakieś resztki potłuczone i niepotrzebne, które miano na śmietnisko wyrzucić. Z tych szczątków skrzętne ubóstwo złożyło sobie sprzęt prawie wygodny; przemyślny Jermoła umiał skorzystać z najlichszéj drobnostki, i izdebka jego ubrała się w pamiątki po dziedzicu i latach młodości. Spał na staréj kanapie z powyginanemi nogami, niegdyś biało ze złotem lakiero-

wanéj, w głowach miał stoliczek z szachownicą jeszcze Kolbuszowskiéj roboty; para krzeseł deskami zamiast poduszek pozabijanych, widocznie pochodziła z Gdańska, ale już sznurki tylko i ćwieczki wstrzymywały je od rozsypania. Obok nich skrzynia zielono malowana, i kuta w domu wiejskiéj była fabryki; ława ledwie ociosana stała przy drzwiach, drugi stolik nie zheblowany nawet, pośledniejszą zastawiony był poteruchą garnuszków i miseczek. Ale za to na kominie zlepiony karukiem świetnie się wydawał dzbanuszek z sewrskiéj porcelany bez ucha, musztardniczka, imbryczek saski na nóżkach, z których jednę przed 50 laty odbito, filiżanka wydźwudowa i prosta ruska maselniczka w kształcie baranka. W ten sposób cała przedstawiała się izdebka: uboga, chędoga a smutna tém, że ją składały same resztki dawno zapomnianego dostatku, na pokrycie dzisiejszéj nędzy służące. Kilimek przy ścianie był turecki, ale dziurawy i połatany, a spotykał się z prostym krajczakiem u łóżka; obok garnków świeciły resztki szkła, porcelany i fajansów, przy mahoniu sośnina. Na ścianie obok nieforemnego obrazka Bogarodzicy-Poczajowskiéj, wisiał przepyszny, ale szkaradnie zamokły sztych Rafaela Morghen'a, przedstawiający wieczerzę Leonarda, któréj całego rogu brakowało, i daléj dwunastu apostołów pochodzących od Hoffmana z Pragi, i niemieckiéj szkoły na drzewie uszkodzone malowidełko, Narodzenie Pańskie.

Całą rzeczywistą ozdobą tego kątka była jego czystość i panujący w nim porządek: nie dostrzegłeś pyłu nigdzie, nigdzie śmieci, każda rzecz stała w miejscu; a choć w téj biednéj izdebinie mieściły się i zapasy, i jadło, i kuchnia ubogiego, i spiżarnia, i odzież, i wszelki dostatek jego, nie znać było ani nagromadzenia, ani bezładu. W ścianach porobione były szafy i półki, pod stołami stojące skrzynie, komórka zapieckowa, komin zapuszczony suknem, służyły za składy. Nawet drewka i trzaski z pewną symetryą w wyznaczoném sobie miejscu nałożone były. Miał wprawdzie Jermoła obok w opustoszonéj szynkowni zagrodzony kąt, w którym część grubszych swych zapasów zwykł składać; ale tam bez zamku niewiele mógł rzucić, bo

nędza z nędzą, nierozbierając praw własności, chętnie się dzielą.

Wszedłszy i rozpaliwszy skałki w piecyku, bo świéca była dlań rzeczą zbyt kosztowną, stary obejrzał się wprzód, czy wszystko w porządku zastał; poszedł do garnka, aby sobie przygrzać wieczerzę, którą mu przynoszono ze wsi od kozaczychy, lub ją czasem w części sam sobie przyskwarzał, a potém usiadł na zydlu przeciw ognia i rozpoczął pacierze.

Wiatr chwilami przebiegał po gałęziach sosen i dębów blizkich zagrody, cisza głęboka panowała dokoła, i Jermoła zamyślił się modląc, gdy wpośród milczenia, zrazu niewyraźny, potém coraz głośniejszy i dobitniejszy dał mu się słyszéć płacz dziecięcia.

Było to kwilenie niemowlątka..... a tak blizkie, że niemal zdało się gdzieś z pod drzwi wychodzić.

— Cóż to być może?—rzekł w sobie stary przerywając pacierze i powstając z ławy—późna godzina, czyby która głupia baba miała się wybrać nad rzekę z dziecięciem, albo do mnie po lekarstwo?

Nastawił ucha, ale kwilenie się ani zbliżało, ani oddalało: widocznie dziecię gdzieś leżało w miejscu. Pora nie była potemu, żeby je z przenośną kolébką postawić tam miano; chłód, wieczór, położenie wygonu nie dozwalało tego przypuszczać. A głos dziecięcia kwilił smutnie.

— E! to sowa!—rzekł sobie siadając stary—usiadła gdzieś na dębie i piszczy; ale przysiągłbyś, że dziecko:... jakto one udawać umieją....

Posłuchał, płacz stawał się coraz wyraźniejszy i boleśniejszy.

— Nie! to nie sowa, to coś niepojętego: trzebaby pójść zobaczyć, może jakie nieszczęście; ale coby to być mogło?

To mówiąc chyżo się porwał, czapkę na uszy wcisnął, kij wziął do ręki i nawet o ulubionéj zapomniawszy fajeczce, za drzwi wyskoczył. Na progu już przekonał się, że najmniejszéj wątpliwości nie było, a krzyk nie sowa pewnie, ale biédne jakieś wydawało

dziécię. Przeraziło to prawie starca i kierowany głosem, począł szukać zkądby pochodził; zwrócił się zaraz ku ogródkowi i ujrzał coś bielejącego pod najbliższym dębem. Oczy go stare nie zwodziły: na garbie mchem zielonym okrytym, obwinięte w bieliznę, kwiliło niemowlę.

Dziécię! dziécię porzucone, opuszczone od rodziców!—to się w głowie staruszka pomieścić nie mogło. Struchlał z przerażenia, z podziwu, z litości i smutku, podbiegł i nie myśląc co robi pochwycił na ręce dzieciaka, który uczuwszy może ruch około siebie, natychmiast kwilić przestał.

Jak złodziéj z kradzieżą biegł, kija nawet zapomniawszy, stary Jermoła do swojéj izdebki, powtarzając sobie ciągle:

— Dziécię, dziécię! co to być może?

Nagle przyszło mu na myśl, że przypadkiem zapewne porzucono na chwilę niemowlątko, i że niepokojem matkę nabawić może, gdy go w miejscu nie znajdzie; począł więc wołać głośno i hukać po polesku, aż mu się lata pastusze echem przypomniały; ale nikt nie odpowiadał.

— Juściż tak biédnego dziecka na chłodzie zostawić niepodobna—rzekł z wzruszeniem—pójdę do chaty, domyślą się gdzie się podziało.

Otworzył drzwi, w piecu było przygasło, ciemności okrywały izdebkę; żywo złożył swój ciężar na łóżku, a sam jął się rozpalać trzaski i wióry, których nie oszczędzał tą razą.

Gdy światło znów zabłysło, a stary przybiegł do kwilącego znowu dziecięcia, podziwienie jego i przestrach wzrosły do najwyższego stopnia. Dziécię to widocznie nie było wiejskie: samo spowicie dowodziło tego. Jermole w głowie się pomieścić nie mogło, jakim sposobem z jakichkolwiekbądź powodów, matka czy ojciec potrafili wyrzec się téj maluczkiéj istoty niewinnéj, na którą patrząc płakał z litości i wzruszenia.

W istocie od usłyszenia piérwszego płaczu do téj chwili, nieznane jakieś uczucie owładywało starcem dotąd spokojnym: czuł się poruszonym, przelękłym, ale zarazem ożywionym, jakby o lat 20 odmłodniał. Z ciekawością zbliżał się do zagadkowéj istoty, którą

los, jakby ulitowawszy się jego osamotnieniu, rzucił mu na pociechę właśnie, gdy myśl szukała jakiegoś węzła, coby go jeszcze ze światem połączył.

Dziecię starannie obwinięte, było widać przysłonione umyślnie w ten sposób, aby z pieluch nawet pochodzenie jego wydać się nie mogło. Matka wyrodna czy ojciec obojętny, z resztką jakiejś troskliwości o nie, obmotali całe sztuką grubego białego perkalu, która tylko część twarzyczki rozpłakanéj zostawiła odkrytą.

Jermoła wpatrywał się w nią z uczuciem osłupienia i załamanemi rękoma.

Nierychło mu przyszło na myśl, że tu coś radzić potrzeba, że dziecię płacze może głodne, że na niego spada ciężar niespodziany, któremu podołać będzie trudno i nad siły. Błyskawicą przesunęły mu się przed oczyma: mamki, kolebka, niańczenie, macierzyńskie starania i niedostatek, który mu nie dozwalał nikogo nająć do dziecięcia.

Najemne też ręce zdały mu się niegodnemi dotknąć tego bożego daru, za jaki podrzutka uważał, już się rachując niejako za przybranego ojca, przez Opatrzność wyznaczonego sierocie. Błysło mu w oczach, że mu to dziecię odebrać mogą, i nim się zastanowił co z niém uczyni, przeląkł się téj ostateczności.

— Nie! ja go nie oddam nikomu: to moje dziecię, moje! sam Bóg mi je zesłał: nie porzucę sieroty!

Ale radzić było pilno: dziecię kwiliło i płakało znowu. Jermoła wziął je na ręce.... Co tu począć? do kogo pójść po radę? co najpierwéj robić?

Gdy je tak nosi po izdebce niemal oszalony swą dziwną przygodą, z powinięcia wysunął się zwitek ciężki i upadł na ziemię. Jermoła zdziwił się bardziéj jeszcze, podniósł i postrzegł w biały papiér zakręconych kilkadziesiąt sztuk złota.

Omało dziecięcia nie upuścił....

— A więc to ktoś dostatni wyrzekał się swéj krwi, płacąc, by mu ją ktoś odebrał!

Zamyślił się starzec usiłując odgadnąć świat, którego do téj pory tak mało rozumiał, a może intuicyjną siłą serca pojął chwilowo całą czarność, nędzę i cierpienia żywota....

— Mój Boże!—zawołał—znaleźliby się może i tacy, coby ten grosz odebrali sierocie.... Nie! nikt o nim wiedzieć nie będzie: schowam go dla wychowańca gdy dorośnie, a wyżywić go i sam potrafię.

I rzucił złoto w szkatułkę starą stojącą przy łóżku, w któréj swój grosz jaki miał zwykł był chować, a sam porwawszy opończę, postanowił z dzieckiem pójść na wieś; popytać rady u ludzi.

Biédny starzec otulając swój ciężar, skłopotany, przerażony i szczęśliwy zarazem, do najbliższéj wbiegł chaty.

Siedziała w niéj wdowa po kozaku owym Harasymie, którą téż od służby mężowskiéj pospolicie kozaczychą zwano, z córką jedynaczką ukochaną, któréj od lat kilku szukając męża, wyszukać nie mogła, choć dziewczę warte było zalotów.

Chata którą jeszcze nieboszczyk dziedzic nadał Harasymowi na końcu wsi, ku brzegowi Horynia posunięta, mogła starego dworaka upoważniać do odpowiedzi: „Moja chata z kraju, niczeho ne znaju!" bo za nią był tylko wygoń i pustka w któréj mieszkał Jermoła. Z dawnych stosunków dworskich, między temi dwiema lepiankami pozostał węzeł przyjazny: kozaczycha opierała Jermoła, brał u niéj jedzenie, a czasem w złéj godzinie przychodził szukać pociechy, częściéj jeszcze gawędy i dobrego słowa. Ale tam lepiéj się działo niż u biedaka Jermoły: dostatek był większy, a że babka skąpa i rządna, nigdy na przednówku nie brakło niczego, i grosz jeszcze lub miarka zboża po ludziach się znalazła.

Chata dziś postarzała i czarna, choć ją kozak budował z pomocą pana i wielkiém staraniem, podobna była wszystkim innym, które zaraz za nią długim się ciągnęły sznurem: drzewo tylko użyte na ściany grubsze było, a wewnątrz trochę lepiéj, bo piec i komin porządny, a izba nie kurna.

Do niéj należał ogródek tuż wydzielony w połowie na ługu, i drugi obszerniejszy, na którym siano żyto lub jarzynę, nieco opodal z polami wiejskiemi w łanie. Kozaczycha miała krów cztery, z których zbierała sér i masło i przedawała je okolicznym dworom lub w mieście; cały pług najczęściéj wynajmowany lub wysy-

łany do obrabiania pola na współ z uboższemi; dziesięć owiec, troje ozimków, a nawet konia do brony kupiła była, choć się jéj nie powiódł i znosaciał z zapuszczonéj zołzy. Oprócz niéj i córki był w chacie stary Chwedor parobek już poszpakowaciały na cudzym chlebie, nieco głuchy i wielki pijak; chłopak wyrostek sierotka i dziewka najmitka. Słowem gospodarstwo to wcale zamożne, kierowane przez starą wdowę, tém dziwniejszém czyniło, że po rękę Horpyny nikt się dotąd nie zgłaszał, zwłaszcza że sama dziewczyna już dochodząca dwudziestki była bardzo piękna i za najcelniejszą krasawicę na wsi uchodziła.

Słusznego wzrostu, co widać wzięła po ojcu, zręcznéj kibici, czarnobrewa, kiedy się na niedzielę wystroiła w krocie wstążek, w granatową bekieszę i żółte po wołyńsku buciki na wysokich obcasach, wyglądała jak przebrana pani. Chłopcy oczy nią pasli zdaleka, wzdychali, czapkami kręcili, w głowy się skrobali, ale zbliżyć się do niéj żaden nie śmiał. Naprzód że istotnie Horpyna dumna była jak wielka pani; powtóre że pocichu powtarzano, jakoby od lat już dwóch dojeżdżał do niéj szlachcic, który wprzód we wsi pisarzem służył, i ona go kochała i on do niéj przylgnął zapamiętale. Od téj pory każdy parobczak unikał od kozaczanki, i dziwy prawili o tych miłostkach pokątnych.

Stara jakby ich nie widziała, swatała się z córką po wsi jak mogła i umiała: jeździła z nią na odpusty, zapraszała na wieczorynki i doświtki. Spijano, zajadano, bawiono się, ale Horpyna nie doczekała dotąd od nikogo flaszy z ręcznikiem.

Trafił tak Jermoła, że nie zastał żywéj duszy przed chatą kozaczychy, gdy się do niéj zdyszany zbliżył z kwilącém znowu dziecięciem; światło tylko buchające przez okienko zwiastowało, że gospodyni doma. Wszedł więc wprost ze swojém zawinieniem do świetlicy staruszek.

Kozaczycha siedziała na ławie przy stole podparta na ręku zadumana, a Horpyna przy piecu: obie milczące i smutne, podniosły oczy razem i ujrzawszy Jermołę z dzieckiem, zerwały się z krzykiem podziwienia.

— Co tobie stary? co to jest?—zagadnęła matka.

— Co? co?—zawołał przybyły padając na ławę i na kolanach składając dziecko, z którego oka nie spuszczał—ot co... widzicie.... mnie.... dziecko Pan Bóg dał!

— Tobie! jak!

— Dziw! cud! sam nie wiem co robić! Tylkom co powrócił z nad rzeki od drzewa, gdzie byłem na balach, zapaliłem ognia i począłem się modlić, gdy słyszę coś piszczy pod dębami: ni to sowa, ni to dziecko.... Myślę sobie puhacz.... bo tam są dziuple w starych dębach; modlę się daléj, a tu znowu płacze. Skorciało mnie, a no.wyjrzę.... Pobiegłem, przychodzę, patrzę i ot co znajduję.... dziecko.... Co tu teraz robić!.... co tu robić!

Stara i młoda obie niewiasty stanęły ciekawie nad Jermołą opowiadającym, kiwając głowami w milczeniu.

— Ktoś podrzucił—zawołała stara—ale kto?

— A któżby tak mógł dziecinę porzucić?—z oburzeniem podchwycił stary—czy to może być?

— Oj! oj! znamy my takich ludzi,—odezwała się kozaczycha trzęsąc głową na wszystkie strony—nie takie to historye opowiadają o złości ludzkiéj: alboście nié słyszeli o niemowlątku, co to je wyrodna matka na pastwę wieprzom wrzuciła w koryto, żeby śladu jéj sromoty nie zostało!

Stary Jermoła niezrozumiawszy spojrzał prawie wielkiemi oczyma na kozaczychę, i ruszył ramionami; tymczasem dwie niewiasty aż poprzyklękały przy dziecięciu, żeby mu się przypatrzéć.

— A w jakieżto białe poobwijane rańtuchy!

— A jakie delikatne!

— Pewnie pańskie, bo u nas ktoby co podobnego odważył się zrobić: z a w o d u na to nie ma.

— I wybrali miejsce pod waszą chatą!

— Ale radźcieno, co ja z niém będę robić?

— Jak zechcecie,—odpowiedziała kozaczycha—możecie odwieźć do ekonoma, a on odstawi do p o m o c n i k a i zabiorą sobie gdzie do jakiego szpitalu...

— Zabiorą!—krzyknął Jermoła z płaczem w głosie—a to mi ślicznie radzicie! A będąż doglądać, pilnować: gotowi umorzyć niemowlątko!

Stara ruszyła ramionami.

— A wy jak sobie z niém radę dacie?

— Radźcież na to kumo!

— A jakże myślicie?

— Czy ja wiem co myśleć—przerwał stary—mnie się w głowie zawraca co tu począć. Za nic porzucić bym nie rad dziecka, które sam Bóg oddał mojéj opiece: wyhodować go nie wiem czy potrafię.... Tylko mi się zda, czemużby nie!

— Będziecie je musieli oddać na mamki, to najprędzéj do Jurkowéj niewiastki.

— A! za nic!—zawołał Jermoła—ot to! taka zła baba, toby mi je przymęczyła, a zażądałaby odemnie nie wiedzieć czego, kiedy u mnie grosz grosza goni.... Gdybyście mu dali mléka: patrzcieno jak się maże i płacze, możeby piło.... Jabym u was najął mléko dla niego.

Kozaczycha rozśmiała się.

— Cóż? i sami niańczyć będziecie? sami bawić, huśtać, kołysać? A! to chyba nic już więcéj robić nie będziecie mogli. Dziecko to wiekuisty kłopot: pamiętam com ja miała ze starszym, z tym nieborakiem Tymoszkiem, który roku nie dożył, a i z Horpyną, ani dnia ani nocy spokojnéj.

— Albo to ja i tak bardzo śpię, czy tak bardzo co robię wiele?—rzekł uparty Jermoła, który się do swojego znajdy przywiązywał coraz bardziéj—mnie aby się tylko parę godzin przespać, a dziecko to prawie ciągle spi a spi, byleby nie było głodne.... Znajdę czas i przedrzémać się, i do ogródka zabiedz i kartofli sobie upiec.

— Ale czemże je karmić będziecie?

— Ano, mlékiem.

— Kiedy ono może i pić jeszcze nie potrafi, takie małe....

Jermoła westchnął.

— Nie potrafi.... to się nauczy! Ale co tu poradzić?

Kozaczycha powoli wzięła mu z rąk niemowlę i poczęła się w nie wpatrywać: ono kwiliło. Córka jéj pobiegła po świeże udojone mleko, a przywabieni ciekawością i słowem rzuconém przez Horpynę sąsiedzi, schodzić się poczęli po jednemu, po dwóch, daléj całemi gromadami, i obstąpili kołem starego.

Jak wieś wsią, za pamięci najstarszych ludzi, nigdy się tu nic podobnego nie trafiło, słychać o tém nie było. Gadano niemogąc się nagadać.

Radził wójt, radziła gromada i starzy i młodzi, i kobiéty i parobcy, ale nic uradzić nie mogli, bo wciąż powtarzali jedno, jednakowo się zbijając i znów powracając do piérwszego, a zawsze swatając na mamkę Jurkową niewiastkę.

A co było domysłów, co przypuszczeń dziwacznych, co żartów i co narzekań na niepoczciwych ludzi!

Nikt jednak poszlaki nie miał o sprawcy: we wsi nikogo obcego nie widziano pod wieczór, ani w pobliżu nawet; drogi były puste, w karczmie, na przewozie, nie pokazał się żaden podróżny. Gdy się dosyć nagadali, narozprawiali i powoli rozchodzić już zaczynali niosąc po wsi ową osobliwszą nowinę, stary Chwedko znany bardzo posiadacz dereszowatéj klaczy, oparty na kiju, zebrawszy myśli, tak się odezwał do Jermoły:

— Ot co mi teraz na pamięć przyszło: słyszałem to już temu lat będzie ze 20, w Małyczkach owdowiał był gospodarz znajomy mi; żona mu w słabości zmarła i zostawiła sierotkę, tylko że na świat przyszłą. Biedaczysko jednooki, ubogi, nawet mamki znaleźć nie mógł: chodził od chaty do chaty, ale nie wyprosił nigdzie, żeby mu córeczkę przyjęto, a nie miał nawet i krowy, żeby ją mlekiem karmić. Wiecie co poradził sobie? kozę słyszę kupił za ostatniego pół rubla, co mu został od pogrzebu, i ta wykarmiła córkę, taką śliczną dziewkę, jakiéj na okolicę nie ma.

Jermoła aż się porwał.

— Dawajże tu kozę! — zawołał z żywością — jest gdzie koza... kupię kozę.....

— Koza u arendarza.

— Nie ma rady, idę i kupuję....

I już ruszył się do drzwi, kiedy go zarazem i kozaczycha i Chwedko wstrzymali.

— Bój się Boga! — zawołał chłop — a to cię żyd zedrze ze skóry, jak się dowié że koza potrzebna.

— A! niech weźmie co chce, aby kozę dał

— Ostatnią koszulę oddasz za nią — przerwała zapalonemu kozaczycha — czy ty nie znasz Szmula, toż

to okrutnik że i między żydami poszukać podobnego.... Powoli na miłość Boga! choć już kłamcie, że dla chowu potrzebujecie, bo ci za nią drożéj krowy każe zapłacić.

— Pójdęno ja z tobą,—rzekł Chwedko—zobaczycie, zdurzym żyda.

— Ale cóż zrobić z dzieckiem?

— Nie turbujcie się, zostawcie u nas, nic mu się nie stanie.

— Jeno zmiłuj się matko,—rzekł Jermoła troskliwie—ostrożnie koło niego!

— A on mnie będzie uczył! patrzcie! co to piérwsze u mnie czy co! Ja je ukołyszę, mlekiem napoję, choćby na palcu po kropli dawać przyszło.... Tylko się już nie frasujcie.

— Ja się duchem zwinę, — odparł Jermoła — ale proszę was, żeby się co dziecku nie zrobiło.

Stara aż się z niego rozśmiała, taki był skłopotany. Dopiéro na wychodném przypomniał sobie jak dawno fajki nie palił, dobył luleczki, która go nigdy nie opuszczała z za nadrza, nałożył szparko, zapalił i razem z Chwedką puścili się mimo ciemnéj nocy, ku nowéj karczmie w środku wsi położonéj.

(Dalszy ciąg nastąpi).

WIARA.

„Wiara jest gruntem rzeczy niewidzialnych, albowiem przez nią świadectwa doszli przodkowie."
Św. Paweł do żydów.

Czemu jak duchy w pokutnéj odzieży,
Niby żyjący, a umarli prawie,
Kształtem pół-sennych, bezdusznych szermierzy,
Nękani trwogą we śnie, czy na jawie,
Jako żebracy żądni kęsa chleba
Patrzym dokoła martwiejącym wzrokiem?
O! bo nam wiary, wiary świętéj trzeba,
Balsamu niebios w cierpieniu głębokiem.

Straszno żyć człeku pośród uciech świata,
Gdy się w pierś jego wciśnie gad zwątpienia
I wkrąg mu serce pierścieniem oplata;
Lecz stokroć straszniéj, gdy w prąd zatracenia
Dążąc pospieszno, straci wśród pogoni
Tę, z jasnych niebios gwiazdę macierzystą!....
Cóż go od kału ziemskiego uchroni,
Gdy zdruzgał ojców tarczę promienistą:
Tę tarczę złotą, co przez wieków tyle
Zbroiła siłą dzielnych mężów plemie,
Co z niemi w ciemnéj spocząwszy mogile
Światłem Golgoty spromieniła ziemię!

Gdzież bracia szukać owéj wiary świętéj,
Którą nam śnieżni z za raju anieli,
Jak krople rosy na światowe męty
W pierś niemowlęcą na osłodę wleli?
O! żyje ona w każdém łonie człeka!
Zrzućmy z serc tylko samolubstwa brzemie,
Zbudźmy skrę świętą, która tam od wieka,
Jak łza męczeńska w cichym bolu drzemie:

A wnet ożywcze światła jéj promienie
Skruszą nam zwątpień powłokę lodową;
Jako przed słońcem pierzchną mroczne cienie,
I świetlejące Bożéj prawdy słowo
Niby świt ranny z zamrocza wypłynie;
Przeczystém tchnieniem człowiek się odmłodzi,
I w niebieskiego przedświtu godzinie
Ciało się skrzepi, a duch się odrodzi!
Spojrzy człek w niebo, do nieba tęskniący,
A z głębi serca, cicho proszącemu,
Nad strzechą własną, zpośród zamgły drżącéj
Błyśnie promienna gwiazda *Betleemu!*

Wład. Rog.

IKONOGRAFIA.

(CZĘŚĆ ARCHEOLOGII OGÓLNEJ)

O NIMBACH, AUREOLACH, GLORYACH I SYMBOLACH ŚWIĘTYCH, UŻYWANYCH NA OBRAZACH.

Z ARCHEOLOGII OGÓLNEJ

Józefa Łepkowskiego

Członka Tow. Nauk. Krak. Wydz. Archeol.

(Z 3 tablicami rycin).

Symbolika.

Symbolikę stworzył bogaty w przenośnie Wschód, a u nas obyczaj, legenda, a czasem obrzęd kościelny, przeniosły ją w stałą formę na obrazach. Dopóki niedostatki w materyi malarskiéj i niewola ruchów na obrazie, właściwe utworom średnich wieków, krępowały ducha zniewolonego do przedstawiania jakby stereotypowych postaci; dotąd i symbolika w całém bogactwie, drobiazgowości i znaczeniu, prawie główną grą w nich rolę. Poznanie jéj tedy i rozróżnienie, koniecznem jest w elementarnym wykładzie archeologii.

Gdy dziś zamarła legenda, która w średnich wiekach tłumaczyła poezyą przedstawionego faktu; rzeczą jest nauki, by niejako na stole anatomicznym okazać zagadkowe znaczenie, by nauczyć chociażby rozpoznać i rozróżnić to, co dawniéj znano w życiu i pojmowano sercem. Nauka robi tu tę przysługę, jaką nasze książki o mitologii oddały poznaniu starożytnéj przeszłości.

Do Ikonografii – oddział Symbolika.

Fig. 1. *Malowidło na szkle z 12go i 13go wieku.*



Fig. 2. – *11go wieku.*



Fig. 3.
Miniatura z 10go wieku.



Fig. 4. *Fresk.*



Fig. 5.
Malowidło na szkle z 12go wieku.



Fig. 6. *Fresk.*



Fig. 7.
Fresk z 11go wieku.

Fig. 8.
Mozajka rzymska z 9go wieku.



Fig. 9. *Miniatura z 9go wieku.*





m Lit. JV.Fleck & Cº

Fig. 10.
Minijatura z 14go wieku.



Fig. 11.
Minijatura z 16go wieku.



Fig. 12.
Minijatura z 9go wieku.



Fig. 13.
Rzeźba rzymska.



Fig. 14.
z 12go wieku chrześc:



Fig. 15.
Minijatura z 9go wieku.



Fig. 16.
Minijatura z końca 13go wieku



Fig. 17.
Rzeźba z 1go wieku chrześciaństwa.



Fig. 18.
Minijatura z 12go wieku.



Fig. 19.
Rzeźba z drzewa — z 16go w.



Fig. 21.
Minijatura z 10go w.



Fig. 23.
Rzeźba z 13go wieku.



Fig. 20.
z „dysputy o S.S. Sakramentach" Rafaela.



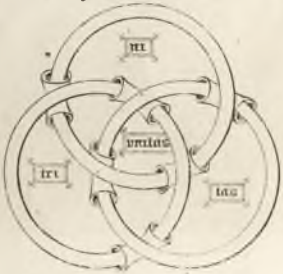
Fig. 24.
Malowidło na murze — z 12go wieku.



Fig. 22. *Rzeźba z drzewa — z 17go w.*



Fig. 25. *Minijatura francuzka z 13go wieku.*



Jowisze, Minerwy i całe tłumy bogów straciły u nas cześć, którą im Rzym i Ateny oddawały; trzeba było przynajmniej nauczyć się poznawać, czém odróżnić od siebie wyobrażenia tego mnóstwa bóstw zamarłych. Ledwie nie podobnie uczyć się musimy odróżniać świętych naszych. Odróżnienia te, w sposób jaki je tu co do gloryi, nimb i aureol wedle p. Didron, co do symbolów św. wedle J. Radowicza i Ottego podajemy, mogą służyć tylko na piérwsze potrzeby, a rzecz ta zasłużyła na obszerne rozbiory za granicą; nam przyswoił nawet ważne w tym przedmiocie dzieło p. Kraszewski, tłumacząc z angielskiego p. Jameson *Złotą legendę artystów.* (Wilno 1848 r.) (1).

Co do niniejszéj pracy, prócz źródeł wymienionych, przychodzi mi wyznać wdzięczność JX. Waleryanowi Serwatowskiemu, który swoją światłą radą i objaśnieniem w wątpliwych razach, poparł usiłowania moje; niemniéj p. Karolowi Balickiemu artyście, którego pomoc w przerysowaniu umiejętném a tak nudném załączonych tablic, stała się dla mnie nader pożądaną, gdy rysunek ułatwia zrozumienie rzeczy.

Jeśli praca niniejsza okaże się być pożyteczną, w zupełném wydaniu wykładu ikonografii powiększę ją traktatem szczegółowym o obrazach N. M. Panny, i przytoczeniem, gdzie i jakie przedstawienia najużywańszych u nas obrazów św., na ziemiach dawnej Polski się znajdują; a teraz szczególniéj wielebnych księży o dopełnienia, uwagi i krytykę proszę.

Kraków,
d. 18 sierpnia 1850 r.

O gloryi.

Pod wyrazem *glorya*, w ogólném pojęciu rozumiemy zazwyczaj odznaczenie, kładzione przez malarzy i rzeźbiarzy albo

(1) W dziele tém, obok legend tłumaczących treść znakomitych europejskich obrazów, których tematem jest nowy testament, podano symbolikę przyjętą w malowaniu: apostołów, Chrystusa, doktorów pisma (św. Hieronim, Augustyn, Ambroży i Grzegórz), Maryi Magdaleny, Najświętszéj Maryi Panny, św. Cecylii, Katarzyny, Barbary, Małgorzaty; św. Longina, Jerzego, Maurycego, Sebastyana, Marcina, i scen historycznych, do których wchodzą wyliczone postaci. Prócz tego w Atheneum z r. 1848, podał p. Kraszewski jako dopełnienie Złotéj legendy rzecz o symbolach kilku św. polskich.

naokoło głowy, albo naokoło ciała jakiéjś osoby: jestto godło symboliczne niektórych postaci, jak krzyż albo berło oznaczają biskupa lub króla. Godło takie umieszczone na głowie, nazywa się *nimbą*. W tym razie, co do znaczenia odpowiada koronie, lecz różni się od niéj umieszczeniem i formą. Korona jest okrągłą, a nimba jest prawie zawsze kolistą; piérwsza umieszcza się poziomo na głowie, druga otacza ją pionowo (1). Nimby znaczenie i przedstawienie w Ikonografii chrześciańskiéj jest ważne dla starożytnika, malarza lub rzeźbiarza, i należy zważać na nią z największą skrupulatnością, aby nie poczytać zwyczajnego człowieka za świętego, albo nie wziąć Boga za świętego lub człowieka.

Nimba nietylko otacza głowę, ale niekiedy całe ciało: w tym razie nazywają ją *aureolą*. Aureola daleko rzadziéj była używaną, aniżeli nimba, właściwie zwana ozdobą głowy. Aureola jest rzadką w utworach sztuki pogańskiéj; w chrześciańskiéj używano jej prawie wyłącznie dla osób świętych, Chrystusa, Matki Bożej i świętych wziętych do nieba (2).

Nimba głowy i aureola ciała różnią się znacznie od siebie; jednakowoż obiedwie jako złożone z tych samych kształtów, często bywają przedstawiane w tenże sam sposób, i są wyobrażeniem gloryfikacyi, beatyfikacyi i kanonizacyi. Należy więc jednym wyrazem objąć połączenie tych dwóch rodzajów ozdób, któryby dawał wyobrażenie o tém użyciu nimby: dlatego też wraz z p. Didron musieliśmy nimbę i aureolę razem wzięte, nazwać *gloryą* lub *gloarą*. Nimbę uważamy jako właściwie do głowy się odnoszącą; aureolę do ciała, a gloara rozciąga się do głowy i do ciała.

Niepodobném jest oznaczenie epoki, w któréj nimba była użytą po raz piérwszy. Zdaje się, iż tak jest dawną, jak najdawniejsze religie. Nimby i aureole widzieć można na pomnikach indyjskich, które zdają się być najdawniejszemi zabytkami w świecie.

Zdaje się, że Egipcyanie znali nimbę w jéj religijném znaczeniu: była ona używaną u Greków, Rzymian, jak tego dowodzą niektóre malowidła, rysunki i rzeźby starożytności. Reichenbach w swém najnowszém dziele: „*Odisch-magnetische*

(1) Karol Wielki w nimbie i koronie. (Tabl. II, fig. 1).
(2) Chrystus w aureoli eliptycznéj. (Tabl. II, fig. 2).

Briefe" mówi, że w szczelnie zamkniętém i dla światła dziennego niedostępném miejscu, widzieć można po kilkogodzinnym pobycie każdego człowieka, objawiającego swe życie świeceniem nimbą około głowy jego. Czyli starożytnym ten pojaw nie był już wiadomy? Czyli nie ztąd początek nimby jako godła życia?...

Ojczyzny gloary szukać należy na Wschodzie, i tam natrafiamy na jéj użycie daleko częściéj, aniżeli u nas. Chrześciańskie religijne pojęcie tych oznak świętości i ubóstwin, zapewne nie zkądinąd bierze początek, tylko z cudu, który Bóg uczynił, otaczając (jak nam wiara podaje) jasnością głowy, a nawet ciało, miłych sobie i wybranych ludzi, np. Mojżesza. (Obacz Exod. r. 34, wiersz 29—35).

Na bardzo wiele lat przed Chrystusem nimba i aureola pokazują się w różnych krajach Wschodu; a religia chrześciańska nie tyle wynalazła, jak raczéj przyswoiła sobie tę formę symboliczną. W czasach nowożytnych, zawsze na Wschodzie, w Azyi, Konstantynopolu, najdawniejsze i najstalsze jest użycie nimby, jak tego dowodzą pomniki i fakta historyczne.

O nimbie.

Określenie, Forma.

Wyraz *nimba* pochodzi od łacińskiego wyrazu *nimbus*, i greckiego *νεφος*, oznaczających deszcz, chmurę, miejsce gdzie się dészcz tworzy: a przenośnie wóz powietrzny, według Wirgiliusza, służący bogom do jazdy. W archeologii jestto koło światłe, którém malarze lub rzeźbiarze przyozdabiają głowy Boga lub świętych.

Artyści mało uważali na istotne znaczenie nimby; albowiem, kiedy wedle swego istotnego znaczenia zawsze przedstawiać ma obłok, bywa często użyta w postaci tarczy, koła, jużto nieprzezroczystego, jużtéż świetnego. Nimba bywa czasem w postaci trójkąta lub czworoboku, w postaci jednego lub więcéj płomyków, albo gwiazdy o 6, 8, 12 promieniach, lub też o nieskończonéj ich liczbie. Nie masz przykładu nimby, któréj postać odpowiadałaby zupełnie znaczeniu wyrazu. Usiłowano zawsze tym sposobem

wystawić chwałę, światłość otaczającą osoby, błogosławione albo obdarzone wszechwładzą.

Nimba jest zawsze kolistą i w postaci tarczy (1): natrafiamy jednak na obrazy, gdzie pole tarczy zniknęło i został tylko jéj obwód (2). Nimby przezroczyste, czyli przedstawione tylko zarysem obwodu, częste są u Greków przed XIII wiekiem, a u Włochów po XV. Te nimby bywają czasem ozdobione trzema promieniami cienkiemi a szerokiemi, jakby na podobieństwo trzech ramion krzyża greckiego (tabl. II fig. 2). Ramiona te są albo jednostajne, gładkie, albo ozdobione rubinami, albo z zapisanemi na nich literami greckiemi lub łacińskiemi (tabl. II, fig. 6). Promienie te są z linij prostych geometrycznych, albo z linij wyrażających jakby falistość płomieni.

Czasem koła dośrodkowe dzielą nimbę na kilka pasów. Pas środkowy jest właściwą nimbą, inne są jéj przedłużeniem i jakby tęczowaniem. Na tych pasach przedstawiają: perły, kamienie drogie, rubiny, różne ozdoby, niekiedy umieszczone jest nazwisko osoby, któréj głowa jest nią otoczona (tabl. II fig. 1).

Zewnętrzny obwód nimby bywa opatrzony przydatkami, zazwyczaj w kształcie promieni prostych albo płomienistych. Niekiedy jak u św. Remigiusza w Reims, na obwodzie nimby utkwione są dwie łodygi słonecznika, który przedstawiać ma słońce (tabl. II fig. 5).

Nimba bywa trójkątna. Forma ta jest nadzwyczaj rzadką we Francyi; dość często napotykamy ją we Włoszech i Grecyi, szczególniéj począwszy od XV wieku (tabl. II fig. 7).

Bywa także podwójnie trójkątna, czyli tworzy dwa trójkąty, które się przecinają w kształcie jakby gwiazdy o pięciu promieniach (tabl. II fig. 6).

Czasem nimba bywa kwadratową, czworobokiem doskonałym, z bokami prostemi lub wklęsłemi; czworobokiem podłużnym prostokątnym (tabl. II fig. 8). Lecz najwięcéj i najczęściéj napotykamy tę formę w rękopismach włoskich, gdzie nimba ma podobieństwo do voluminu, do zwoju pargaminu roztworzonego w środku, a zwiniętego jeszcze po bokach (tabl. II fig. 9). Nimba bywa czworoboczną z bokami prostemi, tak jak ją przed-

(1) Tabl. II, fig. 2, wyjąwszy krzyż, i fig. 3 i 4.
(2) Tabl. II, fig. 5, oprócz łodyg i słonecznika, oraz fig. 3 i 4.

stawiono na głowie Ojca Przedwiecznego „w dyspucie św. Sakramentu" (obraz Rafaela); bywa także z bokami wklęsłemi (tabl. III fig. 10).

Gdy nimba jest kolistą i gdy należy do osób boskich, zawsze jest krzyżem ozdobiona, wyjąwszy opuszczenie przez niewiadomość artysty (tabl. II, fig. 2 i 6). Krzyż ten jest bardzo wielkiéj wagi i doskonałą cechą archeologiczną: jest on stałém godłem bóstwa.

Niekiedy z tarczy zostawiają tylko promienie (*croisillons*), które podzielają pole. Często te *croisillons* jeżeli mają postać promieni światłych, zbliżają się do siebie jakby na utworzenie tarczy; lecz z wierzchołka głowy i ze skroni wychodzą dłuższe pęczki aniżeli reszta promieni, i te tworzą rodzaj krzyża greckiego.

Nimba przybiéra jeszcze inne kształty. Jużeśmy to widzieli i jeszcze zobaczymy, że nimba nie jest nic innego, jak opromienienie głowy. Otóż to opromienienie było przedstawiane w rozmaity sposób: jużto głowa rozrzuca promienie w równéj liczbie i w równych wymiarach, a wtedy mamy nimbę kolistą bez obwodu; jużto promienie silniejsze, grubsze i dłuższe wychodzą ze skroni, gdy tymczasem inne punkta słabo promienieją: wtedyto powstaje rodzaj czworoboku z bokami wklęsłemi (tabl. III fig. 11). Niekiedy przedziały pomiędzy trzema promieniami światłemi całkiem nie promieniują; ztąd powstaje nimba w postaci trzech pęków światła (*aigrette*), z których każdy złożony jest zazwyczaj z 3 promieni tylko. Nimba taka zwie się krzyżową i jest nader powszechną; często w niéj promienie przechodzą obwód (tabl. III fig. 12), rozchodząc się odśrodkowo, t. j. są ściśnięte w podstawie, a rozstrzelone nikną.

W ikonografii pogańskiéj spostrzegamy nimby, których promienie szerokie w podstawie, a ostro zakończone, są równo od siebie odległe i wychodzą ze wszystkich punktów głowy, (tabl. III fig. 13). Kształt ten podobny do kształtu, jaki artyści dają gwiazdom, przypomina zupełnie korony promieniste, tak częste na monetach greckich i rzymskich. Promienie te szersze w podstawie niż na końcach, mijają się z naturalnym rysunkiem światła. Na fig. 13, tabl, III promienie łączy w połowie długości koło niby druciane, utrzymując je niejako. Niekiedy ta obwódka jest więcéj zbliżona do głowy, a wtedy pro-

mienie zamiast wychodzić z głowy, wydobywają się z niéj i są do niéj przytwierdzone; wtedy więc promienie są na zewnątrz tarczy, zamiast w jéj wnętrzu (tabl. III fig. 14).

Zazwyczaj obwód nimby oznaczony jest linią kolistą, doskonałém kołem; lecz u Rzymian i Indyan, linia ta bywa połamaną w gzygzak niby zęby piłki. Ten kształt rąbka może być uważanym za końce mnóstwa promieni wychodzących z głowy, zbitych aż do obwodu, i dopiéro ztąd rozpierzchających się na wszystkie strony.

Nakoniec w ikonografii odrodzenia *(renaissance)* bardzo często napotykaną formą nimby jest ognisty język, umieszczany na głowach starożytnych geniuszów. Z tymto płomieniem nad czołem przedstawiają apostołów, na których zstępuje Duch św. Ten jednak kształt ma właściwsze źródło w podaniu Pisma Św. niż w naśladowaniu starożytnych pogan, a raczéj w celu wystawienia faktu historycznego. (Obacz dzieje Apost. rozdz. 2 w. 2—3).

Zastosowanie nimby.

W ikonografii pogańskiéj nimba dawaną była zazwyczaj: bóstwom, dość często cesarzom rzymskim, niekiedy królom Europy wschodniéj i azyatyckim; zazwyczaj czarnoksiężnikom i prorokom, prawie zawsze złym lub dobrym siłom duszy ludzkiéj, przyrody i społeczeństwa.

W ikonografii chrześciańskiéj ozdabiają nimbą osoby boskie, przedstawione poszczególe lub razem w Trójcy św.; oznaczają przez nią aniołów, N. Pannę, apostołów i świętych. Niekiedy także, choć rzadko, dają nimbę uosobionym cnotom, allegoryom przedmiotów naturalnych albo psychologicznych, pewnym przymiotom lub uczuciom duszy. Władzę polityczną, siły natury i geniusz zdobi często to godło, lecz tylko wtenczas, gdy duch pogaństwa skalał geniusz chrześciański.

Nimba Boga.

Pierwsi chrześcianie nie pozwalali Boga malować ani rytować, stosownie do prawa bożego, danego przez Mojżesza

(obacz Exod. rozdz. 20. w. 4); dopiéro po zwycięztwie nad Ikonoklastami zaczęto wystawiać w obrazach Trójcę św. a nareszcie samego téż Boga-Ojca w postaci starca. Zdaje mi się, że kościół więcéj ten szczegół toleruje, niż iżby go upoważniał.

Bóg, równie jak aniołowie i święci, nosi nimbę kolistą lub tarczowatą; lecz dla rozróżnienia Stworzyciela od stworzeń, podzielono pole tarczy boskiéj dwoma prostopadłemi prętami, które przecinają się w środku tworząc krzyż grecki. Główne ramię krzyża zakrywa głowa, trzy inne są widoczne, i zdaje się że wybiegają z czoła (tabl. II fig. 2, 6, i tabl. III fig. 16). Ramiona krzyża oznaczają siłę boską.

Zdaje się niestosownem mniemanie, aby ramionami krzyża chciano przedstawić narzędzie męki Chrystusa; ponieważ nim ozdabiają nimbę Boga Ojca i Ducha św. i ponieważ bogowie indyjscy i buddajscy mają w aureoli otaczającéj ich głowy tenże sam symbol, nie można więc powiedzieć, aby pożyczyli go z góry Kalwaryjskiéj. Lecz ponieważ czoło i skronie są najważniejszemi częściami głowy, jako główne trzy punkta sfery mózgowéj; więc te pęczki światła, te ramiona krzyża przedstawiają prawdopodobniéj w ogóle siłę głównych trzech części głowy, aniżeli krzyż św. Napotykamy wszakże obrazy Chrystusa, gdzie chęć przedstawienia krzyża jest widoczna; lecz to jest wyłącznem i właściwém Bogu-człowiekowi. Nie można wątpić o tym zamiarze, jeżeli ramiona są podniesione nad głowę, albo gdy każde ramię zakończa znów mały krzyżyk.

Ramiona krzyża w nimbie Boskiéj tworzy niekiedy pojedyncza linijka, a czasem zajmują one znaczną powierzchnią pola; w tym ostatnim razie sadzone są perłami, kamieniami drogiemi i różnemi innemi ozdobami. U Greków, każde ramię nosi literę, z których wszystkie trzy tworzą wyraz ὁ ὤν (*istota*) (tabl. II fig. 6). Łacinnicy niekiedy naśladowali tę myśl; lecz zamiast ὁ ὤν, kładli *rex*, którego trzy litery były umieszczone na trzech ramionach krzyża.

Wprawdzie często na obrazach średniowiecznych nie znajdujemy nimby nad głową Boga, lub téż nimbę Bogu-Ojcu poświęconą, spostrzeżemy na wyobrażeniu człowieka: przecież to tylko zdradza nieświadomość artysty.

Nimba Boga nie we wszystkich wiekach była krzyżową: na piérwszych pomnikach chrześciaństwa wcale jéj nie kła-

dziono, lub też prostém kołem otaczającém głowę Bóstwo oznaczali.

Aniołowie i święci mają nimby tylko zarysem okręgu koła wyrażone; przecież na wielu pomnikach średniowiecznych widzimy aniołów w nimbach krzyżowych, co za nieświadomość właściwych symbolów uważać należy; wyjąwszy jednak podobną np. scenę ze Starego Testamentu, kiedy Abraham spotkawszy trzech aniołów, rzucił się do nóg jednego tylko i chwalił go (tres vidit, unum adoravit). Ponieważ komentatorowie uznali, że ci trzej aniołowie przedstawiali Trójcę Św.; artyści umieścili krzyż w nimbie anioła, któremu Abraham do nóg upadł (tabl. II fig. 3).

Powiedzieliśmy wyżéj, że nimba otacza tylko głowę; lecz i tutaj jest wyjątek dotyczący samego tylko Boga: przedstawiano bowiem czasem tylko jednę część Bóstwa, np. rękę wystającą z obłoków; a chcąc pokazać, że ta ręka jest ręką Boską, otaczano ją nimbą krzyżową. Ręka w ten sposób nimbowana, jest najdawniejszém przedstawieniem Boga-Ojca (tabl. III. fig. 15).

Napotykamy także jagnię i lwa otoczonych nimbą krzyżową, wtedy, gdy są przedstawione jako symbole Jezusa Chrystusa.

Czasem nimba Boga jest kwadratowa z bokami wklęsłemi (tabl. III fig. 10), częściéj trójkątna (tabl. II fig. 7), albowiem trójkąt był figurą geometryczną oznaczającą Boskość lub Trójcę św. Włochy i Grecya przyjęły tę formę nimby, oznaczającą zarazem zasadniczy dogmat chrystyanizmu. Grecy umieszczali w trzech kątach trójkąta litery *o ὢν istota.* Oprócz tego, robili nimby złożone z dwóch trójkątów, aby niejako tém lepiéj okazać nieskończoność Boskości i jéj wszechmoc (tabl. II fig. 6).

Boskim zatém osobom wyłącznie, forma trójkątna nimby była dodawaną, najczęściéj jednak Ojcu Przedwiecznemu. Gdy inne osoby Boskie noszą trójkąty, to tylko wtenczas, gdy przedstawiają Trójcę św. Często jednak obok Boga-Ojca mającego trójkąt, spostrzegamy Syna Bożego i Ducha św. mających tylko obwódki koliste. Niekiedy Ojciec i Syn mają trójkąty, Duch zaś św. otoczony jest aureolą kolistą. Za czasów odrodzenia *(renaissance)*, przyjęto we Włoszech i Grecyi nimbę trójkątną; Francya zaś pozostała przy kole.

Nimba kwadratowa, wyobrażenie geometryczne ziemi, ozdabia głowy żyjących. Czasem nimba ta dawaną była Bogu, lecz wtedy jest wpisaną w nimbę kolistą jako amblemat wieczności: kwadrat więc ten oznacza Boga wiecznie żyjącego, życie wpisane w wieczność.

Pole nimby Boskiéj zazwyczaj więcéj bywa przyozdabiane, aniżeli pole nimby aniołów, ludzi i istot allegorycznych. Głowa Boska, ognisko wszelkiego światła, prawie zawsze rzucała promienie na tło nimby; promienie te są zawsze w trzech pęczkach (tabl. III fig. 12), wyjątkowo tylko w czterech (tabl. III fig. 15). W XV wieku promienie te pomnażają się, oddzielają się od siebie (tabl. II fig. 7) i obwód znika. Są one zazwyczaj proste i wszystkie równe, niekiedy skupiają się w snopki na czole i na skroniach, i wystają nad promienie pośrednie (tabl. III fig. 11), niekiedy wszystkie są płomieniste, albo naprzemian płomieniste i proste.

W piérwszych czasach chrześciaństwa, gdy Chrystusa przedstawiano często pod postacią jagnięcia, zazwyczaj to jagnię było bez nimby; a jeśli ją miało, to kolistą. Nieco późniéj dopiéro umieszczono krzyż w polu nimby, lecz od tego czasu rzadko już w polu nimby zapisywano monogram Chrystusa X albo P, dwie greckie litery, rozpoczynające wyraz *ΧΡΙΣΤΟΣ*. Nakoniec *Α* i *Ω* monogram wspólny trzem Osobom Boskim, litery oznaczające początek i koniec, towarzyszyły właściwemu monogramowi Chrystusa (tabl. III fig. 17). Chrystus mówi o sobie w Apokalipsie: „Ja jestem *Α* i *Ω*, początek i koniec."

Nimba aniołów i świętych.

Aniołowie mają nimbę kolistą, lecz z polem jednostajném (tabl. II fig. 3); niekiedy jednak, szczególniéj we Włoszech i Grecyi, pole ozdobione jest gałązkami, sznurkami pereł, a nawet promieniami: lecz trzeba uważać, że w tym ostatnim razie promienie są rozrzucone bez liczby, a nie skupione w trzech punktach, jak w nimbie Boga. Trzy promienie nimby świadczą o Boskości, a liczniejsze promienie są godłem innych stworzeń, szczególniéj aniołów; tak więc anioł nigdy nie nosi nimby krzyżowéj, chyba że jest uosobieniem Boga, jak to bywa u Greków, i jak to widzimy na obrazie przedstawiającym zjawienie

się trzech aniołów przed Abrahamem (tabl. II fig. 3). Są jednak częste wyjątki od téj reguły, i zazwyczaj ci trzej aniołowie nie różnią się niczém od innych aniołów: mają nimby jednostajne a przynajmniéj nie krzyżowe.

Osoby Starego Testamentu szczególniéj na Wschodzie, mają nimby jak święci Nowego Testamentu (tabl. II fig. 4, 5 i 1). Na Zachodzie patryarchowie, sędziowie, prorocy i królowie żydowscy, daleko mniéj są czczeni, aniżeli na Wschodzie: w Grecyi, w Azyi, gdzie są w największém poważaniu, i gdzie nazwiska z biblii wysoko są cenione. Tam téż nadają tym osobom nimbę kolistą, często w polu palmą ozdobioną.

U nas na Rusi malują proroków z takiemi nimbami, rzadziéj patryarchów i sędziów, a najrzadziéj królów. Z pomiędzy królów, Dawida i Salomona czasem widzieć można z nimbą. W Grecyi nimbę dawano Ezechiaszowi, Manassesowi, wreszcie królom świętym, więcéj szanowanym aniżeli inni. W ogólności, u nas i na całym Zachodzie nimbę dodawano tylko świętym ewangelicznym; gdy przeciwnie, malując świętych Starego Zakonu najczęściéj ją opuszczano.

Święty Jan Chrzciciel, będący niby pośrednikiem pomiędzy obydwoma testamentami, ma zawsze, nawet na Zachodzie, nimbę na głowie (tabl. II. fig. 4). Św. Józef opiekun Chrystusa, najczęściéj miewa nimbę; jednakowoż często i bez niéj widzieć go można.

Najświętsza Panna nosi nimbę kolistą, a często bogato ozdobioną. Matka Boska, w uwielbieniu najbardziéj zbliżona do swego syna, rozsyła promienie nietylko z głowy, ale z rąk i z całego ciała. Nimba Jéj nie jest krzyżową, ale równie bogatą jak samego Boga. Ma ona aureolę i gloarę całą, ręce promieniste, tęczę za tron, słońce za ubranie, księżyc za podnóżek, gwiazdy za koronę, równie jak sam Jezus Chrystus (tabl. IV. fig. 21). Pochodzi to z zastosowania do Matki Najświętszéj owego Apokalipsy obrazu w rozdz. 12.

Apostołowie, jakto być powinno, są także ozdobieni nimbą. Apostołowie wraz z osobami boskimi, największe mają prawo do nimby.

Święci wszystkich rodzajów bywają ozdabiani nimbą kolistą.

Pole tarczy bywa mniéj albo więcéj ozdobném, stosownie do epoki lub kraju w którym było zrobione, i stosownie do

materyi, na któréj zostało wykonane. W odległéj epoce chrystyanizmu i w czasie odrodzenia się sztuk, nimba bywa więcéj ozdobną, aniżeli w właściwych średnich wiekach; spostrzegamy na niéj palmy, koronki, rubiny, perły. Grecy nietylko pędzlem wykonywali ozdoby nimby na swoich obrazach, ale przyczepiali nawet i rzeźby. Nakoniec nimby roboty złotniczéj, z kości słoniowéj, z emalii albo malowane na szkle, są zazwyczaj bogatsze, aniżeli rzeźbione na kamieniu łiasowym albo granicie.

Około XIV wieku upowszechnił się zwyczaj, szczególniéj w Niemczech, wpisywania wewnątrz nimby nazwiska św. którego głowę ozdabia. I tak w katedrze sztrasburskiéj, malowania okien przedstawiające wielu królów i cesarzów, (choć pochodzą z XI i XII stulecia, ale były restaurowane około XIV wieku) wokoło głowy mają nimby, na których czytać można nazwiska osób (1). W Niemczech zwyczaj ten dotrwał aż do końca XVI wieku. Grecy zachowali go stale; lecz zamiast pi-

Ω Ω

sać całe nazwisko, dość często kładą monograma IC. XC. (Jezus

Ω

Chrystus) i MP. ΘV. (Matka Boska) dla Chrystusa i Najśw. Panny; albo litery początkowe Γ. M. P. M. Π. Π dla archaniołów: Gabryela, Michała, Rafaela, Mojżesza, Eliasza i św. Piotra.

We Francyi w XII i XIII wieku pisano zazwyczaj nazwiska świętych na chorągiewce danéj w rękę przedstawionéj osobie.

Nimba osób żyjących.

Żyjący jeżeli byli ozdobieni nimbą, ta bywała czworokątną (tabl. II. fig. 8). Forma ta oznaczała zawsze, że osoba którą przedstawiano, żyła jeszcze wtedy, kiedy ją przedstawiano.

Powiedzieliśmy już, że czworokąt ma niższe znaczenie od koła, i jest symbolem geometrycznym ziemi, jak koło jest symbolem nieba.

Ani u nas, ani też w Grecyi, Niemczech, Anglii, Hiszpanii, nie przedstawiają tego rodzaju nimb; są one właściwe tylko Włochom. Mówiąc *u nas* rozumiemy obrazy i pomniki

(1) Ob. na tabl. II, fig. 1 przedstawiającą Karola Wielkiego.

w kraju znajdujące się; przecież zagraniczne są w krajach dawnéj Polski w większéj ilości niż utwory swojskie. We Włoszech używają często nimby kwadratowéj, i nadają jéj rozmaite postaci: bywa ona poprostu prostokątną, jak papieża Grzegorza (tabl. II. fig. 8); niekiedy ma kształt triptyku, głowa oparta jest na części środkowéj, a skrzydła napół roztwarte; niekiedy ma kształt tablicy czworokątnéj z polem i ramami; czasem ma postać zwoju napół roztwartego (tabl. II. fig. 9).

Czworokątna nimba żyjących jest wielkiéj wagi, ponieważ służy do oznaczenia wieku obrazów, mozajk, rękopismów i innych pomników; są bowiem one niezaprzeczenie z epoki, w któréj żyła osoba z nimbą tego kształtu przedstawiona.

We Włoszech nie przestawano na nimbie czworokątnéj albo prostokątnéj: wprowadzono jeszcze nimbę sześciokątną, i stosowano ją do uosobionych cnót teologicznych i kardynalnych. W tym przypadku, forma nie ma znaczenia chronologicznego i nie jest cechą indywiduum żyjącego, albowiem jestto tylko allegorya.

Nimby postaci allegorycznych.

Postaci allegoryczne, którym przypowieści Jezusa Chrystusa nadały niejako istnienie rzeczywiste, miewają nimby, jeżeli wyrażają cnotę albo święty jaki przymiot; takiemi są: *panny mądre*, a niekiedy i *panny głupie*. Cnoty uosobione przez sztukę i przedstawione przez rzeźbiarzy albo malarzy, miewają zazwyczaj nimby, jako cnoty nazwane teologiczne: wiara, nadzieja, miłość; cnoty kardynalne: sprawiedliwość, rozsądek, wstrzemięźliwość i siła. Ich nimba we Włoszech bywa niekiedy sześciokątna; we Francyi zawsze kolista. Uosobienie wiatrów, czterech elementów, konstellacyj, dnia i nocy, są czasem nimbowane. Religia chrześciańska albo kościół, uosobiony jest w postaci kobiéty ukoronowanéj, trzymającéj kielich w jednéj ręce a krzyż w drugiéj: uosobienie to najczęstsze w średnich wiekach miewa nimbę. Nimbę noszą także niekiedy słońce i księżyc. We Francyi, zamiast otaczać tém godłem głowę słońca i księżyca, kładą w rękę tych planet pochodnię, jak to widzimy w portyku północnym katedry w Chartres.

Cztery godła ewangelistów: anioł św. Mateusza, orzeł św. Jana, lew św. Marka i wół św. Łukasza, miewają nimby równie jak ewangeliści i sami apostołowie. (Porównaj widzenie Ezechiela proroka rozdz. 1 w. 10, które zastosowano do czterech ewangelij).

Co do nimbowania zwierząt należy zważyć, czyli czasem zwierzę na obrazie przedstawione nie jest herbem ofiarującego obraz. I tak w kościele Woli Radziszowskiéj (w obwodzie wadowickim) na obrazie Zwiastowania, N. M. Panna trzyma na ręku gryfa w koronie. Obraz szkoły staro-niemieckiéj z XV wieku, a gryf tu tylko jako herb a nie symbol przedstawiony.

Nakoniec geniusz złego, szatan, miéwa niekiedy nimbę, jeżeli według stylu bizantyjskiego jest w postaci potęgi i siły. Zobacz fig. 18 (tabl. III) przedstawiającą zwierzę apokaliptyczne o siedmiu głowach, lamparta z nogami niedźwiedziemi. Sześć głów mają nimby, a siódma jestto ta, o któréj mówi apokalipsa, że była śmiertelnie ugodzoną: utraciła siłę, jéj więc oznaki mieć nie powinna.

Znaczenie nimby.

Nimba według wyobrażeń zachodnich jest godłem świętości: ktokolwiek jest uwielbionym, ma nimbę. Lecz nie tak jest na Wschodzie: nimba oznacza tam siłę fizyczną, równie jak i potęgę moralną; władzę cywilną albo polityczną, zarówno i powagę religijną. Król tém samém prawem nosi nimbę, jak i święty. Tak więc na Wschodzie dają nimbę wszystkim panującym władzą czysto cywilną, powagą wojskową i religijną, zarazem powagą czysto religijną; oznaczają nią wszystko co jest silném, nawet geniuszów złego lub dobrego, diabłów i bogów: odmawiają jéj zaś wszystkim istotom słabéj władzy lub cnoty.

Na Zachodzie oprócz małéj liczby wyjątków wyżéj wymienionych, i w okolicach, które nie były w zetknięciu z wyobrażeniami wschodniemi, nimbę kładą tylko na głowie Boga, aniołów, świętych, i dodają ją wyobrażeniom świętych. Król, biskup, nie ma nimby, jeżeli nie jest świętym, albo jeżeli nie jest uznany za takiego. Niekiedy jednak posągi wielkich świętych mogą być bez nimby, jak to spostrzegamy w wielkim portalu

katedry w Amiens: ztąd nie można wnosić, że oni nie są kanonizowani, jeżeli nie mają nimby: pochodzi to albo z trudności wyrzeźbienia trwałe téj oznaki naokoło głowy, albo że są zbyt oddaleni od muru, do którego tylko można było przyczepić nimbę. Co więcéj, włącznie aż do XIV wieku, brak albo obecność nimby nie są zawsze charakterystycznemi, aby ztąd można zaprzeczać lub sądzić o świętości.

Historya archeologiczna nimby.

Nimba przeznaczona jest do wyraźnego nacechowania świętością lub ubóstwieniem każdéj postaci nią ozdobionéj. Bywa ona na głowie jako korona, ponieważ głowa jest najszlachetniejszą i najważniejszą częścią, a zarazem najwięcéj widzialną. Poganie znali już nimbę, jakeśmy to wyżej powiedzieli; lecz użycie jéj częstsze, stalsze, rozmaitsze, i więcéj znaczące, zawdzięczamy chrystyanizmowi. W piérwszych czterech wiekach chrześciaństwa, nimba mało się pokazuje, ponieważ peryod ten napełniony jest walkami i prześladowaniem. Kościół buduje się, lecz nie ma jeszcze swéj własnéj sztuki. W epoce téj, nimba na freskach i sarkofagach rzadko bywa napotykaną w katakumbach; nawet sam Chrystus bywa przedstawiony bez nimby.

Późniéj około V i VI wieku, rozróżniono świętych królujących w niebie, od zwyczajnych śmiertelników, przez nimby koliste; sam Bóg nawet miał nimbę kolistą albo tarczowatą. Lecz przez rozróżnienie właściwe, nimba osób Boskich została wierzchołkowo podzieloną przez dwie poprzeczne linie na podobieństwo krzyża, tak, jakeśmy to już wyżéj widzieli.

Chrystyanizm przyjąwszy już raz nimbę za cechę świętości, używał tego znaku stale, prawie aż do odrodzenia, lecz z pewnemi modyfikacyami, które stanowią jego historyą archeologiczną o któréj teraz mówić nam przypada.

Na pomnikach dawniejszych od XI wieku, nie znajdujemy nimby stale wyrażonéj naokoło głowy świętych. Przed VI wiekiem na pomnikach autentycznych nie widzimy nimby chrześciańskiéj. W VII, VIII i IX wieku istnieje przejście pomiędzy brakiem zupełnym, a stałą obecnością nimby; tenże sam pomnik przedstawia osoby jużto z nimbą, jużto bez tego

godła. Nimba bywa rozmaitą nawet co do kształtu: przedstawia albo prostą prążkę, albo obrąbek, albo tarczę. Aż do XII wieku, nimba miała zazwyczaj kształt tarczy cienkiéj, zupełnie, albo prawie przezroczystéj.

W XII, XIII i XIV wieku, nimba grubieje, zwęża się i mniéj wystaje nad głowę; z przezroczystéj jaką była, staje się nieprzezroczystą: jestto tylko tarcza gruba, rodzaj tablicy wymalowanéj lub wyrzeźbionéj poza głową. Takie nimby mają Bóg, aniołowie i święci w katedrze paryzkiéj i w Chartres. Kaplica św. Ludwika (1), pomiędzy dziwnie pięknemi ozdobami, przedstawia nam aniołów i świętych z świetnemi nimbami, pięknéj roboty i malowanemi jaskrawemi kolorami; lecz kaplica św. Ludwika jest pomnikiem wyjątkowym, budowlą królewską, o któréj powiedziećby można, że geniusz oryentalny w niéj panuje.

XV wiek i piérwsze lata XVI przedstawiają okres, w którym gotycyzm upada, traci lekkość i bogactwo, a staje się materyalnym; i nimba téż z szerokiéj, jaką była jeszcze, staje się wązką, a szczególniéj grubą. Nie jestto już aureola, światło promieniejące z głowy: światło to się skupia i wygląda jak rodzaj czapki umieszczanéj czasem na głowach świętych, nawet Boga samego; często na ucho zwieszonéj, jużto na prawo już na lewo, jak nakrycia głowy naszych wieśniaczek w okolicy Oświecima i Zatora. Szyby z końca XV wieku, wiele okien z kościołów Troyes i Chalons sur Marne przedstawiają takie nimby, rzeczywiście zbliżone do czepków, niekiedy ozdobione jak denko czapki sukiennéj. Stalle katedry w Amiens z roku 1508 przedstawiają takie przykłady (tabl. IV fig. 19). W całym kościele Notre Dame de Brou w Bourge, ani jednéj nie masz nimby nad aniołami rzeźbionemi lub malowanemi, ani nad posągami. U niektórych jest, ale w postaci ubrania na głowie.

W téj saméj epoce we Włoszech, a nawet na sto lat piérwéj, nimba była należycie wyobrażona; (trzeba pamiętać, że odrodzenie włoskie, o sto lub sto pięćdziesiąt lat poprzedza odrodzenie francuzkie, a u nas przypada na czasy Zygmuntów: ztąd ten styl Zygmuntowskim zwiemy). Tak więc nimba poniżona wraca z odrodzeniem do dawnéj świetności, dostaje napowrót kształt kolisty jak w piérwszych wiekach, a pole jéj znika.

(1) La sainte chapelle, w Palais de justice.

Koło to jest regularne, albo przedstawia linią rozpływającą się, drżącą, i jakby koło świetlne. Często samo koło nawet znika, widać tylko cień płomienia kształtu okrągłego, lecz bez stałego punktu przyczepienia. Czasem promienie tworzą okrąg, czasem równoległobok (tabl. III fig. 11), często są tylko trzy pęczki światła, wychodzące z wiérzchu i boków głowy, jak na fig. 12 niemającéj koła.

Również widać koła świetlne w perspektywie nimby, przezroczyste. Fig. 20 tabl. IV jest przykładem bardzo częstym we Włoszech.

Pomniki dostarczające tych innych rodzajów nimby, napotykamy we Francyi, szczególniéj w Saint-Germain des Prés, Notre Dame, w kaplicy św. Ludwika w Saint-Germain l'Auxerrois, u św. Szczepana du mont. Nie mamy jeszcze tyle specyalnych opisów obrazów, abyśmy swojskie zabytki ciągle na przykład podawać mogli; wreszcie obce więcéj u nas znane jak swoje, a więc jaśniéj tłumaczą.

Wreszcie na końcu XVI wieku nimba znika zupełnie, tak, że Bóg i święci są wyobrażeni bez nimby.

W naszym wieku nimba została przywróconą, lecz artyści mało obznajmieni z archeologią, nadają nimby dowolnie, bez różnicy, i popełniają mnóstwo błędów.

Aureola.

Jéj określenie, postać.

Aureola, jakeśmy to wyżéj powiedzieli, jest nimbą całego ciała, tak samo jak nimba jest aureolą głowy.

Wyraz ten pochodzi od łacińskiego *aureola*, zdrobniały od *aura*, wietrzyk, powietrze, podmuch; także dzień, światło, dech świecący: wszystkie te wyrażenia oznaczają naturę aureoli, będącéj światłem, które otacza całe ciało, promieniowaniem ciała.

Forma aureoli bywa dosyć rozmaita. Najczęściéj napotykamy owoidalną, z podstawą i szczytem kończystemi (tabl. II fig. 2), a nie z tępemi, jak w owalu właściwym. Czasem owal jest doskonały, albo téż ścięty w podstawie i wierzchołku; otacza tylko ciało i przedłuża się do góry i na dół w postaci oko-

lonych tarcz. We Włoszech, brzeg zewnętrzny aureoli obejmujący ciało jest regularny, geometryczny (tabl. II fig. 2); u nas jestto najczęściéj linia falista, przedstawiająca obłoki, albowiem pole owalu jest niebem. W XV wieku cały brzeg aureoli bywa niekiedy otoczony aniołami, na podobieństwo ram zdobionych arabeskami. W XVI wieku, aureola Najśw. Panny nie miewa najczęściéj na brzegu obłoków, i zostaje samo tylko pole złożone z promieni płomienistych, albo naprzemian prostych i płomienistych, wychodzących z ciała Najśw. Panny na wszystkie strony.

Aureola bywa niekiedy kolistą, unoszoną przez cherubinów; niekiedy pole podzielone jest na kwadraty symboliczne z bokami wklęstemi, jedne na drugie zachodzącemi. Z ciała Chrystusa wychodzą niby promienie na wszystkie strony, i zapełniają pole aureoli. Pole to niekiedy oświecone jest dwiema gwiazdami, błyszczącemi koło głowy osoby świętéj, umieszczonemi w aureoli saméj, po prawéj, i lewéj. Czasem całe pole zasiane jest gwiazdami, jak niebo w noc pogodną (tabl. IV fig. 21), lecz to dość rzadko. U Bizantynów i Greków nowożytnych, aureola otaczająca Chrystusa przedstawia nam pewną właściwość; aureola ta ma kształt koła. Ze środka wychodzi sześć promieni, biegnących do obwodu, lecz nie zatrzymują się tutaj, ale przedłużają i kończą: jeden na Mojżeszu, drugi na Eliaszu, trzeci na św. Piotrze, czwarty na św. Janie, piąty na św. Jakóbie, szósty zaś zakryty jest przez Chrystusa samego. Szczególny ten rozkład aureoli jest najrzadszym: widzieć go można tylko w budowlach zdradzających wpływ bizantyński, choćby pośredni; w Sycylii aureole takie są zwyczajne. Zdaje się, że to ma wyobrażać Chrystusa Pana w Przemienieniu Jego na górze Tabor. U nas obrazy Przemienienia Pańskiego inaczéj się znamionują.

Aureola także przedstawia wiele odmian: czasem ma formę czteroliścia, kiedyindziéj utworzona jest z dwóch kół różnéj średnicy, przecinających się i tworzących postać ogórka albo figi (tabl. IV. fig. 21), z tą jednak różnicą, że na fig. 21 Najśw. Panna wyobrażona w aureoli, siedzi na tęczy przecinającéj owal górny. Niekiedy koło górne jest otwarte, a dolne zamknięte, albo też przeciwnie; inną razą i góra i dół są otwarte, a aureola składa się z linij równoodległych.

Najzwyczajniéj aureola ma postać owalną; lecz czasem owal ten przedstawiają gałęzie drzew krzyżujące się, odstające dla zostawienia miejsca wolnego i znów się krzyżujące: przez co powstaje kształt jakby podwójnego łuku krzyżowego *(ogive* w architekturze gotyckiéj*)*. Prawie wszystkie drzewa genealogiczne, szczególniéj z XII i XIII wieku, na których ustawieni są przodkowie Najśw. Panny i Jezusa Chrystusa, są w ten sposób utworzone. W każdym owalu wpisany jest praszczur, król; na wierzchu panuje Jezus Chrystus siedzący na tronie i błogosławiący świat ręką prawą. Pięknym pomnikiem a dającym wyobrażenie o podobném drzewie rodowém, jest drzeworzeźbiona ambona w kościele PP. Klarysek w Starym Sączu; przecież jest to zabytek z końca XVI, a może początku XVII wieku.

Zastosowanie aureoli.

Z małemi wyjątkami, aureola służy tylko Bogu. W rzeczy saméj jest ona wyrażeniem postaciowém największéj potęgi, Bogu więc tylko samemu dawaną być powinna; Bogu, który sam w sobie samym posiada światło najwyższe i wszechmoc. Bywa ona dawaną Bogu-Ojcu, albo Synowi (tabl. II fig. 2.), niekiedy Duchowi Śmu: lecz w tym ostatnim razie, szczególniéj przed XIVtym wiekiem, potrzeba, by Duch Śty wchodził do Trójcy Stéj i aby towarzyszył innym osobom Boskim (tabl. II. fig. 6).

Jednakowoż Najśw. Panna, która jest piérwszą z ludzi następującą zaraz po Bogu; Marya, wyższa nad Świętych i Aniołów przez czynności, które wypełniła i przez cześć, jaką jéj oddają, dostępuje dosyć często téj chwały (tabl. IV. fig. 21).

Aureola otacza Maryą w czterech szczególnych okolicznościach: 1) gdy trzyma na ręku Boskie dziecko; 2) podczas Wniebowstąpienia, gdy aniołowie w niebo ją unoszą; 3) na sądzie ostatecznym, gdy błaga Chrystusa o miłosierdzie; 4) kiedy jest przedstawioną z godłami niewiasty apokaliptycznéj, niosącéj nam odkupienie: niekiedy jednak na sądzie ostatecznym widzieć ją można bez aureoli. Korony królewskie metalowe na obrazach Bogarodzicy ukazują się w Europie dopiéro w końcu XVII wieku. Alexander Sforcya dziekan kapituły

watykańskiéj, r. 1685 przeznaczył procenta od swego majątku na koronowanie obrazów Matki Boskiéj i SS., wyjednawszy na to pozwolenie stolicy apostolskiéj. U nas ukoronowano piérwszy obraz Maryi Częstochowskiéj r. 1717. Rozumiemy tu korony metalowe, a nie na obrazie malowane lub wyrabiane, jakie dają się widzieć na utworach staro-niemieckiéj szkoły.

Aniołowie nie mają aureoli, a jeżeli są objęci aureolą Boga, któremu towarzyszą, jak się to dzieje na ostatecznym sądzie, aureola ta nie jest im właściwą, lecz należy do Boga absorbującego ich w swojéj świetlnéj atmosferze.

Historya aureoli.

Aureola podlega tym samym odmianom co i nimba, a w najdawniejszych pomnikach chrześciaństwa nie widzimy jéj wcale. Aureola nawet zjawia się o wiele późniéj od nimby, znika ona także przed zniknięciem nimby, tak, że jéj istnienie jest dosyć ograniczone. Wreszcie w średnich wiekach, gdy nimba pomimo zapomnienia była przecież używaną, aureola niezawsze jest przedstawioną: jestto więc forma daleko rzadsza i daleko krócéj trwająca, aniżeli ta, która otaczała głowę. Niekiedy w XIIItym wieku Bóg wyobrażonym jest bez aureoli.

Około XV-go i XVI-go wieku, nimba utraca swój brzeg zewnętrzny, jakeśmy to wyżéj powiedzieli; a nawet dość często brakuje jéj obwódki wewnętrznéj, do któréj przyczepione są promienie; toż samo dzieje się z aureolą: obwód znika i zostaje samo pole. Pole to jest prążkowane promieniami prostemi, albo płomienistemi, a niekiedy naprzemian prostemi i płomienistemi.

B ó g.

Bóg jest czystym duchem, niewidzialnym, lecz wszędzie obecnym, wiecznym, niezmierzonym, nieskończonym w trwaniu, równie jak w wieczności. Sztuka wyobraziła tę niewidzialną istotę w obrazach i posągach; tę niezmierzoną istotę uchwyciła w skończone rozmiary.

Jedyny w istocie Bóg, jest trojakim w osobie: *Deus trinus et unus.* Dogmat chrześciański nadaje każdéj z tych Boskich osób osobne nazwisko i osobne czynności; sztuka ze swéj strony przyodziała te nazwiska szczególnemi postaciami: wyobraziła te osoby, i nacechowała ich czynności właściwemi godłami. Przez te też godła artyści odróżniali trzy te osoby Boskie, wystawiając je razem, albo też każdą zosobna.

Bóg-Ojciec.

Bóg Ojciec często objawiał się w stosunkach z człowiekiem, i niektóre czynności częściéj bywają Jemu przypisywane, aniżeli innym dwom osobom. Według historyi, Bóg częściéj okazywał się w Starym Testamencie i Biblii właściwéj; gdy tymczasem Syn, szczególniéj w nowym zakonie się objawia, a Duch ś-ty jużto po wszystkie czasy się pokazuje. Jednakowoż w ikonografii nic częstszego, przynajmniéj do XV-go wieku, jak widzieć Syna zajmującego miejsce Ojca: stwarzającego świat, nakazującego Noemu zbudowanie arki, wstrzymującego rękę Abrahama, rozmawiającego z Mojżeszem. W tym razie łatwo jest rozpoznać Syna po młodéj twarzy, bez brody, po ubiorze który późniéj opiszemy, lub też po napisie nazwiska całego albo w monogrammacie. U Greków Syn zastępuje nietylko wszechmoc, ale nawet mądrość Ojca. Nietylko Syn miejsce Ojca często zajmuje, lecz nawet postać Boga Ojca niknie w takiém przedstawieniu: jużto widać tylko jego rękę, jużto rękę i przedbark, albo rękę i cały bark, niekiedy twarz, a w końcu popiersie; późniéj dopiéro usiłowano wyobrazić Jehowę w całkowitéj postaci. Jeżeli Bóg-Ojciec wyobrażony jest cały lub w części, niezawsze jest stosownie umieszczony, albo godnie przedstawiony. Przeciwnie, Syn zawsze jest przedstawiony z godnością, i zawsze stosownie umieszczony.

Fakt ten można sobie wielorako wytłumaczyć: najpewniéj może będzie, że gnostycy nie mieli dość czci ku Bogu-Ojcu. Prawdopodobną jest rzeczą, że gnostycyzm wcisnął się do sztuki chrześciańskiéj, i może bez jéj wiedzy długo się tam zachował, jak tego dowodzą starożytne pomniki. Byłabyto ta sama rzecz z temi herezyami, co i z legendami fałszywemi (apocryphes), które choć potępione i przeklęte, pomimo tego po naj-

większéj części są malowane na szybach, rzeźbione w portalach katedr zagranicznych.

Drugi powód była obawa przypomnienia Jowisza; trzecim, było toż samo podobieństwo Ojca i Syna, oparte na Piśmie Świętém; czwartym, Wcielenie Syna, które jest słowem Bożém; piątym powodem brak wzoru przez widoczne objawienie; szóstym nakoniec, trudność utworzenia tak wspaniałego obrazu. W piérwszych wiekach kościoła, aż do XII wieku, nie widać wizerunków Boga-Ojca: obecność jego objawia się tylko przez rękę wychodzącą z obłoków albo z nieba (tabl. III. fig. 15.), która oznacza potęgę Boską. Ręka ta otwiéra się cała i rozrzuca niekiedy promienie, najczęściéj błogosławi. Znak, po którym poznać można, że to jest ręka Boska, jest nimba krzyżowa (tabl. III. fig. 15.), albo też po fakcie przedstawionym jeżeli nie jest nimbowaną. Zazwyczaj można uważać za rękę Boga każdą rękę błogosławiącą, albo promieniejącą, albo trzymającą koronę, którą widzimy wychodzącą z nieba.

Podczas panowania gotycyzmu i odrodzenia, nawet wtenczas, gdy przedstawiano Boga w popiersiu lub całéj figurze, często jeszcze widzimy rękę, co trwa aż do XVII wieku. Zazwyczaj nie miewa ona godeł, szczególniéj w epokach odznaczających się albo brakiem, albo rzadkiém pojawianiem się nimby; niekiedy ma nimbę jednostajną albo krzyżową. Na freskach katakumb, w starożytnych sarkofagach i najdawniejszych mozajkach, nimby nigdy nie spostrzegamy.

W XIII i XIV wieku, Bóg-Ojciec pokazuje z nieba nietylko rękę lub ramię, ale popiersie i nakoniec całą postać; lecz nie ma jeszcze właściwych rysów: postawę, ubiór i wyraz ma Synowski, i napis tylko, albo fakt jakowy może ułatwić rozróżnienie Go od Syna (tabl. III fig. 16 i 10). W wyobrażeniu Trójcy św., Syn Boży jest po prawéj stronie Boga-Ojca. Ojciec ma berło albo kulę ziemską, Syn zaś krzyż albo Ewangelią (tabl. II fig. 6). Niekiedy przydają Synowi Bożemu kulę ziemską, jeżeli sam jest wyobrażony, ale to rzadko; przeciwnie, książkę daleko częściéj dają Synowi, po któréj niekiedy można go rozpoznać. Nimba trójkątna albo równoległoboczna służy zazwyczaj Bogu-Ojcu (tabl. II fig. 6, 7; i tabl. III fig, 10). Wszystkie Osoby Boskie miewają nogi bose.

Już w XIV wieku daje się spostrzegać niekiedy w rękopismach lub miniaturach usiłowanie sztuki, nadania Jehowie

szczególnéj postaci. W rysach spostrzegamy wiek podeszły. Na początku XIV wieku, Bóg-Ojciec jeszcze zanadto jest młody, stosownie do ziemskiego pojmowania różnicy, jaka zachodzi pomiędzy nim a Synem; lecz w XVI wieku, a szczególniéj podczas odrodzenia, stosunek wieku jest naturalnie zachowany.

Przy końcu XIV wieku, w XV i w początku XVI, pomimo nieudolności nadania Mu odpowiedniéj fizyonomii, szukano w społeczeństwie typów, mogących najlepiéj wyobrażać najwyższą potęgę. Tak więc we Włoszech, gdzie papież ma najwyższą władzę, Boga-Ojca przedstawiano w tyarze papieskiéj; w Niemczech, w koronie cesarstwa niemieckiego; we Francyi często król służył za wzór; w Anglii przywdziewa Bóg godła królestwa, w Hiszpanii jest jużto papieżem, jużto królem. U nas bywa też często w postaci Ojca św.; np. na rzeźbie na dziedzińcu w domu nr. 15 w rynku w Krakowie. Mamy przecież i zabytki, gdzie Bóg-Ojciec i Syn Boży są przedstawieni w purpurach i koronach cesarskich. Wyobrażenie w ten sposób sceny koronacyi Matki Boskiej, można widzieć na obrazie szkoły staro-niemieckiéj w farze Krośnieńskiéj (Jasielskie). Wit Stwosz w swoim ołtarzu P. Maryi w Krakowie, przedstawia Chrystusa i Boga-Ojca przybranych w złote płaszcze i królewskie korony. Dla podwyższenia Boskości nad papieża, zamiast dawania Mu trzech koron w tyarze, miewa ich często cztery, do pięciu. Jeżeli obuty jest w sandały papiezkie, jestto wyjątek, ponieważ Bóg zawsze miewa nogi bose. Bóg Ojciec w postaci króla zjawia się najczęściéj w XIV wieku; w XV zaś w postaci papieża.

Jestto rzecz bardzo ciekawa, jak w sztuce jasno i dobitnie odbija się epoka, która na nią wpływała. Podczas gdy duchowieństwo rządziło społeczeństwem, od V aż do IX wieku, sztuka jest ciężka i surowa. W fizyonomiach rzeźbionych marszczki nigdy nie giną, nawet dla uśmiechu. W IX do XIII wieku, podczas panowania feodalizmu, postaci są sztywne, a w kształtach jest coś z arrogancyi, a w wyrazie śmiałość: odwaga, ale także i surowość przebija się we wszystkich rysach. Późniéj, w XIII aż do XV wieku, gdy w gminach emancypowanych mieszczaństwo zawiązało się i wykłuło, sztuka zdelikatniała; wtedyto sztywność epok poprzedzających zgięła się w liczne ruchy, dzikość zeszła do familiarności, szlachetność rysów do pospolitości. Pomiędzy żyjącemi szukali artyści wzo-

rów do przedstawienia Boga, i zrobili Go bez godności, zmienili w człowieka i natchnęli nieszlachetnemi namiętnościami. Lecz w XV i XVI wieku wcisnęła się do polityki równie jak do sztuki massa ludzi bez nazwiska, uboga w formy i ubranie, mająca fizyonomie najczęściéj zwyczajne, a powierzchowność często gburowatą. Tłum ten zmącił wyobrażenia estetyczne, i grubą swoję fizyonomię nadał ideałowi wyższemu, nawet Najśw. Pannie, która pojawiała się w postaci zwyczajnéj kobiety: jak to widzieć możemy na pomnikach z téj epoki.

Potrzeba było przyjścia na świat wielkich artystów włoskich i odrodzenia (Perugino, Raphael, Michał Anioł), aby stworzyć to podziwienia godne wyobrażenie Przedwiecznego Jehowy, tego Boskiego starca, przed którym drży ziemia więcéj, niżli przed starożytnym Jowiszem ze zmarszczoném czołem.

Tak więc z odrodzeniem, odrodził się starożytny ideał. Wyobrażenia Boga-Ojca malowane, albo rzeźbione przez artystów odrodzenia, przejmują uczuciem religijném. Piękna ta Boskość! Wspaniały starzec tak spokojny i tak silny, nie jest już więcéj ni królem, ni papieżem: jestto przyczyna światów.

Nakoniec w XVI-tym wieku wyobrażano Boskość przez samo tylko imię, albo figurę geometryczną. W rozdziale o nimbie powiedzieliśmy, że trójkąt jest symbolem Boga i Trójcy Stéj. W tym trójkącie pisano literami hebrajskiemi imię Boga: *Jehowa*, i umieszczano wyraz i figurę w środku promieniejącego koła, które przedstawiało wieczność (tabl. IV, fig. 22). Forma ta abstrakcyjna miała wielkie powodzenie, i nawet dziś jest używaną.

Syn Boży.

Gdy postać Ojca wiele zmian ucierpiała w średnich wiekach, co innego stało się z postacią Syna. Chrystus nas odkupił: chrześcianie téż byli Mu wdzięczni, jak dzieci swojemu ojcu. Nad uczuciami, równie jak nad sztukami, Chrystus miał panowanie, począwszy od katakumb, aż do dni dzisiejszych: jestto osoba Boska, któréj sztuka wyrażała zawsze i wyraża jeszcze szczególną cześć. Osobliwie u Greków wszechmoc i przyczyna bytu wszech istot, bardzo często, a prawie wyłącznie przypisywaną była Chrystusowi.

Na podniebiach wielkich kopuł bizantyjskich błyszczy na dnie złoconém olbrzymia postać Wszechmocnego: *Panto Creatora*. Otóż to wyobrażenie jest rzeczywiście wyobrażeniem Syna, ponieważ z boku napisu *O Παντοκρατως*, czytamy: IC. XC., a na ramionach nimby *ὁ ὢν*. Tak więc Chrystus jest zarazem odkupicielem i najwyższą potęgą. Chrystusa wszystkie czasy i bez przerwy przedstawiała sztuka pod różnemi postaciami. W czasach, gdy Ojciec pokazywał tylko rękę, Chrystus pojawiał się cały w różnym wieku, bez brody albo z brodą, 18-to albo 30-to letni, z długiemi, gęstemi i kręconemi włosami na ramionach; niekiedy ozdobiony jest dyademem albo opaską na czole. W XV-tym wieku, podczas gdy Ojciec został zeszpecony przez sztukę i poniżony do wyobrażenia papieża zniszczonego starością i zgrzybiałego; Jezus zachował całą swoję piękność, cały swój blask i godność. Zresztą Syn wcielił się, wszyscy widzieli Jego rysy, wszyscy mogli je przedstawić. Zdaje się, że piérwsze portrety Chrystusa winni jesteśmy gnostykom, którzy byli mu przychylnemi. Wiemy, że Alexander Severus, pomiędzy bożkami domowemi, filozofami i książętami najwięcéj szanowanemi, umieścił portrety Chrystusa i Abrahama. Cudowne obrazy, obraz prawdziwy albo fałszywy malowany na chustce ś. Weroniki, portrety przypisywane Nikodemowi, Piłatowi albo ś. Łukaszowi; statua wzniesiona Chrystusowi w mieście Paneas przez kobiétę, którą Chrystus uzdrowił: wszystkie te fakta, prawdziwe czy fałszywe, lecz o których pisana tradycya sięga aż do piérwszych wieków ery naszéj, dowodzą, że Syn Boga przedstawiany był przez rzeźbę lub malarstwo, nawet w jutrzence chrystyanizmu. Piérwsi chrześcianie nie mieli z początku w swych zgromadzeniach i katakumbach innych obrazów, jeno Jezusa Chrystusa, jako dobrego pasterza z owieczką na ramięniu, odpowiednio do Ewangelii ś-go Jana r. 10, w. 11. Wszyscy znają opis szczegółowy postaci Jezusa Chrystusa, przesłany senatowi rzymskiemu przez Publiusa Lentulusa prokuratora Judei. Portret ten, jakkolwiekbądź może być fałszywym, nie jest najpiérwszym z pomiędzy znanych: pochodzi on z piérwszych wieków kościoła, i najdawniejsi Ojcowie wspominają o nim. Według tegoto opisu, cesarz Konstantyn kazał malować portret Syna Bożego. W VIII-mym wieku, za czasów ś-go Jana Damasceńskiego, główne rysy tego wyobrażenia pojęto tak, jak je jeszcze dziś

wystawiają. Równie jak Lentulus, Jan Damasceński oświadcza się za pięknością Chrystusa, i surowo karci przeciwne opinie Manicheuszów. Tak więc Chrystus, który wziął na siebie postać Adama, oblókł się w rysy Najśw. Panny: »wzrost wysoki, brwi gęste, oko łagodne, nos proporcyonalny, włosy w lokach, postawa cokolwiek zgięta, barwa świetna, broda czarna, kolor twarzy koloru pszenicy, tak jak i matki; palce długie, głos dźwięczny, mowa przyjemna; charakter ma nadzwyczaj miły, jest spokojny, na wszystko przygotowany, cierpliwy, obdarzony wszystkiemi cnotami, jakie rozum wystawia sobie w Bogu-człowieku.« (1).

Przejdźmy teraz do pomników. W szeregu pomników, dwa punkta ikonograficzne nam się przedstawiają: postać Chrystusa z początku młoda, wraz z chrystyanizmem co wiek się starzeje; przeciwnie, postać Najśw. Panny stara w katakumbach, odmładza się z wiekami: ze 40 do 50 lat, które miała w początku, ma tylko 20 do 15 z końcem epoki gotyckiéj. Około XIII wieku, Chrystus i Marya mają tenże sam wiek, mniéj więcéj 30 do 33 lat; późniéj rozłączają się i oddalają coraz to więcéj.

Ta młodość Chrystusa, którą uważamy na najdawniejszych pomnikach chrześciańskich, jest faktem ogólnym i ciekawym. Od drugiego albo trzeciego wieku, aż do dziesiątego, Chrystus jest pięknym młodzieńcem 20-letnim, albo 15-letnim, bez brody, z twarzą okrągłą, miłą, jaśniejącą Boską młodością (tabl. III. fig. 12.) W téj saméj epoce, ale rzadziéj daleko, napotykamy Chrystusa z brodą; pięknego mężczyznę 30 lub 33-letniego, którego postać nie sprzeciwia się opisom Lentulusa i Damascena.

Na końcu X wieku, za cesarza Ottona II, Chrystus jest jeszcze młodzieńcem bez brody; lecz około r. 1000, wszystko posępniejszą przybrało barwę, jużto z powodu myśli o końcu świata, już téż z powodu rozlicznych klęsk: a więc w XI wieku a nawet już w X, artyści wystawiają Chrystusa w postaci surowéj i z fizyonomią smutną. Na Sądzie Ostatecznym Chrystus ma brodę, a wyraz twarzy niewypowiedzianie surowy, w czasie, gdy złych potępia. W piérwszych wiekach udano się do przedstawiania cudów i czynów dobroczynnych Chrystusa, pomijając

(1) Opus et Joch. Damasceni. T. I. pag. 630.

milczeniem boleści Jego męki; lecz od X wieku do XII, prawie całkiem nie zajmowano się cudami, przypominając najboleśniejsze okoliczności krzyżowania. Najulubieńsza postać Chrystusa w piérwszych wiekach była postać *dobrego pasterza*; lecz od XI aż do XVI wieku pomniki nie przypominają téj pocieszającéj przypowieści. Od XII wieku, obrazy Chrystusa są jeszcze straszniejsze i surowsze, szczególniej podczas męki i na Sądzie: jestto prawdziwy „*rex tremendae majestatis*" w naszém „*dies irae*". Niekiedy jednak w tym samym np. rękopismie, spotykamy kontrast surowego i łagodnego, stosownie do przedmiotu: Jezus jest smutny i brzydki podczas męki, gdy tymczasem jest pięknym i śmiejącym się podczas tryumfu (tabl. II fig, 2). Grecy więcéj ulegający wpływowi hebrajskiemu, malowali Chrystusa jeszcze straszniejszego.

Tak więc od XI do XVI wieku Chrystus jest człowiekiem w sile wieku, ma zawsze 30 przeszło lat; zawsze ma brodę, nigdy się nie śmieje, a twarz Jego jeżeli nie jest smutną, zawsze jest poważną (tabl. III fig. 16). W XIII i XIV wieku przedstawiają Boga siedzącego w niebie, i trzymającego w rękach Syna przybitego na krzyżu. Od téj epoki, krzyż, narzędzie Jego śmierci, rzadko opuszcza Chrystusa, nawet gdy tryumfuje po śmierci. Zapewne krzyż w rękach Chrystusa jest dla chrześcian tém, czém tęcza w obłokach dla Noego i dla jego plemienia—znakiem zbawienia i pokoju. W XV i XVI wieku oblicze Chrystusa staje się jeszcze smutniejsze. *Ecce homo*, ukrzyżowanie, zdjęcie z krzyża, Chrystus w grobie, są prawie w modzie. Ukrzyżowanie nabywa corazto większego wyrazu smutku. W czasach piérwotnych, spostrzegamy krzyż, ale bez ukrzyżowanego Boga. Krzyż Chrystusa z męką zjawia się w malowaniach dopiéro w VIII wieku; dawniéj malowano sam krzyż, a na nim baranka lub Chrystusa pod nim siedzącego w królewskiéj purpurze. Roku dopiéro 595 piérwszy raz w Narbonie wystawiono Chrystusa na krzyżu, ale biskup turski, Grzegorz, uważał za potrzebne zakryć tę postać. W 691 r. na soborze Konstantyńskim zabroniono malować baranka, ale nakazano przedstawiać Chrystusa na krzyżu. Pod owe czasy przybity bywa 4 gwoździami, i tak go w IX wieku wyobrażają; w X wieku poczęto dopiéro dawać trzy gwoździe: przecież przez niewiadomość i w XV wieku nieraz artyści 4 gwoździami Chrystusa do krzyża przybijają. W Starym Sączu u PP. Klary-

sek zdarzyło mi się widzieć passyjkę z kości słoniowéj, gdzie Chrystus czterema gwoździami jest przybity. W X wieku krucyfixy nie są jeszcze powszechne, lecz ukrzyżowany Bóg miewa na nich fizyonomią miłą i łagodną; zresztą miewa długą suknię z rękawami, z pod któréj wyglądają ręce i stopy nagie. W XI i XII wieku suknia skraca się, rękawy znikają, a czasem i piersi bywają odkryte. W XIII wieku tunika jest bardzo krótką; w XIV jestto tylko kawałek materyi, albo tylko płótna owiązanego naokoło boków: i w tento sposób Chrystus aż do naszych czasów jest przedstawiany.

Syn Boży nawet w niebie, nawet tryumfujący po Wniebowstąpieniu i zwycięztwie nad śmiercią, bywa przedstawiany z koroną cierniową na głowie i krzyżem w ręku. W XIII wieku bywa ubrany w suknią i płaszcz; od XV widzimy Go często bez sukni, zaledwie odzianego płaszczem, z pod którego widać gołe ramiona, nogi, piersi i bok przebity lancą. Postać ukrzyżowana w sukni nie zawsze przedstawia Chrystusa: w ten sposób malowano także św. Wilgeforta męczennika w Luzytanii, i św. Kumeriusa. Obraz taki, z późnych już wprawdzie czasów, jest w Krakowie w kościele św. Salwatora.

Corazto więcéj wpadali artyści w rozminięcie się z ideałem, aż nareszcie Michał Anioł przedstawia Chrystusa na Sądzie ostatecznym pod postacią Jowisza piorunującego, i jakby pięścią chcącego ukarać rodzaj ludzki: jestto smutne zboczenie genialnego człowieka, poniżające całą Boskość.

Począwszy od odrodzenia aż do dni dzisiejszych, usiłowano powrócić téj wielkiéj postaci Chrystusa całą słodycz fizyonomii, całą niewypowiedzianą dobroć (tabl. III fig. 11); wpadnięto w ostateczność przeciwną Michałowi Aniołowi, tojest, robiono Chrystusa z postacią czczą, nudną i sentymentalną.

Jest kilka archeologicznych znaków cechujących Chrystusa i służących do odróżnienia Go od innych osób. Na ikonostasach w cerkwiach ruskich, zwykle Chrystus przedstawiany jest na szczycie, w ubiorze metropolity czyli patryarchy greckiego, siedzący na tronie, z kulą ziemską w ręku. Nogi bose, osobom Boskim właściwe, lecz także niekiedy u aniołów, apostołów, a czasem i proroków spostrzegane, rozróżniają Chrystusa przynajmniéj od wielkiéj liczby ludzi; lecz znak ten nie jest dostateczny. W XV wieku bywa niekiedy obuty, jeżeli jest wystawiony jako papież. W XIV, towarzyszącego uczniom do

Emaus, ubierają w kostium pielgrzyma. Najlepszemi cechami są: aureola, nimba krzyżowa, monogrammata *o ων, rex, α* et *ω* albo AM *ω*, IC, XC, krzyż, rany w rękach, w nogach i boku, korona cierniowa, towarzyszenie godeł Ewangelistów; ewangelia otwarta albo zamknięta, a w książce téj niekiedy text z Pisma Św. odnoszący się do Chrystusa. W XII, XIII i XIV wieku przedstawiają często Chrystusa otoczonego siedmioma małemi gołębiami, wyobrażającemi dary Ducha Ś. Innym znakiem niezawodnym jest to, jeżeli w jakiéj scenie ewangelicznéj, widzimy osobę spełniającą czynności, które ewangelia Chrystusowi przypisuje. W tym przypadku, gdyby nawet i innych cech nie było, nie można postaci Chrystusa nie rozpoznać.

Do téj chwili mówiliśmy o Chrystusie przedstawionym pod postacią człowieka młodego albo starego; lecz nie możemy przepomnieć o trzech formach symbolicznych, których mu użyczano, a któremi są: baranek, lew i krzyż.

Piérwsza sięga aż do początków chrystyanizmu; przebyła całe średnie wieki i jeszcze dziś istnieje. Chrystusa przedstawiają często w postaci baranka, bo święty Jan Chrzciciel ujrzawszy Zbawiciela, zawołał: „Oto baranek Boży!“ Apokalipsa przedstawia Chrystusa jako baranka (rozdział 5. wiersz 6). Chrystus umierający na krzyżu jest barankiem symbolicznym, o którym mówią prorocy, a który idzie na śmierć i pozwala się zabić bez narzekania. Fig. 17 tabl. III. przedstawia Chrystusa na cudownéj górze, z któréj wypływają cztery rzeki rajskie. Poznać go można, że to jest baranek Boży, po aureoli, nimbie, a szczególniéj po nimbie krzyżowéj i monogrammacie Chrystusa: w XV wieku widzieć można takiego baranka bez nimby.

We wszystkich rzeźbach i malowidłach na szkle i na pargaminie, przedstawiających apokalipsę, widzieć można baranka o siedmiu oczach i siedmiu rogach, łamiącego pieczęcie cudownéj księgi. Liczba ta jest mystyczna, równie jak i głowy i rogi zwierza piekielnego w apokalipsie. Święty Jan mówi, że ona przedstawia siedm duchów Bożych zesłanych na ziemię, a napełniających baranka. W piérwszych wiekach chrześciaństwa, upodobanie w baranku tak było wielkie, że zarzucono prawie postać ludzką Chrystusa i zastąpiono ją symboliczną.

Lew jako godło Chrystusa, (obacz Apokal. r. 5. w. 5.), na pomnikach jest daleko rzadszy, aniżeli baranek; lew oznacza

pokolenie Judy z którego pochodzi Jezus, i do Jezusa odnoszą się texta w Piśmie Świętém, które mówią o lwie. Jak baranek przypomina łagodność Chrystusa; tak lew oznacza siłę. Lew ozdobiony nimbą krzyżową, jest symbolem Jezusa; jeżeli nimba jest pojedynczą, bywa on godłem świętego Marka (tabl. II. fig. 2). Krzyż jest więcéj aniżeli figurą Chrystusa: w ikonografii jest on albo Chrystusem samym, albo Jego symbolem. Chrystus wyraża się w krzyżu, równie jak i w baranku, jak i we lwie. Tak też piérwsi artyści chrześciańscy przedstawiając Trójcę Świętą, umieszczali niekiedy krzyż z boku Boga-Ojca i świętego Ducha, krzyż sam bez ukrzyżowanego Boga.— Krzyż jako symbol Chrystusa, jest dawniejszym od baranka i od lwa. W IX wieku śpiewano pochwały krzyżowi, i zawsze oddawano mu podobną cześć co i Chrystusowi.

Cztéry są rodzaje krzyża: krzyż bez wierzchołka; krzyż z wierzchołkiem i z jedném ramieniem poprzeczném; z wierzchołkiem i dwoma poprzecznemi; z wierzchołkiem i trzema poprzecznemi.

Krzyżem greckim nazywają krzyż o czterech równych ramionach; krzyżem rzymskim nazywamy ten, którego ramię dolne jest dłuższe od innych. Oba te rodzaje krzyżów były w piérwszych wiekach zarówno używane na Wschodzie jak i na Zachodzie. Późniéj krzyż z ramionami równemi wziął przewagę na Wschodzie, i formę tę nazywano krzyżem greckim; drugi typ przemógł na Zachodzie, i zwany był krzyżem łacińskim. Nazywają także krzyżem loretańskim krzyż z podwójnemi ramionami: dzisiaj oznacza godność arcybiskupa.

(Dalszy ciąg nastąpi).

DWIE DROGI.

POWIEŚĆ FANTASTYCZNA.

OSOBY.

Matka.
Ludomir, jej syn.
Zosia, mleczna siostra.
Wacław.
Klara.
Stanisław, przyjaciel Ludomira.
Hrabia.
Chór gości.
Anioł poezyi.
Wodnica.
Chór lirników.

PROLOG.

Noc — niekiedy księżyc wypływa zpoza chmury, i ukazuje krzyże rozsiane po cmentarzu. Pomiędzy mogiłami przesuwają się cienia starych lirników.

Chór lirników.

Długoż będą nasze duchy
Smutne, krążyć po przestrzeni,
Gdy nad ziemią pomrok głuchy,
Zorza nieba nie rumieni.

Sen ogarnął błędnych ludzi,
Krew im lodem skrzepła w łonie,
Chyba dźwięk ich pieśni zbudzi;
Lecz kto lirę ujmie w dłonie?

Lir odwiecznych drząca struna.
Przegryziona rdzą grobową,
Zdołaż sama z pod całuna
Zabrzmieć pieśnią hejnałową?

By z niéj srebrne dobyć dźwięki
I błagalnie wznieść do nieba;
Nieskalanéj trzeba ręki,
Płomiennego serca trzeba.

O aniele białopióry,
Co stróżujesz onéj ziemi,
W mgle porannéj przypłyń z góry,
Błyśnij skrzydły łabędziemi.

O! wybłagaj nam aniele
Krople żywéj z nieba rosy;
A ugory kwiat zaściele,
Na pustkowiach błysną kłosy!

I przez usta zabrzmi wieszcze
Czarodziejskich zaklęć słowo:
I ta ziemia Panu jeszcze
Pieśń zanuci hejnałową!....

Na obłoku usrebrzonym promieniem księżyca, zjawia się anioł poezyi, i przepływa ponad ziemią).

Anioł.

Zdala nad tobą ziemio uśpiona,
Ja czuwam wiecznie, twój anioł stróż;
Gdy skrzydłem dotknę twojego łona,
Wieńcem cię wonnym oplatam róż.

A nieśmiertelne piersi méj tchnienie,
Grobów wilgotną osusza pleśń;
Płoszy ponure chmur nocnych cienie,
Z zaklęcia cudną wyzwala pieśń!

Ocknij się senna, bo wnet uroczo
Błysną dwie gwiazdy na nieba tle;
W promień czarowny znów cię otoczą
Spowitą w bladéj zwątpienia mgle.

(Anioł pochodnią swoją zapala dwie gwiazdy i rzuca je w przestrzeń).

Dalejże w przestrzeń, jasne a czyste,
Zatlone ogniem niebieskich łask;
Nad grody, lasy, pola kłosiste,
Roztoczcie złotych promieni blask!

Niech jedna cudne skąpie oblicze
Wzmąconéj fali Wiślanych wód,
Niech z góry światła tchnie tajemnicze,
W snem twardym zdjęty kamienny gród!

Druga niech ze snu rozbudza sioła,
I z ulów pszczolny wyprasza rój;
Z rannym skowronkiem do siejby woła,
I słodzi kmiotkom codzienny znój.

Chór lirników.

Chwała Panu, zorza płonie,
Złote słonko błyśnie wraz;
Bracia, kornie wznieśmy dłonie,
Nim mogiła wezwie nas.

Biały anioł zbiegł z błękitu,
Błysnął łuną śnieżnych piór,
I rozpostarł hasło świtu
Na wyżynach stromych gór.

Hej! oraczu, słonko świeci,
Twardą dłonią ujmij pług;
Daléj ze snu, starce, dzieci!
Nim dzień biały ześle Bóg!

Niech z kościelnéj Panu wieży
Pozdrowienie bije dzwon;
Niech po rosie dźwięk dobieży
Przed odwieczny Boga tron.

My pod darnią cmentarzową
Do grobowych wróćmy snów;
Bo urocze pieśni słowo
W nasze pola spływa znów!

I.

(Dworek mały pokryty słomianą strzechą. W ubogiéj izdebce śpi w kołysce dziecię; matka czuwa nad śpiącym i śpiewa).

Dziecino, spoczywaj pod skrzydły anioła
Nim ranne twe chwile przepłyną;
Nim ciebie do czynu głos boży powoła,
Snij błogo na kwiatach dziecino!

Niech anioł stróż w rajskie zasiewa nadzieje
Myśl twoję przeczystą a jasną;
Dopóki chłód życia mar złotych nie zwieje,
Nim zorzy promienie zagasną.

Nim duch twój od matki oderwan przyrody,
Gdy burza zaszumi doliną,
Pogoni za chmurą z orłami w zawody.
Snij błogo na kwiatkach dziecino!

Czy słyszysz? tam w boru konary dębowe
Tajemnym szelestem zadrżały;
To może ci anioł rozwija na głowę
Liść, godło urocze twéj chwały.

Bo anioł twój dziécię, przed matki źrenicą
Rozsunął przyszłości mgłę siną,
I wskazał, jak gwiazdy promienie już świecą
Nad twoją kołyską dziecino.

I wskazał tę lirę zrdzewioną a starą,
Co brzmiała przez wieki téj ziemi,
Skrzepiając pierś ojców miłością i wiarą,
Jak leży pod stopy twojemi.

Podejmiesz ją dziécię, uderzysz w jéj struny,
I dźwięki jéj z rosą popłyną;
Aż zadrzą serc zwiędłych grobowe całuny
Na odgłos twéj pieśni dziecino!

I z grodu do grodu, od sioła do sioła
Pobieży natchnione twe słowo;
I czarów zaklęciem na błędnych zawoła,
Lub błyśnie im gromem nad głową.

Ty przejdziesz z nieziemską na czole pogodą,
Przez trudy żywota i znoje;
I własna pieśń będzie, twą, dziécię, nagrodą,
Pociechą, niewinne łzy twoje!

A dzisiaj nim blaski twéj gwiazdy zapłoną,
Nad samą naddziadów krainą;
Spoczywaj pod skrzydeł anielskich osłoną,
Snij błogo na kwiatach dziecino!

II.

(Dworek na powiślu. Opodal widać mury Warszawy usrebrzone promieniem księżyca. W izdebce śpi dziécię w kolysce, wodnica z złotym włosem i błękitném okiem kołysze je i śpiewa).

Spij maleńki, jeszcze zorza
Nie zabłysła wśród przestworza,
Ziemię mroczny słoni cień;
Na przyszłości ledwie łonie

Blado we mgle gwiazda płonie,
Wróżąc tobie jasny dzień.

Zlekka biegnie tu wodnica
Otulona w blask księżyca
Z łona chłodnych Wisły wód;
Aby cudnie opleść wkoło
Niemowlęce twoje czoło,
Z róż utkanym wieńcem złud.

Śnij na kwiatach, śnij dziecino,
Za nim świtu blaski spłyną
Na młodziuchną twoją skroń;
Nim twe ranne zbiegną chwile,
W snach ułudne goń motyle,
Gwiazd promienie myślą goń.

A gdy wkoło twojéj głowy
Słońce skreśli łuk tęczowy,
Gdy cię dojmie letni znój;
Do mnie, do mnie, na dno fali,
Mam ja z pereł i korali
Czarodziejski pałac mój!

W me objęcia zbiegnij dziécie
Gdy okrąży cię na świecie
Siny obłok, zwiastun burz;
Przebrnij fale kryształowe,
A utulę twoję głowę
Na wezgłowiu z wonnych róż.

Tam nieznane łzy niedoli,
Tam wśród pląsów i swawoli
Dnie jak czysty płyną zdrój;
Trwoga jasnych dni nie płoszy,
Tyle szczęścia i rozkoszy
Świat przeczuwa ledwie twój.

A gdy księżyc nocą ciemną
Srebrzy blado i tajemno
Wód spokojnych ciemne tło;
Wtedy na świat my wodnice
Wychylamy cudne lice,
Tajemniczą zwiane mgłą.

Wiatr nam złote trąca włosy,
I nieznane płyną głosy,
Jak lir dźwięki z biegiem fal;
I w obłędnych sercach ludzi,

Dźwięk ich drżący sennie budzi,
Ból, tęsknotę, rozkosz, żal!..

Do mnie, do mnie, na dno fali
W pałac z pereł i z korali,
Na me łono głowę schroń;
Ja ci szepnę pieśni tony,
I oplotę w bluszcz zielony
Nieśmiertelną twoją skroń!

III.

(Dworek wiejski. Na podwórku pod lipą stara matka spoczywa na ławie; przed nią stoi Ludomir w podróżnéj odzieży. Na boku, ciągną się doliną chaty wiejskie. W oddali widać pasmo gór obrosłych sosniną, na najwyższéj, wznoszą się mury Świętokrzyzkiego klasztoru).

Matka.

Od łona matki odbiegasz więc synu
Ze świata marzeń, w świat trudów i czynu:
Stroma to, ślizga i krzemienna droga!...
Lecz moc tajemna przypływa od Boga
Tym, co ufają!....

Ludomir.

O! ja idę śmiało!
Tyle stóp bratnich ścieżkę udeptało:
Gdzie zwrócę oko, dostrzegam ich ślady.

Matka.

Im lśniło słońce; tobie, pomrok blady
Wkoło zamgloną życia drogę ściele.
Oni zaznali niewinne wesele,
Ty, łzę sieroctwa znasz jedynie dziecię!

Ludomir.

Matko, są kwiaty ukryte na świecie,
Które Pan w łasce dla wybranych chowa:
Tych nie zniweczy nawet pleśń grobowa,
Ni chłód zatruty, co z serc ludzkich wieje,
Ni łza sieroctwa! O! ja mam nadzieję,
Że kiedyś matko, wieniec choć ubogi,
Z cudnego kwiatu przyniosę w twe progi.

Liro moja szczerozłota,
Z tobą pójdę ja sierota
Między ludzi, w świat;
Złota liro, brzmij rozgłośnie,

Ukaż światu kędy rośnie
Czarodziejski kwiat.

Wszędy jego rośnie wiele:
On ugory barwne ściele,
Ciemny krasi bór;
Tchnie nadobne swoje wonie
Znojnym żeńcom na zagonie.
I pasterzom z gór.

Kiedy zgoda, miłość, praca,
On łodygę tam obraca,
Pszczołom daje miód;
Lecz utula wraz kielichy,
Gdy go zmrozi ludzkiéj pychy
Samolubny chłód!

W pełnéj barwie, w pełnéj sile
On wykwita na mogile
U cmentarnych bram;
Lecz gdzie krążą uczt puhary,
Gdzie brak w łonie serc a wiary:
On więdnieje tam!

Chceszli uszczknąć śród swobody
Staréj matce kwiat na gody,
Młody piewco mój;
Bież o rosie z brzaskiem zorzy
Do podnóża męki bożéj,
Nad kryniczny zdrój.

Tam śpiewaku, tam sieroto
Idź z twą lirą szczerozłotą,
Z wiarą młodych lat;
Sama lira w twojéj dłoni
Czarodziejski hymn wydzwoni,
I zdobędziesz kwiat!

Matka.

Synu, weź lutnię, i jak on Jeremi,
Co nad Syonu mury zburzonemi
Siedząc w żałobie, trącał harfę z żalem,
Aż jękły martwe prochy Jeruzalem;
Tak ty, potężne słowo dobądź z łona,
A chłód grobowy, żywa pieśń pokona,
I z serc wytryśnie wiara w pełnéj sile,
I włos mój siwy, potarzany w pyle,
Odżyje cześcią! O! weź lutnię synu;
Idź nie po oklask, nie po liść wawrzynu,

Nie żebyś żebrał ku znikomej dumie
Sławy, w bezmyślnym a ciekawym tłumie,
Bo nazbyt rychło wieńce sławy bledną;
Lecz jeźli synu, choćby serce jedno
Zadrgnie ku Bogu na twéj pieśni tony,
Gdy z pod powieki obłędem zamglonéj,
Jedna łza żalu wytryśnie gorąca;
Jeźli uczujesz, że wiatr nie roztrąca
Próżno twych dźwięków ponad stepem świata,
Lecz w serca braci żywotnie się wplata
Twe święte słowo:—synu, na kolana!
Dźwięk twojéj pieśni znać dobiegł do Pana!

Ludomir.

O! pobłogosław matko podróż moją:
Twój krzyż mi będzie puklerzem i zbroją!
(klęka u stóp matki).

Matka *(kreśląc krzyż).*

Błogosławię synu tobie,
Kiedy we łzach i żałobie
Zwiędnieć barwny kwiat nadziei,
Gdy sen oczu twych nie sklei,
Bo zgryzota sępie szpony
Utkwi w piersi nieskażonéj;
Gdy bez czystéj kropli wody,
Bez otuchy, bez swobody,
Jakby trawa na ugorze
Twe jagody zwiędną hoże
W młodocianéj życia dobie:
Błogosławię synu tobie!

Gdy twe pienia będą brzmiały
Odtrącane jak od skały,
Od serc braci twoich ludzi;
Kiedy dźwięk ich nie rozbudzi
Pogrążonych w sen grobowy;
Gdy w pustkowiach skryte sowy
Kwiląc głucho nad twą głową,
Twe wyszydzą święte słowo;
Gdy pocisków ostre groty
Utkwią w łzawą pierś sieroty;
Kiedy lirę twoję złotą
Tarń i piołun w krąg oplotą
Miasto bluszczu i wawrzynu:
Błogosławię tobie synu!

Nie na uczty, nie na gody
Ja-ć wyprawiam piewco młody;

Nie ku marnéj czci i sławie
Tobie synu błogosławię;
Lecz na walki, i na boje,
Krzyż ci kładę niby zbroję,
Jakby kirys z twardéj stali.
Twą pierś młodą on ocali.
Święte godło noś w pokorze;
Daléj z pieśnią w imię Boże!

IV.

(*Mały pokoik przybrany w kwiaty, na głównéj ścianie obraz Chrystusa na krzyżu i Boga-rodzicy*).

(*Klara sama*).

Klara.

Przyjdzie za chwilę... Jakżem dziś szczęśliwa!
Ujrzę go znowu!
(*po chwili ocierając łzę*).
Lecz czemuż łza spływa
Z mojego oka, i czemuż drżę cała?
Takążem miłość niegdyś przeczuwała,
Gdy w mgle porannéj moje sny dziewicze
Jéj mi cudowne jawiły oblicze?
O! jam mniemała, że święta i cicha
Jak promień gwiazdy, jak z lilii kielicha
Woń czarodziejska, jak goniec swobody,
Weźmie me serce na anielskie gody.
Oważ to miłość, siłą niezwalczoną
Dziś jakby burza targa moje łono,
Wpływa w głąb piersi jak płomień gorąca,
W proch niszczy wiarę, nadzieję roztrąca,
I niby piorun grozi mi nad głową!
Jedno spojrzenie, jedno jego słowo,
W niebo nad gwiazdy myśl porywa senną,
Albo ją w otchłań pogrąża bezdenną!
Biadaż mi, biada! ale on o Boże!
Stokroć biedniejszy, bo kochać nie może,
A kochać pragnie; bo pełna zapału
Pierś jego, czuje odblask ideału,
I tęskni za nim, a szatan niewiary
Już kroplę jadu wsączył mu do czary:
Nad duchem skrzydły powionął sępiemi,
I złud łańcuchem przykuł go do ziemi!
Lecz nie na wieki.... bo miłość ma święta
Rozwiązać musi te szatańskie pęta;

Ten chłód niewiary ja mu zetrę z czoła.
Anioł-stróż jego niedaremno woła.
Bym pierś w miłości zasiliwszy zdroju,
Śmiało szatana wyzwała do boju.
(*Chwila milczenia*).
Czysty aniele daj mi twą moc,
Bym mu jak gwiazda zalśniła w noc,
W noc, którą powiew złowrogi świata
Na jego ranne roztoczył lata.
Wyproś aniele z niebieskich łask,
Na czoło moje promienny blask;
Aby myśl jego w prochu starzana,
Przy owém świetle przeczuła Pana!

Biały aniele, użyćz mi piór,
Bym go uniosła nad tuman chmur;
Co tak mu głucho szumiąc nad głową
Świat mu całunem słonią grobowo.
Stróżu, co czuwasz u niebios bram,
Przypłyń aniele na ziemię sam!
Wyrwij go z wiecznéj zatraty progu,
I w blasku chwały powróć go Bogu.
(*ociera łzy*).

(*Wacław wchodzi, i patrzy w milczeniu na Klarę*).

Wacław.
(*z szydzącym uśmiechem*).

Znów płaczesz Klaro!
(*po chwili*).
Czasby wam nareszcie
Skończyć te nudne kwilenia niewieście!
Bywały czasy, gdy łzy waszéj siła,
Serca hartowne w miękki wosk topiła.
Te serca mężów, w stal odziane twardą!
My łzy dziś płacim, uśmiechem i wzgardą!
Wartoż wam płakać?

Klara.

Smutna to Wacławie
Ta wasza siła: czyż naddziadów sławie,
Wzgląd dla niewiasty przynosił zakałę?
O! zły to rycerz, który dzielność całą
Trwoni w nierównéj walce z bezsilnemi!

Wacław.

Lecz pomnij Klaro, wy jesteście ziemi
Cudną ozdobą, jéj nadobnym kwiatem;
Wdzięk wasz uroczy panuje nad światem.
Tyleż wam szczęścia i ułudy tyle,
Ile wam dadzą przepląsane chwile
W majowy ranek, po kwietnym kobiercu!

Klara.

O nie Wacławie: skarb kobiety w sercu!

Wacław.

Nietyle w sercu, jak w próżności, Klaro!
Któraż pochlebstwa ocukrzoną czarą,
Serca odurzyć, i zniewolić nie da?
Któraż, spojrzenia, uśmiechu nie sprzeda
Za czczą pochwałę. O czyż wam przystoi
W łzach tyrać wdzięki, w które wiosna stroi
Oblicza wasze; gdy wraz z niemi skona
Waszéj potęgi moc niezwyciężona!

Klara.

Porzuć szyderstwa! Gdybyś wiedział drogi,
Jak mi boleśnie, gdy ten chłód złowrogi
Z twego spojrzenia na me serce wieje,
Jak lodem ścina kwitnące nadzieje:
Tybyś zaniechał, tyś dobry Wacławie!
(*podaje mu rękę*).

Wacław
(*odsuwając rękę Klary*).

Dobry? nie, Klaro! czyliż w méj postawie,
Czy na mém czole, czy w głębi źrenicy
Dopatrzysz słodycz, w jaką obłudnicy
Stroją się zewnątrz; gdy jak nędzne żmije
Czychają, rychło która się owije
Wkrąg twego serca! Nie! ja się nie chlubię
Taką dobrocią: ja niszczę!... ja gubię!....
Czegobądź dotknę méj piersi pożarem.
O! uchroń serce przed złowrogim darem
Mojéj miłości! dopóki czas Klaro,
Póki zatrutą nie napoję czarą
Twéj młodéj piersi: uciekaj! nie tobie
Zagrzebać w pustym mego serca grobie
Kwiat twego życia! ...

Klara.

Wszak uczucia władza
Wytloną iskrę z popiołów odradza:
Ufaj mi tylko Wacławie!

Wacław.

Nie mogę.
Przeszłość zbyt ciężką dała mi przestrogę...
Był czas, żem ufał niebacznie kobiecie.
Żem śmiał zawierzyć: iż dłoń jéj oplecie
W kwiat czarodziejski, dni mych ścieżkę jasną:
Że te płomienie przez wieki nie zgasną,
Które z jéj oka chłonąłem w pierś młodą.
O! wtedy pienia z harmonijną zgodą
Biegły z méj duszy, jak kryniczne zdroje!
(*z goryczą*).
Aż je zmąciły zatrute łzy moje!
Jam je wyronił wszystkie, co do jednéj!
Dziś wyschło oko, pierś pusta.

Klara.

O biedny!
Kiedy ci nawet łza ulżyć nie zdoła.
Lecz ja przebłagam twojego anioła;
On rosę łaski wymodli ci w niebie.
O mój Wacławie! ja zaklinam ciebie
Wyznaj mi wszystko, twój ból, twe zawody,
Czemu niewiara w twojéj duszy młodéj
Wcześnie osiadła, niby pleśń grobowa;
Zkąd chłód w twém sercu, gdy płomienna głowa
Pozorem uczuć tak ponętnie łudzi?
Zkąd ta nienawiść do świata i ludzi;
Wszak oni nie zli, lecz biedni, zbłąkani!

Wacław
(*z oburzeniem*).

Ślepi szaleńcy, sami w głąb' otchłani
Ślepi szaleńcy, sami w głąb' otchłani
Siebie w obłędzie spychają nawzajem;
I świat, co mógłby pozostać ich rajem

Klara.

Tak, plamią niewiarą!
Czemu prostotą pogardzili starą?
Czemu chcą więcéj niż ziemia dać może?
Po co im wnikać w tajne sądy boże;
Czemu nie pomną, że za grzech Adama
Wiecznie Edenu zamknięta im brama;

Po co w nią pyszna myśl darmo kołacze?
O! niechby lepiéj pokorni tułacze,
Pod twardym krzyżem Chrystusa schyleni,
Krążąc pospołu wpośród ziemskich cieni,
Wzajem pielgrzymkę ułatwiali długą,
Pieśnią, modlitwą, pracą i zasługą!
Niechby pogańskim zaniechali mieczem
Walczyć daremnie z obłędem człowieczem;
Niechby się w złości raz bluzgać przestali
Jadem, co serca nie leczy, a pali;
Niechby miłością płomienną i czystą,
Zganiali zwolna tę pomrokę mglistą
Co im przyćmiła dróg ziemskie koleje;
Niechajby pieśnią budzili nadzieje....

Wacław.

Nadzieje? Klaro! Znikome to słowo
Głucho dziś ludziom szeleści nad głową,
Niby dźwięk pusty rozbitego dzwonu:
Raczéj puhaczom zwiastować dzień zgonu,
Kiedy wyziewy zewsząd wiejąc zgniłe,
Ziemię w olbrzymią zmieniają mogiłę.

Klara.

Co cię tak z życiem skłóciło Wacławie?

Wacław (*żywo*).

Szatan, wcielony w niewieściéj postawie!
(*po chwili, pomału i zcicha*).
Wszakże się zdała tak czystą, tak jasną!
Przy ócz jéj blasku, niby gwiazdy gasną;
A głos jéj płynął tak drżąco i łzawo
Jak szelest rosy, kiedy nad murawą
Sperlona w krople, tajemniczo spada.
Postać jéj była tak uroczo blada
Jakby utkana z księżyca promieni.
Jéj oko w nieba krążyła przestrzeni,
Jak gdyby ziemia niegodną jéj była.
A serce.....
(*z oburzeniem*).
Serce, niby lodu bryła,
Nie uderzało ni ludziom, ni Bogu;
Do świecącego lgnąc jeno barłogu
Zwanego złotem!
(*po chwili*).
Lubiła me pienia,
Bo wdzięk jéj światu wykrywały z cienia;

Bo ton ich czysty, brzmiący, w pełnéj sile,
Do cudnéj róży przynęcał motyle!
Lecz czemże pieśni zapłacić poecie,
Gdy mu jak orłu na szerokim świecie
Dość blasku słońca, dość krynicznéj wody!
(*z szyderstwem*).
Trzebaż mu było wkoło skroni młodéj
Opleść nadziei jednodniowe kwiaty.
Zbłąkać go z wieszczów dziedziny bogatéj,
Gdzie dróg tęczowych obiegają koła,
Kwiat czystych natchnień, brał z ręki anioła.
(*smutno*).
O! zbiegł odemnie stróż mój srebrnopióry;
Bom ja też duchem niewzlatał do góry!
Ona mi była podnietą do pieśni,
Dźwięki me brzmiały coraz to boleśniéj,
A łzy me, pychę kobiety karmiły:
Wreszcie, do pieśni zabrakło mi siły;
Wyznałem miłość. Odparła mi śmiechem:
Mnie myśleć o niéj było nawet grzechem.
Wszak mogła mitry zapragnąć książęcéj;
A ja, prócz pieśni i serca, nic więcéj
Dać jéj nie mogłem!
(*po chwili*).
Osiągła nareszcie
Żądaną mitrę: jéj wdzięki niewieście
Na szerszym odtąd widnokręgu błysły!
A echem brzmiały nad brzegami Wisły
Dźwięki méj lutni, w cześć próżnéj kobiety.
(*z zapałem*).
Lecz innéj odtąd szukałem podniety
Do mojéj pieśni. Jak wąż łuskę starą
Zrzuciłem z siebie, i stałem się Larą,
Pysznym Manfredem, Haroldem, Konradem!
I wyrył szatan na mém czole bladém
Złowrogie piętno, i odtąd poczyna
Spełniać się na mnie przekleństwo Kaina.
Jak on, jam bratnie znienawidził plemię
I radbym bolu cisnące mnie brzemię
Wypławać szyderstwem na nikczemnych głowy,
Zatruć ich spokój bluźnierczemi słowy;
Spokój..... którego zaznać mi nie dano!

Klara.

Dość już! O jakąż trwogę mi nieznaną
Budzą twe słowa!

Wacław.

To słowa szatana!
On mi je szepcze.....

Klara
(*wskazuje mu Chrystusa na krzyżu, i ciągnąc go ku niemu*).

Tu, tu, na kolana!
Pod onym krzyżem, gdzie w krwawéj koronie
Chrystus pochylił uznojone skronie;
Zkąd, gdy świat ciemność zaległa dokoła,
Wyrzekł mordercom przebaczenia słowa;
A wiernym wskazał ku niebiosom drogę,
Tu, na kolana Wacławie!

Wacław
(*opierając się*).

Nie mogę!
Biada! kto w burzę porzuca ster łodzi:
Tylko nikczemnik z boleścią się godzi.

Klara.

O! chrześcianin, serce bolu czarę
Z rozkoszą poi!

Wacław.

Zapóźno już Klaro!

Klara.

Nie! czas Wacławie! Bóg cierpliwie czeka!
On gotów łaską tknąć serce człowieka,
Byle w obłędnym dobrą dostrzegł wole.

Wacław.

Jak wzniecić w sercu miłość, gdy niedole
Jéj czystą iskrę w martwy proch wytliły!

Klara
(*klękając przed Wacławem*).

Módl się i ufaj, a Bóg doda siły.
Pomnij na lata twéj dziecięcéj wiary;
Kiedy na ziemię spadał pomrok szary:
Jak ku Maryi w anielskiéj koronie,
Matka z modlitwą wznosiła twe dłonie.
Czyż to wspomnienie serca ci nie wzbudzi?

Wacław.

Jam nie znał matki; w progu obcych ludzi
Dolę jedynie zaznałem sierocą!

Klara

(*wznosząc ręce ku niebu*).

Panie! przedwieczną Twéj potęgi mocą,
Na zwiędłe serce ześlij promień łaski!

Wacław.

Daremnie Klaro! innéj łuny blaski
Nęcą me oko; już krwawe płomienie
Śmierć i pożogę roznoszą w przestrzenie,
A szatan kreśli na zwaliskach świata
Dwa straszne słowa: „Rozpacz i zatrata!"
Niech im wtorują mojéj pieśni tony:
Rozpacz, zatrata! mém hasłem.

Klara

(*padając twarzą na ziemię*).

Zgubiony!!

V.

Mała izdebka na poddaszu.

Ludomir

(*sam, otoczony stosami ksiąg. W ręku trzyma pieśni liryczne Kochanowskiego*).

Nie był poetą kto rzekł, iż poecie
Pusto i ciasno na tym Bożym świecie,
Kto z gorzkim żalem rzuca ludziom w oczy
Krew, co mu strugą pierś zbolałą broczy,
Łzę, co mu oko wypala przedwcześnie;
Nie był poetą na jawie ni we śnie,
Kto świętokradzko własną pieśń przeklina!
O pieśni złota! ozdobo jedyna
Stroméj, bezkwietnéj mego życia drogi!
Błogosławieństwo tyś wniosła w me progi;
Przy dźwięku twojéj struny nieskalanéj,
Promień rozjaśnia me ubogie ściany.
Ty w dni mych wątek utkany z tęsknoty,
Wsuwasz nieznacznie pasmo przędzy złotéj;
Tyś lepszą, czystszą méj duszy połową,
Ty łzę mą cichą wplatasz wdzięcznie w słowo,
A brzmiąc w méj piersi hymnem wiecznéj chwały,
Dźwięk z niéj ku Panu dobywasz nieśmiały.
Ty nieśmiertelne wijesz wieńce w darze,
Ze czcią, na święte przeszłości ołtarze;
W gruzach przyćmionych niepamięci nocą,
Życie rozbudzasz czarodziejską mocą,
Pusty smug życia w barwne ścielesz kwiaty,
Drzémiącéj myśli dajesz lot skrzydlaty.

Gdy ty przyświecasz, błogi znój i praca,
Bo blask twój niwa przyszłości uzłaca.
Dzięki ci pieśni! czarodziejko droga!
Przed tobą z serca blada pierzcha trwoga,
Ty płoszysz troskę ze stróżem aniołem,
By nie zawisła nad śpiewaka czołem;
A wkrąg mu niebo ćmiąc skrzydły sępiemi,
Swém go brzemieniem nie wgniotła do ziemi.

(*z zapałem*).

Ty gdy zabrzmisz w duszy młodéj,
Cudne piewcom sprawiasz gody,
I w nieznane światu wieńce
Stroisz twoje ulubieńce.
Oto widzę, we mgle spływa
Ku mnie, Jana postać żywa.
Lutnię ujął mistrz do ręki,
Słyszę pieśni cudne dźwięki,
Te, co dawnym brzmiały czasem
Nad szczęśliwym Czarnolasem!
Jasnoż płynie przez lazury
Niby łabędź białopióry,
Wszechmocnemu do stóp tronu
Hymn proroka z nad Syonu.
W ślady za nim płyną daléj,
Kołysane w modréj fali,
By żywiczne lasów wonie,
Jak szmer kłosów na zagonie,
Niby roje pszczół na łące,
Swojskiéj liry dźwięki drżące:
Takie jasne, uroczyste,
By krynicy zdroje czyste,
Co pod wierzby zielonemi
Trysły z łona matki ziemi.
Widzę lipę, która chroni
Od upału wieszcza skroni;
Kędy cichéj jego pracy
Przygwarzają wdzięcznie szpacy;
Gdzie powiewy z pola wieją
Wciąż swobodą i nadzieją.
Widzę piewcę jak się mieni,
Orłem buja po przestrzeni!
Z bark mu białe skrzydła rosną,
Gdy zanurzył wzrok radosno
W onę drogą ojców ziemię,
Kędy Piastów stare plemię
Założyło cnemi sprawy
Gniazdo cnoty, czci i sławy!

Przyćmił pomrok orła loty,
Widzę odblask łuny złotéj;
Brzmią kobziarze, grają bąki;
Wiatr na skrzydłach z kwietnéj łąki
Uroczyste dźwięki niesie:
To sobótka w Czarnolesie!

Nuć o wieszczu pieśń swobody,
Bo nie długie tobie gody.
Orzesz zagon twój w nadzieje,
Ziarno z wiarą dłoń twa sieje,
A śmierć w progu ostrzy kosę
Na twe dziećię złotowłose.

Już nadobnéj twéj Urszuli
Pierś ojcowska nie utuli;
Sen ją ujął nieprzespany,
Puste domu twego ściany.
Ale święć się wola Pana!
Ona czysta nieskalana,
Bladym cieniem, senną marą
Ponad ziemią przemkła szarą.
Dziś w aniołów czystych chórze
Twa Urszula śpiéwa w górze;
I zawczasu lube dziecie
Z nieśmiertelnych kwiatów plecie
Na twe czoło wieniec chwały!
Daléj wieszczu posiwiały,
Złóż żywota twarde brzemię:
Obok ojców, w matkę ziemię,
Grób otwarty już w Zwoleniu!
Lecz ty będziesz jasny cieniu
Żył w twéj pieśni na wiek wieka,
Bo gorąca pierś człowieka
Twe podejmie słowo wieszcze,
I pieśń twoja zabrzmi jeszcze
Nad grobowca chłodną darną;
I twych plonów złote ziarno
Będzie długą lat koleją
Siać miłością i nadzieją
Nasze pola i ugory!

Daj mi Janie twemi tory
Wniknąć w serca braci ludzi;
Moje słowo niech rozbudzi
Świętą mocą twéj prostoty
Zapomniane ojców cnoty;
Niech rozżarzy płomień wiary,
I obyczaj wskrzesi stary,

Niechaj wskaże kędy droga
Do przyszłości i do Boga!

(*Chwila milczenia, podczas której Stanisław wchodzi do izdebki*).

Stanisław
(*na stronie patrząc na Ludomira*).

Jak zadumany, nie patrzy, nie słucha....
Może mu anioł pieśń szepcze do ucha.
Szanujmy owę uroczystą ciszę,
W której poeta senną myśl kołyszę,
Zanim pod wpływem wyższéj niebios łaski
W cudne ją słowa przyodzieje blaski.
(*Siada na boku*).

Ludomir
(*budząc się z zadumania*).

Jakże cudowne ja widzenie miałem!
(*spostrzega Stanisława; żywo:*)
Kto tu?

Stanisław
(*zbliżając się do Ludomira*).

Ja, człowiek krwią, kośćmi i ciałem,
Nie senna mara, ani duch z mogiły.
Witaj poeto!

Ludomir
(*podając mu rękę*).

Witaj Stasiu miły!

Stanisław
(*wskazując na stosy książek*).

Widzę nie trwonisz nadaremnie czasu.

Ludomir.

Czytałem właśnie Jana z Czarnolasu.
O! radbym zdobyć tę prostotę świętą,
Co gardząc próżnych błyskotek ponętą,
Dąży do celu poważnie a śmiało.

Stanisław.

Ciebieby z Janem porównać przystało,
Tyś jak on szczery; znać z serca nie głowy
Płynie twój zapał.

Ludomir.

Jam śpiewak ludowy,
A on był wieku złotego ozdobą!

Stanisław.

Jego jest przeszłość, a przyszłość przed tobą
Jak barwna tęczy rozwija się wstęga;
Na niéj ma ducha twojego potęga
Wyryć na wieki niezatarte ślady.
Masz wielkich mistrzów bogate przykłady:
Przed tobą pusta a szeroka niwa,
Którą wiatr z głuchym pogwizdem przepływa,
Zkąd ledwie pieśni wiedziony potrzebą,
Drobny skowronek podrywa lot w niebo.

Ludomir (*z zapałem*).

O tak! szerokie przedemną pole!
Daj mi o Panie oko sokole
I lot sokoli, i skrzydły daj,
Bym obiegł wkoło kraj mój rodzony,
I swojskiéj pieśni cudnemi tony
Uczcił on piękny, on Boży kraj!

O! bo uroczy brzeg nasz wiślany,
I te faliste pszenicy łany,
I cudny wonią kwiat naszych pól;
I zgodnie brzęczą pszczół naszych roje,
Gdy na mozolne nie bącząc znoje
Przynoszą plony do matki w ul.

Bo tak nadobnie w ciszy głębokiéj
Szumią po zwirze nasze potoki,
Tchnie woń żywiczną sosnowy bór;
I drobne ptastwo w dąbrowie ciemnéj
Wdzięcznie rozhowor wiedzie tajemny,
Jednocząc pieśni w poważny chór!

Lecz nad te pienia, nad poszmer fali,
Cudniéj, gdy zorza niebo zapali,
Bieży jęk dzwonu w porannéj mgle,
Złączon z modlitwą wiernego ludu,
Gdy wśród niedoli pracy i trudu,
Bogarodzicy pokłony śle!

O! milej patrzeć jak pochylony
Poczciwy kmiotek orze zagony,
Jak szorstką ręką prowadzi pług;
Z jaką mu serce wiary potęgą
Pod tą wytartą bije siermięgą,
Jaką otuchą skrzepia go Bóg!

O błogo patrzeć, jak na téj ziemi
Boży się zasiew cudownie plemi,

We mgle niebieskich skąpany ros;
Jak na serc prostych bogatéj roli
Dojrzewa prawdy ziarno powoli,
Nim w chleborodny wybuja kłos!

Stanisław.

Spiewaku ludu, wielkie twe zadanie!
Może pieśń twoja zwiastunką się stanie
Nowego świtu! Jan czcił owe męże
W kirys okute, a zbrojne w oręże,
Co pierśmi strzegąc granic w imię wiary
Toczyli harce z Turki i Tatary.

Jan uczcił pieśnią te przesławne chwile
Gdy August w blasku monarszym i w sile,
Boży posłannik, ojciec ludów tkliwy,
Sprzągł dwa narody, miłości ogniwy;
Gdy z berłem w dłoni, i w płaszczu szkarłatu,
Widział składane u stóp majestatu
Hołdy lenników, ich pyszne proporce,
Bijące czołem o ziemię Pomorce;
Widział Legaty i dostojne posły,
Jak w świat rozgłosy jego cześci niosły!

Te brzmienia w lutni zaplecione dźwięki
Drgnęły pod tknięciem wieszczéj Jana ręki
I wiatr je rozwiał szeroko po kraju,
Od skał Karpatu, od łoża Dunaju,
Do bursztynowych Baltyku wybrzeży;
Zaklął ją w głuchych puszczach Białowieży,
Kędy z żubrami gwarzą o nich tury,
I starych orłów korowód ponury!

Inne dziś dźwięki o śpiewaku ludu!
Niech brzmią w twéj pieśni! Błagaj z nieba cudu:
Niech Pan potęgą uzbroi twe słowo,
By błyskawicą przebiegło nad głową
Twych sennych braci. Niech twa pieśń im wskaże,
By w serc swych głębi stawiali ołtarze
Bogu a prawdzie! By czyści i bieli
Uszli bez skazy światowéj topieli,
Krwią niezmazani, ani mogił pleśnią,
Jedno niech z wiarą, modlitwą a pieśnią,
Z miłością w święte rozrodzoną czyny,
Wolni od pychy, ułudy i winy,
Z duchem skrzepionym wyższéj łaski mocą,
Walczą z serc własnych obłędem i nocą.

Śpiewaku ludu! niech dziś słowo twoje
Takie opiewa zwycięztwa i boje.

Ludomir.

O! tyś zrozumiał myśl mą, przyjacielu.
Dzięki ci! pieśń ma nie przebrzmi bez celu.
(podaje rękę Stanisławowi).

Stanisław.

Wszakże poeta w pierś gorącą chłonie
Myśl, którą złożył Bóg na czasów łonie,
Szczęśliw, gdy wporę pochwycić ją zdoła.
Wtedy niech pieśnią na ludzi zawoła,
A każdy drgnieniem serca mu odpowie,
Bo w każdéj piersi, w każdéj żyje głowie
Słowo śpiewaka, wyśnione, przeczute
Nim on je zaklął w czarodziejską nutę!

VI.

Noc. Sala jadalna rzęsisto oświetlona, zastawiona wspaniale. Przy stole przybranym w srebra, kryształy i kwiaty, siedzą napół pijani biesiadnicy, a pomiędzy nimi Wacław i hrabia. Służba nalewa wino w puhary. Jeden z obecnych gości powstaje, i wznosząc w górę kielich, śpiewa. Muzyka przegrywa na wesołą nutę.

Żyć i użyć, póki czas!
Dość ma życie walk i prób!
Dziś niech nektar skrzepi nas,
Może jutro czeka grób!...

Blado płonie życia kwiat
Na bezdrożu pustych dni;
Tyleż złudy daje świat,
Ile kropel w czarze lśni!

Niech świętoszek pragnie chłost,
Niech się modli w celi mnich:
Im rozkoszą ducha wzrost,
Nam gwar biesiad, wrzawa, śmiech!

Nasze łodzie z pędem fal,
W wartką życia pchnijmy toń;
Pierś uzbrojmy w twardą stal,
W kwiat oplećmy zwiędłą skroń!

Tyś Wacławie wskazał wzór
Jak kwiat ułud w życie wpleść;
Złączmy pieśni w jeden chór:
Twą poeto głośmy cześć!

Wszyscy (*chórem*).

Żyć i użyć póki czas!
Dość ma życie walk i prób;
Dziś niech nektar skrzepi nas,
Może jutro czeka grób!
(*słychać powszechne oklaski*).

Różne głosy.

Brawo! brawo!

Inny głos.

Wybornie.

Wacław.

Godne wieku słowa,
Kiedy światu pochodnia przyświeca grobowa.
Nim puścim łódź na fale, spełnimy ułud czaszę,
Bo noc roztacza skrzydła, bo jutro nie nasze!
(*wyciąga rękę z pełnym kielichem*).
No! szczęknijmy w puhary, splećmy wzajem dłonie,
W czarodziejskim nektarze niech boleść utonie.
(*piją wszyscy*).

Hrabia (*do Wacława*).

Poeto! tyś nam winien słowo pieśni wieszcze.

Wacław
(*półgłosem wskazując ręką w przeciwległe okno*).

Moja gwiazda już zgasła!

Hrabia.

Ona zalśni jeszcze!
Patrz! jak w stronę pierzchają czarne chmur tumany.
Księżyc błysnął uroczo, mgłą srebrną owiany:
W takiéj chwili moc natchnień tajemnicza leży.

Wacław.
(*przysłuchując się chwilę*).

Czy słyszycie jak kwilą puchacze na wieży?
To zwiastuny niedoli, posłanniki skonu!

Hrabia (*pogardliwie*).

Tak nam prawią podania. Do innego tonu
Nastrój pieśń swą, poeto: niech Ludomir młody
Zafleci dumkę tkliwą w cześć sielskiéj zagrody.
Duch twój w wyższą, w przestrzeńszą krainę niech sięga,
Znana światu twych orlich polotów potęga!
Niech dawny żar płomieniem twoję pierś zapali.

Wacław
(*napół pijany wyciągając rękę w stronę okna, mówi sam do siebie*).

Gwiazdo moja! coś lśniła na powietrznéj fali,
Gdzie jesteś? Czy mi wzejdzie jeszcze blask twój złoty?
O nie! na mój widnokrąg spadł całun tęsknoty!
Na skrzydłach niedoperzych duch bezsilnie wzlata....
(*z goryczą*).
Mém hasłem, mém natchnieniem: rozpacz i zatrata!
(*zwracając się do obecnych*).
Nie żądajcie méj pieśni: jéj zatrute jady
Niezleczone na duszy wypalą wam ślady.
Płomień życia wysuszył moich natchnień zdroje,
Gwiazda zgasła! Wy pieśni, wy cudne sny moje
Gdzie jesteście?! Noc głucha, noc czarna dokoła!
(*Wskazując w okno, z rozpromienioném nagle okiem*).
Coś zabłysło!... czy przemknął biały cień anioła?
(*Smutno skłaniając głowę*).
To złuda! Pusto, ciemno, ponuro jak w grobie...
(*Z coraz większym zapałem, wskazując ciągle w roztwarte okno*).
Patrzcie tam, przez chmur kłęby mknie widmo w żałobie.
To on! on, co wypalił piętno na méj duszy,
Tchnął w łono żółć szyderstwa, pierś zwątpieniem suszy,
Co myśl mą na torturach niewiary rozpina.
Słuchajcie! on mi szepcze przekleństwo Kaina!
Słowo, które w rozpaczy czerpiąc siłę z piekła,
Nad głową bratobójcy własna matka rzekła,
Na które wstrząsł się anioł, co strzegł raju bramy:
Chcecież słyszeć to słowo?

Wszyscy.

Słuchamy, słuchamy!

(*Podczas mowy Wacława, Ludomir i Stanisław weszli prawie niepostrzeżeni do sali*).

Wacław.

„Potworo! ty coś łono nieskalane ziemi
Piérwszy splamił krwi bratniéj strugi czerwonemi,
Coś w ziarno śmierci posiał żywota pustkowie,
Zabójco niewinnego—przekleństwo twéj głowie!...
Niech cię serca własnego wieczna trapi nędza,
Niech cię wiatr po pustyni, jak plewa przepędza;
Niech na kark twój podniosą dłoń wyrodne syny,
Niech cię z mieczem ognistym gonią Cherubiny.

Gdzie stąpniesz, niechaj węże oplotą cię kołem;
Niech się owoc w twych ustach rozsypie popiołem!
Gdy na pościel z mchu miękką padniesz snem znużony,
Niech się pod głową twoją lęgną skorpijony;
Niech widmo twéj ofiary ściga ciebie we śnie,
Trwoga śmierci niech włos twój ubieli przedwcześnie;
Gdy usty tkniesz sprośnemi czystego napoju,
Niech się tobie w krwi strugi zmienią wody zdroju:
Bo kto wiekom przekazał bratobójcze noże,
Niech żyjąc, wiecznie kona, a skonać nie może!
Choć gruby czasu pomrok twe imię otoczy,
Potomność niech ci bluzga przekleństwo na oczy!
Niech za stóp twych dotknięciem miękka trawa spłonie,
Niech dąb nie rzuca cieniu na twe spiekłe skronie;
Niech ziemia nie ma schrony, ni grobu dla ciebie:
Nie znaj słońca w przestrzeni, ani Boga w niebie (1)."

Stanisław *(ze zgrozą).*

Panie! przebacz bluźnierstwo!

Ludomir *(oburzony).*

Włos wstaje nad głową!

Wacław *(z goryczą).*

Wszyscy, wszyscy dzierżymy klątwę Kainową,
Każdy spełnia po kropli swój puhar goryczy:
Ile serc, tyle piekieł nędzna ziemia liczy!

Wszyscy.

Brawo! brawo poeto!

Hrabia.

Jaka myśl bogata!

Wacław.
(stłumionym głosem).

Mém hasłem, mojém godłem: rozpacz i zatrata!!....

Hrabia *(do służby).*

Lejcie wino w puhary!
(do Wacława).
Poeto, twe zdrowie!
(pije, i oddaje puhar Wacławowi).

Wacław
(spełniwszy kielich).

Spełniłem co do kropli! Lecz kto mi odpowie?
(Spostrzegając Ludomira, mówi do niego z urąganiem).

(1) Kain, Byrona.

Sielski śpiewaku!... jaskółko z pod strzechy!
Zanuć nam dumkę niewinnéj pociechy:
Na twojéj niwie siła kwiatu rośnie,
Przynieś nam wieści o słońcu, o wiośnie!
Wzbij się ku niebu skowronka podloty,
Opiewaj zorzę i poranek złoty,
I jasną dolę, jaką człek na ziemi
Zaznał, gdy pląsał smugi kwiecistemi,
Nim Pan, dostrzegłszy w sercu jego plamy,
Wygnał go chłostą za Edenu bramy,
Na nędzę, pracę, boleści i krzyże.
Składam w twe ręce puhar, Ludomirze!
(Nalewa puhar i oddaje go Ludomirowi).

Ludomir.
(odtrącając go).

Precz z nim na wieki! Nie w durzącém winie,
Lecz z nieba, wieszczom moc natchnienia płynie!
Biada, kto w błoto rzuca dary boże,
Kto w sercach bratnich ściele gadom łoże,
Kto z łona zionie zgnilizną grobową,
Kto w grom zniszczenia mieni pieśni słowo!
Kto miota klątwy, sam stokroć przeklęty:
Jego się sława rozpryśnie na szczęty,
Jak ona czasza...
(Porywa puhar z rąk Wacława i rzuca go na ziemię)
Ja w niéj ust nie zmażę!
Drudzy niech kłamstwu stawiają ołtarze;
Mém godłem: prawda, nadzieja a wiara!

Hrabia (*szyderczo*).

O! to podobno piosnka bardzo stara,
Źle dziś popłaca!....

Głos z boku.

To człowiek szalony!

Hrabia *(z urąganiem).*

Coś śpiewak ludu, sielskiéj pieśni tony
Na nieco wyższą nastroił dziś skalę.

Głos z boku.

Jeszczem go w takim nie widział zapale.

Stanisław
(*do Ludomira*).

Pójdź Ludomirze! nie twoje tu pole:
Darmo tu skrzydła rozwijać sokole,

Gdzie moc natchnienia jad szyderstwa studzi,
Tam gdzie miłością tleją serca ludzi,
Kędy pierś czysta, a duch nieskalany,
Chronią się w cieniu zagrody chruścianéj:
Tam przemów pieśnią, a rzewnéj twéj nucie
Szczere a święte odpowié współczucie!
(*odchodzą*).

Hrabia
(*do Wacława, który stoi jak skamieniały*).

Ocknij się wreszcie!

Głos z boku.

Co jemu? drży cały!
Blady jak widmo, usta mu zsiniały!

Hrabia.

Czyż tak cię zawiść ma obchodzić czyja?
Słowo, czcza bańka!

Wacław (*ze zgrozą*).

O! słowo zabija!..

VII.

Noc, gwiazdy i księżyc świecą na niebie, drobne chmury chwilowo je przysłaniają. Brzeg Wisły w bliskości Warszawy, któréj mury i wieże widać na boku. Na wzgórku ponad Wisłą stoi dworek ocieniony drzewami, w jedném oknie płonie światełko. Wacław niedbale odziany, z roztarganym włosem zbliża się blady i pomieszany od strony miasta).

Wacław
(*stłumionym głosem*).

Niech raz odetchnę pełną piersią jeszcze,
Niech zwiędłe serce i oko napieszcze
Cudnym obrazem wiślanych wybrzeży.
(*wskazując w stronę Warszawy*).
Tam mgła nad miastem rozpostarta leży,
A za nią ludzkie roją się mrowiska.
Nademną niebo gwiazdami rozbłyska,
I w promień srebrny ściele Wisły wody:
Tam ja spokojnie przepłasał wiek młody....
(*coraz rzewniejszym głosem*).
W duszy méj było tak jasno, tak błogo!
Tu, dobrzy ludzie pod strzechą ubogą

Wzięli sierotę, podali kęs chleba,
Uczyli wiary i miłości nieba!....

(*wskazując na dworek*).

Przez olch gałęzie światło w oknie błyska.
Pójdę tam, zajrzę!....

(*idzie ku dworkowi i przykłada twarz do okna*).

Widzę u ogniska,
Stara niewiasta siedzi przy kądzieli.
Onażto? Marta, co z chłodnéj topieli
Wyrwała dziécię, gdy wzburzone wody,
Dach staréj ojców rozniosły zagrody,
I życia całą zbawiły rodzinę!

(*wyciągając ręce z uczuciem*).

Marto! tyś senną podjęła dziecinę,
Tyś ją ogrzała twojéj piersi ciepłem,
Gdy krew ostygła w mém sercu, pół skrzepłem;
Tyś mą kolebkę z bystrych fal wyrwaną
Tam ustawiła, pód bieluchną ścianą,
Kędy Marya z Jezusem na łonie
Czuwała nad nią w gwiazdzistéj koronie.

(*z głęboką boleścią*).

Sroższe mą prądy miotają dziś Marto!
Bo z głębi serca miłość mi wydarto,
Bo mi burzliwe żywota koleje
Stargały wiarę, rozwiały nadzieję;
Bo duch mój Marto, złamany i chory,
Nie śmie się podnieść na skrzydłach pokory,
O! bo go szatan otumanił pychą!

(*oglądając się wkoło i mówiąc coraz rzewniéj*).

Jakże tu błogo, uroczo i cicho!
Tylko niekiedy zabrzmi świerszcz domowy,
Klekotnie bocian, lub zaryczą krowy,
Jaskółki dziobki wychyliły z gniazda.
Czyżby tu moja nie zalśniła gwiazda,
Gdybym ją przyzwał z nadzieją i wiarą?
Módl się aniele, módl się czysta Klaro,
A Bóg wysłucha twéj modlitwy świętéj.

(*ociera łzę, po chwili z goryczą*).

Nie! kto przeklina, sam stokroć przeklęty!
Słyszę jak sowa zajękła na gruszy.
Ha! śmiech mnie bierze, zkąd w méj zwiędłéj duszy
Iskra nadziei ostatnia rozbłysła?!
Znów wiatr powstaje, szumi pianą Wisła,
Ponury obłok przeciąga nad głową;
Już nocne ptastwo pieśń kwili grobową,

Już błyskawice wróżą grom złowrogi;
Chłodno mi, straszno, drżę cały od trwogi...
(*chwila milczenia, Wacław przypomina sobie coś nagle, potém dobywa wino z flaszą*).
O! mam czém skrzepić jeszcze pierś spaloną:
W durzącém winie, niech troski zatoną!
(*pije, po chwili w coraz większém obłąkaniu*).
Lżéj mi, swobodniéj! Pierzcha obłęd szary.
(*wyciąga ręce ku Wiśle*).
Widzę dokoła pląsające mary,
O! jakże cudne! jaki blask ich lica!
Promieniem gwiazdy ich oko przyświeca,
A włos ich złoty powiewem trącony,
Przynęca pieśni czarownemi tony!
(*Zbliża się nad brzeg Wisły, o którą w tejże chwili odbił się jasno promień księżyca*).
Księżyc otrząsnął z mgły senne oblicze.
Jakże nadobnie duchy tajemnicze
Mkną w srebrném świetle po zwierciadle wody:
Pieśń ich tchnie wonią wiosennéj pogody.
Pomnę ją niegdyś: jéj to dźwięki złote
W kołysce łzawą koiły sierotę.
Niechże dziś spełnią cudną wróżbę swoją,
Stargane serce niech jeszcze ukoją!
Niech pierś zbolałą do snu ukołyszą,
I myśl napełnią spokojem a ciszą.
(*chwilę słucha w milczeniu*).
Coraz czarowniéj, drżąc po wód głębinie
Słyszę, pieśń ku mnie z pędem fali płynie.

Pieśń zoddali.

„Gdy wokoło twojéj głowy
Słońce skreśli łuk tęczowy,
Gdy cię dojmie letni znój:
Do mnie, do mnie na dno fali,
Mam ja z pereł i z korali
Czarodziejski pałac mój!"

Wacław
(*z zachwyceniem wyciąga obie ręce*).
Idę, idę za twym cieniem,
Czyliś złudą, czy marzeniem,
Czarodziejko z Wisły łona
Przyjm sierotę w twe ramiona!

Dosyć bolu, dość zawodu!
Ty mi śpiewaj jak za młodu,
Gdyś kołyski méj podnóże,
Oplatała w wonne róże.

Długom tęskny gonił ciebie
Po mych marzeń jasném niebie,
Pełen wiary i zapału
W postać twego ideału.

Jam przybierał twory ziemi,
A ty skrzydły promiennemi
Otulona w mgłę obłoku,
Błysłaś ledwie memu oku.

I znów ciebie niosła zdala
Kryształowa Wisły fala:
Gdy mnie boleść i tęsknota,
W stek ziemskiego pchnęła błota.

(*z coraz większym zapałem, przystępując bliżéj Wisły*).

O! nie zbiegniesz ty przedemną,
Nawet w otchłań wód tajemną
Pójdę stale twemi ślady,
Jak za słońcem księżyc blady.

W świat nieznany, w świat daleki,
Wierny tobie na wiek wieki!

(*Z wrastającém obłąkaniem, przyglądając się z rozpromienioném okiem*).

Tyś wyciągła ku mnie dłonie,
Stąpasz lekko po wód łonie
Niby senny cień;
Jak różowy odblask świtu,
Co rozsiewa wśród błękitu
Promienisty dzień!
Dźwiękiem harfy głos twój złoty
Brzmi przygrywką dla sieroty,
Tchnie w pierś życia zdrój;
Czarodziejko z Wisły łona
Otwórz śnieżne twe ramiona,
Jam na wieki twój!...

(*Rzuca się w fale Wisły. Na plusk wody, gwiazda blado tlejąca spada z nieba. Słychać tajemniczy śpiew wodnicy*).

„Do mnie, do mnie piewco młody,
Gdy owiały ziemskie chłody
Pałającą twoję skroń;
Mam ja pałac na dnie fali
Z pereł, złota i korali,
Tam natchnioną głowę schroń.

Znajdziesz u mnie wieczną ciszę,
Ja cię do snu ukołyszę,

Na wezgłowiu z wonnych róż;
Patrz wyciągam z fali łona
W górę śnieżne me ramiona:
Tyś na wieki moim już!!!

VIII.

(*Zachód słońca, w blizkości wioski widać krzyż na rozstaju. Matka niewidoma postępuje zwolna, wsparta na ramieniu Zosi, drogą wiodącą od wioski do krzyża*).

Matka.

Dalekaż jeszcze nam droga do krzyża.

Zosia.

Już blizko, matko!

Matka.

Wszak słońce się zniża?

Zosia.

Zajdzie za chwilę; już za las jodłowy
Złote promienie skryło do połowy.

Matka (*oddychając pełną piersią*).

Czuję rzeźwiącą woń wieczornéj rosy;
Jakże przyroda czarownemi głosy
Mówi do człeka o Bogu, o niebie!
(*zwracając się do Zosi*).
Biedneż ty dziécię!... jak ja trudzę ciebie!
(*coraz tkliwiéj*).
Tyś mi ramieniem, tyś źrenicą oka,
Odtąd, jak wieczna zćmiła mi pomroka
Ten świat tak piękny, i błękit i zorzę!

Zosia
(*stawiając matkę pod gruszą niedaleko krzyża*).

Czekaj tu matko, zaraz ci ułożę
Ze mchu miękkiego wygodne siedzenie.

Matka.

Dobrze aniele, o jakże ja cenię
Twoję troskliwość i serdeczne chęci!

Zosia.

Matko, ja także wiecznie mam w pamięci
Twe miłosierdzie dla biednéj sieroty.

Matka.

Ty mi przywodzisz młodości wiek złoty!

Twa matka niegdyś była mi tak miłą
Jak własna siostra: dziś, gdy pod mogiłą
Spi już na wieki, mogłażbym jéj dziecie,
Samą, sierotę, zostawić na świecie!?

(*Siada na posłaniu ułożoném naprędce przez Zosię: po chwili*).

Lecz mój Ludomir? czemu on nie wraca?

Zosia.

(*siadając u stóp matki*)
Pewno go ważna zatrzymuje praca.
Zobaczysz matko, przybędzie niedługo,
Nową zbogacon sławą i zasługą.
Kto wié, dziś może ujrzymy go jeszcze!

Matka.

Dawno tą myślą serce tęskne pieszcze,
Ale daremno! Dzień za dniem ulata,
A Ludomira nie widać ze świata.
Tak mi na duszy tęskno i boleśnie!

Zosia.

Matko! wszak mamy jego wdzięczne pieśnie:
W nich nam przysyła część własnego ducha!
Jak słowo jego przypada do ucha,
Jak błogą w sercu obudza nadzieję!

Matka.

On złote ziarno dla przyszłości sieje,
Gdyby siew prawdy ludzie cenić chcieli!.

Zosia.

Jego się pieśnią radują anieli,
Czy to nie dosyć?

Matka.

Tak, dość dla poety,
Gdy pieśń mu własna dodaje podniety,
Gdy wiedzion prawdy wielowładną siłą
Ku czci jéj śpiewa: lecz komuż nie miło
Uczuć poczciwy uścisk bratniéj dłoni?
Sercu nie starczy liść bluszczu na skroni.

Zosia.

I któż miłością nie płaci poecie
Za szczere słowo?

Matka *(smutno).*

Niezawsze na świecie
W ślad za zasługą przychodzi nagroda;
Nieraz przeboli pierś poety młoda.
Siła zawodów, cierpień i goryczy,
Nim łzy zronione stróż anioł policzy.

Zosia.

Ale szczęśliwy, kiedy jego słowo
Brzmi wkoło rosą niesione majową;
Kiedy milczące rozwesela sioła!
Gdy utulone pod skrzydły anioła
Serce porywa ku Bogu, wysoko!
Dalej niż sięgnie myśl nasza i oko,
Gdy nowy obszar dla ducha otwiera!

Matka.

Śpiewaj mi dziecię dumkę Ludomira:
Wszakże świat cały o wieczornéj zorzy
Dziękczynną pieśnią przed Panem się korzy.
Złącz głos twój czysty wraz z dźwięki cudnemi,
Co brzmią niebiosom podzwonne od ziemi.

Zosia.

O! chętnie matko, jam zawsze gotowa
Zanucić rzewne Ludomira słowa.

(śpiewa).

„Dziéweczko aniele, ty ścielesz w kwiat
Bezbarwne koleje żywota dróg;
By lodem nie zaskrzepł on piękny świat,
Jak rosę z błękitu zsyła cię Bóg.

Tyś tęczą promienną, co jasno lśni
W przestrzeni owianéj bladawą mgłą:
Co wróży uroczo na dalsze dni
Cudniejsze i czystsze żywota tło.

Ukochał cię anioł, téj ziemi stróż;
Czarowny ci powab jak tarczę dał;
Na licach tchnął krasę płomienną róż,
A ziarno ci prawdy do serca wsiał.

Niech ziarno to w złoty wybuja kłos,
Strzeż myśl twą od marzeń i sennych złud;
Wznoś w niebo z modlitwą błagalny głos,
Ogrzewaj twém tchnieniem serc ludzkich chłód.

Przez szare a groźne tumany chmur,
Niech w górę ulata duch czysty twój;

Niech wiara mu doda łabędzich piór,
Niech skrzepia go święty nadziei zdrój.

Za słońcem, za prawdą, goń okiem wciąż,
Przyciągaj ich promień w domowy próg;
Ty z ziemią niebiosa miłością wiąż:
To święte zadanie wskazał ci Bóg!...

Podczas gdy Zosia śpiewa, Ludomir ukazuje się w oddali po drugiéj stronie rzeczki w podróżném ubraniu. Przystawa na chwilę, opiera się o pień olchy, i słucha pieśni w milczeniu).

Zosia
(*spostrzegając Ludomira*).

Matko!

Matka.

Co tobie?

Zosia.

Nic, nic; to sen może!

Matka.

Czy nie Ludomir?

Zosia.

On matko!

Matka.

O! Boże!
Gdzież jesteś synu?

Zosia.

On jeszcze daleko,
Tam pod olszyną, przystanął za rzeką
Słuchając pieśni.

Matka.

Panie! dzięki Tobie!
Nim głowę złożę na spoczynek w grobie,
Pobłogosławię raz ostatni syna.

Zosia
(*patrząc w stronę idącego Ludomira*).

Teraz go liśćmi przysłania olszyna:
Znowu go widzę, odkrył znojną głowę,
A wiatr rozwiewa jego włosy płowe.
Już dobiegł mostu, będzie tu za chwilę.

Matka
(*wyciągając ręce do Zosi*).

Pomóż mi dziecię, bo o własnéj sile
Nie zdołam nawet klęknąć u stóp krzyża.

(*Zosia pomaga powstać matce i prowadzi ją do krzyża, pod którym klękają obiedwie. Dzwon z kościelnéj wieżyczki bije na „Anioł Pański". Ludomir przystępuje zwolna, blady, wzruszony*).

Matka.
(*unosząc ręce do góry*).

Boże! Tyś wejrzał na mnie!

Zosia
(*oglądając się*).

Już się zbliża!

Matka.

Ukorzmy naprzód przed Panem kolana,
Z Jegoto łaski ta chwila nam dana!

(*Modlą się obiedwie w milczeniu.—Ludomir nadchodzi, i klęka za niemi. Matka po krótkiéj modlitwie wyciągając ręce do syna.*)

Witaj mi synu!

Ludomir.

Witaj matko droga!

(*Rzuca się do nóg matki, ona przytula go do piersi.*)

Matka.

Jak ty drzysz cały?!

Ludomir.

Niepojęta trwoga
Zdjęła me serce, gdym się ujrzał blizko
Celu méj drogi!

Matka (*poważnie*).

Nie zgasło ognisko
Pod naszą strzechą z Przedwiecznego woli!
Jest i dostatek, i własny kęs roli,
Który za ojców plon wydawał złoty;
Jest dach, co głowę ochrania od słoty;

Jest stara grusza, gdzie białe bociany
Przynoszą promień doli pożądanéj.
Są serca ciche, cierpliwe i stałe:
Można tu wiankiem przewić życie całe,
Z pieśnią, z nadzieją, z miłością i wiarą!
Można tu zakląć czarami mgłę szarą,
Co się wokoło serc zmrożonych ściele;
Można tu z niebios wymodlić wesele!..

Ludomir (*patrząc na Zosię*).

Głos ten anielski wybłagać je zdoła....

Matka (*z uczuciem*).

Głos to i serce przeczyste anioła!
Ona wspierała moje błędne kroki,
Gdy Bóg rozesłał ten pomrok głęboki
Co mi całunem świat przyćmił grobowo!
Ona wtórzyła mi twéj pieśni słowo....

Ludomir.

Słyszałem matko, w olszynie za rzeką,
Jak wiatr roznosił doliną daleko
Srebrnego głosu nieskażone tony!

Matka.

Niech będzie synu dzień błogosławiony
Twego powrotu w święte ojców progi!
Już kres przebiegłeś onéj stromej drogi,
Którąś za sławą gonił i znaczeniem.
Dziś osłoń głowę staréj lipy cieniem,
Za pług żelazny pochwyć ręką śmiało:
Orać twą skibę, dziś tobie przystało.
Masz ją użyźniać krwią, potem i łzami.
Nie szczędź ich synu! O! jest Pan nad nami,
On sam policzy twe rany i bole,
Bo życie nasze, synu! to nie pole,
Kędy falują wiecznie złote kłosy,
Z których nam wolno ciąć bujne pokosy:
Życie, to rola skalista a sucha,
Którą masz ogrzać tchnieniem twego ducha;
Gdzie masz wytrzebić pniów spróchniałe szczęty
I złożyć posiew dla przyszłości święty.
Życie, o synu! to powszechna niwa,
Kędy plon prawdy pomału dojrzewa;
Gdzie człowiek składa swéj zasługi ziarno.
Biada! kto przeszedł bezpłodnie i marno
Jałowym stepem, z kołyski do grobu,
A nie zbogacił bratniego zasobu!

Ludomir (*z zapałem*).

Jam rannemi, matko, laty
Zrywał barwne pieśni kwiaty;
Jam je z wiarą i w pokorze
Na dni ludzkich siał bezdroże,
I poszczęścił Pan méj chęci.
W bratnich sercach i pamięci
Pozostało słowo moje,
I wytrysły czyste zdroje
Z serc zaskrzepłych w lodu bryły,
Gdy je pieśni me stopiły.
Dziś mi nowa doba błyska,
Wracam z wiarą do ogniska,
Kędy ojców szorstkie dłonie
Pług wodziły po zagonie.
Tu pieśń moję w życie wplotę,
Może wyda plony złote!

Daléj z wiarą i nadzieją
Rzućmy w ziemię Boży siew;
Zanim pola z zielenieją,
Niech tęsknotę koi śpiew.

Wszak ta ziemia nieskażona,
W długiém paśmie zbiegłych lat
Wydawała szczodrze z łona,
W chwałę Panu, kłos i kwiat.

Ty z niebiosów jeno Panie!
Spuść nam łaskę, dodaj sił;
Żywot pieśnią nam się stanie,
Jak nią ojcom niegdyś był!

Matka.

Jak do pieśni w ranne lata,
Gdyś biegł śmiało w obszar świata,
Tak do pracy dziś i czynu,
Błogosławię tobie, synu!

(*Ludomir klęka przed matką, która składa krzyż na jego czole*).

IX.

Przy ostatnim blasku zachodzącego słońca, widać w oddali stary dworek ocieniony lipami. Pod drzewem, na kamieniu siedzi Ludomir. Ociemniała matka spoczywa w wygodném krześle pod ścianą dworka; przy niéj siedzi Zofia z robotą w ręku. Grono drobnych dziatek pląsa swobodnie po murawie. Na łące ponad rzeką krążą duchy starych lirników. Gwiazdy zapalają się po jednéj na niebie.

Chór lirników.

Ponad cichym dworku progiem
Gwiazda złoty sieje blask;
Tam upływa żywot z Bogiem
Wzmocnion siłą wyższych łask.

Jakby wody dwóch strumieni
Zlane społem w jeden prąd,
Płynąc cicho po przestrzeni
Użyzniają brzeżny ląd;

Tak z żywotem pieśń spleciona,
A zaklęta w święty czyn,
Cudu mocą swą dokona,
Zmaże plamy bratnich win.

Bo ten tylko, kto podoła
Spoić życie z pieśnią wraz,
Kto pod tarczą piór anioła
Ustrzegł serce ciemnych skaz;

Ten dobędzie jedno z siebie
Cudotwórczéj pieśni ton,
I wyśpiewa wieść o niebie,
Bo je w sercu nosi on!

(Anioł przepływa w obłoku ponad wioską).

Anioł.

Dwie świetne gwiazdy w niebios przestrzeni
Jam tu zapalił, téj ziemi stróż:
Jedna zalśniła blaskiem promieni,
I w mgle obłędu zagasła już!

Druga przyświeca jasno i czysto,
I tor niebieskich wskazuje dróg;
I cudnie złoci strzechę ojczystą,
Bo jéj promienie zażegnał Bóg!

Przy jéj odblasku widzę w oddali
Piewcę, pod cieniem odwiecznych drzew;

Płomień natchnienia oko mu pali,
A z piersi drżący wypływa śpiew.

Młoda małżonka sieje mu kwiatem
Pasmo żywota, pogodnych dni;
I w zgodzie z Bogiem, z sobą i z światem,
Śpiewak o doli aniołów śni.

Śpiewaj o piewco, ja twoje pienia
Wezmę na skrzydła ze śnieżnych piór;
Sam je poniosę w modre sklepienia,
Gdzie Cherubinów brzmi Panu chór.

I po téj ziemi dźwięk ich rozniosę
Jak gwiazd odblaski, jak kwiatów woń,
Jak w czas posuchy majową rosę
Z piór mych otrząsam, wśród ziemskich błoń.

A ty śpiewaku, coś padł w pogoni
Za złudnym wieńcem znikomych róż;
O! niech nad tobą choć łzę uroni
Zwiastun natchnienia, twój Anioł Stróż!

Chór Lirników.

Już ognisko w dworku zgasło,
Ziemię czarna słoni noc;
Kur północne pieje hasło,
Teraz w pełni duchów moc.

Z chłodnych mogił wstańmy wspołem,
Z mgłą nad nizki spłyńmy dach;
Ukołyszmy wraz z aniołem
Piewcę w wieszczych jego snach.

W lir odwiecznych rdzawe struny
Jemu brzmijmy bracia wraz,
Niech rozsuną się całuny,
Co mu zbiegły słonią czas.

Niech się stanie tém ogniwem,
Co przeszłości cudny kwiat,
Zaklnie słowem prawdy żywem
Wczarodziejski pieśni świat.

Daléj z mogił bratnie duchy,
Otrząśnijmy czasów pleśń;
Niech mu w ciszy, nocy głuchéj,
Nieśmiertelna zabrzmi pieśń!

PRZYSŁOWIA KASZUBSKIE.

PRZEZ

K. Wł. Wójcickiego.

Piąty rok upływa, jak po raz piérwszy Lesław Łukaszewicz wydaną broszurą w Krakowie 1850 r., zwrócił uwagę na Kaszubów i ich język (1).

Podjąłem przedmiot ten w Bibliotece Warszawskiéj, a składając sprawozdanie o wydanéj broszurce, wskazałem niedostatek przywiedzionego kaszubskiego słowniczka, dołączając tam opuszczone a powszechne wyrazy.

Rzecz dotąd ciemna o Kaszubach czyli Kaszebach, zaczęła się wyjaśniać. Z pomienionéj broszury, w któréj Wójkasena rozprawa „o Kaszebach i ich ziemi," w narzeczu kaszebskiém spisana, okazała to narzecze w całym blasku; dodana „Rzecz o języku kaszubskim," Prejsa, nie zostawiły żadnego powątpiewania, że to narzecze jest gałęzią nietylko polskiego języka, ale małym odcieniem narzecza mazowieckiego.

W tym czasie otrzymaliśmy od znanego badacza naszego p. Tymoteusza Lipińskiego nadesłany mu zbiór przysłów kaszebskich, zebrany przez Stanisława Floryana Cejnowe (przesłovjo kaszebskie), a wynoszący z górą 400 przysłów.

(1) „Kile słov wó Kaszebach e, Jich zemi" przez Wójkasena. Kraków, 1850 r., w 16-ce str. 36.

Szacowne te pomniki językowe podpierają nasze zdanie silnie, któreśmy wyrzekli dawniéj (1), że mowa kaszubska jest tylko małym odcieniem narzecza mazowieckiego. Błąkają się dziś jeszcze w pisowni Kaszuby, tak jak to było w czasach pierwotnych druków polskich XVI wieku. Nie umieją nawet używać stosownie naszego alfabetu (2), i przez to język kaszubski, będący rodzoną gałęzią mowy mazowieckiéj, przystroili w takie szaty dziwoląga, że miasto zbliżyć, uprościć pisownią, o ile można z zachowaniem brzmień właściwych podług wymowy, zdaje się, że chcą kaszubskiemu narzeczu dać zewnętrzną formę oddzielności.

Rzeczą jest widoczną i wiadomą, że każdy naród odbił w przysłowiach myśl, mądrość swoję, charakter i wrażenia ze świata zewnętrznego, i ślady życia i pochodu historycznego przechował. Są to kwiaty polne, rodzime, w których naleciałka obca, jaskrawością barwy i nieszykownością swoją, zaraz się przed okiem badacza zdradzi. Poznasz tego obcego w języku rodowym przybysza z miny i czupryny; tak on niekształtnie swoją postacią uderza, tak nieskładnością wyrazów w objawie myśli odstręczy.

Któż jest piérwszym twórcą tych pieśni nieuczonych, co jak tysiące wiosennych śpiewaków polnych i leśnych, krążą nad strzechami sielan naszych, i dla serc młodych są ową zbawczą rosą, co uczucia odżywiają w skwarze i trudzie życia? Tych przysłów i przypowieści, co stanowią niepisaną a znaną wielką księgę, w któréj myśl rodowa zbogacona doświadczeniem, rozum rodowy, zapisał swoje zdania niestartemi zgłoskami.

I jedne i drugie są owocem, to uczuć serca ludowego, to jego głowy. To też w nich obrazy i porównania są czysto rodzime; a na te utwory, na ich ubarwie-

(1) Bibl. Warsz. T. I, str. 151 z r. 1851.

(2) Małe *i* wszędzie zastępują bez potrzeby *j*; a w wyrazach mających wyraźne brzmienie na *i*, przed nim *j* bez żadnego znaczenia kładą, (np. *niezrobij*, *vcspji*, wyśpi). W miejsce *w* przyjęli *v*; gdzie wyraźne grube mazowieckie brzmienie *u* tam piszą *ó* z kreską (np. *wóko*, *wuko*, *wóda*, *wuda*).* Do właściwości narzecza kaszubskiego należy, że nasze *g* zamieniają na *h*, *a* na *o*, *o* na *u*, *k* na *cht*, *m* na *ą*.

nie, wpłynął świat nasz zewnętrzny, jak go lud nasz sercem i głową pojmował.

Ztąd, czy pieśń, czy przysłowie, jeźli da ci obrazek, to zdjęty z przyrody swojskiéj, jeźli porównanie, to odbicie tego co widział własnemi oczyma, na co się wpatrzył, co usłyszał lub zbadał, co pojął głową lub sercem.

To też mając dokładne zbiory pieśni ludowych, przysłów jego i przypowieści, możesz zbadać jego charakterystykę. W nich on odsłania jak myśl i serce, tak świat cały, co się w nich odbijał, a który go otoczył i oddziałał na niego.

Ubogim jest świat wyobraźni Kaszubów i ubogo też w przysłowiach wygląda.

Pies (1), kot (2), wół, krowa (3), koń (4), koza (5), świnia (6). Z dzikich zwierząt jeden zajączek a wilk (7), a raz mazowiecki tur, który ze starych podań, w przysłowiach Kaszubów pozostał, że:

Turowi zdechłemu, zając brodę skubie.

Z drapieżnych ptaków kruk, wrona a kania, to z Mazurów napłynęły (8). Nie masz tu ani orłów kąpiących się w chmurach, ani sokołów ni rarogów; nie masz dzików, niedźwiedzi, rysiów ni żubrów.

Z przysłów Kaszubów ukazuje się ich żywot rolniczy, cichy, spokojny. Oko Kaszeby daléj nie sięga jak w pole, na miedzę własną; popatrzy w niebo, czy zwiastuje deszcz, czy pogodę; zajrzy do lasu: ale w tym spokojnym poglądzie rzuca myśl filozoficzną, że:

„Świat jak las; człowiek jak listek"
(Svjat jak las, człovjek jak listk).

Nie ma gór, po równinie patrzy; więc jak góral z dymiących gór nie wróży, ani jak Sandomierzak ze swéj Łysicy, czy dymi (9); a że nie braknie na Kaszubach błota, z niego wyciąga myśl moralną:

Kto w błoto bije, temu kał do gęby pryszcze.

Poczciwy Kaszuba, jak cały lud polski, jest szczerze gościnnym; dlatego przybycie gościa uważa za świętą, uroczystą chwilę; toż samo co i u nas brzmi w ustach jego przysłowie:

Gość w dom, Bóg w dom.

I po starodawnemu daje:

Chleb ze solą, z dobrą wolą.

Z oburzeniem, nieużytych, niegościnnych wspomina:

Wón mu kąska chleba nie życzi.
(On mu kąska chleba nie życzy).

Ztąd powszechne u nich przysłowie: że kto wody ze studni broni, to taka woda zaśmierdnie się, albo zupełnie wyschnie (10).

Radby żyć ze wszystkiemi w zgodzie—bo:

„Rybom woda—a ludziom zgoda potrzebna".
(Rebom wóda, ledzom zgoda).

W przysłowiach nauczają szanować starszych wiekiem:

Przed sevą głovą, trzeba mucę zdjeć.
(Przed siwą głową, trzeba czapkę zdjąć).
Chto starszech nieszonoje, ten biede póczeje.
(Kto starszych nie szanuje, ten biédę poczuje).

Kaszeby mają tak jak i my swój kalendarz rolniczy; oto niektóre z tego rodzaju przysłów:

Na swięti Szczepon, kózdi sobie pon.

(Mazurskie: „Na święty Szczepon każdy sobie pan". Bo czeladź wiejska w dzień ten odprawia się z dworów, jak i od gospodarzy, i zostaje chwilowo bez służby).

Wókoło Géd cheltka (11) *jak miód; a wókoło gromnice wimie sę e zgownici.*

(Około Gód (Bożego Narodzenia) jabłko jak miód, a około Gromnicy, wyjmie się z gnojownicy; owoc bowiem ten już nie dotrzyma smaku i gnije).

Na swięti Walk, nie ma pod lodę balk.
(Na święty Walek, nie ma pod lodem balek, bo lód kruchy).

Chto seje groch w marcu, warzi jen w garcu, a chto w maju, warzij jen w jaju.

(Kto sieje groch w marcu, to go warzy w garncu; a kto w maju, warzy go w jaju). Groch trzeba siać wcześnie, aby mieć urodzaj.

Sechi kwiecen, mókri moj, bądze żetko jak goj.
(Suchy kwiecień, mokry maj, będzie żytko jako gaj).

Swiąti Maci, zemę traci.
(Święty Maciéj, zimę traci).

Na wszetkich swiątech, je zema góscę.
(Na Wszystkich Świętych zima jest gościem).

Przindze moj, dzure wutekoj, krowie sana dodawaj, w piciku zapalój.
(Przyjdzie maj, przecie bydłu daj, a sam za piec uciekaj. Przysłowie mazurskie).

Na swiąti Wabrzinc, skosą w żeto przinc.
(Na święty Wawrzyniec z kosą w żyto przyjdź; bo na Kaszubach późniéj się zaczynają żniwa, a nie sierpem, ale kosą tną żyta).

Kie na setme braci spiących podo, téj setme niedziel pado.
(Kiedy na Siedmiu braci śpiących deszcz pada, to siedm niedziel padać będzie).

Swięty Michel, wrota rozpichel.
(Polskie: „Swięty Michał, kopy spychał". Żniwa bowiem skończone, i wożą do stodół plony z pola).

Na swięti Morcen, je zema z dzotkami i czeladką.
(Na święty Marcin jest zima z dziatkami i czeladką, bo w dzień ten zwykle śnieg pada, zkąd polskie przysłowie): „Swięty Marcin na białym koniu przyjechał".

Nie braknie Kaszubom zasobu przysłów, malujących ich żywot rolniczy:

Jedna jaskuleczka lata nie zrobij.
Von na to, jak na lato.

Chto w lecie prozneje, ten w zemje głód póczeje.
Chto ze skóbronką vstaje, ten może s kuramy jść spać.
(Kto ze skowronkiem wstaje, ten może z kurami iść spać).

Chto rano vstaje, temu Pan Bóg daje; a chto długo spji, temu koza bzdzi.

Zorko do zorka, a badze mjorka.
(Ziarnko do ziarnka, a będzie miarka).

Bez wóchote, niespóre robóte.
Jako robota, tako zapłata.
Nijma kółaczi bez proci.
Co te przedemną wódę mącisz.
Jakbe kam v vodę puscel.
(Jak kamień w wodę).

Stori panski pjes, kon, e ekonom, to vszetko jedno.
Voń ma takje prawo, jak vrobel do gnjozda jaskuleczki.
Wkrod się jak vrobel v boconowe gnjazdo.
Chto w plecąnkę dmuchnje, temu pesk spuchnje.

(Mazurskie: „Kto w ul dmuchnie, to mu pysk spuchnie". Kaszuby mówią kto w plecionkę dmuchnie, bo ule robią rzeczywiście z plecionéj słomy. I u nas ten rodzaj ulów jest znany i upowszechniony).

Z vielgie chmure, bivo meli deszcz.
Na wjardi kloc, jesz trzeba wjardszeho klina.
(Na twardy kloc, potrzeba jeszcze twardszego klina).

Trafiła kósa na kam.
(Trafiła kosa na kamień).

Przemovjo koceł gropovji, a wóbaju smólą.
(Kocioł garnkowi przymawia, a obadwa smolą).

Chto sę na górącim spoli, ten na zemną dmucho.

Przysłowia polskie historyczne i podaniowe, przeszły do Kaszubów, a ci je przyjęli i powtarzają, choć obcy im jest ich początek.

Wyliczymy tu niektóre:

(Gorsza sprawa jak w Osieku).
Gorszo sprava jak w Wóseku.

(Zarobił jak Zabłocki na mydle).
Zarobieł jak Zabłocki na medle.

(Przybyło dnia na kurzą stopę).
Przebeło dnia na kurzą stopę.

(Siedzi jak na niemieckiém kazaniu).
Sedzi jak na niemieckiem kazaniu.

(Tłucze się by Marek po piekle).
Włóczi sę jak Mark po piekle.

(Prawić jak o żelaznym wilku).
Słecho jak wóżeloznim wilku.

(Nauczę ja ciebie gwizdać po kościele).
Nawuczę jo jeho pó kóscele gwizdac.

Obok tych, zachowali sławne nasze z Piastowskich czasów przysłowie:

Poloch mądri pó szkódze.

I w Rysińskiego zbiorze przechowane a nieco zmienione:

Polski most, niemiecki pósť, żedowskie nabożeństwo, wszetko błażenstwo.
(Polski most, niemiecki post, włoskie nabożeństwo, to wszystko błazeństwo).

W ostatku w ich ustach brzmi jeszcze ulubione przysłowie ojców naszych z XVI wieku, że: „Stara księga, stara prawda i stare wino, zawsze najlepsze".

Storo xęga, stora prowda, e store vino, vjedno dobre.

Przestajemy na przywiedzionych przykładach, w przekonaniu, że czytelnik sam łatwo osądzi, czy nasza zasada usprawiedliwiona, liczenia Kaszubów jako tylko odcień jednoplemiennego rodu z starodawnemi Mazurami.

PRZYPISY.

(1) *Kje przez psa, teje przez wógon.*
(Kiedy przez psa (bijesz) to i przez ogon).
Zdech jak pies.
(Przytulił się jakoby nie żył).
Lubi jeho, jak pse żeda.
(Lubi go jak psy żyda).
Nie dla psa kiełbosa.
Cesz pó pse w koscele, kje pocerza nie mowi.
(Cóż po psie w kościele, kiedy pacierza nie mówi).

Chto chce psa wuderzec, kij naleze.
(Kto chce psa uderzyć, to kij znajdzie).
Kożdi pies je na swoich śmieciach wodważniejszi.
(Każdy pies na swoich śmieciach śmielszy).
(2) *Kot spiący meszi wjichwota.*
(Kot śpiące myszy wychwyta).
Mesze figleją, kie kota nie czeją.
(Myszy figlują, jak kota nie czują).
Czim kot starszi, tim wogon wjardszi.
(Im kot starszy, tém ogon twardszy).
To są powroze! rzekł kot na kiołbose w kominie.
(To są powrozy! rzekł kot na kiełbasę w kominie).
Wysmiklui jak kótka.
(Wylizany jak kotka).
Woni sę tak lubją, jak dwa kóte.
(Oni się tak lubią, jak dwa koty).
W noce są wszetkie kóte burs.
(W nocy wszystkie koty bure).
(3) *Szekovni jak wół do karete.*
(Zgrabny jak wół do karety).
Kie jedna krova wógon podniesie, tij wszetkie za nją.
(Kiedy jedna krowa ogon podniesie, to i wszystkie za nią).
Bjeda temu dworowi, dze domogo krova wółowi.
(Bieda temu dworowi, gdzie krowa dobodzie wołowi).
Chodzi jak celę za krovą.
(Chodzi jak cielę za krową).
Słówko wroblę weleci, a wółę wroci.
(Słówko wyleci wróblem, a powróci wołem).
(4) *Panske wóko konja teczi.*
(Pańskie oko konia tuczy).
Kon mo sztere nogi, a jednak sę pótkuje.
(Koń ma cztery nogi a jednak się potknie).
Skoko jak meli wógierk.
(Skacze jak mały ogierek).
Darovanemu koniovji njezazero sę do zębov.
(Darowanemu koniowi nie zagląda się do zębów).
Wóstatni kon ze stąnie.
(Ostatni koń ze stajni).
(5) *Na póchele drzewo e kóze skoczą.*
(Na pochyłe drzewo i kozy skaczą).
Won se znaje na tém, jak koza na pieprza.
(On się zna na tém, jak koza na pieprzu).
Na swjąty Fic, kje kóze mdą strzic.
(Na święty Fryc, kiedy kozę będą strzydz).
Vstedzi sę jak kózeł w jarmużu (kapusce).
(Wstydzi się jak kozieł w jarmużu, albo w kapuście).
(6) *Von sobje świnje kupieł.*
(On sobie świnie kupił).

Iidzie do stołu, jak svinja do koretka.
(Idzie do stołu jak świnia do korytka).
Njedeł svinij Pan Bóg rogów.
(Nie dał świni Pan Bóg rogów, boby bodła).
Vón nim wszetkich swinij doma.
(On..... wszystkich świni w domu).

(7) *Viele psov, zajca smjirć.*
(Wiele psów, zająca śmierć). Po starokaszubsku *zajka.*
Vón biego jak drzevjani zajc.
(On biega, jak drewniany zając).
Vilk vilka nie vuje.
(Wilk wilka nie kąsa).
Notcra cignie vilka do lasa.
(Wilcza natura do lasu ciągnie).
Vilk seti, a wówca cało.
(Wilk syty i owca cała).
Zeby wilk za gorą njesreł, dalibe wucek.

(Przysłowie to, S. Rysiński w zbiorze swoim najdawniejszym zapisał).

(8) *Krek krekovij wóka nievedłebie.*
(Kruk krukowi oka nie wydłubie).
Chto przindze mjedze wrone,
Muszi krakać jak e wóne.
(Wlaszłszy pomiędzy wrony,
Trzeba krakać jak i ony).
Pragnie jak kania deszcze.
(Pragnie jak kania dżdżu).

Dodajmy tutaj jeszcze do tego działu należące przysłowia:

Pieczone gołąbki nie przyńdą same do gąbki.
Znaje jo sę ptoszku.
(Znam ja cię ptaszku).
To lechi ptoch, co v svoje gnjozdo sro.
(Lichy to ptak, co swoje gniazdo kala).
Poznoc ptoszka pó piorach.
Piszczi jak kurczę.
Lepszi jeden vrobel v gorsci, jak sto na daka.
(Lepszy jeden wróbel w garści jak sto na dachu).
albo po mazursku:
„Lepszy wróbel w ręku, jak cietrzew na sęku."
Plevye jak wółowjana kaczka.
(Pływa jak ołowiana kaczka).
To mu sę tak trafiło jak slepi kókószi zorno.
(Trafiło mu się, jak ślepéj kokoszy ziarnko).
Dać kókószi grzędę, to wina chce vjeże.
(Dać kurzę grzędę, to ona chce wieży).
Gzika jeho kąseła.
(Gęz go ukąsił).

Chto chce rebę wuchwacéc, musi sę zmaczac.
(Kto chce rybę uchwycić, musi się zmaczać).
Spiewo jak kełp.
(Śpiewa jak kiełb')
Jabko sę nedalek wód jabłonie wódkucuje.
(Niedaleko pada jabłko od jabłoni).
Gołi jak bania.
(Goły jak bania).
Zamk mesz w śpiżarnij.
(Zamknął mysz w śpiżarni).
Tak złi jak żmija, a sapi jak vąż.
(Tak zły jak żmija, a syczy jak wąż).

(9) Przysłowie sandomierskie mówi:

Kiedy Łysica w koszuli,
To zaraz się niebo rozczuli.

Rzeczywiście, gdy Łysa góra we mgle, to pewny deszcz na dolinie.

(10) *Kje są zabronio wódę ze studnie, téj wóna zasmiardnie, abo czesto weschnie.*

(11) *Chełka, chełki,* dzikie jabłko leśne, albo i ogrodowe.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Historya angielska Macaulaya. — Literatura hiszpańska; dzieła pana Guell y Rente. — Zdjęcie z krzyża, fresk Teodora Chasseriau. — Henryk Heine. — Wiadomości literackie.

Pod koniec zeszłego roku, Macaulay sławny dziejopis Wielkiéj Brytanii, wydał drugie dwa tomy Historyi angielskiéj. Dalszy ciąg znakomitego dzieła, które tyle narobiło odgłosu w swoim czasie, był czytany w Anglii z bezprzykładną na kontynencie pożądliwością. Księgarz Longman zapłacił autorowi za manuskrypt na dwa tomy 16,000 funtów szter. (640,000 złp.). Od czasów publikacyi dzieł lorda Byrona, księgarze angielscy nie mieli takiego odbytu. Całą ulicę na któréj znajdowała się księgarnia, gdzie sprzedawano dzieło Macaulaya, napełniał nieustannie taki tłum ludzi, że musiano wstrzymać cyrkulacyą powozów dopóki każdy Anglik nie kupi sobie owéj najciekawszéj z książek. Edycye nowe wychodziły co tydzień: odbijano naraz po 25,000 exemplarzy, a księgarze jeszcze nie mogli nastarczyć obdzielenia 2,000,000 kupujących. W Paryżu Juliusz Premaray, tłumacz dwóch piérwszych tomów tego dzieła, na gwałt wziął się do tłumaczenia dwóch drugich, i książka już jest pod prasą. Dzienniki europejskie mimo wojny, poświęcały całe kolumny rozbiorowi lub panegirykom tego dzieła: dotychczas mówią o niém tyle na Zachodzie, że i my poczuwamy się do obowiązku powiedzenia o téj książce słów kilka naszym czytelni-

kom, chociażby tylko dla sumiennego wywiązania się z powinności sprawozdawcy.

Wydana dotąd Historya angielska Macaulaya dzieli się na trzy części: piérwsza jest obrazem wszelkiego rodzaju nadużyć, które spowodowały upadek i śmierć Karola I^go^; w drugiéj wykazuje autor przyczyny założenia i upadku rzeczypospolitéj; w trzeciéj, powody przywołania Stuartów i ich ostatecznego wygnania. Czwarty tom kończy się wjazdem do Londynu Wilhelma III^go^, dnia 15 listopada 1697 roku. Podziały te nie są wyraźnie oznaczone w dziele, ale wynikają same przez się z wypadków: my zaś zakreślamy je mocniéj dla nadania jasności téj krótkiéj notatce.

Przyczyny wielkich wstrząśnień, które przed wiekami zakończyła Anglia powrotem do wzorowego porządku i dobrego bytu, nadto są znane, żeby się tu nad niemi zastanawiać: dlatego podajemy tylko treść widzenia rzeczy Macaulaya, nie zaś treść książki.

Za panowania Karola I, kalwinizm głęboko zakorzenił się w Anglii; wyznanie rzymsko-katolickie i anglikańskie zarówno były niecierpiane. Rząd chciał w całym kraju zaprowadzić religią katolicką: oto piérwszy powód wzburzenia umysłów, a następnie rewolucyi, stracenia króla i ogłoszenia rzeczpospolitéj.

Odcięci morzem od stałego lądu, z natury zamknięci w sobie Anglicy, nie czuli wcale potrzeby propagowania reszty świata, jak to czynili Francuzi za wielkiéj rewolucyi 1789 roku. Kłótnie polityczne załatwiali pomiędzy sobą jak familijne zatargi, przy drzwiach zamkniętych rozprawiali się z sobą, z pomiędzy siebie wybierając sędziów polubownych, lub najwyższe trybunały: i z tegoto zupełnego odosobnienia od innych narodów wynikło, że mało kto na stałym lądzie wiedział co się dzieje w Londynie, a taż sama Europa, która w 92 roku zawiązała koalicyą przeciw Francyi, patrzała obojętnie na ścięcie Karola I. Prócz korzyści że nie była niepokojoną z zewnątrz, rzeczpospolita angielska miała nadto dwie rzeczy, na których zazwyczaj zbywa poczynającym rządom: miała pieniądze i miała rozum. Prócz miłości kraju, posiadała wiedzę potrzebną do urządzenia się. W końcu miała po sobie protestantów stałego lądu, stronnictwo silne i energiczne,

które w każdym ważnym razie, ważne oddawało jéj przysługi.

Oto okoliczności, które wedle Macaulaya przyczyniły się głównie do założenia i utrwalenia rzeczypospolitéj w Anglii. Jak słabły i znikały powoli te przyczyny, autor wykłada obszernie; za najważniejszy zaś powód upadku rzeczypospolitéj uważa rozdwojenie, które się wkradło pomiędzy ludzi stojących na czele i podzieliło ich na dwa stronnictwa: piérwsze pełne miłości kraju, czyste w swych widokach, rozumne i wytrwałe, zachowało nazwę Prezbyteryanów; drugie, gwałtowne, chciwe, despotyczne, obłąkane przez intrygantów i zdrajców, wzięło nazwę Niwelatorów.

Niwelatory stanowili mniejszość w parlamencie, ale ściśléj połączeni z sobą niż Presbyteryanie i popierani przez całe wojsko, pokonali tych ostatnich przedsiębierczością i odwagą; wyparli ich z wysokich stanowisk jakie zajmowali, i zajęli sami wszystkie urzędy tak cywilne jak wojskowe, oskarżając Presbyteryanów o zasady monarchiczne. Zarzut ten był niesłuszny: dowodem, że na Presbyteryanach mściła się późniéj przywrócona monarchia.

Dopóki trzeba było walczyć i zdobywać, Niwelatorowie postępowali zgodnie; ale raz doszedłszy do władzy zaczęli się różnić i prześcigać w najdziwaczniejszych pomysłach. „Fanatycy" mówi Macaulay, nazywając tak Niwelatorów „chcieli narzucić siłą krajowi utopie swojéj gorączkowéj imaginacyi". Zwyczaj wspólnéj modlitwy został zakazany nawet po domach. Kościoły, nagrobki, arcydzieła sztuki były niszczone lub bezczeszczone, wszystkie obrazy Chrystusa i Matki Boskiéj spalone. Starożytne posągi padły pod toporem lub zostały oddane mularzom, żeby je ubrali przyzwoicie. Cudzołostwo było karane śmiercią. Wszelkie zabawy tak publiczne jako i prywatne, karane surowo; teatra miały być zburzone: ci co do nich uczęszczali skazani na kary pieniężne, a aktorowie chłostani po placach publicznych; tańce na linach i wyścigi konne zostały zakazane.

Prezes parlamentu Barebone postanowił, że do służby publicznéj przypuszczeni zostaną ci tylko, których świętobliwość będzie dowiedziona autentycznie. Że

o dowody było niełatwo, przeto dla uproszczenia rzeczy skreślono powierzchowny rys świętego: zadekretowano, że za dowód świętości będzie uważany ciemny ubiór, tudzież twarz surowa, rozmowa pełna cytacyi z Pisma świętego i wstręt wyraźny do zabaw i teatrów.

Bezrozumna i dokuczliwa gorliwość fanatyków wywołała zwyczajny skutek. Cała Anglia przywiązała się silniéj do religii, którą jéj gwałtem wydrzéć chciano. Niwelatorowie podwoili prześladowania. Oburzenie z każdym dniem rosło. Wielu wysokich urzędników państwa protestowało gwałtownie, za co rozstrzelani zostali. Skoro zobaczono, że stronnicy rewolucyi nie byli więcéj oszczędzani od innych, powstał strach i przerażenie powszechne. Aż w końcu przebrała się miara. Wszystkie stronnictwa połączyły się przeciw zgromadzeniu, które po czteroletniéj dyktaturze upadło bez godności pod władzą wojskową.

Pan Macaulay uwielbia Cromwella, sądzi go nie jako bezstronny historyk, ale jak Anglik wdzięczny założycielowi potęgi swego kraju. „Dziejopisowie zaręczali nieraz, mówi Macaulay, nie mogąc atoli dostatecznie wymotywować swojego twierdzenia, że Cromwell umarł w sam czas dla ocalenia swéj sławy, że gdyby był żył dłużéj, byłby zapewne skończył we wstydzie i hańbie".

Zdaje się, że dostateczném wymotywowaniem twierdzenia dziejopisów są znane każdemu fakta, których tylko Macaulay widzieć nie chce, tojest: że liczba nieprzyjaciół Cromwella wzrastała codziennie, że tyrania jego ciężyła wszystkim, nawet przyjaciołom, że spiski na życie jego mnożyły się z przerażającym uporem, że w końcu nie wiedząc już na kim polegać, rozdawał i odbierał co dzień urzędy, że dzień i noc żył w trwodze i niepokoju, widząc w każdym czyhającego na siebie mordercę, co wreszcie sam Macaulay przyznaje, mówiąc: „że Cromwell ilekroć wydalał się z pałacu, był otoczony nagiemi pałaszami swéj gwardyi". To wszystko jednak nie przekonywa Macaulaya. Daléj, opowiedziawszy śmierć Cromwella, mówi: „Syn jego Ryszard wstąpił po nim na tron tak spokojnie i naturalnie, jak nigdy żaden książę Galii po królu angielskim". Dlaczego? Bo nie mając ani geniuszu, ani uroku oj-

cowskiego, został przyjęty przez wszystkie partye jako narzędzie, którém po myśli swojéj spodziewały się władać, a w końcu złamać je bez wysilenia. Jakoż rzeczywiście, po kilkomiesięczném panowaniu, upadł bez oporu ani sławy, zostawiając niezgodę w stronnictwach, wojnę domową w wojsku, a w całéj Anglii zamęt nie do opisania.

Ale powróćmy na stanowisko Macaulaya, bo inaczéj nie poznamy dzieła jego, a o to tylko nam chodzi.

Po śmierci Cromwella Anglia jeszcze chciała rzeczypospolitéj; ale po usunięciu się syna jego, zamieszanie było tak wielkie, niezgody w wojsku i parlamencie tak zajadłe, projekta i ambicye stronnictw tak szalone, że oburzenie wkrótce stało się powszechne. Skoro zaś przyszła wiadomość, że Monk, wódz armii szkockiéj, ogłosił się obrońcą władzy cywilnéj, i ma przybyć na czele 7,000 wyćwiczonego żołnierza: cały Londyn się zbuntował. Odmówiono podatku; wyrobnicy zaniechawszy pracę schodzili się tysiącami na szalone zabawy; nienawidzony parlament, który się zgromadził w Westminsterze, został rozpędzony.

Taki był stan rzeczy, kiedy przybył do Londynu Monk. Człowiek ten milczący i zimny, bez namiętności ani wyraźnie określonych zasad, stanął zrazu na boku, starając się zbadać usposobienie ogółu, i wedle niego obmyśléć najlepszy środek exploatowania narodu na korzyść własną.

Skoro się przekonał, że wojsko i parlament były w równéj pogardzie u ludu, Niwelatory niecierpiani, republikanie bezsilni, oświadczył się za nowemi wyborami. „Dowiedziawszy się o tém cały naród, powiada Macaulay, szalał z radości; gdzie tylko pokazał się Monk, otaczał go tłum i błogosławił mu: dzwony w całéj Anglii dzwoniły bez przerwy, porter płynął rynsztokami, Londyn przez kilka nocy gorzał od fajerwerków i illuminacyi na 5 mil dokoła".

Wybory odbyły się pośród radości, nadziei i niepokoju. W końcu mimo drobnych rozruchów, które starał się wywołać pomiędzy wojskiem Lambert, lordowie powrócili do izby z któréj wygnani byli przez blizko lat 12, nowy parlament zaprosił króla, żeby powrócił do swego państwa. „Niwelatorowie, mówi Macaulay, najzagorzalsi

nieprzyjaciele monarchii, ludzie których bezrozumna wściekłość zgubiła rzeczpospolitą, piérwsi rzucili się do nóg Karola II, tak jak niegdyś do nóg Cromwella".

Karol II przyrzekł szanować prawa, opierać się na parlamencie, zachować wszystkim wojskowym dawne stopnie i żołdy, utrzymać religią pretestancką, szanować wolność wyznań i sprzedaż dóbr narodowych, tudzież ogłosić ogólną amnestyą.

Karol II wstąpił na tron 29 maja 1660 roku, w najpomyślniejszych dla siebie warunkach. Cała Anglia upojona była radością. Parlament, flota, wojsko, korporacye świeckie i duchowne, na wyścigi składały monarsze dowody czci i posłuszeństwa. Oświecone ulice Londynu napełniał tłum, który całą noc bankietował i zmuszał przechodniów, żeby pili za zdrowie Jego świętobliwéj królewskiéj mości. Co kilka kroków błyszczały ogniska w których lud palił lalki naśladujące członków byłego parlamentu, miotając przeciw nim bezwstydne obelgi. Cromwell wisiał na szubienicy, wkoło któréj tańcowano, złorzecząc mu i urągając.

Ale niedługo trwała owa radość powszechna. Wybory odbyły się w początku 1661 roku. Nowa izba nietylko nie popierała łaskawego usposobienia Karola II, ale namawiała go do cofania danych obietnic. Prześladowania religijne zaczęły się na nowo. Izba uchwaliła, że każdy jéj członek pod karą wykluczenia z grona, będzie komunikował się wedle katolickiego obrzędu. Dwa tysiące księży presbyteryańskich w jednym dniu utraciło swoje posady. Narzucono nową przysięgę dyssydentom pod karą więzienia lub wygnania. Mimo przyobiecanéj amnestyi wydano proklamacyą, nakazującą wszystkim sędziom Karola I, ażeby udali się do więzienia. Dziewiętnastu poddało się prawu, reszta uciekła. Wkrótce skazani na śmierć, zginęli z wielką odwagą. Jeden z nich Tomasz Scott, jak o ostatnią łaskę prosił zgromadzenia, żeby na grobie jego pozwoliło położyć kamień z napisem: „Tu leży Tomasz Scott, który skazał na śmierć Karola I króla angielskiego".

Parlament uchwalił prawo uznające za zbrodniarza każdego, ktoby prosił króla o przywrócenie synom straconych sędziów Karola I ich tytułu i dziedzictwa. Prześladowanie było wielkie, presbyteryanów zabijano mas-

sami. W Szkocyi utworzyły się zgromadzenia, które podały petycye do króla, prosząc go najpokorniéj o przywrócenie religii presbyteryańskiéj. Czterdziestu szkockich wysłanników zabito na miejscu, dziesięciu powieszono w Edymburgu, a 35 przed własnemi domami w obec ich żon i dzieci.

Tomy całe możnaby napisać, chcąc zgromadzić wszystkie okropności spełnione w Anglii w owym czasie, a które tak wymownie opowiadają Macaulay, Hume i inni historycy angielscy. Takie postępowanie izby musiało wywołać reakcyą: jakoż uskuteczniła się ona wolno, ale gruntownie.

W 1660 roku cała Anglia rzuciła się do nóg Karola II; w 1678 już zupełna nastała przemiana. W 1660 po dwudziestoletniéj wojnie domowéj, Anglia chciała pokoju za jakąkolwiekbądź cenę, i kupiła go kosztem wszystkich praw swoich. W 1678, po 18 latach panowania Karola II, upomniała się o nie, tak, że gotowa je odkupić za jakąkolwiekbądź cenę. Potężna opozycya pokazała się w izbie niższéj: król rozwiązał ją trzy razy i za każdą razą wyborcy tych samych odesłali mu deputowanych. Gdyby Karol II był miał dumę swego ojca, zgubiłby się niechybnie; ale wrodzona obojętność ocaliła go. Cała wina spadła na doradców króla. Karol II dosyć lubiony, umarł 1685 roku. Po nim brat jego Jakób II, znany nieprzyjaciel Whigów, wstąpił na tron; ale po trzech latach panowania wypędzony z kraju, przybył do Francyi prosząc Ludwika XIV o gościnność.

Część, w któréj Macaulay opowiada przyczyny upadku Jakóba II, jest napisana najwymowniéj z całego dzieła, ale niezmiernie stronniczo. W tym ustępie Macaulay nie jest już historykiem piszącym w 1856 r., ale zażartym Whigiem z r. 1688, ścigającym z nieubłaganą zajadłością nieprzyjaciela swego kraju, swego stronnictwa i swojéj religii.

Czwarty tom prawie cały poświęca autor rewolucyi 1688 roku, najłagodniejszéj i najpłodniejszéj ze wszystkich. Była ona ostateczném zwycięztwem odniesioném przez protestantów na katolikach. Po długiéj i krwawéj walce, po wygnaniach, rusztowaniach, rzeziach, zeszła wreszcie dla Anglii zorza spokoju

i pomyślności ze wstąpieniem na tron Wilhelma III. Ogłoszone przezeń prawa były zapewne niekompletne, ale chowały w swém łonie zarodek wszystkich mądrych instytucyj, które sobie Anglia ustanowiła później. Ażeby dobrze osądzić rewolucyą 1688, trzeba badać nie jéj powody, które różni różnie pojmują, ale jéj skutki odległe i ogólne; pomiędzy któremi największą zdobyczą, najważniejszém dobrem okupioném morzem krwi i ciężką półwiekową wojną domową, jest niezawodnie wolność wyznań religijnych.

„Rewolucya 1688 roku, powiada w końcu Macaulay, była naszą ostatnią rewolucyą, i to jest jéj największa pochwała. Wiele pokoleń przeszło, a żadnemu Anglikowi w myśli nie postała chęć obalenia władzy. Każdy z nas ma przekonanie, przekonanie nabyte doświadczeniem: że nasza konstytucya nosi sama w sobie środki potrzebne do uskutecznienia reform, których kraj potrzebować może. Konwencyi, i Wilhelmowi d'Orange powinniśmy zawdzięczać szanowaną powagę prawa, bezpieczeństwo własności, spokój ulic i szczęście rodzin naszych".

Historya Anglii Macaulay'a napisana ze stanowiska czysto angielskiego, jest najznakomitszą i najkompletniejszą z wszystkich, jakie wydano dotąd. Prócz talentu pisarskiego, znać tam na każdéj karcie głębokiego myśliciela i mocno kochającego swój kraj Anglika.

Hiszpania liczy w téj chwili wielu znakomitych pisarzy, którzy nie ustępują w niczém autorom najcywilizowańszych narodów. Twierdzenie nasze opieramy: najprzód, na powadze bardzo znakomitego dzieła: Hiszpania nowoczesna, pana Mazade, które właściwie możnaby nazwać kursem krytycznym literatury hiszpańskiéj; jak również na własném przekonaniu, które powzięliśmy po przeczytaniu dzieł pana Guell, o których tu mówić zamierzamy.

Piśmiennictwo hiszpańskie tak bogate niegdyś, oddawna przestało ściągać na siebie uwagę cywilizowanego świata: długie bezkrólewie po zmarłych geniuszach: Cervantesie, Lope de Vega, Moratynie i innych, zrodziło powszechne mniemanie, że szafirowe niebo te-

go rozkosznego kraju, co kiedyś tak szczodrze sypało natchnienia swoim romancerom, zamknęło się przed niemi; że ta ziemia pełna przepysznych pałaców i ogrodów kwietnych, w których nieustannie odzywa się brzęk gitary, śpiew słowika i szmer wodotrysków, stała się niemą i bezpłodną. Mérimée, Alfred de Musset i tłumacz Niezłomnego księcia, ostatni z cudzoziemców, czerpali z jéj wysychających źródeł. A gdyby nie Donoso Cortès, który jak olbrzym ukazał się nagle z poza pirenejowych szczytów, Europa dowiadywałaby się o istnieniu Hiszpanii tylko ze smutnych scen wojny domowéj, która zakrwawia jéj łono; a o jéj literaturze tylko od turystów, których relacye kończą się zwykle na opiewaniu walki byków, widzianéj w Pampelunie lub Madrycie. Grano wprawdzie w Paryżu przed kilkunastą laty dramat z chórami Martineza de la Rozy; ale ten dramat był napisany po francuzku, i daleko więcéj francuzki niż hiszpański.

Pojawienie się przeto grona młodych literatów pośród politycznego zamętu i ogólnego rozstroju Hiszpanii, ma w sobie coś uderzającego; jak równie uderzającém jest to, że wszyscy ci młodzi autorowie są zarazem ludźmi politycznemi.

Rozbudzenie życia literackiego pan Mazade przypisuje klubom. Hiszpańskie kluby niepodobne są wcale do zwykłych zgromadzeń tego nazwiska: są to koła czysto-literackie, rodzaj akademij prywatnych, w których bywają rozbierane same poważne kwestye. Na czele takich zgromadzeń stoi klub Atheneum, założony w Madrycie roku 1835. Atheneum jest rzeczywistą szkołą wymowy, w któréj od dwudziestu pięciu lat odbywają się potężne walki słowa, przyciągające codziennie tyleż prawie aktorów co słuchaczy. Nie są to jak dawniéj, na podobnych zgromadzeniach we Francyi, puste wyścigi słów, językowa szermierka, zostawiająca po sobie czczość i nudę; bynajmniéj: Atheneum jest seryo nauczającą szkołą, któréj nie zbywa ani na poważnych professorach, ani na poważnych uczniach: jestto uniwersytet wszelkich pożytecznych wiadomości, mogących wykształcić umysł narodu.

Jakoż klub Atheneum przysposobił krajowi najznakomitszych ludzi ostatnich lat dwudziestu. Tamto Do-

noso Cortès odczytywał piérwsze prace swoje, a późniéj w Atheneum założył trybunę, z któréj dał się poznać światu. Piérwsze wystąpienie sławnego mówcy dodziśdnia jest obecne w umysłach Hiszpanów, bo każdego z nich już wtedy uderzyła ścisła i potężna logika, oraz przepyszna wymowa tego młodzieńca, który miał być chlubą swego kraju.

Prócz Donoso Corteza, Atheneum wydało jeszcze dwóch ludzi stanu: pp. Galiano i Pecheco, którzy niemniej ściśle są związani z wypadkami kraju. Galiano zasłynął jako mówca i biegły publicysta; Pecheco jako poeta, prawodawca, deputowany, minister, autor historyi Regencyi Maryi Krystyny, oraz dwóch znakomitych dramatów: Alfredo i Sept Infans de Lara. Nadto, historya, administracya i ekonomia zawdzięczają klubowi Atheneum Morona, Seyjas Lozana i Banavides'a; a literatura dramatyczna Serafina Calderon i wielu mniéj sławnych dramaturgów. Rzecz godna uwagi, że każdy z tych literatów i ludzi stanu był piérwéj dziennikarzem: nawet Donoso Cortès, który w roku 1837 wydawał dziennik Porvenir, a w roku 1839 Piloto.

Ale nie samo tylko Atheneum wydało niepospolitych mężów: prócz tych, których wymieniliśmy, są inne znakomitości, które nie w stolicy, ale gdzieś na uboczu wykształciły się i wybiegły myślą tak wysoko, że nietylko Hiszpania, ale każdy, kto zna ich dzieła uwielbiać je musi. Do takich należy Don Jaime Balmès, prosty ksiądz, syn rzemieślnika z Katalony, najznakomitszy pisarz chrześciański swego kraju. Balmès, mimo że umarł młodo, zostawił po sobie dzieła ogromne, które wydają się być owocem stuletnich rozmyślań i nauki: tak są dojrzałe i pełne wszechstronnéj wiedzy. Z pisarzy młodszych, książę Rivas jest niezwyczajnym poetą, Herreros, Ventura de la Vega, Rodrigues Rubi zasłynęli jako komedyo-pisarze; Larra stoi na czele szkoły fantastyków; Romanos i Calderon stoją na piérwszém miejscu, jako pisarze obyczajowi.

Ciasność ramy nie dozwala nam rozszerzać się więcéj z wyliczaniem nazwisk i dzieł ludzi, słynących teraz na polu literatury hiszpańskiéj. Przeto tych z czytelników naszych, którzyby się chcieli obznajmić

bliżéj z tym przedmiotem, odsyłamy do wybornego dzieła pana Mazades: Hiszpania nowoczesna, które, jak wszystkie znakomitsze utwory pojawiające się za Pirenejami, jest przełożone na język francuzki.

Powyższe wiadomości zgromadziliśmy jedynie na dowód, że Hiszpania nie jest teraz tak niema i bezpłodna jak wielu mniema, i że posiada w obecnéj chwili młodych dramaturgów, romansistów i poetów, którychby się ani Calderon, ani Cervantes, ani Lope de Vega nie powstydzili.

Do takich należy pan Guell, o którego dziełach obszerniejszą uczynimy wzmiankę. Ale najprzód powiedzmy, kto jest pan Guell. Don José Guell Y Rente, autor Medytacyj chrześciańskich i filozoficznych, jest reprezentantem kortezów i mężem infantki donny Józefy Burbońskiéj, siostry króla hiszpańskiego, a bratowéj królowéj Izabelli. Urodzony w Hawannie z ubogich rodziców, przybył do Hiszpanii poprzedzony sławą literacką, któréj jedynie zawdzięcza godności, jakiemi go tam zaszczycono, oraz miłość królewny, która wyższa od Leonory okrutnéj Tassa kochanki, nie wahała się poślubić poetę, uważając talent jego i serce za dostateczne dyplomy szlachectwa.

Guell jest chrześcianinem w prawdziwém znaczeniu tego słowa: kocha cierpiących, słabych, ubogich i pokrzywdzonych; do nich nieustannie mowę zwraca, z nimi płacze, ich pociesza. Wszystkie utwory jego tchną jedną myślą: kochaj bliźniego jak siebie samego.

Medytacye dzielą się na dziesięć rozdziałów. Piérwszy pod tytułem Matka, jest najpiękniejszy: miłość macierzyńską, najczystszą i najwyższą z wszystkich ziemskich miłości, autor pojmuje i określa z rzadką płci naszéj uczuciowością. „Cnota, powiada on w piérwszym rozdziale, nie jest ani w nauce, ani wsłynnych wynalazkach naszego wieku, ani w zdobyczach, za któremi uganiają się chciwi i ambitni: cnota jest poza książkami; jéj kodex wyryty w sumieniu i głębi serca; święte myśli rodzi w młodych duszach macierzyński pocałunek; owoc ich zawiązuje się i dojrzewa pod gorącym promieniem macierzyńskiego wzroku."

Niemniéj piękne definicye napotyka się w następnych rozdziałach, których same tytuły już są wymowną

skazówką treści; jak naprzykład: „Przez miłość poznasz Boga. Bez miłości, roztropności, sprawiedliwości i moralności, władza ostać się nie może. Słowem Bożem jest światło i t. d.“ Cała ta książka napisana jest prostą i łatwą prozą, niekiedy bardzo surowa, czasem wesoła, a w zwykłym ciągu pełna owéj dobrodusznéj naiwności, która od wieków była formą kastylskiego humoru.

Tom poezyi tegoż autora pod napisem: Lagrimas del corazon (łzy serdeczne), dowodzi młodzieńczego czucia i ogromnéj imaginacyi, która objawia się to głośnym hymnem biegnącym pod niebiosa, to cichą zadumą w pół-cieniu, to śpiewem miłosnym, podobnym do pieśni słowika upojonego wonią róż i czarowną jasnością majowéj nocy. Nie ma szczytu, na któryby się nie wdarła ta hawańska wyobraźnia, śpiewając naprzemiany cuda Alhambry i swe zwrotnikowe niebo.

Trzy ustępy uderzyły nas mianowicie w téj książce: Kwiat nadziei, Maur, Bóg i Ona. Są to trzy oktawy historyi czucia ludzkiego: rozczarowanie młodzieńczych marzeń, miłość jak ją Maur pojmował, nakoniec miłość Boga i prawdziwa miłość na ziemi.

Kwiat nadziei przypomina Medytacye Lamartina: cicha skarga kołysana harmonijnym rymem, szemrze jak strumień na żwirowém posłaniu; i jak on ku morzu, ucieka gdzieś ku odmętom burzliwego życia.

W drugiéj części Maur wyznaje swą miłość prześlicznéj sułtance, powtarzając w każdéj zwrotce namiętnéj pieśni: „Nie chcę twojéj litości, tylko twojéj miłości.“

Trzecia część jest najpiękniejsza. Pozwalamy sobie uszczknąć i posłać czytelnikom naszym ten kwiatek rozkwitły na ruinach Alhambry, w nadziei, że choć dotknięcie obcéj dłoni pozbawi go świeżości i siły, to przecież nieco woni jeszcze zachowa:

Bóg i Ona.

„Boże! Twoja Wszechmocna prawica nadaje ruch nieskończonéj girlandzie globów, wzburzonym falom oceanu i lekkim skrzydłom zefiru; Twoje tchnienie rodzi na pustyni olbrzymie drzewa i wonne kwiaty; Ty jesteś wiecznością, przed którą korzy się wspaniała pochodnia ludzkiéj wiedzy.“

„Imię Twoje jest zapisane w porannym kwiecie, czuję Cię w kryształowych nurtach strumienia, w błękicie, który przegląda z poza chmur, w gazowych skrzydłach powietrza; błogosławię Cię we wschodzącéj jutrzence, ubóstwiam w niebios przezroczu, a głęboka cisza nocy w zachwyt mnie wtrąca, odkrywając ogrom Twego majestatu."

„Duch mój o Tobie sni, w cierpieniach patrzy w Ciebie z tęsknotą; Ty jesteś jedyném światłem mego sumienia i wiecznością, do któréj wzdycha serce moje; Ty jesteś wielką księgą, w któréj zapisane dzieje wszystkiego co żyje. Duch mój słyszy głos Twój w oceanie nieskończoności."

„Duch mój nigdy nie jest samotny: Ty jesteś ze mną kiedy słońce wschodzi i kiedy świat cały kąpie się w jego zachodzących promieniach; w nocy czuwasz nademną. Błogosławię Cię Boże, ucieczko nieszczęśliwych."

„Ale kiedy oglądam we śnie Twoje cudowne oblicze, i inne widzę w méj duszy; kiedy wielbię światłości Twoje, zda mi się, że Jéj oczy patrzą na mnie; a kiedy imienia Twego używam, Jéj imię do ust się ciśnie."

„Ona mnie wspiera w méj drodze, ona łzy nademną roni, ona splotami złotych warkoczy odpędza odemnie szatany; ona o wielkości swojéj zapomniała dla mnie, przez nią poznałem Ciebie: oto dlaczego serce moje z Tobą podziela, dlaczego wzywając Ciebie, jéj imię szepcę pocichu."

„Twój utwór jest bóstwem mojém: anioł mój bielszy od lilii, powietrzniejszy od ptaka, co krąży nad wzburzoną wód przepaścią. Szczęściem jéj żyję, jéj smutkiem usycham, a kiedy przed nią uklęknę, Ciebie uwielbiam Boże!"

Teodor Chassèriau twórca Tepidarium, Obrony Gergovii, Mazepy i tylu innych znakomitych obrazów, o których mówiliśmy wiele czytelnikom naszym, oprowadzając ich po galeryi sztuk pięknych na wystawie powszechnéj, wymalował alfresko na sklepieniu kopuły nowego kościoła paryzkiego Saint-Philippe-du-Roule, Zdjęcie z Krzyża. Wszyscy artyści i znawcy, którzy widzieli to nowe dzieło, nie mogą dosyć na-

chwalić oryginalności, śmiałości pędzla, a mianowicie wysokości myśli ogólnéj, jaka w téj pracy przewodniczyła artyście.

Jeżeli w jakim, to w tym przedmiocie trudno było o oryginalność. Zdawało się, że Zdjęcie z Krzyża przedstawione po tylekroć przez najsławniejszych mistrzów, układane rozmaicie wedle wszelkich tradycyj sztuki, nie może być wyrażone inaczéj. Pan Chassériau dowiódł, że mylne było to mniemanie: do pogrzebu umęczonego Chrystusa, który dotąd wszyscy malarze otaczali tylko figurami wyrażającemi miłość i litość, wprowadził morderców pałających nienasyconą zemstą: katów, którzy jeszcze po śmierci urągają ofierze; faryzeuszów i senatorów, co się zeń naśmiewali mówiąc: „zbawiał innych, a siebie zbawić nie może; jeźli jest królem Izraela niech zejdzie z krzyża, a uwierzymy w niego". Słowem, Chassériau malując mękę Chrystusa dorzucił doń jednę więcéj boleść, przez co podniósł wielkość ofiary.

Golgota jest antypodą starożytnego Parnasu: odkrywa co tamten kryje, wielbi czego nienawidził, przewraca wszystkie jego apoteozy. Na Golgocie widzimy Boga w cierniowéj koronie pojonego żółcią, przybitego na haniebnym krzyżu, kłutego lancą rzymskiego żołdaka. Ta wielka scena, na oddanie któréj malarze chrześciańscy wysilali swój pędzel, jest wprost przeciwna obrazom artystów pogańskich. Zamiast tryumfu, który malowali tamci, chrześcianie stawiają mękę; zamiast wawrzynów, koronę cierniową: gąbkę z żółcią zamiast czary z ambrozyą, a zbite i umęczone zwłoki Chrystusa w miejsce ciała kwitnącéj czerstwości bogów Olimpu. Coby powiedział Ateńczyk z czasów Peryklesa, stanąwszy przed obrazem Mantegna albo Moralèsa? Wyobrazić sobie można przestrach, jakiby go opanował na widok tych bolesnych arcydzieł! Uciekłby wzywając pomocy swoich bóstw wesołych, nie rozumiejąc wcale téj wielkości na krzyżu.

Nauka Chrystusa przemieniła z gruntu umysł ludzki: przed nią człowiek krążył tylko w małém kółku sfery ziemskiéj; ona wskazała mu świat inny, nieskończony. Ubóstwiał sławę, piękność i rozkosz: boski mistrz nauczył go wielbić cierpienie, upokorzenie i mę-

czarnie. Dante powiada w swym boskim poemacie: „Smielsza od Maryi, która została na dole, Nędza wstąpiła na krzyż z Chrystusem.“ Wszystkie cierpienia ludzkie wstąpiły z nią razem: wcielił je w siebie, ażeby je oczyścić w swych ranach, i przeobraziły się przechodząc przez boskie ciało: krzyż stał się świętością, a męka zbawieniem. Na Golgocie zgromadziły się wszystkie cierpienia ziemskie: dlatego góruje ona nad tym padołem płaczu, jako najwznioślejszy szczyt boleści.

Ciekawa jest rozmaitość stanowisk, z których w różnych wiekach dawni wielcy malarze zapatrywali się na mękę Chrystusa. Każdy z nich malował Zdjęcie z krzyża, a każdy inaczéj. Pierwotni mistrze malowali je krwią i łzami, ręką zesztywniałą od świętéj zgrozy. Późniéj zaczęto grupować i dramatyzować tę boską scenę: obrazy naprzykład Daniela i jego spółczesnych mają cechę chrześciańskiéj tragedyi, poprawianéj wedle pogańskiego gustu. Chrystus pada z krzyża w zaokrąglone wdzięcznie ramiona swoich uczniów, jakby statua grecka z piedestału: śmierć tam drzémie, żałoba się drapuje, rozpacz szuka zajmującéj pozy.

Zdjęcie z krzyża Rubensa nie jest ani pogańskie, ani chrześciańskie: jestto obojętne arcydzieło potężnéj siły. Mistrz flamandzki w boskim skonie widział tylko malowniczy obraz: ciężkiego trupa zdejmowanego z wysokiego krzyża z pomocą drabin, sznurów i rąk silnych grabarzy, biegłych w swojém rzemiośle. Golgota dla Rubensa jest tylko placem olbrzymiéj gimnastyki. Jego Chrystus atletycznych kształtów, równie jak dąb ścięty nie zmartwychwstanie. Ludzie którzy go zdejmują zajęci tylko utrzymaniem równowagi: dźwigając ciężkie ciało schylają się, przeginają, spinają pomagając sobie łokciami, ramionami i nogą; jeden z nich nad krzyżem zaczepiony trzyma zębami prześcieradło z dziwną trywialnością. Sam święty Jan mistyczny uczeń, zakasał rękawów i jął się drabiny i topora; nawet Marya pomaga dźwigającym. W całéj téj grupie ciał przepysznych, jedna tylko Magdalena, która podstawia śnieżne ramię pod nogi Zbawiciela, wydaje się jakoby miała duszę. Ale świetne malowidło Rubensa tak działa na zmysły, że umysł przestaje sądzić.

Jasny całun, ów cud kolorytu, od którego odbija nagie ciało Chrystusa, w osłupienie wzrok wprawia. Ten fenomen światła rzuca na cały obraz promień nadziemskiéj jasności, która oczom wydaje się być aureolą.

Za to Zdjęcie z krzyża Rembrandta jest prawdziwym poematem bolu i pokory. Wątłe ciało ukrzyżowanego, złamane torturą, wisi bezkształtne jak kawał krwią zbryzganéj draperyi. Ale jakże przenikający jest ten zewłok ziemskiéj formy Zbawiciela, więcéj stargany ubóstwem i codzienną pracą ducha, niż męką na krzyżu! I ci nędzarze w łachmanach, co go otaczają, podnosząc oczy ku niemu, jakby wzrokiem chcieli rany jego opatrzyć, jakże prawdziwa ich rozpacz, jak serdeczne łzy które wylewają! Jakże czarowne to światło z nieba, co czyści i złoci łachmany tych jerozolimskich paryatów, że mimo ubóstwa wyglądają jak polne lilie, o których mówił Chrystus: że są ubrane tak przepysznie, jak nigdy Salomon w swéj chwale.

Pomiędzy tylu dziełami wielkich artystów, z których każdy inaczéj tenże sam przedmiot pojmował, żadne nie wyraża dostatecznie textu Pisma świętego, nie oddaje cierpienia moralnego, które przetrwało spełnioną mękę fizyczną. Chassériau pojął i uplastycznił tę drugą czysto duchową część dramatu: Zbawiciel jego czuje i cierpi, nawet po śmierci.

Ciało Chrystusa wspierane przez Józefa z Arymatei, sprawiedliwego męża, który był senatorem, już prawie dotyka ziemi; Marya przyjmuje je w swoje objęcia. Jezus umarły zwiesza głowę na piersi; z przebitego włócznią boku krew mu się sączy; na twarzy jak trup blady: jednak rychłe zmartwychwstanie czuć w tych pokaleczonych członkach, które zdają się raczéj omdlałe, nie martwe. Boska nieśmiertelność przebija przez pokruszoną cielesną skorupę. Boleść Maryi tchnąca heroizmem poświęcenia, przypomina nieco, chociaż wysoko uduchowniona, Marye Michała Anioła, które przyjmują ukrzyżowanego, jak matki Spartanki poległych synów, przyniesionych na puklerzu z pobojowiska. Wzniosły smutek Jana trzymającego kraj całunu, i gwałtowna rozpacz Magdaleny, która złote włosy zlewa wraz ze łzami na Chrystusowe nogi, dorównywają wyrazowi Matki Bolesnéj. Wkoło klęczą święte niewia-

sty: jedne podnoszą w niebo oblicza, drugie zakrywają draperyą nabrzmiałe od płaczu oczy. Cała ta środkowa grupa pełna jest świętości i powagi; scena, którą widzimy obok, nie mąci wcale jéj bolesnego zachwytu.

Po lewéj stronie krzyża, jak gromada złych duchów, stanęli fanatycy synagogi: rabini, doktorowie, starsi, faryzeusze i kupcy, których Jezus wygnał z kościoła. Przywódzca zgrai, żyd rudobrody, istne uosobienie nienawiści, szyderstwa i fanatyzmu, odwraca głowę ku Chrystusowi, ręką czyniąc gest urągliwy.

Za nimi wre i bluźni rzesza, co wołała na Piłata: „ukrzyżuj tego, a wypuść nam Barabbasza!" Na przodzie faryzeusz w niebieskim płaszczu klęka i przedrzeźnia modlitwę; inny jedną ręką pod bok się podparłszy, drugą wskazuje Jezusa jakby mówił: „jeżeliś Syn Boży, powstań!" Jakiś Etiopczyk podróżny przyłączył się do bandy: pyta, czyjato exekucya tak wzburza całe miasto? I zaśmiał się głupio, bo pytany podnosi trzy palce w górę, opowiadając, że ten ukrzyżowany obiecał zmartwychwstać za trzy dni. Na piérwszym planie mały żydziak drobną rączką rzuca na Chrystusa kamyki, których nazbierał w połę. Ten dziecinny instynkt okrucieństwa jest dopełnieniem wszystkich złych namiętności, które tu zgromadzone, jak gniazdo wężów syczy i parska jadem.

W tłum bluźnierców, jakby dla uwydatnienia ich szkarady, artysta rzucił figurę, która wymownie protestuje przeciw zbrodni: jestto starzec białobrody, którego głowa mocno oświecona padającém od krzyża światłem, nagle zwraca się na bok, pragnąc co prędzéj uciec od bezbożnego gminu. Zapewne odezwał się w nim głos sumienia: błyskawica co powaliła świętego Pawła, błysła mu nagle przed oczyma—i uwierzył.

Po drugiéj stronie krzyża, jako przeciwstawienie wściekłego judaizmu, artysta ustawił obojętnych pogan, zupełnie obcych kłótniom synagogi. Trzej Rzymianie siedzą poważnie na potężnych koniach: Longus, którego ochrzciła krew Zbawiciela, podnosi ku niemu poczciwą twarz żołnierską i bije się w pierś; koń jego przestraszony nagłą ciemnością, która pokryła niebiosa, zżyma się i trze o piersi rozdęte chrapy. Dwaj drudzy jeźdzcy, jak dwa konne posągi stoją nieruchomo

i rozmawiają spokojnie. Pan Chassériau po mistrzowsku umié malować konie: dwa rzymskie rumaki powstrzymywane w miejscu, wspaniale wyglądają! Oblane potem i pianą, dymią z niecierpliwości jakby spłonąć miały.

Na piérwszym planie stojący żołnierz, rozwija i ogląda pożądliwie tunikę ukrzyżowanego. Obok, towarzysze leżąc na ziemi grają w kości o ubranie Chrystusa. Cały obraz rysuje się na tle górzystém prostych a ogromnych zarysów. Tarcza słoneczna napół zaćmiona, rzuca straszne światło na smutną okolicę: tu i owdzie żałobne ludzkie postaci migają i nikną, jak przeciągłe echa wielkiego żalu....

W tym pobieżnym rozbiorze staraliśmy się dać wyobrażenie powiększonéj i nowéj formy, jaką pan Chassériau nadał scenie Zdjęcia z krzyża. Z elegii zrobił dramat: Chrystus na jego obrazie nietylko jest ukrzyżowany między dwoma łotrami, ale między judaizmem, który boskości jego zaprzecza, a pogaństwem, które o niéj nie wié.

Wykonanie jest na wysokości myśli. Wszystko tu na swojém miejscu: powaga w ruchach, energicznie wyrażone charaktery, wielka znajomość anatomii i przepyszny koloryt. Niektóre figury odczepiają się od muru z niepojętą na gładkiéj powierzchni wypukłością, i ożywione potężnym pędzlem artysty wybiegają z szeregu na kilkanaście kroków. Ogromny ten fresk jest ozdobą kościoła świętego Filipa, i bardzo wysoko stawia pana Chassériau. Żaden z młodych malarzy francuzkich nie posiada wyższego poczucia sztuki: artysta z rzadką w dzisiejszych czasach umiejętnością owładnął ogromną kompozycyą, dopiéro co opisaną, a która należy do rzędu tych które stanowią epokę w życiu malarza i dają mu prawo do nieśmiertelności.

Dnia 17 lutego umarł w Paryżu Henryk Heine. Liczne grono francuzkich i niemieckich literatów odprowadzało go do grobu: żaden atoli głos nie ozwał się przy zwłokach jego, bo taka była ostatnia wola poety. Od ośmiu lat przybity do łoża boleści, tak poufale zaznajomił się ze śmiercią, iż zbyteczném mu się wyda-

wało robić z nią jakiebądź ceremonie. Wszyscy, co go odwiedzali w tych ostatnich kilku latach, co go widzieli w téj przygotowawczéj trumnie, w któréj leżał pozbawiony ruchu i wzroku, nie mogli się wydziwić jakim cudem ten człowiek żyje; a więcéj jeszcze, jak w takim stanie śmiać się może: bo śmiał się aż do końca. Po śmierci nawet uśmiech Satyra, jak szeroka blizna przecinał na dwoje bladą twarz poety; po śmierci nawet ognisty język ironii zdawał się unosić nad trupem jego. Ta straszna wesołość, którą w godzinę skonu jeszcze pokonywał cierpienia fizyczne, dowodzi w nim wielkiéj siły moralnéj; świadczy, coby mógł był dokonać używając inaczéj potęgi ducha i rzadkich zdolności umysłowych, jakie mu były dane.

Heine watpiący o wszystkiém filozof, był przedewszystkiém artystą zakochanym w najwyższéj piękności, którą ścigał przez wszystkie prawdy i sofizmata, uwielbiał gdzie tylko spostrzegł, tak dobrze w greckiéj świątyni jak w średniowiecznéj ketedrze, muzułmańskim meczecie jak w izraelskiéj synagodze. Podobny do bóstw indyjskich, których żywot ma być wieczną metempsychozą, z gwiazdy przechodził aż do robaka, wcielając się naprzemiany we wszystkie piękności, i wszystkie potwory istniejące w naturze. Namiętny geniusz Heinego podkopuje wszystkie pojęcia, ulata za powiewem wszelkiego entuzyazmu, chwyta, pieści, i uplastycznia wszystkie rozkoszne wizye umysłu i ciała: śmiech i płacz, bluźnierstwo i modlitwa, mieszają się i płyną razem w błędnych pieśniach jego. W tych ustawicznych przeobrażeniach znika indywidualność poety, myśl jego wymyka się definicyi, jak potok lśniący wszystkiemi kolorami tęczy, bieży i rzuca się w przepaść zwątpienia.

Uważane atoli ze stanowiska estetyki, utwory poetyczne Heinego są znakomite: Greka zachwyci w nich harmonia i piękność formy; Niemca idealna atmosfera, jaka od nich wieje; Francuza dowcip, którym połyskają, nawet człowiek uczuciowy znajdzie tam dla siebie powaby: bo sceptyk co zwątpił o wszystkiém, jak Hamlet nie zwątpił o miłości, i poświęcił jéj kilka kart pięknych: w Intermezzo napotyka się ich wiele.

Wmiarę zbliżania się do grobu, szyderstwo Heinego znacznie się ułagodziło w wyznaniach poety, napisanych na rok przed śmiercią: nie jest on już tak sceptyczny jak w poprzednich pismach; czasami nawet czuje potrzebę wiary, jak tego dowodzą następujące jego słowa:

„Ciało moje jest trupem, w którym uwięziony jest duch; skrępowany materyą szarpie się, szaleje z rozpaczy, wrzeszczy i bluźni!

„Bezsilny niewolniku! Twoje najstraszniejsze przekleństwa nie zabiją nawet muchy. Znoś lepiéj swój los w pokorze, płacz pocichu, albo sprobuj się modlić!"

Bóg nareszcie zlitował się nad nim, przeciął pasmo tego nieszczęsnego życia, i zesłał koniec spokojny. Heine błogosławiąc swéj żonie, aniołowi cierpliwości i słodyczy, co wiecznie nad nim czuwał, umarł na jéj ręku pełen wiary w przyszłe życie i sprawiedliwość Stwórcy; tak przynajmniéj mówią ci, którzy byli obecni przy jego zgonie

Nie wiedzieć przez jaką wymagalność ciała, trumna zamykająca wątłe zwłoki Heinego była ogromnych rozmiarów. Patrząc na nią, mimowoli przyszły nam na myśl strofy, które poeta napisał przed 15 laty w Intermezzo, układając program własnego pogrzebu:

„Mam grzebać stare i złe pieśni, ciężkie i smutne sny: przynieście mi ogromną trumnę. Mam w nią schować wiele rzeczy: trumna musi być większa od heidelbergskiéj beczki.

„Niech będzie mocna i gruba! dłuższa od moguńckiego mostu. Przyślijcie mi także 12 olbrzymów silniejszych od świętego Krzysztofa katedry kolońskiéj; muszą nieść trumnę i rzucić ją w morze: tak wielka trumna wielkiego wymaga dołu. A wiecie dlaczego tak ciężką i wielką być musi? Bo w nią złożę wszystką miłość moję i wszystkie cierpienia!"

Rząd tutejszy wyznaczył fundusz na wydawnictwo dzieł starych poetów francuzkich. Zbiór ten zajmie najmniéj czterdzieści tomów po 60,000 wierszy każdy. Piérwsza serya zawierać będzie poemata narodowe, opiewające pamiątki z czasów rycerskich Fran-

cyi i Anglii. Po téj publikacyi wyjdą poemata starożytne święte, i nieświęte: piérwsze osnute na wielkich wypadkach biblijnych, drugie na najważniejszych ustępach z historyi greckiéj i rzymskiéj, począwszy od Herkulesa aż do Alexandra, od Cezara aż do Attyli. Późniéj drukowane będą romansowe awantury, oraz poemata satyryczne i allegoryczne, jakoto: le roman du Renard; le roman de la Rose i t. p. Są to rzeczy odpowiadające naszéj odwiecznéj powieści o księżniczce Banialuce i o jéj Galasie. Osobna serya będzie przeznaczona na poemata krótkie, a osobna na poemata dramatyczne.

— Pani Molinos-Laffitte napisała książkę pod tytułem: L'éducation du foyer. Dziełko to traktuje o wychowaniu dziewczyn: daje rady matkom i naucza jak córki swoje prowadzić mają. Autorka dzieli wychowanie na trzy epoki: od dwóch do siedmiu lat, od siedmiu do czternastu, od czternastu do ośmnastu. W tym samym przedmiocie napisano już massę książek, mianowicie po francuzku: żadna atoli nie zadawalnia zupełnie. Ta, o któréj tu mowa, czyta się przyjemnie, ale wątpię żeby była użyteczniejszą od innych. Głównym jéj błędem jest, że pod wszystko podciąga regułę, wszystkiemu jednaką nadaje wagę: w jednéj kładzie rubryce maniery, język, serce, umysł, rozsądek, czucie i pojęcia; co zdaniem naszém, jak wszelki pedantyzm prowadzi wprost do przytłumienia wszelkich wrodzonych zdolności dziecka, a przez nieustanne gderanie, czyni je zupełnie obojętném na napomnienia. Takie drobiazgowe wychowanie jest plagą dla dzieci. Zaszczepiać w nie przykładem i nauką miłość cnoty a wstręt do występku, resztę mniéj więcéj zostawić naturze: to podobno najlepszy sposób wychowania. Najważniejszém zadaniem nauczyciela rozróżnić wrodzone dziecka zdolności i wady, poznawszy takowe, podać mu środki do rozwinięcia i zużytkowania piérwszych, a wykorzenienia drugich.

Dobra książka o wychowaniu byłaby najdroższym podarunkiem, jaki człowiek z talentem mógłby złożyć w ofierze swemu krajowi. Pani Molinos-Laffitte nie dała go: to rzecz pewna. Jednakowoż jéj dziełko nie jest

bez zalet: styl jego prosty, oraz wiele trafnych spostrzeżeń dowodzą, że autorka jest kobietą niepospolitą.

— Autor Jocelyna ogłosił nową miesięczną publikacyą pod napisem: Cours familier de littérature. Naturę téj publikacyi sam autor określa temi słowy:

„Mniemałem, iż pożyteczną będzie rzeczą wskrzesić zamiłowanie do wysokiéj i zdrowéj literatury przez poufne rozmowy o ważnych dziełach umysłu ludzkiego, jakie pojawiły się we wszystkich językach, wszystkich krajach, i wszystkich czasach. To nauczanie w formie pogadanki nie będzie systematycznym kursem, ale raczéj dowolną pielgrzymką po pomnikach literatury powszechnéj. Będzie to ruchome muzeum arcydzieł literackich wszelkiego rodzaju, przynoszone co miesiąc do mieszkania czytelnika, a przeznaczone mianowicie dla ojców i matek.

Zniżona cena uczyni je przystępném wszystkim klassom społecznym. Jestto owoc naukowego życia, które wypoczywa pracując. Polecam go przyjaciołom oświaty, moralności i nauk."

Co miesiąc wychodzić będzie jedna lekcya. Roczna cena abonamentu 20 franków.

— Ponsard napisał nową sztukę: „La bourse", którą przedstawiać będą w Odeonie; role już są rozdane.

MIÓD.

USTĘP Z POEMATU „PIAST".

GĘŚLARZ.

Dłoń niebieskiego szafarza
Dziwnie zbogaca przyrodę:
Niedość, że z owoców, zdrojów,
Czerpiemy żar i ochłodę;
Sama natura nam stwarza
Najcudowniejszy z napojów,
Napój z kwiatów.,..

CHÓR.

Ach! to miód!...

GĘŚLARZ.

Znam ja maleńką istotę,
Co bez ksiąg, ni cyrklów, zdoła
Wznieść zamki przejrzysto-złote,
Piękniejsze niż królów gród:
Znacież wy taką?

CHÓR.

To pszczoła!

GĘŚLARZ.

Choć nie siejem, ani orzem,
Pszczoła spichlerz nam odmyka;
Jakiż więc pod słońcem bożem
Najsłodszy zawód?

CHÓR.

Bartnika!

GĘŚLARZ.

W Polsce, tylko dla bogaczy
Płynie nektar winnych gron
I zamorskich krzewów plon;
W czémże więc swe łzy i trud
Topią tłumy?

CHÓR.

Ach! miód!... miód
Tryska z dąbrowy prostaczéj,
Skromny, a mocny jak lud.

GĘŚLARZ.

Serca wrogów gniew tak pali,
Że ich zgodzi chyba cud;
Lecz w uczcie się uściskali!
Cóż źródłem braterstwa?

CHÓR.

Miód.

GĘŚLARZ.

Lirnik milcząc wszedł do wioski;
Ledwie wionął z czary chłód,
Pieśń wytrysła z struny boskiéj:
Cóż źródłem natchnienia?

CHÓR.

Miód.

MŁODZIENIEC (*występując*).

Czemuż, kiedy miód mię poi,
Wnet na marzeń złotém tle,
Uśmiech czarnobrewy mojéj
Potężniéj czaruje mnie?

GĘŚLARZ.

Polki tron wdzięku dziedziczą:
Z ich ust płonących jak wschód,
Uśmiech *upaja słodyczą*,
Uśmiech, jest to duszy miód.

MĄŻ (*występując*).

Czemuż, kiedy lipca zdrój
Kryształowe dno ubieli,
Wsparty na méj karabeli
Światbym cały wyzwał w bój?

GĘŚLARZ.

Miód, dla laurów rosą jest!
Ziemowity, Bolesławy
W miodzie brali męztwa chrzest;
A gdy plac rzucili krwawy,
Miód im zastępował krew.
Ile krwi stracono z raną,
Tyle miodu w pierś wlewano,
I znów w bitwę wracał lew!

STARZEC (*występując*).

Czemuż, gdy włos szronem stroję,
Gdy zbladł urok dawnych złud,
Gdym rzucił inne napoje,
Odmładza mię tylko miód?

GĘŚLARZ.

Słuchaj:—z ziół i kwiatów pszczółka
Wypija nietylko sok:
Wysysa sumienie fiołka,
Młodzieńczy bławatka wzrok,
Tkliwéj lipy puch gołębi,
Makówki jaskrawe sny,
Serce róży z kolcem w głębi,
I zakonne lilii łzy.
Nie dziw więc, że blady trud
Na dnie roztruchanu znika,
Bo wyskokiem wiosny—miód.

CHÓR.

Nie dziw, że dla biesiadnika
Kwitnie życie, kwitnie świat:
Bo gdy z słodkiemi balsamy
Duszę kwiatów wypijamy,
Dusza nam się zmienia w kwiat!

Deotyma.

PRZEGLĄD LITERATURY ZAGRANICZNEJ.

LITERATURA ANGIELSKA.

Powieściopisarki angielskie.

Ważnym dziś faktem w powieściowéj europejskiéj literaturze jest współudział, jaki stanowczo zajęły w niéj kobiety. Obejrzyjmy się tylko po świecie, a jeżeli zechcemy bezstronnie sądzić, musimy im przyznać wzniosłe stanowisko, jakie sobie w końcu wywalczyły, po wielu latach słabych prób i daremnych usiłowań. Genialna Sand, mimo zbyt słusznych zarzutów o rozszerzanie zasad burzących porządek społeczeństwa, stoi jednak na czele powieścio-pisarzy francuzkich; a obecny jéj zwrot na drogę prawdy i prostoty, niemały czyni jéj zaszczyt. Zmarła niedawno pani Girardin, odziedziczywszy zdolność literacką po matce swéj Zofii Gai, zasłynęła świetnie w kole francuzkich literatów. Ale nietylko gorączkowe życie Paryża daje kobietom natchnienie: toż samo zjawisko widzimy dziś na północy, bliżéj biegunowych lodów. Panna Fryderyka Bremer, w powieściową formę, z głęboką znajomością sztuki obwija myśli czerstwe i żywotne, pełne prawdziwie męzkiéj siły, i przybiera je w samodzielną a świeżą barwę, przypominającą żywiczną woń skandynawskich lasów. W Anglii zaś obok imion Dickensów, Bulwerów i innych, widzimy bogaty wieniec niewieścich imion, nie ustępujących tamtym w zasłudze i świetności. Dość tu wspomnieć dwie Amerykanki: panią Stowe i pannę Kumming (autorki *Chaty ojca Tomasza i starego La-*

tarnika), których dzieła tyle sprawiły rozgłosu, tak żywotne poruszyły myśli; dosyć wspomnieć pannę Edgewort, miłą przyjaciołkę dorastających dziewcząt; uczuciową panią Kortkon; racyonalną pannę Brouty znaną pod pseudonimem Currer Bell; nakoniec głęboko religijną lady Georginę Fullerton.

U nas jednakże, jakkolwiek kobiety usiłują przynieść swoję cegiełkę do budującego się gmachu powieściowéj literatury, usiłowania ich mniéj były szczęśliwe. Oprócz prawdziwie wpływowych powieści Hoffmanowéj, zalecających się więcéj pożytecznością, niż talentem, nie mamy znakomitych w tym względzie utworów niewieściego pióra. Jedne rażą nas zbyteczną chorobliwością w pomyśle, w innych zawiele widzimy poetycznego rozmarzenia; inne podobniejsze są do skargi cierpiącéj duszy, niż do bezstronnego spoglądu na społeczeństwo; inne nakoniec, zdrowe może w pomyśle, niedosyć zalecają się formą, a podając prawdę zbyt cierpką i ogołoconą z wszelkiéj estetycznéj ozdoby, tém samém chybiają celu. Słowem w powieściowych utworach kobiét naszych nie widzimy dotąd równowagi: pomiędzy twórczemi władzami ducha przemaga w nich zwykle albo wyobraźnia, albo uczuciowość, albo chłodny rozum; a wiemy przecie, że tylko harmonijne zjednoczenie tych wszystkich władz, tchnie życie w martwe słowo i roztoczyć może na utwór czarodziejski blask sztuki.

Czy w téj nieudolności powieściowej leży wina kobiét naszych, które rzucają się częstokroć do pióra bez dostatecznego przygotowania, bez zbadania sił własnych i zdolności; czyli téż, co pewniéj, wina uprzedzonéj i pobieżnéj krytyki, która albo psuje niewczesną pochwałą, lub zraża niewyrozumowaną chłostą — nie do nas o tém sądzić: podajemy tylko fakt, nie wchodząc w jego powody.

Pomiędzy przyczynami owego ogólnego dziś popędu kobiét do literatury, słynny krytyk angielski James Mackintosche kładzie *nudę*. Kobiéta rozumna, mówi on, musi koniecznie się nudzić. Nuda bywa wszakże bodźcem do niepospolitych czynów ludzkich: nuda tworzy nawet bohaterów. I cóż ma czynić kobieta, która wiele w życiu czuła, wiele widziała, wiele rozmyślała, a która się nudzi? Oto pisze romanse!

Niepodobna przypuścić, żeby te słowa powiedziane były w poważném znaczeniu: musi to być zapewne płochy żart, igraszka dowcipu słynnego krytyka, lub téż zdanie rzucone na

wiatr w mglisty dzień jesienny, pod wpływem narodowego splenu. Inaczéj biada byłaby społeczności, którąby już nie znalazła w sobie silniejszéj podniety do działania nad nudę. Nuda najsmutniejszy owoc skażonéj cywilizacyi, może wprawdzie podać pióro do ręki, ale nie natchnie poczciwą myślą, nie wleje życia, bo go nie ma w sobie, bo sama jest chorobliwą narośla, moralnym trądem, toczącym wystygłe i zwątpiałe społeczeństwo. Tylko wiara, tylko miłość, mają w sobie twórczą siłę; kobieta zatém pisze, bo kocha, bo wierzy; bo zdobywszy prawdę doświadczeniem, nie zasklepia jéj w sobie, nie chowa jéj na własny pożytek, ale wedle siły dzieli się nią z drugiemi, ostrzega, łagodzi, uczy, wskazuje drogę! Ztąd w utworach kobiecych uderza nas więcéj zdolność budująca (synteza), aniżeli krytyczna (analiza).

Gdybyśmy cośkolwiek przyznać chcieli na literackiém polu panującéj dziś nudzie, to chyba smutny fakt, że tchnąc w serce ludzkie złą wolę, podaje w rękę krytyka zimny nóż analizy. Jeśli zaś nuda tworzy niekiedy krytyków, to tylko miłość, tylko wiara daje natchnienie artyście!

Przekonamy się o tém, dając rozbiór dwóch utworów niewieściego pióra. Żadna z dwóch autorek bez wątpienia nie znalazła podniety w nudzie. Obiedwie zdobyły ją w szczeréj miłości bliźniego, obiedwie chciały mu wskazać zatraconą drogę do szczęścia; a jakkolwiek jedna z nich protestantka, tylko po ziemsku pojmuje to szczęście, gdy tymczasem druga widzi je bezwarunkowo w poświęceniu i w wysokim rozroście ducha: wszakże obiedwie pragną gorąco powszechnego dobra, a to pragnienie podaje im pióro do ręki.

Przed dwoma laty wyszły w Londynie dwie znakomite powieści kobiét; jedna p. n. *Villeta*, utworu panny Brouty czyli Currer Bell; druga, p. n. *Lady Bird* (Ptaszyna Boża), napisana przez Lady Fullerton, znaną autorkę *Zamku Grantlej i Heleny Midletton*. Obiedwie te powieści z równą utworzone zdolnością, różnią się wielce tak w pomyśle, jako i w wykonaniu.

Currer Bell wiernie odwzorowywa stan mieszczański: wystawia ludzi w codziennych a trudnych zapasach z życiem, maluje obrazy na szarém tle rzeczywistości; lady Fullerton szersze pole naznacza bohaterom swoim: przeprowadza ich chętnie po złoconych salach pałaców. Sposób pisania Currer Bell jest szorstki, trochę nawet dziki; pani Fullerton przeci-

wnie nie goni za effektem: idzie raczéj za popędem bogatéj wyobraźni, ogrzanéj gorącém uczuciem. Większa jeszcze sprzeczność panuje w moralnéj dążności tych dwóch niepospolitych kobiét. Currer Bell trzyma na wodzy zapał, broniąc mu wszelkiego wybuchu; razi tu i owdzie szyderczemi słowy, co naznacza jéj utwory pewną męzką siłą. Najchętniéj skreśla tego rodzaju walkę, w któréj człowiek zostawiony sam sobie, dobywa niezłomnéj mocy, z głębi własnego ducha. Currer Bell ogłasza tylko zwycięztwa ludzkiéj woli: z pychą Tytana wskazuje moralną siłę, spoczywającą w piersi człowieka. Jest w jéj pismach moc i samodzielność, ale nie dojrzeć w nich łzy: zadziwia ona, zajmuje, ale nie rozrzewnia. Jest to protestantka w całém znaczeniu tego słowa. Lady Fullerton przeciwnie: to prawdziwie niewieścia dusza zwrócona ku niebu siłą wyższéj miłości. Zna ona gorączkowe ułudy młodego wieku, który wierzy w szczęście na ziemi i goni za jego zdobyciem; z prawdziwém jednak upodobaniem kreśli tylko okropne katastrofy ludzkiéj zarozumiałości. Rada upokarza pychę i wolną wolę człowieka, pod chłostą z Bożéj odebraną ręki; mocą religii dźwiga człowieka z prochu; na torturach boleści łamie bohaterów swoich, aż cierpieniem doprowadzi ich w końcu do serdecznéj skruchy i wyznania win własnych. Wolna od wszelkiéj przesady i bigoteryi, jest to rzec można natchniona wyższą łaską krzewicielka katolicyzmu w Anglii.

Różnicę pomiędzy wspomnionemi autorkami dostrzeżemy z szczegółowego rozbioru ich powieści. Zaczynamy od *Villely* utworu Currer Bell.

Rzecz się dzieje w małém angielskiém miasteczku. Bohaterka powieści Lucyna Snowe, przybyła na kilka miesięcy do matki swojéj chrzestnéj pani Bretton. Jestto młoda, milcząca dziewczynka; chowa zazwyczaj w głąb duszy wszelkie doznane wrażenia, lubi cichy i spokojny dom chrzestnéj matki, pełen ładu, z wielkiemi oknami o świecących szybach, z balkonem wychodzącym na wązką uliczkę starożytnego miasteczka, cichego i czystego, jakby w niém wieczna panowała niedziela. Pani Bretton, zamożna wdowa, kobiéta dobra, świeża jeszcze i piękna, ma jedynego syna, Grahama, dorodnego i wesołego młodziana, który kończy właśnie nauki. Lucyna Snowe dwa razy do roku odwiedza chrzestną matkę z niemałą serca radością,

lubo po nieśmiałém jéj ułożeniu znać, że nie czuje się u niéj w właściwym sobie żywiole, należąc sama do uboższéj klassy.

Do cichego domu przybywa wkrótce nowy gość, nowa dziewczynka. Niejaki pan Hume, który tylko co stracił żonę, kobietę światową, udając się w daleką podróż powierza córeczkę przyjaciółce swojéj, pani Bretton. Miłe to i godne zastanowienia dziécię.

Polly jest dziwnie ładna, delikatna, wątła, prawdziwa miniaturka. Sądzi o wszystkiém, jakby dorosła osoba, a i uczucia jéj niemniéj są rozwinięte. Kocha z zapałem ojca: zdaje się zrazu, że nic ją nie zdoła pocieszyć po jego odjeździe; ale wkrótce, poznawszy lepiéj Johna Graham, oddaje mu nieprzebrany skarb uczuć, przepełniający młodziuchne jéj serce. Wesoły student bawi się z nią, drażni ją i pieści naprzemiany. Graham podnosi ją w górę, jak piórko, buja na huśtawce, stawia ją sobie na głowie, pokazuje jej piękne obrazki w książkach, uczy ją wierszy napamięć, sadza ją na swego kucyka. Polly usiłuje ciągle przypodobać się Grahamowi, a gdy roztrzepany chłopiec nie zwraca na to uwagi, biédna cierpi, i czuje się nieszczęśliwą. Gdy Graham pracuje wieczorem w salonie, Polly siada u stóp jego na nizkim stołeczku, i jak domowy piesek, patrzy mu w oczy, błagając wzajemnego spojrzenia, częstokroć nawet daremnie! Nakoniec gdy p. Hume przybywa po córkę chcąc ją zabrać na ląd stały; boleść Polly jakkolwiek tajemna, nie jest mniejszą jak w chwili, gdy poraz piérwszy przybyła do owego domu, do którego dziś przylgnęła duszą całą. Sama tylko Lucyna Snowe odgadła uczucia małéj Polly. Pociesza ją i uspokaja, a wspomnienie tych piérwszych chwil młodości rzuca uroczy odblask na dalsze jéj życie.

W ośm lat potém Lucyna Snowe występuje do walki z sobą i otaczającym ją światem. Szczególnym wypadkiem, którego nie wyjaśnia w swéj opowieści (jestto bowiem rodzaj autobiografii) pozostaje sama jedna, do tego zmuszona myśleć o koniecznych życia potrzebach. Jest już sama oddawna, wypadki niezależne od jéj woli zerwały jéj stosunki z p. Bretton. Słyszała wreszcie, że jéj matka chrzestna wraz z synem, który skończył nauki i obrał zawód doktora, opuścili miasteczko i przenieśli się do Londynu. W trudném będąc położeniu, Lucyna Snowe przyjmuje obowiązki towarzyszki przy pannie staréj i schorzałéj. Smutneż to życie! Biédna Lucyna musi znosić

tysiączne dziwactwa i wymagania. Jednéj nocy wreszcie chora, w chwilach bezsenności, zrozumiała jak nieludzko jest i okrutnie z jéj strony, czynić młodą dziewczynę ofiarą jéj cierpień. Uczuła gorzki wyrzut, przywołała Lucynę i obiecała zapewnić jéj los dalszy. Nazajutrz z rana znaleziono ją w łóżku umarłą. Lucyna pozostała bez miejsca; całym jéj majątkiem była mała sumka, złożona z kilkunastu gwinei. Bez krewnych, bez przyjaciół, co tu czynić na świecie? Lucyna zamierza szukać szczęścia w Londynie. Przybywszy do wielkiego miasta, ogłuszona gwarem, śmielszy jeszcze przedsiębierze zamiar: słyszała ona, że na stałym lądzie bogate rodziny biorą Angielki do uczenia dzieci języka; Lucyna zna dokładnie rodzinną mowę, dość jéj na tém: zamawia miejsce na parowym statku, i na los szczęścia rzuca się w świat nieznany. W każdym Angliku jest kropla krwi Robinsona Cruzoe.

Lucyna Snowe przypływa do Ostendy, zkąd jedzie do Bruxelli, którą przezywa Villetą. Na statku poznała się z młodą panienką Ginewrą Fanshawe. Ginewra podróżuje sama równie jak i Lucyna, ma lat 17, ładna jest, ale roztrzepana. Postać to zwyczajna w obecnym czasie. Między podróżującemi po stałym lądzie Angielkami, wiele takich napotkać można, które jak Ginewra korzystają ze swobody dozwolonéj w Anglii młodym pannom, a do tego przybierają obyczaje lekkomyślne kobiét stałego lądu. Ginewra należy do rodziny, która bez majątku żyje w Londynie na dość wysoką skalę, pragnąc bogato wydać za mąż córki. Wuj Ginewry pan Bassompierre, człowiek światowy, łoży na jéj wychowanie; młoda wietrznica była już w wielu zakładach naukowych w kraju i za granicą; przejeżdżała się ustawicznie z Francyi do Niemiec, z Niemiec do Belgii. „Ztém wszystkiém nie umiem nic zgoła,— mówiła naiwnie do Lucyny— gram na fortepianie i tańczę, ale téż na tém koniec. Prawda! mówię płynnie po niemiecku i po francuzku, ale za to nie napiszę kilku słów poprawnie w rodowitym języku; co gorsza, zapomniałam zasad swojéj religii. Nazywają mnie protestantką, ale ja sama nie wiem, czy nią jestem doprawdy: nie znam różnicy pomiędzy protestancką a katolicką wiarą. Ależ mnie to wcale nie obchodzi. Byłam luterką w Bonn; o! jakież to kochane, jakie śliczne miasto: tyle tam pięknéj młodzieży, tylu uczniów uniwersytetu! Wszystkie pa-

nienki na naszéj pensyi miały swoich wielbicieli. Wiedzieli oni dobrze, o których godzinach wychodzimy na przechadzkę, a kiedy nas mijali, mówili zawsze *schoenes Maedchen!* O! szczęśliwa byłam w Bonn, prawdziwie szczęśliwa!“ Ginewra wraca teraz rada nierada na pensyą do Villete, gdzie jest od pewnego czasu umieszczona; pensya jak mówi szkaradna, ale kilka znacznych rodzin angielskich zamieszkało w Villete, do których wychodzą w każdą niedzielę. Głowa Ginewry zaprzątnięta jest tylko balami, wieczorami, kochankami i światem. Wciągu téj nieustającéj paplaniny, powiedziała Lucynie, że znajoma jéj w Villete, pani Beck, starała się niedawno o bonę Angielkę do dziewcząt. Lucyna Snowe zachowała w pamięci to nazwisko. Za przybyciem do Villete, udała się do domu pani Beck, gdzie została przyjętą.

Tu zaczyna się właściwa powieść. Dom pani Beck, która utrzymuje piérwszą pensyą dziewcząt w mieście, jest polem dramatu. Jakiż to dziwny ten świat pensyonarski! Kto nie czytał romansu Currer Bell, nie pojmie łatwo, żeby można zająć kilka godzin opisem szkolnych ławek, nieznośną wonią atramentu i papieru, psotami swawolnych i kłótliwych dziewcząt, i gderaniem nauczycielek.

Trzeba sobie wyobrazić dokładnie ów świat, w który wpadła biédna młoda Angielka, gdzie ma się rozwinąć jéj dusza, wyrobić charakter. Piérwszą osobą w domu jest sama pani Beck: jestto wdowa, dosyć jeszcze młoda i przystojna; posiada w wysokim stopniu przymioty potrzebne do rządzenia małém swojém państwem, a za dawnych czasów mogłaby śmiało być ksienią jakiego opactwa. Słodka jest w obejściu, a jednak nieugięta, pełna względów, małomówiąca, słowem, wyborna polityczka. Umié zastosować się we wszystkiém do chęci, przesądów i próżnostek rodziców, którzy powierzyli dzieci jéj opiece. Wszystko widzi, wszystko słyszy, wszystko umié pokryć z niesłychanym talentem. Wszędzie jest obecna, i wszędzie niewidzialna, jakby posiadała jaki czarodziejski talizman. Każdego śledzi, ale nie potrąci nikogo; trzyma na wodzy nauczycielki i podochmistrzynie, udzielając im niby nieograniczonéj swobody. Obok pani Beck widzimy inną postać wcale niepodobną na oko, a jednak pociągającą figurę pełną sprzeczności, słowem niepojętą: jestto Paweł Carlos Emmanuel, krewny pani Beck, minister oświecenia w jéj zakładzie, tyran dziewcząt, Napoleon

w nauczycielskiéj todze. Mały, krępy, ma lat około 40; czoło szerokie i pożółkłe, pokryte gdzieniegdzie rzadkim włosem: policzki wychudłe, oko zaklęsłe, pełne ognia, przenikające wskroś każdego, na kim spocznie; ruchy nagłe i szorstkie: wszystko to czyni z niego odrębną jakąś istotę, niepodobną do drugich. Człowiekto niezmordowany w pracy, niezłomny w walce, pełen ognia; pod chropawą, niby kamienną powłoką, za piérwszém spotkaniem odstręcza on i razi, ale pomału ogarnia drugich pewnym tajemniczym wpływem. Pomiędzy pensyonarkami p. Beck, Lucyna Snowe poznała znajomą ze statku, ładną i roztrzepaną Ginewrę. Lucyna lubo niechętnie zostaje powiernicą plotek i miłostek światowéj pensyonarki. Zalotna dzieweczka ma dwóch kochanków: jednego Anglika, miłego i pięknego młodziana, tkliwie do niéj przywiązanego, ale którego nie kocha, bo pochodzi z nizkiego rodu, nie jest szlachcicem i nazywa się poprostu doktor John; woli za to młodego pułkownika, piérwszego dandysa w Villete, hrabiego du Hamal. Rzuca on Ginewrze przez mur ogrodowy słodkie bileciki, w których nazywa Lucynę prawdziwym brytańskim dragonem. Lucyna przywyka pomału do pensyonarskiego życia. Wkrótce nauczyła się po francuzku: pani Beck przeznacza ją do udzielania pannom angielskiego języka, i podnosi na godność podochmistrzyni.

W piérwszych miesiącach pobytu w Villete, Lucyna nie ma czasu zastanowić się nad sobą, i uczuć moralnego swego osamotnienia. Zajmuje ją praca około wykształcenia własnego, ogłusza ją gwar ustawiczny drobnych i swawolnych dziewcząt, powierzonych jéj straży. Przypatruje się bacznie sztucznym sprężynom rządu, téj małéj niewieściéj rzeczypospolitéj. Polityka pani Beck, duch samowładny pana Emmanula, słowem wszystko co dostrzega, zadziwia, oburza i zajmuje jéj umysł. Zalotność i drobne intrygi Ginewry, odwiedziny jednego z jéj kochanków doktora John, jego prośba aby czuwała nad piękną dziéweczką: wszystko to znów budzi z uśpienia jéj wyobraźnią. Przechadzając się po ogrodzie wpośród murawy i kwiatów, altan z dzikiego wina i jaśminu, lub pod cieniem odwiecznych lip wysypaną piaskiem ulicą, dochodzącą do wysokiego muru, obrosłego mchem odwiecznym, młoda Lucyna duma i marzy: przypomina sobie, że ten dom był niegdyś klasztorem, że krąży legenda o zakonnicy w welonie, która się tu pojawia. Raz na-

wet zdało jéj się, że dostrzegła jéj widmo. Okoliczność ta budzi stronę poetyczną w jéj duszy. Lucyna ma nakoniec pewne powodzenie w świecie: na wieczorze u pani Beck odegrała rolę w wodewilu, i zyskała poklask powszechny. Ale wakacye nadchodzą, mały świat rozprasza się na wszystkie strony: Ginewra wyjeżdża do południowéj Francyi, ze znaną jéj rodziną turystów. Pani Beck udaje się do wód. Lucyna pozostaje sama w odwiecznym domu. Osamotniona, zastanawia się nad smutnym losem, jaki jéj Bóg przeznaczył. Trwoga ją dziwna przejmuje, czuje w sercu chłód dotkliwy, wpada w rozpacz i zwątpienie. Myśl o braku wszelkich związków na ziemi, o strasznéj próżni, pustoszącéj jéj duszę, przeraża ją, targa jéj nerwy, zapala krew gorączką, sprowadza obłęd do głowy. Okropna to chwila przesilenia; zważmy jak ją opisuje:

„Raz wieczorem, a tego wieczora nie miałam gorączki, byłam przy zdrowych zmysłach, wstałam, ubrałam się sama, słaba i chwiejąca. Niepodobna mi było znieść dłużéj samotności w obszernéj pensyonarskiéj sypialni. Białe kolory łóżek wydawały mi się jakby szeregi duchów, a zakończające je u sufitu korony, jakby trupie czaszki, wyblakłe na słońcu. Tego wieczora bardziéj niż kiedy uczułam w głębi duszy przekonanie, że przeznaczenie było jakby z głazu, a nadzieja fałszywem bożyszczem, któremu świat próżne pali ofiary. Czułam także, iż proba na jaką Bóg mnie skazał, doszła nakoniec do ostatecznego kresu; żem powinna ją skruszyć, słabą, lecz gorączkową dłonią. Deszcz padał, wiatr dął przeraźliwie. Zwolna mrok zapadać począł, a wpływ jego wydał mi się dobroczynnym. Przez okno widziałam ciągnącą czarną chmurę, rozpostartą nizko ponad ziemią, nakształt olbrzymiéj chorągwi. Byłam pewna, że w téj chwili niebo smuci się i boleje nad wielkiém cierpieniem ziemi. Czułam, jakby dłoń litościwa usuwała ciężar, który przyciskał srodze pierś moję. Dręcząca myśl, że nikt mnie nie kocha, nie zna, nie pojmuje, ustąpiła prawie nadziei. Pewna byłam, że ta nadzieja stokroć jaśniéj mi zaświeci, gdy wyjdę z pod tego dachu, który gniótł mnie, jakby wieko grobowca—gdy wybiegnę w pole za miasto. Zarzuciłam płaszczyk i wyszłam. Przechodząc koło kościoła usłyszałam dzwony: zdało mi się, jakby dźwięk ich wzywał mnie na wieczorne błogosławieństwo. Weszłam do kościoła. Uroczystość obrzędu, widok czci szczeréj a głębokiéj, głos modlitwy zasyłanéj do Boga: wszystko to spły-

wało na mą spragnioną duszę, jakby rosa z nieba. Uklękłam za drugiemi na kamiennéj posadzce. Był to stary kościół: światło zewnętrzne przedzierając się przez rożnobarwne szyby, rzucało na mury purpurowe odblaski.

„Niewielu było wiernych zgromadzonych w kościele: po błogosławieństwie rozeszli się prawie wszyscy, niektórzy tylko pozostali dla spowiedzi. Stałam jak skamieniała. Podwoje kościoła zamknięte były szczelnie, święty spokój spływał na nas, coraz grubsze ogarniały nas cienie. Po chwilowém rozmyślaniu i modlitwie, jedna z pokutnic zbliżyła się do konfessyonału: śledziłam ją bacznie. Wyszeptała wyznanie, a potém powstała pocieszona; za nią poszła druga, potém trzecia w jéj ślady. Jakaś pani blada klęcząc obok mnie, rzekła z cicha słodkim głosem: „Idź pani teraz, jam jeszcze nie przygotowana."

„Posłuchałam jéj machinalnie, wstałam i poszłam. Wiedziałam co czynię: myśl nagła jak błyskawica, ostrzegła mnie o ważności przedsięwziętego kroku. Zamierzony czyn nie mógł mnie wtrącić w większą boleść, przeciwnie mógł mi nawet przynieść ulgę.

„Ksiądz siedzący w konfessyonale nie spojrzał na mnie, skłonił tylko ucha w moję stronę. Milczałam chwilę, nie znałam bowiem zwykłéj formy spowiedzi. Zamiast słów przygotowawczych rzekłam poprostu: „Ojcze! ja jestem protestantką." Obrócił się ku mnie. Nie był to ksiądz miejscowy: po rysach i czole poznałam, że jest Francuzem. Lubo siwy i podeszły w latach, zdał mi się pełen uczucia i świątobliwości. Zapytał mnie łagodnie, czemu przychodzę do niego będąc protestantką?

„Wyznałam mu, że łaknę słowa rady i pociechy; że od kilku tygodni żyję w zupełnéj samotności; żem przebyła chorobę; że czuję na duszy ciężar tęsknoty i smutku, którego dłużéj znieść nie zdołam.

— Może to grzech jaki? może wyrzut? — zapytał jakby ze snu ocknięny. Zapewniłam go w tym względzie, i wyjaśniłam mu jak mogłam smutny stan udręczonéj méj duszy. Zdawał się pogrążony w myślach, zadziwiony, zmieszany.

— Złapałaś mnie—rzekł—niespodzianie: nigdy nie zastanawiałem się nad położeniem twojemu podobném. W zwyczajnych razach mamy zawsze radę gotową na ustach; ależ

to jest wyłączny zupełnie wypadek. Ta rzecz potrzebuje namysłu.

Spodziewałam się tego, a jednak doznałam ulgi powierzywszy mą boleść ludzkiemu, litościwemu uchu. Wyrzuciwszy ją na zewnątrz z serca, w którém się pomieścić nie mogła, byłam już pocieszoną.

— Czy mam odejść ojcze — zapytałam widząc że milczy.

— Moja córko — rzekł łagodnie—odejdź lepiéj w téj chwili. Wierz mi, twoje słowa wielce mnie uderzyły; widzę, żeś wylała przedemną całe twoje serce. Chciałbym rozmyślić się dobrze nad tobą, i to w modlitwie pod wpływem łaski Bożéj. Gdybyś była naszéj wiary, wiedziałbym co ci powiedzieć; dusza tak skołatana jak twoja, tylko w usunięciu od świata i wielkiém ducha podniesieniu znaleźć może spokój. Święci Pańscy prowadzili na drogę zbawienia takie dusze przez pokutę, zaparcie siebie i miłosierne uczynki. Dla takich Opatrzność Boża przeznaczona tu na ziemi, chleb niedoli za pokarm, a pragnienie ich gasi rzewnemi łzami: cała nagroda czeka ich w przyszłém życiu. Pewien jestem, że cierpienia twoje, to posłanniki Boże, zesłane z umysłu, aby cię zwrócić na łono prawdziwego kościoła. Tyś stworzona do naszéj wiary: ona tylko zdoła cię uleczyć i dźwignąć; protestantyzm za suchy, za zimny, za prozaiczny dla ciebie. Im lepiéj tę rzecz rozpoznaję, tém bardziéj widzę, o ile wychodzi ze zwyczajnego trybu. Za nic na świecie nie chciałbym cię spuścić z oka. Oddal się teraz moje dziécię, ale przyrzecz mi, że powrócisz.

„Podziękowałam mu i powstałam. Miałam właśnie odejść, gdy mnie zatrzymał.

— Nie przychodź tu do kościoła—rzekł—widzę żeś słaba, a tu chłodno i wilgotno. Przyjdź lepiéj do mnie (tu dał mi swój adres), będę cię czekał jutro rano o dziesiątéj.

„Skłoniłam głowę na to wezwanie. Spuściłam na twarz zasłonę, otuliłam się płaszczykiem i odeszłam. Czyż myślicie, że miałam zamiar iść za radą świątobliwego kapłana? Bynajmniéj! Czułam, żebym się nigdy nie oparła jego wymowie. Gdybym była poszła, wskazałby mi był całą tkliwą i pocieszającą stronę katolicyzmu. Byłby mnie związał i zachęcił do rzucenia się gorliwie w dobroczynne uczynki. Widzę jak na dłoni, jakby się to wszystko skończyło. Gdybym była poszła, kto

wié, może w chwili, gdy piszę to heretyckie wyznanie, liczyłabym ziarnka różańca w celi klasztoru Karmelitek przy ulicy Cressy.

„Zmrok ustąpił ciemnéj nocy: pozapalano latarnie, zanim wyszłam z kościoła. Chciałam wrócić do domu, ale byłam w części miasta nieznanéj mi zupełnie. Wązkie uliczki wiły się kręto, wysuwając się jedna z drugiéj po obudwu ich stronach. Starożytne domy malowniczo podnosiły w górę swoje gotyckie dachy. Zanadto osłabiona, aby zebrać myśli i działać stosownie, zabłąkałam się w tym labiryncie ulic, a nie miałam dość odwagi i energii, aby zapytać przechodzących o drogę.

„Burza uspokojona chwilowo nad zachodem, wzmogła się całą siłą: wicher zadął od północno-zachodniéj strony, grad sypnął z nieba w miejsce drobniuchnego deszczyku, który padał dzień cały. Zimno przejęło mnie do kości. Pochyliłam głowę chcąc stawić czoło burzy, ale wiatr wstecz mnie odpychał. Nie upadłam jednak na duchu w owéj walce; przeciwnie, rada byłabym wsiąść na skrzydła uraganu, zaczerpnąć w nim mocy, wznieść się lub spaść na dno otchłani. Marząc o tém właśnie, czułam, że stygnę i słabnę coraz bardziéj. Chciałam dostać się do poblizkiéj bramy wielkiego gmachu, który widziałam tuż przed sobą. Ale olbrzymia jego wieża znikła mi nagle z przed oczu, jakby na czarodziejskie zaklęcie. Zdało mi się, iż lecę w jakąś niezgłębioną przepaść. Odtąd nie wiedziałam już co się ze mną dzieje."

Lucyna budzi się z omdlenia w ładnym pokoiku, gdzie wszystko przypomina jéj jakby we śnie dawne i błogie wspomnienia. Doktor John podniósł ją zemdloną, i kazał ją przenieść do ślicznego wiejskiego domku, o milę za miastem, gdzie mieszka. Zacny doktor, to ów Graham Bretton, towarzysz lat dziecinnych Lucyny. Pani Bretton zawsze dobra, zawsze świeża jak dawniéj, opuściła także Anglią, i zamieszkała razem z synem. Następuje wzajemne poznanie. Dawni przyjaciele otaczają Lucynę troskliwém staraniem i opieką. Pod wpływem wiejskiéj ciszy, pomiędzy tkliwym i świetnym doktorem, a miłą panią Bretton, Lucyna odzyskuje zdrowie duszy i ciała. Odradza się i rozkwita, nie jako katoliczka u stóp konfessyonału, lub w klasztornéj celi, ale w miłéj domowéj zaciszy, która godzi ją z życiem. „Gdym się, mówi ona, co dnia po modlitwie udawała na wieczorny spoczynek, czułam, że mam jeszcze przy-

jaciół; wprawdzie przyjaciół nie zjednoczonych ze mną silnem ogniwem gorącego uczucia, bo wyższych nademnie stanem i położeniem w świecie, a więc umiarkowanych w oznakach przyjaźni: ale ku którym serce moje unosiło się silnym pociągiem wdzięczności. Nieraz odwoływałam się do chłodnego rozsądku, pragnąc pohamować mój zapał.

„Spraw, mówiłam, o! ty przewodniku mój wierny, abym nie myślała o nich tak często, tak tkliwie; abym poprzestała na kilku kroplach tego ożywczego zdroju, abym ich nie zaczerpnęła zbyt wiele w moję pierś spaloną pragnieniem; aby wyobraźnia moja nie zawiodła się, szukając w niém więcéj słodyczy, niż jéj mogą posiadać wszystkie ziemskie zdroje. O! dałby Bóg, abym się czuła dostatecznie wzmocnioną tym węzłem, acz słabym i chwilowym; dałby Bóg, abym nie żądała nic więcéj nad spokojne wytchnienie pod dobroczynnym wpływem przyjaźni. I kończąc te słowa tuliłam głowę do poduszki, oblewając ją gorącemi łzami." Dziwny to opór duszy złamanéj cierpieniem, w obec piérwszych promieni wschodzącego jéj szczęścia! Jest w nim ciekawy fenomen psychologii protestanckiéj; zważmy tylko słowa Currer Bell: „Te walki toczone z własnym naszym charakterem, z silnym i wrodzonym pociągiem serca, mogą wydawać się zrazu czcze i bezowocne, ale w końcu są nam zbawienne. Nadają one zwolna czynom naszym i postępowaniu pewien tor niezmienny, zakreślony rozsądkiem, przeciw któremu uczucie oburza się częstokroć. Te walki zmieniają ogólny układ naszego życia, zaprowadzają w nim pewien ład, dają mu pozór spokojny, a wszakże ludzkie oko sądzi według pozoru. Co spoczywa w głębi nas, pozostawmy to Bogu. Ponieśmy naszę myśl do Stwórcy, odkryjmy mu tajniki rozumu, który nam dał, błagajmy Go, aby nauczył nas znosić trudy, na jakie nas przeznacza; ukorzmy się przed jego obliczem, módlmy się z wiarą o światło w ciemności, o siłę w zwątleniu, o cierpliwość w najwyższéj boleści. A uderzy niewątpliwie godzina, w któréj potok żywota wstrzymany chwilowo, popłynie swoim trybem (choć może nie w tym kierunku, jaki serce nasze wymarzyło i ukochało), a anioł pociechy spłynie ku nam, i pochodnią czystą oświeci nam drogę. Wtedy paralityk i ślepy, niemy i opętany, będą doprowadzeni do świętego przybytku. Zwiastunie niebios, przybywaj!" Takąto drogą dusza młoda, pragnąc opanować sama siebie, powstaje przeciw boleści osamotnienia i trwodze ducha,

która niedawno rzuciła ją drżącą i gorączkową pod stopy konfessyonału. Zawiódł się sędziwy kapłan, mniemając, że zrozpaczona Lucyna znajdzie tylko spokój w pokorze i posłuszeństwie; ona potrafi poddać myśl pod chłodną analizę rozumu, ujarzmić uczucie, a mocą dumy wytrwać na przedsięwziętéj drodze: bo męzka dusza tli w tém słabém, dziewiczém ciele, bo ona protestantka w całém słowa znaczeniu.

Odtąd powieść jest tylko historyą wzrostu i kwitnienia owéj protestanckiéj duszy. Najpiękniejsze chwile téj historyi następują po odnowieniu stosunków Lucyny z rodziną Bretton. Graham postępuje z nią jak z towarzyszem, jak z bratem: oprowadza ją po teatrach, muzeach i koncertach; toczy z nią męzkie i fantastyczne rozprawy. Lucyna czuwa nad sobą pilnie, nie chcąc uledz tkliwszemu uczuciu. Gdy powraca na pensyą pani Beck, żąda, aby Graham pisywał do niéj; pragnie tym sposobem uchronić serce od nowego osamotnienia. Graham pisuje listy: Lucyna chowa je, jakby skarb drogocenny. W chwilach wytchnienia odczytuje stokrotnie każde słowo, oblicza każde tkliwsze wyrażenie chciwie, jak skąpiec zwykł obliczać pieniądze. Wszystko to dzieje się pod przenikliwém i baczném okiem pana Emmanuela, ale Lucyna śmiało stawia czoło jego samowładztwu. Czas jakiś pieści się złudném marzeniem, jakkolwiek nie śmie przyznać tego przed sobą. Spokojna jest, dopóki w sercu Grahama ma tylko do zwalczenia wspomnienie zalotnéj i powierzchownéj Ginewry. Graham ocenił małą wartość owéj ładnéj lalki i zapomniał ją oddawna. Ale przybywa do Villete mała Polly, którą poznaliśmy na początku powieści. Z ślicznéj dziéweczki wyrosła ona na 18-letnią czarodziejkę; Graham i Polly przypominają sobie miłe lata dzieciństwa. Wzajemne uczucie ściśle spaja ich dusze: Lucyna czuje znowu z całą siłą nowe opustoszenie serca. Patrząc na tkliwą miłość Grahama i Polly, na lekkomyślne miłostki Ginewry i hrabiego du Hamal, wpada chwilowo w dawne osamotnienie. Grzebie w ogródku listy Grahama opieczętowane w ołowianéj skrzynce, a wraz z niemi mniema, że grzebie żywcem własne serce; ale w téjże chwili charakter pana Emmanuela ukazuje się jéj w nowém świetle: wielbi moc jego duszy, pod któréj wpływem rozwija się jéj umysł. Dowiaduje się, że życie jego pełne trudu i mozołu, nieustającą jest

ofiarą, ofiarą składaną wspomnieniu najszczytniejszéj miłości. Pan Emmanuel pracą swoją wyżywia matkę (zamożną niegdyś) młodéj panienki, którą kochał, a która umarła w klasztorze. Dwa tak odmienne jestestwa, jak Lucyna i Emmanuel, protestantka i katolik, duch oporu i duch władzy, odpychają się i przyciągają nawzajem, obadwa równie szczere, równie dzielne i samoistne. Lucyna i Emmanuel zawierają braterski stosunek. Lucyna przywykła już do tego dziwnego rodzaju przyjaźni, gdy po zbiegu różnych drobnych wypadków, pan Emmanuel opuszcza Villete, i płynie do amerykańskich kolonij, aby odebrać majątek spadły na panią Walraweus, owę starą kobiétę, dla któréj się poświęcił. Raz jeszcze Lucyna czuje się opuszczona, i wpada w nową boleść i zwątpienie; ale stary dziwak, szczytny po Napoleońsku, obmyślił już jéj przyszłość. Najął dla niéj prześliczny dom na przedmieściu w Villete, urządził go stosownie na pensyonarski zakład; a gdy Lucyna mniema, że już wyjechał, zjawia się nagle, wprowadza ją do zaczarowanego pałacu, składa w jéj ręce zarząd domu, gdzie ma żyć w nieobecności Emmanuela, i zapewnić sobie byt niepodległy. Graham Bretton i Polly połączyli się z sobą. Ginewra dała się wykraść pułkownikowi du Hamal; nakoniec pan Emmanuel powróciwszy we trzy lata potém z Ameryki, pojmuje w małżeństwo Lucynę, która pozostawszy Angielką i protestantką, prowadzi świetnie edukacyjny swój zakład. A więc Lucyna opanowawszy sama siebie, stworzyła sobie byt dobry i szczęście. Wprawdzie według uwagi Currer Bell, szczęście nie przyszło do niéj na żądanie, w chwili gdy go wzywała, ani téż w wymarzonéj przez nią postaci!

Taka jest treść powieści, ale ta jednak nie stanowi jéj wartości: główną zaletę nadaje utworowi temu dokładne wykończenie szczegółów w pełnych prawdy obrazach, wyborne skreślenie charakterów, umiejętność podniesienia sztuką przedmiotów drobnych i zwyczajnych: słowem życie tryskające z działania osób, mimo najprościéj obmyślanych wypadków.

Rzućmy teraz okiem na dzieło pani Fullerton.

Starożytny zamek Liffort-Grange zostaje od kilkuset lat w ręku zamożnéj katolickiéj rodziny. Odbudowywany wielokrotnie, nosi na sobie cechę kilku odmiennych wieków. Korpus środkowy najpóźniéj odnawiany, nazywa się nowym zamkiem, pomimo mchu zarastającego dach i gzymsy. Chłód po-

sępny powiewa dokoła owéj starożytnéj siedziby. Obszerne sale, szerokie wschody, wielkie kominy, słowem ogromne wnętrze tego zamku, którego wysokość harmonijnie odpowiada przestrzeni, jest dziś przybytkiem olbrzymiego widma, *nudy*. Nic wokoło nie ożywia ścian zewnętrznych zamku, pasożytna nawet roślina nie śmie się zbliżyć do jego poczerniałych murów. Czworograniasty dziedziniec przedziela na połowę brukowana droga: po jednéj stronie wznosi się wysoki kompas, który nigdy nie widzi słońca; po drugiéj niby fontanna, gdzie cztéry trytony daremnie otwierają paszcze, aby połknąć trochę wody, bez któréj schną oddawna. Do zamku wiedzie szeroka ulica, wysadzona świerkami, które nazwał ktoś słusznie ozdobą zimy, a żałobą lata. Po przeciwnéj stronie zamku rozciąga się ogród bez kwiatów, zakończony wązką rzeczką, która pomijając spiesznie to zaklęte miejsce, kryje się w zielonéj olszynie, rozrosłéj swobodnie poza obrębem parku.

Zewnętrzny kształt zamczyska odbija wiernie charakter pana swojego. Pan Lifford pochodzi z rodziny katolickiéj, równie starożytnéj jak zamek, która przetrwała wieki prześladowania, bez zaparcia się wiary. Z pełną pychy rozkoszą pogląda on na berbową tarczę, wyrytą na frontonie zamku, oraz na wspaniałych gzymsach każdéj sali. Pycha ta owładła go wyłącznie, i odosobniła od reszty świata: nie ma żadnych związków z bogatemi rodzinami osiadłemi w sąsiedztwie; żyje zamknięty sam w sobie, a raczéj w własnéj dumie. W młodości pojął był w małżeństwo szlachetnego rodu Hiszpankę, ale ów związek grubszą jeszcze pomroką smutku otoczył to starożytne gniazdo Liffordów. Żona jego wydawszy na świat syna i córkę, została tkniętą paraliżem, a ztąd przykutą na wieki do łóżka i czterech ścian sypialnéj komnaty. Trzeci mieszkaniec zamku niemniéj odpowiada jego składnym i wilgotnym murom: jestto ksiądz Lifford, stary kapłan, rodzony stryj pana zamku. Ksiądz Lifford nie posuwa rodowéj pychy do tego stopnia, jak synowiec; nie oddaje jéj czci bałwochwalskiéj; ale i on pełen jest odwiecznych przesądów: tylko że charakter kapłana Bożego łagodzi cokolwiek wrodzoną jego szorstkość.

Kwiat dziki rozwija się w tém ponurém zamczysku, na łonie téj posępnéj rodziny: jest nim Gertruda, córka pana Lifford i owéj matki wlokącéj ciężar życia wśród nieskończonych udręczeń. Gertruda wychowała się sama, ojciec był względem

niéj surowy i niedbały; dziadek przerażał ją trwogą; matka wystudzona pod wpływem ciągłego bolu i rezygnacyi nie mogła jéj ogrzać tkliwą pieczołowitością i otoczyć skrzydłami macierzyńskiéj miłości. Gertruda oburzała się w duchu na wszystko, co ją otaczało; krew hiszpańska wrzała w jéj żyłach, a w piersi tkwił niezłomny upór Liffordów. Czując, że kwiat jéj młodości więdnie w tém samotném i ponurém więzieniu, pragnęła gorąco swobody; myśl jéj wykołysana w samotności i ciszy, wybiegała w przyszłość, pragnąc uchylić jéj zasłonę. Gdy raz chorowała w dzieciństwie, rodzice aby ją rozerwać, zbliżyli ją do skromnéj katolickiéj rodziny, osiadłéj w sąsiedztwie. Dom pani Redmond miłą stanowił sprzeczność, porównany z smutnym zamkiem Lifford-Grange: stał on na wzgórku, otoczony wieńcem zieleni i kwiatów. Pani Redmond wdowa po dwóch mężach, miała z piérwszego małżeństwa córkę w wieku Gertrudy, młodą Maryą Grey. Drugi jéj mąż z piérwszéj żony, słynnéj śpiewaczki włoskiéj miał syna, Maurycego Redmond, dla którego pani Redmond prawdziwą była matką. Świat zewnętrzny uosobiał się dla Gertrudy w postaci Maryi i Maurycego, z któremi długie i zajmujące prowadziła rozmowy: to téż wybiegała z radością z ponuréj zamkowéj biblioteki, gdzie trawiła godziny całe na czytaniu; lub téż z ciemnéj sypialni matki, do białego dworku Redmondów. Młodzi przyjaciele kochali i podziwiali piękną, fantastyczną i dobrą niewolnicę z Lifford-Grange, a Maurycy przezwał ją imieniem ślicznego owadu o złotych skrzydełkach zwanego w Anglii *Lady Bird* czyli *ptaszyną Bożą*. Maurycy poszedł za powołaniem ojca, oddał się wyłącznie muzyce. Młody Francuz hrabia Arberg, zachwycony jego talentem, zawiózł go do Włoch. Listy młodego artysty do przybranéj siostry przechodziły w ręce Gertrudy, i wydawały jéj się najszczytniejszemi poematami. Charakter Maurycego pełen był sprzeczności: chciwy wrażeń, miał on umysł słaby i chwiejący; lada błyskotka, która mu mignęła przed oczyma, czarowała go i zaślepiała. Gdy powrócił do Anglii, rozmowy jego i opowiadania bardziéj jeszcze podniecały rozmarzoną wyobraźnią Gertrudy. „O! jakże świat pięknym być musi, mówiła do Maryi, ów świat dzieło samego Boga, ozdobiony ręką człowieka, opisany przez największe geniusze różnych wieków, o którym wyobraźnia tak czarodziejsko marzy. Jak pięknym być musi Londyn, nie ten, który widziałaś Maryo przez okno małego dworku

na ustronnéj uliczce, ale ów Londyn z całym przepychem, bogactwem, ze swym dworem, parlamentem, z całą swą poezyą! I ów Paryż wrzący życiem, otoczony pełnym blaskiem cywilizacyi; i Włochy z błękitném niebem, pełne obrazów, posągów i zwalisk; i wyniosłe Alpy, okryte wiecznym śniegiem; i ocean miotany burzą! O! jak piękny świat Boży! jak piękna sztuka, literatura, teatr, towarzystwo, wszystko co żyje, co się porusza, co oddycha; ów świat, który ja odgaduję z książek, który ścigam chęcią i marzeniem, a którego może nigdy nie poznam!"

Gdy Maurycy wrócił z Włoch, wzywano go do okolicznych zamków, dla uczenia muzyki. Gertruda za pośrednictwem matki otrzymała od ojca pozwolenie na naukę śpiewu. Młody artysta był w jéj przekonaniu poetą: za jego pomocą układała w pewien ład myśli, krążące swobodnie w jéj bujnéj wyobraźni. Maurycy, wielbiciel zapalony piękna, oceniał Gertrudę jako idealną postać; pieścił nią myśl, jakby cudnym tematem poezyi.

„Czy ja cię kocham?—zapytywał sam siebie w pieśni, którą na cześć jéj ułożył.—Nie! co tylko piękne w życiu, i ziemia i niebo, i morze, wszystko to jednakie uczucie zachwytu budzi w mojéj duszy. Czy ja cię kocham? Nie! patrzę z rozkoszą na lilią i różę, z równą rozkoszą poglądam i na ciebie. Czy ja cię kocham? Nie! słucham na wiosnę śpiewu ptastwa, tak samo, jak słucham uroczéj twojéj pieśni, Czy ja cię kocham? Nie! gwiazdy na pogodném niebie, powiew letniego wiatru, cichy poszmer wody o zmroku, woń kwiecistej łąki: wszystko to napełnia mą duszę równém uczuciem piękna i miłości, jak odblask twego spojrzenia." Maurycy wahał się pomiędzy skromną i cichą Maryą, tą siostrą przybraną, która od lat dziecinnych przeznaczoną mu była za towarzyszkę życia; i tą dziką, a poetyczną ptaszyną Bożą, wyhodowaną w świecie niedostępnym dla niego. Ale raz gdy Gertruda śpiewała z uczuciem aryą włoską, przygrywając na fortepianie, a Maurycy patrzał na nią zachwycony, pan Lifford otworzył drzwi, zmierzył oboje gniewném i zimném okiem, a nazajutrz nauczyciel muzyki dostał ostateczną odprawę. Gertruda ze stłumionym gniewem zniosła to upokorzenie: godzina wyzwolenia miała wkrótce dla niéj uderzyć.

Jedna z zamożnych sąsiadek, pani Apley, wyprawiała bal z powodu pełnoletności syna. Całe sąsiedztwo było zaproszone: Maurycy i Marya Grey mieli być zarówno. Gertruda nie widziała nigdy balu, więc zapragnęła być na nim koniecznie. Pan

Lifford otrzymał zaproszenie: Gertruda błagała, aby ją zabrał z sobą; odmówił jéj szyderczemi słowy. Gertruda w rozpaczy udała się do matki: pokój matki był na dole, pełen obrazów świętych, zasłon i krucyfixów, miał zupełny pozór kaplicy. Przez uchylone okno, woń kwiatów przypływała z pola. Gertruda weszła cicho, i niespostrzeżona usiadła na stołeczku u stóp choréj.

Podniosła głowę, objęła okiem rysy matki, i po raz piérwszy spostrzegła, że były piękne i podobne do jéj własnych. Oddawna wiedziała o sobie że piękna: pomyślała, że jest dzieckiem tejże matki, że jedna krew płynie w ich żyłach, że na jeden wzór odlane są ich rysy. Czemużby ich serca nie miały być jednakie? byłyżby odmienne ich dusze? Czyżby żelazna ręka boleści przytłumiła zdolność kochania w tém sercu? Czyliż ta biédna matka nie wybiegła nigdy myślą poza to łoże, do którego cierpienie przykuło ją na wieki? Czyliż jéj oko nie zapłonęło nigdy radością, ani gniewem? Czyż jéj usta wydawały zawsze tylko urywane słowa i jęki?

„O! matko, matko, byłażeś kiedy młodą, niebaczną, burzliwą, jak ja? Pragnęłażeś kiedy szczęścia na ziemi tak gorąco, jak pragniesz teraz szczęśliwości w niebie?"

Te słowa wyszeptane były pocichu, a jednak ostatnie z nich doszły do ucha uśpionéj pani Lifford: otworzyła oczy i uśmiechnęła się lekko, co było osobliwém zjawiskiem.—„Niebo—wyrzekła osłabionym głosem,—niebo pomału przychodzi" I budząc się niby ze snu, wyciągnęła rękę i dała znak Gertrudzie, aby się ku niéj zbliżyła. Spojrzała na nią badawczo, i zdało się, jakby nowe zgłoski wyczytała na twarzy swego dziecka: bo zdziwienie i trwoga odbijały w jéj macierzyńskiém oku. Gertruda odwróciła głowę i rzekła: „Lepiéj ci zapewne, mamo: tak dobrze dziś wyglądasz, masz nawet rumieniec na twarzy." Matka uśmiechnęła się smutno. Czuła ona płomień na licu i wiedziała dobrze, że to krasa choroby, a nie zdrowia. Lecz podwojona gorączka, dała jéj niezwykłą siłę: miała nawet chęć do rozmowy, ale tak mało przywykła do tego, że oprócz słów pieszczotliwych, któremi obsypała córkę, tuląc jéj rękę w suchéj dłoni, sama nie wiedziała, co jéj może powiedzieć. Nakoniec uniosła się nieco, wsparła głowę na ręku, i rzekła:

— Gertrudo, ty jesteś szczęśliwa, nieprawdaż?

Gertruda spłonęła, przysłoniła twarz rękoma, a łzy gorące przedzierały się przez zaciśnięte jéj palce. Była to chwila sposobna do skłonienia matki ku jéj chęci. Ale był w jéj charakterze dziwny opór i niepojęty wstręt do skargi. Jednak po chwili walki rzekła zcicha:

— Mamo, pamiętam, 12 lat temu, pragnęłam mieć woskową lalkę, a to tak szczerze, tak gorąco, żem nie sypiała nocą, we dnie zaś przechodziłam płacząc koło sklepu zabawek; a jednak nie prosiłam o nią, przez uczucie dumy i oburzenia na myśl, że nikt nie pomyślał o sprawieniu mi téj uciechy. Wymówiłam się z żalem moim w obec księdza Lifford, a on kazał mi przyjść do ciebie, i prosić cię o lalkę: usłuchałam go, lubo niechętnie. Tak też i teraz uczułam boleść tajemną, gdyś mnie zapytała, czy ja jestem szczęśliwą. Przykro mi powiedzieć, że tak nie jest; a jednak wyznam prawdę: nie matko, ja nie jestem szczęśliwa!

— Jakto? nie!— zawołała matka— nie jesteś szczęśliwa z młodością i zdrowiem, z całą przyszłością przed tobą? O moje dziécię, czemuż cię nie mogę nauczyć, jak to być szczęśliwą!— I po chwili dodała pomieszana, przykładając rękę do czoła:— Ależ tam taki zamęt! Tu w sercu, czuję wszystko. O! mój Boże! naucz moje dziécię co to jest szczęście.—Zatrzymała się chwilę, a potém dodała z uśmiechem:—Coby cię mogło uszczęśliwić, Gertrudo? Zapewne już nie lalka woskowa?

Gertruda pochyliła się nad łóżko, i szepnęła matce do ucha:—Gdybym pojechała na bal do Woodlaus, byłabym szczęśliwa. Pragnę tego z serca, jak wtedy pragnęłam woskowéj lalki.

Pani Lifford była zdziwiona i niespokojna. Przycisnęła obie ręce do skroni, jakby dla zebrania myśli.

— Bal, moje dziecię? ale któż z tobą pojedzie? To niepodobna Gertrudo!

— Mamo droga, wszakże zaproszono księdza Lifford: namów go, żeby jechał i mnie zabrał z sobą.

Tak zuchwała myśl zatrwożyła matkę, ale Getruda dodała:—Mamo, mnie trzeba rozrywki, odmiany; nie zniosę już dłużéj takiego życia jak dotąd: pewna jestem, że ojciec mnie nie cierpi.

— Moja córko! moja córko! przeproś Boga za myśl taką: przeciw takim myślom, tylko w modlitwie ucieczka. I cóż ci

winien ojciec? To okropnie!—Tu skreśliła ręką krzyż ponad czołem córki i westchnęła głęboko.

— Nie lękaj się mamo: wszakże nie powiedziałam, że go niecierpię, niech mnie Bóg od tego uchroni! Może się mylę, może i on nie ma do mnie niechęci; ale nie dba o mnie, trudno temu zaprzeczyć. Nikt się mną nie zajmuje, oprócz ciebie matko, oprócz ciebie jednéj. Niezawsze dowierzałam i temu, ale dziś widzę jasno, jak mocno ciebie obchodzę.

— Myślałażeś naprawdę, że twoja matka..... O! moje długie i okropne cierpienia, moje bezwładne członki, moja stępiona pamięć, moja tak trudna wymowa: wszystko cię to mogło uwieść. Tak być musiało. Ale dziś dzięki Tobie, o mój Boże, żeś uchylił zasłonę i pokazał, że i to serce bije, choć przygniecione takim krzyżem! Chwała ci Panie za wszystko!—zawołała po hiszpańsku z wrastającym zapałem. Potém upadła na łóżko, wysilona widocznie; a Gertruda przywołała służącą i wraz z nią trzeźwiła omdlałą matkę.

Biédna matka silnie popierała sprawę córki w obec męża i stryja, aż ją w końcu wygrała. Gertruda była na zabawie w Woodlaus, pod opieką księdza Lifford. Młoda dziéweczka niepokoiła się wielce o ubranie, nie znając bynajmniéj mody. Matka chciała ją jak najpiękniéj ustroić: powydobywała z ukrycia drogie klejnoty, wpięła jéj w uszy dyamentowe kolczyki, ręce ozdobiła w kosztowne maurytańskie bransolety, w rękę włożyła kosztowny wachlarz misternéj roboty, którym nauczyła ją poruszać po hiszpańsku. Na zręczną sukienkę z indyjskiego muślinu, zarzuciła koronkową mantylkę; a widząc tak przybraną córkę, nie mogła jéj się dość napatrzéć, dość nadziwić jéj czarującéj piękności. Ale gust matki, od tak dawna umarłéj dla świata, nie zaspakajał dostatecznie Gertrudy; byłaby chętnie oddała połowę swoich wdzięków za pewność, że jest przyzwoicie ubraną. Pojechała nakoniec. Weszła do sali drżąca zarówno od radości i trwogi: w mgnieniu oka zaspokoiła się jednak: strój jéj wprawdzie odmiennym był od wszystkich, ale odpowiadał harmonijnie rodzajowi jéj wdzięku. Gertruda uczuła, jak dusza jej zakwita w owém świetném zgromadzeniu młodzieży i panien. Bohater dnia, młody Apley zajął się wyłącznie tym kwiatem dzikim, stokroć cudniejszym nad inne. Słynni śpiewacy włoscy, sprowadzeni umyślnie z Londynu, rozpoczęli zabawę koncertem. Gertruda upojoną była

muzyką. Kilkoma słowy dodała odwagi Maurycemu, który zyskał poklask powszechny. Na domiar szczęścia, stary ksiądz Lifford przywołany nagle do chorego, powierzył wnuczkę gospodyni domu, a tém samém otworzył klatkę ptaszynie bożéj. Po koncercie bal się rozpoczął. Apley nie odstępował Gertrudy.

— Proszę panią do walca, panno Lifford.

— Rumieniec wystąpił na lica młodéj Hiszpanki, i ożywił śniadą ich barwę.

— Ja nie umiem tańczyć walca—odparła.

— Jakto? czyżbyś pani nigdy nie probowała?

— Nigdy. Czyż pan myślisz, że tańczę w Lifford-Grange?

— O! pani potrafisz tańczyć bez nauki, pewien tego jestem. Wszakże i pani włosy nie zwijane, a jednak same z siebie w tak cudne spływają pierścienie. Te dwa oto pukle na plecach same się wydobyły z pod warkocza, a jak się wiją malowniczo.

— Nic na mnie nie wygląda jak należy—odparła smutno, odrzucając w tył rozrzucone sploty.—Tańcuj pan, panie Apley: będę patrzéć, może się i nauczę.

— Chodź pani ze mną — rzekł młodzian żywo — nie ma nikogo w galeryi; nauczę panią w mgnieniu oka.

Podał jéj rękę, śliznęli się przez salon, aż do drzwi galeryi, gdzie był koncert przed chwilą. W otwartém oknie siedział Maurycy zamyślony: zadrżał i powstał gdy weszli. Gertruda widząc go, puściła rękę pana Apley i zawołała żywo:

— O! i pan tu. Odpoczywasz na laurach, po otrzymanym tryumfie.

— Czy myślisz pani, żeby nam zagrał walca? — zapytał zcicha Mark-Apley—toby nam ułatwiło lekcyą.

— Panie Maurycy — rzekła z przymileniem—zagraj nam walca niemieckiego, którego ja tak lubię. Pan Apley nauczy mnie tańczyć.

— Dobrze — odparł chłodno Maurycy — nie wiem tylko czy go spamiętam.

— To zagraj pan co chcesz, tylko prędko, bo nie mamy czasu do stracenia.

Głos jéj był nakazujący, jak głos zepsutego dziecka, które nie nawykło, by mu się kto sprzeciwił. Ale Maurycy był dziwnie podrażniony: czuł w sercu jakiś niepojęty ból. Zdawało

mu się, że świat działa już na dziewczynkę i ośmiela ją do okazania mu obrażającéj przewagi. Zarumieniony usiadł przed fortepianem i zagrał prędko i ostro. Temat wcale nie był wesoły, a przynajmniéj dziwnie był oddany.

— Nie tak prędko, wołała Gertruda. Pan nie grasz tak jak zawsze.—Maurycy gryzł usta ze złości. Źle on grał w rzeczy saméj. Obłęd jakiś mącił mu głowę. Gonił uchem leciuchny szelest muślinowéj sukienki, i urywane słowa Gertrudy, i krótkie odpowiedzi Apleya. Przerwał nagle, wstał jakby chciał odejść; lecz usiadł znowu i zagrał z szalonym pośpiechem walca Straussa z Roberta Djabła, utwór gorączkowy, prawdziwie piekielny.

— Dziękuję ci panie Maurycy, dosyć już — rzekła Gertruda—już umiem com chciała.

I wybiegła lekka jak Sylfida, a oczy jéj ciskały płomienie.

Maurycy porzuca bal z sercem zranioném. Marya oddala się z nim i pociesza go jak może. Gertruda tańczy na zabój. Upał wzmaga się w salonach. Dziéweczka w gronie młodych towarzyszek wybiega do ogrodu. Wiedziona ciekawością idzie do groty, oświeconéj w głębi lasku, przed którą bije fontanna. Wstępuje właśnie na wschody, gdy głos nieznany wstrzymuje ją:— „Przebacz pani méj śmiałości, ale nie możesz iść daléj: nazbyt jesteś zmęczona. To niebezpiecznie.” Te proste słowa wyrzeczone są dźwięcznym głosem, który wnika do serca Gertrudy. Obraca głowę i widzi postać nieznaną. Nigdy jéj w życiu nie spotkała, ale pomiędzy obrazami zamieszczonemi w pokoju matki, jest jeden, pędzla Velazqueza, przedstawiający księcia Gaudie, młodego rycerza przy boku Karola V, który opuścił świat wcześniéj niźli jego pan, i został św. Franciszkiem Borgiaszem. Ta postać pełna powagi i dobroci, siły i spokoju, była dla Gertrudy najwyższym ideałem męzkiéj piękności od piérwszych lat jéj dzieciństwa. Znalazła więc żywy wzór pobożnego bohatera Velazqueza w młodzianie, który stał przed nią: tenże sam wdzięk w postawie, takiż sam kształt głowy, jakby wykutéj według starożytnych posągów, toż samo czoło pełne myśli, tenże uśmiech dziwny a piękny, ten sam nawet układ głowy, podniesionéj w górę, i lewéj ręki opartéj na piersi. „Dziękuję panu.” Odrzekła nieśmiało z instynktową uległością. „Mam nadzieję, że mi pani za złe tego nie weźmiesz,

że nie nazwiesz mnie niegrzecznym." „O nie!" odparła z uśmiechem i powróciła do sali balowéj, a zadumana usiadła w kąciku. Już przez resztę wieczora nie widziała tajemniczéj postaci; daremnie pytała o nieznajomego, nikt jéj nie umiał objaśnić. Wyjechała po północy z Wudlands; zdało jéj się, że ten dzień był całym wiekiem, tyle w nim przeżyła wrażeń. Mark Apley podał jéj rękę, gdy wsiadała do powozu. Uważała, że młodzian stojąc na ganku, długo ścigał ją okiem, dopóki powóz nie ruszył. Za przybyciem do domu, ledwie że utuliła głowę na poduszce, myśl nagła jak błyskawica przebiegła jéj umysł: „jutro, rzekła sama do siebie, zobaczę portret księcia Gaudia." Nazajutrz przyjrzawszy się do woli obrazowi, wzięła z biblioteki książkę *Luigi da Porto*, powieść o Juliecie i Romeo, i usiadła z nią pod odwiecznemi lipami ogrodu. Ale książka wypadła jéj z ręki, gdy przeczytała słowa powitania, ów mimowolny okrzyk duszy na piérwszy widok ukochanego przedmiotu. „Błogosławiona chwila twojego pojawienia Romeo!"

Stary kapłan powiedział jéj nazwisko nieznajomego. Był nim hrabia Adryan d'Arberg, Francuz, urodzony z matki Irlandki, krewny rodziny Apley. Pan Arberg poświęcał znakomity majątek na miłosierne uczynki, a zdolność na obronę prawd katolickiego kościoła. Ksiądz Lifford posiadał książkę napisaną przez d'Arberga. Gertruda zapragnęła ją czytać, jakoż pochłonęła ją z zapałem. Z nimto Maurycy podróżował niegdyś po Włoszech. Gertruda wypytywała go więc ciekawie o szczegóły życia swego bohatera. Układała w myśli całą legendę o Adryanie, rysowała jego postać z obrazu Velazqueza. Wypadek zbliżył ją powtórnie do d'Arberga.

Raz Gertruda przejeżdżała się konno z bratem swym Edgarem. Koń ją uniósł i zrzucił. Ocknęła się z omdlenia w zamku Audlej-Park niedaleko Lifford. Było to czarujące mieszkanie wiejskie, urządzone i ożywione przez kobietę, którą pan Lifford kochał niegdyś i chciał zaślubić w młodości. Lady Klara Audley, piękna i okazała z postaci, nigdy nie zaznała silniejszéj namiętności, przebiegła lekką stopą życie, jakby kwiecistą łąkę; dobra, ale lekkomyślna, umiała ze wszystkiego dobrą wyciągnąć stronę, otaczała się sztuką i zbytkiem, trwoniła w świecie uprzejmość i wdzięk wrodzony, jakby zdawkową monetę: słowem brała życie z powierzchownéj strony, nie przywiązując się głęboko do niczego. W Audley-Park było

ciągłe zebranie znakomitych ludzi i kobiét światowych. Pan d'Arberg znajdował się właśnie w liczbie gości. Gertruda lekko zraniona, pozostać musiała kilka dni wśród tego świetnego towarzystwa. Lady Fullerton ślicznie opisuje wytworne i szczebiotliwe grono, rozproszone elegancko po galeryach i ogrodzie, a wprowadzane w nieustanny ruch przez miłą gospodynią domu. Gertruda widzi wreszcie świat, o którym tak marzyła, oddycha czarodziejskiém tchnieniem salonu. Spędza kilka chwil jasnych, jak pogodne niebo, kołysana nadzieją. D'Arberg otacza ją staraniem tkliwém, a pełném powagi, podnosi ją w własném jéj przekonaniu. Odurzona radością, nie zważa na smutek Maurycego, który śledzi ją badawczém okiem, powtarzając w myśli wiersz Metastazyusza.

Di gelosia mi moro
E non lo posso dire.

Umieram z zazdrości
A nie śmiem tego wyznać.

Interesa familijne wymagały wyjazdu pana Lifford do Hiszpanii. Gertruda wolniejsza, uzyskała od matki pozwolenie na powtórny kilkodniowy pobyt w Audley-Park. Czuła, że zaczyna żyć pełnym urokiem szczęścia i młodości, gdy list dziadka przywołał ją niespodzianie do domu, zkąd stary ksiądz miał właśnie wyjeżdżać w drogę do Hiszpanii, dla zastąpienia tam pana Lifford, który wracał. Gertruda musiała opuścić Audley-Park i rozłączyć się z Adryanem. Pragnęła go pożegnać. On pisał właśnie w salonie.

Gdy Adryan podniósł głowę i spostrzegł Gertrudę uchylającą drzwi, wstał żywo i poszedł ku niéj.

— Wnijdź pani na chwilę — rzekł — nie odmawiaj mi. — Głos jego drżał od wzruszenia. Ona weszła, podała mu list księdza Lifford. Odczytał go po dwakroć.

— Szczęśliwy jestem, rzekł, że ojciec pani tak rychło już powraca.

— Czy doprawdy — zagadnęła smutno.

— Alboż to panią nie cieszy? — zapytał.

Nie odrzekła nic w piérwszéj chwili, wlepiła tylko oczy w ziemię, a potém wyszeptała zcicha:

— Smutno mi, gdy myślę o rozłączeniu z księdzem Lifford.

— Rozłączenie każde smutne — odparł Adryan i odczytywał znowu list, jakby dla zyskania czasu.

— Gertrudo! — rzekł nakoniec i usiadł przy niéj drżący jak listek — Gertrudo! skoro tylko powróci twój ojciec, będę się starał z nim widzieć, a wtedy los mój będzie zależał od niego i od ciebie.

Odwróciła głowę, blada jak śmierć: zdało się, że serce jéj nie może pomieścić tyle radości i trwogi. Jéj los w ręku ojca! Zadrżała na tę myśl; ale nie śmiejąc wyrazić co czuje, nie odrzekła słowa. Adryan przerażony był jéj bladością i milczeniem.

— Gertrudo! — zawołał — możem się omylił, możem się zawiele spodziewał?

Ona pomału zwróciła oczy ku niemu, a wzrok jéj więcéj wyrażał, niżby najwymowniejsze słowa wypowiedzieć zdołały.

— Czemu miałbyś się mylić, — rzekła słabym głosem — Adryanie, prawdażto, że mnie kochasz?

— O! kocham, bardzo kocham — wyszepnął i przycisnął do ust rękę Gertrudy.

— Jestem więc szczęśliwą — zawołała z zapałem — Adryanie, możem ja niegodna tak wielkiego szczęścia! Chciałabym teraz umrzeć. Dość dla mnie raz w życiu usłyszeć takie słowo. O! jam szczęśliwa, duch mój rozczulony! Adryanie, ja nie śmiem nic więcéj spodziewać się od przyszłości!

— Mylisz się droga — odparł Adryan — daremnie się trwożysz: cóż może nam stanąć na przeszkodzie?

— Nic, nic, co mam myśleć o przeszkodach: nie może ich być dla nas!

— Ze strony świata, nie widzę żadnych — rzekł Adryan — a co się tyczy majątku o który nie dbamy oboje, mogę zadowolnić twego ojca. Gertrudo, droga moja Gertrudo! ty mi się nie zdajesz szczęśliwą. Powiédz mi co czujesz, czego się lękasz?

— Sama nie wiem co czuję, czego się lękam! Wiem tylko że cię kocham, lękam się tylko rozłączenia z tobą. Czuję to więcéj niżbym mogła, niżbym powinna powiedzieć.

Te ostatnie słowa wyrzekła z takiém uczuciem i z taką trwogą, że Adryan głęboko był niemi wzruszony. Spostrzegła to i zawołała:

— Adryanie, ty masz łzę w oczach: czy cierpisz na tém, że ja cię tak kocham? Czy się litujesz nademną? O słusznie, jeśli ta chwila szczęścia ma być snem tylko, marzeniem! Gdybyś nie był tém, czém jesteś, wstydby mi było, żem się dała na-

zbyt łatwo pokonać; ale tak, zamiast wstydu, jam dumna z mojéj miłości, jam dumna, że poglądasz na mnie tak tkliwie; dumna że jestem czémkolwiek dla ciebie, żeś ty wszystkiém dla mnie Adryanie! Niech mi Bóg przebaczy, jeśli cię kocham nad miarę.

Adryan pochwycił jéj ręce, i przycisnął je do ust z zapałem. Ona ich nie usunęła, ale oczy zwróciła ku niebu i przez chwilę zdało się, że go nie słucha, mimo że słówa jego pełne miłości dźwięcznie odbijały w jéj sercu. Nigdy nie widział jéj tak piękną; nigdy dotąd nie uczuł dla żadnéj ziemskiéj istoty współczucia tak głębokiego, tak wyłącznego a tak bolesnego zarazem. Może w téj chwili cień lekki, jak odbicie drobnéj chmurki o gładką powierzchnię jeziora, przebiegł jego umysł; może zapytał sam siebie: jestże to kobiéta o jakiéj niegdyś marzyłem? Ale jednak nie czuł żalu, ani zawodu. Odrębny charakter Gertrudy, tém droższą mu ją czynił. Przeczuwał w jéj duszy niepospolite cnoty, ale zarazem widział ją narażoną na nieznane drugim niebezpieczeństwa. Nie troszczył się, czyli znajdzie w tém szczęście, że tak wyłącznie opanował jéj płomienne serce, jéj duszę pełną zapału. Własne szczęście nie było nigdy celem jego myśli. Widział tylko nową powinność do spełnienia.

— Muszę odjechać—rzekła—nakoniec muszę wybić sobie z głowy tę szaloną trwogę o przyszłość.

— Czy będę mógł—zapytał—przybyć w niedzielę do Lifford-Grange i odwiedzić twą matkę? Wkrótce bowiem udam się do Irlandyi, zkąd powrócę niezadługo.

— O tak, tak, jeszcze jedna niedziela, jeszcze kilka dni szczęścia! Żegnam cię Adryanie!

Ale godzina burzy, którą Gertruda przeczuwała instynktowo, miała wybić niebawem. Pan Lifford powrócił, Gertruda znosiła cierpliwie piérwsze tygodnie nieobecności Adryana. Nadzieja, oczekiwanie stanowczego w życiu wypadku, kołysały jéj wyobraźnią, zaspakajały serce. Aż jednego wieczora usłyszała turkot powozu na zamkowym dziedzińcu. Ruch niezwykły panował w pokoju jéj ojca. W godzinę potém powóz odjechał. To Adryan niewątpliwie! Gertruda zapukała do pokoju pana Lifford, a po raz piérwszy stawiając czoło zwykłéj jego obojętności, błagała go usilnie, aby jéj powiedział, czyje przyjmował odwiedziny. Pan Lifford podał jéj kartkę, na któréj wyryte było jakieś nieznajome nazwisko. Odtąd niepokój, trwo-

ga, zwątpienie, bolesny zawód po zbudzonéj z każdym dniem nadziei, niby na torturach trzymały duszę Gertrudy. Choroba matki wzmogła się nagle, wkrótce wybiła godzina śmierci. Gertruda usłyszała przelotnie kilka słów z ostatniéj rozmowy umierającéj z ojcem: „Nie—mówiła matka—nie, to niepodobna! powiédz żeś tego nie zrobił!" A potém „źleś postąpił Henryku: ja ci mówię, że źle, bardzo źle!" Tu usłyszała Gertruda przeciągły jęk boleści. I drzwi się otworzyły, a pan Lifford wszedł blady i rzekł drżącym głosem: „Gertrudo, twoja matka kona". Jakoż skonała w kilka chwil potém.

Gertruda została sama z ojcem, który jéj niecierpiał: matka umarła, d'Arberg ją porzucił, stary ksiądz był w Hiszpanii, dobra pani Redmond miała jechać do Londynu z córką i Maurycym. Wszystko się złożyło na jéj udręczenie, gdy w niecały miesiąc po śmierci matki, pan Lifford przywołał Gertrudę do swego pokoju. Po kilku przedwstępnych słowach, w których tłumaczył się przed córką, że zmuszony jest mówić o rzeczy nieodpowiedniéj ich wspólnéj żałobie, oznajmił w sposób oschły i nakazujący, że przyrzekł jéj rękę bogatemu i świetnie urodzonemu Hiszpanowi, który ma przybyć nazajutrz. Gertruda nie odrzekła ani słowa. Pan Lifford badał ją oczyma. „Ojcze, rzekła nakoniec, poglądając nań przenikliwie, chciéj mi odpowiedzieć na jedyne pytanie: Czy nikt inny nie oświadczył ci dotąd podobnego życzenia?" „Nikt" odparł ojciec po chwilowym namyśle. „To być nie może ojcze, rzekła z udaną obojętnością, Adryan d'Arberg żądał od ciebie mojéj ręki: jestem pewna tego." Pan Lifford wyznał prawdę. Serce nie zawiodło Gertrudy, i był to powóz Adryana, którego turkot uderzył ją tak boleśnie. Pan Lifford zmuszony był przyznać się do kłamstwa w obec córki. Ale i cóż przyszło Gertrudzie z odniesionego nad ojcem zwycięztwa? Pan Lifford zawiedziony w rachubach próżności, mści się okropnie nad córką. „Ten człowiek, rzecze, nie godzien był ciebie: bez względu na przyrzeczenia o których mówisz, opuścił cię nikczemnie", i to mówiąc wskazał jéj na dowód ustęp z francuzkiego dziennika, oznajmujący, że Adryan d'Arberg wszedł do seminaryum.

Gertruda nic nie odrzekła. Uderzona boleśnie jakby gromem, jednę tylko miała chęć, jednę wolę: uciec z rodzicielskiego domu. Po bezsennéj nocy, z piérwszym brzaskiem dnia, słyszy niezwykły ruch w zamku. To narzeczony przybył zape-

wne! Wysuwa się przez ogród nieznacznie i bieży ku domowi pani Redmond. Wdowa tegoż poranku wyjechała do Londynu wraz z Maryą; sam Maurycy pozostał w domu, a i on gotował się do odjazdu. Zamiast współczucia przyjaźni, któréj pragnęło biédne serce Gertrudy, znajduje tylko miłość Maurycego. Młodzian z rzewnemi łzami, z uniesieniem przyjmuje jéj wyznanie i pragnie wywieźć ją do Londynu. Jeśli Gertruda przystanie na to, musi go zaślubić. Pogrążona w boleści, przyrzeka mu rękę, nie ma siły oprzeć się sercu, które ją kocha tak stale, a potém pragnie się zemścić nad samowładnym ojcem: chce postawić wieczną i niezłomną tamę pomiędzy sobą, a dumnemi i pełnemi przesądu jego widokami. Córka rodu starożytnego, sięgającego krucyat, ma zostać żoną artysty! Jakaż ztąd plama spadnie na herbową tarczę Liffordów! Z jednéj strony pociągnięta szczerą miłością Maurycego, z drugiéj pchana duchem sprzeciwieństwa, daje się wieźć na żelazną koléj. W kilka godzin przybywa do Londynu, nie do poetycznego Londynu wymarzonego w jéj wyobraźni, lecz do Londynu pogrzebanego we mgle zimowéj, zatopionego w błocie. Maurycy prowadzi ją do matki i siostry, które oniemiały z podziwienia na jéj widok. Smutna rodzina: narzeczony pełen gorączkowego szału, narzeczona półmartwa i bezprzytomna, siadają do najętego powozu i udają się do katolickiéj kaplicy, gdzie naprędce ślub się odbywa.

— O mój Maurycy, będę usiłowała zostać dobrą i wierną żoną — rzekła Gertruda do młodziana, któremu oddała przed chwilą szkielet biédnego serca.

Maurycy musiał na tém poprzestać.

Związek ten od piérwszego dnia naznaczony piętnem złowieszczém, chorobliwy był i gorączkowy. Gertruda ochłonąwszy z uniesienia nie miała do Maurycego żalu, ani niechęci. Nie brała mu za złe, że korzystał z jéj boleści i szału. Usiłowała być dobrą, ale czuła w duszy pewne letargiczne uśpienie i obłęd, zwykłe następstwa rozpaczy. Maurycy z natury umysłu niespokojnego i słabego, czuł jak niezłomna zapora istniała między nim, a Gertrudą. Niekiedy oburzał się gwałtownie, niekiedy czuł litość nad biédną ofiarą. Skutkiem tych walk nieustannych, tych ciągłych przejść z gniewu do rozrzewnienia, jednego dnia Maurycy uczynił żonie okropne wyznanie. Tegoż samego poranku, gdy poślubił Gertrudę, otrzymał list od Adryana d'Ar-

berg. Adryan zbijał fałszywe pogłoski, krążące o nim, i rozpytywał troskliwie o Gertrudę. Maurycy występną powodowany słabością ukrył wtedy ów list przed narzeczoną, która za chwilę miała z nim stanąć do ołtarza; teraz zaś okrutny i niebaczny zarazem, ukazał go Gertrudzie, chcąc się przekonać o ile żyje w niéj jeszcze wspomnienie Adryana. Młoda kobiéta dotąd siłą woli, po bohatersku naginała swą duszę pod jarzmo konieczności, i żyła od roku, ulegając pozornie, ale niemniéj kryjąc milczący opór w głębi serca. Odtąd czuła się rozwiązaną z wszelkich krępujących ją moralnie węzłów. Ręka jéj pozostała przykuta, ale myśl wybiegała swobodnie, niczém już niekrępowana. Rozdział duchowy nastąpił pomiędzy nią a małżonkiem. Maurycy pełen rozpaczy wybiegał ciągle z domu, a w obec Gertrudy milczący był i ponury. Porzucał po jednéj lekcyi muzyki, a szukając łatwiejszego zarobku, i bardziéj gorączkowych wrażeń, włożył małą sumkę, jaką posiadał, w niepewną spekulacyą. Wkrótce stracił co miał, więzienie czekało go za długi. Gertruda ratując go, oddała wszystko, co jéj umierając przekazał był ksiądz Lifford. Uwolniwszy męża skłoniła go do opuszczenia Anglii, gdzie trudno im było żyć dłużéj: postanowili udać się do Ameryki.

Wsiedli oboje na statek, ale w chwili, gdy mieli odpłynąć, gdy niepodobna już było wstecz powrócić, Gertruda pomieszana spostrzegła na pokładzie dawno znajomą lady Klarę Audley, która żegnała właśnie jakiegoś odpływającego podróżnika: tym podróżnikiem był Adryan d'Arberg. Adryan uwiadomiony o dziwném małżeństwie Gertrudy, część majątku oddał bratu, drugą część rozdał na dobroczynne zakłady: sam zaś zgromadziwszy garstkę Irlandczyków pod swoje skrzydła, odpływał wraz z niemi, aby szukać na nowym lądzie chleba i swobody.

Nieuchronne nastąpiło przesilenie. Te serca rozbite w okropnéj powodzi żywota, napotkały nowe niebezpieczeństwo, tam właśnie, gdzie szukały ocalenia. Adryan zajmował z Irlandczykami swemi pośledniejszą część okrętu, wszelako nie uniknął spotkania z Gertrudą. Nastąpiło wzajemne wyjaśnienie, hamowane uczuciem przyzwoitości i obowiązku ze strony Gertrudy, pełne bolesnego poddania się ze strony Adryana. Po tém wyjaśnieniu Gertruda niemniéj była smutna, ale spokojniejsza. Maurycy spostrzegł obecność Adryana. Wrzała w nim bo-

leśną walka między zazdrością a wyrzutem; miłością a ciężkim żalem. Taił on te walki w najskrytszéj głębi duszy, aż nareszcie uległ im i zachorował. Gertruda pragnąc odpokutować grzeszną myśl (która mimowoli przebiegła na chwilę jéj głowę), że połączenie z Adryanem jest możliwem w przyszłości; Gertruda mówię czuwała troskliwie nad Maurycym. Jednego wieczoru oczekiwała doktora.

„Godziny płynęły, a doktor nie przybywał. Późno było; Maurycy coraz był słabszy: boleści jego wzmagały się, oddech ustawał; Gertruda pełna trwogi, nie śmiała go odstąpić: wybiegła wreszcie, a spostrzegłszy służącego, błagała, aby pośpieszył po doktora. Gdy wróciła, Maurycy skinął na nią i prosił, aby usiadła u wezgłowia.

— Słuchaj mnie Lady Bird—wyrzekł zcicha—bo ostatni raz nazywam cię tém imieniem. Przebacz mi wszystko, coś wycierpiała z méj przyczyny. Lepiéj byłoby dla ciebie, gdybym się był nigdy nie rodził, ale jeżeli teraz umrę, życie moje nie będzie już tobie ciężarem: nieprawdaż Gertrudo? Jesteś tak młoda, możesz liczyć na długie lata szczęścia. Gdy będziesz szczęśliwą, czy przebaczysz mi, żem cię tyle kochał przez krótkie życie moje? Czy przebaczysz mi, że miłość uczyniła mnie samolubem i szaleńcem? Nie płacz, nie odwracaj oczu odemnie: pocałuj mnie raz jedyny.

Gertruda objęła głowę męża i złożyła pocałunek na jego bladém czole. Maurycy osłabł, tchu zabrakło mu w piersi.

— Daj mi krople—zawołał—prędko, bo nie mogę odetchnąć!

Oczy Gertrudy nabiegły łzami, mgła wzrok jéj przysłoniła. Wlała lekarstwo w szklankę: Maurycy połknął je do kropli.

— Jakież to okropne—rzekł zcicha.

Straszne widziadło przemknęło przed oczyma kobiety, śmiertelnie zbladły jéj lica, gdy klęcząc przed lampką, przeczytała napis przyczepiony do flaszki *Laudanum*—trucizna! Jest siła cudowna w chwili najwyższéj trwogi: Gertruda nie padła, nie omdlała, ale wybiegła za drzwi kajuty i tak rozpaczliwie błagała o doktora, że kilku podróżnych wyskoczyło z łóżek, pragnąc jak najspieszniéj uczynić zadość jéj woli. Ona usiadła przy mężu, utuliła na piersi jego głowę i wlepiła w nią wzrok obłąkany. Szatan poszepnął jéj znów okropne słowa: „Jeśli

umrze, będziesz wolną." Zadrżała. Strasznie wyglądało jéj oblicze, pochylone nad obliczem małżonka. On jéj wszakże nie widział: skarżył się tylko na okropne boleści. Ona czuła śmierć w piersi, mówiła jednak spokojnie, podniecona jakąś nadprzyrodzoną mocą. Czuła, że jeżeli mąż umrze, jéj życie wiecznym zatrute będzie wyrzutem. Dopóki żył, była dla niéj nadzieja: wiedziała bowiem, że miłosierdzie Boskie jest nieskończone, równie jak jéj boleść. Doktor przybył strudzony, zadyszany, miał bowiem wielu chorych na statku.

— Pan Redmond — rzekł wchodząc — nie może się mieć gorzéj, niż kiedym go ostatni raz odwiedzał: już i tak było źle, bardzo źle.

Gertruda porwała za flaszkę, podała ją doktorowi, i szepnęła mu do ucha:—Dałam mu to.

Doktor się wzdrygnął i wybąknął przez zęby przekleństwo.

— Ha! więc wszystko skończone—dodał po chwili.

Gertruda nie zemdlała, złożyła tylko ręce, jakby do modlitwy.

— Ratuj go panie, czyń wszystko co możesz!

I stała przy mężu nieruchoma, podczas gdy doktor ratował go wszelkiemi możliwemi sposoby: patrzała w milczeniu wstrzymując oddech w piersi, cierpiąc męczarnie skonu.

— Nie mogę już nic więcéj uczynić—rzekł doktor nakoniec—muszę iść do drugich. Nie daj mu pani zasnąć, wszystko zależy od tego: rób co możesz, rozmawiaj z nim, poruszaj go. Ja odchodzę.

Gertruda pochwyciła jego rękę, a patrząc nań błagalnie, wyrzekła drżącym głosem:

— Powiédz pan Adryanowi d'Arberg, żeby tu przyszedł natychmiast; powiédz mu pan, że Maurycy Redmond umiéra, że go własna żona zabiła.

Potém uklękła u stóp męża, i nie kryła już przed nim swéj twarzy; mówiła do niego rzewnym głosem, patrzała mu w oczy, chcąc go gwałtem rozbudzić z odurzenia ogarniającego mu zmysły; wołała na niego po imieniu, cisnęła do piersi jego ręce.

Drzwi się otworzyły, Adryan stanął przy Gertrudzie blady, ale nie złamany boleścią. Ona szepnęła, nie zwracając oczu ku niemu. „Co ja poczne, jeśli umrze!" Powieki Maurycego przymykały się zwolna; zdało się, że nic już nie widzi, nie

słyszy, nie czuje. Gertruda rzuciła na Adryana wzrok okropnéj rozpaczy; on zbladł bardziéj jeszcze, położył rękę na ramieniu kobiéty i rzekł zcicha ale stanowczo:

— Módl się Gertrudo, módl się całą siłą rozpaczy; ja będę czuwał przy łóżku. Spędzimy razem te chwil kilka, a potém jakakolwiek będzie wola boska, cokolwiekbądź nastąpi.....

— Rozłączymy się nazawsze—dodała kobiéta.

— Amen—dokończył Adryan.

— To nasz ślub—rzekła cicho Gertruda.

— Tak uroczysty, jak ta chwila śmierci—odparł Adryan. Idź teraz, proś Boga, aby się zmiłował nad nami.

Ten ślub, ta ofiara uczyniona Bogu przez kobiétę, która obwiniała się o spełnienie zbrodni, przemienia ją i odradza: Adryan i Gertruda ocalają Maurycego. Odzyskawszy przytomność widzi przy sobie żonę i przyjaciela. Strwożoném okiem wskazuje Gertrudzie Adryana: „Nie trwóż się daremnie, wszystko przeszło — rzekła zcicha, odpowiadając na jego myśl tajemną—wierz mi o mój Maurycy, zaklinam cię na wszystko, com wytrwała téj nocy, na to, cośmy znieśli od chwili naszego małżeństwa, zawierz mi odtąd zupełnie. Odtąd miłość moja wyłącznie do ciebie należy: dałam ci ją w tę okropną chwilę, nie przetrwałam napróżno téj najsroższéj proby, na jaką serce zaślepione w grzechu narażone być może." I Maurycy czyta prawdę w spojrzeniu żony. Gertruda odrodzona w duchu zupełném zaparciem siebie, poświęceniem uczucia, które niegdyś było najwyższą rozkoszą jéj serca; Gertruda godzi się z życiem i powinnością: jest spokojna, głęboko pobożna, słowem, jest szczęśliwa, a Bóg cudem łaski uwieńcza jéj ofiarę.

W tém odrodzeniu leży moralne rozwiązanie powieści. Wypadki jéj kończą się w kilku słowach: Maurycy umiéra za przybyciem do Ameryki, owdowiała Gertruda w małym synku znajduje pociechę i zapełnienie życia; Adryan zostaje missyonarzem. W kilka lat potém Gertruda odbiéra list od brata swego Edgara. Od czasu domowych nieszczęść, pan Lifford długie lata podróżował wraz z synem, a w końcu powrócił do Lifford-Grange. Dumny potomek Krzyżowców ugiął kark pod siłą ciosów, jakie pychą bez granic i uporem sprowadził na własną głowę: zaczął wspominać znowu imię Gertrudy, o któréj dotąd zdało się że zapomniał.

Edgar mniemał, że przybycie córki wróci spokój duszy zbolałego starca: Gertruda wraca więc do ojcowskiego domu z małym Maurycym, a siłą zupełnego przebaczenia zdejmuje klątwę z odwiecznego zamczyska. Edgar pragnął oddawna zawrzeć związek małżeński, ale bał się, czy wyborem swoim nie potrąci starych przesądów Lifforda. Gertruda błaga ojca za bratem. Pan Lifford na to ukazuje jéj portret matki, i jéj własny malowany przed laty. „Mówisz—rzecze—do człowieka, którego pycha zabiła te dwie istoty; czyż Edgar mniema, że dotąd czczę na oślep te bożyszcza, które je przyprawiły o zgubę?" Gertruda zamiast odpowiedzi, rzuca się w ojcowskie objęcia: pan Lifford odsuwa ją zlekka, poglądając na nią z niedowierzaniem.

— Czyż myślisz ojcze, że nie jestem szczęśliwą?—rzecze na to z anielskim uśmiechem, a na obliczu jéj odbił się cudowny wyraz wewnętrznego spokoju, którego świat dać, ani odebrać nie może. Rozrzewniony ojciec przycisnął ją do piersi i pobłogosławił drżącą ręką.

Odtąd zakwitły kwiaty w ogrodzie, a szczęście w starożytnym zamku Lifford-Grange.

Taka jest treść dwóch znakomitych utworów niewieścich, dwóch odmiennych pomysłów, przybranych w równie odmienną formę. I któraż z niewiast wyższą rozwija myśl, wznioślejsze rozwiązuje zagadnienie? Czy ta, co wskazując siłę spoczywającą w głębi piersi, uczy jak ją wydobyć i spożytkować, jak w miejsce znikomej a poetycznéj ułudy uganiać chłodną, lecz pewniejszą rzeczywistość; czy tamta, co na gruzach zburzonego szczęścia buduje wyższą szczęśliwość; która uczy jak zdobyć spokój niezależny od ziemskich wypadków, którego świat ani dać, ani odebrać nie może; która smutne ofiary własnéj namiętności i pychy wiedzie drogą łez i zawodów przez świat i życie, aż doprowadziwszy je do najwyższego kresu ziemskiéj niedoli, wskazuje zbolałym, jak mają modlitwą wybłagać łaskę z nieba; jak poświęceniem i cierpieniem iść w ślady Zbawiciela i odkupywać pomału swoje i cudze grzechy; jak pokorą i poddaniem odradzać się w pierwotnéj czystości i prostocie; jak zdobywać najwyższe zadanie życia — oswobodzenie się w duchu nie od światowych więzów, ale od pęt własnéj słabości, od starych przesądów występnéj pychy!

Panna Breton daleka od prawdziwie chrześciańskiéj pokory, nic nie liczy na łaskę i objawienie, ale bierze za cel dowieść: że człowiek dzielnością woli pokona wszelkie zapory stojące mu na drodze; złamie zewnętrzne burze i dojdzie tam gdzie zechce, byle trzymał na straży rozum i nie dał mu obłąkać się marzeniem, ani ślepą namiętnością. Lady Fullerton wyżéj sięga myślą: nie ogranicza jéj bowiem na pogoni za zwyczajną ziemską dolą, ale wskazując życie, jako znojną wędrówkę, jako pole walki i zasługi, a zarazem uczuć poświęcenia, podaje tajemny klucz do wyższéj szczęśliwości. Przeprowadza ona bohaterów swoich przez ogień boleści, i wiedzie ich pod stopy krzyża, gdzie dopiéro pojmują w pełni zadanie żywota, i oglądają w całym blasku cudowne oblicze wiekuistéj prawdy.

Panna Breton czerpie natchnienie w chłodnéj rozwadze i rozsądku. Znając sprężyny sztuki, porusza je umiejętnie i wié jak działać na umysł i wyobraźnią czytelnika; pani Fullerton porywa siłą zapału i religijnego przekonania. Znać, że natchnienie spływa w jéj duszę prosto z nieba, z nieprzebranego zdroju łaski, z którego tylko czerpią uciechy poeci i nieśmiertelni artyści wszystkich czasów.

KRONIKA LITERACKA.

Do szanownych wydawców Słowiańsko-Polskiego Słownika Lindego, i Czysto-Polskiego Słownika zapowiedzianego przez Maurycego Orgelbranda z Wilna.

Miłém i pocieszającém zapewne zjawiskiem nietylko dla każdego miłośnika języka ojczystego, ale nawet dla miłośników mowy słowiańskiéj, jest nowe wydanie Słownika wiekopomnéj pamięci naszego Lindego, uskuteczniane we Lwowie nakładem Biblioteki Ossolińskich, a to tém bardziéj, że nieśmiertelne to dzieło nietylko jest skarbem dla naszego języka (na co się zgadzają obecni jego wydawcy), ale i dla całéj mowy słowiańskiéj, czego mu ciż nader niesłusznie nie przyznają: twierdzą bowiem na str. 9 swojéj przedmowy, że „Słownik Lindego co do dyalektów słowiańskich, według dzisiejszego ich pojmowania, bardzo ograniczonego jest użytku.

Jeżeli tak, będzie to winą nie Lindego, który ze swéj strony uczynił wszystko, co tylko w jego czasie uczynić było można; ale skutkiem niedopatrzenia się obecnych jego wydawców, czemu jednak, jak niżéj wskażę jeszcze łatwo zaradzić będzie można w nader prosty sposób. Tymczasem, któżby się na to nie zgodził, że Słownik Lindego jest dla nas skarbym językowym; nad tém jednakże ubolewać nam trzeba, żeśmy dotąd niestety, zwłaszcza w późniejszym czasie z tego skarbu naszego albo bardzo mało korzystali, albo, co gorsza. i obecnie wcale nie korzystamy. Na dowód tego, że tak jest, wspomnę tylko o wyszłém w łacińskim języku pisemku: „Pelasgia" drukowaném u Wolffa w Petersburgu 1851 r., w którém autor wywodzi początek języka polskiego z mowy starożytnych Pelasgów (cujus quidem rei fides penes auctorem set). Zestawia on tam na str. 23 i 24, jako spowinowacone i jakby z jednego piérwiastku (ἔτυμον) płynące wyrazy polskie (?) zegar ζεύγος, ζύγας, ζευγάριον, polskie *zagrać zegrać, zagarnąć, zagręznąć*; kraińskie *zagernete*; pol. *zagrzewam*; łuż. *za-*

hre, zahremam, pol. *zagrzebam, zagrzeszę* i t. d. i t. d. U nas np., za przykładem nieodżałowanéj straty zacnego autora Dziejów rzeczypospolitéj polskiéj, czytamy często w naszéj Gazecie: *dzisiajszy, tutajszy*; chociaż w Słowniku Lindego wyraz *dzisiajszy* jest oznaczony u góry gwiazdką, jako w téj potwornéj postaci nieużywany, a formy wyrazu *tutajszy* nie czytał nigdzie Linde, boby ją w swym Słowniku był umieścił. Biédny Linde! tyś najpiękniejszy wiek życia twojego strawił na zgłębianiu języka ojczystego, na jego porównywaniu z innemi, a zwłaszcza słowiańskiemi językami; my zaś daleko szczęśliwsi: bo bez pracy, bez ślęczenia w umiejętności językowéj mędrsi jesteśmy od ciebie. U nas w Księstwie są nawet tacy, nie wiem czy też i u was w Królestwie, którzy sądzą, że wstydem byłoby dla Polaka uczyć się macierzystego języka!

Na coś podobnego zakrawa i autor listu z Pragi Czeskiéj, którego wyjątek umieszczono w poszycie wrześniowym r. 1855 Biblioteki Warszawskiéj str. 591. Zdaje mu się bowiem przy przeglądzie czeskich spisów bibliograficznych dziwną rzeczą, że napotyka dotąd jeszcze (niestety?) badania grammatyczno-filologiczne; a Czasopismo Czeskiego Muzeum nie dotyka nawet, według niego, wcale kwestyi żywotnych: bo tam tylko, jak powiada, filologia i materyały historyczne surowe i t. d. przeciążają. Nie uważał zapewne autor listu albo zapomniał, jakie było życie literackie i narodowe w Czechach i Pradze, nim wystąpił ks. Dobrowski ze swemi niby martwemi badaniami grammatyczno-filologicznemi, a jakie jest dzisiaj?

Lecz nie dziwujmy się tym *diis minorum gentium*, kiedy mamy dwóch nader znakomitych i czcigodnych mężów, stojących na świeczniku literatury naszéj, którzy na poparcie swoich etnograficznych i mytologicznych twierdzeń zapuszczać się zwykli w wywody etymologiczne, które w oczach badacza językowego słusznie uchodzić muszą za czczą igraszkę. Czemuż ci zkądinąd tyle zasłużeni dla naszéj literatury mężowie, czemuż taki autor *Pelasgiae et consortes*, nim się puszczą w swych badaniach w dziedzinę językową, przynajmniéj wprzód z uwagą nie przeczytają „prawideł etymologii", które Linde dodał do I tomu swego Słownika, i umieszczonych przy ostatnim tomie sprostowań ks. Dobrowskiego? O ileżby ubyło niedorzeczności! Słusznie powiedział nasz Cegielski w swojéj rozprawie o słowie polskiém, wydanéj w Poznaniu r. 1852, na str. 28 w przypisku, że: „prace olbrzymie Lindego leżą dotychczas jak kopalnie złota, oczekując ręki pilnéj i przemyślnéj, i smutne dają świadectwo o narodzie, który przez pół blizko wieku, nie mówię nie przysporzył téj pracy, ale co gorsza, czy nie śmiał, czy nie chciał ściągnąć nawet ręki po skarby tam ukryte. Wstyd powiedzieć: Linde leży przed nami w sześciu tomach in 4-to, z ogromnym zapasem materyałów języków słowiańskich, greckiego, łacińskiego i germańskich nawet, a my się nie wstydzimy popisywać z bredniami etymologicznemi!" I zaiste rzadki to u nas podobno pisarz, któryby w wątpliwości

chciał zajrzeć do słownika Lindego, do owéj księgi praw pod względem naszego języka. Co większa, czytamy w poszycie sierpniowym Biblioteki Warszawskiéj r. b., w zapowiedzi księgarza Maurycego Orgelbranda w Wilnie o zamierzonem wydaniu nowego Słownika języka polskiego, że Słownik Lindego (jak widać z ducha odezwy) jest dziełem (tylko) pomnikowém. A więc na to tylko pracował Linde ze swoim przyjacielem i dobroczyńcą wiekopomnéj pamięci hrabią Ossolińskim nad tym słownikiem, aby po piérwszém jego wydaniu, jako pomnik przechowawszy się w księgozbiorach od r. 1814 aż do r. 1855, i w drugiém swojém wydaniu lwowskiém był skazany na los podobny piérwszemu? O! gdyby tak być miało, jak sądzi księgarz wileński, nie bylibyśmy godni takowego skarbu, jakim nasz naród obdarzył Linde przy pomocy Ossolińskiego. Zapewne nietylko dla przechowania tego skarbu jako pomnika językowego, podjęła dyrekcya zakładu Ossolińskich we Lwowie nowe jego poprawne i pomnożone wydanie; zamierzyła ona sobie zarazem i jego upowszechnienie. Zrozumiała ona bardzo dobrze wyrazy Lindego, na końcu jego przedmowy umieszczone: „Już teraz ziomkom moim trudno nie będzie, czego brak, pododawać, w znajdującém się przebierać, znaczenia doskonaléj wyłuszczać, stosunki dokładniéj powytykać; a tak z czasem zaszczycić język narodowy słownikiem, jakiego on wart jest w saméj istocie, i którym go chyba jedno Towarzystwo Przyjaciół nauk obdarzyć może."

Widać to z ogłoszenia Dyrekcyi, umieszczonego przy piérwszym tomie, i odbitego w poszycie październikowym z r. b. Biblioteki Warszawskiéj str. 198; i wdzięczni jéj jesteśmy za wszystkie tam rzeczone poprawki, sprostowania, objaśnienia, a mianowicie za oddrukowanie wyrazów staro-słowiańskich kiryllicą, zamiast abecadłem grażdańskiém, jak to jest w piérwszém wydaniu. Uwzględniała więc przez to oprócz polszczyzny, jeszcze dwa narzecza, tojest narzecze starosłowiańskie i rossyjskie; lecz czemużto, iż tak rzekę, zaniedbała inne tam umieszczone narzecza, których wyrazy Linde sądził być godnemi umieszczenia w swoim Słowniku? Wszakże, jeżeli w saméj rzeczy Słownik Lindego jest nietylko skarbem naszym narodowym, lecz też skarbem dla wszystkich naszych słowiańskich pobratymców (prócz Bulgarów), czego niestety, wydawcy jego nie uznają; powinni go jednak, jeżeli nie przez słuszny wzgląd dla pobratymców, to przez wzgląd dla własnego narodu uczynić i dla swoich i dla nich przystępniejszym.

Twierdzić, żeby w Słowniku Lindego skarbów dla innych Słowian nie było, jak sądzą jego wydawcy, jestto ubliżać pamięci wielkiego męża, bo tak nie jest. Odkryją się te skarby, kiedy uczynim co do nas należy; a powinnością naszą zapewne jest starać się o to, aby żadna odrobina poczciwéj i mozolnéj pracy jego próżno nie marniała: ale rzucona w razie potrzeby na żyzną i do niéj przysposobioną niwę, pożądany owoc przyniosła. Jestto skarb ale potrzeba klucza, aby do niego mieć wolny przystęp; trzeba piér-

wéj tę zbutwiałą i grubą warstwę kurzu i gruzów, owéj przestarzałéj i dziwacznéj pisowni, zwłaszcza naddunajskich narzeczy, uprzątnąć, aby go odkryć i oku czytelnika odsłonić. To jednak, co w tym względzie dyrekcya zakładu Ossolińskich uczyniła, jeszcze bynajmniéj mojém zdaniem nie wystarcza. Wejdźmy w szczegóły. I tak, dobrze jest, że rozróżniła kiryllicą wyrazy starosłowiańskie od rossyjskich; lecz na cóż się to przyda i właścicielowi nowego wydania, który nie zna głosek ani kiryllskich, ani grażdańskich? Jak sobie poradzi, kiedy mu będzie zależało na porównaniu wyrazu polskiego z wyrazem staro-słowiańskim lub rossyjskim? Jeżeli tylko ziomkowie obeznani z kiryllskiém i grażdańskiém pismem nowe wydania nabywać mają, o jakże ich mało będzie! Należało przeto zaraz przy piérwszym tomie podać tablicę tych dwóch abecadeł, z krótkiém objaśnieniem dla Polaków ich brzmienia, znaczenia i pisowni. Dalej Linde prócz tych dwóch narzeczy staro-słowiańskiego i rossyjskiego porównywa wyrazy polskie z wyrazami jeszcze siedmiu innych narzeczy słowiańskich, tojest: czeskiego, słowackiego, górno i dolno łużyckiego, serbskiego (które niewłaściwie podzielił na 4 narzecza, tojest na bośnieńskie, dalmackie, raguzańskie i sławońskie, a wszakże są to tylko podrzecza jednego dyalektu serbskiego), kroackiego i korutańskiego (jak je nazywa Szafarzyk), którego również dwa podrzecza krainskie i windyjskie, jako osobne narzecza przytacza. Opuścił tedy zapewne tylko w braku materyałów i źródeł narzecza mało-ruskie, biało-ruskie i bulgarskie. Boć nikt zapewne, kto się zgadza z Szafarzykiem, języka litewsko-ruskiego Statutów litewskich, znanego Lindemu, ani za biało ani za mało-ruszczyznę poczytywać nie zechce.

Jeżeli przeto w Słowniku Lindego nie ma wyrazów mało i biało-ruskich, i bulgarskich, czyliżby nie należało umieścić takowych zwłaszcza wyrazów, które są wyłączną własnością tych 3 narzeczy? Tu może wydawcy są przeciwnego zdania, ale tu przemawia za mną głos samego autora Słownika, który powiedział: „Już teraz ziomkom moim trudno nie będzie, czego brak pododawać i t. d". A tego właśnie brak, aby ten Słownik uczynić użytecznym bez wyjątku dla wszystkich Słowian. A jeżeli tego nie dopełniono, to przynajmniéj należało koniecznie objaśnić czytelnika co do pisowni wyżéj rzeczonych narzeczy.

I tak *np.* co do pisowni czeskiéj i słowackiéj Bernolaka, tę należało w tablicy porównać z teraźniejszą pisownią czeską; pisownią zaś górno i dolno-łużycką autorów, z których czerpał Linde, z pisownią Smolera, Haupta i Jordana. A co do starych pisowni narzeczy i podrzeczy Ilirskich, jakato tam gmatwanina; istna wieża Babel! Te wszystkie rozliczne sposoby wyrażania brzmień słowiańskich, po włosku, po niemiecku, po madziarsku i Bóg wie po jakiemu, należy sprowadzić w rubrykach tablicy, z jednéj strony do nowszéj pisowni Wuka, z drugiéj strony do pisowni Berlicza.

Jeżeli nie umieści się takiéj tablicy przy nowém wydaniu Lindego, cóż pocznie Polak nieobeznany z temi rozlicznemi pisowniami narzeczy pobratymczych, używanemi za czasów Lindego, a dzisiaj po większéj części już przestarzałemi? gdy np. przy wyrazie „człowiek“ znajdzie dolno-łużyckie zlowek, wendyjskie zhlowek, dalmackie chyowik, cjoviek i t. d.; oto przeczyta według prawideł polskiéj pisowni; a wymówiwszy takie potwory, sądzić będzie w saméj istocie, że te potworne i dzikie brzmienia są właściwe tym narzeczom: gdy tymczasem „człowiek“ po dolno-łużycku nazywa się clowek, po dalmacku czowik i t. d. Czyliż tu Polak nie znajdzie się w położeniu Niemca nieumiejącego czytać i wymawiać po polsku, który wymówiwszy polskie wyrazy po swojemu, wyda według siebie słuszny i niepomylny wyrok, sądząc po swojém własném wymawianiu, że nie ma nic obrzydliwszego dla ucha, nic więcéj barbarzyńskiego, jak język polski. Dla przykładu weźmy jeszcze wyraz „żaba: w Słowniku Lindego jest po kraińsku, wendyjsku, dalmacku shaba; po kroacku saba: po raguzańsku i slawońsku xaba, po bosnieńsku sgjabba: gdy tymczasem wszystkie te sposoby pisania, wymówione według woli ich autorów, tojest jak się należy, brzmią w mowie żywéj w tych wszystkich narzeczach nie inaczéj, tylko tak samo jak nasze żaba.

Trzeba więc, mojém zdaniem, przydać koniecznie Alphabetarium wszystkich tych rozmaitych pisowni, używanych w Słowniku Lindego, i to ściśle według tych grammatyk i słowników, z których on czerpał wyrazy, a na czele umieścić kiryllicę. A że spodziewać się i życzyć sobie należy, ażeby to nowe wydanie Słownika Lindego, rozchodząc się pomiędzy naszemi pobratymcami rozmaitego szczepu i pokolenia, zaszło téż i nad brzegi morza Adryatyckiego, do kapłanów obrządku Rzymskiego, używających jeszcze dotąd do służby Bożéj języka starosłowiańskiego, wyrażanego glagolicą, a następnie umiejących czytać tę ostatnią, a nieznających może kiryllicy; potrzeba objąć w téj tablicy i glagolicę w obudwu jéj postaciach, tojest tak w chorwackiéj jak bulgarskiéj. Aby zaś niczego co jest słowiańskiém nie pominąć, i wywołać przez Słownik Lindego w usposobionych do badań starożytności umysłach archeologów słowiańskich, dobrzeby było jeszcze objąć w skład téj tablicy i runy słowiańskie.

W końcu do Słownika Lindego należy, mojém zdaniem, dodać, według 9 narzeczy słowiańskich tam objętych, 9 spisów alfabetycznych wyrazów, i podać na któréj stronnicy i w któréj kolumnie, w którym tomie wyraz każdy się znajduje. A te wyrazy w tych spisach mogłyby być pisane, obok pisowni textu, pisownią zbliżoną do polskiéj albo do czeskiéj; a przynajmniéj taką, jakiéj użył w swéj Słowiańskiéj Porównawczéj Głosowni Mikłosicz. Przez takie tylko bowiem spisy da się łatwo praca Lindego pogodzić z dzisiejszém pojmowaniem innych narzeczy słowiańskich, i możnaby w ten sposób łatwo sprawić, ażeby to olbrzymie dzieło

nietylko co do polszczyzny, ale nawet co do innych narzeczy, na długie jeszcze czasy było dziełem nader wielkiéj użyteczności. Zachodzące mylki z winy źródeł, z których Linde czerpał, dałyby się łatwo w tych spisach sprostować bez upstrzenia dzieła i bez znacznego powiększenia jego objętości. Wynikłe ztąd może większe koszta nakładu, każdy nabywca nowego wydania chętnieby tak za Alphabetarium, jak i za takowe spisy w przypadającéj na niego cząstce zwrócił. O tém, w tak ważnej rzeczy mowy być nie może. Jeden tylko rzeczywisty brak sił stosownych do wykonania takowéj pracy uniewinniałby poniekąd, lecz niestety! z uszczerbkiem umiejętności słowiańskiéj, gorliwych o oświatę narodu wydawców, gdyby zaniechali tego koniecznego mojém zdaniem uzupełnienia. Oto są środki i sposoby, któremi zakład Ossolińskich uczyniéby mógł Słownik Lindego przystępniejszym, dogodniejszym i pożyteczniejszym, nietylko dla naszych ziomków, ale i dla wszystkich Słowian; i zapobiedz temu, aby ta wiekopomna praca nie była i nadal, jak sądzi księgarz wileński, tylko pomnikowém dziełem. Winniśmy zapewne uczynić wszystko, co tylko jest w mocy naszéj, aby ten skarb języka naszego nie był dla nas i dla naszych potomków, jak dotąd, martwym kapitałem.

Mówiąc tyle o Słowniku Lindego, nie od rzeczy być sądzę wspomnieć też, mimo mojego serdecznego uwielbienia, jakie z całym narodem i z uczonemi badaczami mowy ludzkiéj podzielam dla tego nieśmiertelnego dzieła, o znakomitym błędzie, którego się dopuścił mąż ten, a którego obecnym jego wydawcom poprawiać się nie godziło; który jednakże należy koniecznie naprawić wydawcom wileńskim nowego czysto-polskiego Słownika. A tym błędem jest, że autor odstąpił od starego zwyczaju podawania słów w formie piérwszéj osoby Oznajmującego, jak to czynili i dotąd czynią lepsi słownikarze greccy i łacińscy, a nawet i nasz ks. Knapski; lecz poszedł za powagą Grammatyki ks. Kopczyńskiego, a może i za radą samego ks. Dobrowskiego i za przykładem słownikarzów germańskich i romańskich języków. Zapewne ani Linde w Słowniku, ani ks. Dobrowski w Grammatyce nie byliby popełnili tego błędu (wynosząc Tryb Bezokoliczny do takiego nie należącego mu się wcale w mowie słowiańskiéj dostojeństwa i znaczenia), gdyby byli jeden i drugi znali narzecze bulgarskie (tę jedyną córkę (?) według Szafarzyka starosłowiańskiego narzecza), w którém wcale ten tryb nie istnieje. Ks. Dobrowski wychodząc z tego trybu, urządził system zaiste najlepszy ze wszystkich istniejących. Nasz Cegielski zastosował go w swojéj rozprawie do języka polskiego, Jordan do gorno-łużyckiego, Puchmayer do rossyjskiego i t. d.; a wreszcie Mikłosicz udoskonalił, rozwinął, i wyczerpnął to całkowicie, co zaczął summus Dobrovius, jak go słusznie nazywa Kopitar. A jednak system ten, tak wydoskonalony i opracowany, jest sztuczną, subtelną i dowcipną budową bez umiejętnéj podstawy i pra-

wdy, podobny do wytwornych i subtelnych systemów grammatyków indyjskich, jak to widać z takiéj liczby klass, a w 1-wszéj klassie tyle działów, które znowu się rozpadają na poddziały i t. d. Boć zaiste w mowie słowiańskiéj nie w trybie Bezokolicznym, lecz w piérwszéj osobie Oznajmującego, całego i prawdziwego tematu słowa szukać należy, tak dalece, że tam, gdzie temat w téj formie jest uszkodzony (mową uszkodzony, a nie według zwykłych praw głosowych przemieniony), jak np. *wiem*, *jem*: tam téż słowo jest nieforemne. Więcéj powodów i dowodów, dla których tak w Słowniku, jak w Grammatyce formę 1-wszéj osoby Oznajmującego, jako naczelną uważać należy, znajdzie czytelnik w Schleichera *Formenlehre der kirchenslavischen Sprache*, i w mojéj krytyce rozprawy Cegielskiego, w Bibliotece Warszawskiéj poszyt lutowy z r. 1854).

Według tego słownikarz polski powinienby podać na czele słów piérwszą osobę pojedynczą Oznajmującego, powtóre 2gą osobę; na 3 zaś miejscu, zamiast trybu bezokolicznego, imiesłów na *ł*. Drugą osobę dlatego, aby wiedzieć z jaką spójką słowo się spaja (konjuguje), a tych spojek jest tylko dwie: *je* i *ji*. Imiesłów na *ł* dlatego w Słowniku polskim stosowniejszy jest od bezokolicznego: gdyż, jakkolwiek końcówki *ł* i *ć* według tych samych praw tojest bez spójki, albo ze spójką łączą się z tematem, jednakże spółgłoska *ł*, jako twarda, łącząc się z nim bezpośrednio nie przemienia ostatniéj tematowéj spółgłoski; np. *mógł*, *rzekł*, *plótł*, *bódł*, których temata są: *mog*, *rzek*, *plót*, *bod*, gdy tymczasem końcówka *ć*, łącząc się z temi tematami, przemienia je w *módz*, *rzec*, *pleść*, *bóść*, a to według stałych, zwyczajnych i dobrze już znanych praw głosowych. Jeżeli pomimo tego umieści słownikarz tu na ostatniém miejscu i tryb bezokoliczny, to tylko uczyni przez wzgląd na nieobeznanych z prawidłami Głosowni Polskiéj, tak ziomków, jak i cudzoziemców; lecz nie z koniecznych wymagań umiejętności.

Daléj w słowach, (których temata kończą się zawsze na spółgłoskę) spajających się ze spójką *ji* (*i*), która w imiesłowie na *ł* i Bezokolicznym przez stopniowanie *Lautsteigerung* przechodzi w ѣ *jat'*, które w polskim języku z małemi wyjątkami przed spółgłoskami twardemi brzmi jak *a*, a miękkiemi jak *é*, lepiéj i wyraźniéj się to ѣ pojawia w imiesłowie na *ł* niż w bezokolicznym, np. *widzę*, *widzisz*, *widział*, *słyszę*, *słyszysz*, *słyszał*, *brzmiał*, *musiał*; aniżeli w *widzieć*, *słyszeć*, *brzmieć*, *musieć*. Do rzędu tych słów należą i słowa *stoję*, *boję*, *stał*, *stać*, *bał*, *bać*, mieszczące w sobie a contractum, staropolskie *a* ściśnione; zamiast *stojał*, *stojeć*, *bojał*, *bojeć*, która to kontrakcya w niektórych innych narzeczach nie ma tu miejsca.

Słów spajających się ze spójką *je* temata są dwojakie: jedne kończą się na samogłoski *a*, *i*, *y*, *u*, i ѣ, a nie ma żadnego tematu ani w polskim, ani w żadném słowiańskiém narzeczu, ani według praw głosowni na żaden sposób być nie może, zakończo-

nego na samogłoski *e, o*: i nie łudźmy się formami bezokolicznego *kłoć, proć*, bo tu jest metathesis, a w rossyjskich колоть, пороть oprócz tego i epenthesis, bo temata tych słów są *kol, por* w obudwu językach. Drugie zaś temata kończą się na spółgłoski i to zawsze twarde, prócz niekiedy na *l*, np. *piele, miele*. I nie ma tu tematu kończącego się na *jot* (*j*).

Wszystkich zaś słów spajających się ze spójką (*ji*) temata kończą się li tylko na spółgłoskę i to procz słów, np. *taję tajisz, kroję krojisz*, zawsze na spółgłoski twarde, np. *krzyczę, słyszę, tracę, rodzę*, których temata są: *krzyk, słych, trat, rod*; że tu ostatnie tematowe: *k, ch t, d*, miękczą się według praw głosowych na *cz sz, c, dz*, a następnie dwie ostatnie przechodzą w *ć, dź*, przyczyną tego jest *jot* spójki.

Temata tych słów, jeżeli są zarazem, jak to bywa najczęściéj, pierwiastki (ἔτυμον), należą zawsze do 2 lub 3 klassy pierwiastków według Institutiones Dobrowskiego, tojest do pierwiastków składających się najmniéj z dwu lub więcéj spółgłosek. Nie ma tu żadnego tematu pierwotnego, składającego się z jednéj spółgłoski; tojest, nie mogą tu być pierwiastki klasy 1 Dobrowskiego tematami. Słowa z tematem kończącym się na *a*, np. *kocham, gram* zamiast *kochaję, graję*; *kochasz, grasz*, zamiast *kochajesz grajesz*, są verba contracta (jak greckie τιμας τιμα) spajające się ze spójką *je*. Przeto to *a* w staréj polszczyznie było dla tego à ściśnione, tak jak jest u Czechów po dziś dzień z téj saméj przyczyny długie. Prócz tego są słowa dwu tematowe, np. *piszę, orzę, kołaczę*, (kołaczę jest z ruska), *pisał, oral, kołatał*; tu znowu piérwsze temata kończą się na spółgłoski twarde, które pozostają przy swém twardém brzmieniu i przed tematową *a*, np. *pisa-ora-kołata*, prócz *kaszlę kaszlał* i kilka innych. W formie kaszlał tematowe *t* zmiękczyło się zapewne przez wpływ spółgłoski *sz*, boć mówim *wiklę wiklał*, bez zmiękczenia (nie wiklał). W Oznajmującym a następnie i Rozkazującym według innych praw miękczą się tu spółgłoski niż w słowach jednotematowych ze spójką *je* lub *ii*: jako to: *t* płot. Jednotematowe ze spójką *jè*, (temat nios) niosę nies-ie-sz tr-ę (t) tr-trz-esz plot ę-pleciesz. Jednotematowe ze spojką *ji* (t) nos-nosz-ę nosisz, (t) nur nurze nurzysz, (t) trat tracę tracisz. Dwutematowe (t) pis-piszę piszesz, (t) or orzę orzesz, (t) kołat-kołacę kołacesz. Do dwutematowych należą także niektóre słowa z *j*: kraję krajał, taję tajał.

Przy wszystkich słowach powinien słownikarz prócz wyżéj rzeczonych form wyraźnie oznaczyć temat, a jeźli słowo jest dwutematowe, potrzeba podać obadwa temata. Że tu jest mowa o właściwych tematach a nie o pierwiastkach (ἔτυμον) samo się przez się rozumié, jakkolwiek i gołe pierwiastki mogą służyć już za temata i są tematami wszystkich słów pierwotnych; np. pierwiastki *mr, tr, bi*, i t. d, takie temata możnaby przeto nazwać pierwotnemi dla różnicy od tematów pochodnych np. *id-umъ*,

w słowach idę, umiem, których pierwiastki są *i-um*. Zresztą, wielkąby przysługę uczynili wydawcy wileńscy, gdyby chcieli objąć w swój Słownik i oznaczyć wszelkie pierwiastki nietylko słów, ale i wszelkich innych wyrazów, a jeżeli tych pierwiastków nie można wyśledzić i oznaczyć w dziedzinie języka polskiego, należałoby ich poszukać w innych pobratymczych językach, a jeżeli i tu nie znajdziemy pożądanego światła, sięgnąć trzeba po nie do spokrewnionych jafeckich języków, a zwłaszcza do Sanskrytu (wielką usługę mógłby tu oddać wyborny słowniczek Mikłosicza: *Radices Linguae Slovenicae Veteris Dialecti*, ks. Pawskiego badań tom I i II, Dobrowskiego Institutiones, o Słowotwórstwie, prace Eichhoffa i Potta, a wreszcie Glossarium Sanscritum Boppa). Takim sposobem utorowałoby się drogę do etymologicznego Słownika polskiego, o którego potrzebie i użyteczności nikt zapewne ze znawców wątpić nie będzie.

Oto są wymagania, którymby wydawcy porządnego słownika według dzisiejszego stanowiska i postępu umiejętności językowéj zadosyć uczynić powinni, wraz z ogólnemi zarysami mojego systemu konjugacyi, który z największą łatwością da się przeprowadzić przez wszystkie narzecza słowiańskie, a w całym blasku prawdy jaśnieje najwspanialéj w narzeczach: starosłowiańskim, polskim i rossyjskim. Nie uważam za rzecz stosowną udzielać tych myśli moich wydawcom słownika Lindego; lecz ośmielam się przedstawić je wydawcom słownika czysto-polskiego, zapowiedzianego przez księgarza Maurycego Orgelbranda w Wilnie. A że nikt bez rozwagi i zastanowienia nie powinien chwytać się nowości: przeto gotów jestem udzielić każdemu, komu na tém zależy, na żądanie obszerniejszego objaśnienia mojego systemu, i rozwiązać wszelkie przeciw niemu czynione zarzuty tak grammatyków naszych, jak i grammatyków naszych pobratymców, zwłaszcza, że znakomici mistrzowie moi w dziedzinie słowiańskiéj, dziś jeszcze Bogu dzięki żyjący: Mikłosicz, Schleicher i ks. Pawski uważają, mojém zdaniem, błędnie moję spójkę *ji* (*i*) za ostatnią głoskę tematu

Jakkolwiekbądź, radzę szczerze wydawcom nowego słownika czysto-polskiego kłaść na czele 1 osobę każdego słowa osobistego, a przy nieosobistych, których nader szczupła jest liczba, osobę 3. Jeżeli tak sobie postąpią, pójdą tylko w tym względzie za przykładem naszego znakomitego lexikografa ks. Knapskiego, i innych polskich słownikarzów włącznie do Bandtkiego, i za świeżym przykładem sławnego Kopitara, który w swoim starosłowiańskim słowniczku, dodanym do pomnika trydenckiego (Glagolita Clozianus) kładzie na czele 1 osobę Oznajmującego. Być może, iż tu kto powié, że recenzye Słownika Lindego nie poczytują mu za błąd, że opuściwszy stary lepszy zwyczaj, kładzie na czele Bezokoliczny; i owszem tłumacz jednéj z nich Wolski wychwala tę reformę słownikarską, jako coś nader ważnego i stanowczego.

Na to odpowiadam, że te recenzye pisali filolodzy niemieccy i francuzcy, gdyż niestety, w czasie wyjścia słownika Lindego, mimo wielkich zasług dla jego uprawy ks. Onufrego, staliśmy tak nisko w umiejętnéj znajomości ojczystego języka, że nawet żadne pióro polskie, ba! i słowiańskie, prócz pochwał i uwielbień wierszem i prozą, nie odważyło się na porządną i umiejętną recenzyą tego narodowego skarbu. Staliśmy wtedy nisko w téj gałęzi wiedzy ludzkiéj; ale i dzisiaj niewieleśmy w tym względzie postąpili: dowodem tego wszystkie nasze grammatyki opracowane li w praktycznym kierunku, osnute na wyłącznéj i powierzchownéj znajomości ojczystego języka, obejmujące częstokroć wiele prawideł bardzo płytkich a nawet niedorzecznych. Nie mamy żadnéj umiejętnéj krytycznie opracowanéj grammatyki języka ojczystego, i mieć jéj nie będziem, piérwéj, dopóki ci, którzy się tą umiejętnością zajmują, nim zasiądą do pisania grammatyki polskiej, nie zgłębią piérwéj dokładnie, i nie poznają umiejętnie narzecza staro-słowiańskiego i wszystkich pobratymczych narzeczy. Niedawno mieliśmy przynajmniéj towarzyszów naszéj grammatycznéj niedoli w Rossyanach, którzy stali na równi z nami: lecz i oni przez usilne i niezmordowane prace Wostokowa, a jeszcze bardziéj przez głębokie i uczone badania ks. Pawskiego i to w kierunku lingwistyki porównawczéj, i przez recenzye Dawydowa, lubo jeszcze nie stanęli u pożądanéj mety, są jednak na dobréj i jedynie do celu prowadzącéj drodze, zostawiwszy nas daleko za sobą, tak, że my jedni teraz ze wszystkich Słowian najniżéj stoim w téj umiejętności, którą też sobie bardzo lekceważym. Czemu najniżéj stoim?—bo inni Słowianie oglądają się na Czechów, którzy wszystkich w tym względzie wyprzedzili; my zaś, jakbyśmy nie byli dziećmi wspólnéj matki sławy, sami sobie wystarczyć i podołać myślim. „Bawimy się pozorami, jak mówi słusznie nasz Cegielski w wyżéj rzeczonéj rozprawie na str. 22 w przypisku, a tymczasem pobratymcy słowiańscy wyprzedzają nas w nauce i gorzko nam z Mikłosiczem przymawiają, że nie ma ani jednego grammatyka w Polsce, któryby język swój filologicznie obrobił." Zgoła grammatyka nasza nie jest godną ani języka naszego, ani odpowiada godnie innym wybornym i gruntownym płodom piśmiennictwa naszego, i dlatego też może u naszych literatów i podobnych im autorów listów z Pragi Czeskiéj poszła w pogardę i poniżenie; i nie dziw, że tę umiejętność uważają jako martwą nie mającą związku z innemi gałęziami wiedzy ludzkiéj. Dlaczego? bo jéj nigdy nie zgłębiali, ani się bliżéj z nią zapoznać starali. Błądzi ten, który jakąkolwiek gałąź wiedzy ludzkiéj lekceważy i poniża i odmawia jéj soków żywotnych: każda bowiem umiejętność dokładnie poznana i zgłębiona, podnosi, uzacnia człowieka, i nadaje wyższą wartość ziemskiemu jego życiu, a wszystkie razem są z sobą połączone ścisłemi mniéj więcéj węzłami, aczkolwiek dla pospolitego oka tajemnemi i niepojętemi. Wyłączne oddawanie się jednéj umiejętności, w jakimkolwiek narodzie, z za-

niedbaniem i poniżaniem innych, nie może wydawać zbawiennych owoców, i naraża nas zawsze na niebezpieczeństwo jednostronności i szkodliwych uprzedzeń. Że tak jest a nie inaczéj, sprawdza się to na nas samych, bo jeżeli najgodniejsi, najuczeńsi, najświatlejsi mężowie narodu naszego w dziełach swoich w innym względzie przynoszących zaszczyt literaturze naszej, występują częstokroć z etymologicznemi bredniami, a nikt się przeciw takowym powstać nie ośmieli: jakiéjże przyczynie to przypisać należy, jeżeli nie zaniedbaniu i lekceważeniu u nas umiejętności językowéj? Chlubim się i słusznie z tylu pięknych i wybornych płodów ducha narodowego; w Bogu nadzieja, że i pod tym względem u nas będzie lepiéj, skoro tylko na tém polu poznamy i uznamy niedostatek i ubóstwo nasze. Tymczasem nim to nastąpi, niech mi się godzi w imię miłości narodowéj oświaty, któréj język ojczysty jest środkiem, narzędziem i przedstawicielem, prosić uczonych wydawców wileńskich czysto-polskiego słownika, o największą z ich strony staranność, ażeby zamierzone przez nich tak ważne dzieło, było nietylko pomnikiem bogactwa narodowego języka, ale zarazem poważném na zawsze świadectwem, żeśmy w bieżącém stuleciu, w umiejętności językowéj nie pozostali w tyle za naszemi pobratymcami i innemi oświeconemi narodami, czego im i narodowi memu z głębi serca życzę.

Komorniki pod Poznaniem,
w dzień śś. Młodzianków r. 1855.

Fran. Xawery Malinowski.

ROZMAITOŚCI.

Listy z Syberyi, Agatona Gillera (1).

Aczyńsk w Krasnojarskiéj gubernii, 2 kwietnia 1855 r.

„Za Niżegorodem zajmują uwagę każdego podróżnika ludy zupełnie różniące się od europejskich, tak ubiorem, obyczajami, jak wiarą, językiem i fizyonomią. Zatrzymaliśmy się na popas w lesie dębowym, poważnym, przy źródle; z za drzew wyszły do nas kobiéty maleńkie, z oczami podłużnemi, rysami kwadratowemi, w ubiorze niezmiernie oryginalnym: suknia zwierzchnia płócienna w rodzaju koszuli, biała, wyszywana taśmami pstremi, na piersiach i na plecach czerwone gwiazdy. Z głowy spada na plecy zasłona szerokości ręcznika także wyszywana; włosy zaczesane za ucho i ujęte przepaską; w uszach pieniądze nawleczone na nitki w kształtach figurycznych; spodnie białe; na nogach łapcie i czarne onuczki przewiązane postronkami. Kobiéty te z ciekawą głupowatą fizyonomią, z lękliwością dzikich ludów, przyniosły na sprzedaż jabłka i orzechy w długich lipowych koszykach: byłyto Czeremiski. Mężowie ich noszą podobne koszule również wyszywane, a zimą siermięgi i futrzane czapki. Przeszedłszy Czeremiską ziemię, pagórkowatą i dębowemi lasami pokrytą, przyszliśmy do ziemi pobratymczego Czeremisów narodu, do Czuwaszów w kazańskiéj gubernii.

Czuwaszowie mało się różnią od Czeremisów: język podobny, ubiór mało odmienia się. Kobiéty na piersiach noszą nie wielkich rozmiarów kwadratowe skórzane tarcze, wybite srebrne-

(1) Ciekawe szczegóły tyczące się życia, charakteru, obyczajów i religii niektórych ludów wschodnich, spisane przez brata mego w listach do rodziny, skłoniły mnie do wypisania z tychże li tylko czysto-naukowych ustępów, i te podaję. *Stefan Giller.*

mi pieniędzmi. Kobiéta na koniu w tym oryginalnym kostiumie zdaje się być amazonką Skitów, bo i rysy męzkie i skład fizyczny mocny, szeroki. Zebrałem niektóre szczegóły o dawnéj wierze tych ludów, którą dotąd w skrytości utrzymują, choć przyjęli chrześciaństwo, Czeremisy, Czuwasze i Wotiacy są czcicielami *Keremetja*, tojest cielca. Swiątynie jego znajdują się w lasach pod ziemią, drogi podziemne ze wsi prowadzą do nich pobożnych czcicieli Keremetjowych. Podziemna ta katakumba dziwnie oświecona: dęby rosnące na sklepieniu wydrążone od korzenia do wierzchołka, przepuszczają dzienne światło; nocą lampy ją oświetlają. W téj świątyni na środku stoi posąg Keremetja często z miedzi ulany, otoczony drewnianą balustradą, poza którą siedzi *Wadazin*, tojest kapłan Keremetjowy, w białym z kapturem płaszczu, wyszywanym w różnokolorowe pasy. Modlący się Czuwaszowie, w czarnych płaszczach chodzą wokoło bałwana, bijąc pokłony i powtarzając słowa: „*Tor sirłach! Tor asu sirłach.*" Boże zmiłuj się, Boże zmiłuj się nad nami! Zawieszone lampy bywają często z drogich kruszców: są to ofiary pobożnych. Swiątyni tych niewiele się znajduje w głębokich lasach, i ci poganie chowają i strzegą je z największą ostrożnością i tajemnicą; tam gdzie nie ma świątyni podziemnéj, modlą się w lasach, w pewnych miejscach pod dębami i osinami, przynosząc i zabijając na ofiarę gęsi, owce, konie, i t. p., i w dziuplach starych drzew chowają w tymże celu pieniądze. Przy zabiciu ofiary śpiewaję i tańczą. Zimą około Nowego Roku wyganiają ze wsi, z domów i z lasów złych duchów. Tłum zebrany z biczami postępuje, i bijąc, trzaskając w powietrzu, po ścianach lub po drzewach w lesie, porzuca wreszcie nieczyste bicze na polu. Z tego co powiedziałem o ich wierze, możecie się domyśléć, iż kultura do tych ludów wcale nie przeniknęła: jakoż są oni na stanowisku pierwotném, bez pojęć ogólniejszych i wyższych z przeszłością, o któréj nic nie wiedzą a *z przyszłością bardzo daleką*. Otoczeni przemagającą, obcą ludnością, wyższą od nich w każdym względzie, tracą co chwila cechy odrębne, obyczajowe i religijne, które ich wyróżniły jako *lud*. Bez inteligencyi swojéj, lud ten wkrótce zaginąć może. Niedowierzanie obcym, zwyczajne wszystkim wpół-dzikim ludom, bojaźń, zabobon, pomieszały się z chciwością i niegościnnością u Czeremisów i Czuwaszów. Pieśń ich nadzwyczaj uboga: nie mają swojéj melodyi, swojego pokrzyku nawet. Pieśni, które słyszałem w ich języku, są albo naśladowaniem, albo podobne do rossyjskich lub tatarskich, a i tych nawet bardzo mało. Parobkowi i dziewczynie miłość, zieloność wiosny, ciepło i płody jesieni nie wyrywają z piersi żadnego dźwięku, żadnego czucia. Pieśń ich albo się nie rozbudziła jeszcze, albo już zamarła, jak i oni wkrótce za nią zamrą. Chcąc poznać te ludy mało wiadome i znane w Europie, porobiłem każdego języka małe słowniczki, by przez to zbadać w jakim stanie znajduje się ich myśl swojska; i z tych słowniczków wniosłem, że języki ich są bardzo ubogie, choć do-

syć wyrobione; słów na pojęcia rozumu moralne i duchowe nie mają. Wracam do pieśni. Słyszałem jeden ton prawdziwie Czuwaszski, ton od nikogo nie wzięty; ton ten podobny swą jednostajnością i brakiem harmonii do krzyku chorego dziecka, które chciałoby się weselić..... a nie może..... Położenie ich materyalne dobre: bez szlachty, posiadacze ziemi obfitują we wszystko, co tylko wymyślność i podniebienie czuwaszskie zapragnie; urodzajna ziemia przy małych potrzebach, nie dają im czuć niedostatku.

Minąwszy Czeremisów i Czuwaszów spotyka podróżny kazańskich Tatarów. Były żniwa: Tatarki w długich czerwonych lub niebieskich i pstrych tatarskiego kroju sukniach, na piersiach wyszywanych pieniędzmi, w męzkich futrzanych czapkach lub czepku z długim ogonem spadającym na plecy, patrzały ciekawie na podróżnych, zasłaniając twarze według obyczaju tatarskiego. Twarze te są płaskowate, smutnawe, ale nie bez wdzięku. Tatarzy kazańscy mają zwierzchnią suknię kolorową, formy koszuli; w święta przywdziewają na nią kaftan kolorowy, a na głowę kapelusz biały z szerokiém skrzydłem, stoszkowato zakończony. Na glinianéj i pszennéj ich ziemi rozsiadły się wioski obszerne z meczecikami drewnianemi i wąziutkiemi minarecikami. Tatarzy ci najwięcéj się zajmują kupiectwem i wszystkie wady kupców posiadają: chciwość, grabieztwo, brak gościnności, samolubstwo, pogarda cudzemi, łączy się w nich z silną wolą, z charakterem stanowczym i wytrwałym, oraz z pobożnością. Wieczorem i o świcie widziałem przejeżdżających Tatarów, którzy zatrzymywali się na drodze i pod drzewami drożnemi obróceni na południe do Mekki, długo w wielkiéj kontemplacyi ducha modlili się. Byli oni niegdyś narodem, ale nie wyrobili w sobie żywiołów mogących przenieść burze i wszelkie zawieruchy. Szlachty w znaczeniu europejskiém nie było u nich i nie ma; mułłowie bez życia, w martwocie prawdziwie mahometańskiéj; kupcy z bojaźnią i samolubstwem handlarzy; naród w ciemnocie: wkrótce zatrzéć się mogą jego cechy. choć więcéj w nim konserwujących obyczaj i swój język żywiołów, niż u Czeremisów, Czuwaszów i innych ludów, które zajmują wschód Rossyi i osiadły nad Wołgą. Wołga pod względem ludów różnych między sobą, mieszkających nad jéj niższym biegiem, niezmiernie jest ciekawą rzeką dla każdego podróżnika. Liczba tych ludów jest ogromna; małe, rozrzucone pojedyńczemi grupami, ciekawe są dla historyka, może jako zabytek owych dzikusów, coto w wiekach średnich zalali Europę.

W Wiatskiéj gubernii mieszkają Wotiacy; wspominam o nich, bo ich widziałem i obserwowałem. Wiara zda się taż sama co i u Czuwaszów: chrześciaństwa trzymają się nie szczerze, i tylko dla obcych, a w istocie są poganami. Kobiety Wotiaków dziwnie głowę stroją: włosy zaczesane nad czołem, ze skroni opuszczają się w dwóch grubych skręconych lokach, podobnych raczéj do grubego postronka niż do włosów. Nad czołem wznosi

się namiocik, pokryty czerwoną lub innego koloru materyą, wyszyty pieniędzmi, spadający długim ogonem na plecy. Wiatska gubernia pokryta gęstemi szumnemi borami, a permska sfalowana pagórkami i zamieszkana Rossyanami fabrycznemi, cokolwiek różniącemi się od innych Rossyan. Ogromne osady, hamernie żelaza, miedzi, przemysłność i kultura fabryczna dają zupełnie odmienny pozór permskiéj ziemi. Ural przebywałem w miejscu dosyć nizkiém: góry nie podnosiły się nawet do wysokości karpackiego przedgórza. Malowniczych grup. gór i widoków pożądanych dla imaginacyi nie widziałem wcale. W listopadzie witałem Sybir azyatycki! Tobolskie przestrzenie okryte były śniegiem, lasy gołe, bory smutne; miasta duże drewniane, zupełnie inne od europejskich. We wsiach budowy rozmaite, każdy według swego gustu buduje sobie chaty. Lud tworzy sobie jakieś nowe cechy; obyczaj jego surowy, pieśni mało i nie z serca. Wieśniaczki lubią się stroić i są lubieżne; mężczyzni grubi i leniwi. Przejeżdżasz całą stacyą, wiorst 20 lub 30 i nie znajdziesz wioski na drodze; czasem się ona ożywia karawaną herbaty, idącą od Kiachty. Jednostajność natury nadzwyczajna: ogromna przestrzeń od Tobolska do Tomska przedstawia tak mało różnicy i rozmaitości, iż oko zapatrzone na te ogromne, gole, brzozowe lasy, rzeki szerokie, lodem okryte, nuży się i zamyka. Latem w tych lasach musi być jednak wesoło i miło. Taniość produktów wielka; w krasnojarskiéj gubernii już drożéj, ale nie o wiele.

21 lipca, Wierzchni Udińsk, miasto za Bajkałem, 1855 r.

W Irkucku nie zakończyła się podróż moja, pospieszam dalej do Szyłki, położonéj za Nerczyńskiem. Kraj, który obecnie zwiedzam jest górzysty, a choć wszystkie zjawiska natury nie odznaczają się rozmaitością, dosyć jednak malowniczy. Właściwemi jego mieszkańcami, tojest właściwemi Zabajkalami są Buryaci.

Szyłka, dnia 17 września 1855 r.

Szyłka leży w miejscu, w którém się już kończą osady zaludnione, w kraju górzystym. Kommunikacye z nią bardzo trudne, bo przez góry ścieżki tylko prowadzą, przez które konna lub piesza podróż jedynie jest możliwa. Rzeka przemknęła się pomiędzy górami, i jest drogą przez którą dochodzą do Szyłki towary; oddalenie więc i odosobnienie tego miejsca jest powodem znacznéj drogości. Rolnictwo tutaj bardzo mierne i bydła nie wiele. Ostatnie dni mojéj podróży były dosyć zajmujące i przyjemne: płynąłem rzeką Szyłką przeszło 80 mil. Brzegi jéj gó-

rzyste i wspaniałe, często ściśnięte skałami, które przerwała woda; w innych miejscach góry od niéj na kilkaset sążni odstępują, i dają obszerniejsze widoki na przecinające się pasma, ubrane borami sosnowemi, modrzewiowemi i lasami brzozowemi. Na brzegach przytulone do gór czarne wsie i wioseczki, stoją samotne i biédne. Tratwa nasza płynęła unoszona bystrą wodą, śród ozdobnéj panoramy natury: młodéj, niezużytéj, mało jeszcze tkniętéj ręką człowieka! Świéżo naokoło, ale pusto; natura mówi tu pocichutku do duszy, podnosi ją i uspokaja: bo przemawia kształtami, które utworzył wielki mistrz świata—Bóg! Ale Bóg niezawsze jest pojęty w naturze: trzeba myśli człowieka, trzeba żeby ona uderzyła o naturę, poprzyczepiała wspomnieniami historyą do gór i padołów: wtedy dopiéro wspólnie z piérwotną myślą Bożą, natura nabiéra barw żywszych, więcéj jest pojętą, więcéj przemawiającą do duszy, bo piękniejszą. Natura bez człowieka zajmuje, ale nie zachwyca; daje cudne, piękne kształty, ale nie odgadniesz bez życia, któreby już przebrzmiało i legło w niéj, téj harmonii między Bogiem a naturą, która stanowi całą jéj treść. Tutejsza natura piękna, ale niema..... Płynąc na tratwie wśród takich brzegów, byłem jednak zajęty i uspokojony, bo zawsze się jest w pokoju, gdy się widzi piękno!..... Wypocząłem więc w duszy i ciele w ostatnie dni mojéj podróży i przypłynąłem do Szyłki zdrowym. Ciąg drogi od ślicznie w górach położonego Bajkału, aż do stolicy obwodu Zabajkałskiego, tojest do miasta Czyty, był ciekawym z powodu Buryatów. Lud ten jest pokolenia mongolskiego, mówi dyalektem mongolskim; twarzy ciemnéj, kwadratowéj, z wystającemi policzkami, nosem płaskim. Ubiór mężczyzn składa się z długiéj nanki, nowéj sukni, zwanéj *buddygył*. Rękawy i wyłogi na piersiach oszyte taśmami man-szestrowemi. Głowy mają wygolone, z warkoczem na jéj wierzchu. Kobiety na podobną suknią wkładają jeszcze kaftan bez rękawów; włosy rozczesane na połowie głowy spadają im za ucho, gdzie pęki ich zdobią koralami i paciorkami; w uszach ogromne kolczyki, okrągłe, metalowe, z koralem wiszącym lub inną jaką ozdobą. Kobiéty i mężczyzni noszą na głowie kapelusze, zwane *małachaj*; z formy podobny on do przewróconego grzyba: rondo wysoko zagięte, z niego spływa wstążka na plecy, dno lekko stoczyste, zakończone świecącą pałeczką. Kobiéty czoło przepasują taśmą wyszytą koralami i paciorkami. Obie płci koszul nie noszą; teraz jednakże naśladując Rossyan, szyją koszule i wielu już je nosi.

Buryat spotkawszy się z Buryatem wita go przeciągłém słowem: „*mynde*" które obydwa trzy razy powtarzają; jeżeli zaś bogaci witają się, wtedy nachylają się i obiema rękoma dotykają się bioder, potém kładą sobie wzajemnie na głowy coś nakształt serwetki z wyobrażeniem bóstwa, i każdy bierze już sobie na własność serwetkę przyjaciela. Gdy człowiek z gminu wita *lamę*, ten go błogosławi stawiając mu na głowie posążek *burchana*, tojest

boga, który nosi za pazuchą, lub dotyka go kawałkiem jakiegoś drzewa, zapewne relikwiami.

Tak mężczyzni jak kobiety jeżdżą konno, i trzymają wielkie stada koni i owiec, a niektórzy i bydła. Z krowiego kwaśnego mleka wyrabiają wódkę, smaku cokolwiek cierpkiego, którą nazywają *araki*. Nieochędożni są i brudni, kotłów w których gotują prawie nigdy nie szorują; mleka nie cedzą. Pokarm ich składa się z *arcy*; jest to mleko prażone z mąką, z mięsa baraniego, z araki i z czaju, który gotują w kotłach, kraszą masłem, solą, i podlewają mlekiem. Herbata której używają, zbita w formę cegiełki, pachnie gnojem. Chleba rzadko używają, potrosze go od Słowian przejmując, ale żyta nie sieją wiele. Przejeżdżając okolice przez nich zamieszkałe, stałem w ich *gyrach* (szałasach), jadłem ich brudny pokarm i przypatrzyłem się ich życiu i obyczajowi. Domy ich są to szałase z belek lub gałęzi, nakryte korą modrzewia lub brzozy; albo też namioty wojłokowe. Wojłokiem nazywają wełnę zwałkowaną i zbitą w jednę massę: kilka szałasów stanowi *ułus* (wieś). Ułusy jak małe punkciki rozrzuciły się po równinie nad strumykami i w dolinach gór wśród traw łęgowych.

Wewnątrz jurta tak urządzona: na środku ognisko, dym z niego ulatuje przez otwór w dachu, naokoło ogniska zwykle siedzi cała rodzina i goście. W jednym kącie gyru stoją malowane gradusy, na najwyższym ich stopniu posążek burchana: często dwie tablice, jedna ze znakami, druga gładka z mosiądzu, okrągłe, podobne do słońca i księżyca. Przed burchanem na pierwszym stopniu ustawione rzędem ofiarne kielichy i czarki w liczbie ośmiu z dzwonkiem; na dwóch niższych stopniach takież kielichy w liczbie siedmiu. W kielichach złożone są ofiary: kilka ziarnek pszenicy, żyta, owsa, lub skrzepłe sadło, masło, araki, i tém podobnie. Przybywający Buryat wchodząc do szałasu, zwraca się do domowéj bożnicy, pada na kolana składając ręce, jak u nas do modlitwy; dopiéro po oddaniu czci Bogu, siada przy ognisku. W drugim kącie gyru, niby sofa, niby łóżko, pościelą z kożuchów zarzucone, kuferki i skrzynki; w trzecim, wazki z mlekiem i różne domowe narzędzia; w czwartym złożona jurta wojłokowa, jeżeli mieszkają w drewnianéj. Szałase wojłokowe cieplejsze są od drewnianych. Spią na baranich kożuchach i dziecko nowonarodzone zamiast pieluch, okręcają w skóry. Zimą wychodzą z ułusów, kryją się w wądoły i w głębokie doliny gór, gdzie rozbijają namioty wojłokowe i mieszkają dotąd, dopókąd łęgi i błonia zakryte śniegiem. Spiéw ich dziki, przeciągły, straszny, bez melodyi. Buryat na koniu jadąc stepem, gdy śpiewa, zdaje ci się, iż słyszysz drżący w pieczarze pisk wiatru; śpiew swój zwraca do każdego widzianego przedmiotu. Wielożeństwo u nich jest pozwolone, ale zwykle Buryat utrzymuje jednę żonę, bo przekarmienie dwóch, trzech, więcéj kosztuje; bogaci mają ich po kilka. Pan-młody płaci ojcu za żonę bydłem. Religia nie łączy swoim

węzłem małżeństwa: pan-młody przyjeżdza z gośćmi do domu narzeczonéj, przez cały wieczór piją goście araki, krzyczą i tańczą przed gyrem wokoło ogniska; ale panna-młoda się nie pokazuje. Na drugi dzień matka przyprowadza panu-młodemu córkę i oddaje mu; wszyscy na koniach odprowadzają młodą parę do ich domu, i tam znowuż piją araki, śpiewają i tańczą.

Latem robią wyścigi konne po polach i górach, i walczą z sobą. Lamowie wydzielają najzręczniejszym nagrody obok *ombon*, gdzie sprowadzają burchanów na tę uroczystość. Ombony są to spiczaste budy z tyczek złożone: w nich zasiadają lamowie i areopag wydzielający nagrody zwycięzcom; obyczaj ten rycerski jest narodowym buryackim obyczajem. Religia ich jest lamajską. Bóg stworzyciel nazywa się *Szygi—moni*; oprócz tego boga jest mnóstwo bogów opiekujących się bydłem, dziećmi i ludźmi: jest Bóg siły, zła, *Oszirman* i inni. Bóg jest duchem, i wszyscy bogowie duchami: wyobrażają zaś ich w obrazach, w posągach, które nie są bóstem, tylko symbolem jego: nie jestto więc wiara pogańska. Noszą szkaplerze, obrazki bóstwa na piersiach; nie poszczą, święto mają tylko jedno do roku: wierzą w nieśmiertelność duszy. Wiara to jest bardzo materyalna, ale ciekawa. Dusza żyje w ziemi, w drzewie, przechodzi późniéj w owad, w robaka, w płaz, w ptastwo, w zwierzęta; późniéj w człowieka gminu, późniéj *w tajsze* (tojest rodzaj urzędnika, księcia nad nim): *w lamę*, potem w szlachetniejsze ciało *hanby lamy*, wreszcie idzie do najwyższego *dalaj lamy* i z niego wraca do Boga, z którego powstała, jako cząstka do swojéj całości. Zdaje się, że to jest panteizm zmateryalizowany. Hierarchia duchowna składa się *z lamów*, tojest księży, *z hanby lamy* biskupa lamajskiego (jednego mają Buryaci), wreszcie *z dalaj lamy* w Tybecie, którego wpływ na Buryatów z wielu powodów jest pośredni. Lamowie są bezżenni; suknia ich kroju takiego jak i ludzi z gminu, różni się kolorem czerwonym. Po śmierci każdego Buryata, lamom składają na ofiarę cały jego majątek.

Buryaci są niegościnni, ciekawi, dosyć zdolni; ze wszystkich ludów koczowniczych Syberyi, oni mają najwięcéj kultury. Trudnią się głównie pasterstwem; nie wyszli jeszcze ze stanowiska pierwotnego; charakter ich chytry, podstępny. Czyngishan miał się pomiędzy niemi urodzić i był Buryatem. Pamiątki po nim jakichsiś budowli pozostały nad rzeką Ononem, która wpada do Szyłki. Muszę o nich kończyć, ramy listu nie obejmą wszystkiego, cobym mógł o Buryatach powiedzieć: rysy więc lamajskiéj wiary i obyczajów w następnych listach umieszczę.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

52. Biblioteka Warszawska. Pismo poświęcone naukom, sztukom i przemysłowi. 1855. 4 tomy (złożone z 12 zeszytów, znaczonych od N. 169—180 włącznie). 8ka wielka. Warszawa. W drukarni Gazety Codziennéj (nakład redakcyi). Tom I, ogólnego zbioru tom LVII, kart napis. 2 i str. 584. Rejestru kart nieliczb. 2. (Do str. 1 należy plan bitwy pod Wiedniem, a przy str. 396 dołączono: Wypadki dostrzeżeń meteorologicznych w r. 1854 robionych). Tom II, ogólnego zbioru tom LVIII, napisów kart 2, i str. 632. Rejestru kart 2. (Do str. 124 należy Plan przekopania międzymorza Suez). Tom III. ogólnego zbioru tom LIX, kart napis. 2 str. IV, i 596. Rejestru kart nieliczb. 2. Tom IV, ogólnego zbioru tom LX, kart napis. 2 i str. 588. Rejestru kart 2. (Odbito ex. 650). Rsr. 9.

53. Grochowy wieniec czyli Mazury w Krakowskiém. Komedya w 4ch aktach przez Antoniego Małeckiego. 8ka. Poznań. 1855. Nakład J. K. Żupańskiego (druk N. Kamieńskiego i Spółki). Napisów kart 2, osób karta 1, i str. 145.

54. Historya powszechna Kościoła przez Jana Alzoga doktora Teologii, professora egzegezy i historyi kościelnéj w Arcybiskupiém Seminaryum Poznańskiém. Przełożona na język polski według piątego wydania niemieckiego przez J. z P. B(elejowską). 6 tomów. Warszawa. 1855. Główny skład w księg. S. H. Merzbacha, druk Gazety Codziennéj. (Tom I drukowany u J. Kaczanowskiego). Tom I str. 220. Tom II, str. 215. T. III, str. 324. T. IV, str. 424. T. V, str. 360. T. VI str. 367, i w każdym kart napis. 2. Rsr. 6.

55. Kobiéta z głową. Obraz z życia galicyjskiego. Przez Dr. T. Tripplina. 2 tomy. 16ka. Warszawa. 1855. Nakładem Ig. Klukowskiego i W. Rafalskiego, druk Gazety Codziennéj. Tom I kart napis. 2 i str. 156. T. II kart 2 i str. 128. Rsr. 1 k. 20.

56. Komedyanci. Powieść przez J. I. Kraszewskiego. *Z godłem:*

. . . . wszyscy na teatrze....
Ja djable lubię teatr, bo jak się zapatrzę,
To mi się czasem zdaje, że ja widzę ludzi.
Fredro *Przyjaciele.*
Totus mundus agit histrioniam..,
Plautus.

4 tomy. (Tom I i IIgi wydanie drugie poprawione przez autora). 16ka. Petersburg i Mohilew. 1855. Nakładem B. M. Wolffa, (druk Gazety Codziennéj w Warszawie). Tom I str. 292. T. II. str. 245. T. III str. 222. T. IV. str. 200. Rsr. 4.

57. Lirenka Teofila Lenartowicza. I. 8ka. Poznań. 1855. Nakładem J. Żupańskiego, druk W. Deckera i Spółki. Str. 110. Kop. 80.

58. Magdalena czyli poświęcenie *(brak zaim. zwrot.* się) młodéj wieśniaczki (.) Powieść ludowa z prawdziwego zdarzenia Julii Kavanagh (.) Przekład wolny przez Eleonorę Ziemięcką. 12ka. Warszawa. 1855. Nakład i druk S. Orgelbranda. Napisów i przypisów kart nieliczb. 5. Przedmowy str. XI i str. 392. Rsr. 1 k. 50.

59. O częstey kommunii. *Z godłem:*

„Ieźliby kto pożywał tego chleba, żyć będzie na wieki".
Ewangelia S. Jana. Roż. VI. w. 52.

Za pozwoleniem cenzury Kościelnéy (.) W Rzymie. W drukarni Propagandy. 1855. 12ka. Str. 158. Kop. 90.

60. Rozprawy C. K. Galicyjskiego Towarzystwa Gospodarskiego. Tom siedmnasty. 8ka. Lwów. 1855. W drukarni Zakładu Norodowego

Im. Ossolińskich. Napisów i rejestru kart 2 i str. 208. (Z trzema litograf. tablicami).

61. Wykład popularny sztuki malowania farbami wodnemi. Rzecz o krajowidokach dla szkół, pensyj i prywatnej nauki. Z pism Jerzego Barrot przełożył Karol Balicki. 8ka. Lwów. 1855. Nakład W. Maniec-kiego, druk Zakładu narod. Ossolińskich. Str. XIV i 112. Kop. 60.

62. Wzory sztuki średniowiecznej i z epoki odrodzenia po koniec wieku XVII w dawnej Polsce. Wydawane przez Alexandra Przezdziec-kiego i Edwarda Rastawieckiego. Serya pierwsza. W Warszawie i w Paryżu. Zakład chromolitograficzny M. Fajansa. Drukarnia J. Unger. 1853—1855. *(Na drugiéj karcie takiż sam tytuł francuzki): Monuments du moyen-âge et de la Renaissance dans l'ancienne Pologne depuis les temps les plus reculés jusqu'à la fin du XVII siècle, publiés par.....* (Serya ta składa się z 12 podwójnych zeszytów w wielkiéj 4ce, znaczonych N. I—XXIV. W każdym takim zeszycie jest po 4 rycin, czyli razem sztuk 48, licząc w to i tytuł, należący do dzieła. Za to przy zeszytach XXI i XXII są 4 litografowane tablice, a oprócz tego i kolorowy tytuł do spisu prenumeratorów. Textu polskiego i francuzkiego jest kart nieliczbowanych 116, znaczonych tylko literami od A. Aa, aż do Żż. Sygnatura druk. idzie nieporządnie od 1—24*, chociaż na tę liczbę kart powinnaby się kończyć na 29. Oprócz textu jest jeszcze kart napis. pol. 2. i fran. 2. Poprawek pol. i fr. kart 3. Spisu tablic kart 2, i spisu prenumeratorów kart 4. Rsr. 24.

63. Zbiór rythmów Kaspra Miaskowskiego znowu przez authora poprawionych, rozszerzonych i na dwie części podzielonych. *Cum Gratia & Privilegio S. R. M.* W Poznaniu w drukarni Jana Rossow-skiego roku 1622. Teraz do druku po raz trzeci podany, przejrzany, objaśniony i wiadomością o życiu i pismach Miaskowskiego opatrzony przez Jana Rymarkiewicza, Doktora filoz. i naucz. wyższego przy gi-mnazyum S. Maryi Magdaleny w Poznaniu. 8ka. Poznań. 1855. Nakła-dem Jana K. Żupańskiego, (druk W. Deckera i Spółki). Napisów i przed-mowy str. XXXVI, wstępu str. VI i 158. Część II, napisów karta 1 i str. 216. Spisu rzeczy kart 2.

1856.

1. Archiwum domowe do dziejów i literatury krajowéj (.) Z rę-kopismów i dzieł najrzadszych zebrał i wydał Kaz. Wł. Wójcicki. 8ka. Warszawa. 1856. Napisów i dwóch przedmów kart nieliczb. 4 i str. 578. Rejestru kart 3. (Na końcu dodano rycinę). Rsr. 3.

2. Augustyn, albo potęga wiary katolickiéj. Z francuzkiego na język polski przełożone przez Jadwigę.... 16ka. Warszawa. 1856. Nakła-dem H Natansona, (druk Jaworskiego). Kart napis. 2. i str. 187. Kop. 60.

3. Dworek i pałac. Powieść K. Wł. Wójcickiego. *Z godłem:*

„Pojrzyj, jeśli co w świecie będzie tak trwałego,
Coby się nie spadało zawzdy czasu swego?
A jako się rozlicznie na nim wszystko mieni,
Nie ujrzysz tego lecie, coś widział w jesieni".
(M. Rey z Nagłowic. Zwyercyadło 1568).

16ka. 3 tomy. Warszawa. 1856. W księgarni Ig. Klukowskiego i W. Rafalskiego (druk Gazety Codziennéj. Tom I, str. 186, T. II, 185. T. III. 161, i w każdym napisów kart 2. Rsr. 2.

4. Gawęd, rymów ulotnych, i przekładów Władysława Syrokomli poczet czwarty. 16ka. Wilno. 1856. Nakładem R. Rafałowicza, (druk A. Marcinowskiego). Kart napis. i przypis. 4 i str. 175. Rsr. 1.

5. Jana Jaworskiego Kalendarz astronomiczno-gospodarski na rok przestępny 1856. Opisów roślin rok dziewietnasty. 8ka wielka. Warsza-wa. Nakładem i drukiem wydawcy. Napisów. przedmowy i kalendarza str. XXIV (do str. IX nieliczb.). Textu str. 168. Jarmarków i doniesień str. XL. Kop. 45.

6. O hodowaniu morw. Nakładem i staraniem Spółki Jedwabniczéj. (Z ryciną). 8ka wielka. (Warszawa, 1856. W drukarni Gazety Codziennéj). Str. 15.

7. Okruszyny. Zbiór powiastek, rozpraw i obrazków przez J. I. Kraszewskiego. *Z godłem:*

Nulla dies abeat, quin linea ducta supersit.

3 tomy. 12ka. Warszawa. 1856. W drukarni S. Orgelbranda, nakładem Czerniaka w Białocerkwi. Tom I str. 275. II, 278. III, 287, i w każdym kart napis. 2 i rejestru karta 1. Rsr. 3 kop. 60.

8. Prozą i wierszem (*na okładce dodano dla jasności:* Pisma) przez autorkę w Imie Boże! 12ka. Wilno. 1856. Nakładem A. Assa księgarza, druk J. Zawadzkiego. Str. 74 i spisu rzeczy karta 1. Kop. 60.

9. Różne różności czyli prawdziwe historye napisane przez Janka z Bielca. Wydał Jan Kanty Gregorowicz. 2 tomy. 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem A. Nowoleckiego, druk Gazety Codziennéj. Tom I. kart napis. 2, str. XXIX i 193. T. II. kart 2 i str. 219. Rsr. 1 k. 50.

10. Stanisława Strąbskiego Rocznik na rok przestępny 1856. 8ka duża. Warszawa. Nakładem i drukiem braci Hindemith. Str. 189. Kop. 45.

11. Zgon Acerna. Chwila z XVIIgo wieku przez Władysława Syrokomlę. 12ka. Wilno. 1856. Nakład Maurycego Orgelbranda, druk A. Marcinowskiego. Str. 51. Kop. 60.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Hippolit Skimborowicz redaktor dawnego Przeglądu Naukowego. rozpoczyna druk swego dzieła p. n.: „Słownik literatów i artystów polskich XIX wieku". Pracy téj ważnéj i starannemu obrobieniu poświęcił dwanaście lat życia. Słownik ten obejmie trzy duże tomy w 8ce, na dwie szpalty. Wychodzić będzie dla ułatwienia nabycia zeszytami.

— Oskar Flatt wykończa obecnie obszerną monografią Pilicy, i opis miasta Szczekocin. W Pilicy przesuwają się rodziny Pileckich: tu wydatnieje postać Elżbiety z Pileckich Granowskiéj, trzeciej małżonki Władysława Jagiełły; Padniewskich, szczególniéj Stanisława znanego starosty dybowskiego, i wreszcie Wesslów, z których Marya Józefa była małżonką królewicza Konstantego Sobieskiego. a przy niéj staje postać podskarbiego Teodora Wessla. Dzisiejsza epoka jest zapowieścią odrodzenia się Pilicy, odpowiednio duchowi czasu, bo zyskało imię w dziejach przemysłu krajowego. W Szczekocinach, obok postaci podkanclerzego Piotra Wdy z czasów pierwszych Jagiellonów, wydatnie odkreślają się wizerunki starościny wolbromskiéj, Czackiego, a poniekąd i autorki Karoliny.

— Czytelnia niedzielna, któréj już wyszło XII numerów pod główną redakcyą p. Alexandry Petrów, znalazła jak najprzychylniejsze przyjęcie, bo około 3,000 prenumeratorów liczy obecnie. To szlachetne przedsięwzięcie, chętnie wsparli swemi pracami znani w literaturze naszej pisarze: J. K. Gregorowicz, Korzeniowski, Kraszewski, Pług, Wójcicki;— Panie: Seweryna Pruszakowa i Ilnicka, pospieszyli przed innemi i już ich utwory były drukowane w Czytelni: inni przyrzekli swą pomoc, i w części nadesłali. Mamy nadzieję, że troskliwa redakcya w miarę zasobów i powiększającéj się liczby prenumeratorów, rozszerzać będzie zakres swego pisma przez dodatkowe arkusze, i postara się o stosowne drzeworyty, szczególniéj wtedy, gdy wedle prospektu ogłoszonego, nowe wynalazki, dla ulżenia pracy, lub wydoskonalenia rzemiosł, podawane będą.

— Pani Belejowska ukończywszy w VI tomach przekład dzieła Alzoga: Historya Kościoła powszechnego, zaczęła przekład X. J. Gaume

we 2 dużych tomach: „Dzieje życia rodzinnego wszystkich starożytnych i tegoczesnych ludów, czyli wpływ chrystyanizmu na życie rodzinne". *(Histoire de la societé domestique, ches tous les peuples anciens et modernes, ou Influence du Christianisme sur la famille, par l'abbé J. Gaume).*

— Księgarz i znany nakładca B. M. Wolff w Petersburgu, zapowiedział następne nowości, które zamyśla ogłosić w ciągu bieżącego roku: Piotra Skargi Żywoty świętych, wydanie nowe ogłoszone staraniem ś. p. ks. arcybiskupa Hołowińskiego 2 tomy. Tegoż ks. Hołowińskiego Hymny kościelne wierszem w 1 tomie. Plejadę polską: Album poezyi, illustrowane. Żegoty Pauli: Pamiętniki o Djable Stadnickim.—J. Korzeniowskiego powieść w 3 tomach: Wyprawa po żonę. Zygmunta Kaczkowskiego powieść historyczną w 3 tomach: Rycerze Olbrachtowicze. Humboldta Obrazy natury, przekład professora Urbańskiego, 2 tomy.

— P. E. Stawiski obywatel dawnéj ziemi sieradzkiéj, którego pracę: Historya rolnictwa w Polsce, już ogłosiliśmy w piśmie naszém, przygotował do druku rękopism p. n. „Księga szkiców i fragmentów". Z niéj ustęp p. n. „Teofrast polski" podamy w następnych zeszytach.

— P. Karol Minarski we Wrocławiu wydał powieści ludowe w języku niemieckim p. n. „Weichsel-Mährchen".

— Maurycy Orgelbrand księgarz wileński wydał pierwszy zeszyt zapowiedzianego dzieła Jakóba Arago w przekładzie polskim: Od biegguna do bieguna. Tenże księgarz zamierza wydać w Warszawie zbiorowe pismo w okazałéj edycyi na wzór jak są angielskie Keepsak'i. Redakcyą objął główną Władysław Syrokomla. Tytuł Wincenty Pol doradzał, aby dano temu zbiorowi: Bartcie. Będzie on zaiste stosowny jeżeli w nim rzeczywiście miód literacki znajdziemy. Z zebranych dotąd artykułów wydawca ogłasza, że już posiada poezyą W. Pola: Z boru i klasztoru, hasło i odzew do Syrokomli; Ignacego Chodźki ustęp z powieści Jesień w klasztorze. Gabryelli z Ginterów księżnej Puzyniny: „Co miłość może"; Wł. Syrokomli: Procedencye szklanicy miodu: (gawęda).

— J. I. Kraszewski wykończył nową powieść p. n.: „Człowiek". J. Korzeniowski, powieść „Krewni", którą ma Gazeta Warszawska drukować. Dr. Teodor Tripplin pisze dalszy ciąg „Pamiętników lekarza;" mają one wyjść nakładem S. Orgelbranda.

— Z zeszytu VI Opisu cmentarza Powązkowskiego dowiadujemy się, że dwa tomy dzieła tego, obejmujące XII zeszytów, zawrą jedynie sam Cmentarz Powązkowski: gdyż wydawcy tyle przybyło materyałów, że w oznaczonych ramach zaledwie je pomieścić potrafi. Osobne dzieło, niemniejszéj zapewne objętości, zawierać będzie opis cmentarzy katolickich Sto-Krzyzkiego, Ujazdowskiego i Pragskiego, oraz innych wyznań. W plan tego dzieła wchodzą także opisy cmentarzy okolic Warszawy, jak Bielan, Wawrzyszewa, Willanowa i wiele innych. Praca ta w większéj połowie już jest wykończona.

---

† Dnia 7 marca r. b. o godzinie 3 z rana, w 85 roku życia, umarł powszechnie czczony i wielbiony Kajetan Koźmian, kasztelan, autor Ziemiaństwa polskiego, znakomity poeta i zasłużony dobrze krajowi obywatel, w swojéj zaciszy wiejskiéj w Piotrowicach, którą od r. 1831 zamieszkał. Fran. Salezy Dmochowski (w Gazecie Codziennej) i Andrzéj hr. Zamojski (w Dzienniku Warszawskim) pięknemi wspomnieniami uczcili pamięć sędziwego starca.

† Dnia 22 marca r. b. zakończył życie Antoni Żyszkiewicz, adjunkt gabinetów Okręgu naukowego warszawskiego, mąż znany z głębokiej nauki, a obok tego z prawości i szlachetności charakteru. Wiele prac jego literackich mieszczą pisma peryodyczne warszawskie: na każdéj wycisnął piętno nauki i sumienności swojej.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

***Luty*, 1856.**

Luty 1856. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obserwatoryum Astronomiczném Warszawskiém.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. Średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłej w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	deszczu	śniegu
1		733.66	735.74	734.40	736.92	— 4°.9	— 3°.4	— 2°.9	— 5°.0	94.5	śnieg	lek. pochm.	pochmurny	pogodny	Z.	PnZ.	Z.	PnZ.		3.6
2		737.16	737.27	738.92	741.79	— 8.2	— 6.0	— 4.7	— 5.0	95.5	pogodny	napół pog.	poch. śnieg	pogodny	Z.	PdZ.	Z.	Z.		
3		748.36	752.00	755.35	757.94	— 5.6	— 4.7	— 4.4	— 5.4	95.5	pochmurny	napół pog.	pogodny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	Z.		
4		759.65	759.93	758.55	757.46	— 11.6	— 8.8	— 5.3	— 10.2	—	pogodny	pr. pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	Pd.	Pd.		
5		755.87	756.32	755.54	755.96	— 13.3	— 9.2	— 5.4	— 9.5	91.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	—	—		
6	●	756.04	756.25	755.94	756.27	— 4.8	+ 1.7	+ 0.8	+ 0.7	97.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	Z.	PdZ.	1.0	
7		751.43	750.40	746.15	746.00	— 1.5	+ 0.8	+ 3.5	+ 3.1	88.0	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pd.	PdZ.	PdZ.	PdZ.		
8		744.73	744.62	745.12	747.79	+ 3.8	+ 4.8	+ 6.3	+ 4.6	93.7	pochmurny	deszcz	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	3.6	
9		751.19	751.52	750.03	750.15	+ 2.0	+ 2.3	+ 3.7	+ 3.5	98.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Pd.	Z.	2.0	
10		749.73	749.56	748.47	750.85	+ 3.5	+ 4.7	+ 8.6	+ 3.6	90.8	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	Z.	2.4	
11		749.59	748.70	747.79	747.42	+ 3.6	+ 4.0	+ 5.1	+ 2.8	96.7	pochmurny	pochmurny	pochmurny	mgła	Z.	Z.	Z.	Z.		
12		745.28	746.80	750.87	750.53	+ 1.4	+ 1.3	+ 0.2	+ 0.2	93.8	poch. mgła	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnZ.	Z.		
13	☽	748.18	744.51	740.64	744.98	— 0.2	+ 0.3	+ 7.3	+ 0.4	92.5	pochmurny	deszcz	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	Z.	Pn.	3.2	4.1
14		751.38	753.16	752.39	752.64	— 4.0	— 4.9	— 3.6	— 3.7	84.2	pochmurny	pr. pochm.	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	W.	W.		
15		748.83	748.02	746.28	745.06	— 2.5	— 0.5	+ 2.1	+ 1.0	98.3	poch. mgła	poch. śnieg	lek. mgła	pochmurny	PdW.	PdW.	PdZ.	Z.	2.8	1.6
16		745.15	748.18	751.48	754.53	— 4.4	— 5.7	— 5.7	— 7.8	90.2	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnW.	PnZ.	2.4	
17		755.44	756.75	757.49	758.97	— 8.2	— 7.8	— 7.9	— 11.9	90.4	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	—	Pn.	PnW.	—		
18		759.73	760.40	759.37	759.67	— 14.5	— 12.2	— 5.7	— 10.1	—	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PnW.	W.	W.		
19		757.45	756.83	754.16	752.50	— 10.2	— 7.2	— 2.3	— 3.5	82.0	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	Pd.		
20	☽	751.48	750.25	749.24	748.57	— 3.9	— 2.8	— 0.2	— 1.6	84.5	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	PdW.	PdW.	PnW.		
21		747.72	746.97	745.31	742.71	— 3.1	— 1.5	— 0.5	— 3.1	98.0	pochmurny	pochmurny	śnieg	pochmurny	PdW.	PnW.	PnW.	Pn.		2.8
22		743.60	744.49	743.95	743.59	— 5.0	— 2.5	— 3.3	— 5.0	93.0	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	Pn.	PnZ.	Pn.	Pn.		3.2
23		742.98	743.27	742.87	742.69	— 6.8	— 5.2	— 5.2	— 5.4	92.5	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Z.	PdZ.		
24		744.21	747.06	751.81	753.91	— 2.1	— 0.7	+ 0.3	— 1.9	89.2	pochmurny	lek. pochm.	napół pog.	pochmurny	PnZ.	PnZ.	Pn.	Z.		2.6
25		753.95	755.21	758.52	760.74	— 0.9	+ 1.5	+ 2.5	— 2.5	86.8	pochmurny	pochmurny	smugi	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		
26		756.83	754.76	748.58	745.96	— 2.6	+ 0.4	+ 0.5	+ 0.7	97.5	pochmurny	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	Pd.	Pd.	PdZ.	Z.		5.6
27		745.98	747.39	749.75	751.53	+ 1.2	+ 1.6	+ 1.6	+ 1.1	94.0	pochmurny	śnieg	pochmurny	pochmurny	Z.	PnZ.	PnZ.	PnZ.		2.4
28		757.58	759.60	760.16	757.06	+ 0.4	+ 1.0	+ 1.4	— 0.5	90.7	pochmurny	lek. mgła	pochmurny	pochmurny	Pn.	Pn.	PnZ.	Z.		
29	☾	753.88	751.73	750.87	752.72	— 0.9	+ 1.0	+ 3.9	+ 1.2	92.3	pochmurny	poch. d. dr.	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	PnZ.	Pn.		
śre.		749.899	750.266	750.000	750.583	— 3°.56	— 1°.99	— 0°.32	— 2°.39	92.3									17.4	25.9

	m.	d.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	750.187	27	8.554
Najwyżej barometr dochodził d. 25 o g. 10 w.	760.74	28	1.237
Najniżej — — d. 1 o g. 6 r.	733.66	27	1.229
Średnia zmiana dzienna barometru	5.106		2.263
Największa zmiana dzienna barometru d. 2—3 o g. 4 w.	16.43		7.283
Średnia wysokość barometru jest niższa o	0.355		0.157
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	749.832	27	8.397
Średnia temperatura lutego wynosi:	— 2°.06 C.	—	1°.65 R.
i ta jest wyższa o	1.27 „		1.01 „
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	— 3.33 „	—	2.66 „
Największe ciepło było d. 10 o g. 4 w.	+ 8.6 „	+	6.88 „
Największe zimno — d. 18 o g. 4 r.	— 14.5 „	—	11.60 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.727 „		2.182 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 5—6 o g. 10 w.	10.9 „		8.72 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 8°.9 R. d. 10 w poł.
Minimum: —11°.9 „ d. 18 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 92.3, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.40 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blizko o 0.02 większa od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 17.4 mil. czyli 7.71 lin. par.; z śniegu 25.9 mil. czyli 11.48 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 43.3 mil. czyli 19.19 lin. par.; ilość ta wody jest o 5.41 lin. par. większa od tej, jaka średnio u nas w lutym spada.

Dni pogodnych było 3, napół pogodnych 4, pochmurnych 22.
— deszczu 9 (d. 6, 8, 9, 10, 13, 15, 16, 27, 29).
— śniegu 11 (d. 1, 2, 13, 15, 16, 21, 22, 23, 24, 26, 27).
— gradu 1 (d. 24).
— mgły 5 (d. 9, 11, 12, 15, 28).
Wichrów było 1 (1 Pn).
Wiatrów mocnych 8 (4 Z., 2 PnZ., 2 Pn.).
Wiatr panujący: zachodni, często były także: północno-zachodnie.

Luty r. b. był niepogodny, zmienny, w deszcz i śnieg obfity, o 1 stopień R. cieplejszy niż zwykle. Pierwsze pięć dni i druga połowa miesiąca były mroźne, przeciwnie dziesięć dni od d. 6 do 16 łagodne i ciepło jakby w porze wiosennej. Najcieplejsze dni były: d. 7, 8, 9, 10, 11, 13, 27; najzimniejsze: d. 1, 2, 3, 4, 5, 16, 17, 18, 19, 23. Pod względem stanu nieba, miesiąc ten był mniej pogodny niż zwykle. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest: jak 3.9 : 6.7 : 17.6; w r. b. stosunek tych dni jest jak 3 : 4 : 22. Dzień 13 odznaczał się szczególnemi zmianami; z rana było powietrze chłodne, od południa ciepłe, wieczór znowu chłodne, śnieg, deszcz połączony z wichrem, przez cały dzień się ponawiały. Dnia 26 śnieg mokry zaraz topniejący od godz. 11 rano do godz. 7 wieczór pruszył. Elektryczność atmosferyczna dnia 4 i 5 przy znacznym mrozie była silna.

D. 25 z wieczora świeciła zorza zodyakalna w kolorze blado-różowym.

NORMANOWIE I GERMANOWIE

Z UWAGĄ NA DZIEŁO P. A. MUNCHA

DER NORSKE FOLKS HISTORIE,

tudzież

POGLĄDEM NA GERMANIĄ

PRZEZ TACYTA OPISANĄ I JEJ U POLSKICH PISARZOW WZIĘTOŚĆ.

PRZEZ

Wacława Aleksandra Maciejowskiego.

Kiedy, biblijnie mówiąc, zaczęła się po potopie nowo zaludniać Europa, tłumy ludów z Azyi do niéj przesiedlających się, znalazły ją na oścież sobie rozwartą. To téż zaludniały ją łatwo, cisnąc się do niej w kierunku od północy przez uralskie, od wschodu przez kaukazkie góry, od południa przez Azyą mniejszą. W liczbie piérwszych występujący głównie Finowie głośni są w dziejach jako lud od natury upośledzony, o którym zauważył już Tacyt „że dzikość jego i ubóstwo jest aż do podziwienia," co téż w pięćset lat po nim powtórzył Jornandes (1). W liczbie drugich głośni Celtowie napływali na Europę (2), i najpiękniejsze jej bo południowe i zachodnie posiadłszy strony, mieli w niej, aż do zjawienia się tu nowego, o władzę współu-

(1) Germ. 46. *Fennis mira feritas, foeda paupertas.*

(2) Porówn. w dziele Gregor von Tours v. J. W. Loebell Leipzig 1839 artykuły: die Völkerstämme im vorrömischen Gallien, Ueber die Meinungen vom Ursprunge der Franken.

biegającego się z nimi ludu, wyłączne panowanie. Byli nim Scytowie, którzy po Celtach napływając władli wszędzie dokąd tych nie sięgało panowanie, i trzymali w swéj mocy wszystkie na wschodzie mieszkające ludy. Cała więc Europa, o ile ją nie posiadali Finowie, na Celtów i Scytów dzieliła się rządy, których żaden nowo-napływowy lud zaprzeczyć im nie śmiał aż do IVgo po Chrystusie wieku. Wtedy to wystąpił znowu do walki z tymi, nowo w Europie pojawiony na pograniczu państwa Celtów, Scytów i Finów usadowiony lud. I on w przedhistorycznych czasach z Azyi wyszedłszy osiadł naprzód u dolnej Wołgi, nie chcąc na północ, a nie mogąc daléj na zachód wędrować: tam bowiem nie nęciły go ku sobie zimne ubogich Finów siedliska, tu w potężne zastępy rozrodzone panowaniu Scytów i Celtów ulegające ludy, nie dozwalały posuwać się mu w głąb Europy; co wszakże nie mogło trwać wiecznie. Pociągnąwszy więc w niewiadomym czasie ku północy, i o Finów w dzisiejszéj Szwecyi i Norwegii rozłożone oparłszy siedziby, przesiedlał się ztąd przez morze w tak obecnie nazywane wschodnie i zachodnie Prussy, słynąc naprzód pod nazwą Gotów a następnie Normanów (1), niewiadomo przez kogo nadaną sobie. Tu zastał go w IV przed Chr. wieku opływający morza Baltyckiego brzegi Piteasz żeglarz marsylski, i tę dla jego dziejów piérwszą zapisał datę.

Skoro się między Celtów i Scytów wdarli Gotowie, nie zaniedbali pójść w ich ślady inni Normanowie, i przez Danią wdzierać się w krańce dzisiejszych Niemiec. Zacierało się przez to dawne tutejszych ludów imię, a nastawało nowe, gdy przybysze ci zlewali się z osiadłymi tu oddawna władzy Scytów i Celtów, jak rzekliśmy, ulegającymi ludami. Z takowych nazwisk ludowe imiona Suewów i Germanów są wielkiéj wagi. Początek piérwszego ginie w odległéj starożytności: drugie nowszego jest pochodzenia. Przeszedłszy ono niedawno temu (mówi Tacyt) od Celtów na Germanów tych, którzy się nie wiadomo kiedy i dla czego Tungrami mianowali, służyło następnie wszystkim w granicach teraźniejszych Niemiec mieszkającym ludom (2), ale nie wyłącznie. Nosili bowiem Germanowie obok

(1) Dosłownie znaczy „północnych mężów" od *Nord* północ, i *Mann* mąż, człowiek.

(2) Tacyt Germ. 2. Leo wywodzi to imię od celtyckiego *gair*, *gairm*, który ma okrzyk (wojenny?) znaczyć. Porówn. Rudolphi observationes grammaticae et criticae in C. Corn Taciti Germaniam, Monasterii 1855, na str. 23.

nowo uzyskanego inne jeszcze nazwiska. Występują więc obok nich Saksonowie, Suewów północnych, tudzież Frankowie Celtów zareńskich i Suewów południowych, dzisiejszą Bawaryą i Wirtembergią zamieszkujących, ujarzmiciele.

Zanim o ludach tych opowiadać zacznę, muszę zwrócić na to uwagę, że odkąd głębiéj w dzieje piérwotnéj Germanii, z powodu nowo-opracowywanéj Historyi prawodawstw słowiańskich, wglądać zacząłem, pytanie to zkąd się do niéj, czy od południa, czy od wschodu, czy od północy germańskie dostawały ludy? obchodziło mnie wielce. Upewniwszy się o tém, że wprost od wschodu przybywszy na północ zkąd na południe, nie zaś jak utrzymuje Grimm (1) od południa na północ czyli z nad Dunaju nad Baltyk a ztąd do Skandynawii i Germanii dostawały się, wyciągnąłem ztąd ważne dla badań dziejowych wnioski. To samo dzieląc dziś ze mną zdanie professor norwegski P. A. Munch w dziele r. 1851, w Chrystyanii wydaném (2), nie rozwijał dalej myśli swéj logicznie. Powiedziawszy bowiem że piérwotnych instytucyj germańskich początku upatrywać należy na północy, zauważył błędnie, że cokolwiek o tychże instytucyach niezgodnie z normandzkiemi podali Juliusz Cezar i Tacyt, na karb to złego wysłowienia się lub nawet niewiadomości ich policzone być winno. Lecz zdanie to o historykach ze wszech miar godnych wiary wyrzeczone lekkomyślnie, można sprostować tą naturalnie nasuwającą się uwagą, że gdy i ludy Germanią przed najściem do niéj tłumów północnych zamieszkujące miały swe urządzenia polityczne, więc własnie o germańskich a nie o instytucyach wprost z północy pochodzących mówić mogą Cezar i Tacyt, ilekroć o nich po swojemu rozprawiają. Twierdzenie to nabierze mocy, skoro opowiemy: jakie były rzeczywiście instytucye narodowe Gotów i Normanów, a jakie Celtów i Scytów, Germanią przed najściem jéj od ludów

(1) *Geschichte der deutschen Sprache Leipzig 1848* i tamże wydanie drugie 1853. Porówn. 118 a z niém Muncha 31. 51. 59. 60. Dziś nie ulega wątpliwości że Niemcy nie dostali się z Azyi do Germanii przez Dunaj, lecz owszem Słowianie: wcześniejsze tu bowiem są słowiańskości niż niemieckości ślady. Poświadczają to wyrazy botaniczne Dyoskorydesa (porówn. artykuł mój *Geto-Daki* w poszycie marcowym Biblioteki Warsz. z r. 1855) które za niemieckie r. 1853 poczytując Grimm, oświadczył mi, gdym we wrześniu r. 1855 rozmawiał z nim o téj rzeczy w Berlinie, „że się pomylił".

(2) Die nordisch-germanischen Völker eine Uebersetzung der beiden ersten Abschnitte von P. A. Munch *Der norske Folks Historie* von G. Fr. Claussen. Lübeck 1853.

z północy zamieszkujących? W jakim stosunku stanęły do siebie instytucye te po owém najściu? w jakim były za czasu panowania Germanów? co nakoniec przez zetknięcie się z sobą północnych instytucyj z południowemi wynikło?

Przed przystąpieniem do rozwikłania tych pytań, uprzedzam czytelnika, że wywód rzeczy oprę co do Normanów i Gotów na faktach które Munch przywiódł, co do Scytów zaś i Germanów na zródłach, którem w dziełach własnych a wiadomych bo drukiem ogłoszonych (1) przywiódł, że artykuł ten jest dalszym analizy zródeł piérwotnych praw słowiańskich ciągiem, któréj synteza czyli szczegółowość zaokrąglona w całość pojawi się w Historyi prawodastw; że pisząc go miałem na uwadze dwa cele, by naszą publiczność zaznajomić z norwegskiém dziełem dla piérwotnéj historyi Słowian a więc i Polaków nader ważném, i by sprostować w niém co mylnie piszący go o Germanach zeznał, nie znając Swewów i za Niemców ich poczytując wszystkich. Rzutem oka na Germanią Tacyta, i na poczynione o niéj przez uczonych Niemców i Francuzów badania naukowe, zakończę mą pracę.

Z Azyi wyniósłszy Germanowie zasady towarzyskiéj społeczności politycznie i religijnie na rządach patryarchalnych oparte, mogli je nieskazitelnie zachować w długie wieki, gdyż ludy, między któremi w Europie osiedli, nie przeszkadzały im w rozwijaniu tychże. Trzymani długo nad Wołgą przez potężne Scytów zastępy, trzymani nierównie może dłużéj przez nie w Skandynawii, zlodowacieli i zkamienieli w sercu pod ostrém północy niebem, a nie odwykli od broni, ucierając się ciągle z pograniczną swych nieprzyjaciół strażą, która im wstępu w dalsze Europy broniła kraje. Używszy wreszcie tegoż samego co późniéj Gotowie względem Rzymian fortelu, czyli okrążywszy nieprzyjacielskie straże, i do Szwecyi i Norwegii od północy wtargnąwszy, osiedlili się w niéj na zawsze. Gdzie który z ich oddziałów osiadł, tam téż pozostał na miejscu, tworząc wojskową osadę nazywaną półkiem (*fylk*, dziś *Volk*), która się znowu dzieliła na sotnie (*hundari*), ale w wojskowym tylko a bynajmniéj administracyjnym jak u Suewów a następnie

(1) Oprócz Pierwotnych dziejów, Roczników i kronik, oprócz rozpraw do Biblioteki Warszawskiéj od r. 1852 podawanych, należy tu wychodzący właśnie opracowany przezemnie obraz literatury średniowiekowych ludów według układu Ejchofa. Nowe mimo to dowody położę gdzie potrzeba tego zachodzić będzie.

u Słowian, względzie. W sotniach były rody sprawowane od najstarszego z członków rodziny, który, jak dziś u Chińczyków, naczelnikiem i kapłanem będąc rządził majątkiem rodziny do czasu posiadanym wspólnie. Nabywano go przez udział uzyskany na ziemi zdobytéj i prawem posiadano dziedzictwa, a powiększano przez nowe nabytki, które mógł każdy robić na swą rękę siłę mający po temu. Wolno bowiem było prowadzić wojnę dla zdobyczy i tak sporzyć sobie nieruchomy i ruchomy majątek, biorąc w plon jeńca, i osadzając go na roli. Im kto szczęśliwszy był w tym względzie, tém łatwiéj dostępował władzy w półku, i jako doświadczony w wojnie wychodził przez to na monarchę. Mąż taki mając liczne na rozkazy osadników roty, kierował się przy ich pomocy na stałego dowódzcę półku, a przytém przywodził inne półki pod swą władzę. Ztąd początek wazalstwa i piérwszy zaród królestw, utwierdzanych przez stany, o których wyobrażenia przyniósł z sobą z Azyi Norman, i takowe podbitym Finom z bojaźnią broni zwycięzkiéj wraził. Były trzy stany: Trelów czyli poddanych, Karlów czyli szlachetnych, Jarlów czyli szlachetniejszych. Urodzenie i zastosowana do niego głowszczyzna różniło między sobą obywatelów, i odróżniało ich od poddanych.

Wcale inny kierunek wzięły ludy scytyjskiemi zwane. Rozumiano pod tém nazwiskiem szereg wielu różnéj narodowości ludów. W poczcie ich mieściły się i te, od których poszli Słowianie. Ci wyłącznie ku roli skierowani przez swych panów, stanowili tak od Herodota zwany ludzi nieszczęśliwych rodzaj, gdy przeciwnie szczęśliwi ich władzcy trudniąc się pasterstwem i wojaczką, przebiegali z bronią w ręku zajmowane przez lud sobie poddany ziemie, doglądając czy się mu od kogo krzywda nie dzieje; czy kto nie żyje z jego pracy, z któréj wyłącznie chcieli korzystać sami. Ponieważ zaś nie byli do gleby ziemi przywiązani Scytom poddani ludzie, którą owszem zmieniać i gdzie im było najdogodniéj wybierać ją sobie mogli, przeto jak daleko sięgała władza panujących nad temi rolnikami żołnierzy i pasterzy, tak daleko też rozciągały się otwarte im do uprawy role, i niby własność stanowiły ich. Celem łatwiejszéj uprawy wolno było rolnikom tym stowarzyszać się przez przybieranie do siebie obcych rodów, zkąd powstawały plemiona i gminy. To było im zadatkiem przyszłego szczęścia, to zapowiedzią wolności, która miała nadejść po przerzedzeniu się szeregów usta-

wicznie wojujących Scytów, Traków, Getów, Sarmatów i t. p. nad owymi rolnikami władnących. Były i te nowo z Azyi napływające ludy, które sobie wzajemnie rządy nad owymi wydzierały rolnikami, troszcząc się bardzo o to, ażeby nie brał się do broni oracz, ażeby pługa tylko i motyki pilnując, zbierał dla swych panów dostatki. Tak było aż do czasu, w którym Norman przepartszy wreszcie zaporę, dostał się z Skandynawii nad Baltyk. Pojawił się tu naprzód Got, który zapewne widząc że się już bardzo przez wojny i lubieżność przerzedziły roty Scytów i Sarmatów, wszedł w tajemne stosunki z owymi rolnikami, i podawszy im myśl do zrzucenia z siebie ochydnego jarzma, stał się sprzymierzeńcem ludu pod dwojaką Swewow (Suowow, Słowenow) i Wanów (Wenetów) występującego nazwą. Z nich piérwsza charakter Słowian wybitnie dotąd cechujaca mogła pojść z języka Gotów (1); druga u Finów i Celtów naprzód pojawiona nie odkryła nam dotąd znaczenia swojego.

Piérwszy a najważniejszy zażyłości tej wynik pojawił się w pojęciach i obrzędach religijnych, które u Słowian jako wśród Europy i w sąsiedztwie najukształceńszych narodów, Greków, Etrusków i Celtów od dawna wespół z Scytami, Trakami i t. p. bytujących, były wykształceńsze niż u Gotów i Normanów z Finami sąsiadujących. Nawet Germanowie, jak podał Cezar, stali na bardzo niskim stopniu pojęć religijnych, i długiego czasu bo tysiąc i kilka set lat potrzeba było na to, ażeby się pojęcia te wykształciły, ażeby się ich religia pogańska usystematyzowała. Nastąpiło to wówczas, kiedy Asowie czyli goccy bohaterowie zespolili się z Wanami, i bóstwa ich przyjęli za swoje, zkąd cześć ziemi śmiertelnych powszechnéj rodzicielki, tudzież bóstw z rolnictwem w związku będących, a urodzajami i pokojem opiekujących się w staréj wystąpiła Eddzie, mając na czele Otina czyli bogów i ludzi, nieba i ziemi powszechnego ojca. Imię bóstwa podwójne i którego drugie z języka Gotów wywieść się nie da, gdyż na wyrażenie go nie dostaje słowa ich mowie (2); szereg bogiń w religii ludu, który sobie stawiał ko-

(1) W języku Gotów *slavan* znaczy *milczéć*, *still-schweigen*, w staro-cerkiewnym *tich* (dzisiejsze *cichy*) na toż samo co *spokojny*, *tranquillus*, wychodzi. Porówn. *Guthisches Glossar v. Ernst Schulze*, tudzież F. Miklosicza *Lexicon linguae slovenicae veteris dialecti* pod temi wyrazami (*slavan*, *tich*). Na wyrazie *slavan* i na śladach słowiańskiéj u Suewów wspierając się narodowości, wywodziłem i wywodzić będę tychże Suewów imię.

(2) W Tacyta Germ. 2. *Tuisco* nazywa się w Eddzie *Otin*, *Othinn*, *Odin*, znacząc powszechnego rodziciela czyli ojca bogów i ludzi.

bietę na równi z rzeczą, i dopiéro po przesiedleniu się do Germanii cenić ją wyżéj nauczył się, dalej ofiary ludzkie, obwożenie bałwanów w świętym pochodzie i t. p., wskazując na związek religii Gotów a owych spokojnych ludzi, domyslać się każe o tém, że cześć bóstwa wzajemna zbliżyła Normanów, Gotów i Słowian do siebie, ale nie ze wszystkiém. Duch bowiem wojny owiewał religią północy mężów, stanowisko towarzyskiéj społeczności cechowało u nich jak ludzi tak i bogów, hierarchia nie była tu i tam jednakowa. Jak dziś w Chinach inną religią wyznaje rząd a poddani inną, tak i u Gotów i Normanów inne się bóstwo Jarlami, a inne poddanemi opiekowało. Piérwsi szli po śmierci do Otina, drudzy do syna jego Tora czyli Tura, pod postacią wołu od ludu rolnictwem głównie zajmującego się czczonego. Kapłanili w kościołach temu ludowi duchowni osobną hierarchią przez Getów od Greków naśladowaną stanowiący, a Otin był, dawnym Normanów zwyczajem, najwyższy u siebie kapłan, który obrzędując pod gołém niebem dopiéro przy schyłku pogaństwa stawiał kościoły, i na ustanowionych kapłanów zlał swoję władzę duchowną.

Okoliczności te wykazują dostatecznie, że nie ze wszystkiém zgadzała się religia sprzymierzonych. Więcéj atoli różniły ich jeszcze urządzenia polityczne.

Chociaż się Suewowie według Juliusza Cezara i Tacyta liczyli do Germanów, jednakże instytucye ich wyraźnie świadczyły o tém, że Germanowie ci ani od Gotów ani od Normanów, lecz raczéj od Scytów, Traków i t. p. poszli. Byli zaś bezwątpienia Suewowie starszymi od Gotów Germanii mieszkańcami, gdy cywilizacyą mieli wspólną z dawniejszym w niéj od Normanów ludem. Ich bowiem rody zupełnie się od normandzkich rożniły, zamiast półków mieli powiaty, a niebyły im znane stany narodu, władza królewska i dziedzictwo roli. Zgoła był stan polityczny suewskich ludów od normandzkiego wcale odrębny, i chociaż się po upływie tysiąca lat przeszło zlała cywilizacya ich z niemiecką, przecież odrębne cechy nosiła zawsze na sobie i nosi je dotąd. Niewiedząc o tém Munch i wszystkich Germano-Suewów poczytując za Niemców, nie mógł téż zdać sobie z tego sprawy, co o ich rodach i gminach zeznali rzymscy pisarze; w skutek

Pomnąc na to że *ojciec* wyrażał się u Gotów przez *fadar* (dziś *Vater*) a u Słowian przez *ot*, więc oczywiście owa bóstwa nazwa słowiańską jest, i *Otin* lepiéj się pisze niż *Odin*.

czego nie był w stanie pojąć organizacyi społeczności towarzyskiéj Germanów za czasów Tacyta i po nim istniejącéj. Mianowicie też druga część jego dzieła, w któréj stan wewnętrzny Normanów przechodząc porównywa go z tym, jaki przez Saksonów i Franków dla Germanii spowodowany został, jest mylną i sprostowania potrzebuje; co wykazać przedsięwziąwszy, uwagę na normandzkie i suewskie, a więc niemieckie tudzież scytyjskie, geckie, dackie, czyli słowiańskie instytucye tak polityczne jak i prywatne zwracać i opowiadać będę, jak się i przez co w Germanii ukształtowały nieznane Suewom stany, zkąd i dla czego powstała w Europie własność alodyalna, jak się na niéj oparło niemieckie i słowiańskie szlachectwo.

Wczasach przedhistorycznych stowarzyszywszy się wszystkie te kraje, które w granicach dzisiejszych leżąc Niemiec, Celtów i Scytów niegdyś ulegały panowaniu, utworzyły sobie jedno związkowe z trojakich rządów za czasu Tacyta złożone państwo, Od Elby aż do Wisły i w górę aż po dziś tak zwane Prus zachodnich idąc krańce, rozciągało się państwo Suewów: w niém przewagę mieli w stu powiatach rozłożeni Semnonowie czyli Zemnonowie, tojest czciciele ziemi (Nerthus), z którymi w związku zostawali, tak przezemnie nazwani, zeswewieni, gdyż ową czcią z nimi połączeni Longobardowie, Wandalowie, i inni. Po nich wielką zwracali uwagę na siebie Łęczanie (Lygii) na różne wielopowiatowe (Helwekonowie też, według Pliniusza starszego, pięćset posiadali powiatów) podzieleni państwa, po tych zaś Gotowie do swewskiéj przez Tacyta policzeni rzeszy, nakoniec Rugiowie żywiołem niemieckim wielce przejęci, a wreszcie odłamki celtyckich i panońskich (zakarpackich) ludów. Za Swewią były znowu inne odłamki Celtów za któremi siedzieli Wenetowie (Słowianie) i Finowie ci, którzy do rzeszy nie należeli Germanów. Resztę krajów aż po Ren zajmowali Germanowie różnéj narodowości. I to byli Celtowie, Finowie, a z nimi Litwini i Normanowie, miejscowo różném a ogólném Germanów nazywani od Rzymian mianem. To czyli raczéj te związkowe państwa, miały każde u siebie rząd własny. Suewowie mieli gminny, Markomanów i Kwadów, w dzisiejszych Czechach i Morawii przesiadujących, wyjąwszy, którym intryga Rzymian narzucała królów. Byli Gotowie i za nimi mieszkające ludy w większéj nieco, mówi Tacyt, u monarchów swych podległości, a przeciwnie reszty Germanów królowie mieli władzę

ograniczoną i ścieśnioną. Nie byli albowiem mocni działać według swéj woli, lecz albo z naczelnikami rodzin albo, w sprawach większéj wagi, z narodem wspólnie naradzać się musieli. Zresztą była ta głównie ich a swewskich rządów różnica, że właściwie tak zwani Germanowie czyli nie Suewowie, biorąc na królestwo mężów szlachetnego rodu, większemi ich, podczas rok rocznie przedsiębranego podziału roli, opatrywali udziałami. Nie będąc oni w stanie obrobić własnym karkiem wydzielonéj sobie ziemi, puszczali ją w posiadłość osadnikom, tojest wziętym w plon wojennym jeńcom. Przeciwnie było u Swewów: u nich bowiem wszyscy obywatele równego będąc prawa, i urodzeniem jedynie tudzież ubiorem od niewolników się różniąc, nie mieli jedni nad drugimi w niczem i żadnéj wyższości. Stan więc obywatelstwa był tu jeden, czyli nie było stanów, co trwało aż do czasu zetknięcia się po nieprzyjacielsku Suewów z Normanami. Sprawcami tego, wskutkach swych nieszczęśliwych uczuwanego dotąd od Niemców czynu, byli nie widziani w Germanii przed IIgim po Chr. wiekiem Saksonowie, którzy zkądby do niéj przybyli, to wiadomo tylko, że z za morza na łodziach przypłyneli (1). Pomnąc na to co powiada Munch, rzeczy nie tylko nierozumiejąc, ale nawet coby znaczyła nie dorozumiewając się wcale; pomnąc, mówię, na to, że w tak zwanym „jądrze" czyli na wybrzeżu Norwegii południowéj stawiał niegdyś lud nieznajomego nazwiska „szatry" czyli szałase, zkąd powstawały „sioła", i że cała ta norwegskiego kraju przestrzeń mocne ma rugijskiéj narodowości ślady (2), wniosłbym, że swewskie Rugian plemię, zwabione wybornemi w tych stronach pastwiskami, dawszy przez osiedlenie się tu zaczepkę do waśni Normanom, drogo zaczepkę tę opłaciło następnie. Ci, według wyrażenia się kroniki, nożami jak dzisiejsi Czerkiesy uzbrojeni wojownicy, wetując zapewne swéj na Swewach krzywdy, wdzierali się stopniowo w ich kraj, aż się zupełnie do niego wdarłszy, i swewskich Hermundurów (3) intrygami Rzymian mocno w cnocie zachwia-

(1) Porówn. pierw. dzieje 28 nstpn.

(2) O rugijskich osadach w Norwegii mówi Munch 108, przytaczając wyżéj wspomnione wyrazy, które z Anglosaksońskiemi porównywa. Ich atoli znaczenie jaśniéj się w słowiańskich wyrazach *szatr* (tabernaculum, buda, szałas), *jadro* (sinus maris), *selo* (sioło), uwydatnia; co też i na Rugian narodowość słowiańską wskazywać się zdaje.

(3) Ma wiele podobieństwa do prawdy domysł, że Turyngowie, których wespół z Frankami obalili państwo Saksonowie, byli dawnych Hermundurów potomkami. Porównaj pierw. dzieje 37.

nych zdobywszy, stałe sobie w Germanii założyli siedlisko. Wtèdy to rozwinęła się tu stanowość, jakiéj dotąd nietylko ta część Germanii, lecz i reszta jéj nie znała. Aż do rozpostarcia się bowiem w niéj Saksonów wszyscy obywatele, którzy się szlachtą nie porodzili, jednego używali prawa. Szlachta, snadź za utracone i w ręce duchowieństwa złożone kapłaństwo, miała przywiléj na królestwo, resztą zaś praw jednoczyła się z wolno urodzonymi obywatelami. Usamowolnieni nie wchodzili w ich poczet nie mając politycznego znaczenia, chociaż, jak zeznał Tacyt, mieli osobistą przewagę nietylko nad obywatelami, ale nawet nad szlachtą tam, gdzie nieco samowolniéj panowali królowie. Gdy bowiem polityczne znaczenie od urodzenia zawisło, a wyzwoleńcy porodzili się w niewoli, przeto téż ani na równi stać z obywatelami, ani udziału mieć w prawach obywatelstwa nie mogli. Dopiéro za przeprowadzeniem od Normanów do Germanii tegoż samego prawa, jakie o dziedzictwach istniało na północy, mogło ukształtować się nowe na klassowości oparte obywatelstwo, czego powodem byli Fryzowie i Saksonowie, a reszty dokonali Frankowie.

Nie wyśledzono dotąd dla czego się Frankami nazywali Normanowie ci, którzy z przyczyny, iż od Salandu (dzisiejszéj Zelandyi) w kraj Belgów wtargnęli, salickiemi zostali mianowani następnie. Był tém kraj Belgów już podówczas czém jest i dziś, tojest różnych mieszaniną ludów: istniały tu bowiem przez nawykłych do włóczęgi Germanów przeprowadzone aż w te Europy strony osady Suewów; istniały takoweż Litów, za których sprawą ukształtowało się następnie litewskie nad Niemnem państwo; istniały resztki osiadłych przed wieki Finów; nakoniec różni Germanowie mieszkali tu z Celtami wespół. Tę mieszaninę ludów, w jedność państwa ścisłym niezwiązaną węzłem, było łatwo podbić nawykłym do zwycięztwa północnym mężom: co gdy ostatecznie przyszło do skutku w Vtym po Chr. wieku, wzięli się wnet, jak we wszystkiém tak snadź i w tym względzie, powolni radzie kierującego cywilizacyą ich duchowieństwa katolickiego Frankowie, do zlania w jedno różnorodnych praw, jakiemi się mieszkające tu różnojęzyczne i różno obyczajowe rządziły i sądziły ludy. Ztąd powstała owa sławna ustawa salicka, w któréj nigdzie nie występujący przedtém, lecz dopiéro w niéj (w tytule LXIX) pojawiony wyraz *alod* jest dotąd zagadką dla uczonych europejskich.

Pominąwszy kwestyą rozbioru wyrazu tego, któréj osobny w zamierzoném wydaniu nowém Historyi słowiańskich prawodawstw artykuł poświęcimy, dosyć wspomnieć, że według moich spostrzeżeń, zdał się mi być ów wyraz pochodzenia słowiańskiego, a bynajmniéj niemieckiego; znaczyć tyle co *ojczyzna* czyli jak dziś mówimy *ojcowizna* (1), i początek swój wywodzić nie z udziału (*κληρος*), ale z nabytego własną osobą majątku. Trzeba albowiem wiedzieć o tém, że jak dotąd w głębi Rossyi i u naddunajskich ludów, tak i u wszystkich narodów, krórych zlewkiem Słowianie są, a więc i u Germanów, a bynajmniéj u Normanów, nie była rola wyłączną osoby jednéj, lecz całéj gminy własnością, którą taż gmina rok rocznie w Germanii za Cezara i Tacyta między spółobywatelów rozdzielała losem (*κληρος*, *sors*). Własność więc prywatna z saméj się tylko ruchomości składała przed salicką ustawą, a ponieważ szła z *ojca* na dzieci, przeto *ojczyzną*, *ojcowizną*, nazywała się. Miała wtedy ona większe od udziału losem nabytego znaczenie: przechodziła bowiem z mocy prawa na następców nabywcy, gdy przeciwnie udział stawając się po każdém opróżnieniu go pusty, dostawał się komu go dała w posiadanie gmina. Co trwało aż do czasu Franków, którzy chcąc wesprzéć wojskowość uchylili istniejące od wieków w germańskich gminach o posiadaniu ziemi prawo, w miejsce jego używane w normandzkich filkach położyli, i tak posiadłość na dziedzictwo zamienili. Dla dopięcia tego celu przyjęli (jak ja sobie rzecz tę wystawiam) taką samą zasadę, jakiéj się i dziś przy oczynszowaniu włościan trzymają europejskie rządy. Wyrzekli więc: że *dla ojca* czyli *dla tego, że* kto *jest synem* swojego *ojca*, może, lub mogą synowie, bez zapytania się o to gminy, wchodzić w posiadanie udziału ojcowskiego, i dzierżéć go prawem ojczyzny na dziedzictwo zamienionéj teraz, a dzierżéć sami tylko nie dzieląc się nim z siostrami, które wtedy dopiéro, gdy w rodzie zabraknie płci męzkiéj, mają dziedziczyć ojczyznę.

W skutek ustawy téj nastał taki stosunek roli, jaki dziś w dobrach rządowych widzimy w Polsce, tojest, że rola ta, któ-

(1) Kraj własny i obcy nazywali rzymscy pisarze i średniowiekowi mianowicie też francuzcy łacinnicy *patria* (Du-Cange p. w. *patria*), dlategoteż według Galla kroniki ed. Bandtkie 275, Niemcy mówiąc o Polsce używali wyrazu *patria*, pojmując ją w znaczeniu *własnéj* Polaków ziemi. Ztąd też alod u średniowiekowych kronikarzy (Pertz I. 158) wyraża się przez *patria, haereditas.*

réj nie rozebrali między siebie czynszownicy, gdyż nie była ona nigdy w posiadaniu gromady, pozostaje rządową, i albo się folwarczną staje, albo nowo rozdana na czynsze, powiększa zakres czynszowych osad we włości.

Przez alody nastała różnica dziedzictwa i posiadłości, z których piérwsze rodowych majątków charakter przybrawszy, stały się zasadą nowego o szlachectwie u Niemców wyobrażenia; drugie zaś pozostawszy w stanie gminnych udziałów losem rozbieranych, były daléj czasowemi posiadłościami. Jak u nas tak i u Franków nie od gmin ale od rządu, lub prywatnych właścicieli nabywano rol takich, obowięzując się za posiadanie ich do pewnych usług. Ztąd też potworzyły się nieznane w dawnéj Swewii stany, których nie wszędzie był jednakowy charakter. Zawojowani od Saksonów suewscy Turyngowie stanowili najniższy czyli trzeci stan, skierowani będąc jak za Scytów ku roli; zkąd też że na lesze własnoscią teraz zwycięzkiego będącéj Saksona siedzieli, Lachami *(Lasi)* nazywali się; drugi stan stanowili wolnego urodzenia, a piérwszy szlachetnego rodu sascy mężowie. Inaczéj się stanowość ukształtowała u Franków. Ci bowiem mając głównie wojnę na celu wyrzekli, że kto w wojsku czyli, jak się wyrażali, w drużynie monarchy nie służy, znaczenia mieć w kraju nie może. Ten co miał własne fundusze, utrzymywał się z nich w wojsku, biorąc nadto pewne od króla wynagrodzenie; tego, co ich nie miał, opatrywano niemi. Służył więc nietylko kto ojcowski wziął udział, lecz i komu dał posiadłość monarcha z tém zapewnieniem, że będzie ją mógł po swej śmierci przelać na sposobnego do służby rządowéj syna: zkąd też majątek obu z prawa ojcowskiego posiadany zwał się u Franków *alod*, u Saksonów *Odal*, u Norwegian *odel*, (1) które to wyrazy znaczyły, jak mniemam, jedno. Rozważmy to.

Munch stawiając obok siebie wyrazy *alod* i *odel*, zauważył o piérwszym, że on znaczył własność od ponoszenia ciężarów wolną; a o drugim powiedział, że był mąjątkiem mogącym być

(1) Wyraz *alodis* (łacińskie zakończenie) składa się z przedimka *ala* rządzącego drugim przypadkiem i rzeczownika *ot* (ojciec). Przedimek ten brzmiąc według Szafarzyka (porówn. słown. Jungmana p. w. *dle*) w pierwiastku swym *la*, zastępującym jak mówi tenże *dla*, tworzył wyrazy *al-ota* (przypadek drugi, *dla ojca*) lub *otal* (znaczy *ojca dla*, jak Polacy w XV jeszcze mawiali wieku). Za *la* (mówi Szafarzyk tamże) można było położyć *le*, zkąd powstawało *ot'el*. *Al* jest przesunięte *la*.

dziedziczonym przez rodowych tylko (1). Lecz nie na tém polegała obu różnica, albowiem nie każdy *alod* ale dziedziczny tylko, bynajmniej zaś w posiadaniu, jak bywało u Franków, zostający, pod ciężary osobiste i gruntowe nie podpadał. Jeden téż i drugi, czyli *alod* i *odel* rodowym majątkiem będąc, przez nikogo, jak przez rodowych, lub na kogo oni zlali swe prawa, posiadany być nie mógł. Jedno więc znacząc oba różniły się prawami, jakich nabywał przez nie posiadacz; co wszakże bardziéj jeszcze zbliżyło do siebie *alody* i *odele*, i od tak nazywanych u Gotów *arbi*, a od Anglosaksonów *erfe* (dziedzictwo) wyosobniło je. Rzecz się tak ma:

Z bronią w ręku wtargnąwszy do Norwegii Normanowie, ciągnęli losy o posiadanie téj ziemi, na któréj osiadł półk jaki. Co kto z losu dostał, posiadał dziedzictwa prawem, i na swych zléwał to spadkobierców (2). To posiadali oni daléj prawem spólności. Trwało to aż do czasu, w którym rodzina podziału majątku zażądała (3). Co skoro nastąpiło, nie mogły już nowo z podziałów utworzone dziedzictwa zaspokoić żądań, jakich teraz duch czasu wymagał od ich posiadaczy, nowemi powinnościami uciążonych wielce. Skoro bowiem Frankowie wyrzekli, że znaczenia mieć nie może kto zasług nie położy dla kraju, a zasługa w owych czasach na służbie wojskowéj polegała największa, ta zaś wymagała nakładów na sprzęt wojenny, które z roli jedynie mógł ciągnąć rycerz; więc téż zasługa a nie urodzenie stawając się odtąd podstawą szlachectwa, pociągnęła go ku roli i oparła na niéj. Zaczem poszła i nowa szlachectwa nazwa, gdy dawna *Jarlów* nie wystarczała. Wziąć ją od *arbi* nie można było przeto, że szlachectwo było od niego dawniejsze; zanim jeszcze bowiem losowali Normanowie dziedzictwa, już byli szlachtą porodziwszy się nią. Od alodów więc zaczęto nazywać szlachtę tam, gdzie na zasłudze oparto szlachectwo; tudzież tam, gdzie się z dawnemi dziedzictwami *(arbi)* zetknęły

(1) „Nicht *Odel* sondern *Alod* bezeichnet mehr die Uneingeschränckheit und Abgabenfreiheit des Eigenthums als dessen Erblichkeit und unzertrennliche Verbindung mit der Familie", mówi Munch na str. 159.

(2) Guthisches Glossar von Schulze ma wyrazy *arbi*, *arbja*, *gaarbia*, *arbio*, toż samo co *Erbschoft*, *Erbe*, *Miterbe*, *Erbin*, oznaczające, a wyrazów *alod*, *odal*, *odel*, nie zna.

(3) Munch na str. 158 w przyp.

dziedzictwa nowe *(alod)*: pierwsze bowiem ustąpić musiało drugiemu nazwisku, skoro dawna zastarzała instytucya została przez nowszą, czerstwiejszą i duchowi czasu więcéj odpowiednią, zastąpiona. Krótko mówiąc od alodów wzięła nazwisko naprzód normandzka we Francyi osiadła (1), następnie saksońska w ustawiczne wojny aż do czasu Karola W. z Frankami plątana szlachta. Za obiema poszedłszy anglosaksońska, dawne miano dziedzictw i szlachectwa zarzuciła (2), a przybrała nowe nazwisko, wyrazem *Adal*, *Athel*, *Aethel* od *alod* wziętym nazwawszy się (3). Toż samo, jak ja mniemam, i w Norwegii nastąpiło; i tam wyraz rzeczony zaczął służyć podobnie jak słowiańska *ojczyzna* za przewodnika temu, który z pocztu ludu chciał do stanu szlacheckiego przejść. Mówi Munch (4), że przez dziedzictwa, (*odel*) szedł w górę Karl i z Jarlem się czyli chłop ze szlachcicem łączył. Tak też i w Polsce królewscy chłopi z drobną łączyli się szlachtą, i znowu ta szlachta posuwała się przez dziedzictwa w górę, dochodząc tą drogą do rzędu panów. Ta atoli była różnica, że słowiański pan i szlachcic dzieląc swoje dziedzictwo drobniał lub nawet utracając go chłopiał, a norwegski Jarl i Adal niemiecki nie szwankował przez ubożenie na szlachectwie, gdyż nosił go w sobie z krwi pochodząc szlachetnéj, i nie opierał na zasłudze i majątku. Za to też odmładzała się zawsze nasza szlachta a niemiecka wymierała, tak iż wskrzeszać ją musiano z martwych przez udzielanie dyplomu, co znowu, ale pod inną postacią przedłużyło jéj życie.

(1) Du-Cange w Glossar. ed. Henschel p. w. *Alodium*.

(2) Phillips Versuch einer Darstellung der Geschichte des Angelsächsischen Rechts, Götingen 1828. Porówn. stronnica 117 przyp. 318.

(3) Powziąłem o tém mniemanie, rozważywszy co bracia Grymowie w poszycie pierwszym wydawanego od siebie słownika *(Deutsches Wörterbuch von Jacob Grimm und Wilhelm Grimm Leipzig 1852)* pod wyrazami *Adel*, *Allod* rzekli, lubo takich co ja, nie wyprowadzili ztąd wniosków. I oni wyraz drugi od źródłosłowu *ot* a pierwszy od różnych źródłosłowów z *od* spokrewnionych wyprowadzając przyznali, że *odal* ma powinowactwo z *vodal* (patria, praedium avitum). Wszelako nie może to, zdaniem ich, objaśnić powodu znaczenia wyrazu, gdy źrodłosłów *od* nie jest do odgadnienia. Więc *Allod* zdaniem Grymów z *ot* wywieść się dający ma swoje znaczenie i pochodzenie wyjaśnione, a *od* dlatego że się przez *d* pisze nie ma go mieć? Czyż *d. t.* nie krzyżują się nawzajem w rękopisach właśnie w wyrazie *alod*, który się i *alot* pisze? Porównaj Waitz w *Das alte Recht der salischen Franken*, *Kiel 1846* na stronnicy 122.

(4) Na str. 149. 191.

Inaczéj było u Słowian za sprawą ojczyzny, na któréj gdy dzięki Opatrzności nie zbywało nam nigdy, gdyż było podostatkiem roli, przeto nie było téż u nas ani proletaryatu, ani nie brakło ludowi na środkach dostawania się do rzędu szlachty. Kiedy nam jeszcze Scytowie panowali, stały dla rolnika otworem wszystkie pod władzą ich zostające kraje. Gdzie chciał i wiele chciał orał ziemi, bo mu jéj nikt jak dziś w Syberyi nie skąpił, zwłaszcza gdy panujący Scyta orężem się tylko bawił. W miarę jak się który lud słowiański wydobywał na wolność, w miarę tego tworząc gminę rozdawał w niéj udziały. Nawet za nastaniem monarchii ziemia zamieszkana, a prywatny nie stanowiąca majątek, pozostawała się gmin własnością, gdyż tylko leżąca pustką dostała się królowi pod zarząd. Szły zaś obie na udziały, i ojczyznami się w tém co u Franków znaczeniu stawały; zkąd posiadacze ich ojczyzniakami nazywali się, co wszelako nie u wszystkich utrzymało się Słowian, bo u Serbów i Rusinów, ale do wieku XV tylko (1). U Polaków i Czechów wróciwszy szlachta do dawnego zwyczaju, ojczyzną nabyty majątek a rodowy dziedzictwem nazywała w XVII jeszcze wieku (2). Lud wiejski jednę miał tylko ojczyznę, i pozostał jéj wierny, dając to miano nietylko wziętym w spadku po rodzicach ruchomościom, ale i roli którą uprawiał. Téj trzymając się stale, nie włóczył się po kraju jak za scytyjskich czasów, lecz siedział na miejscu, lubo nie osiedział się bezpiecznie: rugowano go bowiem z roli, by na niéj sadowić nowego, większy czynsz płacić obiecującego niemieckiego osadnika. To zrobiło go znowu włoczęgą, w skutek czego co rok przenosił się z sprzętami swemi rolnik, szukając sobie dogodniejszego miejsca dla usadowienia się *na uroku* czyli na czynszu, zkąd téż *naroknikiem*, a nie *ojczyzniakiem* nazywał się odtąd. Natomiast szlachta dzierżała ojczyzny, zkąd atoli kraj czyli powszechna wszystkich Polaków ojczyzna małą korzyść miała. Z przyczyny, że starostwa z powszechnéj powstały własności, a król był ich szafarzem tylko, wyrobiła sobie w szlachecką gminę ziemstwem zwaną zjednoczona szlachta, że jéj oddawał pod zarząd te dobra dla ciągnienia ztąd dochodów. Drapano je więc, i tak rozdrapywa-

(1) Porówn. słown. akadem. rossyjsk. p. w. *otczina*, *otczinik*. W statucie serbskim Duszana *baszczina*, *baszczinik*, toż samo znaczy.

(2) Porówn. słown. Lindego p. w. *oyczyzna*. a słownik Jungmana p. w. *otczina*, *otczizna*.

no ojczyznę, która świadkiem będąc zmian tylu, po przejściu z ruchomej w nieruchomą, po zamienieniu się z udziału czyli posiadłości w dziedzictwo, przyszła naturalną koleją rzeczy na to, czém była w starożytnym już świecie u Rzymian i Normanów, zszedłszy na czynsze, i dziedzictwem czyli ojczyzną być dla ludu zaprzestawszy. Przyczyny tego poznamy w szczegółach z zamierzonego Historyi prawodawstw słowiańskich nowego wydania; dlatego kończąc już tu sprawozdanie z czytania dzieła Muncha, rzucę nań okiem po raz ostatni jeszcze. Niepodobna mi albowiem rozstać się z niém, nie wynurzywszy co myślę o mniemaniu autora, który twierdzi, że państwo rossyjskie założyli Niemcy (1). Zebrał on myśl swą w tym ogólniku: „kiedy (mówi Munch) tak później nazywani Normanowie przesiedlili się z Azyi do Europy, wówczas zatrzymawszy się u dolnéj Wołgi siedzieli tu przez czas długi, może od wieku czwartego przed Chr. nie bardzo odległy, w którym Piteasz zastał ich pod nazwiskiem Gotów na brzegach Baltyckiego morza; gdy przebywali nad Wołgą wtedy posunęła się część ich ku górnemu Dnieprowi tudzież nad Ilmenu i Ładogi jeziora, i siedząc tu doczekała się przybycia w te strony Ruryka z braćmi, reszta zaś do Skandynawii pociągnęła. „Tak więc (kończy opowiadanie swe temi słowy) szweccy Rodsi (ludzie używający jednéj mowy), od których poszło miano Rusi, są potomkami owych niegdyś nad Wołgą i w Szwecyi przebywających Normanów (2).“ Lecz jeżeli, jak sam (3) zeznał, rozpoczynają się dzieje każdego kraju z jego zaludnieniem, i dodajmy to, z zaszczepieniem w nim cywilizacyi, więc lud który w nim zamieszkawszy przez czas niejaki nic dla cywilizacyi nie uczynił, założycielem jego nie może się w żaden nazywać sposób. Krótko mówiąc zachodzi tu ten sam stosunek, o którym nie raz wspominałem w mych pismach, twierdząc: że chociaż od Traków, Scytów, Sarmatów, Getów i Daków pochodzą Słowianie, czyli, chociaż się między nimi wychowały ludy, które pod nazwą Wenedów, Suewów, (Suowenów) i t. p. a nakoniec pod mianem Polaków i t. p. wystąpiły z czasem na widowni dziejów, jednakże gdy owe ludy nie tyle się co ostatnie, czyli Getowie i Dakowie, do rozwinięcia towarzyskiego by-

(1) Mówi o tém na str. 9, 53, 54, 55, 56, 58, 59, 62, 63.
(2) Munch na str. 62. 63.
(3) Munch na str. 6.

tu naszego przyczyniły, przeto ich tylko za przodków nadwiślańskich i naddnieprskich Polan, nie zaś Wenedów i t. p., chociaż ci w krajach przed karpackich dawniéj od przesiedlonych do niéj z nad Dunaju Daków mieszkali, uważać powinniśmy. Jakoż w pośród Daków rozwinęła się owa społecznia stowarzyszonych rolników, o któréj Józef Zydowin podaje, a któréj dalszém jakoby rozwinięciem są, w równości obywatelskiéj żyjący słowiańscy Suewowie; tych zaś odnogą są braterstwo między sobą zachowujący Lachowie; nakoniec Wiślanie czyli Małopolanie, którzy, jak dawne od Boguchwały przechowane podania mówią, działy *(sortes)* roli osiadującym u siebie naznaczali przybyszom (1). To téż i Normanów nad Wołgą po swém z Azyi przesiedleniu się mieszkających, założycielami ruskiego nie godzi się nazywać państwa, gdy ani kraju nie zaludnili, ani go nie ucywilizowali. Gdzież bowiem ślady obojga? Jeżeli istniały niegdyś a zaginęły następnie, to właśnie okoliczność ta dowodzi, że jedno i drugie było nic nieznaczące, gdy czas zatarł łatwo pamiątki obu do szczętu. Piérwsze ślady cywilizacyi Rusi, tego imienia godnéj, występujące w téj części Ruskiéj Prawdy, która mém zdaniem pogańskich sięga czasów, wskazując na słowiańską, a bynajmniéj normandzką narodowość, dowodzą dostatecznie, że cywilizacya ruska nie była normandzką ale słowiańską od samego początku. Widać to szczególniéj z prawa, którego jak narzucić, tak téż uchylić go odrazu nie można; które jeżeli się ma zakorzenić w jakim kraju, wieków na to potrzeba. Jeżeli więc ruskie prawo nie normandzkiego ale słowiańskiego jest ducha, gdyż w niém plemiona, gminy, i ruchome tudzież nieruchome ojczyzny (statok, zadnica), a drugie podobnie jak w salickiéj ustawie kobiéty wyłączające występują, więc to samo dowodzi, że prawa a z niém cywilizacyi nie zaszczepili na Rusi Normanowie, o czém w dziełach swych rozwodziłem się już nie raz i w nowém wydaniu Historyi prawodawstw daléj rozwodzić się będę.

Rzućmy okiem na dzieło wielkiéj wagi, które o Germanach książę historyków rzymskich napisał.

Zauważono o niem (2), że w żadném z swoich dzieł tyle co w tém osobistości własnéj nie wyraził Tacyt, dla zwięzłości

(1) Według Boguchwały (rękop.) otrzymał taki udział Krakus (*sorte sibi divinitus inter fratres suos Lechitas atributa*).

(2) Observationes grammaticae et criticae in P. Corn. Taciti Germaniam, scripsit W. Th. Rudolphi Monasterii 1855.

i krótkości stylu nietylko spójniki lecz i przysłówki, a nawet czystość poświęcając mowy, byle co prędzéj ustami wypowiedział, co czuło radością i smutkiem przepełnione serce, na widok czerstwego. zbytkami niewycieńczonego, pełnego siły młodzieńczéj ludu, który miał przywieść do skutku, co niegdyś Rzymowi po spaleniu go przez Celtów, przepowiedzieli galscy Druidowie (1), a o co frasował się bardzo historyk. Chcąc więc coprędzéj podać do wiadomości ziomków co się o narodzie tym, w pobliżu jego, w kraju Belgów, dochodami cesarza Wespazyana zawiadując, dowiedział (2), spisał r. 97 po Chr. co posłyszał o duchu i narodowości germańskiego ludu: „któremu (jak zeznał) nie dali bogowie złota i srebra, nie wiedzieć czy z miłości czy z gniewu, ale dali mu silny pociąg do cnoty, ażeby powodując się nim nie znał żartować z występków i nie chciał sromoty zasłaniać modą", i dlatego „więcéj sobie ważył dobre obyczaje, niż kto inny (wskazując niby palcem na Rzym), dobre poważał prawa (3)". Pragnął tego Tacyt, by wielowładny pan świata przejęty strachem klęski, jakiéj się dla swéj władzy słusznie spodziewać może od takich cnot i takiego charakteru ludu, ujął silnie za oręż i zgniótł w swém gniaździe hydrę, z którą się próżno przez dwa już prawie wieki z wielką łamał niesławą i szkodą (4). Wyliczył więc ryczałtem i według możności po szczególe opisał zamieszkujące Germanią ludy, na dwie narodowości, Suewów i Germanów, rozkładając ich poczet, i jakimby sposobem ducha narodowości tych najłatwiéj można złamać, machiawelskie na to podał środki. Radził „w przyjazne z Germanami wchodzić stosunki, a pokątnie siać niezgody; przyczém prosił bogów, by wiekowała w narodach orężem dotąd niepokonanych, jeśli nie miłość dla władzców okręgu ziemskiego, to przynajmniéj nienawiść ku sobie samym, gdyż w tém państwa rzymskiego pochyłku, większego mu daru losy przynieść nie mogą, nad niezgodę nieprzyjaciół (5)." Radził „nie żałować grosza na przekupstwa tych, którzy się już nauczyli pieniądze brać od swych nieprzyjaciół (6), by mieli za

(1) Fatali igne signum caelestis irae datum et possessionem rerum humanarum Transalpinis gentibus portendi. Taciti hist. IV. 54.
(2) Haec in commune de omnium Germanorum origine, ac moribus *accepimus*, mówi Tac. w Germ. 27.
(3) Germ. 19.
(4) *Tam diu Germania vincitur!* z boleścią serca woła Tacyt w Germ. 37.
(5) Germ. 33. (6) Germ. 15.

co nabywać gorących trunków, których im ile zapragną dostarczać kazał, zwłaszcza, gdy się młodzieńcze narody niemniéj łacno kuflem jak orężem zwyciężają (1)." Radził „osadzać ich w granicach rzymskiego państwa, uwolniwszy od wszelkich brzemion danniczych i tylko na wojenne zachowywać potrzeby"; wmawiać téż w nich, „że się to nie dla Rzymu, lecz dla ich własnego czyni dobra, ażeby uszli niebezpieczeństwa grożącego im od ziomków za to, że się sercem i przychylnością z nieprzyjacielem zespoliwszy, Germanami być przestali rzeczywiście (2)." Dając do zrozumienia, że lepiéj głaskać niż jątrzyć nieprzyjaciela, stawia za przykład swewskich Hermundurów, którzy przez łagodne z sobą obchodzenie się przylgnąwszy sercem do Rzymian, sprawdzili to na sobie, że nie raz nieba karzą, gdy obdarzają szczęściem (3). Ponieważ się więc nie z miłości dla przedmiotu, lecz ojczyzny swéj powodowany korzyścią, wziął do napisania dzieła, wnieść ztąd łatwo, że raczéj politykę niż historyą miał i miéć musiał przy układzie jego na widoku, zwłaszcza gdy nawet niemożebną było mu rzeczą badać prawdy w samém zródle, albowiem nie postał w Germanii swoją osobą Tacyt; i chociażby chciał był ją zwiedzić, nicby nie wskórał nie umiejąc języka ludu, któremu się na statystę, na malarza obyczajów i historyka narzucił. To téż jego Germania od swego na jaw wyjścia aż do obecnego czasu, mało, przez IV blizko wieki (4), postąpiła w obrobieniu tekstu, który aż dotąd wiele do życzenia (5) w słowie, w objaśnieniu i zastosowaniu rzeczy do historyi prawodawstw germańskich, zostawia. Czuli to i czują najnowsi tekstu tego rozważacze i objaśniacze, którzy

(1) Germ. 23.

(2) Germ. 28. 29.

(3) Porównywając (Tacyt histor. IV. 64. Germ. 41) los Tenkterów a Hermundurów, miał snadź na uwadze słowa Pliniusza (hist. nat. XVI 2) *multis fortuna parcit in paenam.*

(4) Pierwsze wydanie wyszło w Wenecyi 1470, najnowsze ogłosił drukiem w Erlandze 1851, professor niemiecki Doederlein, którego nie znam.

(5) Tak i w najnowszém wydaniu Gerlacha (*Tacitus Germania.* Text Uebersetzung Erläuterung. Erste Abtheilung Text. Basel 1835. Zweite Abtheilung Uebersetzung und Erläuterung Heft. I tamże 1837) które znam, czytamy, Germ. 12. *Centeni singulis ex plebe comites consilium simul et auctoritas adsunt.* Gdybym się nie bał symetryi tego a szóstego rozdziału zepsuć, powiedziałbym że za *Centeni* czytać się powinno *Centenis singuli* i t. d. Tak chciał rzecz tę wyrozumieć i Waitz (Deutsche Verfassungsgeschichte Kiel 1844-47 w dwóch tomach porówn. I. 113. przyp. 2) ale cofnął swe zdanie.

wszystkiego, nawet omyłek w stylu i miary wiersza, dopatrując się w Tacyta mowie, nie mogą się w niéj tego właśnie co potrzeba dopatrzyć (1). Czują historycy i prawnicy, dla których byli i dotąd są uwiecznieni przez księcia rzymskich historyków Suewowie, niepokonaną do usunięcia trudnością, a na których przecież wyrozumieniu duch najdawniejszego prawodawstwa Germanów, i, jak ja rzecz pojmuję, Słowian, polega i polegać będzie.

Odkąd się na historyą Niemiec z krytycznego zaczęto zapatrywać stanowiska, co w drugiéj połowie zeszłego nastało wieku, przekonano się o tém, że nie wszystkie ludy rzymsko-niemieckiemu ulegające cesarstwu, niemieckiego są pochodzenia, chóć je germańskiemi oddawna w ogóle zwano. Zwracając główną uwagę na Swewów dostrzeżono wnet, że ludy między Wisłą a Odrą mieszkające, do swewskiéj od Tacyta liczone rzeszy, za słowiańskie poczytane być winny. Nie przestał na tém Dawid Popp, lecz rozciąglejszy nadał r. 1821 wyrazowi zakres, utrzymując, że wszyscy Swewowie początkowo Słowianami byli (2). Toż samo twierdził r. 1826 August Wersebe (3), na tej opierając się zasadzie, że gdy mieszkający w Germanii od czasów niepamiętnych Słowianie téż same co niegdyś Swewowie zamieszkiwali ziemie, a historya nie wspomina o tém, ażeby je mieli kiedykolwiek opanować przemocą, dawnych wyrugowawszy mieszkańców, więc sama ta okoliczność wskazuje, że Swewowie owi Słowianami byli. Co za pewne, bo nie powiedział o tém, mając na uwadze Guizot, prawił r. 1829 o Słowianach wśród Germanów za Tacyta mieszkających, zauważywszy przytem, że jedni i drudzy stali podówczas na tym samym cywilizacyi co dzisiejsi dzicy Amerykanie stopniu (4). Zdanie jego, zresztą co do barbarzyństwa Germanów nie nowe, prostując J. W. Loebell (5), nie wspomniał nic o Słowianach, powodowany snadź tém, co niemieccy i słowiańscy zeznali o nich uczeni, z których jedni Swewom słowiańskości ze wszystkiém zaprze-

(1) Wyżéj przytoczony Rudolphi na str. 37. 41. nstpn.
(2) Abhandlung ueber einige Grabhuegel, Ingolstadt 1821. Porówn. 63. nstpn.
(3) Ueber die Völker und Völkerbündnisse des alten Teutschlands, Hannover 1826. Porówn. 23. 208. nstpn.
(4) Cours d'histoire moderne ou Histoire de la civilisation en France, Paris. 1829—1832, w pięciu tomach. Porówn., I. 262. 265. 272. nstpn.
(5) W dziele *Gregor von Tours Leipz.* 1839. Porówn. 461. nstpn.

czyli, drudzy zaś niektórym tylko w rzeszy ich mieszkającym przyznali ją ludom. W poczet piérwszych wchodzi E. Th. Gaupp, który lubo nie przeczy temu, że za Tacyta i po nim zamieszkujące Germanią ludy, na Suewów się i nie Suewów dzieliły, utrzymuje jednakże, iż oba niemieckiego pochodzenia były; czego, kto im, jak Wersebe odmawia, ten (mówi Gaupp) przez to samo dzieje świata burzy i pochód cywilizacyi średniowiekowych zaciemnia ludów (1). W poczet drugich weszli r. 1837 Gerlach i Szaffarzyk (2) z których piérwszy toż samo co ja o rzeszy Suewów z różnéj narodowości ludów, po obu brzegach Łaby osiadłych składającéj się rozprawiając, a drugi te tylko ludy, które między Wisłą a Odrą mieszkały za słowiańskie poczytując, Suewów zaś Niemcami być sądząc, nie wykazał bynajmniéj, czemby się narodowość owych słowiańskich ludów od niemieckiéj rożniła rzeczywiście. Oba zdania zbiwszy w kupę Ukert (3) twierdził, że zawojowani od Suewów Celtowie i Słowianie stanowili poczet poddanego im ludu; i że lubo ujarzmieni różnili się wespół z władzcami swemi przez cywilizacyą od reszty Germanów, jednakże zupełnego dowodu na to ani Tacyt który o tém zeznał, nie podał, ani żadnego na to dowodu nie dają wykopaliska grobowe. Zeznanie to o rzeczy tak ważnej nijako, bo twierdząco i przecząco wyrzeczone, spowodowało zapewne Jakóba Gryma, że pomimo oświadczenia się r. 1835 przeciwko owemu Germanów na Suewów i nie Suewów rozdziałowi (4) nie wahał się następnie wyrzec, że dwoma ludowemi Suewów czyli Słowian i Germanów od Sarmatów i Belgów swoich na wschodzie i zachodzie sąsiadów nadanemi nazwiskami będąc mianowani Niemcy, wyłącznie się drugiém bynajmniej zaś piérwszém nazywali następnie; gdyż i owszem podzielili się piérwszem z tymi, od których go dostali, tak atoli, że sami Suewami a wschodni ich sąsiedzi Sarmatowie Słowianami zaczęli się nazywać, i stale nazywali

(1) Das alte Gesetz der Thüringer, Breslau 1834 porówn. 33. tudzież 24–200.

(2) Tacitus Germania von Gerlach, Zweite Abth 210 nstpn. Szafarzyka starożitn. I. 328. nstpn.

(3) W dziele *Germania nach den Ansichten der Griechen und Römer, Wejmar* 1843. Porówn. str. 347. 348 i przyp. 58.

(4) Porówn. przedmowę do *Taciti Germania ed. Jac. Grimm Gottingae 1835* gdzie czytamy: nam quod vulgo fit discrimen gentium suevicarum, ita comparatum, ut priscae Germaniae tenebras magis offendat quam lucem affundat, non servandum sed e medio penitus tollendum esse censeo.

następnie (1). Przez co i on raczej zaciemnił, niż wyjaśnił rzecz; nie wytłomaczył bowiem powodu wędrówki imienia Suewów, przyczyny zlewania go i przelewania na sąsiadów nie okazał, zmian wreszcie zrządzonych przez to w politycznym stanie niemieckiego i sarmackiego ludu nie wyłożył. Pozostała więc rzecz w tym stanie, w jakim ją na rok wprzód Amedeusz Thierry znalazł, który, dzieje Galii pod panowaniem Rzymian będącéj pisząc, zeznał, że wielką między Germanami i Suewami upatrując różnicę, a wytłumaczyć jéj sobie nie będąc w stanie, musi ją innym do wyjaśnienia zostawić (2). W takim téż stanie zostaje ona aż po dziś w Niemczech, albowiem w rok po wyjściu dziejów Galii, wydając Grym Historyą języka niemieckiego, objawił owo o Suewach zdanie, a w lat pięć drugie jéj ogłaszając wydanie (3), oświadczył, że będąc zajęty opracowywaniem Słownika niemieckiego, nie ma czasu poprawić, co w piérwszém wydaniu rączo spisanego dzieła, mógł to i owo niedokładnie lub mylnie powiedzieć.

Ja, poważam się mniemać, że pytanie to, czém byli rzeczywiście Suewi, nie da się rozwiązać bez znajomości tak w ogóle słowiańskich, jak w szczególe dziejów Polski pierwotnych, wyrażonych po raz pierwszy w treściwém Tacyta o Germanach napisaném dziele, które za drugie po Herodocie główne tychże dziejów uważam zródło. Że jest niém rzeczywiście czuł to dobrze ten, który nam piérwszy do krytyki historycznéj wskazał drogę; czuli toż samo dwa znakomici praw litewskich i polskich znawcy: ale, czemu się słusznie dziwić należy, nie czuł wcale tego ów, który po tych mężach wysoko posunął wiedzę dziejów narodu, i piérwszy skreślił najdawniejszego polskiego prawodawstwa obraz. W przypisaniu królowi przełożonéj przez siebie Tacyta Germanii oświadczył Adam Naruszewicz, że dzieło to „acz obce, okazuje nam jednak wiele śladów starożytności polskiéj". W sławném dziele swém „o litewskich i polskich prawach" zwracał uwagę Tadeusz Czacki na ścisły związek praw tychże pierwotnych z prawami Gotów; oba Bandtko-

(1) Porównaj artykuł mój w Bibl. Warsz. z r. 1852 III. 1 nstpn. pod tytułem *Suewi są Słowianie* i t. d., tudzież tamże z r. 1853 II 405 nstpn. *Suewi, Słowianie, Niemcy.*

(2) Histoire de la Gaule sous l'administration romaine. Paris 1847 tomów trzy. Porówn. II. 48. nstpn.

(3) Piérwsze wydanie dzieła *Geschichte der deutschen Sprache* wyszło w Lipsku 1848. Drugie tamże 1853.

wie, Jerzy Samuel i Jan Wincenty, pierwiastki urzędów, sądów i niektórych praw polskich, u Franków, Saksonów i t. p. upatrywali (1). Nakoniec Józ. Maks. Ossoliński (2) rzekł wręcz, że Ziemowit syn Piasta rząd w Polsce na sposób niemiecki ukształtował. Wszystkiemu zaprzeczywszy Lelewel (3) nie umiał wyrzec stanowczo o różnicy praw niemieckich a polskich, nie znając zasad słowiańskiego prawodawstwa, które mogą w tym względzie najpewniéj dopomódz do odgadnienia prawdy. Tak więc gdy historycy prawa nie znając, a prawnicy małą historyi posiadając wiedzę, próżno usiłowali odgadnąć; co jedynie przez głębokie wpatrzenie się w dzieje i prawo odgadnione być mogło, gdy mówiąc z wieszczem, nie wiedzieli jak śledzić przyczyn, związać następów łańcuchy, przeto téż sprawdziło się na nich, co tenże wyrzekł o badaczach dziejów, zauważywszy trafnie, że patrząc na rzecz nie widzą jéj, lub widząc nie przeczuwają prawdy. I tak téż jest i było. Albowiem zamiast upatrywać z Naruszewiczem śladów starożytności polskiéj w Tacyta dziele, upatrywano w niém podobieństwa téjże starożytności z niemiecką, a bez zapytania, która z nich dawniejszą jest w Germanii, zrobiono wniosek, że pierwotne prawo polskie jest kopią niemieckiego; lub téż, z jednéj ostateczności w drugą wpadając, że oba nic nie mając wspólnego, zaczęły w późniejszym dopiéro czasie, po przybyciu do Polski prawa magdeburskiego, kojarzyć się i mięszać wzajemnie. W skutek czego, jak mówi Lelewel, było prawo krajowe przy schyłku, a niemieckie górowało nad niém, aż do czasów restaurowania ziemskich statutów przez Władysława Łokietka.

Mnie inszy wypadł wniosek z badań nad prawodawstwem słowiańskiém, którym się od lat trzydziestu sześciu oddaję. Zdało mi się bowiem w źródłach tegoż prawodawstwa dostrzedz, że ludy od których pochodzą Lachowie stanowiąc część rzeszy Suewów znakomitą, mieli odrębne prawa od Niemców w rzeszy téj przewodzących; że prawa te przejęte od Franków i Saksonów doszły znowu do Polski po upływie kilku wieków, chociaż nieco przerobione jednakże w zasadzie swéj nie zu-

(1) W Rozmait. krakowsk. III. 26 nstpn., w rozprawach o przedm. prawa polskiego i we wstępie do historyi prawa polskiego.

(2) W rozprawie *o rozmaitém następstwie na tron za dynastyi Piastów*, tudzież w Wiadomościach historyczno-krytycznych. Porówn. II. 412 nstp. 572.

(3) Porówn. wstęp do III. Polski średnich wieków.

pełnie zmienione, i dlatego polubione od nas i zobywatelszczone, z wyjątkiem obcych normandzkiego, niemieckiego pochodzenia będących warstw tegoż prawodawstwa, które, powodzenia nie mogąc miéć u nas, wyszły z obiegu. Pozna to czytelnik z nowo zamierzonego wydania Historyi prawodawstw, i porównywając moję w tym względzie a poprzedników mych prace, wyrzecze, do kogo rzeczywiście, do mnie czy do nich, stosują się trafnie o tego rodzaju badaniach wyrzeczone słowa wieszcza:

Tu zaćmi nieskończona różność widowiska,
Tu po obcych świadectwach droga myśli śliska.

NAD KOLÉBKĄ.

Luli, dziécię, złóż rączęta,
Niech odpoczną w wolnéj porze,
Nim uleci dzieckość święta
Jak ptaszyna gdzieś za morze.
Wkrótce minie dzień wesoły,
Nie zagrzejesz miejsca w domu:
Matcę, panu, Bóg wie komu
Trzeba będzie twéj mozoły.
Ręce zwisną ci bezwładnie,
Ale prawych pilnuj dróg!
Wzywaj Boga, pójdzie snadnie,
Pokrzepienie z nieba spadnie,
Tam łaskawy Bóg.

Luli, luli, zamknij oczka,
Spać już czas!
Oto sroczka,
Białoboczka,
Ponad lasy ku nam płynie,
Niesie pasek méj dziecinie,
Złoty pas!

Luli, dziécię! Jakiż zuszek!
Ani słucha méj piosenki!
Dajże łapki do pieluszek,
Wraz cię związę, mój maleńki.
Związę płachtą cienką, białą...
Kto wié?? może-ć dola dana
Nie mieć nawet i łachmana
Uznojone przykryć ciało.

Ale ile siły stanie,
Bądź szemraniu złemu wróg!
Wzywaj Boga, choć w łachmanie:
Z nieba kwiatek ma ubranie,
Tam łaskawy Bóg.

Luli, luli, zamknij oczka,
Spać już czas!
Oto sroczka,
Białoboczka,
Ponad lasy ku nam płynie,
Niesie pasek mój dziecinie,
Złoty pas!

Luli, dziecię: zawsze płoche!
Czego strzelasz oczkiem kotki?
Trzeba, widzę, piersi trochę,
Słodkiéj piersi na sen słodki.
Prędko błogi czas przechodzi:
Ssij-że! Może w ciężkiéj doli
Mieć nie będziesz chleba, soli,
Od złych oczu, od powodzi.
Choć ból serce ci przebodzie,
Nie opadaj przecię z nóg!
Wzywaj Boga i o głodzie:
Niebo wstrzyma swe powodzie,
Tam łaskawy Bóg.

Luli, luli, zamknij oczka,
Spać już czas!
Oto sroczka,
Białoboczka,
Ponad lasy ku nam płynie,
Niesie pasek mój dziecinie,
Złoty pas!

W. Korotyński.

JERMOŁA.

OBRAZKI WIEJSKIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

W wiosce, w któréj dla bindugi i brzegu napływ ludzi jest ciągły, handel drzewny żywy, flisy, kupcy i ich faktorowie kręcą się nieustannie: lada żydek obszarpaniec siedzieć w karczmie nie może. To też w Popielańskiéj gospodzie ów Szmul królujący nietylko włości, ale okolicy, wcale nie był pospolitym szynkarzem, jeżdżącym z beczułką po wódkę o trzy mile.

Byłto żyd zbogacony udziałem, jaki miał w kupnie towaru leśnego, handlem smołą, łuczyną, popiołami i dziegciem, brakiem klepki i belek, obodami i wszelkiego rodzaju poleskim produktem, aż do grzybów i suszonych jagód. Szynk także dawał mu, zwłaszcza na wiosnę, zyski nie do pogardzenia; a pan Szmul czując już trzos nabity i ważność swego położenia, powoli chorować zaczynał na morejnę. Nowa karczma w któréj się mieścił nie miała już pozoru starych gospód, których kształty zachowały dawne podaniowe formy słowiańskich gromadzkich budowli wiecowych, na narady i obrzędy publiczne przeznaczonych. Brakło jéj zajazdu wspartego na słupach, bo na podróżnych nie oglądała się wcale, a dla kupca żyda miała szałasik dla zatoczenia budy jego wystarczający: wyglądała więc raczéj

na dosyć porządny dworek szlachecki. Z jednéj strony wielką izbę poświęcono w niéj na szynkownią, otoczywszy ławami do ścian przymocowanemi i ogromnym opatrzywszy stołem, a w przepierzeniu od alkierza urządzono szynkwas zamykany na noc rodzajem podnoszonéj okiennicy, na któréj we dnie wydawano wódkę, podpierając ją starym kołem brzozowym. W drugiéj domu połowie nie bez pewnego wykwintu urządzonéj, mieścił się Szmul Popielański z całą swą rodziną, zostawując w tyle izdebkę osobną dla kupców przyjezdnych.

Piérwsza izba zakrawała na coś bawialnego, bo miała kanapę politurowaną, cycem w gwiazdy żółte pociągniętą, dwa krzesła takież z czarnemi strzałami w poręczy, lusterko zamuszone na ścianie, portrety za szkłem dwóch izraelskich znakomitości: rabina hamburskiego i wileńskiego, szafę z porcelaną, rumem, filiżankami i kosztowniejszym sprzętem, i stół kiwający się z lirą, zawsze pokryty kolorową serwetą.

Gdybym miał czas i humor potemu, o jakże ważne mógłbym tu filozoficzne wyciągnąć wnioski z tych strzał i liry, dwojga symbolów starożytnego świata, sponiewieranych do tego stopnia, że o piérwsze plecami się opierają, a drugie depczą nogami! Strzały! strzały w poręczu krzesełka; lira zeszpecona, z drewnianemi strunami, lira Amfiona, Orfeusza i Apollina, podpierająca stolik u żyda! Niestety! sic transit gloria mundi!.. Strzały nie kaleczą, lira oniemiała—a my wracamy do żyda.

Podłoga w téj izbie była nawet zrazu malowana, ale to ją tylko dziś czyniło pstrokatą; piec zamykał się drzwiczkami żelaznemi z gałką mosiężną, co wszystko Szmul proprio sumptu et cura fieri fecit, dla dogodzenia swéj fantazyi: z czego zresztą tak się chlubić umiał, jak niejeden z nas, gdy dwa kołki wbije koło domu, lub ścianę wyklei. W drugiéj izbie większéj nieco, żydowskie brudy rozpościerały się swobodnie, ale przy nich były ochotki wystawności i pragnienia wygódek. Łoże stało pod sufit wysłane bebechami kolorowemi, z firankami w kwiaty; była szafa czarna z księgami i papierami, biurko kulawe, a obok kupa kartofli, niecułki, łokszyn schnący na serwecie, kadka z pomy-

jami, i przyjacielsko między bachurami chodzący biały indyk, pater familias.

Szmul był człowiekiem nie pierwszéj młodości, lat pod pięćdziesiąt mającym, żonatym powtórnie, gdyż z nieboszki miał tylko jednego syna, który już w miasteczku handlował, a jednym potomkiem tym nie mógł się kontentować: wziął więc młodziutką ubogą żydóweczkę wielkiéj piękności, a ta już mu troje Szmuląt w przeciągu lat niespełna trzech przyprowadziła. Siwe włosy jego ubłogosławiała ta niespodziana jéj płodność. Poważny ów, szpakowaty nieco potomek Izraela zdawał się na piérwsze wejrzenie pięknym i szlachetnego oblicza; chciało się patrzéć nań, w poczciwość jego wierzyć: ale kłamał jak wielu innych, twarzą, oczyma i pięknością swoją.

Nie było bowiem pijawki nielitościwszéj nad Popielańskiego Szmula, a zyski coraz większe nie odstręczały go od maluczkich: obok tysiąców kładł wyszarzane grosze miedziane oblane potem wieśniaczym, i dumny swém położeniem i bogactwem, lud gorzéj bydła odprawiał, obchodząc się z nim bez litości.

Doszło do tego, że wieśniacy pokryjomu z interesami woleli się uciekać do uboższych żydków w miasteczku, niż je tu z nim pod bokiem załatwiać: co Szmula do większéj jeszcze przeciw nim pobudzało zajadłości, bo im przebaczyć nie mógł, że mu się obdzierać nie dawali. Uważał to za formalny bunt z ich strony; a że podanie jakieś gdzieniegdzie dochowujące się, dawało mu niejaką władzę dopominania się o ubytki, gdy kto z ludzi do cudzego pojechał młyna: zdawało mu się, że toż prawo upoważniało go do hałasowania, gdy kto na targ krowę prowadził lub sprzedał korzec zboża bez jego wiadomości. Niesłychanie czynny, Szmul nic nie opuszczał: wszystko mu było dobre, a czas miał na rzecz każdą. Zimna krew i spryt nie opuszczały go nigdy.

Do tegoto wszechmogącego władzcy biegł nieopatrzny Jermoła w nadziei kupienia białéj kozy. Szczęściem, daleko przebieglejszy towarzyszył mu stary Chwedko, bywalec wyuczony ludzkiém oszukaństwem, ostrożny i nie żałujący ani gęby, ani nóg, ani czasu, byle grosza oszczędzić. Po drodze dawał Chwedko

nauki Jermole, ale ten ich nie słuchał, cały zaprzątniony myślą, jakimby sposobem kozy dostać. Staruszka ta na nieszczęście faworyta Sury i starszego jéj synka, który ją czasem za brodę ciągnął, choć go kilka razy potłukła, w najszczęśliwszym razie warta była około dwunastu złotych; ale Jermoła już był przygotowany dać za nią dwadzieścia, czemu się Chwedko nie tak bardzo przeciwił, zważając okoliczności. Ale jak tu było do Szmula z propozycyą przystąpić? Dość żeby się dowiedział o potrzebie, zdarłby za nią niechybnie; chodziło więc o to, by jakoś żyda obejść i trochę oszukać, zapobiegając, żeby on nie oszukał nieboraka Jermołę.

Już się zbliżali do karczmy, gdy Chwedko namyśliwszy się głęboko, kazał się Jermole zatrzymać.

— Posiedźcie tu przed tą chatą—rzekł wskazując mu miejsce — poczekajcie, pójdę ja przodem i żyda wymacam: nie bójcie się, jakoś to będzie .. ja go uchodzę. Przyjść tak prosto z mostu i kozy zażądać, to on ci ją jak krowę zaceni: trzeba żeby żyd sam ją zalecał... Dajcieno mi sprobować.

— A cóż zrobisz?

— No! zobaczysz—żywo rzekł Chwedko biorąc do serca sprawę Jermoły—tylko mnie słuchaj.

Jermoła nabrawszy otuchy usiadł pod chatą, potrzebując prócz tego namyślenia i spoczynku; sparł się na ręku i zadumał głęboko, piérwszy raz oddawna zaglądając w przyszłość.

Chwedko pospieszył do szynkowni naprzód, ale tu Szmula nie było: chodziła tylko koza. Uchyliwszy więc drzwi jego paradnéj izby, a dobrze otarłszy nogi, i poprosiwszy wprzód o pozwolenie wnijścia, z czapką pod pachą wtoczył się kłaniając po kilkakroć na progu. Miał i to na uwadze, żeby stanąć na słomiance, bo żyd gniewał się, gdy mu jego izbę zanoszono błotem, a dobrze upewniwszy się w pozycyi, ręką do kolan pokłonił się raz jeszcze Szmulowi.

Potrzeba było chcąc być łaskawie przyjętym dobrze pamiętać o wszystkich warunkach, tak właśnie jak baczny Chwedko; do nich należało otarcie nóg, trzymanie się u progu, i nie nazywanie starego żyda arendarzem tylko kupcem: morejne bowiem utrzymywał, że

szynk dla niego jest małą rzeczą, i że dla przyjemności tylko na wsi mieszka.

— Nu, a co to powiész Chwedku?—zapytał z krzesła żyd, który się kiwał nad książką nabożną, ale nabożeństwo przerywał ilekroć była potrzeba dla interesu, wiedząc, że Pan Bóg cierpliwszy jest od ludzi.

— To, proszę pana kupca, jest tu jedna okazya. Okazyą nazywa się u ludu wszelka niespodziana przygoda, każdy wypadek mogący być okazyą do kieliszka.

— Okazya? no? co? chrzciny, zapowiedzi? wesele czy pogrzeb? Umarł kto broń Boże? pewnie wódki na kredyt chcecie?

— Ale nie, ja tu przypadkiem dowiedziałem się jednéj rzeczy, i chciałem panu kupcowi powiedzieć: może być zarobek....

— Nu! jaki zarobek?—wstając, założywszy ręce za pas i zbliżając się spytał Szmul.

— Jegomość (tytuł ten wielce żydowi smakował), jegomość zna Jermołę: tego starego, co siedzi w owalonéj karczmie?

— Jakże nie znam? gołysz! gołysz!

— Tato prawda, ale gdzieś kilka rubli sobie dostał.

— No, to co? chce przepić?

— Ał! on wódki nie pije, ale jemu do głowy przyszło koniecznie sobie krowę kupić: pół na kredyt, pół za pieniądze.

— Krowę! na co jemu krowa!

— Chciał już iść do miasteczka, ja go wstrzymałem, bo mi coś do głowy przyszło.

— Do miasteczka, zaraz u nich do miasteczka!— podchwycił żyd ruszając ramionami—A no mów daléj Chwedko, coś tam obmyślił...?

— Ja jemu chcę perswadować, że na co jemu krowa z długiem: lepiéj za czysty grosz dojną kozę kupić, i mléko i przychówek mieć będzie. Możebyście wy jemu swoję starą białą sprzedali?

Szmul bacznie popatrzał w oczy Chwedkowi, który się szczęściem nie zmieszał; zresztą trudno się było domyśleć podstępu w narajeniu do sprzedaży białéj kozy. Arendarz sprobował go tylko zapytaniem rzuconém jak sonda w głębinę.

— Jermoła tu? w karczmie?

— Nie, siedzi od południa u sąsiadów, ale gdybyście chcieli, to go potrafię tu namówić i przyprowadzić, choć nie rad do karczmy zagląda. Ale może wy téj staréj kozy sprzedawać nie myślicie? Ja to tak z dobrego serca dla was pomyślałem, na co pieniądze mają ze wsi wychodzić. A jak wam to nie w ład, to mu dam pokój, niech idzie do miasteczka.

— Czekajno, czekaj — rzekł żyd po namyśle do Chwedka biorącego już za klamkę—po co jemu do miasteczka.....

I zawołał Sury, która weszła z minką kwaśną pieszczoszki Abizail; poszwargotali coś z sobą, żyd bardzo łagodnie, żona dosyć ostro. Chwedko chciał z ruchów i głosu odgadnąć jak sprawa stała, ale nie potrafił; żydówka wreszcie odeszła, a Szmul odwrócił się do Chwedka:

— Tyś dobry człowiek—rzekł klepiąc go po ramieniu—jak tobie będzie potrzeba na kredyt, każę dać na rubla, słyszysz. Przyprowadźno Jermołę do szynkowni, koza tam jest... niechaj kupuje... to dobra koza.... on na niéj wyjdzie... Bardzo dobra koza... A wiele ma pieniędzy?

— Tego to ja nie wiem—odparł Chwedko—kilkanaście złotych swoich mieć musi, a kozaczycha mu jeszcze miała dopożyczyć.

Żyd w milczeniu pokiwał głową i odprawiwszy chłopka, który do towarzysza pospieszył, sam coś cieplejszego na się wziąwszy, gdyż drogie swe i szacowne zdrowie umiał pielęgnować, pociągnął powoli do szynkowni, pod pozorem jakiegoś obrachunku ze starą rekrutką zwaną Marysią, która w szabas i nieszabas szynkowała Szmulowi, dzieci niańczyła, krowy doiła, słowem służyła im oddawna.

Wielka owa izba ciemna, bez podłogi, obrukana, smutna, oświecona jedném łuczywem kopcącém w kącie, zajęta była w téj chwili przez owę Marysię szynkarkę, kobiétę tak małą a grubą, że ją chłopi pospolicie do kadłuba kwaszeniny porównywali, ową kozą białą spacerującą i szukającą posiłku po kątach, i jakiegoś podróżnego Poleszuka, który sakwy i łapcie podłożywszy pod głowę, sam po kieliszku wódki i cebuli, twar-

dym snem ujęty, spał jak kamień, a chrapał jak wóz niesmarowany.

Szmul przeszedł się kilka razy spoglądając to na kozę, to na Marysię zdziwioną jego przybyciem; ziewnął, westchnął i posłyszawszy szelest w sieni, poszedł coś na okiennicy rachować, udając niezmiernie zajętego.

Właśnie też wchodzili Chwedko ze starym Jermołą, który drżał jak liść i wstydził się komedyi, którą dla kozy odegrywać musiał. Piérwsze jego wejrzenie padło na białą poważną jéj postać, i byłby się nieochybnie zdradził, gdyby Szmul to postrzegł; ale żyd także odgrywając swoję rolę, bardzo zaprzątnionego rachunkiem miał minę, i tyłem był odwrócony.

— Dobry wieczór panie kupiec—powitał Chwedko.

— Dobry wieczór.

Szmul się odwrócił i pod nosem coś mruknął.

— A co? napijemy się po kieliszku—rzekł Chwedko.

— Ja to rzadko piję, ale dla waszéj kompanii nalejcie Marysiu....

— Macie iść, słyszę, na jarmark—dodał piérwszy—trzebać się na drogę posilić.

— Nu! a to czego na jarmark?—zapytał Szmul—może chcecie co sprzedać, to i jabym kupił.

— Nie, inną mam potrzebę...

— A jak inną!—dodał żyd—to zaraz do miasteczka: u was wszystkie interesa w miasteczku... Myślicie co kupować?

— Widzicie panie kupiec—wtrącił Chwedko—kumowi zachciało się krowy, nudzi się i kłopotu szuka.

— A na co wam krowa?—zagadnął żyd.

— At... byłaby wygoda, a może i zarobek.

— Gwałt!—machnął ręką Szmul—wy jeszcze widać nigdyście krowy nie mieli i nie wiecie co to krowę hodować... Daj na pastucha, a co te pastuchy kosztują, i zawsze głodne bydle powraca; kup siana, a co to teraz siano, jak szafran; kup plewy, i plewa po 10 groszy worek; kup grysu, a ja nie sprzedam od czterdziestówki, mnie wszyscy tak płacą... Potrzeba ziela, kartofli, a nie, to wychudnie; a choroby, a zajałowieje... choć i tak przez pół roku mléka nie da...

— Ale przychówek i trochę nabiału.

— A kto wam będzie koło tego chodził?—zapytał żyd ruszając ramionami.

Jermoła jakby przekonany, w głowę się poskrobał.

— A co ja wam mówił—dodał Chwedko—dla ubogiego bydlę to kłopot, czysta biéda.

— Juściby cielę i choć kapla mléka była—rzekł Jermoła.

— Także gadajcie. Jeśli dla mléka, to ja wam powiem że nie ma jak koza—dorzucił pośrednik.—Naprzód mało kosztuje, a żyje byle czém: gałązkami, ogryzkami, badylami. Starania nie potrzebuje żadnego, i jak się koziego mléka napijesz, to przynajmniéj wiész żeś pił, taki pachnie i zdrowe.

— Jużto prawdę powiedziawszy — dodał arendarz powoli—i ja mówię że nie ma chyba koza.... Już my to najlepiéj porachowali, a patrzajcie że najwięcéj kóz trzymamy; ale ludzie patrzą, a rozumu nie mają: koza to skarb...

— Kto to wié, może i ja jak pomyślę, to sobie kozę kupię—rzekł powoli Jermoła.

— I najlepiéj zrobicie—zawołał Chwedko—mówię wam, najlepiéj zrobicie. Ot, gdyby pan Szmul swoję białą sprzedał.

— Co ty gadasz?—podchwycił żyd żywo jakby dosłyszawszy przypadkiem—ja téj biały kozy za żadne pieniądze nie sprzedam... Moja żona, moje dzieci, wszyscy ją lubią: to stworzenie nieopłacone, ona więcéj warta niż krowa...

— Szkoda—rzekł Jermoła przypatrując się chodzącéj—bo może, co się mam włóczyć do miasteczka, a stare nogi bolą, namyśliłbym się na tę waszę kozę...

— To jest taka koza! taka koza!—zawołał żyd.— Widzieli wy kiedy taką kozę? ona jest tak rozumna, że do niéj gadać można, a mléko nie poznać co to jest! Na mil 20 nie znajdziecie drugiéj podobnéj: to jest skarb nie koza, to jest osobliwość!

— Ale stara?—spytał Jermoła.

— Stara? jakto stara: koza jak stara to najlepsza! Jaka ona stara? ona dopiéro żyć zaczyna... ona będzie żyć 20 lat!—zawołał Szmul coraz się ożywiając.

— A cóż ona kosztuje was?—zapytał Jermoła.

— Co ona kosztuje, to nie ma co gadać: ona koźlęciem mnie dwa ruble kosztuje... Bo trzeba wiedzieć, to nie jest prosta koza, to jest wysoki gatunek! Jabym jéj za 6 rubli nie oddał: ona prawie nic nie jé, a zawsze tłusta, i co roku po dwoje koźląt przyprowadza.

Na chwilę zamilkli wszyscy. Jermoła kręcił się nie wiedząc co począć, i przypatrywał się kozie, która wciąż chodziła po izbie stukając kopytkami, głowę kładnąc gdzie tylko ją zaszedł jaki zapach jadła. Zbierała resztki liści, ogryzki kory, skórki chleba, i trzeba jéj oddać tę sprawiedliwość, że troskliwie myślała sama o swojém utrzymaniu, nie spuszczając się na nikogo.

— Toby to dla was było w sam raz—począł po chwili faktorując Chwedko—już przywykła do wsi, toby nie uciekła; zna gdzie się paść: stara, pewna, dojna, doświadczona.

— I nie prosta koza!—dodał żyd pocichu—wysoki gatunek!

— Ale gdzież tyle za nią dać pieniędzy!—przerwał Jermoła.

— Nu! wiész co,—podchwycił nagle żyd zbliżając się—wy jesteście uczciwi, ja was lubię, na jarmarku to was ludzie oszukać mogą, ja dla was to zrobię, że wam kozę za trzy ruble odstąpię... Ot tak! jak sobie chcecie.

Chwedko który się obawiał gorszego, znalazłszy tak łatwym Szmula, sam pospieszył:

— Przybijcie rękę i podziękujcie kupcowi: taniéj grzyba... Płaćcie i bierzcie, ja wam życzę.

— A nu, to cóż robić — odparł dworak — zgoda, niech tak będzie, tylko mi sznurka dacie, żebym ją miał na czém do domu zaprowadzić...

Najniespodzianiéj więc targ się skończył: Jermoła dobył z węzełka trzy ruble i wyliczył je Szmulowi. Żyd obejrzał, plunął na nie wedle obyczaju, i schował do kieszeni.

— Ale sznurek mi jutro oddacie—wybąknął powoli zawracając się ku swojéj izbie.

— A mahorycz?—pocichu rzekł Chwedko.

— To do Jermoły należy!—zawołał Szmul—ale kiedy się nie targował, nie płacicie już za wódkę: niechaj mohorycz będzie odemnie.

Marysia rzuciła sznurek z użewką, którego używano do noszenia drewek, i Chwedko zamknąwszy drzwi począł chodzić za kozą, która domyślając się jakiejś zdrady, wymykała się łapiącym. Żyd zniknął już za drzwiami.

— A toście się we dwóch popisali—zawołała szynkarka widząc, że gospodarz wyszedł—tfu! mieliście co kupować: starą kozę za dwadzieścia złotych.... Na jarmarku byłoby ich trzy młode za te piéniądze.

Zmilczeli starzy i uwiązawszy sznurek do rogów, wyprowadzili zdobycz swoję. Jermoła aż drżał z radości, łzy mu płynęły z oczu, a kuma całował.

— Otóżeś mi dogodził.. niech ci Bóg płaci—wołał zcicha...

— Ale teraz już się Szmulowi ani na oczy nie pokazywać—westchnął Chwedko, mierząc niebezpieczeństwo na jakie się naraził.—Byleby mu o dziecięciu powiedziano, domyśli się niewiara, i nie daruje mi figla. Byłby cię dobrze pociągnął za kozę, żeby wiedział, że tak potrzebna.

Tak gwarząc pocichu pociągnęli nazad do chaty kozaczychy, różnemi sposoby kozę do posłuszeństwa przynaglając, a ta od karczmy odchodzić nie chciała w żaden sposób.

Tymczasem za niemi już wrzała burza, bo w chwilę potém wpadła Sura z wiadomością od Marysi szynkarki, o podrzuconém Jermole dziecięciu.

Szmul się zaraz domyślił, nie w ciemię go bito, na co tak nagle koza była potrzebna, i aż się za palec ukąsił.

— A nu, pilnujże się Chwedku złodzieju!—rzekł kiwając głową—chyba ja żyć nie będę, żebym ci za to nie zapłacił.

W życiu osamotnionego człowieka, który wszystką siłę serca niezużytą na starość zachował, taki wypadek jakiém było dla Jermoły znalezienie podrzuconego dziecięcia, spowodował nagłą i niesłychaną zmianę. Człowiek się odrodził, spoiły się znowu węzły, które go łączyły ze światem: miał cel życia, miał nadzieję, miał przywiązanie, znalazła się ochota do pracy, otwarło uczucie, a biédna sierota przez rodziców odrzucona,

stała się dlań skarbem na starość. Nięznana od lat wielu gorączka zatrzęsła całym Jermołą: spieszył, marzył, obawiał się, niepokoił i roił już o jutrze. Łzy wytryskały mu z oczu: czuł się innym, czuł ubłogosławionym i szczęśliwym, ani myśląc ile trosk, ile pracy, ile sobie gotuje ciężkich chwil w przyszłości. I był jak to ptasze w którego gniazdko kukułka rzuca jaje: zdziwiony, uradowany, przestraszony. Piérwszy raz przyszła mu na pamięć z téj obawy śmierć, starość, potrzeba i przywiązanie do życia. Chwedko go nie poznawał, tak się z owego milczącego i obojętnego staruszka przedzierzgnął w inną istotę, tak mówił żywo i gorączkowo, tak się spieszył i co chwila młodniał.

Niemogąc wreszcie wytrzymać powolnéj nazbyt z kozą podróży do chaty kozaczychy, bo stara towarzyszka używała wszelkich możliwych sposobów, żeby się im wyrwać i do karczmy zawrócić: powierzył kozę Chwedkowi, a sam pospieszył przodem.

Wpadł pędem i wprost przybiegł do ławy, na któréj leżało rozpowite nieco dziécię, uspokojone mlékiem, drzémiące, a nad niém stara kozaczycha, Horpyna, wyrostek, dziewczynka, Chwedor: wszystko to stało milczące, zagapione, ciekawe, wpatrując się w niespodzianego gościa. Jermoła przebił się przez nich i przysiadł na ziemi, żeby się dziecku lepiéj przypatrzyć.

— Drzémię zdaje się,—rzekł zniżając głos do kozaczychy.

— Usypia niebożątko—kiwając głową odpowiedziała baba.

— A pił mleko?

— O! pił dobrze.. i zaraz płakać przestał. A koza?

— Kupiliśmy. Chwedko ją prowadzi.

Jermoła oka z dziecka nie spuszczał.

— Jakie śliczne—zawołał po chwili—to musi być pańskie dziecko!

— Chłopiec zdrów i silny—przerwała stara kozaczycha, ale wszystkie dzieci jednakie póki małe..... Dopiéro potém, mój stary, znać na nich, które pod płotem rosło jak pokrzywa, a które na słonku i powietrzu.... Dzieciak jak ryba, to dobrze: mniéj będzie z nim kłopotu.

Jermoła śmiał się, a oczy mu płakały perłowemi łzami.

— Matko—rzekł—jak żyję tak pięknego dziecka nie widziałem.

Uśmiechnęła się kozaczycha.

— Wy to oszaleli Jermoło!—zawołała ruszając ramionami—ale czyż taki sami hodować je myślicie?

— A cóż?—zdziwiony odparł stary—a cóż? albobymto ja je na cudze dał ręce.....

— Ale wy sobie rady z niém nie dacie. To się wam śni: sam jeden, bez baby, na starość niańczyć niemowlę! A toż trzeba karmić, kąpać, huśtać, bawić, tulić, pilnować: nie sposób żebyście temu wydołali.

Jermoła ręką machnął.

— Dajcie mi pokój: nie święci garnki lepią, to i ja to potrafię. Wy mi poradzicie zresztą, a jak Bóg Bogiem, dziecka tego nikomu nie oddam.

— Skręcił się stary—zawołała baba ruszając ramionami—jemu się zdaje, że to szczenię ułożyć: a toć to parę lat będzie koło niego zamoroki.....

— Co dłużéj to lepiéj! Nie gadajcie matko, nie gadajcie:..... nie chcę słuchać..... Ja go sam wychowam, zobaczycie jak!

Wszyscy się śmieli ze starego Jermoły. Postrzegł wreszcie to szyderstwo i jakoś na chwilę zawahał się, zwątpił o sobie.

— Moja matko — rzekł zcicha smutnie — wszakci wy mi pomożecie, nauczycie, poradzicie: ja wam to odsłużę. Przyjdzie żniwo, albo robota w ogrodzie: słowo wam wiele kosztować nie będzie.....

— To nic—odpowiedziała kozaczycha—ja i darmo gęby nie pożałuję: pomódz pomogę i wam i sierocie, ale jak to się wam śni, żebyście na starość, nie znając co to chodzić koło dzieci, mieli zostać mu matką?

Jermoła już nic nie odpowiedział. Uczuciem swojém mierząc drugich serca, uląkł się, czy mu dzieciny pod tym pozorem nie chcą odebrać: powoli przysunął się do ławy, ogarnął pieluchy, wziął powoli na ręce dziecinę i milcząc skierował się ku progowi. Wtém i Chwedko z kozą pokazał się we drzwiach. Na ciemném tle otwartych drzwi oświecona blaskiem łuczywa

rogata głowa białéj staruchy poczęła się szamotać, a Horpyna aż krzyknęła z przestrachu.

— Otóż i mamka!— zawołała kozaczycha.

— Chodźmy do domu—cichym głosem przerwał Jermoła—dobranoc kumo, a przyjdźcie jutro jeśli łaska.

— Przez samą ciekawość—odpowiedziała gospodyni.

W obawie żeby mu dziecka nie odebrano, Jermoła przeszedł co żywo próg, i lżéj odetchnął znalazłszy się w ulicy. Chwedko prowadził za nim kozę, i tak oba w milczeniu skierowali się ku obalonéj karczmie.

W drodze tylko Jermoła wciąż mruczał do siebie:

— Dlaczego nie mam sobie dać rady? Ja to rozumiem: staréj kozaczysze zachciało się dziecka; ale ja go nie dam: oniby o niém starania nie mieli..... Nie święci garnki lepią: ja je sam wyhoduję, będę miał syna, będę miał syna!—powtarzał z dumą i radością.

— Chwedku kochanie pilnuj kozy, dam ci złotówkę, boś mi poczciwie pomagał. Bóg ci zapłać!

Tak z ostrożnością postępując pociemku doszli nareszcie do gospody, drzwi otworzyli powoli. Dziecko drzémiące na własném łóżku położył Jermoła i ognia rozpalił, a że Chwedkowi pilno było do dereszowatéj klaczy, która cały jego składała majątek: dał mu zaraz złotówkę, uściskał i odprawił, pozostając sam jeden w swéj ciupce z kozą i dziecięciem.

Spać ani myślał, ani mu się chciało: tyle miał do roboty, tyle do przygotowania. Usiadł pod piecem nie wiedząc do czego się brać naprzód; ale na dziecko patrzał jak w tęczę, a tu i stara koza go niepokoiła robiąc przegląd izby, bijąc rogami we drzwi, plądrując po kątach i chwytając co do zjedzenia napadła. Stukanie jéj przebudzało dziecinę: leciał ją tulić Jermoła, aż wreszcie domyślił się żydówkę (tak bowiem Chwedko od razu nazwał kupioną mamkę) w kąciku uwiązać krótko. Podrzucił jéj trochę słomy, i koza się uspokoiła, zgadzając się z przeznaczeniem. Dziecko spało także snem cichym i głębokim; Jermoła nie miał na czém i nie zapragnął się położyć: pozostał tak na pieńku służącym za stołeczek przed piecem. Łóżko jego było zajęte, a do jutra tyle rzeczy do obmyślenia i do roboty!

Już go ludzie przestrzegli, że o dziecku trzeba będzie dać znać do dworu ekonomowi Hudnemu, i oznajmić mu, że je na siebie przyjmuje Jermoła. Oprócz tego niemiłego pochodu, od któregoby się był wykupił, miał jeszcze do wyciosania kołyskę i tysiąc do przygotowania lub postarania się drobnostek. Dziecię przebudzało się i kwiliło, musiał zaraz biedz do niego, aby mu się nie dać rozbeczéć. Ale na wszystko starczył, taka w nim znalazła się siła, pochodząca z serca.

Krótka noc wiosenna zbiegła w tych troskach Jermole, i dzień szaro zaglądający przez okna zastał go skłopotanego, choć nie czującego jeszcze potrzeby spoczynku. Chciał odejść, żeby wyciosać bieguny do kołyski ze starych polan w drugiéj izbie za ścianą, ale obawiał się odejść dziecięcia; koza go także przestraszała, skrzypnienie drzwi mogło przebudzić, a nużby stukając nie posłyszał płaczu!

Chwilami same tylko widział trudności i niepodobieństwa: to znowu malował sobie, że łatwo da wszystkiemu radę i krzepił się nadzieją, zapominając o głodzie, bezsenności i pracy. Już dobrze bielał ranek, gdy się wziął do dojenia kozy, żeby mleko na przebudzenie wychowańca miał gotowe; ale ze starą żydówką nie tak było łatwo jak sądził. Uparta była jak koza, miała przytém nawyknienie do osób i niechętnie ulegała przemocy nowego pana. Zrazu łagodnie z nią postępował Jermoła: głaskał, gadał, starał się przekonać o konieczności poddania się, aż wreszcie do środków gwałtowniejszych uciec się musiał. Koza podniosła bunt formalny, zerwała się ze sznurkiem i poczęła bijąc rogami latać po izbie od drzwi do drzwi, dziecko się obudziło, stary schwycił się za głowę.

Szczęściem na tę scenę nadeszła kozaczycha, którą ledwie przebudzoną, ciekawość do chaty Jermoły sprowadziła. Zobaczywszy go w tém utrapieniu w śmiech baba; ale zaraz téż do roboty się wzięła, i z kozą dała sobie naprzód rady w sposób czarodziejski. Żydówka czy to że do kobiét była przywykła, czy widząc przeciw sobie dwoje, a zwątpiwszy o dobrych skutkach podniesionego buntu, upokorzyła się dobrowolnie przed kozaczychą. Jermoła lulał już dziécię na ręku.

— A co?—zapytała stara—jakżeście noc przebyli?

— Ja się nie kładłem — odparł gospodarz — ale dziecko wyśmienicie spało. Ta przeklęta koza tylko.....

— E! z nią najmniéj będzie kłopotu: we dwa dni się oswoi, bylebyś karmił. A chłopiec spał?

— Jak anioł!—zawołał Jermoła—żadne dziecko tak nie śpi! Strach jaki on rozumny; zdaje się nawet, że mnie już poznaje!

Zdziwił się mocno przybrany ojciec sieroty, gdy na te słowa kozaczycha znów mu się w oczy roześmiała, i zmieszany zamilkł.

— Ja nie wiem czemu wam Pan Bóg żony nie dał i dzieci—rzekła po chwili—albo was był powinien kobietą stworzyć.

Nie dokończyła tych słów, gdy pod drzwiami silny głos dał się słyszéć.

— Hej Jermoło, trutniu jakiś, wychodźże: nie widzisz że stoję.

Było to wołanie Hudnego ekonoma, który jadąc w pole, już uwiadomiony o wczorajszym wypadku, sam osobiście chciał się o prawdzie przekonać, żeby żonie opowiedzieć jak to było. Zadrżał stary przed władzcą, którego się obawiał, i jak mógł unikał; ale dziécię zostawiwszy kozaczysze, co najprędzéj wyszedł.

Ekonom siedział na tłustym koniku, w szaraczkowym surducie podbitym barankami, w długich butach, z harapnikiem w ręku, w czapeczce na bakier: znać było z miny, że bez kieliszka wódki z domu na chłód nie wyjechał. Byłto jeden z tych młodego pokolenia rządzców włości, którzy zastąpili nam starych, wiernych, poczciwych sług zeszłego wieku. Wszystkie wady swych poprzedników przejąwszy, nowemi świeżego pomysłu zbogacony, pan Hudny, zwał chamami po dawnemu chłopów, bił ich, trzymał ostro, kradł potężnie, a miał się za upośledzonego że ekonomował, rozkazując nazywać się panem rządzcą, i oznajmując wszystkim, że wkrótce wyjdzie na dzierżawcę. Żona jego i on samowładnie w opuszczonym majątku rządzili się jak szare gęsi: chwytali szparko, i oglądali się tylko jakby wyść z położenia, które im nie smakowało. Serca w nich obojgu nie było za grosz: duma niesłychana, zepsucie jakie tylko na dnie rozprzężonéj społeczności

znaleźć się może. Na twarzy sumiastemi ogromnemi wąsami pokrytéj, czerwonéj, okrągłéj, dwoje tylko oczu piwnych, nieco skoszonych, dawały poznać charakter człowieka, w niepewném, lękliwém a chmurném spojrzeniu: resztę zarastały włosy, szpetne rysy przysłaniając gęstemi ciemnemi kupami kręcących się faworytów i podbródka.

Jermoła pokłonił mu się ręką do saméj ziemi.

— Co Wielmożny pan rozkaże?

— Co tam u ciebie się święci? Słyszę jakieś dziecko podrzucone?

— A tak, proszę Jaśnie pana—dodając jasności dla bezpieczeństwa rzekł Jermoła—wczoraj wieczorem posłyszałem kwilenie pod dębami, myślałem że puhacz... a to było dziecko, proszę pana.

— Chłopiec?

— Śliczny chłopiec!

— Nie było tam co przy nim?—zapytał ekonom bacznie wpatrując się w Jermołę—znaku jakiego? papieru? medalika: bo to trzeba odnieść do sądu albo i dziecko odesłać do szpitala...

Jermoła pobladł i ręce załamał.

— Znaku? żadnego nie było znaku: dziecko tylko zamiast w pieluchy zawinięte było w sztukę mory grubéj... proszę Jaśnie pana... Ale ja dziecka, kiedy mi je Bóg dał, nikomubym oddać nie chciał.

Ekonom się rozśmiał.

— Ho! ho! coś to kuso wygląda. Podrzucone pod próg, a ty chcesz zatrzymać: może być śledztwo... kłopot, koszt dla skarbu! Nieś je sobie do pomocnika lub do sądu, niech postanowią, a tę sztukę perkalu odesłać mojéj żonie: słyszysz, zaraz.

Ekonom zlazł z konia i namyśliwszy się, dawszy go potrzymać Jermole, sam wpadł do izby. Staremu serce biło, obawiał się wejrzenia tego człowieka, a konia puścić nie mógł: chciał tam być przytomny i nie mógł, uchem chwytał rozmowę kozaczychy z ekonomem, a ten wysiłek i niepokój tak go zmógł, że gdy Hudny nazad powrócił, Jermole pot kroplami ze zbladłego ściekał czoła, jakby w łaźni.

Szczęściem kozaczycha, którą ekonom trochę szanował nie wiém z jakich powodów, bo o tém różnie mó-

wiono, najpewniéj dla pieniędzy i masła, któremi mu się okupywała dla spokoju: potrafiła wmówić mu, tak, że Jermołę już nie niepokoił i nie pędził go z dzieckiem do stanowego.

— Tfu!—zawołał na koń siadając Hudny—kłopotuś sobie stary napytał: no! no! Ja pomocnikowi sam dam znać, ale ci jednak życzę zbyć się tego znajdy: po kiego ci licha ten przybytek? Ha! chyba się do czego poczuwasz stary?— dodał śmiejąc się głośno.

Jermoła z wielkiego strachu aż w łokieć go pocałował, prosząc za dziecięciem z wyrazem tak poczciwego rozczulenia, że kto inny, nie ekonom, byłby nim rozczulony do głębi!

W ten sposób uwolnił się stary od chodzenia do dworu, co go zawsze podwójnie kosztowało: bo miejsce samó naprowadzało do smutnych wspomnień, a ekonomstwo oboje polityczni ze swemi, gburowaci byli z prostym ludem nieznośnie. Cały więc dzień miał przed sobą do przygotowań wszelkich dla dziecka.

Słońce wstało jasne, promieniejące, wesołe, jakby niosąc nadzieję i otuchę. Na brzegu Horynia ruch się i gwar rozpoczął; a że po wsi poszła już wieść o dziecku, ktokolwiek więc przechodził mimo gospody, wstępował do Jermoły zobaczyć sierotę i podziwiać się i posłuchać opowiadania jak to było. Kozaczycha wyręczała z ochotą kuma, corazto ubarwiając opowiadanie swoje, z najdrobniejszemi szczegółami powtarzając je niezmużona. Tymczasem stary wyciosywał kołyskę, na którą szczęściem znalazła się kłomla z łoziny pleciona wyborna. Ta postawiona na dwóch jako-tako obrobionych biegunach, zasłana świeżém sianem i różnemi rupieciami Jermoły, około południa już była gotową. Łatwiéj wprawdzie daleko było, wedle zwyczaju wieśniaczego, na sznurach u bunta koszyk zawiesić i huśtać go nogą; ale się Jermoła sznurów, bunta, kruka i wszystkiego obawiał dla dzieciny, woląc podjąć pracę, niżeli ją, jak sądził, na niebezpieczeństwo narażać.

Kozaczycha śmiała się z tych strachów, ale przekonać go nie mogła. Oprócz téj roboty około kołyski, całą izdebkę, owę tak porządną i od lat wielu nietkniętą, potrzeba było teraz wcale inaczéj usposobić, żeby dziecku blask nie bił w oczy, żeby na nie ze drzwi nie

wiało, z pieca nie piekło. Żydówce musiano w kącie zrobić z drabiny zagródkę z furtką, gdyż się jeszcze przyswoić nie dawała: jadła wprawdzie co jéj rzucono, ale ani myślała słuchać; została więc na sznurku do jakiegoś czasu.

Zasiadłszy z kozaczychą, Jermoła wziął od niéj dokładną naukę o sposobie w jaki się należało z dzieckiem obchodzić: rozpytał ją z największemi szczegółami ile razy miał je kąpać, w jakiéj wodzie, czém karmić, jak usypiać i tulić. Przywiązanie do malca wyrównywało w téj chwili prawie nienawiści, jaką miał ku kozie nieposłusznéj i czuć nie umiejącéj szczęścia, jakie ją spotykało. Jermoła groźnie spoglądał na nią, nie mogąc się zarówno nagadać o przymiotach dziecka i niegodziwości żydówki, jéj nierozumie, uporze i szkaradnych nałogach, jakich w obcowaniu karczemném nabrała.

Tak upłynął piérwszy ranek ojcowstwa biédnego Jermoły.

Dziwne są czasem przeznaczenia człowieka! Lata mu płyną nadaremnie w oczekiwaniu jakiéjś jednéj chwili, która wszystkie jego siły w czyn i działanie wprowadza: zdaje się, że przespał wiek, by się dopiéro w danéj przebudzić godzinie. Położenie nowe wywołuje zeń uczucia mu nieznane, otwiera serce, rozjaśnia głowę, i z bezczynnego przetwarza na niezmordowanego w pracy.

Tak właśnie stało się z Jermołą, który ożył dziecięciem, i z podziwieniem kozaczychy, całéj wioski, wszystkich co go znali wprzódy, nietylko wybornie sobie rady dawał z wychowaniem niemowlęcia, ale przerobił się na innego wcale człowieka. Znano go jako jednę z najobojętniejszych na wszystko istot na świecie: cichą, pokorną, milczącą, powolną; widywano zawsze o jednéj godzinie około staréj karczmy, słyszano od niego niemal jedne powtarzane słowa. Z spuszczoną głową, zgarbiony, o kiju, chodził ku dworowi, ku rzece, nosił sobie chrust i drzewka, uprawiał trochę tytuniu i warzywa w ogródku, czasem na progu w piękne wieczory odmawiał pacierze, a po kilka miesięcy niekiedy na wsi nie bywał, gdy go siedzenie uparte napa-

dło. W karczmie saméj nogą nigdy nie postał; na wesela, chrzciny i pogrzeby nie uczęszczał, proszony zaś przyszedłszy, co najprędzéj uciekał do swojéj nory, w któréj życie tulił okryte jakąś tajemnicą.

Prócz chaty kozaczychy z którą go dawne stosunki i potrzeba pomocy łączyła, bo tam poczęści go karmiono, opierano i oszywano, nigdzie zresztą w gościnę nie poszedł. Mawiano też o nim, że mruk i dziki; choć poznawszy go bliżéj mało kto nie miał dlań przyjaznego słowa. Pod tą bowiem pokrywą niepoczesną, serce było złote, serce jakie się częściéj niż sądzą uprzedzeni wyradza u prostego ludu.

Zagadnienie to namiętnie rozwiązywane zdaleka od tych, o których tu idzie, dziś wszyscy zwykli rozstrzygać najkrzywiéj, więcéj złego niż dobrego dopatrując w wieśniaku. Tymczasem rozrachowując wpływy jakim lud ulega, okoliczności w jakich zostaje, przykłady które ma pod oczyma, nędzę która często go gniecie, zupełny brak wychowania moralnego: zadziwić się potrzeba skarbom poczciwości, jakiemi go Bóg obdarzył. Największe występki w takiém położeniu byłyby wytłumaczone: bo myślimże o środkach wszczepienia w jego duszę jakichkolwiek zasad? Cóż dopiéro powiedziéć o cnotach, które tu są prawdziwym cudem. Zbliżyć się potrzeba, przypatrzéć, a na karb jakichś uprzedzeń lub pobłażania urojeniom czasowym nie kłaść tego, co z przekonania o ludzie naszym się mówi. Poszanujmy w nim cnotę tém droższą, że jest złoto samorodną. W nas ją szczepią, wpajają, uczą nas jéj od młodu; mamy łatwość być poczciwemi, interes, miłość własną, pomoce ku temu, bodźce różne, wreszcie pojęcie jasne obowiązku, a jednak niezawsześmy i nie wszyscy jakiemi być powinni. Nie dziw, że wziąwszy ściśle w rachubę co przeciw nam, a co za ludem mówi, zawsze bezstronny sędzia przyzna téj klassie więcéj poczciwości niż innym: boć dla pięknych oczu możnych i szczęśliwych ani im darować błota, którém się walają, ani zapoznać godzi się, co tak cudnie przykładem świeci nam od dołu.

Nie waham się, w ciągłych i żywych będąc stosunkach z wieśniakiem naszym, lepszym go uznać rodowo, instynktowo, niżeli ludzi innych klass społeczeń-

stwa, niżeli lud w innych plemionach Europy, szczególnie na Zachodzie. Spojrzyjmy, porównajmy, policzmy występki, a zdziwimy się moralności ludu zupełnie opuszczonego, i z powietrza, ze krwi własnéj czerpiącego siły do cnoty. Maluczkie plamy o jakże łatwo wytłumaczyć się dają, byleśmy sprawiedliwemi być chcieli; lecz dziś przez nieuchronną reakcyą idąc w ślad za Zachodem, i my plujemy na wieśniaka, przenosząc wszystkie cnoty do salonu. Nie przeczę, jest ich wiele i tam; ale nas wszystkich uczą katechizmu i wiemy którędy droga: lud zaś sercem jéj szuka i znajduje ją, za co winniśmy mu choć uznanie tego i wydział sprawiedliwości.

Jermoła był właśnie jednym z tych ludzi, obdarzonych cudownym instynktem cnoty, w którym dwór nie zabił szlachetnych popędów wrodzonych, co się często zdarza, cząstkowa ogłada nie wyziębiła serca, a wiek nie zastudził uczucia. Nie mogę też inaczéj nazwać tego, tylko instynktem, i chętniebym w psychologii przypuścił obok zwierzęcego instynktu poziomego, egoistycznego, niszczącego, ten drugi szlachetniejszy, wyższy, wbrew pierwszemu przeciwny, który często najbardziéj upośledzonych dźwiga na wyżyny objawienia cnoty. Obdarzeni cudownym jakimś popędem idą wbrew interesowi własnemu, posłuszni sercu, w którém nie krew i namiętność, ale przeczucie udoskonalenia i potrzeba poświęceń żywie i bije. Starzec ten nigdy się nie poskarżył na stérane życie, nie rzucił przekleństwem na przeszłość, nie odezwał przeciwko ludziom: wystarczał sobie, milczał, cierpiał i nie poddawał się, dźwigając się duchem pobożnym. Zawsze gotów z pomocą choć niewiele mógł, nie skąpił siebie. Wiedziano o tém we wsi, i znajomi i nieznajomi uciekali się do niego, gdy dwojga rąk i serca potrzebowali: tyle bowiem tylko mógł dać stary Jermoła. Przy chorym posiedzieć, ubogiéj wdowie zżąć pokładzione już żyto, przypilnować dzieci, gdy wszyscy na łan powychodzili, poradzić na niezdrowie i przypadkowe skaleczenie, najlepiéj umiał Jermoła. Używano go tém chętniéj, że nigdy zapłaty nie wymagał, a wódki nie lubił i nie pijał. U ludu jest we zwyczaju zawsze w takich razach za najmniejszą przysługę wedle możności się wy-

wdzięczać; uważają to sobie za obrazę, gdy się od nich podarku nie przyjmie. Wtykano i Jermole cośkolwiek, brał on żeby nie upokarzać, ale kilka jaj, bułka chleba, wystarczały mu aż nadto.

Nie miał nawet za złe swoim starym znajomym i obowiązanym, gdy w chorobie, w potrzebie, w smutku doświadczywszy jego pomocy, zapominali potém o nim. Nie nazywał tego niewdzięcznością, nie skarżył się na nich: wiedział bowiem, że wieśniak mało ma godzin z którychby sercu mógł zrobić ofiarę, że nie chęci mu braknie, ale czasu i możności, a obojętność jego pozorna najczęściéj bywa dziełem przypadku. Trzeba znać to życie, widzieć znużenie, porachować ile tam zostaje na spoczynek i myśli, by się niczemu nie dziwić. Jedném tylko sercem wyższy był Jermoła od swoich współbraci, zresztą nie poprzestał być dziecięciem wioski, zachowując jéj upodobania, nawyknienia, obyczaje i przesądy.

Nazajutrz po opisanym wypadku, w całéj Popielni o niczém nie było mowy tylko o znalezioném pod dębami dziecięciu, o Jermole i kozie kupionéj u Szmula, bo się Chwedko nią chwalił, równie jak swoją historyczną dereszowatą kobyłą. Tysiącznemi domysły usiłowano sobie wytłumaczyć zjawienie się podrzutka, niesłychanego w dziejach wioski zdarzenia, składając ten występek nie na wieśniaków naturalnie, którzyby go popełnić nie mogli, bo to nie jest w ich obyczajach, ale na tajemniczą jakąś istotę wyższego stanu. Podejrzenia padały na różnych dalszych i bliższych sąsiadów, ale na niczém oprzéć się nie dawały, i jedne obalały drugie. Usiłowano sobie przypomnieć dzień i wieczór wczorajszy; na nieszczęście ślady tych, co przywieźli dziecię i porzucili je pod dębami, doskonale były zatarte. We wsi ktoś tylko widział wózek szybko pod wieczór pędzący ku Małyczkom, ale się pokazało, że to był pisarz zakochany w Horpynie kozaczance; inny przypomniał sobie konnego nad brzegiem Horynia z czémś białem pod pachą, ale zaręczano, że to ekonom z ręcznikiem, którym od chłodu szyję miał obwiązaną. Marysia szynkarka przypomniała Poleszuka, co to spał na ławie w szynkowni i około piérwszych

kogutów wyszedł niewiadomo dokąd; ale byłżeby spał tak spokojnie??

W karczmie, w polu, na drzewie, u bindugi wszyscy rozprawiali o podrzutku; nikt jednak więcéj od drugich nie wiedział: dziwiono się Jermole, śmiano się ze starego i ruszano ramionami. Tymczasem w chacie kąpiel przygotowująca kozaczycha, gdy owe perkale rozwinęła dla odesłania ich ekonomowéj, i przypatrzyła się lepiéj dziecięciu, podzielać zaczęła przekonanie przybranego ojca, że podrzutek musiał być istotnie pańskiego pochodzenia: takie to było delikatne, świeżuchne i śliczne. Na pieluchach żadnego nie dopatrzono się znaku, ale na szyi, na sznurku jedwabnym był bronzowy medalik, który za złoty wziąwszy Jermoła, jak najstaranniéj schował. Z tego powodu spór się wszczął, czy dziécię ochrzcić czy nie, i przemogło zdanie kobiéty, że na przypadek zawsze chrztem obmyć bezpieczniéj. Tegoż samego więc wieczora miał już imię Irodyona, które sobie sam w dniu tym przyniósł. Imię to na wsi lud pospolicie na Radyona lub Radywona zesłowiańszcza: malec więc nazwał się Radyonkiem. Jermoła płakał z radości nosząc go na rękach, po stokroć powtarzając że ma syna; a tak był z niego szczęśliwy!!

Piérwszy raz w życiu podchmielił sobie na tych chrzcinach staruszek, spoił Chwedka i kozaczychę, którą serdecznie uściskał, żartował, podskakiwał, a nieszczęśliwéj kozie, która chmurno jakoś poglądała na całą tę historyą, pięścią pogroził.

— Słuchaj bezecna żydowico — odezwał się stając naprzeciw z groźnie podniesioną ręką—plemię rogate i brodate: słuchaj i pamiętaj jeśli mi uczciwą i posłuszną mamką dla mojego malca nie będziesz, znajdę drugą..... Ale ciebie, jak mi Bóg miły, zarznę tępym nożem.

Koza tupnęła nogą, pokręciła głową, a przytomni szerokim parsknęli śmiechem: bądź co bądź nauka w las nie poszła.

Takieto były początki, a w kilka miesięcy późniéj Jermoła już doskonale obywszy się z położeniem swojém, tak sobie wybornie radę dawał we wszystkiém,

że mu się oddziwić nie mogli. Pociecha bo to była całéj wioski, kiedy stary z dzieckiem na ręku wyszedł na brzeg rzeki, albo na pole: otaczano go kołem, śmiejąc się i pieszcząc niemowlę i staruszka.

I czegoto cierpliwość nie dokaże: owa stara uparta koza, która tyle charakteru okazała w piérwszych dniach po rozstaniu się ze Szmulowstwem, powoli, powoli tak się obyła i przywiązała do Jermoły, że od niego i dziecka na krok nie odstępowała. Kilka razy w początku uciekła do karczmy, Szmul nawet dał był wyrok zarznięcia jéj pocichu; ale Jermoła, który odgadł wszystko, dziecko zostawiwszy u kozaczychy, sam przyjaciół zebrał, napadł na karczmę, kozę swoję za słomą w chlewku odkrył, i takiego strachu Szmulowi napędził, że żyd go już więcéj zaczepić ani myślał, a przypłacił chciwość swoję, zmuszony częstować całą gromadę, żeby się hałasu i krzyku pozbyć, jakiego narobił Jermoła.

Koza żywiona dobrze zmiarkowała téż, że do Szmula nie ma po co uciekać: zobojętniała na dawne z nim stosunki, i wiernie służąc nowemu panu, gdy się trafiło przechodzić koło karczmy, głowy nawet ku niéj nie zwracała. Stała się téż z nieprzyjaciołki ulubienicą Jermoły i piérwszą u niego po dziecięciu; a że ciągle do niéj gadał, że zawsze z nim była, do małego téż Radyonka tak przylgnęła, że nawpół niańką jego się stała. Dziécię znało jéj czarne oczy i długą brodę, z którą się małemi rączęty bawiło; żydówka szła sama na zawołanie, zaglądała do kołyski z roztropnością i zmyślnością niezwykłą: słowem wcieliła się w rodzinę. Jermoła oddawał jéj sprawiedliwość, że się zrazu na niéj nie poznał.

Ale fraszka ta pociecha, jaką miał ze staréj kozy, któréjby teraz za żadne nie oddał pieniądze: gasło to przy radości, jaką mu sprawiało rosnące i codzień roztropniejące dziécię. Chłopak był duży, silny, wcale ładny i tak szybko dojrzewający, jak zwykle sieroty. Bóg tym, których pozbawił matki, wcześniéj téż zsyła siły do życia potrzebne. Jakkolwiek zadziwiającym był Radyonek, Jermoła jeszcze w nim widział daleko więcéj niżeli było w istocie. Śmiała się z niego koza-

czycha, ale to go nie poprawiało, gniewało tylko, nazywał ją ślepą i uchodził ze swym skarbem nadąsany. Zresztą starucha kochała także wychowanka, który i jéj wiele był winien; stary ojciec przybrany bez niéj nie tak łatwoby sobie dał rady, a cała wioska pomagała mu potrosze, bo był jéj ulubieńcem i dziwotą.

Przez tych kilka miesięcy mamczenia i starań około utrzymania życia, Jermoła miał czas namyślać się co daléj pocznie, i rozpowiadał nieraz na głos projekta swoje dziecięciu i kozie. A było tego tyle! tyle! Naprzód nie chciał go mieć prostym wieśniakiem: lepszego zeń coś zrobić myślał. Wybór stanu zdawał mu się trudny, wszystko dla kochanego Radyonka zamałe. Byłby mu kupił wioskę i posadził na niéj gospodarować, ale tego nie mógł nieborak: potrzeba było szukać czegoś innego. Myślą przebiegał zajęcia różne, rzemiosła wszelkie, i każdemu miał coś do zarzucenia: szewc musiał siedzieć na miejscu schylony i zgarbiony; stolarz cały dzień być na nogach, kowal palić się w ogniu, mularz dźwigać cegłę, po drabinach łazić, słońce i wiatr znosić:—wszystko to niepodobało się Jermole.

Obstawał przytém, żeby wychowańca czytać i pisać nauczyć; ale że nierychło do tego przyjść miało, a diak, jedyny we wsi mędrzec, który mógł przewodniczyć jego wychowaniu, stary był bardzo, a z następcą zaś jego niepewnym, niewiadomo czyby się można ułożyć; stary postanowił sam się u diaka wyuczyć czytania, żeby malca w porze módz zacząć oswajać z abecadłem bez cudzéj pomocy. W tym celu kupił u żydka z kramnikiem chodzącego asbukę, i na drugi koniec wioski dybał staruszek z dzieckiem na ręku i kozą nieodstępną na codzienne lekcye u starego Andreja Prosforowicza. Trzeba go było widzieć jak ślęczał nieborak, jak się męczył, jak pracował, dziecię tuląc jedną, a skazówkę wodząc drugą ręką. Pocieszało go to, że dosyć niecierpliwy diak Andrej, Radyonka w obroty nie weźmie, bo z doświadczenia wiedział, że byłby się nad nim znęcał i męczył go po swojemu, a tak siebie był pewien, że naukę przeleje mu bez trudności.

W sześćdziesięciu leciech z górą, piérwszy raz spotkać się z abecadłem nie jest rzeczą łatwą, a wy-

siedzieć nad niém godzin kilka, i oczy przywykłe chodzić swobodnie zmuszać do rozpoznawania kształtów maluczkich:—męka to wielka, na któréj cierpliwe wytrwanie serce się chyba zdobyć może. Stękał Jermoła, ale raz sobie postanowiwszy dokonał nauki czytania. Szczęściem wzrok jeszcze miał dobry i gładziéj to poszło, niżeli się spodziewał diak, który za tę sztukę wziął półsetek płótna, dawno w kufrze chowany (i to piętnastkę), a w datku rubla karbowanego.

Z niańczeniem chłopca tak się już znał stary, jakby kilkoro dzieci wychował. Kołyska stała przy łóżku jego, obok tuż w kątku sypiała koza; byle się odezwała dziecina, ojciec był na nogach i zaraz poradził coś małemu niebożątku. Sypiał téż niewiele, ale snu nie tak bardzo potrzebował; we dnie wziąwszy na ręce Radyonka to nad rzekę chodził, to pod dęby, to w las lub na pole, albo na progu z nim zasiadał. Widok ten zrazu śmieszny dla wielu póki był niezwykły, stał się potém dla całéj wioski miłym i zajmującym: uśmiechano się sierocie, dziwowano wytrwałości przybranego ojca, czasem w niedzielę jak na zabawę przychodzili ludzie do staréj karczmy, napatrzéć się na podrzutka i pogawędzić z wysłużonym dworakiem. Jermoła jak się miał przed kim pochlubić wychowankiem, rad był niezmiernie i tyle prawił o nim, że cała nareszcie wioska miała przekonanie, iż to dziécię obiecywało coś niepospolitego.

Najdziwniejszym ze wszystkiego było, że Jermoła wyraźnie odmłodniał, rozprostował się, twarz mu się rozjaśniła, wypełniła, uśmiechnęła. Niewygody, bezsenności, praca nietyle go wycieńczyły, ile pokrzepiła nadzieja: życie jego wypełniło się, rzec można rozpoczęło na nowo.

A nie szło mu ono lekko i nie wplatało się w wieniec przyjemności samych, jakby z tego sądzić można: dziecina przynosząc z sobą wydatki codzień znaczniejsze, zmuszała go do pracy, przemysłu i zaopatrywania w chléb powszedni nie na dzień jeden, ale i na jutro. Tego rodzaju ubodzy niezmiernie mało potrzebują na żywot codzienny. Jermoła wystarczał sobie choć bardzo miał niewiele, obywał się to tém, to owém bez wielkich wysiłków, niedoświadczając przynajmniéj głodu, dopóki

mu na ręce nie spadła siérota. Właściwie rzekłszy nie miał żadnego stałego funduszu, ale nie żebrał, płacił jeszcze za przytułek i ogród czynsz dwudziesto-złotowy bardzo regularnie, i wyżywiał się jako-tako. Nam przywykłym do innego trybu życia nie łacno pojąć, jak się to ubodzy maluczkiém utrzymać mogą. Stary Jermoła nic prawie nie wyniósł ze swéj długiéj służby dworskiéj, może zaoszczędzonych kilka tylko kawałków płótna, kilkanaście rubli i trochę rupieci małéj ceny. Było czém zrazu czynsz z góry opłacić i chléb kupić powszedni, ale bez nowego starania zapas ten byłby się prędko wyczerpał. Wprawdzie Jermoła na siebie wydawał bardzo mało, bo go po wsi karmiono, a kozaczycha nie żałowała strawy, nie upominając się o odrobek: trocha kartofli, kawał chleba i słoniny wystarczały, odzienie się nie darło i nie wymagało odnawiania, ale czynsz zawsze potrzeba było opłacać i wyciągnąć go z tego jednego ogródka, który cały dochód stanowił. Półko ogrodzone żerdziami przy karczmie miało mniejwięcéj rozległości zwykłego ogródka włościańskiego, mniéj morga ziemi niezłéj bliżéj karczmy, a ku dębom i sosnom wycieńczonéj przez drzewa, spijające żywotne soki dokoła. Siał na niém Jermoła tytuń pod budowlą gdzie żyzniejsze były zagony, daléj sadził kortofle; trochę kapusty ku dołowi, buraków i ogrodowiny. Niekiedy udawało się tak szczęśliwie, że odjąwszy co było potrzeba na własny użytek, odbierał jeszcze swoje 20 złotych czynszu z samego ogródka: innych lat musiał ich szukać inaczéj. Las i rzeka w takich razach są dla wieśniaka wielką pomocą, a tych nie broniono w Popielni, wszyscy z nich użytkowali. Jermoła póki był sam jeździł czasem na rybę i udawały mu się nocne łówki z ościami, zastawiał więcierze i saki, a rybę we dworach lub miasteczku sprzedawał. Oprócz tego zbierał i suszył grzyby, które są lepszym jeszcze towarem i od niejakiego czasu zwłaszcza poczęły iść w cenę. Ale oba te zajęcia z małym Radyonkiem na rękach stały się niepodobieństwem: dziecko nie dozwalało ani nocy spędzać na czółnie, ani się po lasach włóczyć. Tymczasem wydatki rosły, zapaśny grosz zaraz w początku wyszedł na kupno kozy i inne drobne potrzeby. Jermoła musiał sobie inaczéj radzić. Dawniéj rabiał w po-

lu prawie darmo swoim znajomym i ubogim: dziś czas mu się stał droższym, namyślił się najmować. Widywano go jak te baby z dziećmi i kolébką, chodzącego w dniu pilniejszéj pracy w pole na sznury włościańskie ze swoim malcem, kozą, ze trzema drążkami, koszykiem i namiotem. Stawiał koszyk z Radyonkiem na miedzy w przenośnéj budce osłonionéj rańtuchem, pod opieką staréj żydówki, a sam żął, kosił lub wiązał. Dawało mu to czasem jadło i oprócz tego około 20 groszy dziennie, gdyż w Polesiu rzadko robotnik pieszy wart jest więcéj. Trzy dni potrzeba było pracować na dwa złote, które gdzieindziéj za jednę kopę płacą: i to pracować naprawdę, nażąć kopę rzadkiego żyta, naschylać się, napocić, i snopów nadźwigać; a snopy w Polesiu wydatne i ciężkie, choć je po kłosie zbierać muszą.

Często wróciwszy do swéj pustki, niosąc z dalekiego pola koszyk i dziecko, brzemię lat i ciężar dnia, starzec czuł się osłabionym, sennym, wycieńczonym; ale spojrzenie na Radyonka uśmiechającego mu się, krzepiło go na nowo, a nocny wypoczynek dodawał sił na jutro. Nigdy zaprawdę tak się stary nie krzątał jak teraz, nie był tak czynnym i niezmożonym: ludzie z mimowolném nań patrzyli poszanowaniem, wzbudzoném wytrwałością i milczeniem szlachetném. Nieśmiejąc dotknąć złota znalezionego przy dziecięciu, choćby z głodu umiérał, gdyż uważał to za własność sieroty, musiał przysparzać sam, bo codzień szło trudniéj, a wystarczyć na wszystko nie mógł jednym przy karczmie ogródkiem. Tu rankami tylko i wieczorami robił urywkowo, a na resztę dnia się najmował.

Ale serce wszędzie i zawsze dokazuje cudów, gdziekolwiek pośle promyk uczucia. Wielkito talizman: bez niego każda rzecz trudna, a z niém nie ma niebezpieczeństwa.

Jakoś ta praca około roli, po upływie kilku miesięcy nie zaspokoiła starego Jermoły: chłopak rósł a zarobek był nieskończenie mały; prócz tego diak rubla wziął za naukę, a co czasu na nią stracić było potrzeba! Smutny jakoś powlókł się jednego wieczora staruch do chaty kozaczychy, z którą zwykł się był naradzać. Przyjęto go jak zwykle, Horpyna z uśmiechem i wykrzykiem, bo dziecinę lubiła bardzo i zaraz ją za-

bierała od Jermoły, bawiąc, karmiąc, uśmiechając się jéj, póki tylko stary był w chacie; kozaczycha kwaśno, gderliwie, ale serdecznie. Jermoła im tam nie zawadzał, nie uprzykrzał się, a często posłużył: bo jakkolwiek znużony, gdy go kozaczycha czém potraktowała, lub za to że się pogrzał przy jéj ognisku, czuł się w obowiązku pójść po wodę do studni, szczepać skałki, urąbać drewek, zastępując pijanego Chwedora, który wieczorami najczęściéj w karczmie siedział, i ztamtąd go już było nie wywabić i kijem.

Miała się baba ciężko z tym Chwedorem, ale parobków najmitów mało było we wsi, bo co silniejszego szło z toporem do wyrobu belek i wańczosów, do klepki i łuczywa: musiała więc znosić trutnia, który gdyby nie wyrostek co mu pomagał, nawetby chudoby nie napasł i nie dopatrzył. A był takiéj natury ów Chwedor, że w nim jakby dwóch siedziało ludzi: z rana póki trzeźwy choć do rany przyłóż: pokorny, cichy, zapobiegliwy, przemyślny, często coś przypomniał o czémby i sama gospodyni nie pomyślała; ale powróciwszy z pola jeno woły na podwórko odprowadził, choć się zaklinał że do karczmy nie pójdzie, znikał i zasiadał za stołem u Marysi szynkarki, pił, a pijąc niestworzone dziwolągi wyrabiał. Czapka na bakier, w boki się wziąwszy, gadał a gadał, szumiał, odgrażał się gospodyni, łajał, karczmą trząsł, wrzeszczał, śpiewał, tańcował, i taka go opanowywała buta, jakby tam w nim wojewoda siedział. Powróciwszy do chaty, regularnie szedł kozaczysze za służbę dziękować, z piosnką jeszcze kładł się spać: legł, przedrzémał się, a im więcéj krzyczał wczoraj, tem nazajutrz był pokorniejszy i pewnie z rana, naprzeklinawszy wdowie wieczorem, przyhołubiał się różnemi ślicznemi pomysłami gospodarskiemi. Odprawiał się on sam i ona jego kilką razy, ale że innego dostać było trudno, a i on przyrósł już do téj kleci, zawsze po wieczornych kłótniach i awanturze, kończyło się pokorą i zgodą.

Wieczorami więc, przy takich nałogach Chwedora, przybywający Jermoła wielce był dla wdowy pożądanym: pomagał jéj trochę i było przed kim narzekać lub przeklinać niezdarę. Horpyna także dla dziecka, które się jéj uśmiechało, lubiła starego dworaka.

Jednego tedy dnia, dość już późno wróciwszy z łanu, gdzie się upocił i kopy nawet rzadkiego żyta nie mógł nażąć Jermoła, bardzo jakoś uciśniony na duszy, zesłabły od schylania, powlókł się do kozaczychy. Zaraz w progu Horpyna odebrała mu chłopca z którym śpiewając zaczęła biegać po izbie, a stary zasiadł na ławie przeciw ognia i zadumał się. Bolała go głowa od słońca, krzyże od nachylania, ręce namulane od sierpa, choć starannie drewnianą rękojeść płachtą był obwiązał.

Chwilowa bezsilność przeraziła go, nie dla siebie, ale dla przyszłości dziecięcia: począł wzdychać ciężko, aż się baba opatrzyła chodząc około garnków, że jéj gość potrzebować musi rady i pociechy.

— A widzisz stary—odezwała się—co ja tobie mówiłam, kiedyś brał to siéroctwo, że ty temu nie podołasz. Nieprawda że ci ciężko, bo coś bardzo wzdychasz?

— Oj ciężko kumo kochana, ciężko! Jużem to ja, widzę, nie dwudziesto-letni, z pola wróciwszy choć prosto leź do trumny: tak się człowiek czuje biedny i zmęczony; ale cóż? pracować potrzeba, bo się z głodu zdechnie. Czynsz muszę zapłacić, Hudny i z téj nory wypędziłby, gdybym go na św. Michał nie złożył; jeść potrzeba i o dziecku jeszcze myśleć. Za cały dzień jak dziś i dwudziestu groszy się nie zarobi, a krzyże jak połamane.

— Bo ja wam zawsze powiadałam i powiadam, że inaczéj powinniście myśleć o zarobku. Całe życie spędziliście na stołku w kredensie, przy lekkiéj pracy, a tu wam się zachciało z sierpem i kosą chodzić w pole jak temu, co do nich przywykł od młodu: czemużeście nie przydumali sobie co innego?

— Kiedy nic nie umiem...

— Wszakcito i czytać nie umieliście, a mówicie, żeście się nauczyli. Możebyście tak i czego innego potrafili od ludzi nabyć.

— Myślicie?

— A cóż?—odpowiedziała baba zwykłą pytającą formułą, która zastępuje potwierdzenie.

— Naprzykład czego?—zapytał Jermoła.

— Czy ja tam wiém: jakiegokolwiek rzemiosła moglibyście się wyuczyć. Roztropni jesteście, widzieli-

ście i nasłuchali się dużo po świecie, takiby to wam nie ciężéj przyszło niż młokosowi.

Jermoła głową pokiwał.

— Szewiectwa choć sobie czasem buty łatam, nie lubię—rzekł powoli stary—krawców dosyć u nas z Kołków przychodzi z łokciami na ramieniu byle było co szyć, a mnieby nikt nie dał sukna ze strachu, żebym nie popsuł; kożuszników u nas aż trzech...

— A tkacza i jednego poczciwego nie ma!—zawołała baba—który weźmie osnowę pewnie ukradnie, u drugiego sztuki się nie doczekasz do trzech lat: pozastawiają w karczmie; na szlichtę daj im co zażądają, poniosą do żyda. Płótna nie ma komu zrobić, choć się nieźle płaci: wybyście się łatwo tkactwa nauczyli.

— A warsztat? krosna? gdzie to postawić u mnie? Izba mała, kołyska sobie, koza sobie zabierają miejsce, wszystko na kupie: ani sposobu. Macie radzić, radźcie co innego.

— Mnieby to najlepiéj smakowało, żebyście wy zostali tkaczem, bo nie mam komu dać przędzy: bułwieje leżąc.

Jermoła rozśmiał się weseléj, ale i westchnął zaraz.

— E! radźcie sobie nie mnie: poradźcie lepiéj kumo.

— Wiecie co?—zawołała Horpyna,—ja wam powiem co robić będziecie. Wszakżeto mawialiście sami, że we dworze bywało, jak nie ma co robić, toście sobie na skrzypcach grywali...

— Prawda, całemi wieczorami.

— A no! zostańcie muzyką!

— Tfu!—splunął Jermoła—co wam Horpyno takiego? A tożby się człek rozpił: gdzież mnie z dzieckiem po karczmach i weselach się włóczyć?

— A to widzicie, ja tak radzę jak matka... Musielibyście dziecko u nas zostawiać...

Jermoła rozśmiał się znowu.

W téj chwili garnki, które kozaczycha przystawiała do ognia stuknęły się: jeden z nich, znać już pęknięty pokryjomu, nagle rozpadł się na części, ukrop bryznął po kominie na węgle, i wylał się pod nogi uciekającéj kozaczysze.

Wielka z tego powstała wrzawa: Horpyna oddała dziecko Jermole i pobiegła matkę ratować; wdowa kląć poczęła, służąca najmitka łamała ręce, kartofle nawpół ugotowane rozbiegły się po podłodze, a pies leżący w progu, przelękniony, gwałtownie szczekać zaczął.

Ledwie się to w kilka minut uspokoiło, gdy szczęściem nikt prócz garnka poszkodowany nie został, bo ukrop zbiegł wprost na ziemię, kartofle pozbierały dziewczęta, a gospodyni nałajawszy złą godzinę, siadła na ławie, żeby się wysapać.

Ale gdy przyszło znowu owe ziemniaki nastawiać, a do alkierza po garnki pobiegli, pokazało się, iż tak wielkiego drugiego nie było w zapasie, i nieboszczyka musiano zastąpić aż dwoma—zdawkową monetą.

— To był garnek jak mało!—poczęła mowę pogrzebową gospodyni.—Pamiętam, żem go kupiła w Janówce na jarmarku; biały był jak mleko, a mocny, choć orzech nim tłuc! Wracaliśmy po nocy z pijanym Chwedorem. Około Małyczek kołem z drogi zjechał i wywrócił; ja, i co było na wozie, wszystko w rów: a było pięć garnków i rzeszoto. A! żeby cię pioruny z twoją wódką, myślę sobie, i nuż zbierać omackiem. Rzeszoto licho wzięło, bo je koło od wozu przebiło w samym środku: już to ono służy, ale niekoniecznie; garnków dwa poszło w łupinki, a mój grubas potoczył się tylko o staje.. Ja do niego: cały! Oczom nie chciałam wierzyć. Służył mi lat dwa, teraz już takiego drugiego nie dostanę. Ot, z czém u nas bieda: z garncarzami! Trzeba czekać aż się który zlituje i zajedzie, a że to drogi złe, a towar kruchy, rzadko zajeżdżają i drąż bez miłosierdzia!! A ten w Małyczkach Prokop, pożal się Boże, czarne robi i kruche: na nic.. chyba na popiół... Musi je daleko kędyś wywozić, bo tu je znamy i nikt ich nie kupuje...

— Ot co!—zawołała baba nagle—a gdybyście zostali garncarzem, to i poczciwe i spokojne rzemiosło, i taki robota nietrudna.

— Myślicie!—pokiwał głową Jermoła—a gdzież go się nauczyć? a glina? czy to u nas jest dobra? a kto potrafi piec postawić? Wreszcie gdyby się już co i zrobiło, jeszcze wozu i konia potrzeba, żeby się z tym wy-

robem po świecie prosić.... A broń Boże wywrotu, nieszczęście!...

— Cóżto tobie dziś—zawołała znów stara—wszystko złe i trudne; a ja ci mówię, nie święci garnki lepią.

Poczęli się wszyscy śmiać, Jermoła się zamyślił.

Tak zszedł ten wieczór u kozaczychy, nie bezowocowo jednak: bo choć nic nie postanowił jeszcze Jermoła, powróciwszy do domu, jął niespokojnie rozważać co robić, i nabrał otuchy.

— Juściż kiedym się czytać nauczył—rzekł w sobie—a to taki najtrudniejsza rzecz na świecie, to i rzemiosła jakiego mógłbym nabyć. Stary jestem, prawda, ale czyto tylko młodzi wszystko mogą? Ot, zobaczymy.

Nazajutrz Radyonka zostawił Horpynie, a sam poszedł pod jakimś pozorem do Małyczek. W głowie mu się coś snuło.

Wioskato była o miedzę niewielką, ze znacznym lasów i błot obszarem, w gruntach dosyć jałowych, sapach, torfowinie i piaskach; ale bogata, bo przemyślna i z samych niemal rzemieślników złożona. Włościanie tutejsi prawie co roku chléb kupować zmuszeni, bo tak jak w Opoczyńskiém, jeśli nie gorzéj, korzec posiawszy kopę zbierali, i ze zmłóconéj ledwie się dopytali korca ziarna, słomę za pracę mając w zysku; nawykli byli już inaczéj sobie zarabiać na życie. Palili węgle, przedawali korę, wyginali obody, strugali niecki i naczynia gospodarskie, stelmachowali, bednarzowali, bawili się ciesiełką, tkactwem, wyrobem sukien i pasów czerwonych, a jeden nawet był garncarzem. Ale mu to rzemiosło niebardzo poszło: zysk miał, wyrobu nie chwalili ludzie. W ogólności garncarze rzadko tam biorą się do roboty, gdzie ich z dawnych czasów nie bywało; a piece po największéj części utrzymują się od niepamiętnych wieków z ojca przechodząc na syna. Znać w przedhistorycznéj epoce, gdy zdunowie potrzebniejsi byli dostarczając naczyń poświęcanych, znali się też lepiéj na gatunku ziemi, na wypalaniu, trafniéj wybierali sobie miejsca, i lepszą mieli tradycyą rzemiosła; dziś ledwie się kto ośmieli założyć piec nowy, a garnki teraźniejsze wyrabiają się tam jeszcze, gdzie przed wieki

toczyły i lepiły drogie starożytnikom popielnice, z tejże gliny, która dostarczała grobowego sprzętu pradziadom.

Ostatni potomek małyczkowskiego garncarnstwa bardzo był zszedł nizko w swéj sztuce: napijał się, rozwłóczył, o glinę nie dbał, ladajako lepił. Garnki jego nie miały dźwięku, czarne były i pękały tak łatwo, że ich we wsi już nie kupowano, chyba w ostatniéj potrzebie. Ale i ta lichota przecież odbyt miała, a stary Prokop i za majętnego uchodził, i niczego sobie nie żałował: słoninę jadł, wódką popijał, kożuch nosił wyszywany z siwym kołnierzem, opończę z kapturem, czapkę czarną baranią wysoką jak u dobrodzieja.... Syna nie miał, córkę tylko jedynaczkę, wydaną za najlepszego we wsi gospodarza, któréj taki dał posag, że ludzie wierzyć nie chcieli: bydło, konie, trzy bodnie odzieży i rubli całą czapkę. Wiedział o tém wszystkiém Jermoła, bo i dawniéj i teraz dwór popielnicki z małyczkowskim, a wieś z wioską częste miewali stosunki: myśl staréj kozaczychy zajechała mu furą w głowę. Nie chciał się z nią jednak wydać zrazu, żeby nie narobić śmiechu, i jak zwykle wieśniacy, udał inną potrzebę, zawróciwszy się do dworu.

We dworze tym od bardzo dawna mieszkał niegdy przyjaciel popielańskiego pana, starzec już niemal zgrzybiały, rotmistrz jeszcze kawaleryi narodowéj, Felicyan Drużyna. Dawniéj bogaty, ale w zamieszkach krajowych straciwszy tak majętność, że przy jednéj małéj został wiosce, wałęsał się długo po świecie na zachód i północ; potém powrócił na Polesie, i ledwie z fortuny znacznéj ocaliwszy ten okruch mały, ożenił się, owdowiał, oślepł, i zaniemógłszy tak, że nie chodził, umrzéć już chciał tylko, bo się straszliwie męczył, a śmierć codzień wywoływana nie przychodziła.

Dom w Małyczkach dawniéj fundum dóbr znacznych, obszerny, stary, ciemny, z ogrodem strzyżonym, sadzawkami, kaplicą, skarbcem, tak pozostał jak go byli rodzice jeszcze rotmistrza zbudowali; ale się to wszystko chyliło do upadku: na jednéj wiosce nie było sposobu utrzymać tych splendorów. Życie starca było najosobliwszego rodzaju. Czy się z tém urodził, czy ludzie go tak zagryźli, czy choroba skwasiła, stał się

najnieznośniejszym pod starość. Nie odstępował go nigdy syn już blizko trzydziestoletni, i uboga krewna wychowanka jego żony, skazani na nieustanne męczeństwo i najdespotyczniejsze kaprysy rotmistrza.

Pomimo ślepoty i niedołężności taki się duch krzepki trzymał w tym człowieku, że dotąd nic z rąk nie chciał puścić; z synem się obchodził jak z dwunastoletnim dzieciakiem, z wychowanką jak ze sługą, czeladź trzymał w najostrzejszym rygorze. Klucze mu przynoszono codzień pod poduszkę, a jeśli komu kazał za karę wsypać, nigdy mniéj nad 50, starszym po 100. Wszystko w domu ulegać i służyć mu musiało na skinienie, z każdéj najmniejszéj rzeczy zdawano przed nim rachunek.

Ślepy, znudzony ciemnościami w których był pogrążony, a co gorzéj bezczynnością, w zarządzie domem i gospodarstwem szukał roztargnienia, a w męczeństwie najbliższych sobie istot żywiołu i zajęcia. Jemu służyło tylko to, co go otaczało; nikt dla siebie prawa żyć nie miał. Szpiegowstwo uregulowane na wielką stopę weszło w obyczaj, wieczną wrzawą i niepokojem napełniając dom ten nieszczęsny, w którym nikt od niego wolnym nie był: syn nawet, poddany ojcu, przybity, Jan Drużyna siedział u łoża chorego, straciwszy nawet ochotę do życia.

Rotmistrz znowu srogi władzca dla swoich, obcym wydawał się najmilszym w świecie człowiekiem: w istocie innym był całkiem dla świata, innym dla domowników i rodziny. Dla gości uprzejmy nad wyraz, uczynny dla sąsiadów, wylany dla biédnych; przemawiał słodko, żartował, uśmiechał się, przysługi robił, i kto go nie znał, zdaleka zaledwie mógł wierzyć, żeby stary wojak takim był tyranem. Zapewne choroba nieznośna, męczarnia ślepoty, boleści i nocy bezsenne tak zgryźliwym i przykrym uczyniły jego charakter; serce widać zostało nienadwerężone, choć się niém ze swemi nie dzielił przez jakiś dziwny system surowości. Przesadzone pojęcie karności wojskowéj i potrzeby silnéj ręki w rządzeniu domem i gospodarstwem, przyczyniały się do utrwalenia tego despotyzmu. U łoża starca dwie istoty: syn Jan i kuzynka uboga Marya wiedli dni, któreby żółcią samą były zaprawne, gdyby ich nie osła-

dzało wzajemne przywiązanie. Domyślił się go starzec, wyprowadził sam nawet na wyznanie, ale otrzymawszy je podstępnie, obojgu pod przekleństwem myśleć o połączeniu zakazał. Zostawił ich tak osamotnionych, jedno z drugiém nie rozłączając, a rozkazem absolutnym sercom ich pozamykać się kazał, sądząc, że słowo jego będzie wszechmocném, że nic sprzeciwić się mu nie ma prawa. Młodzi zamilkli i we łzach spełniali daléj ciężką powinność, tając się z przywiązaniem przed starcem.

Dzień i noc potrzeba było zostawać przy rotmistrzu, który ze spuchłemi nogami w łóżku leżąc lub z krzesłem wytaczany na kilka godzin do pokoju, zawsze przy sobie kogoś, najczęściéj Maryą lub Jana miéć musiał. Sen mając przerywany i krótki, zadrzémywał o dziesiątéj, budził się z północy, po kawie nadedniem trochę zasypiał i potém do obiadu ciągle się czémś zajmował, zwołując do łóżka z kolei sług i oficyalistów; ledwie oczy przymrużywszy nieco po jedzeniu, budził się znowu, by rozkazywać i pędzać do nocy. Z kalectwem podwójném, przy męczarniach swych rotmistrz wcale się nie szanował: pił wódkę kilka razy, jadł za cztérech, a żadna rada lekarska ani perswazya powstrzymać go od tego nie mogły.

U krzesła jego lub łóżka wytaczały się sprawy o najdrobniejsze gospodarskie i zarządu domowego szczegóły: konfrontowano ludzi, inkwirowano, sądzodo; a Drużyna tak dobrze wiedział i pamiętał co raz mu powiedziano, że mimo braku oczu nic się przed nim utaić nie mogło.

Zdrowszy jeszcze nieco i nim oczy stracił, za życia popielańskiego pana, rotmistrz był jednym z największych jego przyjaciół i najczęstszych gości; widywał go tam Jermoła, a starzec przez pamięć dla przyjaciela, czasem mu w jego osieroceniu czémś pomagał. Poszedł więc i teraz naprzód do niego do dworu poradzić się Jermoła, ufając wielkiemu rozumowi i dobremu dla siebie sercu pana Drużyny.

Radzi tam byli każdemu nowemu przybyszowi we dworze, bo albo od rotmistrza odrywał na chwilę jego niewolników, dając im cokolwiek odetchnąć, lub

rozweselał go potrzebą przybrania tego tonu, jaki miał zawsze w pogotowiu dla obcych schorowany starzec.

Gdy znać dano panu Drużynie że Jermoła widzieć się z nim żąda, zaraz jął wszystkich pędzać, żeby go przyprowadzili; przynieśli wódkę i przekąskę dla gościa, i z uprzejmości dla niego znalazł sposób wyłajać połowę swego dworu. Usłyszawszy kaszelek w progu, powitał go swoim najsłodszym humorem:

— Jak się masz stary? co tam słychać w Popielni.

— A cóż? nic, Jaśnie panie: pustka tylko i bieda.....

— No, a ty co tam porabiasz? Co tam nowego?

— O! i bardzo nowego—westchnął Jermoła—pan nic nie wié?

— A zkądże u kroć sto tysięcy kaduków miałbym wiedzieć—zawołał rotmistrz.—Widzisz, że jak Łazarz leżę w ciemnościach, a ci co mnie otaczają, nie powiedzą pewnie coby mnie rozweselić lub zająć mogło: wolą milczéć lub stękać i wzdychać. Cóżto się tam stało?

— To taka przygoda, żem ja myślał, że o niéj już i o sto mil wiedzą?

— No, ale cóż, cóż przecie mój bracie, gadajno?

— Pan Bóg mi dał dziecko.

— Co u diabła? czyś się oszalawszy ożenił?

— Ale nie, proszę Jaśnie pana.

— A, to coś gorszego jeszcze.....

— Jaśnie pan nie rozumié.

— Mówże jaśniéj mój Jermoło, co u licha?

— Trafiło mi się to jeszcze w kwietniu, że ktoś mi chłopaczka podrzucił.

— Jak? co? kiedy?—niespokojnię podchwycił rotmistrz.....

— W kwietniu.

— Ano, powiédże mi jak się to stało?

Jermoła ze szczegółami opowiedział przygodę swoję, pociechy, kłopoty, historyą całą kozy i dziecięcia; daléj trudność zarobkowania, naukę czytania, chęć wyuczenia się jakiegoś rzemiosła. Starzec słuchał bacznie, a co dziwniejsza, pan Jan u drzwi stojący, choć miał już wyjść na świeże powietrze odet-

chnąć, tak się uczuł pochwycony opowiadaniem Jermoły, że do końca téj historyi pozostał.

— To dalipan coś ciekawego!—zawołał rotmistrz wysłuchawszy.—Jakaś wyrodna natura rzuca pod drzewem sierotę, a Pan Bóg mu stręczy takiego ojca, jakiegoby krew nie dała! Tylko stary mój przyjacielu, zapóźno ci przyszło to błogosławieństwo, widzi mi się; jak świat światem nie słyszałem, żeby się kto w twoim wieku uczyć czegokolwiek poczynał, o rzemiośle nowém zamyślał, i tak dalekie snuł projekta. Wiele ty masz lat?

Jermoła w istocie wiedział bardzo dobrze, że ich liczył sześćdziesiąt kilka, ale się obawiał przyznać, żeby go rotmistrz nie zbijał i nie straszył: odparł więc poprostu:

— Albo się to u nas liczy? Jak siwy, to i stary; jak niezdara, to grzyb: zresztą Pan Bóg tam najlepiéj wié tę liczbę.

— Pan Bóg! ba! ba! wiedzą i ludzie! Ja ci sam powiem wiele ty lat miéć możesz—przerwał rotmistrz obrachowując na palcach.—Mogłeś mieć sześć, siedm, gdy cię z pastuszka wzięto do dworu. Mnie tu jeszcze nie było; ale lat 40 jakem powrócił, już wówczas nieboszczyk mi mówił, żeś u niego był około lat siedmnastu: obliczywszy się szczelnie, sześćdziesiąt z czubem mój bracie....

— Może to być, ale kiedy człek zdrów i silny.

— A! to wielkie szczęście—zawołał rotmistrz—nie tak jak ja kaleka od Boga nawiedzony i ludziom ciężarem będący, którego ziemia nawet nie chce, choć się jéj dawno należę.

— Co tam Jaśnie pan mówi!

— No! no, praw swoje: człek stęknąć musi, gdy go boli.

— Ot—rzekł Jermoła powoli—malca mojego wychowuję, pracować muszę na niego i na siebie, a w polu niebardzo zdążam: chciałbym sobie inny zarobek wymyślić, rzemiosła się jakiego wyuczyć.

— Toś ty trochę podszalał mój poczciwcze — zaśmiał się Drużyna—a toćto ci sama nauka dużo czasu zabierze! Gdzież będziesz terminował? ani ręce, ani oczy, ani siła potemu....

— Juściż żebrać pójść nie mogę....

— Nie zechcesz....

— I dla siebie i dla dzieciny... wstyd jakoś z torbami się wałęsać.... Nie.... nie....

— No! ale jakże potrafisz na starość wyuczyć się rzemiosła?

— Mnieby się zdawało, że to łatwiéj przyjdzie jak młodemu: człek uważniejszy i wié na co się to przyda, nic go nie odrywa, siedzieć na miejscu lubi, a ręce toć takie same.

— A! a! kochanku! jeszcześ ty bardzo młody, kiedy tak mówić możesz.... Cóż wspólnego staremu z młodym??: nic, nic—inne serce, inna głowa, inne ciało, inny człowiek, i gorszy i biedniejszy. Szczęśliwyś, że jeszcze tak odważnie brać się możesz do dzieła.

— Bo mnie się zdaje, że kiedym się dla tego dziecka czytać nauczył, to i rzemiosła potrafię...

Rotmistrz westchnął.

— Wybierzże sobie co łatwego przynajmniéj — rzekł kiwając głową.

— Radzili mi krosna, ale nie mam ani za co kupić, ani gdzie postawić: u mnie ciasnota....

— A ty co myślisz?

— Ja, prawdę powiedziawszy, przywlókłem się tu do Prokopa....

— A! garnki lepić!—począł śmiać się rotmistrz—jeśli takie jak on, to niedaleko zajedziesz...

— Byle mi cokolwiek pokazał, to i lepsze potrafię; ale Prokop zazdrosny podobno, uczyć mnie nie zechce.

— Na to byłaby rada—rzekł rotmistrz—kazałbym go zawołać i rzekłbym tylko słówko; nie ma tajemnicy, żeby ci jéj nie wydał, jak mu nakiwam.

Jermoła głową potrząsł.

— E! z musu, jakoś to nie idzie....

— Poprobujże dobrą wolą, a jak ci się nie uda, już ja na to poradzę.

I nakarmionego odprawiwszy Jermołę, rotmistrz kazał mu jeszcze przyjść do siebie wieczór z doniesieniem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NAJDAWNIEJSZE DZIEJE

Salin krakowskich aż do żupnictwa Jana Bonara, czyli do r. 1515 (*).

PRZEZ

Hieronima Łabęckiego.

Brak dziejowéj pewności co do początków kopalń soli niedaleko Krakowa, nie jednego już sporu historyków naszych był przyczyną. Najważniejszym o nich wzmiankom zaprzeczano wiarogodności, dlatego że zbywało na jasném poparciu; a co gorsza, przeistaczane o ich powstaniu późniejsze podania, nastroszone cudownością i do baśni zbyt zbliżone, resztę zaciemniały. Rozjaśnienie tego, co wiedzieć możemy o tych najdawniejszych kopalniach polskich, musi przeto służyć za wstęp do dziejowego wywodu, i o to się tu pokusimy.

(*) W roku 1841 P. Hieronim Łabęcki wydał we 2 tomach: „Górnictwo w Polsce." Piérwszy tom zawierał głównie historyą górnictwa, drugi *dyplomataryusz* górniczy. Dzieło to dziś już jest w handlu księgarskim wyczerpane. Autor nie ustał w pracy: zbierał ciągle zasoby historyczne, uzupełniał i wyświecał wypadki: studia te wiele rzeczy sprostowały, objaśniły, znalazły się obszerne dopełnienia, i nowych szczegółów nie brakło, które rzucały nawet niemałe światło na ogół. Tak uzupełniony rozdział z drugiego wydania, który tu ogłaszamy, może być skazówką tego, czém będzie to drugie wydanie, albo raczéj nowe dzieło: *Dzieje Górnictwa.* *Przyp. red. B. W.*

Biblioteka Śląska

Opierając się na tynieckich dokumentach, saliny te sięgać mogą Chrobrego wieku; wieści zaś Długoszowe służyły nie jednemu dorywczo je chwytającemu za podstawę mylnego twierdzenia, że dopiéro obrączka św. Kunegundy piérwszym była powodem kopania szybu na sól w ziemi krakowskiéj.

Istotną prawdę podań wyjaśnić powinna historyczna krytyka, sprawdzając wiarogodne dyplomata i prawdopodobieństwo podań.

Odnoszące się do salin polskich dyplomata dość są liczne i dawnych sięgają czasów, wzmiankują bowiem o soli w Wieliczce i Bochni już w XI wieku; znakomitą zatém bytowi kopalń tych starożytność naznaczyć dozwalają.

Że w Wieliczce znaną być mogła sól w początku lub w najgorszym razie przy końcu XI wieku, twierdzenie takie oprzéć się daje na wyrazach najdawniejszego z dokumentów tynieckich, a mianowicie na tak zwanym przywileju Idziego tuskulańskiego biskupa, nad którym nam przeto zastanowić się tu wypada.

Dzieło Szczygielskiego Tinecia (1), a nadewszystko przedrukowane w niém dokumenta, nauczają, że Benedyktynów sprowadził Bolesław Chrobry (999—1024), klasztor na skale tynieckiéj nad Wisłą im założył, i hojne zapisy poczynił: chociaż i to wzmiankować się tu należy, iż tenże pisarz w inném miejscu dzieła swego (str. 6) twierdzi, że ich Kazimiérz Mnich do Polski miał sprowadzić. Oprócz Chrobrego, obdarzyła nowemi tenże klasztor zapisami Judyta, córka Władysława księcia czeskiego, żona Władysława Hermana, zmarła 1089 (2).

Na czele dyplomatów służących Benedyktynom tynieckim zamieszcza Szczygielski (str 138) akt spisany przez kardynała Idziego biskupa Tusculum. Dopóki akt ten znany nam był tyl-

(1) Tinecia, sive historia monasterii tinecensis ordinis Sancti Benedicti, primariae inter polonica coenobia venerationis, per R. P. Stanislaum Szczygielski bibliothecarium ejusdem monasterii. Crac: ex officina Schledeliana S. R. M. Typ. a. 1668. W 4ce str. 275.

(2) Benedyktyni zostali zniesieni na Tyńcu w r. 1817, klasztor ich oddano Jezuitom; lecz ci opuścili go, gdy piorun w d. 2 maja 1831 r. kościół i klasztor spalił. Kościół nieco naprawiony i pokryty już tylko gontami, w miejsce stopionéj blachy miedzianéj, obrócono na parafialny.

ko z przedruku tego, anachronizmy w nim dostrzegane, niezgodności z datą r. 1105, a może i błędy drukarskie, czyniły go podejrzanym Naruszewiczowi (1), a następnie Lelewelowi, autorowi Początkowego prawodawstwa polskiego (r. 1828), który go jednak także przedrukował (Począt. praw. pol. str. 160); a w przypisie wyraziwszy swe wątpliwości, głównie co do daty, uważał go za kompozycyą nader dawną, na wzór aktów XI lub początku XII wieku utworzoną, i dlatego za źródło historyczne bardzo ważne.

W. A. Maciejowski wykrył oryginalnego aktu tego transumpt z r. 1275, czyli potwierdzenie przez Bolesława Wstydliwego i Kunegundę, aktu poprzednio spisanego przez kardynała Idziego biskupa tuskulańskiego, i legata od papieża Kaliksta do Polski i Węgier, z datą r. 1105; za pomocą niego zachwianą autentyczność tego przywileju tynieckiego ustalił, i czystą jego redakcyą z historycznemi objaśnieniami ogłosił drukiem w Bibliotece Warszawskiéj z r. 1847, Tom IV, str. 287.

W. A. Maciejowskiemu winniśmy przeto dowód i wykazanie, że akt ten jest lepianką dawniejszych, gdyż obejmuje dobrodziejstwa udzielone klasztorowi tynieckiemu przez Bolesława Chrobrego (999—1024), przez Judytę żonę Władysława Hermana († 1089), Bolesława Krzywoustego (1102—1139), a nawet biskupa krakowskiego Radosta (1117—1142); również dowodzi, że akt ten spisany być mógł w r. 1105, (którą datę nosi), a po domieszczeniu dopisków przez Radosta biskupa krak., za legacyi Idziego około r. 1125, przez tegoż z dawną datą zostawiony. Wyraźnie w samym dyplomacie oddziela Maciejowski dobrodziejstwa pochodzące od Bolesława Chrobrego od tych, które były z hojności Judyty; a następnie od tych, które od Bolesława Krzywoustego i syna jego Władysława pochodzą.

Między nadaniami sięgającemi piérwszego z tych okresów, wyliczone są: w Sydzinie cztery źródła solanki (surowicy), i dwa szynki (soli), po warze soli z każdéj panwi i warzelni; daléj w Wieliczce (ad magnum salem) pobór od czterech targów (cztery targowe), i cztery szynki (soli), i pecyny (zapiekanki), i co tydzień trzy niecki soli i czwartéj połowę ($3\frac{1}{2}$ niecek),

(1) Naruszewicz Hist. Narodu Pol., wydanie lipskie Bobrow. T. II, str. 287; T. III, str 250; T. IV str. 285.

i siedm (niecek soli) na drzewo. Łapczyca z Kolanowem i solą, i t. d. (1).

Z nadań tych wyprowadza się wniosek: że źródła solanki znano w przyległych siebie Sydzynie i Wieliczce już w połowie XI wieku, bo tamże jest tylko mowa o warach soli, o panwiach (sartago), o warzelni (dedina), o zapiekankach (pecyna), o nieckach soli (alvei), i że podobnież już wiadome były źródła słone we wsiach Bochni przyległych: Łapczycy i Kolanowie.

(1) Wyrazy dyplomatu: in Sydzina quatuor surouice et due taberne, et zamar de unaquaque sartagine et dedina.... ad magnum salem quatuor thargowe et quatuor taberne et pecine, et qualibet septimana tres alveos et quartum sredne, et septem pro lignis, Lapsicia et Coyanow, et sale et servo Zului et fratribus ejus.

Nie zawadzi domieścić tu następujące wyjaśnienia:

a) Surouice; na Rusi surowicą, my zaś solanką zowiemy wodę ze źródeł słonych;

b) zamar, czytać należy właściwie *zawar*, bo *m* i *w* bywają do siebie w dawném piśmie podobne, równie jak i *n* i *u*, lub *t*, *c*, i *r*, i trudne do rozeznania;

c) sartago, według Ducange Glossar., brytwanna, kanał. Mówi o sartagines dyplomat dla Wąchocka z r. 1249. Przy ważeniu soli, znaczy panwie czyli ceruny, tojest, płaskie kotły do warzenia soli;

d) dedina, czytając dziedzina, domysł następujący zdaje się rzeczywistym: W średnich wiekach, główną rzecz, ciągłą czynność lub obowiązek oznaczano przymiotnikiem hereditarius, po niemiecku *erb*, zatém tam gdzie główną czynność ciągłego warzenia t. j. war po warze dokonywano, czyli zakład taki, mógł być dziedziną zwany. W podobném znaczeniu dziedziczny, zamiast: główny, stały, ciągły, zdarza się także w dyplomatach górniczych olkuskich;

e) pecine, pecyna, przypieczona sól, zapiekanka; co bliżéj objaśniają wyrażenia innych dyplomatów, mianowicie staniątkowskie, jakoto:

R. 1242: duo porciones salis que vulgo peczini et corcze vocantur ad magnum salem.

Lepiéj jeszcze z r. 1254: cum stilla de caldario in ignem distillante, vulgariter pecina dicta apud magnum salem, t. j. krople soli z ceruna na ogień sączące się, zatém przypieczone czyli zapiekanka; pecynami do dziś zowiemy kłęby glinki suszone i na pół upalone przy wyrobie naczyń ogniotrwałych, fajansu i t. d.

f) tres alveos et quartum sredne, zasadnie W. A. Maciejowski tłumaczy: trzy niecki i czwartéj połowa.

g) septem pro lignis, znaczy siedm niecek soli na zakup drzewa do waru soli.

Z dwóch więc dzisiejszych salin krakowskich, wielicka widocznie jest dawniejszą, a nazwa wielkiéj soli *magnum sal* dla Wieliczki, świadczy o wczesnéj jéj ważności i rozległości.

Przejdźmy do następnych wspomnień o téj salinie. Przywiléj wydany w Gnieznie w dzień św. Wita r. 1145 przez synów Bolesława Krzywoustego, t. j. Mieszka (Starego), i Bolesława (Kędzierzawego), oraz Henryka i Kazimierza (Sprawiedliwego), (Codex Dipl. Poloniae T. II in supplem.) zatwierdza różne nadania dla klasztoru kanoników reguły św. Augustyna w Trzemesznie, gdzie między innemi wspomina o soli *ad magnum salem* czyli w Wieliczce.

Inna kronika klasztorna miechowity Sam. Nakielskiego, opisująca dzieje miechowskich Stróżów grobu Pańskiego, obejmuje znowu wzmianki odnoszące się do pierwotnych dziejów Bochni (1).

Nakielski nam opowiada, że Jaksa z Miechowa h. Gryf, wracając po drugiéj wyprawie krzyżowéj z Ziemi świętéj do Polski, sprowadził zakonników Stróżami grobu (bożogrobcami) zwanych, r. 1162, nadał im trzy wsie: Miechów (późniéj miasto), Zagorzyn i Komorów, i wyrobił u Bolesława Kędzierzawego, iż uwolnił poddanych w tych wsiach od wypraw wojennych, budowania zamków, opłacania poradlnego, wymiany pieniędzy u mincarza, i tak wówczas uciążliwych: przewodnika i podwód (2).

Następnie Michora h. Gryf, żyjący za Kazimierza Sprawiedliwego (1178—1198), nadał klasztorowi miechowskiemu sól we wsi własnéj dziedzicznéj Bochni.

Nakielski przedrukował dyplomat potwierdzający założenie i nadania miechowitów, wydany roku 1198 przez ówczesnego ich patryarchę jerozolimskiego, jak się sam tamże mieni:

(1) De sacrosancta antiquitate et statu ordinis canonici custodum Sacrosancti Sepulchri Domini Hierosolymitani, in gratiam Miechovianae congregationis, libri tres, Samuelis Nakielski S. Th. licentiati, ejusdem Sacri ordinis in conventu miechoviensi Professoris, Ecclesiae S. Hedvigis in ponte regio ad Cracoviam praepositi. Cracoviae in officina Francisci Caesarii a. Dni 1625 w 4ce. str. 208.

(2) Statuit siquidem, quod homines in villis his habitantes, ad expeditionem non eant, castrum non aedificant, poradlne non dent, monetario non obediant, powoz et podvode non tribuant. (Miechovia str. 146).

mnichem z bożéj łaski, patryarchą kościoła św. zmartwychwstania (1). W dokumencie tym potwierdza on powyżéj wspomnione nadania dla kanoników Bożogrobców, od Jaksy z Miechowa, przez Bolesława (Kędzierzawego) dozwolone; a przywodząc potém potwierdzone przez Kazimierza (Sprawiedliwego) przywileje Mieczysława (Starego), dodaje: iż za przykładem księcia tego poszło wielu mężów szlachetnych (viri nobiles), którzy dobrodziejstwa dla zakonu czynili, a między temi kładzie Michorę (2), iż on dał nad rzeką Rabą wieś Chełm z kościołem i dziesięcinami, targ i karczmę, i inną wieś Nieskowice (pod Sączem), oraz oddał sól z Bochni, inną sól w Prewechnie czy w Przeginie (chociaż właściwie in Prevechna czytać należałoby w Przewiecznie), i trzecią sól w Sidzinie (in Sidigną) oraz karczmę w Studzience (Studenca). Następnie jeszcze przytacza, iż hrabia Radosław (3) nadał im Skaryszew z takiém prawem, że od przyjeżdżających z solą, z każdego wozu 50 głów soli dziedzic gruntu, a 12 głów klasztór miał pobierać. Mowa to o głowach soli warzonéj, a zatém dowód starożytności wywarzania, a przynajmniéj używania w krajach polskich takich główek czyli hurmanów, dotąd pod Karpatami produkowanych.

O powyższych trzech nadaniach Jan Długosz w spisie uposażeń (Liber beneficiorum Dioecesis Cracov.), w r. 1448 zebranym na zlecenie Zbigniewa Oleśnickiego biskupa krak., daje następujące wyjaśnienie (4): iż w Bochni miał klasztor miechow-

(1) Monachus Dei Gratia, sanctae resurrectionis ecclesiae patriarcha. ...

(2) Dominus Michora dedit nobis super Rabbam villam quae dicitur Quelme cum ecclesia et decimis, forum et tabernam, et aliam villam Neskovice, item addidit sal de.Bochegna, aliud in Prevechna, tertium sal Sidignam et aliam tabernam Studencam.

(3) Comes Radoslaus dedit nobis Skariszow.... domino vero terrae de quolibet plaustro salis quinquaginta capita, domui vero duodecim capita salis accipere constituit.

(4) U Nakielskiego przedrukowany ten ustęp Długosza na str. 151, brzmi tak: Sal in Bochnia primum; habuit in principio fundationis suae monasterium miechoviense specialem fundum seu puteum, ad proprietatem suam pertinentem, de quo habebat uberes introitus, sed alienatus est a monasterio per Michoram militem.

Sal secundum in Przeniechan; habuit et alium fundum seu puteum salis monasterium miechoviense in villa sive loco Przeniechan, in quo tunc vena salis fecunditer proveniebat, sed vena

ski swój własny szyb darowany przez Michorę, z którego znaczne ciągnął zyski, lecz ten został sprzedanym. Miał też drugi szyb solny w Przeniechan (w Przeniesze lub raczéj Przegini Duchownéj koło Chrzanowa), gdzie naówczas żyła soli obfita znajdowała się; ale gdy żyła ta ustała i dochód z soli przepadł. Trzeci szyb miał w Sidzinie blizko Wieliczki; lecz po wyczerpnięciu tego szybu (a jak Długosz się wyraża, po wyschnięciu téj studni), sprzedał go klasztor.

Zdaje się, iż wszędzie tu o soli płynnéj czyli o źródłach słonych jest mowa, bo nadania są: to głów soli, to studni solnych (puteus), w różnych miejscach. Późniéj, gdy w rozleglejszych rozmiarach poznane zostały bogactwa solne w Wieliczce i Bochni, opuszczono te źródełka słone w ich pobliżu tryszczące.

Mało co mniéj dawne jak miechowitów jest nadanie solne klasztoru Cystersów sulejowskich. Długosz przywodzi (1), iż Kazimierz (Sprawiedliwy) ks. sandomierski, quarto idus Augusti anno 1176, założył w Sulejowie nad Pilicą klasztor Cystersów, i jako piérwszy opiekun, nadał mu w uposażeniu folwarki, wsie, dziesięciny i sole, oraz 13 wozów soli z ceł sandomierskich i nieckę soli z krakowskich.

Dyplomat ten z r. 1176 (lecz bez daty dnia, wydrukowany w Cod: Dipl. Pol. T. I str. 11), naucza, iż owe 13 wozów soli miały być z soli ruskiéj; co do niecki soli nie wyjaśnia z którego miejsca pochodzącą dostawać, tylko że w Krakowie odbiérać ją mieli (2).

salis dispereunte, ille etiam reditus periit. Tertium sal in Szydzina; habuit et tertium puteum salis monasterium miechoviense in villa Szydzina prope Wieliczkam, sed ille quoque puteus siccatus et exterminatus est, et a monasterio miechoviensi alienatus; donatum monasterio per Michoram militem.

(1) Dux Casimirus, velut primarius fundator et patronus, praedia, villas, decimas et sales, coenobio praefato (in Sulejow) contulit in dotem.... contulit etiam monasterio praedicto.... tredecim plaustra salis in theloneo sandomiriensi, item alveum salis in cracoviensi, p. Długosz Hist. ks. VI str. 531.

(2) Conferimus etiam eidem claustro (Siliow), singulis annis tredecim plaustratas salis integraliter, sicut de Russia ducuntur, de theloneo in Sandomiria recipiendas, et alveum salis in Cracovia, et novem castores annuatim de camera mea recipiendos. Codex Diplom. Poloniae T. I str. 12.

Klasztor sulejowski w wiekach następnych z nadania tego nie korzystał, albowiem znajdujemy w akcie kommissyi lustracyjnéj żup wielickich z r. 1698 następującą w téj mierze wiadomość zapisaną (1):

„Deklaracia wielebnym OO. konwentu suleiowskiego. Produkowali przed nami WW. OO. cistersenses conventu suleiowskiego, przywileje super alveum salis annuatim klasztorowi swemu służące, jeden anni 1262 confirmationis ks. Bolesława, in suo originale privilegium księcia ieszcze Kazimierza de anno 1176 w sobie includuiący, a drugi confirmationis także ks. Konrada (II mazowieckiego), in anno 1279 toż samo Casimiri ducis privilegium reassumuiący, vigore których przywileiów, upraszali, ażeby ad perceptionem annuam bałwana soli z żupp J. K. Mci admitti mogli; więc lubo widzieliśmy w tych przywileiach realia et antiquitate incorrupta o téy soli testimonia, że iednak w starym pensionarzu żadnéy tegoż nie masz pamiątki, przeto pro sublevanda gratia et decisione intermissi usus (przerwanego użytku), convent pomieniony ad respectum (do łaski) J. K. Mci Pana Naszego Miłościwego odsyłamy."

Następnie skutkiem tego, klasztor sulejowski z Wieliczki otrzymywał 8 beczek soli rocznie, jak przekonywają pensyonarze żupne, t. j. wykazy rozdawanéj darmo soli (np. z r. 1717).

Oprócz słonych źródeł w XII wieku w Wieliczce, Sidzinie, Bochni, Kojanowie, Przewiecznie czyli raczéj Przegini, i wiadomości że już na Rusi z surowic sól przewarzano; jeszcze o innych solankach pod Krakowem są wzmianki w początku XIII wieku.

I tak, z przywileju Iwona biskupa krakowskiego z r. 1222, dla klasztoru Cystersów w Prandocinie, dowiadujemy się, iż nadał im folwark zwany Mogiła (clara tumba), i że tam było źródło słone prawem dziedzicznem przez niego posiadane (2).

Przywilej Bolesława Wstydliwego księcia krak. z r. 1244, potwierdzający darowiznę Grzegorza scholastyka krak. temuż klasztorowi w Mogile, wymienia jeszcze źródło solne leżące przy Wieliczce w miejscu zwaném *Moristas* pod Marcinową wsią (3).

(1) W arch. metr. kor. księga lustracyi wojew. krak. z r. 1698 str. 154.

(2) Fontem salis, qui mihi jure pertinebat hereditario.

(3) Unum fontem salis, qui Moristas appelatur, et jacet apud Salem majorem, prope villam Martini.

Klemens (czyli Klimunt) Jaksa z Ruszczy hr. Gryf, kasztelan krak., wystawił dla swéj jedynéj córki Wisenny, klasztor w Staniątkach, w którym ona była ksienią. Klasztor ten według dyplomatu Konrada Mazowieckiego księcia krak: i łęczyckiego z r. 1242, stwierdzającego jego nadania, otrzymał od Jaksy biskupa mazowieckiego synowca fundatora, wieś Łopankę wraz z solą; a jak się z jednego z późniejszych dyplomatów tegoż klasztoru z r. 1253 wyjaśnia, było tam źródło słone (1). Dał on także dziedzictwo od Wincentego (2) kupione, które się zowie Bochnia; a prócz téj soli, wyznaczył jeszcze dwa udziały z Wieliczki, zwane pospolicie pecyny i korce (3). Tu pecyny oznacza sól w ogniu zapiekaną, korce zaś sól drobną na miarki.

W potwierdzeniu tego przywileju przez Konrada II księcia krak., Kujaw. i Mazowsza z r. 1241, wyrażono: *auzoria salis et pecini ad magnum salem*, co oznacza gruzły soli warzonéj i zapiekankę z Wieliczki.

Bolesław Wstydliwy powróciwszy do kraju w r. 1248 z Morawii, gdzie się był schronił przed napadem Tatarów, potwierdził w r. 1254 nadania powyższe Konrada mazowieckiego jako księcia krakowskiego, Benedyktynkom w Staniątkach; wymienia w Wieliczce nieckę soli z kropelkami, które z cerunu w ogniu się skraplają, zwykle pecynami zwane, tudzież gruzły soli i grudy, które dawniéj koniuszy księcia krak. pobierał; w Bochni zaś miarę soli co dni ośm, na wieczne czasy, która dotąd należała do kasztelana krakowskiego (Klemensa Jaksy), a w Łopance wsi należącéj do klasztoru Staniątkowskiego, sól (albo raczéj źródło słone). Oprócz powyższych udziałów soli z Wieliczki i Bochni, Bolesław Wstydliwy wraz z swą matką, przeznaczył klasztorowi Staniątkowskiemu za wstawieniem się Wierzbięty Jaksy (fratis Virbintae), proboszcza miejscowego, późniéj opata tynieckiego, a brata Jędrzeja Jaksy biskupa płockiego, przez wzgląd na zasługi, jakie tenże Wierzbięta w urzą-

(1) Lopenca cum fonte salis.

(2) Wincenty Jaksa z Brzeźnicy, comes et heres in Bochnia, wspomniany jest w liście z klasztoru w Trzemesznie z r. 1106 przez Nakielskiego i Niesieckiego (pod h. Gryf), który jednego z wnuków jego zowie także Wincentym.

(3) Contulit insuper et Lopancam cum sale et hereditatem Vincentii que Bochnya dicitur.... et duas porciones salis que wlgo peczini et corcze vocantur ad magnum salem.

dzeniu Bochni położył, corocznie jeden war czyli cerun soli (chran, cran), z zapiekanką, przepisując aby na war soli dziennie ze źródła słonego brano solanki siedm beczek. Z Wieliczki zaś wyznaczył nieckę dziedziczną soli, także zapiekankę i z dodaniem datku soli zwanego żłoby (slobi), co zapewne znaczy pobór płynnéj solanki (1).

Panny zakonnice staniątkowskie, późniéj jeszcze, według pensyonarzy żupnych z r. 1717 i następnych, pobierały z Bochni 16 beczek soli.

Sól była skarbnicą książąt polskich, w któréj czerpali dla siebie łaski dla otaczających ich dostojników i sług, jak widzieliśmy dopiéro co wymienionych w przywileju staniątkowskim z r. 1254: kasztelana krakowskiego i koniuszego dworu, a źródłem hojnych szafunków dla klasztorów i duchowieństwa, uposażonych w stały dochód soli.

Widzieliśmy, że najdawniejsza wzmianka o Wieliczce jest ustąpienie tamże przez panującego pewnych dochodów dla Tyńca; zatém Wieliczka była własnością monarszą, lecz Bochnia jeszcze aż do Bolesława Wstydliwego była dziedziczną Jaksów, bo same zapisy aż do jego czasów to wykazują; i zdaje się, iż ostatnim z dziedziców Bochni mógł być Jędrzéj biskup płocki lub brat jego Wierzbięta Jaksa proboszcz staniątkowski, braciszek benedyktyński, a następnie opat tyniecki, albowiem Bole-

(1) W przywileju Bolesława Wstydliwego z r. 1254 stoi: Conradus quondam dux Crac: donavit intuitu pietatis alveum salis cum stilla de caldario in ignem distillante wlgariter *pecina* dicta apud magnum salem, item ausoria et glebas salis a vulgo *grudas* vocatas que agazoni ducis cracovie pertinebant. Item mensuram salis in Bochna octava die semper recipiendam et perpetuo possidendam, que actenus spectabat cracovie castellano. Item in villa Lopanka que erat propria cenobii de Stanetek salem in perpetuum possidendum.... Boleslaus cum matre nostra dedimus nihilominus unum caldarium quod vulgo *chran* nominatur cum *pecina* in Bochna claustro de Stanetek, constituentes ut singulis diebus de fonte nostro liquidi salis in Bochna septem tine ad praefatum caldarium perpetuo conferantur, quod pro fideli servitio fratris Virbentae et impensis quas in opere salis in Bochna exhibuit.... et alveus salis ad magnum salem hereditarius latine, *dedische* wlgariter nominatus, cum *pecina*, et cum alia obventione salis que *slobi* wlgariter nominatur; quod praedium cum sale permutavit episcopus monialibus pro Lipova et Babici, (z dyplomataryusza staniątkowskiego).

sław Wstydl. mówiąc o Bochni jako o swéj własności, spomina wierne jego usługi i nakłady na prace około soli tamże.

Rozumiem, iż to przejście Bochni na własność panującego, mogło nastąpić między rokiem 1245 a 1250; że wprzód sama tylko Wieliczka stanowiła żupy solne książęce: wnosić ztąd można, iż na lat dwa przed ożenieniem Bolesława Wstydliwego z Kunegundą, bo pod r. 1239, u Długosza w księdze VI str. 658, tenże książę, Henrykowi Brodatemu ks. wrocławskiemu stryjowi i opiekunowi, w nagrodę za swe i księztw swych wyzwolenie z rąk Konrada mazowieckiego, odstąpił dochodów z dóbr i ceł w księztwach krakowskiem, sandomirskiem, tudzież z żup wielickich, lecz o Bochni nie wspomina.

Niedługo trwało to wyswobodzenie, ta miła choć drogo okupiona opieka, bo po śmierci Henryka r. 1238, znów wrócił się do niéj Konrad, a zaledwie minęła burza tatarskiego nawału, nowe z żup wielickich już czynił szafunki. W r. 1242 Konrad mieniąc się księciem krakowskim i łęczyckim, w obec i za zgodą synów swych: Bolesława mazowieckiego, Kazimierza kujawskiego i Ziemowita, oraz synowca Bolesława (Wstydliwego) księcia sandomierskiego, klasztorowi tynieckiemu przeznaczył nieckę soli z Wieliczki *łodnią* zwaną, na fundusz utrzymania świecy woskowéj i odbywania nabożeństwa za duszę syna jego Ziemomiła i rodziców swoich; nieckę tę wprzód kościoły krakowskie pobierały (1).

Wyprzedzając nieco potok dziejowy czasu, dla zamknięcia rzeczy z nadaniami tynieckiemi, z pomiędzy licznych dokumentów jeszcze jeden tu przytoczę, który również dotyczy poboru soli z Wieliczki. Leszek Czarny książę sieradzki następca Bolesława Wstydliwego w r. 1288 (2), zwyczaj dawania opatowi i klasztorowi Benedyktynów tynieckich przy obejmowaniu dzierżawy żupy wielickiéj przez nowego żupnika 40 grzywien srebrem, i 40 korcy (modios) soli, zmienił na stały dochód po 20 grzywien srebra rocznie od żupnika pod karą grzywny złota dla panującego, i dawania co tydzień korca soli (modium salis), dopóki téjże starczy, pod taką samą karą grzywny złota.

Według pensyonarzy żupnych wielickich, pobierał klasztor tyniecki jeszcze w XVIII wieku 16 beczek soli rocznie.

(1) Przywiléj ten dochował Szczygielski w Tinecia str. 151.
(2) W dziele Szczygielskiego Tinecia str. 161.—Górnictwo w Polsce T. II, str. 91.

Zachodzi pytanie, kiedy sól kopalną z tych miejsc wydobywać zaczęto, albowiem dotąd dostrzegaliśmy, iż tylko mowa była o warzonéj soli, którą wskazują najdawniejsze nadania: w surowicy (solance), w źródłach słonych (fons salis), w warach (zawar), w panwiach (sartago) i cerunach (caldar, chran); w zapiekankach czyli pecynach, nieckach (alveus), w żłobach, łodniach (łodziach), korytach, korcach (corcze, modius) i t. d.

Co do Wieliczki trudno oznaczyć kiedy dokopano się soli kamiennéj; wywarzanie solanki tamże, chwilę tę wiekami poprzedziło. Jednakże śmiem twierdzić, iż to mogło nastąpić w drugiéj połowie XIII wieku; bo chociaż o bałwanach soli nie ma jeszcze mowy, lecz piérwszy raz użyty jest wyraz *mensura salis*, a tak późniéj oznaczano długość bałwana, jak to poniżéj wykażemy. Wspomniany jest ten wyraz miary (mensura), w przywileju dla klasztoru wąchockiego z r. 1249, gdzie Bolesław Wstydliwy, zapisując im dziewiątą część dochodu z bocheńskiéj soli dla książąt pozostającéj, jaka tamże jest lub będzie, mówi czy to w wymiarach (twarda), lub nieckach (warzona), czy téż w panwiach (jako solanka) rozdawanéj (1), tudzież trzecią część wszelkiéj gdziekolwiek w ziemi sandomierskiéj odkryć się mogącéj soli (2). Jak wnet poniżéj zobaczymy, dopiéro dwa lata późniéj soli twardéj dokopano się w Bochni; że zaś mowa tu jest także o wszelkiéj soli jaka jest i będzie lub odkrytą zostanie, zatém wspomnienie to miar dozwala domyślać się, że wzmiankowanie soli twardéj opiéra się na tém, że już wówczas kopano ją, a przynajmniéj dokopać niezadługo spodziewano się w Wieliczce, owéj większéj salinie (sal magnum).

Domysł ten popiéram innym dokumentem, niespełna w rok późniéj wydanym dla Prandoty bisk. krak. r. 1250, którym Bolesław Wstydliwy wraz z matką swą Grzymisławą, zapewnia mu dziesięcinę z wszelkiéj soli w Bochni, czy to pobierać zechce

(1) Sive per mensuras, sive per alveos, et etiam sartagines distribuatur. p. Codex diplom. pol. T. I str. 54.

(2) Cystersi wąchoccy okazawszy kommissyi lustracyjnéj w Wieliczce r. 1661 odbytéj, przywiléj ten z r. 1249, oraz drugi z r. 1270 Bolesława Wstydli. potwierdzony przez Zygmunta Augusta r. 1551, na coroczny pobór z żup bocheńskich 30 grzywien i 3ch bałwanów soli, taż kommissya przeniosła tę dań soli na Wieliczkę, zkąd do panowania Stanisława Augusta pobierali rocznie 15 beczek soli i 48 złp. Przywiléj z r. 1249 wydrukowany w Dyplomataryuszu polskim T. I str. 54.

każdą 10ta panew soli (sartaginem), czy też 10ta część wartości soli, lub też na sposób jak w Wieliczce (1). Mówi więc wyraźnie o warzonce w Bochni, a wzmianka o Wieliczce, która już od dawniejszego czasu była książęcą własnością, i zapewne już wtedy obszerniejszą warzelnią, a może i kopalnią, domyślać się dozwala. że o twardéj soli z niéj mowa, jeżeli tylko owo wyrażenie *ad formam majoris salis* nie odnosi się do sposobu poboru soli,—co trudno rozstrzygnąć.

Długosz w księdze dziejów mówi: że r. 1251 sól twardą i zbitą we wsi Bochni wynaleziono (2), dodając, że wynalezienie to soli przypisywane jest zasługom świętéj niewiasty Kunegundy. Kromer zaś mówi, że za Kunegundy r. 1251 sól kruszcowa wynaleziona w Bochni, gdzie także wodę słoną wywarzają; a przytém, że niedługo potém także w Wieliczce w tenże sposób sól wycinać i wywarzać poczęto (3).

Widocznie tu dzieje kopalń soli są u Kromera pomieszane, bo jeżeli nawet w tych czasach Bochnia i Wieliczka powstały jako kopalnie soli, to już oddawna w Wieliczce i zapewne dawniéj znane były źródła słone i warzelnie solanki.

Do zaciemnienia dziejów tych przybywa jeszcze powieść o obrączce Kunegundy, o któréj wprawdzie dziejopisowie ci nie spominają, ale ją w roku 1543, po zwiedzeniu kopalni wielickiéj Szretter Szlązak wierszem łacińskim opisał, jako na miejscu upowszechnioną i rozpowiadaną (4). Opowieść tę sam bajką nazywa i wiarogodności jéj odmawia, mówiąc:

(1) Venerabili patri dno Prandote..... et per eum ecclesie cracov., jus decime totius salis nostri in Bochna.,... sive quod decimam sartaginem habeat, sive decimam partem totius precii, sive ad formam majoris salis, secundum ipsius episcopi obvenientiam. Życie Prandoty Gładysiewicza str. 202.

(2) Sal durum et compactum, quod extrahitur in speciebus grossis... repertum est. Długosz Histor. T. I libro VII str. 719.

(3) Salis metalla apud Bochnam inventa sunt, aqua item ex puteis hausta in sal candidum excoquitur.... Aliquanto post etiam apud Vieliscam ad eundem modum sal excindi et excoqui coepit. Kromer pod r. 1251. Tenże rok 1251, jako rok odkrycia soli w Bochni (sal durum) podają: Rocznik sieniawski, dawniéj puławski; Rocznik krakowski, rękopisowe, w zbiorach autora Wstępu krytycznego do dziejów polskich.

(4) Regni Poloniae salinarum vieliciensium jucunda et vera descriptio, carmine elegiaco, auctore Adamo Schroettero silesio. Cracoviae, u Łazarza 1543 w 4ce. (W zbiorze Miclera str. 755 do 797).

Haec est incerti potior sententia vulgi,
Sed caret ista sua fabula ficta, fide.

Oto treść urojonéj powieści.

„Bolesław Wstydliwy przez posłów zaręczył sobie córkę Beli IV, Kunegundę czyli Kingę; ta świątobliwa niewiasta, nie chcąc u ojca brać posagu w złocie lub srebrze, prosiła na wyjeździe, aby jéj darował to, coby równie bogaczom jak ubogim służyć mogło. Bela zezwolił, a św. Kinga pojechawszy do żup solnych węgierskich, ślubną tam obrączkę wrzuciła. Stanąwszy potém w Krakowie, kazała się wieźć po niejakim czasie do Wieliczki, a gdy za jéj wolą, ziemię tam kopać zaczęto, znaleziono sól, i w pierwszéj jéj sztuce królewską obrączkę."

Jest to tkanina błędów prawdzie sprzecznych, bo Kunegunda dostała posagu 40,000 grzywien srebra, jak świadczy Długosz (1) pod r. 1239, bo dzieje nie o odkryciu soli w Wieliczce, lecz w Bochni przez Kunegundę mówią, i to o 12 lat późniéj. Zkąd jednak powstała baśń usnuta na obrączce Kunegundy, i coby to właściwie znaczyło, wyjaśnił bardzo trafnie i zasadnie Karol Szajnocha (2).

Za nim więc idziemy, a oto treść opowiadania: Po napadzie gwałtownym Tatarów na krakowską ziemię i doznanych zniszczeniach, smutna królowa Kinga odwiedziła ojca swego Belę w Węgrzech około r. 1247. Ojciec obwoził córkę dla rozrywki po różnych okolicach swego państwa, między innemi zwrócono się w krainę Marmaruską wzdłuż południowych granic Pokucia, słynącą już z nadzwyczaj bogatych kopalń soli kamiennéj. Zatrzymano się u jednéj kopalni, otwierającéj się kilkoma szybami w głąb ziemi; niezwykły obraz pracy kopaczy, obfitość daru tak potrzebnego, zajął młodą, świątobliwą a ludzką księżnę; która ozwała się zapewne z życzeniem, czemu krakowskie księstwo podobnego skarbu nie posiada. Król Bela darował jéj szyb, czyli dochód z jednego szybu, jak to wówczas było zwyczajem, iż podobne dary czyniono. Stosując się również do ówczesnych zwyczajów, niezwłocznie przystąpiła Kinga do wzięcia szybu w posiadanie przez znak symboliczny. Takiemi znakami wwłaszczenia się bywało: uroczyste przywdzianie sukni (investitura) podanéj przez łaskodawcę, lub czapki jego (investitura per pileum), wzięcie trawy lub grudki ziemi z grun-

(1) Długosz: Hist. Księga VI str. 663.
(2) Karol Szajnocha. Szkice historyczne str. 23.

tu darowanego (per herbam, per terram), wreszcie przez rzucenie pierścienia (per annulum).

Długosz w życiu świéj Kunegundy mówi (1): że Kunegunda oddzielając szyb od ojca darowany od innych, i jakoby w wieczną własność i dzierzawę biorąc, pierścionek złoty zdjęty z palca w głąb szybu tuż pod nogami wrzuciła; przez znak pierścienia w onę głębokość wrzuconego zakazując, żeby w swéj daninie ni od kogo napotém, ubliżenia żadnego nie miała (2). I daléj mówi: „wszyscy co tam natenczas byli, za żart to raczéj, niźli za rzecz istną przyjmowali". Tymczasem błogi ten żart wprowadził księżnę i ziemię krakowską rzeczywiście w używanie szybu darowanego. Pierścień ten wpadł pomiędzy pracujących w szybie górników. Niedługo potém z solą Marmaruską z darowanego szybu, ciągnęły ku Krakowu naładowane wozy, wędrowali tam i górnicy solni.

Niedawno wówczas nabyta na rzecz książąt Bochnia, potrzebowała urządzenia. Przyznaje Bolesław Wstydliwy w dokumencie staniątkowskim z r. 1248 przysługi braciszka benedyktyńskiego Wierzbięty Jaksy, i nakłady jego; ale jest tamże tylko o warzonéj soli z panwiów (chran seu caldarium) mowa. Chcąc rozszerzyć jeszcze tę salinę, nową studnią czyli szyb zbijano zapewne górnikami węgierskiemi r. 1251, i prawdopodobnie temi samemi, którzy w szybie Kunegundzie na Marmaruszu darowanym, podczas wrzucenia pierścionka pracowali. Dokopali się oni pokładu solnego: z błogosławioną nowiną przynieśli górnicy księżnie do Krakowa zarazem ów zło-

(1) Długosza rękopis w bibliotece Ossolińskich: Vita S. Cunegundae, oraz wydrukowany in Actis SS. Jul. V str. 695 w wydaniu Bollandystów. Jest jego tłumaczenie polskie X. Przecława Mojeckiego, Kraków 1617. Mówi str. 90: „et res quidem tunc acta, jocum magis quam serium habere a circumstantibus visa est.

Acta inquisitionis super vita Cl. Virg. Cunegundae z r. 1629, tojest: badania kanonizacyjne św. Kingi, podobnież stwierdzają, bo świadkowie słuchani 40, 66 i 68, wspominają o wzięciu w posiadanie szybu czyli góry, przez wrzucenie pierścionka przez św. Kingę; K. Szajnocha, Szkice str. 48.

(2) Wyrażenie to ostatnie przypomina nawzajem końcową formułę licencii (pozwoleń) żupniczych olkuskich polskich, przyznających używanie szybów: „nikomu ku przeszkodzie i bezprawiu" (nemini in damnum et praejudicium).

ty pierścionek marmaruski wraz z rozbitą piérwszą bryłą soli z nowego szybu (1).

Pamięć szczęśliwego odkrycia skarbów bocheńskich, następstwo żartu (jak go zwie Długosz) w kopalni zakarpackiéj, zespolone z pierścionkiem św. Kunegundy, nie pozostały w prostocie powyższego opowiadania Długoszowego; lecz w cudowności obleczona szatę, pomieszana z posagiem św. Kingi, ze sprowadzeniem soli za pomocą ślubnéj obrączki do żup wielickich zamiast bocheńskich, utworzyły powieść w rzęd gminnych bajek liczyć się godną. Bolesław Wstydliwy sam stwierdza, iż za jego panowania odkrycie to twardéj soli w Bochni nastąpiło, w dyplomacie wydanym na łożu śmiertelném, na cztery dni przed skonem 6 grudnia (datum in Korczyn octava idus decembris) r. 1279, który znajduje się w kopii urzędowo stwierdzonéj, pomiędzy rękopisami biblioteki Ossolińskich we Lwowie. W tym testamencie zapisuje dla zbawienia swéj duszy kanonikom kapituły kościoła krakowskiego, „wieś, którąśmy po imieniu naszém nazwać kazali Bolesław, założoną przez nas niezbyt daleko od biskupiéj wsi Sławkowa (2), i podobnież dla zbawienia duszy naszéj dwieście grzywien z żupy soli bocheńskiéj, któréj skarby i obfitość Bóg Wszechmogący za naszych czasów na jaw wydobyć dozwolił" (3).

Skarbyto te i obfitość świeżo odkrytéj soli, wzniosły znaczenie miejsca. Zjeżdżał tu panujący, tu bawiąc i przebywając podpisywał nadania (4); wnet téż wioska i górnicza osa-

(1) Rzączyński: Historia naturalis curiosa Reg. Pol. str. 58, twierdzi, że najdawniejszy szyb w Bochni jest szewczy (sutorius), w którym obrączkę Kunegundy znaleźć miano.

(2) Bolesław, dotychczas wieś z kościołem, na pół drogi na trakcie bitym od Olkusza do Sławkowa, należy do pani senatorowéj Łubieńskiéj; posiada kopalnie galmanu.

(3) Eandem autem ecclesiam ampliori munificentia prosequi cupientes, memoratis canonicis conferrimus similiter pro animae nostrae salute ducentas marcas argenti de zuppa salis in Bochnia, cujus thesauros et copiam nostris temporibus omnipotens Deus aperire dignatus est, ab ipsis canonicis annis singulis in perpetuum percipiendas. Testament Bolesława Wstydl. datum in Korczyn octava idus decembris a. Dni 1279 w bibliotece Ossolińskich tom XCIII rękopisów pod napisem: Archivum jurium et bonorum episcopi cracoviensis (in folio) str. 97.

(4) Np: A. D. 1251 in die B. Agathae virginis in Bochna. Nakielski Miechovia str. 171.

da wzrosła na miasto, które w kilka lat potém (po r. 1251) zasadził Bolesław Wstydliwy, pod datą w Korczynie 3 marca 1253 na prawie wrocławskiém, snać dlatego, że założyciele miasta, czyli piérwsi osadnicy byli szlązacy, jakoto: Mikołaj syn Wolkmara, niegdyś mieszczanin z Lignicy, świeżo wójtem nowego miasta ustanowiony; oraz Mikołaj z Kijowa, Idzi syn Henryka ze Słupa, i Mikołaj z Głupszyc (dziś Leobschütz w górnym Szlązku). Cały przywilej fundacyjny dochował nam transumpt Zygmunta I z r. 1528 (1); w nim miasto nowo założone w miejscu kopalni soli (in loco salisfodinarum) zowie się „polonice Bochnija et Saltzberg theutonice.“ Piérwsza a dawniejsza nazwa kopalni utrzymała się i dla miasta, nowa zaś niemiecka *Salzberg*, równie jak i przezwisko niemieckie Wieliczki: *zu dem grossen Salze*, nie przeszły obrębu zapisywań w księgach miejskich krakowskich od piérwszych lat XIV do początku XV wieku, tojest póki te po niemiecku przez pisarzy Niemców były utrzymywane (2). Nazwisko Bochnia lub Bochna wyprowadzać chciano od kształtu soli w bochnach dobywanéj. Trudne to są w ogólności, a zwykle wątpliwe te wywody początku nazwisk miejsc; lecz widzieliśmy, iż sól twarda czyli w bryłach w Bochni, przynajmniéj w jakie półtora wieku po odkryciu tamże źródeł słonych nastąpiła: domysły przeto o początku nazwy czy od bochna soli i to chyba warzonéj, czy od bochna chleba osolonego, niczego nie nauczą, nic nie dowiodą.

Nazwa Wieliczki, niby od ważności i wielkości saliny, *magnum sal*, *grosse salcz*, albo porównawczo od większéj obfitości źródła słonego, tamże w odległéj starożytności téj saliny, aniżeli innych źródełek solanki obok niéj w Przewechnie, Sidzinie, Studzience, Morystas i t. d. większą nosi cechę prawdopodobieństwa. A ileżto Wielkich wsi, Wielkich wól, ileżto szumnych nazwisk miejsc, które tylu osadom ponadawano, w wielkich przyszłości nadziejach, które do ich wzrostu nie pomogły. Pomyślność i sława Wieliczki odpowiedziała nazwaniu; czas i rozszerzone w niéj roboty daleko poniosły rozgłos jéj dziwów, a długie wieki przetrwa jéj bogactwo solne.

(1) Dyplomat ten wypisany jest całkowicie z transumptem w księdze lustracyjnéj wojew. krak. z r. 1569 w archiwie głównem pod liczbę 35 str. 303. Także Górn. w Polsce T. II str. 81.

(2) Już w aktach grodzkich krakowskich pod r. 1306. Wieliczka nazwana jest „in dem Grossen Salcze“. Ambroży Grabowski.

Wieliczka nie przestawała być źródłem szafunków. Każde prawie nowe uposażenie zakonne za Piastów, znajdowało tu dla siebie jakiś przekaz od panującego.

Klaryski osadzone zrazu w Zawichoście r. 1257 (1), pod ksienią, a raczéj opatką (abatissa), Salomeą ciotką Bolesława Wstydliwego, otrzymały sto grzywien srebra i wartość dwóch niecek soli, które korytami zwano w Wieliczce; późniéj przeniesione do Krakowa, obok kościoła św. Andrzeja, dostawały do końca przeszłego wieku rocznie 20 beczek soli zielonéj (patrz pensyonarz żupy). Klasztor w Koprzywnicy r. 1277 otrzymał zapewnienie od Bolesława Wstydliwego na nieckę soli z Wieliczki, nadaną przez Leszka Białego (2).

Jakkolwiekbądź Wieliczka, *wielką solą* zwana, a zatém najpotężniejszą skarbnicą soli monarchów polskich być musiała, i są zdania, że tamże oddawna miasto być musiało, które jakoby Tatarzy w napadzie r. 1241 zburzyć mieli; lecz na to dowodów nie posiadamy, owszem zdaje się pewnym piérwszego około roku 1290 zasadzenia dowodem, przywiléj, który mieszczanie wieliccy okazywali jeszcze w oryginale kommissyi lustracyjnéj roku 1660 (3). Jest on Henryka księcia krakowskiego i sandomierskiego, dla Jeskona i Hizymbolda braci (Jeschoni et Hismboldo fratribus), na założenie miasta na prawie frankońskiém.

Mylnie dawniéj mniemałem, że ta lokacya Wieliczki pochodzić mogła od Henryka Brodatego około r. 1230; właściwie bowiem nadawcą téj fundacyi był Henryk Łagodny czyli rzetelny, który zarządzał temi księztwami między rokiem 1289 a 1290 (4). To téż zaraz po nim na tronie zasiadłszy Przemy-

(1) Codex diplom. Polon. Rzyszcz. i Mucz. T. I str. 77, z metryki kor. księga ZK nr. 76 str. 415, obejmuje ten dyplomat z potwierdzeniem r. 1395 przez Spytka wojew. krak., Zygmunta Augusta w r. 1569, Michała króla r. 1670 i Jana III r. 1683.

(2) Bolesław Wstydliwy mówi: „alveum salis quem pater noster (Leszek Biały między 1194 a 1227); in salisfodina Magnum sal vulgariter vocata contulerat. W metryce koronnéj księga 115 str. 148. Wyraz *salisfodina* każe się domyślać, że tam sól już kopano za Leszka Białego, zatém dawniéj jak w Bochni.

(3) W arch. metr. kor. księga lustracyjna wojew. krak. z r. 1660 nr. 41 część II, str. 208.

(4) Henryk IV Łagodny czyli rzetelny (probus, przez Niemców zwany *der milde Fuerste*) syn Henryka III, wnuk Henryka II Pobożnego, a prawnuk Henryka I Brodatego ks. wrocławskiego.

sław II książę polski (tojest wielkopolski), potwierdził tymże samym Jeschonowi i Hismboldowi owe pozwolenie założenia miasta, dodając im co tydzień bałwan soli z żupy, z wolnością sprzedania go lub wywiezienia, i grunta dziedziczne Gaet zwane, później włączone do łanów wójtowskich.

Piérwsza to wyraźna wzmianka o bałwanie soli, a zatém dowod, że już kopano sól zieloną, jako najwyżéj czyli najpłyciéj w ziemi leżącą, a zatém niewątpliwie najpiérw natrafioną.

Leszek Czarny odstąpił biskupowi krakowskiemu dziesięciny z kopalń kruszcowych i soli w swém księztwie, a całkowitą własność tych, któreby wynalezione zostały w gruntach biskupich (1).

Kromer pod r. 1295 świadczy, iż Przemysław zostawszy królem, jeszcze daléj hojność swą posunął, bo wiecznemi czasy odstąpił 20tą część czyli półdziesięciny z dochodów z żup krakowskich biskupowi krakowskiemu, a Wacław czeski przeszedł swych poprzedników, gdyż całkowitą dziesięcinę z kopalń tych dla biskupów krakowskich przeznaczył. Dochody te biskupie w późniejszych pensyonarzach żupnych nie istnieją: pobierała tylko kapituła krakowska rocznie z saméj Wieliczki złp. 169 gr. 18.

Nawet i zagraniczne klasztory miały miewać nadania w Wieliczce: i tak Dr. Boczkowski w opisie swym Wieliczki (wyd. r. 1843), powołując się na: Wolny, Topographie von Maehren T. IV str. 444, wymienia, iż opactwo w Welehradzie w Morawii otrzymało od księcia Bolesława (jakiego?) corocznie 50 bałwanów soli, i że ten przywiléj potwierdził Wacław roku 1295.

Przemysław wielkopolski, Władysław Łokietek sieradzki i Kazimiérz książę łęczycki brat jego (poległy r. 1294), zapewnili w r. 1293 arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Jakóbowi II corocznie 300 grzywien srebra z Wieliczki (2), skoro którykol-

(1) Ks. Gładysiewicz w życiu Prandoty wydrukował dyplomat ten bez daty, przypisując go Leszkowi Białemu; lecz Kromer mówi o tymże przywileju, Histor. Pol. LX. str. 571 (wyd. Pistoryusza) jako Leszka Czarnego z r. 1289.

(2) In zuppa majori ducatus cracoviensis; patrz w Dyplomataryuszu wielkopolskim Raczyńskiego str. 84, akt datowany w Kaliszu in octava epiphaniae (13 stycznia) 1293.

wiek z nich dostąpi księztwa krakowskiego, lecz w piérwszych dwóch latach tylko wypłatę po sto grzywien przyrzekli.

Kazimierz Wielki, zamykając poczet królów z szczodrego plemienia Piastów, wydawał przywileje na wypłaty oparte na żupach. Pomiędzy niemi arcybiskupowi gnieźnieńskiemu Jarosławowi w r. 1352 (1), zapisuje grzywien sto (po 48 gr) z żup Bochni i Wieliczki. Widać ztąd, iż obietnica poprzednia trzech książąt nie weszła w wykonanie; z czasem arcybiskup gnieźnieński pobierał, zapewne skutkiem przemiany w oznaczeniu wartości monet, z Wieliczki rocznie (według pensyonarza żupnego) złp. 106 gr. 20.

Dyplomat ten Kazimierza Wielkiego z r. 1352, wkłada obowiązek rzeczonéj opłaty na żupnika lub żupników czy to dzierżawiących, czy zarządzających (sive empticii fuerint, sive commissarii), czyli rozróżnia dwa sposoby poruczania gospodarstwa w salinach żupnikom, a mianowicie iż ci byli albo dzierżawcami dochodów (empticii) lub, jak ich późniéj zwano *arendatarii*, *tenutarii*, którzy pewną umówioną summę rocznie płacili królowi, zaspokajali wydatki, opłacali przekazane wypłaty z nadań w pieniądzach lub soli, albo też ustanawiani przez króla, (commissarii) tojest mający zlecenie, i ci zarząd żupy mieli oddany do rąk wiernych (ad fideles manus), tylko z końcem roku zdawali liczbę. O tém jeszcze mówić nam obszerniéj wypadnie poniżéj.

Wszystko to cośmy o soli, o początkach powstania tego przemysłu w ziemi krakowskiéj przywiedli, wynaleźliśmy prawie wyłącznie w dowodach świadczących o pobożności panów, fundatorów klasztornych, o hojności Piastów, dzielących się w miarę rozszerzania się salin w ich posiadłościach dochodami z onych z duchowieństwem. Żadnych jeszcze dotąd śladów wewnętrznych urządzeń, szyku robót, rozciągłości nawet produkcyi, oznaczenia wielkości dochodów lub ich wartości.

Ze sposobu tylko wydzielania nadań solnych, z owych cerunów i warów (sartagines, zawar, chran), z owych miar, niecek, pecyn i głów (alveus, corito, pecine, capita) i t. d. wnosimy, że studnie bite naprzód były sączących się źródeł słonych ściekowiskiem, gdzie czerpano bogatą, tojest równie solą

(1) Cracoviae feria 5ta post diem bb. Viti et Modesti martyrum 1352. Cod. Dipl. Maj. Pol. Raczyńskiego str. 110.

przesyconą jak dotychczas pod Karpatami surowicę czyli solankę; że ją od niepamiętnych czasów warzono na sól sypką, i na objętość mierzono lub w głowy albo pecyny zgruźloną, a nawet płynną na beczki lub koryta rozdawano i sprzedawano: bo ztąd panujący mieli dochody, do których przekazywali wypłaty gotowizną w grzywnach srebra czystego, a wówczas szło na grzywnę groszy 48.

Zaledwie piérwsze dokopanie się soli twardéj w Bochni ma swą datę. Wieliczce oznaczyć nie można chwili, kiedy tam sól właściwie kopać zaczęto.

Te źródła słone z warzelniami, a potém i kopalnie soli, zwano żupami; lecz owe nazwy żupy i żupników, z dochowanych dokumentów nie daléj sięgają jak Bolesława Wstydliwego. Za niego dopiéro bywa wspominany piérwszy raz *zupparius*, jako odpowiedzialny za wypłatę grzywien i wydawanie na czas soli, i kopalnie soli zwane są *zuppae nostrae*, a nawet o Wieliczce mówiono *in zuppa majori*.

O żupach i żupnikach już w inném miejscu mówić nam wypadło (1); tu tylko historyczny rozwój tych obowiązków w salinach przejdziemy.

Za Bolesława Wstydliwego, jak się okazuje z dyplomatu zasadzenia Bochni r. 1253, wyłączeni byli z pod sądów wójta bocheńskiego: żupnik z pisarzem i komornikiem (zupparii nostri cum scriptoribus et camerariis eorum). Taki więc tylko być musiał skład zarządu saliny. Rzecz ta się z wzrostem kopalni na obszerną rozwinęła stopę; w sto lat późniéj inny już był porządek: pokazują nam to urządzenia Kazimierza Wgo, z których dwa są nader ważne: piérwsze, o obowiązkach bachmistrza z r. 1355;—drugie, statut kopalń solnych z r. 1368. Oprócz żupnika, który obowiązany był zarządzać żupami solnemi, zaopatrywać solą panującego dwór i obdarowanych, oraz ze sprzedaży zdawać rachunki, albo téż poręczając za dochód, ogólną królowi wyliczać summę jakby dzierżawę; Kazimiérz W. stale ustanowił górmistrza, (magister montium), z niemiecka barkmistrza (od Bergmeister), a jak go pospolicie zwano, bachmistrza. Obowiązki jego i płacę oznacza ordynek wydany przez Kazimierza Wgo w Żarnowcu w niedzielę w oktawie

(1) Dawne żupy i żupnicy w Polsce; p. Bibl. Warsz. 1846, T. I, str. 246.

Wniebowzięcia N. M. P. r. 1355. Piérwszym tym bachmistrzem dziedzicznym był Janek (Hanko) z Zakliczyna z rodu Jordanów, wójt myślenicki. Dyplomat ten wylicza obowiązki górmistrza, przyznając, iż je odznaczająco spełniał Hanko, jakoto: utrzymanie szybów (sachta) i kopalń aby nie niszczały, powiększenie ich pracą kopaczy piecowych (fornatores), którzy pędzili chodniki poszukiwalne, piecami (fornaces) zwane, wreszcie obsadzając robotnikami roboty czyli działa, t. j. wybiéranie soli; w końcu tego dyplomatu czyni górmistrza odpowiedzialnym za szkody lub opuszczenia w oprawie lub utrzymaniu szybów z winy jego lub cieśli górniczych i kopaczy (vice-carpentariorum vel fornatorum). Wynagrodzenie dla bachmistrza wyznacza: co tydzień w sobotę $^1/_2$ grzywny, codzienne utrzymanie (żywienie) jego i 2 parobków, ubiór jeden letni, drugi zimowy, dzienny zasiłek (diaria, diurnalia) w czasie spełnienia służby wojskowéj, trzy grzywny na każde suchedni tytułem toporowego (jure bipennali), wreszcie codziennie dwa korce owsa i wagę siana ile go dla trzech koni potrzeba. Urząd ten bachmistrzowski był ustanowiony dziedziczny, lecz w zakończeniu dyplomatu dozwala, aby był odstępowany i sprzedawany.

Po Janie był bachmistrzem brat jego Wojciech; późniéj przeszły te obowiązki za czasów Jana Alberta na Pawła Szwarca, a od tego na Betmana, w końcu weszły w rodzinę Morsztynów.

Nie przestawali na uposażeniu wymienioném następni bachmistrze, i dlatego skracając nadużycia, Zygmunt I r. 1510, przy potwierdzeniu bachmistrzowstwa dla Zygfryda Betmana, powołuje się na wyrok zabraniający im poboru opłaty 8 grzywien tytułem struclowego, któréj nie chcieli się poddać stolnicy i rębacze, i postanowił jeszcze: że kopaczy piecowych do szukania soli utrzymywać ma 12, że ich za pozwoleniem żupnika do roboty użyczać może rębaczom, którzy za to płacić im mają myta po 4 grosze, zostając jednak pod nadzorem bachmistrza, który źle pracujących może karać i oddalać. Prócz tego dozwala bachmistrzowi Betmanowi, aby na swój użytek kopał sól czterema parobkami z nazwiska wymienionemi: Job, Kuchczik, Pistor i Jordan (1). Co znaczyło takie kopanie soli swemi parobkami, co stolnicy i rębacze, poniżéj zaraz wyjaśnimy.

(1) Ustanowienie bachmistrza Hanki z Zakliczyna czyli Jana Jordana z Zakliczyna, wójta myślenickiego, w Żarnowcu w nie-

Taki bachmistrz jak w Wieliczce, był także w Bochni, zdaje się dopiéro od r. 1368: bo gdy Kazimierz Wki nabył od Jana Gładysza dobra Brzeszcze pod Bieczem, dał mu za takowe pozwolenie kopania sobie soli twardéj w Bochni 4ma parobkami według dawnego zwyczaju, (more antiquitus consueto), a nadto dał mu dziedzicznie bachmistrzowstwo w Bochni z wynagrodzeniem co tydzień w sobotę po $^1/_2$ grzywny pieniędzy zwykłych i sukna do znoszenia na Wielkanoc 12 łokci brussyckiego (bruxelskiego), a na św. Marcin postaw wartości 5 grzywien, utrzymanie jego z dwojgiem parobków i trzema końmi na stajni żupnéj (1).

Ordynacya salin wielickich i bocheńskich Kazimierza Wgo spisana w piątek po Przewodniéj niedzieli 1368 r. jest właści-

dzielę w tydzień po Wniebowzięciu N. M. P. 1355, potwierdzone przez Jana Alberta dla Pawła Szworcz (Szwarca czyli Czarnego), w Krakowie w poniedziałek po św. Łucyi 1498, znajduje się w metryce kor. księga J. 17, str. 127. Zatwierdzenie przez Zygmunta I dla Zajfreda Betmana jest w archiw. metr. kor. księga Q. 24 str. 309. Wyrok zaś wspominany, odsądzający bachmistrza od nieprawnie wymaganéj opłaty struclowego, jest z tejże daty i tamże str. 308.

Podobneż potwierdzenie bachmistrzowstwa dla Floryana Morsztyna, w którego rodzinie długo obowiązki te zostawały dziedzicznie, wydane przez Zygmunta Augusta, w Wilnie w sobotę przed św. Stanisławem 1558 r. w archiw. metryk. kor. księga ze Szwecyi XAA, 91 str. 206.

Naruszewicz tom X str. 118 (wyd. Bobrow.) mówiąc o mniemanéj bytności króla Ludwika w Polsce r. 1381, spomina o przywileju datowanym: Visliciae, proxima 2 feria post festum Pentecosten 1381, w którym Ludwik potwierdza Hankowi z Zakliczyna kupno kilku parobków w żupie bocheńskiéj, (sectores salis in montibus zuppae *bochnensis*), twierdząc, że takowy był wydany w imieniu króla przez Zawiszę biskupa, jako jego namiestnika. Przywileju tego nie widziałem, lecz być może potwierdzeniem powyższego; przypuszczam zaś że nie o Bochni saméj, lecz i o wielickiéj soli jest w nim mowa, zwłaszcza, że podobny przywiléj i z tegoż roku jest w archiwum miejskiém wielickiém.

(1) Przywiléj dla Gładysza, którego rodzina dziedzicznie urząd bachmisztrzowski w Bochni spełniała, wydany w Sączu, feria 3 (we wtorek) po niedzieli reminiscere 1368. W archiw. metr. kor. J. 16 str. 84. Zdaje się, iż najdawniéj tylu bywało górmistrzów, ile szybów w Wieliczce i Bochni.

wie spisem zwyczajów, jakie tam były w zachowaniu, i dowodzi, że przedtém nie było w téj mierze porządku (1).

Owo *regestrum compilatum* owych *consuetudines zupparum* jako spis zwyczajów obowiązujących, do zachowywania przekazanych, jest istotnie ustawą zasadniczą salin; zarówno jednak jest on ciekawym pomnikiem wykrywającym wiele szczegółów o tém, co się tam działo w czasach Władysława Łokietka i za Kazimierza W. aż do daty spisania.

Z samego wstępu okazuje się, iż żupy solne wielickie i bocheńskie, stanowiące ważne źródło dochodu panującego, dozwoleniami kopania, pobiéraniem soli i rozrzutnością a dowolnością żupników tak zostały uszczuplone i do nieporządku doprowadzone, iż przy wypuszczaniu ich w dzierżawę wówczas zamierzoném, nawet cena roczna dzierżawna oznaczyć się z pewnością nie dawała. To wywołało polecenie Demetrowi podskarbiemu, aby ów rejestr zwyczajów, obowiązków i nadań spisał, i dochody wykazał, co tenże w obec wielu duchownych i dostojników, oraz miejscowych urzędników i służebników żupy dokonał. Przywołano wszystkich tych urzędników żupnych, którzy wówczas żyli, chociażby już nie urzędowali, przeszłych żupników, bachmistrzów, jako też i tych, którzy w obowiązkach przy żupie w r. 1368 zostawali.

Gdyby nie wspomnienie w aktach grodzkich miasta Krakowa pod r. 1338 o żupniku Swiętosławie (Swentko) *unser zupnik und Zolner*, i tamże znowu *Sventoslaus noster zupparius et theloneator*, nie znalibyśmy z imienia dawniejszego żupnika żup krakowskich nad wymienionego w ordynacyi Wojciecha Poryna, Francuza (Albertus Porinus gallicus), o którym mówi, iż zmniejszył miary soli drobnéj. Mógł on być żupnikiem około r. 1350 (2).

(1) Ordinatio salinarum, znajduje się w Statutach Łaskiego fol. 76, in Volumine Legum I fol. 159—170, w Bandtkiego Jus Polonicum z r. 1831 str. 174—183, Górn. w Polsce T. II str. 105, 123. P. Karol Bayer posiada oryginał potwierdzenia przez Kazimierza Jagiellończyka w r. 1451 na sejmie piotrkowskim, w którym jednak sama ordynacya wypuszczona. Inny oryginał całkowity znajduje się w zakładzie imienia Ossolińskich we Lwowie n. XXIII.

(2) Andreas Kożycki: Propugnaculum libertatum, Crac. 1643 in 4, mówi, że Poryn Francuz r. 1343 przepisał obowiązki robotników, wprowadził dogodne machiny i narzędzia, i zaprowadził gór-

Następnie był żupnikiem Piotr Wierzynek (Petrus Vinrici albo Wyrnici). Wiadomo, że w r. 1363 Wierzynek z przepychem podejmował w Krakowie gości swego króla, t. j. cesarza niemieckiego Karola, i królów: Ludwika węgierskiego, Zygmunta duńskiego, Piotra cypryjskiego, oraz książąt: Ottona bawarskiego, Ziemowita mazowieckiego, i szlązkich: Bolesława świdnickiego, Władysława opolskiego, Bogusława szczecińskiego. Dodać jednak wypada, że właśnie ten Wierzynek zwany jest w książkach miejskich krakowskich Stanisławem, i że nazwisko jego pisano różnie: Venricus, Verzing, Verzinge, Verinus, a w tychże księgach krakowskich jest ślad, że był rajcą krak., poborcą ziemskim, zarządcą żup i podskarbim królewskim, i że umarł r. 1368. Być więc może, że on już nie był na téj kommissyi, lecz syn jego Petrus, i dlatego może nazwany raz Vinricus, drugi raz Vinrici, i Wyrnici czyli Piotr Wierzynka (syn).

Wraz z nim wymieniony Gotfridus Gallicus i D^nus^ Adam Presbyter, o którymto żupniku Adamie wspomina przywiléj mogilski z r. 1363; a mieszcząc obok nich żupnika Mikołaja, dodano, że oni żupy mieli oddawane w zarząd do rąk wiernych.

Gdy w roku spisania zwyczajów żup, czyli 1368, oddane być miały one w dzierżawę, kilku się o to zgłosiło. i jako tacy wymienieni są; Trukla albo Trita, Henselburg (Henzel Burg), żyd Leszek albo właściwie Lewek (1), który wtedy trzymał mennicę do rąk wiernych z Janem Jelitkowiczem; także mincarz Bartko, (który nim był według śladów w księgach miejskich krakowskich między r. 1366 a 1370), wreszcie Arnold Welkier; i dodaje, że zmiany tych czterech dzierżawców nastąpiły krótko po sobie, bo nawet w jednym tygodniu z powodu, że jeden drugiego w dzierżawie podkupywał.

mistrza (magistrum montium), powierzając mu czuwanie nad wyprzątaniem soli i wypieraniem przestrzeni (in substructionibus faciendis.

W księgach miejskich krak. pod r. 1350 napotyka się Paulinus Gallicus supparius D. Regis. Czy to nie ten sam Porinus?

(1) W statutach Łaskiego wydrukowano Lessko, w Bandtkiego Jus Polonicum Leszko. K. Szajnocha: Życie Jadwigi i Jagiełły T. I str. 36 opierając się na rękopisie zakładu Ossolińskich XXIII, wyjaśnia, że tam stoi: Lefko i Lewko. Z rękopisu tego przedrukował świeżo ten statut A. Z. Helcel przy zbiorze statutów mazowieckich str. 204.

Rejestr ten wymienia prócz tego i innych urzędników i oficyalistów czyli służebników, jakoto: bachmistrza w Wieliczce Wojciecha brata Hanka z Myślenic (Jordana), a zatém już jego następcę; w Bochni zaś 3-ch: Penaka, Bulejna i Kutę; widzieliśmy zaś, że świeżo co król dał bachmistrzowstwo w Bochni Janowi Gładyszowi. To zdaje się wskazywać, że albo wymienieni, obowiązki te dawniéj miewali, albo też ile szybów, tyle było do owego czasu górmistrzów w Bochni, co z ustanowieniem Gładysza ustało.

Podżupków (vicezuparii) przytacza dwóch w Wieliczce: Jana Pauliniego i Czandycza z Opawy: co domyślać się dozwala, iż tamże dwa szyby czyli dwie góry, jak pospolicie mówiono, wówczas być musiały, i to zapewne jeden szyb, którym solankę ciągniono, drugi szyb zwany królewskim. Wymienia też warycza (magister carbariae) Jana Steberim z Wieliczki i wielu sztygarów, a nawet cieślów górniczych (1).

Na czele przepisów zebranych stoi nader ważny i ciekawy, a który jak się łatwo domyślić, do ich spisania się przyczynił, dowodząc z jednéj strony samowoli panów dostojników, dążności ich do wyłączania się z pod przepisów porządkowych, gdy szło o ich korzyść, z drugiéj potrzeby srogich przepisów dla skrócenia nadużyć. Przepis zaś ten piérwszy brzmi jak następuje: „najprzód, najpierwéj i nadewszystko, J. K. M. Kazimierz z całą radą potwierdza zwyczaj tu w rejestrze wymieniający się, aby żaden z panów, bądź wielki, bądź mały, czy to kasztelan, czy starosta, nie śmiał zajeżdżać do żup. Za powód podano, iż przyjechał przed żupę pan Neorza wojewoda (2), i kazał sobie dać poczęstowanie; skoro o tém J. K. Mość dowiedział się, tak się nań ze dwa miesiące gniewał, iż zaledwie raczył mu przebaczyć. A tak król JMość pod karą gardła i utratą dóbr rozkazuje, aby żaden z panów więcéj nie śmiał do żupy zajeżdżać, bo gdy szlachta do żupy przybywa, wówczas

(1) Sztygarowie dawni w Wieliczce: Czyndel z Kutnéj-góry (Czech), Tyczkracz z Tęczyna, Bernard z Węgier i sztygar Kazimierski; oprócz tego sztygarowie Giszko i Mikołaj. W Bochni: Jan Prokendorf i Piotr Werusch, cieśle w Wieliczce: Roreżek, albo Korczel w Bochni: Czkufunf, albo Czwofunf.

(2) Neorza wojewoda krakowski zmarły r. 1368, zapewne przed spisaniem tego rejestru zwyczajów żupy, i dlatego tak jawnie przewinienie jego śmiałości co do żądania poczęstowania (praelibatio), wymienia.

żupnik nie może tak skrzętnie pożytków króla JMości doglądać, bo mu ci panowie przeszkadzają przez zwiedzanie żupy. Stanowi się przeto, że szlachta nie ma zwiedzać nigdy żupy, tylko za poprzedniém dozwoleniem z łaski króla JMości". Daléj zakazuje nawet karmienia koni szlachty lub panów (t. j. dostojników), i przepisuje, iż tylko konie królewskie mają być trzymane na stajni żupnéj, a wysłanym tamże należy dawać korzec owsa na konia dziennie, siana i słomy ile potrzeba, i do 4-ch koni, utrzymanie parobka (famulus, subagazo).

Stanowi cenę soli, zapłatę robotników, sposób sprzedaży soli, wywozu jéj do Węgier i na Spiż, sprzedaży mieszczanom wielickim i bocheńskim, którzy stragany z solą w Krakowie posiadać mają, ceny za materyały, jakoto liny konopne i łykowe (gdyż jeszcze łykowych lin wówczas używano), łój do kaganków, sztaby w snopach, blachy i kliny żelazne; że bałwany soli mają być wagi 6 i 8 centnarów, dawniéj bowiem wycinano cięższe bałwany do 30 centnarów wagi.

Ceny soli były postanowione za bałwan 6-cio centnarowy $1\frac{1}{2}$ grzywny, za 8 centnarowy krajowym kupcom 2 grzywny, za granicę (do Węgier i Spiża) po 2 kopy groszy, centnar zaś soli tamże po 4 grosze (w złocie płacone); sól drobną sprzedawano w Wieliczce 6 miar za grzywnę.

Żupnik miał obowiązek utrzymywać w Wieliczce i Bochni po 6-ciu żebraków z jałmużny żyjących i onych odziewać.

Gdy żupy idą w dzierżawę, żupnik (qui emit zuppas) t. j. który się utrzymał przy dzierżawie, winien królowi corocznie złożyć 100 czerwonych złotych, a 50 królowéj w darowiznie, a z żup płacić dzierżawy rocznéj przynajmniéj 18,000 grzywien.

Płace oficyalistów w żupach przepisano: Podżupkowi tygodniowo $\frac{1}{2}$ grzywny; sztygarowi w Bochni 1 wiardunek; sztygarowi w Wieliczce 7 groszy; ważnikowi w Wieliczce 7 groszy i trzecią część od wagi; ważnikowi w Bochni 6 groszy i czwarta część z warzelni; waryczowi w Wieliczce 7 groszy; szafarzowi (procurator) w Wieliczce 7 groszy i skórki małe; szafarzowi w Bochni 6 groszy; piwnicznemu (pincerna) 2 grosze; podrzeńczemu (vice-procurator) 2 grosze; strzelcom i łucznikom (sagittariis) po 4 grosze; leśnemu strzegącemu lasów po 4 grosze; kucharzowi (cocco) 4 grosze; kuchcie i zmywającemu miski oraz nakrywającemu stoły po 2

grosze; wrotnemu (portulano) 2 grosze; komornikowi odbierającemu sól kradzioną (zatém defraudowaną sól) 4 grosze; skarbnikowi mającemu skarbonkę 2 grosze; pałaczowi pieców 2 grosze; i wszystkim powyżéj wymienionym odzienie letnie i zimowe.

Oprócz wydawanych nadań solnych, których nie wymienia, wylicza statut ten następujące wypłaty coroczne:

Kapitule krakowskiéj 100 grzywien; kapitule gnieźnieńskiej 100 grzywien; prebendarzowi żupy bocheńskiéj po 2 grzywny w każde suchedni, i ubiór dla niego i jego parobka; plebanowi w Bochni tygodniowo grzywnę; plebanowi w Wieliczce tygodniowo korzec soli drobnéj; plebanowi w Piwnicznéj 5 grzywien i 8 łokci sukna toruńskiego; plebanowi z Niepołomic rocznie 4 kamienie łoju i 4 kamienie wosku; wikaryuszom kapituły krakowskiéj 66 miar soli drobnéj.

Jankowi Steberin majstrowi waryczowi w Wieliczce rocznie 30 grzywien. Żądanie zaś Jana z Tarnowa kasztelana krakowskiego i brata jego Rafała, aby im dawano co tydzień kopę groszy z żupy bocheńskiéj, jako oparte tylko na piśmie bachmistrza, przez króla odrzucone. zostało.

Podkomorzy krakowski przy wprowadzaniu nowego żupnika w urzędowanie (quando zupparium inthronisat ad zuppas), ma od niego otrzymać postaw sukna mechlińskiego lub 10 grzywien; lecz nie ma zajeżdżać z swemi końmi do żupy, tylko do karczmy czyli zajazdu.

Żupnik odpowiada przed królem, a sam sądzi ludzi do żupy należących.

Ilość rębaczy, zwanych pospolicie stolnicy, miała być nie większa jak 60 ludzi w obu żupach razem, aby ci żup z soli nie wyprzątali; pracować zaś tylko mieli od św. Marcina (11 listopada) do Zielonych Świątek: a gdyby tego potrzeba zaszła, to mogą zacząć od św. Michała (29 września).

Gdyby stolnik nieposłuszny sól psuł, lub gdyby ciągarze nie byli posłusznemi żupnikowi lub sztygarowi, wolno ich od robót oddalić.

Bachmistrz nie ma być płatny z żup, lecz miéć tylko swych parobków od siebie płatnych, za pieniądze zebrane z opłaty toporowego, która jak widzieliśmy wynosiła 3 grzywny na kwartał. Cieśli górniczemu, który dla niego własnoręcznie pracuje w kopalni, ma płacić tygodniowo wiardunek, żywić go i odzie-

wać. Wreszcie w każdéj górze, tojest części kopalni, mającéj szyb, powinien trzymać dwóch piecowych dla szukania soli, i dojścia do ścian: co innemi słowy znaczy, że powinien prowadzić chodniki (piece) poszukiwalne dla dosięgnienia calizny solnéj (ścian).

Taka jest główniejsza treść tego statutu żup, czyli zbioru zwyczajów żupnych; z czego nadto następujące wyciągnąć się dają wnioski:

Już za Kazimierza W. wycinanie bałwanów soli stanowiło główną produkcyą, ale warzelnie istniały, bo mowa jest o waryczach i o soli drobnéj.

Handel solą oprócz krajowego, rozciągał się na pogranicza węgierskie i na Spiż.

Żelazo do potrzeb żupy brano z Węgier, używano lin łykowych, a do przyświecania łoju; co jest jeszcze dotychczas w zwyczaju, i zapewne kształt dzisiejszych kaganków w Wieliczce od Kazimierzowskich czasów nie zmieniony.

Żupnik utrzymywał na swéj kuchni służebników, ztąd też był i szafarz, kucharz, piwniczny i t. d.; dawał im odzież, a urzędnikom postawami sukno; trzymał na stajni konie królewskie i konie żupy, dlatego byli więc koniuszowie (agazo) i parobcy (subagazo, famulus).

Żupnika obowiązki odnosiły się do dostarczania lin, żelaza, łoju i t. d. do odebrania soli, onéj wydawania i sprzedaży; zatém całe gospodarstwo kopalń. Prowadzenie zaś podziemnych robót już należało do bachmistrza, którego głównym obowiązkiem było, tyle chodnikami poszukiwalnemi prześledzić pola, aby zawsze nowe calizny soli były gotowe dla rąbania z nich bałwanów.

Z wyliczenia kilku bachmistrzów w Bochni i dwóch podżupków w Wieliczce, okazuje się, albo że jednocześnie z pełniącemi wówczas te obowiązki, król także dawniejszych do spisania statutu przywołać kazał; lub że ich tylu tam było, ile gór oddzielnych: a zatém, że kilka już szybów było otwartych. Co bądź, to pewna, że oddzielny był w Wieliczce, oddzielny w Bochni; i że bachmistrze rozstawiali ludzi do roboty sami, lub przez zastępującego ich cieślę gór (carpentarius montium), t. j. górnika starszego, znającego się na oprawie (cembrunku).

W każdéj górze ma być dwóch piecowych, mówi statut, t. j. dwóch górników pędzących chodniki, w Wieliczce piecami

zwane; zatém widać, że jeszcze spody szybów nie były w łączności z sobą za Kazimierza Wielkiego, i że każdy szyb z chodnikami (piecami) z podszybia wyprowadzonemi aż do ścian solnych czyli natrafionéj calizny lub do dział (opera) w tychże, t. j. gdzie już sól wyrębywano, jeszcze oddzielną stanowił górę czyli kopalnię (1).

Skoro dodamy, że podkomorzy krakowski miał przywiléj installowania żupnika i sąd za obrębem żupy, pokaże się, iż tak zwany Trójurząd żupy wielickiéj rozdzielał się w ten sposób: iż bachmistrzowie podziemny zarząd, żupnik w obrębie żupy, a głównie nad powierzchnią onéj, a podkomorzy za obrębem żup w Bochni i Wieliczce władzę swą rozciągali.

Jeszcze jeden przedmiot winien uwagę naszę zwrócić, nie jest bowiem dosyć jasno w statucie wyłuszczony, mianowicie o tak zwanych stolnikach.

Statut mówi, że w obu żupach 60 rębaczy ma być użytych, i to tylko przez 7 a najwyżéj 8 miesięcy do roku, aby zbytecznie żupy nie wyprzątać z soli.

Przywileje Hanki z Zakliczyna na bachmistrzowstwo wielickie z r. 1355, a Jana Gładysza na bocheńskie z r. 1368, przeznaczają im płacę tygodniową po $^1/_2$ grzywny, utrzymanie dla nich 2 parobków i obrok na 3 konie; statut zaś r. 1368 mówi, że nie powinni pobiérać płacy tygodniowéj lub rocznéj, a za pieniądze które otrzymuje bachmistrz kwartalnie po 3 grzywny tytułem toporowego, opłacać piecowych do śledzenia chodnikami za solą, aby rębacze mieli gotowe ściany solne w działach, do wyrębywania w nich soli.

Otóż takich rębaczy sól w caliznie wyrębujących miało być sześćdziesięciu w dwóch kopalniach za Kazimierza Wielkiego, a ci rąbali sól dla swych panów; miał ich król, mieli pa-

(1) W Bochni najdawniejsze 3 szyby są: Gazaris czyli wieżny, dający surowicę na wieżę (gaza), czyli do karbarii (warzelni); Sutoris czyli szewczy, gdzie obrączkę Kunegundy znaleźć miano, i Regis czyli królewski, a może i Findar, który już niewątpliwie istniał za Władysława Jagiełły w r. 1396.

W Wieliczce były: góra Szurowica, zapewne to wodna góra, i królewski, czyli regis. Hrdina w opisie Wieliczki „Geschichte der Wieliczkaer Saline" wyd. 1842 str. 17 mniema, że dwa szyby oddawna opuszczone, Świętosławski i Goryszowski, za Kazimierza W. otwarte były, nie przytaczając dowodu na czém to twierdzenie opiéra.

nowie, miał i bachmistrz, a prócz tego i różni prywatni; nadto klasztory, bractwa ołtarzy, a wszystko z pozwolenia monarszego (1).

Parobcy ci czyli otroki, utrzymywani byli przez żupnika, a właściciel działów zwracał koszt ten w zapłacie za wyrobioną sól w bałwanach, licząc już w to i inne koszta, jakoto: łój, liny, pomocników czyli ciągarzy (tragarii). Wydawany łój do przyświecania był miarą czasu użytego do pracy. Ztądto pochodzi, że prawo posiadania parobka czyli otroka rąbiącego sól w dziale czyli komorze, w ścianie albo caliznie solnéj, zwało się zarówno: działem, otrzystwem, łojem, (po łacinie opera, famulus, sebum), a robotnicy użyci stolnikami (mensarii): od wybierania soli na użytek stołu, albo się też zwali rębaczami (sectores) od rodzaju roboty rąbania soli w ścianach.

Za czasów Kazimierza Wielkiego, w Wieliczce roboty dochodziły tylko do pokładów soli zielonéj, a z pewnością otwarte były tylko szyby: królewski i wodna-góra, którą surowicę dla warzelni ciągniono; w Bochni zaś szyb wieżny (gazaris), szewczy (sutoris) i królewski (regis). Ztąd to może, gdy każdy szyb oddzielną stanowił kopalnią, pochodzi, że statut Kazimierzowski mówi o jednym bachmistrzu w Wieliczce a o trzech w Bochni. Późniéj chociaż więcéj było szybów, z zasady przywilejów Kazimierza Wielkiego na bachmistrzowstwa wynikło, iż tylko po jednym bywało bachmistrzu dziedzicznym w Wieliczce i Bochni.

Powyższa ilość kopy rębaczy nie utrzymała się w swéj okrągłej liczbie; z czasem wzrosła ona przez nowe pozwolenia na kopanie soli, gdy pomnażały się otrzystwa z łaski szczodrych Jagiellonów; a za ostatniego z nich było w Wieliczce 121,

(1) Takto parobcy ci, jedni byli królewscy czyli miejscowi górnicy, inni obcy czyli gościnni, których do żupy obdarzeni przywilejem dla zaopatrywania się solą przysyłali. Sam bachmistrz bocheński miał ich cztérech, gdyż Kazimiérz W. dając Gładyszowi to bachmistrzowstwo w zamian za dobra Brzeszcze, dał mu prawo kopania soli cztérema parobkami: quatuor homines seu famulos ad incidendum sal durum ibidem (in Bochnia) more antiquitus consueto. (p. Górn. w Pol. T. II str. 103). Lecz wszystkich rębaczy miało być według statutu z r. 1368 tylko 60, licząc w tém nawet i klasztornych (famulis hospitalibus inclusis).

w Bochni 115, zatém i tyluż rębaczy w każdéj z tych kopalń; a piecowych w Wieliczce 12, i zapewne tyluż w Bochni (1).

Owe otrzystwa, czyli łoje, uważane za rzecz dziedziczną, brano w spadku; przechodziły one z rąk do rąk, sprzedawano je i odstępowano. I tak: mieszczanin wielicki Mikołaj Gisko, panu Hankowi z Zakliczyna, sprzedał r. 1381 dwa otroki z prawem bachmistrzowstwa i użytku góry Surowica zwanéj (Wodna Góra), za 80 grzywien (po 48 gr); na co jest przywiléj Ludwika króla, znajdujący się w aktach miejskich wielickich (2).

Co wyrobić zdołali ci robotnicy, było własnością stolników (gdyż i nazwanie to służyło także właścicielom otrzystwa). Że tak było, widać to z fundacyi szpitala wielickiego przez Kazimierza Wielkiego z r. 1363, znajdującego się w aktach miasta Wieliczki; dochody albowiem z soli wydobytéj przez 2^{ch} parobków przy każdéj górze czyli szybie, opłatę tychże przenoszące, na utrzymanie ubogich w szpitalu przeznaczone zostały. Gdy za Zygmunta Augusta było 6 szybów w Wieliczce otwartych, wzrosła zatém do 12 ilość przez szpital posiadanych działów (3).

(1) Dziś podobno w Wieliczce liczą kopaczy 94, piecowych 54, kruchowych 100, pomocników 500.

(2) Naruszewicz T. X str. 118, mylnie zatém mówi, że przywiléj Ludwika króla na kupno otroków do kopania soli przez bachmistrza Hankę z Zakliczyna, ściąga się do Bochni.

(3) Ślady sprzedaży otrzystw w aktach miejskich wielickich są nader ciekawe:

R. 1467 Katarzyna Pauluczkowa i Katarzyna Szokołowa sprzedały swe działy, t. j. prawo utrzymywania 20 (?) robotników w żupie wielickiéj Janowi Białkowskiemu, pod ten czas sędziemu górniczemu za 74 grzywien; patrz: Boczkowski, Opis Wieliczki str. 53.

R. 1487 (w archiw. metryk koronnych, księga EE, 14 str. 191) na wykupienie dwóch dział (duorum operum alias dzyala) w Bochni, Walentemu z Bochni altaristae Stae Crucis, z rąk dwóch stolników opatrznych (providi) Mazanek i Franek.

R. 1487 (w archiw. metryk koronnych, księga EE, str. 226) potwierdzenie na posiadanie jednego działa w górach wielickich (unum opus in montibus vielicensibus) Piotrowi Sepin.

R. 1504 (w archiw. metr. kor. księga M. 21 str. 40), potwierdzenie praw bractwa stolników wielickich na posiadanie kilku działów z łojem (plura opera montana cum sebo), a mianowicie: cztérech aktów spisanych przed podkomorzym krak. Zbigniewem z Tęczyna na działo z łojem r. 1484; inne z r. 1499, tu-

Jak ilość parobków prywatnych powiększała się i kiedy ten sposób wydobywania soli ustał, poniżéj zobaczymy.

Zakończając mowę o tém, co się działo za Kazimierza W. w salinach, przyznać należy, że król ten znał ich ważność i wzrostu ich pragnął; nietylko bowiem ustalił zwyczaje żupne, spisując je w prawo, lecz miasta Wieliczkę i Bochnię murami opasał, oraz w r. 1356 policzył je w rzęd 6 miast, wraz z Krakowem, Olkuszem, Sączem i Kazimierzem, które w ziemi krakowskiéj wysyłały po dwóch rajców do Krakowa, stanowiących najwyższy sąd miejski do sądzenia spraw według prawa magdeburskiego (1).

Dla ułatwienia handlu solą bocheńską, Kazimiérz W. rozpoczął r. 1362 kopanie kanału od Bochni do Krakowa na mil 5 ciągnącego się. Wpuszczone wody Wisły miały służyć do przewozu na tratwach i łodziach soli do Wisły (2). Niedokończonego kanału od Bochni zatarły się do dziś dnia ślady.

Niedostateczność statutu Kazimierzowego dla salin w spisie zwyczajów, wnet się okazała co do stolników czyli rębaczy. Władysław Jagiełło r. 1393 (3), uzupełniając przepisy, postanowił, że kto posiada nabyte własną pracą piece (chodniki) i ściany (solne) w Bochni, używać ich ma aż do zupełnego wybrania w nich soli; a gdy te się skończą, nie wolno nowych rozpoczynać, dopóki im takowych nie wskażą podkomorzy krakowski wraz z żupnikiem i bachmistrzem. Daléj, że sprzedaż i odstępywanie działów w kopalni soli, tylko za dozwoleniem króla może nastąpić. Król zaś tylko może tylu otroków czyli parobków do wybiérania soli na własny użytek użyć, ile tego zechce; i nawet rębanie soli téj przeciągnąć do Zielonych Świątek, lecz prywatni rębacze tylko od Ś. Michała do Świątek sól wybierać mają.

Przywiléj ten, jakkolwiek tylko dla Bochni wydany, i w Wieliczce musiał być stosowany; wyjaśnia bowiem dlacze-

dzież z r. 1498 i z r. 1495. Te prawa zatwierdził Zygmunt August dla bractwa stolników czyli rębaczy wielickich w r. 1579 (p. w archiw. metryk kor. księga XU, 119, str. 308). Wówczas miało to bractwo działów 10.

(1) W Krakowie w wilią św. Franciszka 1356; p. Volum. Legum I str. 143. J. V. Bandtkie, Jus Polonicum str. 461.

(2) Długosz T. I str. 1333.

(3) W Niepołomicach w dzień św. Marcina 1393, w archiw. metryk kor. księga J. 16, str. 83.

go pozwolenie kopania ograniczało się do działu czyli ściany, dopóki ta wyrobioną nie została przez wybranie soli i utworzenie się przez jéj wyprzątnienie komory. Dlatego też z nowych coraz nadań wzrastająca ilość działów, ustała potém po Jagiellońskich czasach przez wyrobienie rozpoczętych wówczas komor, gdy pozwolenia na nowe działy wydawać przestano (1).

Okres panowania Jagiełłów domu, odznacza się rozrzutnością skarbu, i jeszcze hojniejszym szafunkiem łask i przekazów do Wieliczki i Bochni jak za Piastów. Żupnik wielicki stał się płatnikiem podskarbiego: doń szły przekazy do wypłat nietylko w soli, ale i w pieniądzach. Płace professorów akademii krakowskiéj w r. 1364 założonéj, z żupy pobiérane zrazu bywały przez 8 professorów po 40 grzywien, a Władysław Jagiełło r. 1399 (2), udzielił akademii przekaz na sól, za którą w końcu wieku XVIII pobierała jeszcze według pensyonarza żup z Bochni Złp. 138 gr. 20.

Swidrygiełło książę litewski, miał też stały dochód z Wieliczki (3).

Rudolf legat papiezki za pokój skojarzony z krzyżakami, otrzymał na żupach solnych dożywocie złp. 200 rocznie (4).

Burgrabiów zamku krakowskiego obdarzył także Jagiełło solą r. 1393. Wielkorządca do końca wieku XVIII otrzymywał 36, a 11^tu^ burgrabiów 6 beczek soli z Wieliczki (5).

Za Władysława Jagiełły napotykamy w regestrach podskarbiego (wydanych przez Alex. hr. Przezdzieckiego) żupnika Winka około r. 1393 i 1395, jużto samego, już spólnie z Mikołajem (zapewnie Bochnerem). W r. 1396 był żupnikiem krakowskim Jakosz Ostróżka (6).

(1) Co do przywilejów stolników, rębaczy i robotników w żupie wielickiéj, takowe potwierdził Stefan Batory w Warszawie 22 grudnia 1579. Metr. kor. księga XV, 119 str. 308.

(2) Długosz T. I str. 167.

(3) Długosz T. I str. 177 i 463.

(4) Długosz T. II str. 394.

(5) Długosz T. I str. 139.

(6) W archiw. metr. kor. księga DD, 39 str. 541. Władysław Jagiełło, w Bochni, w wilią św. Jana Chrzc. 1396, na wniosek Jakosza Ostrożki żupnika (Jacossius Ostroska zupparius noster), zatwierdza kopanie jednym parobkiem soli przy szybie Findara w Bochni dla bractwa ołtarza N. M. Panny przy kościele parafialnym św. Mikołaja w Bochni.

Dopiéro od r. 1397 rozpoczyna się szereg nieprzerwany wiadomych żupników z Mikołajem Bochnerem.

Mik. Bochner, mincarz, poborca ceł i żupnik olkuski i chęciński, w wielkich u Jagiełły zostawał łaskach i jego zarządzał dochodami; wynagradzając tego roztropnego męża (prudens vir), i jego usługi, dał mu król prawo na 4 działy w Wieliczce (1). Następnie tenże Bochner żupnik obu salin i ołowiu (zupparius utriusque salis et plumbi) (2), wykopał własnym kosztem nowy szyb w Bochni, jego nazwisko noszący, a Jagiełło dał mu za to przywiléj oddzielny na 4ch rębaczy czyli działy w Bochni, z dodaniem jednéj kopy groszy szerokich pragskich tygodniowo (3).

Po Bochnerze, który żupy te do rąk wiernych trzymał do r. 1409 lub 1413, był żupnikiem Piotr Pikarn, kupieç wenecki; mniemam, że musiał się ten Wenecyanin zwać Piccaroni (4). Żupy krakowskie długo w ręku jego zostawały, bo lat 8 lub 12, tojest do r. 1421, i są wieści, że miał być biegły i przezorny gospodarz kopalni.

Abraham Schwarz, także Niger i Czerny zwany, z Boszyc, trzymał w dzierżawie żupy krakowskie za 2,200 dukatów węgierskich, oraz olkuskie i cła krakowskie. Oprócz dzierżawy królowi Władysławowi Jagielle płaconéj, następnie dodatkowo zobowiązał się, iż Hince podskarbiemu płacić bę-

(1) Quatuor operarios, famulos seu salicidas, vulgo otroki; w dyplomacie wydanym „Sandomirae in 8va Paschae 1396", będącym własnością Edw. bar. Rastawieckiego.

(2) W aktach miejskich krakowskich napotyka się pod r. 1397, 1398, 1399 i 1405 Nicolaus Bochener, Nic. Bochnar i Nic. Bochner; raz zwany zupparius salis et plumbi, to utriusque salis zupparius, to zaupnig beides salzes. Paprocki w Herbach rycerstwa str. 57 mówi o nim; „Mikołaj Bochnar h. Starykoń, syn Nawoja Bochnara podkomorzego krakowskiego, był żupnikiem krakowskim za Władysława Jagiełły w r. 1405, był wzięt po Arnoldzie Welkier, po jego śmierci był Piotr Pikoranus r. 1413; trzymał ten Bochnar żupy lat 8". Widzimy jednak, że nie bezpośrednio po Welkierze nastąpił, i że już był żupnikiem solnym w r. 1397.

(3) W Nowém Mieście Korczynie w sobotę przed św. Janem r. 1399; p. w archiw. metr. kor. księga XD, 98 str. 34.

(4) Tegoż akta grodzkie krakowskie zowią Petrus Pikarn lub Pykarn, zaupnig beides salzes. W aktach metr. kor. księga C, 11 str. 266 i 592 zowią Petrus Pikaran mercator de Venetiis, i Petrus Pikarny.

dzie 2000 grzywien rocznie, co syn jego król Władysław Warneńczyk zatwierdził w Krakowie w dzień św. Syksta (28 marca) 1433. Za jego żupnictwa odwiedził Wieliczkę król Władysław Jagiełło r. 1424, i podziemia téj kopalni okazywał przybyłym na koronacyą małżonki swéj Zofii gościom, jakoto: Erykowi królowi duńskiemu, 14 innym książętom i licznym posłom obcych dworów (1). Do dzierżawy téj żup solnych krakowskich miał od r. 1429 spólnika Antoniego syna Jana z Kleparza (2), a od r. 1434 od żup wielickich odstąpił, przy olkuskich tylko pozostając. Ten Abr. Czarny w pismach przez Władysława króla doń wydawanych, zwany jest rycerzem mężnym (miles strennuus); był to mąż zasłużony i wielkiego u króla zaufania używający.

W r. 1434 (Crac. fer. 3 ante festum SS. Simonis et Judae), wzięli w dzierżawę żupy wielickie i bocheńskie oraz ruskie: Antoni z Kleparza (czyli de Florentia, jak to przedmieście krakowskie po łacinie wówczas nazywano), i Mikołaj Serafin rajca krakowski, z obowiązkiem płacenia przez piérwsze lat pięć po 15000 grzywien, w następnych zaś z samych krakowskich 16000 grzywien. Z czasów Antoniego z Kleparza czyli de Florentia, pochodzić się zdaje wybicie szybu Floris czyli Florentia w Bochni.

Po nich przez lat 12 do r. 1456 trzymał w dzierżawie żupy Mikołaj z Tarnawy, a od r. 1456 znów Mikołaj Serafin (3), ów rajca krakowski, mianowany miecznikiem krakowskim, a dziedzic Barwaldu, aż do r. 1458 włącznie. Tenże Serafin trzymał w dzierżawie i żupy ruskie. Czynił on znaczne nakłady na te żupy; za niego pogłębiono w Wieliczce szyb Seraf, który po dziś dzień istnieje i służy robotnikom dla zjazdu do kopalni. Wieść niesie, że on rozszerzył odbyt przez sprzedawanie drobnéj soli do Szlązka: to téż za swe zasługi, ustępując w r. 1458 z żupnictwa, otrzymał dożywocie 100 grzywien z żup wielickich (4).

Ogołocone żupy z zarządcy po Serafinie, postanowił zjazd piotrkowski r. 1459 (5), aby wydzierżawić Hince (z Rogowa,

(1) Długosz księga XI str. 475.
(2) Antonius Johannis de Florentia. Akta grodzkie krakowskie, księga n. 1536, str. 253.
(3) Arch. metr. kor. księga C, 11 str. 266.
(4) Arch. metr. kor. księga C, 11 str. 408.
(5) Jus Polonicum J. V. Bandtkie, str. 307.

podskarbiemu) jeżeli zechce; jeżeli zaś nie zechce i nie zdarzy się kto inny odpowiedni, król będzie mógł powierzyć ich zarząd do rąk wiernych osobie zaufanéj.

Już w r. 1458 pożyczone królowi Kazimierzowi Jagiellończykowi od Magdaleny Morsztynowéj dukatów węgierskich 500, zabezpieczone zostały na żupach (1), a stosując wkrótce potém postanowienie sejmu, oddał król w r. 1459 w dzierżawę Jerzemu Morsztynowi i jego żonie Magdalenie żupy wielickie, bocheńskie i ruskie (t. j. przemyślskie w Słonie, samborskie w Jesienicy, sanockie w Tyrawie) za 18000 grzywien rocznie. Przedłużana co lat 4 dzierżawa trwała do r. 1472 czyli lat 22 (2).

W r. 1472 poszły naprzód warzelnie soli w Wieliczce i Bochni w zastaw miastu Krakowowi za 13000 zł. (3), potém tegoż roku żupy wielickie i bocheńskie oddane również w zastaw Adamowi z Rzeszowa (4).

W r. 1487 królowa Elżbieta żona Kazimierza Jagiellończyka, pożyczywszy 2000 dukatów węgierskich od rajców Krakowa, zastawiła u nich suknią atłasową perłami wyszywaną, a takową odebrawszy zapewniła wypłatę długu przez odstąpienie poboru 500 grzywien rocznie z żup krakowskich (5). Wówczas gdy żupy były zastawione, a nawet i dochód z nich królowéj przynależny, tytularnie żupnikiem czyli raczéj słuchającym rachunków był ksiądz Grzegorz z Lubrańca (de Lubrancz) podkanclerzy Królestwa „et zupparum factor“ (6). Wreszcie Adam z Rzeszowa zastawny posiadacz żup, dostąpił i żupnictwa r. 1489 (7); tymczasem rozrzutny Kazimierz coraz nowe długi zaciągał na żupy, jak np. r. 1490 od Matiasza księcia raciborskiego czerw. złotych węgierskich 2300 (8).

Takie zastawy dochodów w rękach chciwych zysku wierzycieli, przywodziły żupy do bezrządu i nieładu.

Żupy ruskie król oddał w zarząd do rąk wiernych Włochowi Arnolfowi Tedaldi z Florencyi; potém Włoch ten wziął

(1) W arch. metr. kor. księga C, 11 str. 395.
(2) W arch. metr. kor. księga C, 11 str. 420, 592.
(3) W arch. metr. kor. księga E, 12 str. 62.
(4) W arch. metr. kor. księga E, 12 str. 91.
(5) Górn. w Pol. T. II, str. 168.
(6) W arch. metr. kor. księga EE, 14 str. 225.
(7) W arch. metr. kor. księga EE, 14 str. 309.
(8) W arch. metr. kor. księga EE, 14 str. 383; dokument ten jest pisany po czesku.

wszystkie żupy krakowskie w administracyą na lat dwa (1) 1488—1490; lecz ani sztuki górnictwa, ani miejscowości nieświadomy, nie pilnował bezpieczeństwa robót, i za niego bywało zawalały się komory źle podparte, niosąc śmierć górnikom. Chciwemu zbytecznie zysków Włochowi odebrał więc król żupy krakowskie (2), lecz pozostał przy dzierżawie ruskich w Drohobyczy, Dolinie i Nahojowicach, a te po śmierci jego trzymał jeszcze synowiec Perocio Thedaldi, a po tym brat ostatniego Jan Thedaldi, za dukatów 4500 do r. 1498.

Tymczasem w Wieliczce ciągle były zmiany żupników. Roku 1490 przeznaczony został na żupnika ks. Jan Borzymowski proboszcz z Chrobrzy, (3) niegdyś (r. 1475) podżupek bocheński, potém od 1494 do 1496 Maciéj Głowacki z Głowaczowic (4), który był przedtém sztygarem w Bochni. Ci, jako z rzeczą obeznani, błędy zastawników i poprzednika Włocha poprawiać mieli obowiązek.

Po nich MikołajBiechowski także lat 2 zarządzał obiema żupami (5), aż w roku 1498 dostały się żupy w ręce Pawła Szwarca czyli Czarnego z Witowic, starosty korczyńskiego i bachmistrza wielickiego.

Bachmistrzowstwo to nabył on był r. 1490 (6), od Jordanów z Zakliczyna, dzierżących ten urząd dziedzicznie od czasu owego Janka z Zakliczyna wójta myślenickiego za Kazimierza W. Przodek Czarnego, Abraham Szwarc był żupnikiem solnym na początku tego wieku. Za Pawła to Czarnego wyszły z użycia liny łykowe, i do lepszego nieco żupy przyszły porządku; to też i urząd żupnika nabrał pewnego znaczenia, jako bogata nagroda stając się już odtąd tylko udziałem możnych

(1) W arch. metr. kor. księg. M, 21 str. 22.
(2) Andrzéj Kożycki, Propugnaculum libertatum.
(3) W archiw. metr. kor, ksiąg DD, 39 str. 541.
(4) J. V. Bandtkie. Jus Polonicum, str. 359.
(5) Za Kazimierza W. szła sól w dzierżawę za 18,000 grzywien, (grzywna liczona po 54 zł. 25 gr.), czyli wartość milion zł. dzisiejszych. Za Władysława Warneńczyka r. 1434 płacili Antoni z Kleparza i Mik. Seraf z Krakowa 15,000 grzyw. (licząc po zł. 42 gr. 20) wypada już tylko wartość 640,000. W r. 1496 zebrano za sól 13,800 grzywien, wydatki były 4,000 grzyw. pozostało na dochód 9,800 grzywien czyli wartość 418,000 złp. Tak przez nieład szły żupy do upadku i zmniejszały się korzyści skarbu królewskiego (p. rejestr wydatków za Jana Alberta od r. 1496).
(6) Arch. metr. kor. księga J. 16 str. 127, ks. Q, 24 str. 309.

i dostojników. Piastował Czarny żupnictwo krakowskie do r. 1504, a będąc już tylko starostą brzeskim i oświecimskim, wykupił żupy ruskie w Dolinie od Jana Theodaldego arendarza téj żupy za zł. 5280, które w części wytrzymał, w części przekazał do wytrzymania Mikołajowi Glińskiemu staroście drohobyckiemu r. 1507 (1).

W r. 1504 zamianowany został żupnikiem Jan Jordan z Zakliczyna kasztelan biecki, starosta oświecimski (2). Przeznaczenie Jordana na żupnika, przed tym jeszcze rokiem, takiemu powodowi przypisuje Niesiecki (Herbarz T. IV st. 502) „Jan Jordan powróciwszy z cudzych krajów, na dwór się królewski stawił, w zupełny kirys przybrany; tam przy ochocie, za zdrowie króla Alexandra szybę w Wieliczce solną, tak jak był odziany, dufając swojéj chybkości przeskoczył; w podziwieniu to wszystkim było, ale osobliwie królowi; ucieszony jednak tą jego odwagą, żupnikiem go bocheńskim i wielickim przełożył, pewny dochód z nich na osobę jego naznaczywszy. Dał mu potém kasztelanią biecką, z którym tytułem czytałem go pod r. 1502".. Daléj pisze Niesiecki... „starostą był spiskim, które sobie miał obligowane (zastawione) w 12000 czer: złot., a żupy w 14000 czer. złot., które spłacił Zygmunt I przez Bonera. (Biel: fol. 507, Sarnicki); przydano mu do tego starostwo oświecimskie i wielko-rządy krakowskie; umarł r. 1507." W tém podaniu Niesieckiego nie zgadza się o lat kilka data zostania żupnikiem; musiał czyn ten przeskoczenia szybu o wiele uprzedzić chwilę nagrody, gdyż w akcie ustanowienia go żupnikiem z r. 1504, zwany jest już kasztelanem bieckim i starostą oświecimskim. Żupy oddane mu zostały w zarząd zupełny na czas nieoznaczony, od łaski króla zawisły (3), z obowiązkiem tylko wypłaty pensyi królowéj matce Elżbiecie (4), bratu królewskiemu Zygmunto-

(1) Arch. metr. kor. księga O, 22, str. 20, 88 i 98 v.

(2) Z daty: Cracoviae feria 3 ant. Convers. S. Pauli 1504, w arch. metr. kor. księga M, 21 str. 33 ustanowienie żupnika Jana Jordana.

(3) Ad tempus beneplaciti regii nostri, mówi akt ustanowienia żupnikiem Jordana.

(4) W arch. metr. kor. księga M 21 str. 265 v. znajduje się zanotowanie in margine: Elisabeth conjux Kasimiri regis Pol., trium regum et cardinalis mater morte obiit Sab. post festum S. Bartholomei, hoc est 30 mensis Augusti, hora diei sedecima A. D. 1505.

wi (1), i wszelkich zwykłych wypłat, które i jego poprzednik uiszczał różnym osobom duchownym, kościołom, ołtarzom urzędnikom, i z przekazów króla. Nadto włożony miał obowiązek zapłacenia długu królewskiego zaciągniętego u Pawła Czernego na 2000 grzywien. W końcu król zapewnił Jordanowi w akcie stanowiącym go żupnikiem, płacę coroczną 40 grzywien, postaw sukna mechlińskiego, adamaszku na suknią i futro marmurkowe, oprócz korzyści jakie po wypłacie przekazów odniesie.

Zwyczaj oddzielania wyborowéj soli orłowéj dla dworu królewskiego, zwykle odnoszą do czasów żupnictwa Jana Jordana. Nazwanie jéj ztąd pochodzi, iż wybraną najczystszą sól pakowano w beczki, na dnie których wypalany był herb królewski, orzeł.

Zdaje się, iż przed śmiercią Jana Jordana, pomocnym mu był w zarządzie żup, brat jego Mikołaj; lecz nie musiał być spólnikiem jego, gdyż z zarządu żup i wypłacania się pokwitowani zostali synowie Jana; Achazy, Krzysztof i Hermolaus w r. 1508 (2). Niesiecki twierdzi, że po bracie, Mikołaj Jordan wszystkie starostwa, wielko-rządy zamku krakowskiego i żupnictwo objął, a to ostatnie z Kościeleckim; jednakże coroczne pokwitowania z zarządu i wypłacania się z żup dla samego Kościeleckiego (3), świadczą, iż tylko ten ostatni nim być mógł.

Andrzéj Kościelecki, podskarbi nadworny i kasztelan biecki, późniéj kasztelan wojnicki i podskarbi koronny, trzymał żupnictwo od r. 1508 do swéj śmierci w r. 1515 (4). Był on także starostą spiskim, oświecimskim, zatorskim, sądeckim i bydgoskim, oraz wielkorządcą krakowskim (5).

Za jego żupnictwa wydarzył się okropny w dziejach kopalni wielickiéj wypadek w r. 1510, tojest pożar; rzecz straszliwa, gdy wszędzie, a cóż dopiéro w podziemnych pieczarach, do

(1) Zł. 1500 z zapisu w arch. metr. kor. księga M, 21 str. 60.
(2) Arch. metr. kor. księga O, 22 str. 226.
(3) W arch. metr. kor. księga Q, 24 str. 17, 115. 303.
(4) Niesiecki Herbarz T. V str. 274 jako powody śmierci Kościeleckiego przytacza: zmartwienie po śmierci jedynaka syna, ominięcie go starostwa krakowskiego, i gniew braci „delikatnych w poczciwości i honorze," obrażonych nań iż się ożenił z Katarzyną Telniczowną szlązaczką przedtém kochanką Zygmunta I.
(5) Paprocki Herby rycerstwa st. 410.

których przystęp niełatwy, ratunek prawie niepodobny, a wszędzie śmierć grozi. Wypadek ten opisał nam spółczesny Jodok Ludwik Dycz, Decyuszem zwykle zwany, sekretarz Zygmunta króla (1).

„W pieczarach gór słonych wielickich niegodziwy robotnik kopalni, wychodząc podrzucił ogień, z którego wszczął się pożar: przepełniły się dymem i smrodem komory, wielu robotników dla dymu trafić do wyjścia nie mogli, i w śród ucieczki błądząc w podziemiach karki połamali lub poduszeni zostali. Wówczas Andrzéj Kościelecki żupnik, wśród ogólnéj obawy, wystawił się na największe niebezpieczeństwo, bo gdy nikt z pospolitych ludzi nie śmiał zejść do kopalni, kazał się uwiązać na linie, aby dla niesienia ratunku spuścić się do głębi. Towarzyszył mu Seweryn Betman rajca krakowski starzec prawie 90cioletni, poważny siwizną, ówczesny górmistrz; ten żupnika już u dna szybu od dymu zemdlonego uratował: słowem, za sprawą obudwóch ogień został ugaszony, a góry z największego niebezpieczeństwa staraniem ich wybawione zostały."

(1) Jodocus Ludov. Decius, uzupełniając kronikę Mateusza z Miechowa napisał trzy księgi: 1. de vetustatibus polonorum, obejmującą historyą aż do Jagiełły czasów. 2. de Jagellonorum familia, czyli panowania następne aż do Zygmunta Starego. 3. de Sigismundi regis temporibus aż do r. 1517 w Krak. u Hier. Vietora 1521.

Wypadek pożaru opisuje w téj księdze III pod r. 1510 str. 73 (w zbiorze Pistorego, Basileae 1682 T. II str. 340): „Apud Cracoviam in vielicensi oppido, in caverna montium, homo nequam laborator montanus exeundo ignem ipsis cavernis injecerat, quo exuscicato montes fumo atque foetore repleti; plurique ex laboratoribus dum fumo impedirentur, aberrantes in ipsis cavernis aut colla fragere aut suffocati sunt. Andreas Coscielecius salinarum tunc praefectus, metu perculsus, periculo se ingenti exposuit, dum enim ex obscuris etiam nemo esset qui descendere vellet. ipse accinctus ut rem salveret, descendit. Eum comitatus est Severinus Bethmanus consul cracoviensis, fere nonagenarius, homo veneranda canitie, montium magister qui Andream jam fumo delapsum in montis summa profunditate servavit; nihilominus utriusque postea industria ignis extinctus, et montes in maximo discrimine positi, amborum diligenti opera servati sunt.

Pożar ten kopalni Wieliczki poetycznie odmalował Franciszek Wężyk w poemacie: Okolice Krakowa; zob. także Górn. w Polsce T. I str. 146.

Betman ten umarł tegoż roku co Kościelecki, t. j. 1515, w 95 roku życia (1), dzierżąc od r. 1510 do śmierci bachmistrzowstwo wielickie, zakupione przez ojca jego Zygfryda (2). W tych czasach także bachmistrzowstwo bocheńskie niegdyś przez Gładyszów posiadane, od Jana Chiszowskiego w r. 1509 nabytém zostało przez Jana Sapiehę (Sopiha) wielkiego sekretarza W. ks. Litewskiego (3).

W r. 1515 żupnictwo krakowskie solne otrzymał Jan Boner. Nowa odtąd epoka nastała dla świetności salin, bo też Boner był człek niepospolity, umiejętny i gospodarny, a godny monarchy któremu służył. Wypadki zarządu jego godzi się szczegółowo przedstawić.

(1) Pod r. 1514 Decius na str. 105 (w zbiorze Pistor. T. II str. 331) mówi, iż Seweryn Betman po stracie syna Seweryna na zarazę w kwiecie wieku zmarłego (d. 9 paźd.), a po wydaniu córki Zofii za Jana Bonera (d. 23 paźd.), umarł d. 26 paźd. 1515 w wieku lat 95.

(2) W arch. metr. kor. księga Q, 24 str. 309, księga T. 29 str. 376.

(3) W arch. metr. kor. księga Q. 24 str. 305.

ŚMIECH.

(NAŚLADOWANIE Z FRANCUZKIEGO).

Myśmy wszystko stracili wśród niewiary grzechu,
Do owego głośnego, serdecznego śmiechu,
Od którego twarz szczerą wesołością błyska,
Co policzki rozdyma, z oczu łzy wyciska,
I taki jowijalny, a bez żółci przecie,
Że się człowiek śmiejący wydawał jak dziecię!

O! smiech ten nie był milczkiem pełznącą gadziną,
Ale lał się strumieniem jako stare wino!
Lecz dzisiaj, o ty śmiechu ubiegłego czasu,
Coś jak wino wytrawne nie miał w sobie kwasu,
Ty nasz wesoły kumo, ty drużbo serdeczny,
Już z nami stary śmiechu wziąłeś rozbrat wieczny!

A uśmiech nasz dzisiejszy, smutny i nieszczery,
Cichy i nudny, jak maryasz bez kozery.
Cierpko potrząsa głową i przygryza wargi,
Które jakby gorączka przepaliły skargi.
Któż się dzisiaj zanosi albo śmiechem krztusi,
Czyjże się brzuch od śmiechu jak dawniéj trząść musi?

Już nie ma dykteryjek i wina w puharze,
Gdzież są owe pyzate a rumiane twarze
Co swoją tęgą piersią (popijając z dzbana)
Nuciły świeckie pieśni, lub chwaliły Pana!
Gdzie przy ogniu kominka cnych małżonków gwary,
Gdzież naiwne koncepta, gdzież jest drabant stary!

Odkąd śmiech małpi skrzywił policzki Woltera,
Odtąd w Paryżu skonał ów głośny śmiech stary,

Co miał swoje korzenie, miał swoje konary,
Jak wszystko to, co żyło w czasach silnéj wiary.
A w miejsce jego nastał ów uśmiech jałowy,
Jak szkoły d'Alamberta i serca i głowy:
Odtąd Paryż się próżno wśród wstrząśnień szamoce,
Bo niewiara nie stwarza, lecz tylko druzgoce....

O biada talentowi, co pełen zapału
Chce jak orzeł ulecieć w kraje ideału!
Głupi uśmiech go śrótem szyderstwa postrzeli,
I ptak ten, co już słuchał niebieskiéj kapeli,
Co już swém okiem niebios zaczerpnął ułudy,
Musi zpod wrot niebieskich upaść w ziemskie brudy,
Nim go ztamtąd, bez skrzydeł, tracącego pierze,
Piołunna ręka śmierci przed czasem zabierze.

A. Czajkowski.

O WYPIEKU CHLEBA.

PRZEZ

S. Przystańskiego.

Od pół wieku wypiek taniego a dobrego chleba stał się przedmiotem badań i usiłowań. Wszystkie prawie przemysłowe i rolnicze zawody, przyjęły udział w poszukiwaniach wiodących ku temu celowi, wielce obchodzącemu hygienę publiczną i ekonomią polityczną.

O ważności téj kwestyi najlepiéj świadczą wykazy statystyczne. Wzorowo pod tym względem układane tablice w *Bureau des Subsistances* przy ministerstwie rolnictwa i handlu we Francyi, przekonywają dowodnie, że chybotanie lub równowaga między produkcyą i konsumcyą, zwiększanie lub zmniejszanie ludności w kraju, a nawet większa lub mniejsza śmiertelność ludności w całéj w ogóle Europie, podlega wpływowi ceny zboża i chleba.

Rządy czuwające nad hygieną publiczną dokładają wszelkich usilności, rozwijaniem konkurencyi, ułatwieniami czynionemi przedsiębiorcom, polecaniem wykonywania prób i doświadczeń, aby wypiek zdrowego i pożywnego chleba uczynić dla mass jak najprzystępniejszym. W skutek tych podniet, wypiek chleba należący dawniéj do gospodarskich zatrudnień, w wielu już miejscach za przykładem municypalności stał się przed-

miotem fabrykacyi na wielką skalę, oszczędzającéj znacznie czas i pracę, a zatém i koszta produkcyi.

Nadto, przekonane o potrzebie czuwania nad wyrobem tego artykułu żywności, z powodu nadużywania zaufania publicznego, municypalności w wielu miejscach np. Holandyi, Niemczech, Sardynii, Austryi, u nas, ogłaszają co miesiąc ceny chleba przez zmianę wagi bochenków, albo cenę bochenków, zachowując ich stałą wagę (1). W innych znów krajach, władze rządowe jedynie występują z konkurencyą z prywatnemi, jak np. w Prusach, Szwecyi, Hiszpanii, Anglii, (Londyn, Liwerpool, Dublin, Edymburg); liczba piekarzy nie jest ograniczoną żadnemi dekretami, ani warunkami cechowemi, nie ogłaszają tam cen chleba, ale wielkie piekarnie rządowe sprzedają go po zniżonéj cenie, i skoro piekarze podnoszą zbytecznie ceny, władza miejscowa zmuszą ich mocno rozwiniętą konkurencyą do zniżenia taxy, a to proporcyonalnie do rzeczywistych cen zboża.

U nas zdaje się wchodzić połączony system: władza pośredniczyć ma między publicznością i piekarzami ogłaszaniem cen miesięcznych, a nadto Bank przychodzi groźnie w konkurencyą, rozwijając swój zakład piekarski, dla pomiarkowania w zyskach zbyt korzystnego u nas fachu piekarskiego.

Chwalebny ten zamiar, bez zaprzeczenia wywoła ulepszenia w prywatnych piekarniach, przez co błogi może wywrzeć skutek nietylko dla miasta, ale i dla całego kraju: bo za tym przykładem zapewne że i mniejsze gminy pomyślą o dobrém i taniém pieczywie tego artykułu. Dlatego zamierzyliśmy w dalszym ciągu obznajomić czytających z zasadą i ulepszeniami, wprowadzonemi dotąd przy wypieku zwykłego chleba, pomijając wyrób wszelkich gatunków zbytkowego ciasta, nie stanowiącego ważnego przedmiotu i nie podlegającego żadnym ograniczeniom i taxom.

Nauki przyrodzone, ta ozdoba naszego wieku, a jednocześnie dźwignia pomyślności narodów, wielki w téj kwestyi

(1) Piérwszy sposób zdaje się właściwszym; podniesienie cen zboża nie jest zawsze tak wielkie, aby mogło za sobą pociągnąć podniesienie ceny funta chleba. W tym jednak razie brak drobniejszéj monety nieraz zmusza dla okrągłości do zbytniego podniesienia taxy, która w drobnym handlu bywa jeszcze podwajaną. Lepiéj w takim razie zmniejszać o parę łutów wagę bochenka chleba (byle jéj dobrze pilnować), pozostawiając zawsze stałą cenę.

miały udział: im to zawdzięczamy dokładne poznanie przedmiotu, podanie rożnych środków na oszczędzenie czasu i kosztów fabrykacyi, słowem niemało pomogły schorzałéj Europie w zaopatrywaniu się w tańszy chleb powszedni, będący nieodłącznym warunkiem bytu naszego.

Zboża, które od wieków stanowią nasze główne pożywienie, zapewne początkowo instynktem na pokarm wybrane, przedstawiają, jak nas chemia naucza, wielkie podobieństwo z mlekiem pod względem składu i działania na nasz organizm. Materya ziarn zbożowych, tak jak mleko, zawiera w sobie oprócz części nieazotowych, wiele innych połączeń, do których składu wchodzi azot, i które właśnie pomagają do odżywiania krwi, mięs, wywołują siłę, rozwijają organizm ludzki. Z tego względu, wartość różnego rodzaju zboża ceni się w handlu niemal proporcyonalnie do ilości tych połączeń w ziarnie zawartych. Nadto ziarna zbożowe zawierają w sobie najwłaściwszy stosunek materyj azotowych do nieazotowych, t. j. do połączeń tłustych, cukrowych, przeznaczonych głównie do zachowywania życia, przez podtrzymywanie w nas ciepła zwierzęcego, jako też do soli mineralnych koniecznie potrzebnych dla wzmacniania i odświeżania rusztowania kościstego, podpory naszego ciała.

Z różnych gatunków zbóż, pszenica jako najbogatsza w połączenia azotowe, najwięcéj bywa używaną do wypieku chleba na zachodzie Europy.

Analizy Pelligot'a z różnemi gatunkami pszenicy wysuszonéj w 100^0, przekonywają o takim ich składzie:

	Sandomierka 1844 r.	Odessa	Taganróg
Woda	13,2	15,2	14,8
Materye tłuste	1,5	1,2	1,9
Materye azotowe w wodzie nierozpuszczalne	19,8	12,7	12,2
Materye azotowe rozpuszczalne w wodzie (białko)	1,7	1,6	1,4
Materye nie azotowe rozpuszczalne	6,8	6,3	7,9
Krochmal	55,1	61,3	57,9
Cellulon (błonnik)	—	—	2,3
Sole	1,9	1,4	1,6

Wybraliśmy te tylko gatunki pszenicy, jako najbogatsze w materye pożywne, i dlatego więcéj poszukiwane i popłatne.

W ogóle jednak po Sandomierce idzie pszenica egipska, po niéj francuzka *Mitadin du Midi*, *Poulard bleue*, *Odeska* i t. d.

Ziarna zbożowe składają się z twardéj powłoki, łuski, która co do wagi zawiera 14—16% ciężaru ziarna, i z massy wewnętrznéj, kruchéj, do któréj składu wchodzą połączenia azotowe: kléj roślinny, białko, włókno roślinne; połączenia nieazotowe: krochmal, cukier, gumma; i nakoniec ciała nieorganiczne: chlorek potassium, siarczan potażu, fosforan magnezyi, węglan wapna, krzemionka.

Dwie te części ziarna przez zemlenie, a następnie przesiewanie oddzielają się od siebie; na pytlu pozostają okruchy, łuski, zawierające drewnik i trochę kleju roślinnego, które w potocznéj mowie nazywamy otrębami. Im lepiéj jest mąka zemlona i spytlowana, tym jest droższą. Na rozdzielenie tych części zwrócono pilną uwagę; bo jakkolwiek tylko mąkę spożywamy, a otręby oddajemy zwierzętom (zwykle przeżuwającym), aby części pożywne jeszcze w nich zawarte wróciły nam w formie mleka i mięsa, jednakże przy często ponawiających się nieurodzajach i drożyznach wypada ze zboża odciągać jak najwięcéj części pożywnych dla ludzi. Przekonano się, że za czasów Ludwika XIV we Francyi, przez złe mlewo tracono prawie 40% materyi, któreby mogły być przez nasz organizm przyswojone, gdy dziś przez udoskonalenie sposobów mlenia, strata wynosi zaledwie 12%—15%, i zapewne przy coraz większych ulepszeniach młynów na tém się jeszcze nie ograniczymy.

Lecz starając się o wydzielenie ze zboża jak najwięcéj części pożywnych przy najmniejszym koszcie, roztrząsano kwestyą, czyby nie było korzystnem wypiekać chleb z mąki dobrze zemlonéj bez oddzielania otrąb. Millon, który badał ten przedmiot naukowo, dowodzi, że otręby zawierają w sobie materye i dla nas pożywne, albowiem massa środkowa ziarna najbliższa łuski, najbogatszą ma być w połączenia azotowe, i wraz z Bousingault poczytuje otręby za zdolne do wypieku. Pelligot jest przeciwnego zdania: wniósł bowiem z licznych analiz, iż powłoki ziarn zawierają materye tłuste, prawie w potrójnym stosunku względem ich ilości zawartéj w mące, i że właśnie ten zbytek tłustych połączeń przeszkadza w przerabianiu mąki na chléb.

Innym jeszcze sposobem usiłowano odebrać otrębom części pożywne, a mianowicie przez ich wygotowywanie w wodzie

i używanie przecedzonego rozcieku do drożdży lub kwasu. Jednak te proby nie okazały się szczęśliwemi; mąka wprawdzie wydawała większy procent, lecz ten przybytek zaledwie równoważył koszta przygotowania roztworu. Nadto chléb wypieczony był czarniejszy, podobno mniéj smaczny, a co najważniejsza, pozostałe otręby z kotłów były tak ubogie w materye pożywne, iż nie dały się używać na pokarm dla bydląt.

Dobroć mąki pszennéj z wejrzenia ocenić się daje: winna być koloru białego, cokolwiek w żółtawy wpadającego, nie okazywać żadnego śladu otrąb, a ciasto z niéj w palcach ściśnięte ma być sprężyste, jednostajne, zdolne do wyciągania się i spłaszczania.

Pszenne mąki bywają często fałszowane dodatkami niekiedy szkodliwemi, a prawie zawsze niepożywnemi; lecz jak liczne są sposoby fałszerstw, tak również nauka liczne podaje środki na ich wykrycie.

We Francyi probowano w czasie drożyzny do pszenicy dodawać ryż; okazało się jednak ostatecznie, że chléb wypieczony z takiéj mąki jest ciężki, zbity, zawiera w sobie większą ilość wody, i względnie do kosztów niepożywny, a nawet trochę niestrawny, tak, iż niewielkie zniżenie ceny chleba ostatecznie okazało się zwodniczém.

Podobnie radzono do mąki pszennéj dodawać mąkę z pieczonych kartofli; lecz taka mieszanina zawiera w sobie mniéj części plastycznych, a natomiast zbytek części ciepło podbudzających. Dodawanie do mąki zemlonych roślin strączkowych, np. grochu, bobu, fasoli, należy do fałszerstw, które pod żadnym względem cierpianemi być nie powinny: ich bowiem materya azotowa nie jest podobną do kleju roślinnego, a nadto swą bytnością mają zmieniać cechy fizyczne kleju zbożowego.

Wspomnieliśmy, iż na Zachodzie do wypieku chleba powszechnie używają pszenicy: u nas jednak i w Niemczech chléb wyrabianym bywa z mąki pszennéj pomieszanéj z żytnią, albo z czystéj żytniéj. Żyto, ten dar nieoszacowany dla mieszkańców mniéj żyznych, a nawet piasczystych okolic, podobnie jak pszenica, przez zemlenie i spytlowanie wydaje mąkę, różniącą się od pszennéj ciemną barwą, pochodzącą, zdaje się od powłoki ziarn, która łatwiéj daje się rozdrabniać od pszennéj, i dlatego zaciemnia wewnętrzną massę ziarn żytnich.

Analiza mąki żytniéj wysuszonéj w temp. 100^0 daje:

	Wiedeńska mąka żytnia	
	Nr. 1.	Nr. 2.
Kleju i białka	11,92	18,69
Krochmalu	60,91	54,48
Drewnik, gumma } Cukier } . . .	24,74	24,49
Popiół.	1,33	1,09
Świeża mąka ma wody . .	13,78	14,68

W ogóle żyto zawiera mniéj kleju jak pszenica, a nadto kléj roślinny zawarty w zycie, jęczmieniu, owsie, jest mniéj sprężysty, mniéj gąbczasty, a z tego powodu chléb żytni nie jest tak pożywny jak pszenny, wymaga więcéj kwasu do zarobienia, cieplejszéj wody, gęstszego ciasta, mniéj soli, a natomiast dłuższego czasu do wypieku.

Przerobienie mąki na chléb można podzielić na dwie czynności: przygotowanie ciasta i jego wypieczenie, po urobieniu, rozumié się, w stosownéj formy kawałki, mające oznaczoną wagę.

Mąkę można zarobić w ciasto przez same dodanie pewnéj ilości wody, która rozpuszcza jedne części składowe mąki, a inne tylko przenika. Takie ciasto wysuszone w umiarkowaném cieple daje massę ciężką, bez smaku, trudną do strawienia, w któréj większa część połączeń, mąkę składających, jest prawie niezmienioną. Skoro zaś tak zarobione ciasto przez pewien czas będzie wystawione na temp. 100, wówczas krochmal staje się rozpuszczalnym w wodzie, a cała massa twardniejąc, wydaje ciasto niełatwe jednak do strawienia. Na podobny sposób przygotowują dotąd niektóre ludy np. Indyanie, Żydzi (mace,) ciężkie placki mączne zastępujące chléb.

Trudność, jakiéj doznają nasze organa trawienia w przyswojeniu sobie, czyli wydzieleniu z takiego chleba części potrzebnych i pożywnych dla organizmu, spowodowała od wieków do wyrabiania kawałków ciasta mających massę lżejszą, więcéj dziurkowatą, przedstawiającą organom trawienia znaczną powierzchnię, aby łatwiéj przez soki żołądka przeniknąć się dała.

Ten cel osiągamy obudzając w cieście fermentacyą, podczas któréj wydzielający się kwas węglany nadyma całą massę, i następnie wypiekając ciasto, przyczém parująca woda jeszcze więcéj przyczynia się do podniesienia bochenków. Fermentacyą

w massie ciasta na chleb przeznaczonego wzbudzić można albo trochą ciasta, które przez pozostawienie w ciepłém miejscu do pewnego stopnia przeszło w ferment, tak, że może swą obecnością wywołać szybką fermentacyą w całéj massie zarobionéj mąki; albo, jak to często się dzieje przez dodanie drożdży, stanowiących bardzo dobry i szybki ferment.

U nas wyłącznie przy fabrykacyi chleba żytniego używa się ciasto kwaśne czyli kwas. Jestto część ciasta pozostawiona w dzieży z poprzedniego pieczywa, i umieszczona w cieple, pewną stałą posiadająca temp. ($18 - 20^0$), a to stosownie do pory roku, a nadto w zupełnie spokojném miejscu, aby nic nie wstrzymywało rozpoczętéj fermentacyi. Takie ciasto po upływie dnia przechodzi w fermentacyą, tworzy się w niém kwas octowy i mleczny, które nadają mu smak kwaskowaty, zkąd właśnie pochodzi jego nazwa. Aby jednak fermentacya nie rozwinęła się zbytecznie, przez co całéj massie zarobionéj pod chléb mąki mogłaby nadać smak kwaskowaty; kwas zwykle poddaje się różnym przeróbkom. I tak świeży kwas pozostawia się naprzód w spoczynku 7—8 godzin; wtedy jego objętość przez wywięzywanie się kwasu węglanego, prawie dwa razy się zwiększa, a z całéj massy wychodzi dość przyjemny zapach (levain en chef). Następnie po 9 godzinach do tego dodaje się tyle mąki i wody i wybija się, żeby powstała ztąd massa podwójnéj objętości, lecz posiadająca pewnę tęgość (levain de premiere); w 6 godzin po raz drugi dodaje się mąki, lecz wody więcéj jak w poprzednim stosunku i ciasto się znów wybija (levaine en seconde); nakoniec po raz trzeci dodaje się mąka i woda i otrzymuje się gotowy kwas (levain de tout point) do wybijania ciasta pod chléb. To częściowe dodawanie mąki i wody ma na celu podtrzymywać ciągle fermentacyą alkoholiczną, lecz nie dozwolić przejścia jéj w octową; nadto przez powolne dosypywanie mąki, które Niemcy zowią *Aufrischen*, odświeżaniem, i to się zyskuje, że bardzo małą ilością kwasu w bardzo znacznéj ilości mąki wzbudza się fermentacya, i cała massa zarobionego ciasta wszędzie jednostajnie jest przeniknioną wywięzującym się kwasem węglanym.

Przygotowawszy w ten sposób potrzebną ilość kwasu do wybicia żądanéj ilości mąki na ciasto, wlewa się do niego naraz cała ilość wody, odpowiadająca mającéj się dosypać mące, i taki zacier dobrze się rozrabia, aby był jednorodny, bez grudek,

i dlatego potrochu dosypuje się mąka. Ciasto powstałe przewraca się rękami, przerywa, tłucze, podnosi, rzuca i t. p. aby jak najwięcéj dotykało się powietrza potrzebnego jeszcze do fermentacyi. Do massy dodaje się sól kuchenna, stosownie do zwyczaju: i tak we Francyi 2 killogr, a w Anglii $4^3/_4$ killogr na 300 killogr, mąki. Po dostatecznem wybiciu, pozostawia się ciasto do dalszéj fermentacyi w spoczynku w ciepłéj izbie pod nakryciem (niekiedy flanelą), i to zwią narastaniem ciasta. Narośnięte ciasto po pewnym czasie powtórnie się przerabia dlatego, aby chléb nie był ciężki i kwas węglany równo rozdzielony. Piekarze poznają dostateczny stopień wybicia, gdy ciasto ręką ujęte nie przylega do ciała, nie lepi się.

Chléb wypiekany z ciasta fermentowanego za pomocą kwasu ma w swém środku wielkie otwory, zwane *oczami*; ścianki tych otworów są połyskujące jakby zakalcowate; nadto smak jest kwaskowaty, a niekiedy przy zbyt posuniętéj fermentacyi, kwaśny. Z téj przyczyny nie wszyscy mogą go używać na pokarm, szczególniéj też osoby z osłabionemi funkcyami trawienia.

W czasie fermentacyi część massy ciasta zmienia się w cukier, a ten następnie w alkohol i kwas węglany, który dopiéro całą massę nadyma, czyniąc ją dziurkowatą. Ilość par alkoholicznych jest dość znaczna: część ich uchodzi z chleba przed wstawieniem do pieca, a część wydziela się w samym piecu. Część mąki, która posłużyła do tych przemian jest więc zupełnie dla konsumentów straconą. Z tego powodzi myślano sprawić dziurkowatość w massie ciasta przez wywięzywanie się gazów z ciał obcych, umyślnie w tym celu dodanych, któreby jednak nie wywierały żadnego szkodliwego na zdrowie wpływu. Proponowano zarabiać ciasto pod chléb ze stosowną ilością dwuwęglanu sody i ze słabym roztworem kwasu solnego; wtedy wydzielający się kwas węglany podnosiłby ciasto, a z reakcyi tych dwóch ciał powstały chlorek sodium (sól kuchen.) pożytecznym byłby dla chleba. Według prób tym sposobem czynionych w Anglii, możnaby od 7—10% otrzymać więcéj ciasta, jak za pomocą zwykłego fermentu. Do tegoż samego celu zamierzono użyć półtora-węglan amoniaku, sól, która w umiarkowaném gorącu rozkłada się na swe części składowe gazowe; dlatego mieszano ją w proszku do mąki, albo rozpuszczano w wodzie przygotowanéj pod ciasto, i następnie zara-

biano nią mąkę, i wybijano ciasto, aby sól jednostajnie w całéj massie się rozdzieliła. Podobnie probowano w miejsce drożdży brać dwuwęglan sody i kwas winny i t. p.

Wszelkie te jednak przyprawy nie weszły w użycie tak z obawy nadużycia, jak i dla téj niedogodności, że chléb z nich wypieczony nie jest dosyć dziurkowatym i lekkim; ciasto bowiem musiałoby być bardzo szybko obrabiane, piekarze nim zdążyliby urobić bochenki, jużby znaczna część kwasu węglanego wyszła. Dotąd przynajmniéj te wszystkie sposoby sztucznego spulchniania ciasta policzyć należy do prób; nie dały bowiem nigdzie wypadków pewnych i wolnych od wymagań, zresztą bardzo słusznych, jako dotyczących najważniejszego artykułu żywności.

Główną rolę przy wypieku chleba odgrywa kléj roślinny, który z krochmalem tworzy ciasto, na mocy szczególnego sposobu zatrzymywania w sobie wody, w jaki naprzykład tkanki muskularne lub ścięte białko zawierają ją w sobie znaczną ilość, a jednak nie wilgocą ciał suchych. Kléj roślinny w kształcie chleba może się przechowywać czas nieograniczony, lecz zetknięty z wodą szybko się przekształca, traci swą spójność i lepkość, staje się rozpuszczalnym w wodzie, a ztąd czyni się niezdolnym do utworzenia ciasta.

Takaż sama zmiana kleju roślinnego następuje i w mące, gdy ta przez czas długi w skutek swéj hygrometryczności przyciągnie znaczną ilość wody; wówczas mąka coraz staje się gorszą i niezdolniejszą do przemienienia na chléb. Dla zabezpieczenia się od tego przekształcenia, starano się naprzód w sztucznem cieple mocno wysuszać mąkę, a potém usuwać ją od zetknięcia z powietrzem, szczególniéj wilgotném. Nie poprzestano jednak na tym sposobie, pewnym, ale pociągającym koszta. Przed dwudziestą. kilku laty belgijscy piekarze natrafili na inny bardzo szkodliwy środek otrzymania chleba z zepsutéj mąki, zupełnie podobnego do chleba wypiekanego z najlepszéj; sekret polegał na przymieszaniu do mąki nadpsutéj siarczanu miedzi (koperwasu miedzianego) albo ałunu (siarczanu glinki i potażu). Działanie tych soli Liebig w ten sposób objaśnia: pod działaniem ciepła w piecu, te sole z klejem roślinnym zmienionym od wilgoci tworzą połączenia (1), które

(1) Znana jest własność ściągająca ałunu; zażyty w niewielkiéj ilości wywołuje suchość w ustach, gardle, wzmaga pra-

materyi proteinowéj, stanowiącéj zasadę kleju, wraca jéj pierwotne własności t. j. nierozpuszczalność i hygroskopijność. Liebig wychodząc z téj zasady, że kazein (twarog) ma własność tworzenia z wapnem połączenia stałego, proponuje podstawiać tę nieszkodliwą zasadę w miejsce siarczanu miedzi lub ałunu. Stosunek wody wapiennéj do mąki może być jak 19:5, czyli 52—54 kwart wody wapiennéj na centnar mąki: skoro zaś ta ilość wody nie będzie dostateczną do zarobienia ciasta, należy dodać resztę czystéj wody. Ciasto utraca przez to swą kwaskowatość i zmienia cokolwiek swój smak chlebny, do którego przywykliśmy, lecz dodanie większéj ilości soli kuchennéj usuwa i ten niedostatek. W domu Liebiga 19 funt. mąki bez wody wapiennéj wydawało $24\frac{1}{2}$ funt. chleba; zarobiona zaś ta ilość mąki z 14 funt. wody wapiennéj, wydała 26 funt. i od 6—10 uncyi; tak, że przez dodanie wapna zwiększał się prawie o 2% wydatek chleba. To zapewne pochodzi ztąd, iż mąka w przytomności wapna może zatrzymywać znaczniejszą ilość wody. Dodanie wapna nie może być wcale szkodliwém dla zdrowia, wychodząc z tego fizyologicznego faktu, że czysta mąka spo-

gnienie i inne ważniejsze wstrząśnienia w naszym organizmie; w większéj zaś dozie wywołuje bardzo szkodliwe działanie, sprowadzając choroby tym większe, im osoba słabsze posiada trawienie. Dumas jest mniemania, iż dla osób słabego układu, codzienne zażywanie ałunu w chlebie może śmiertelne wywołać skutki. W Londynie, Liverpool i innych miastach, użycie téj soli dość było powszechne; czujność władzy i kary pieniężne, (od 30 do 120 rub. sr.) zdaje się usunęły to fałszerstwo.

W r. 1840 doktor Lefebre okazał, że przypadłości których doznało wiele osób w pewnym cyrkule Paryża, wywołane były przez chleb, w którym rozkład analityczny okazał pewną ilość ałunu.

Siarczan miedzi w znacznéj ilości zażyty jest trujący, a w małych, lecz ciągle podawanych cząstkach, bardzo szkodliwie na organizm działa. W r. 1844 w Bruxelli o mało cała familia nie została otrutą przez chleb, do którego piekarz domieszał znaczną ilość siarczanu miedzi. W r. 1843 trybunał w Bruxelli skazał piekarza za podobne fałszerstwo na dwa lata więzienia, 443 fr. kary, pozbawienie na zawsze przywileju piekarskiego i rozgłoszenie wyroku po mieście i przedmieściach Bruxelli. W r. 1847 jedenastu piekarzy bruxellskich wezwano przed sądy. i po przeprowadzeniu procesu, pięciu skazano na dwu-letnie więzienie i karę pieniężną po 200 fr.

Kuhlmann, Chevalier, Parizot, Hauw i inni podali różne sposoby wykrycia najmniejszéj ilości téj soli.

żywana w formie chleba, sama nie może wystarczyć do utrzymania zdrowia, bo chociaż zawiera dostateczną ilość kwasu fosforycznego do wyrabiania systematu kościstego, zamało posiada wapna, mniéj jak rośliny strączkowe. Lekarze są zdania, że téj przyczynie przypisać właśnie należy niektóre ciężkie choroby więźni, żywionych wyłącznie prawie chlebem, albo rachityzm dzieci w tych krajach, gdzie chléb główne stanowi pożywienie.

Gdy wypiek chleba stał się przedmiotem fabrykacyi na wielką skalę, okazała się potrzeba mechanizmów oszczędzających pracę i czas. W tym przedmiocie liczne poczyniono wynalazki: usunięto użycie rąk do wybijania ciasta: działania wymagającego wiele wprawy, nadzwyczajnéj czystości, a przytém znacznego czasu, podstawiając dzieże mechaniczne poruszane siłą pary lub innym motorem; wprowadzono nowe piece wymagające mniéj materyału opałowego i tak urządzone, iż wypiek chleba bez przerwy na nich prowadzonym być może.

Być może, że do upowszechnienia tych nowych dzież i pieców, oprócz powyżéj przytoczonych, przyczynił się także wzgląd na zdrowie osób pieczywem się trudniących (1).

Znanych jest kilka urządzeń dzieży mechanicznéj, różniących się drobnemi szczegółami, gdyż zasada ich budowy jest jednakową i polega na przerzucaniu lub przecinaniu ciasta.

(1) Nie wchodząc w rozbiór ważnéj kwestyi, dotyczącéj wpływu, jaki na budowę fizyczną człowieka wywiera życie nocne, (wymagającéj zresztą więcéj specyalnych pod tym względem wiadomości), przytoczymy tu zdanie lekarzy, utrzymujących, iż nagłe zmiany temperatury wywierają szkodliwe działanie na zdrowie piekarzy i że ztąd pochodzą panujące u tych rzemieślników cierpienia płucowe i reumatyczne. Podobnie, bladość cery cechująca czeladź piekarską, ma mieć źródło w zbyt gorącéj atmosferze, w któréj przebywają; wyziewy z ciasta gorącego, z ciasta fermentującego, usposabiać ją ma do choroby, która znów wywołuje skłonność do piaństwa i nierządu. Syndykat piekarski we Francyi zmuszonym był uciec się do surowych środków i przepisów, tamujących te ostatnie wykroczenia.

Te i inne spostrzeżenia lekarskie nad stanem zdrowia piekarzy, równie jak zdarzające się przypadki zagorzenia lub uduszenia od źle przygaszonych węgli, wyrzucanych z pieców drzewem wypalanych, zapewne przyczynić się mogły do szybkiego upowszechnienia mechanizmów i nowéj budowy pieców.

Do najlepszych liczą dzieżę Clayton'a, składająca się z walca wewnątrz pustego, osadzonego na osiach obracać się mogących, i z żelaznéj kraty, złożonéj z noży stosownie pochylonych. Krata jest osadzoną na osobnéj osi, przechodzącéj przez oś podtrzymującą walec i obraca się jednocześnie z nim, lecz w przeciwnym kierunku, przy pomocy bardzo prostego mechanizmu, stanowiącego główny warunek podobnych machin.

W niektórych zakładach piekarskich francuzkich, a szczególniéj braci Muchot piekarzy w Montrouge, (których zakład bez zaprzeczenia do najlepszych należy, i gdzie wszystkie mechanizmy porusza para), używają dzieży pomysłu p. Fontaine. Podobnie jak poprzednia, jest ona kształtu walca wydrążonego, osadzonego na osi wprawianéj w ruch obrotowy za pomocą pasów, idących od wału rozprowadzającego siłę od machinki parowéj. Dzieża, kręgami równoległemi od podstawy przedzieloną jest na 3 części, a w każdéj umieszczone są poprzeczne przegrody i sztaby, służące do przerywania i przerzucania ciasta. Dwa oddziały dzieży wybijają ciasto pod wypiek, a jedna rozczynia ciasto drożdżowe. Po stosownem napełnieniu, dzieża puszcza się w ruch, i po 7 minutach obrotu, przyrząd umieszczony na osi dzwoniąc, ostrzega, że dzieża uskuteczniła doświadczeniem wskazaną liczbę obrotów. Wtedy dozorujący czeladnik przerywa ruch, otwiera klapę, a przekonawszy się o stanie ciasta, dodaje albo mąki, albo wody, stosownie do tego, czy ciasto jest zarzadkie czy zatęgie. W 10 minut powtórnie daje się słyszéć dzwonek, przywołujący czeladnika, i wtedy ciasto zupełnie bywa wybite. Nie podajemy tu szczegółów dotyczących ilości wody, mąki, soli: to bowiem zależy od gatunku mąki i wypieku zwyczajem przyjętego. Nadmienić jednak należy, że tak urządzona dzieża ciągle może być czynną: sama zaczynia drożdże, wybiją ciasto, zatrudniając dwa dobrze urządzone i w ciągłém działaniu zostające piece.

Nakoniec wspomnieć tu wypada uproszczoną dzieżę znanego paryzkiego piekarza Rolland: składa się ona z naczynia półwalcowego, nieruchomie osadzonego, takiéj objętości, iż przygotować może naraz ciasto do wypieku jednego pieca. Przez środek walca przechodzi oś, do któréj przymocowaną jest krata, złożona ze sztab krzywo-linijnych naprzemian dłuższych i krótszych, osadzonych na przeciwległych bokach żelaznego prostokąta. Krzywizny sztab przedstawiają ćwierć powierzchni walco-

wéj i tak są ustawione, że podczas obrotu powierzchnia jednych obróconą jest wypukłością, drugich wklęsłością ku dnu dzieży. Jéj działanie ma być bardzo szybkie, potrzeba bowiem tylko 10 minut aby wór mąki zmienić w ciasto dokładnie nastroszone, przewrócone, bez grudek; a nadto z powodu dodanego koła rozpędnego i dwóch kółek zębatych przesyłających ruch motora, wymaga siły jednego tylko człowieka. Podobnie urządzone dzieże o kratach ze zginanemi prętami, wprowadzone zostały do piekarni szpitali cywilnych w Paryżu przez Bollanda.

W zakładzie piekarskim Bankowym u nas używaną jest dzieża, zbudowana według systematu Rollanda; ma dobrze i szybko działanie odbywać, lecz wymaga, jakeśmy to widzieli, siły trzech ludzi do wybicia ciasta żytniego pod zwykły chléb.

Co się tyczy użycia dzież mechanicznych, oszczędzających czas i pracę, a nadto odznaczających się czystością, jaką nie zawsze znajdziemy przy użyciu rąk, dodać należy, że fermentacya ciasta tym sposobem wybijanego, nie odbywa się tak szybko jak z pomocą rąk ludzkich. Przyczyna tego zjawiska spoczywa naprzód w cieple rąk naszych, a powtóre w dodatku potu wydzielającego się z rąk czeladzi ciasto wybijającéj. Ta to powolna fermentacya wstrzymała proponowane użycie dzieży mechanicznéj do wypiekania chleba dla wojska, w czasie kampanii.

Po ostatecznem wyrobieniu, ciasto wykłada się z dzieży na obszerne stoły, rozdziela się na kawałki trzymające przyjętą wagę, i nadaje im się zwykłą formę. Bochenki z surowego ciasta więcéj ważyć powinny, gdyż w piecu ciasto utraca znaczną część wody; w zakładzie Bankowym podobno 13 łutów na 3 funtach chleba. Wyrobione bochenki posypują mąką, aby nie przylegały do rąk, i w spokojności pozostawiają w ciepłéj izbie, gdzie wydzielający się ciągle kwas węglany lub rozszerzający się gaz już istniejący w chlebie, czyni massę więcéj dziurkowatą, i prawie podwaja objętość. Czas, przez jaki bochenki stać winny w ciepłém miejscu, może tylko wskazać doświadczenie; zbyt wczesne wstawianie do pieca sprawia ciasto nabite i ciężkie, wysoka bowiem temperatura pieca przecina dalsze wywiązywanie się kwasu węglanego.

Budowa pieców piekarskich w nowszych dopiéro czasach znacznym uległa ulepszeniom. Zwykle używane piece są murowane z cegły lub kamienia kształtu owalnego, głębokie na 12,

szerokie prawie na 10, a wysokie na $1\frac{1}{2}$ stopy. Wypalane bywają po miastach drzewem dającém mocny płomień, a po wsiach torfem; skoro drzewo się zwęgli i węgle zaczynają się żarzyć, wyrzucają je z pieca i trzon starannie oczyszczają. Głąb pieca bywa zwykle mocniéj rozpalony, dlatego przed zupełném wygarnięciem zarzewia, węgle zsuwają trochę naprzód, aby i tę część pieca dostatecznie rozgrzały.

Przed wsadzeniem, bochenki smarują się wodą, przez co w piecu przyjmują połyskującą skórę, a nadto parowanie téj wody łagodzi zbyt gwałtowne działanie ciepła na zwierzchnią warstwę ciasta. Czas, przez jaki chleb pozostaje w piecu, zależy głównie od wielkości bochenków, rożnéj konstrukcyi pieca, i użytego materyału opałowego. Piece wypalane dzewem nigdy równo ogrzać się nie dają; w części przedniéj, w skutek wpadającego świeżego powietrza prędko stygną, i z tego powodu chleb po pewnym czasie musi być przesuwanym.

Jeżeli kilka razy wypiek ma być powtórzonym, to drugie pieczywo albo bardzo długo musi stać w piecu, albo wcale się nie dopiecze, wtedy gdy piérwsze się nadpala. W takich razach po piérwszém pieczywie, piec się trochę wygrzewa. Według Rumforda doświadczeń, jeżeli do pierwszego wygrzania pieca potrzeba 366 funtów, to do drugiego wygrzania wychodzi 134 funt., do trzeciego 100 funt., do czwartego 90 funt. i t. d. drzewa jodłowego.

Jasną jest rzeczą, że im więcéj wypieka się ciasta w jednym piecu, tym większą jest oszczędność materyału opałowego, stanowiącego ważny artykuł w kosztach produkcyi.

Piece dotąd przez piekarzy używane, marnują znaczną ilość drzewa na mocne rozpalenie grubych ścian, konieczne dlatego aby po wyjęciu zarzewia temperatura odpowiednia przez długi czas w piecu utrzymać się mogła. Ta to niedogodność, jako téż strata czasu na wygrzewanie i czyszczenie naprowadziła na myśl takiéj budowy pieców, w którychby ognisko było zupełnie odosobnione od samego trzona na chleb przeznaczonego.

Urządzenia podobnych pieców są bardzo rozmaite.

W zakładach piekarskich w Hanowerze, pod poziomym trzonem pieca z przodu znajdują się dwa sklepione ogniska, a pod częścią głębszą kilka pomniejszych sklepień. Płomień uderza pod trzon, gazy przechodzą następnie przez 6 kanałów ciągnących

się ponad trzonem i uchodzą do komina. Dla lepszego ogrzania części przedniéj pieca, wprost z ogniska wznoszą się trzy kanały, które jak obręcze otaczają tę część, i gazy wypuszczają wprost do komina lub stosownie do potrzeby, za otwarciem zasów do wnętrza pieca. Pary powstałe podczas pieczywa odprowadzają się osobnemi rurami na zewnątrz. Tak urządzony piec, według obliczeń, przy ciągłéj czynności zużywa tylko $4\frac{1}{2}$ f. węgla kamiennego na wypieczenie 100 f. chleba.

W Sztudgardzie od kilkunastu lat używany jest piec zbudowany przez Laderer (majstra mularskiego) i Muck (piekarza). Trzon pieca jest ceglany, sklepienie z żelaza lanego; między żelazem i murem zachowaną jest pewna odległość, przeznaczona na równe rozprowadzenie gorących gazów, uchodzących z ogniska. Pod przednią częścią trzonu znajduje się główne ognisko urządzone pod drzewo. Płomień i gazy rozchodzą się pod całym trzonem kanałami rozłożonemi w kształcie wachlarza, następnie unoszą się nad sklepienie pieca. Nakoniec ciepłe jeszcze gazy użyte zostały do ogrzewania kotła z wodą.

Z przestrzeni znajdującéj się nad sklepieniem pieca wychodzą cztery kanały, wiodące dym do komina: są one opatrzone zasuwami, za pomocą których można regulować kierunek gazów, osłabiać ich działanie, a to stosownie do temperatury termometru merkuryalnego, mającego bańkę nie w samym piecu, ale w ścianie otaczającéj (pokazuje tylko 160^0). Nadto, obok drzwi osadzoną jest w otworze soczewka szklana, a za nią lampka olejna oświetlająca całe wnętrze pieca.

Schoerg w Monachium zbudował cały piec z blachy żelaznéj, i aby nie stygł prędko, otoczył go popiołem. Ogień umieszczony pod trzonem ogrzewa także kocioł z wodą, któréj pary stosownie do potrzeby w piec wpuszczane bywają. Przy powtarzaném pieczywie na 100 f. chleba ten piec ma zużywać 7 f. drzewa.

Nakoniec znane jest jeszcze urządzenie pieca Rolland'a, ogrzewanego powietrzem gorącém, wychodzącém z ogniska znacznie odsuniętego od otworu pieca. Dym wraz z powietrzem rozchodzą się kanałami w kształcie wachlarza nad sklepieniem i podtrzonem pieca. Trzon okrągły ułożony z cegieł polewanych, spoczywa na tarczy żelaznéj, która za pomocą prostego mechanizmu w ruch wprawianą być może. Łatwo pojąć dogodności takiego urządzenia przy wkładaniu, wyjmowaniu i do-

kładném obejrzeniu pieczywa; przez stosowne bowiem obrócenie tarczy, bochenki trudniejsze do wypieku zatrzymać można w tych miejscach, które bywają najgorętsze. W 25 minut chleb jest wypieczony, tak, iż ładunek 18—20 razy ponowionym być może, i to z oszczędnością prawie 50% materyału opałowego.

Piece wyżéj wzmiankowane wygrzewają z zewnątrz miejsce, gdzie się pieczywo ustawia; i stosownie do rozkładu kanałów, utrafionych ich wymiarów, oszczędzają znaczną część paliwa.

Lemarc i Jamlet urządzili w Paryżu piec ogrzewany gorącém powietrzem, który następnie udoskonalony przez Grouvelle i Muchot, czynnym jest w wspomnianych wyżéj zakładach piekarskich Montrouge. Ten piec zwany „*four acrotherme*" różni się tém od poprzednich, że do wnętrza pieca wchodzą strumienie gorącego powietrza, przez otwory porozmieszczane naokoło trzonu. Powietrze ogrzewające piec i dym z ogniska oddzielnemi krążą kanałami, nie mieszając się nigdzie. Skoro koks do ogrzewania użyty dobrze się rozpali, wtedy szczelnie zamykają się otwory, przez które płynie do ogniska powietrze potrzebne do podsycenia gorenia, a żarzenie węgli odbywa się kosztem powietrza, które się przeciska przez szczeliny ścian ogniska, a których otwory od ciepła mocniéj zostały rozszerzone.

Koks ogrzewa naprzód powietrze znajdujące się w kanałach otaczających ognisko: tam rozpalone wchodzi pod trzon pieca, pędzi po licznych kanałach wzdłuż rozmieszczonych, następnie wpada do wnętrza pieca. Ogrzane początkowo do 300° C. przez zetknięcie z ciastem znacznie się ostudza, i wraca znów do kanałów otaczających ognisko, gdzie się powtórnie rozpala do żądanego stopnia ciepła.

Ten piec ma przedstawiać wielką oszczędność materyału opałowego, a nadewszystko wypiek odbywa się tak regularnie, iż więcéj życzyć niepodobna.

Wypiek trwa pół godziny, można więc w ciągu dnia 24 razy piec napełnić; a że za każdą razą wychodzi około 133 funt. chleba, przeto na jednym tak urządzonym piecu można wyrobić do 3,192 killogr. chleba, przy pomocy 650 killogr. koksu. Dla obejrzenia pieczywa służą dwa gazowe płomienie, osadzone na dość długich łamanych rurkach.

Zwykle temperatura pieców winna trzymać 300° C. co łatwo obserwować za pomocą pyrometrów metalowych, albo nawet za pomocą merkuryalnego termometru, którego tylko gałka w wnętrzu pieca jest umieszczoną.

Jeżeli temp. pieca jest zawysoka, chléb wychodzi spalony, a środkowa massa często mało się różni od ciasta surowego, albowiem zwęglona skórka jako zły przewodnik cieplika nie dopuszcza go do środka bochenków. Ciasto potrzebuje ciepła przynajmniéj 100° C. i to trwającego pewien przeciąg czasu, iżby kulki krochmalu, kleju roślinnego i białka połączyły się między sobą i zatrzymały odpowiednią ilość wody.

Możnaby więc wypiekać chléb i przy temp. 100°, lecz wówczas bochenki pozbawioneby zostały skórki; najniższy zaś stopień ciepła potrzebnego do wypieczenia chleba ze skórką, przypada między 160° i 204° C.

Podczas, gdy chléb w piecu odbiera cieplik promieniejący ze ścian, gazy w nim zawarte rozszerzają się, ulatnia się znaczna ilość wody, wstrzymuje się fermentacya, a następuje silne spojenie między różnemi wodnianemi części składowych ciasta.

Dobry chléb powinien więc być lekki, a kléj stanowiący główną część pożywną nie ma ulegać żadnéj zmianie.

Przez wypiek ciasto traci średnio $^1/_{10}$ część wagi, co jednak zależy od czasu przez jaki chléb pozostawał w piecu.

Chléb wypieczony przedstawia $^5/_6$ ośrodka, a $^1/_6$ skórki; środek zawiera 45% wody, skórka 15%, a wszystko średnio 40% wody. Ta jednak ilość wody jest rozmaitą: i tak chléb wojskowy we Francyi ma $^4/_5$ środka a $^1/_5$ skórki, środek 50% wody a skórka 15%. Przyczyną znaczniejszéj ilości wody w chlebie gorszego gatunku są otręby, które pochłaniają wielką jéj ilość; woda w tym razie ułatwia wybijanie ciasta i zwiększa wydatek chleba. Jednakże to zwiększenie wydatku chleba jest tylko pozorne, gdyż chléb podobny wymaga daleko wyższéj temperatury dla utworzenia na nim skórki, która przez to staje się brunatną, daleko grubszą i przykrego smaku. Ciepło bowiem zbyteczne, sprzyja tworzeniu się niektórych przypalonych produktów.

Millon przekonywa, iż przy teraźniejszym sposobie oceniania chleba na sprzedaż, naprzód pilnie zwrócić wypada uwagę na ilość wody używanéj do zarobienia ciasta. Piekarz sprzedający pewną wagę wody, zamiast odpowiedniéj ilości chleba, jednocześnie czyni uszczerbek i kieszeni, i zdrowiu konsumenta.

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

Giulia Grisi.—Ristori: Myrrha i Rosmunda Alfierego.—Przyjęcie pana Legouvé do Akademii.—Studnia artyzejska w lasku Bulońskim.—Gospodarstwo rybne pana Coste.—Wiadomości literackie.

Na paryzkim wokalno-dramatycznym świecie zaszły w ciągu ubiegłego miesiąca dwa wypadki, które zanotować warto. Od 8 lat niewidziana Giulia Grisi ukazała się znowu w Normie, Lukrecyi i Semiramidzie, a Ristori powtórnie w roli Myrrhy, która zeszłego roku zyskała jéj w Sale Ventadour powodzenie tak głośne, iż mu odpowiedziały echa całéj Europy.

Giulia Grisi jest prawie taką, jaką była, kiedy ją świat podziwiał w roli Normy: zawsze wspaniała i potężna Diva z równie przeczystym głosem, doskonałą metodą i wyborną akcyą; piękność zaś jéj należy do rzędu tych, jakich czas niszczyciel spożyć nie umié. Iskrzące jéj oczy długo jeszcze żartować sobie będą z brodatego starca, a twarz regularna i ramiona na wzór karraryjskiego utoczone marmuru, jak jéj ojczyste posągi, gotowe przetrwać wieki, jeżeli ich jaki kataklizm natury nie pochłonie.

To téż we włoskim teatrze witano ją z niewysłowioną radością, nietylko jako ulubioną artystkę, ale jako wspomnienie najświetniejszych czasów włoskiéj muzyki w Paryżu: owych wieczorów niewygasłych w pamięci diletantów, kiedy nowe utwory Belliniego i Doniziettego śpiewane po raz piérwszy przez nią, Rubiniego, Tamburyniego i Lablacha, trzęsły sercem słuchacza

i sprawiały mu zachwyty jedyne, którym podobnych napróżno szukał późniéj w utworach nowszych kompozytorów. Z całéj téj świetnéj trupy śpiewaków już tylko sama Grisi pozostała, i sama jedna, jak pominięta zębem czasu kolumna, stoi na gruzach téj zapadłéj świątyni harmonii.

We wszystkich dawnych rolach, a mianowicie w roli Semiramidy, Grisi odnalazła swoje młodociane natchnienia; co tém większe sprawia wrażenie, iż majestatyczna jéj postawa odpowiada zupełnie kształtom owych potężnych azyatyckich mocarek, które wyobraźnia widzi oparte o kolumny na uczcie Baltazara, lub spacerujące po wiszących Babylonu ogrodach, zgodne z ogromem ram swoich. Na powitanie Giulii wykoszono w Paryżu całe łany kamelii, fiołków i hiacentów, a związane w formę monstrualnych bukietów, rzucono jéj pod nogi, witając ją i zarazem żegnając nazawsze: gdyż sławna artystka przybyła w zamiarze pogrzebania swéj sławy w tém samém miejscu, które było jéj kolebką.

Ristori także zastała w sale Ventadour wszystkich swoich wielbicieli, i niemniejsze niż zeszłego lata pozyskała oklaski w roli Myrrhy, która podobnie jak suknia Dejaniry otacza płomieniem artystkę i udziela się całéj sali.

Myrrha Alfierego znalazła prawo obywatelstwa we Francyi. Fedra może ją nazwać siostrą i zstąpić z nią razem do piekieł: Rosmunda, którą temi dniami piérwszy raz przedstawiano we włoskim teatrze, jest najsłabsza z jego tragedyi; układem swym i monotonią zabija wszelki efekt, a jéj bezkolorowość nie zastąpiona pięknością formy, może znużyć najpoważniejszego słuchacza, a cóż dopiéro Paryżanów, którzy jak Ateńczycy przedewszystkiém szukają na scenie palących wzruszeń. Myrrha szalone swe powodzenie zawdzięcza w znacznéj części mistrzowskiéj grze Ristori, ale głównie temu, iż jest najtragiczniejszą z bajek starożytnych.

Podanie mówi, że Myrrha, córka Cynira króla Cypru, zakochała się w ojcu; za co ten przeklął ją i wypędził z swego królestwa. Myrrha uciekła aż do Arabii, gdzie bogowie litując się nad jéj rozpaczą, przemienili ją w drzewo tegoż nazwiska.

Podobne metamorfozy były zwyczajném oczyszczeniem czarnych bohaterów legiend starożytnych. Mitologia na tak ciężkie wystawiała proby swoje ofiary, tak je plamiła brudem rozkiełznanych namiętności, że w końcu nie wiedząc jak rozwiązać fatalne węzły, ani co począć ze skażonemi wszelkim występkiem zbrodniarzami, przeobrażała ich w zwierzęta lub rośliny. Kora drzewa pokrywała nieczyste piersi, skażone nimfy osłaniał kielich kwiatu, występna dusza pozbywała się zbrodni przywdziewając pióra i niewinność ptasią. Często w źródłach topniały cierpiące istoty, lub zastygały w twardém łonie granitu. Tak Biblis roztopiła się we łzach wodotrysku; Niobe skamieniała z rozpaczy; Dafne ukryła swą czystość pod laurowe liście, Filomela słowiczym śpiewem ukoiła swą skargę. Słowem, panteizm był ostatnim przytułkiem mitologicznéj rozpaczy: chronił nieszczęśliwych jéj bohaterów od boskich i ludzkich gwałtów, był jak ocean, który chłonie i oczyszcza w swych głębiach rzeki, które doń przypływają skalane krwią i nieczystością ziemi.

Jednakowoż, mimo poetycznéj szaty, w jaką odział Myrrhę Owidiusz w swoich Przemianach; mimo posągowéj piękności, którą nadał jéj Alfieri: historya Myrrhy równie jak Rosmundy i wszystkich siostr jéj namiętnych i zapamiętałych, budzi dziś wstręt i przestrach. Chrześciańskie dusze nasze nie mogą pojąć tego obłąkania materyi, a jéj paroxyzmy równą przejmują nas trwogą, jakowe zagubione choroby, których straszliwe symptomata opisują starożytni lekarze. Jakoż cielesna miłość owych wieków była rzeczywiście chorobą: puls Safony w jéj odach bije jak w paroxyzmie śmiertelnéj gorączki, którą tylko morskie nurty ugaszą; namiętność Fedry w tragedyi Eurpiday ma wszystkie oznaki materyalnego otrucia: nawet Dydona Wirgiliusza zdradza nerwową malignę, nieznaną dzisiejszym namiętnościom.

Miłość nie była wtedy aniołem, gwiazdą, zapachem, głosem Boga: tém, czém jest lub czém chce być dzisiaj. Miłość u starożytnych byłto jakiś geniusz ślepy, ognisty, jakiś ptak drapieżny, nieprzyjaciel Boga i ludzi, który kogo uderzył skrzydłem, ten już nie znalazł szczęścia ani spoczynku, tego życie wyschło jak

źródło palone afrykańskiém słońcem. Grecy też uważali boginią miłości jako czarownicę, która zadawała trucizny tym, którzy na jéj gniew zasłużyli. Ztąd owa litość starożytnych poetów dla miłosnych potępieńców, ztąd łzy i pachnidła, któremi starali się obmyć zbrodnią Myrrhy.

Ze wszystkich tragedyj Alfierego, w Myrrze przebija się podobno najwyraźniéj wzniosły i surowy geniusz jego. Alfieri nie jest malarzem, ale rzeźbiarzem: nie koloruje nic, tylko żłobi, ale jak żłobi! Czytającemu starożytne jego tragedye, wydaje się, iż wchodzi do marmurowéj świątyni greckiéj, symetrycznéj, białéj, osamotnionéj, pełnéj harmonijnych proporcyj i smukłych kolumn, pomiędzy któremi krążą poważne postacie osłonione fałdzistą draperyą. Nie szukaj tam drobiazgów, szczegółów, ozdób, lub życia: nóż ofiarniczy Greka, samobójczy miecz Rzymianina, bronzowe czary z trucizną—oto jedyne sprzęty, jakie znajdziesz w tym spartańskim przybytku.

W tragedyach Alfierego nigdzie nie ma tłoku: same tylko osoby niezbędne do rozwinięcia akcyi spotykają się i gruppują z posągową powagą. Ruchu mało, zmiana postawy rzadka, ale nadzwyczajna i uderzająca kamienną nieruchomością: nie są to ludzie, ale dusze potężne, obrane ze wszystkiego co śmiertelne, które się kochają lub nienawidzą, i rzucają sobie wzajemnie myśli i czucia, stojąc zawsze od siebie zdaleka. Układ tych tragedyj podobny jest do fresku Michała Anioła, gdzie figury nagie, rozrzucone bez efektu na ogromnym murze, zdają się zajęte solenną rozmową, dotyczącą jakiegoś straszliwego wypadku. Ale jakaż siła jest w téj nagości, jaka proporcya i wyrazistość w tych statuach! Przytém język ich twardy, styl trzeźwy, który blednie raczéj nie czerwienieje oddając wzruszenia, i zastępuje kolor energią kroju, co nadaje utworom włoskiego dramaturga zupełne podobieństwo do posągowéj gruppy, wykutéj z jednéj bryły marmuru.

Ta surowa metoda wybornie posłużyła Alfieremu w Myrrze: niegodny przedmiot znika prawie zupełnie w abstrakcyi stylu. Fatalna namiętność żarzy się w piersiach Myrrhy jak popiołem przysypany ogień: tragedya stąpa ciągle po wulkanie, ale ten wybucha do-

piéro w chwili skończenia sztuki. Jedynym efektem trzech piérwszych aktów jest głęboki smutek dziewicy, którego przyczyny ani rodzice, ani narzeczony, ani piastunka zbadać nie mogą. Na ich prośby i zaklęcia, Myrrha odpowiada tylko nieokreśloną skargą: mówi, że ją ściga zagniewana bogini; że spokój uciekł od niéj na zawsze; że ją męczą sny straszne..... Pereo widząc taki stan duszy swéj narzeczonéj, oświadcza jéj, iż gotów zerwać śluby, może nienawistne jéj sercu; ale ona zaklina go owszem, aby przyspieszył dzień ślubu i wywiózł ją czemprędzéj daleko, daleko od Cypru..... A kiedy ojciec bada o powód tak nagłego wyjazdu, córka zmieszana, znowu zamyka się w ogólnikach; poczém rzuca się na szyję piastunki, błagając, żeby jéj śmierć zadała.

Przez długie trzy akty Myrrha pozostaje tak zamknięta w sobie, blada, konająca, duszona tłumioną żądzą, z usty wykrzywionemi, powstrzymywanym płaczem, lub bolesnym uśmiechem. Wydawałoby się, iż taka rola musi być zabijająco nudna: otóż przeciwnie, efekt jest ogromny. Trudno napotkać coś dramatyczniejszego nad tę pokutującą duszę, która milczy uparcie, osłaniając tajemnicą czarne przepaści swego serca. Zwolna umysł widza jednoczy się z duchem dramatu, oko jego przyzwyczajone do tych ciemności, odkrywa w najczarniejszym ich zakątku ukrytą zbrodnię i przysposabia się do jéj widoku.

W czwartym akcie następuje wybuch bez światła: piorun poprzedza błyskawicę. Pereo przyprowadza Myrrhę przed ołtarz, przy którym palą się kadzidła, i kapłan czeka ich z błogosławieństwem. Kiedy już rozpoczął się obrzęd zaślubin, oblubienica blednieje, chwieje się i pada w objęcia piastunki..... Obłąkana odpędza rękoma furye, które dokoła spostrzega, i dreszczem zgrozy zdjęta pyta jéj: „Son io gia sposa? Ohime!" (czy jestem już małżonką). Przelękniona matka przybiega, chcąc ukoić nieszczęsną: wtedy córka w najwyższém obłąkaniu przeklina ją.

Rozwiązanie zamyka się tylko w jednéj scenie, w jednéj gruppie, w jednym dyalogu ojca z córką. Dwie te figury osamotnione na ostatecznym krańcu tragedyi, wzbudzają nieopisane zajęcie. Cała sala

wstrzymuje oddech, chwyta każde ich słowo, śledzi każdy ich ruch. Myrrha przybywa zmieniona, złamana cierpieniem; Cynir z królewską powagą zapytuje się o przyczynę jéj cierpień i powód zerwania ślubu, które Pereo życiem przypłacił. Mówi, iż tylko miłość może usprawiedliwić to obłąkanie; kogóż więc kocha? Myrrha jeszcze nie chce wyjawić prawdy, ale zmuszona naleganiem ojca, prowadzi go na grobowiec; odkrywa tajemnicę, wyrywa z pochwy miecz zawieszony u boku Cynira, przebija się i pada u nóg jego. Król zakrywszy twarz płaszczem, idzie ku drzwiom, w których spotyka żonę, szepce do ucha jéj słowo fatalnéj zagadki, i oboje uciekają przeklinając wyrodną. Myrrha opuszczona od wszystkich, kona na ręku piastunki w straszniejszéj samotności niż owa pustynia, na któréj piaskach legienda zasadziła posępne drzewo Myrrha, wiecznie płaczące bursztynowemi łzami.

Ileż sztuki potrzeba było do utrzymania crescendo téj tajemnicy, która rośnie w każdéj scenie, aż w końcu przebita mieczem, wypływa wraz ze krwi potokiem; ile potęgi do utrzymania przez 5 aktów jednéj sytuacyi z corazto wzrastającém zajęciem słuchaczy.

Łatwo było opowiedzieć treść tragedyi, ale jakże opowiedzieć grę artystki, która ją wypełnia swym geniuszem? Jakże oddać martwą literą urok, jakim otacza widzów? Jak wytłumaczyć czar, jaki na nich rzuca? Oto trzeba chyba zapytać miliona zachwyconych Francuzów, którzy dziś jeszcze słuchają Myrrhy z tym samym zapałem, z jakim ją poraz piérwszy słyszeli; którym włoska muza potrafiła wycisnąć łzy rzewne, chociaż jak wiadomo, sentymentalizmem nie grzeszą.

W piérwszych aktach Ristori zamknięta w sobie, tylko mimiką twarzy i ócz wyrazem zdradza wewnętrzną walkę. Postawa jéj studyowana po mistrzowsku jest żyjącym posągiem, drgającą rzeźbą. W czwartym akcie, w scenie zaślubin wpada w konwulsye, których widok wywołuje niepodobne do opisania wzruszenie: wtrąca widzów w szał, wybuchający z mocą nawałnicy. Nie można pojąć, jakim cudem artystka może się tak mienić i udać to, co zaledwie najgwałtowniejsze uczucia mogą wypiętnować na twarzy kobié-

ty. Oczy jéj zapadają, twarz zielenieje, głos się rwie, zimny pot kroplami występuje na czoło...

Przy końcu Ristori staje na szczycie sztuki, prawdy i natury, poza któremi zdaje się, że już nie ma nic, coby mógł zdobyć artysta. Nie obwini nas o przesadę, kto widział Ristori w ostatniéj scenie z Cynirem, kiedy zgięta i drżąca, to ucieka od niego ze zgrozą, to znów pada w jego objęcia, jakby przyciągana magnetyczną siłą; kto widział jak umiéra zakrywając ranę tuniką; kto podziwiał ów gest, jaki czyni konająca spostrzegłszy, że ojciec ma powierzyć matce powód jéj samobójstwa: gest zaklinający go żeby milczał, podobny do nagłego ocknienia wstydu, zbudzonego z piérwszego snu śmierci; kto nakoniec widział ją, kiedy czołga się na klęczkach i powstaje, żeby złożyć ostatni pocałunek na czole piastunki, poczém pada dobita wysileniem. Oddanie téj ostatniéj chwili jest niezrównanym obrazem katuszy moralnych, spotęgowanych całą zgrozą śmierci, cudownie pochwyconym dagierotypem uroczystéj sekundy rozstania się z ciałem nieśmiertelnéj duszy, który Ristori przyniósł palmę nieśmiertelności.

Chcąc dać sprawozdanie z Rosmundy, przedstawianéj piérwszy raz temi dniami w Paryżu, musieliśmy zacząć od Myrrhy; inaczéj bowiem ograniczając się na rozbiorze téj wyjątkowo nudnéj sztuki, nie dalibyśmy rzeczywistego pojęcia ani o tragedyach Alfierego, ani o grze Ristori. Zadziwieni czytelnicy pytaliby słusznie, jak mogą w tego rodzaju utworach gustować Paryżanie, a jeszcze słuszniéj, jak mogą wynosić pod niebiosa geniusz artystki, zasadzający się na recytowaniu rozwlekłych monologów, których słuchając można usnąć stojący.

Odpowiedziawszy z góry na to pytanie krótkim rozbiorem Myrrhy; wskazawszy wszystkie piękności téj tragedyi, oraz niezrównaną grę Ristori: przystępujemy śmiało do Rosmundy, i jak tam, tak tu oddając sprawiedliwość Alfieremu, musimy mu przyznać, iż skoro uweźmie się być nudnym, jest nim do najwyższego stopnia. Gdyby nie galwanizujący organ Ristori, byłaby niezawodnie zasnęła publiczność zeszłego wieczora, przy końcu piérwszego aktu słuchając monoton-

nego jęczenia Rosmundy, jak usypiamy słuchając wycia wiatru w kominie.

Ze wszystkich rodzajów tragedyi układanych od początku świata, tragedya barbarzyńska jest niezaprzeczenie najmniéj sympatyczna, dlatego, że najmniéj naturalna. Cóż może być sprzeczniejszego z naturą, jak słyszéć deklamujących Wandalów, widziéć Ostrogotów udrapowanych w togi, Gepidów tańcujących klassycznego menueta, wszystkie te dzikie i drapieżne zwierzęta z przyczesaną grzywą, wytresowane i zaprzężone do tragicznego rydwanu Melpomeny. Zaprawdę, pomysł to nader dziwny naginać do rzymskiéj mody i w rzymskie stroić szaty ludzi spadłych umyślnie, jakby z innéj planety, dla zdruzgotania swym ciężarem cywilizacyi starego świata.

W kobiecie jeszcze więcéj razi ta maskarada. Fedra w rogówce i w trzewikach na czerwonych korkach à la Pompadour nie byłaby mniéj śmieszna, jak Rosmunda córka Hunnimonda króla Gepidów w szatach Fedry i koturnach Klytemnestry, wyrażająca swe katusze jak Medea lub Rodoguna. Cóż może być wspólnego między klassyczną córą Aten lub Rzymu, a córą północnéj dziczy? Bogi ich, zwyczaje i dusza inna: czaszka ich nawet inaczéj sformowana i krew innego koloru.

W epoce, w któréj kobiéty rzymskiego świata wyniszczone trzech-wiekową rozpustą są już tylko trzodą bladych wszetecznic, błądzącą po ruinach olbrzymiéj orgii, jawią się inne niewiasty wylęgłe ze mgły północnéj, a przeznaczone do panowania na ich miejscu: niewiasty potężne, przy których spartańskie matrony wyglądają jak bezsilne dzieci. Kolosalne te córy puszczy i lodu, zimne są i tajemnicze jak ich rodzice; nie znają ani miękkości, ani rozkoszy płci swojéj: każda z nich jest zarazem matką życia i siostrą śmierci. Ideałem dzikiéj niewiasty jest kapłanka Druidów, poświęcająca krwawemu bóstwu ludzką ofiarę na ołtarzu oświeconym księżycową kwadrą, odbijającą się w krzywéj klindze ofiarniczego sierpa. W miejscu słabéj, mdlejącéj, wiotkiéj niewiasty, o któréj marzy poezya południowa, wyobraźnia północy stawia silne, dzikie, surowe i potężne kolosy, wykute z granitu wedle tyta-

nicznych wzorów. Brunehilda bohaterka Niebelungów, królowa Islandyi, łamie na turniejach w obec dworu swego lance i ciska kamienie, których 12 północnych olbrzymów podźwignąć nie mogło. Emma córka Karola Wielkiego, na swych barkach przenosi kochanka, żeby nie zostawił śladu na świeżo śniegiem zasypaném podwórzu zamkowém. Żony Cymbrów po przegranéj bitwie zarzuciwszy sobie na szyje powrozy, wiązały je do rogów swych wołów i kłóły dopóty, aż rozwścieklone zwierzęta stratowały je w biegu kopytami. Czémże jest Klytemnestra obok Brunehildy, Fredegondy i wszystkich tych mocarek germańskich, które legienda ukazuje nam z toporem w dłoni pośród rzezi Merowingów, lub przy stosach swych wymordowanych synów.

Oto ideały kobiét, o jakich mogli marzyć (jeźli marzyli) Ostrogoty, Goty, Hunny, Gepidy i ich wodze Alhun-ryki, którzy przy świetle komety wiedli dziką czerń na Romę, a dla zabawki kazali jéj kopać na sto mil przekopy, zkąd pozostał:

„Ślad maluchny ich przechodu,
I amięć, czem był świat za młodu".

Ale powróćmy do przyprawionéj po włosku Rosmundy, przed którą daremnie uciekając zapędziliśmy się aż w ciemny las legiend. Historya jéj znana. Rosmunda wedle podania była żoną i niewolnicą Alboina króla Lombardów, który się z nią ożenił, zabiwszy poprzednio jéj ojca, z którego czaszki kazał sobie zrobić czarę do wina. Pewnego razu przy bankiecie zmusił żonę, żeby wychyliła toast z ojcowskiej głowy. Królowa poddała się woli męża, ale poprzysięgła, że mu odda krew za wino. Jakoż pozyskawszy sztuką niewieścią serce młodego Germka Helmigesa, użyła go za narzędzie do zamordowania męża, poczém w nagrodę oddała mu swoję rękę. Zbuntowane Lombardy wypędzili występną parę do Rawenny, któréj wielkorządca Longin ujrzawszy Rosmundę, zakochał się w niéj z kolei. Rosmunda wprawna do zbrodni podała mężowi czarę trucizny; Helmiges wypił połowę, ale z goryczy zatrutego wina domyśliwszy się prawdy, zmusił Rosmundę aby wypiła resztę—poczém umarli oboje.

Osnuta na powyższéj treści tragedya Alfierego, przekształca i osłabia dziką legiendę. Germek Helmiges przemieniony w Amalchidesa, kocha Romildę córkę zamordowanego Alboina, męża Rosmundy. Romilda nienawidzi zabójcę swego ojca, i w zamian miłosnych oświadczeń recytuje mu obelżywo-płaczliwe jeremiady. Rosmunda schodzi niewiernego męża na występnéj rozmowie, i łączy swe przekleństwa z żalami Romildy. Szarpana furyą zazdrości, z pomocą Idowalda kochanka Romildy, wywołuje przeciwko mężowi bunt w obozie Lombardów, który uśmierzywszy Amalchildes, powraca z Idowaldem kochankiem Romildy przypatrywać się, jak ta niewinna owieczka ginie pod sztyletem Rosmundy. Idowald, który z założonemi rękami był przytomny téj operacyi, po ukończeniu jéj przebija się i kona obok kochanki.

Właściwie Rosmunda nie zasługuje na nazwę tragedyi: jest ona raczéj kwartetem granym ciągle na jednę nutę przekleństwa, które bez akcyi i bez intrygi, rozlega się i szamoce w próżni bajecznych czasów. Zwyczaj wprowadzania do sztuki kilku tylko osób, który, jak powiedziałem wyżéj, w przedmiotach starożytnych dodaje powagi i mocy tragedyom Alfierego, jest zupełnie niewłaściwy, a nawet rażący w obrazie barbarzyńskim, którego rozległe ramy zaledwie hałaśliwy zgiełk Szekspirowskich dramatów zdołałby zapełnić. Alfieri przeznaczył cztéry osoby na zaludnienie pięciu długich aktów Rosmundy: cztéry osoby i jednego lombardzkiego kaprala, który od czasu do czasu przybywa z kilką zaspanemi kolegami, mającemi wyobrażać nieistniejące wojsko i dokonywać śmieszne aresztowania. Dwaj bohaterowie, Amalchides i Idowald, obaj wydani na pastwę Rosmundy, niewiele wzbudzają współczucia: piérwszy, łotr i rozbójnik wypchany jest miłością i wyrzutami sumienia; drugi niby wojownik, podobny do tych, których studenci na okładkach swych kajetów rysują. Ristori zrobiła co mogła, ażeby nadać figurze Rosmundy monumentalny charakter geniusza złego; ale że od początku do końca musi pozostać zakuta w jednéj pozie: efekt nie może się utrzymać, bo duszą tragedyi jest walka i sprzeczność uczuć. Mimo wszystkie te niedostatki, publiczność

odważnie wysłuchawszy sztuki aż do końca, obsypała oklaskami Ristori i wywołała ją trzy razy, co na paryzkiéj scenie odpowiada tryumfowi Korynny w Kapitolu. Jakoż rzeczywiście Ristori nie zabrakło talentu, tylko jéj zabrakło tragedyi. Słychać, że niezadługo Ristori wystąpi w tragedyi Legouvégo Medea, którą umyślnie dla niéj przełożono na język włoski.

Oddawna zapowiadane, odraczane i znowu zapowiadane przyjęcie pana Legouvé w akademickie grono, odbyło się nareszcie, powitane radością przeważnéj liczby tutejszéj publiczności, a mianowicie kobiét; które widząc swego obrońcę usadowionego w jednym z czterdziestu foteli, z których dotąd tylko surowe wydawano o płci słabéj wyroki, pomyślny ztąd dla siebie wyciągnęły horoskop.

Obrządek przyjęcia nowego członka Akademii, podobny jest zarazem do pogrzebu i narodzin. Prześwietne zgromadzenie przystępuje najprzód do pochowania nieśmiertelnego kolegi. Balsamuje go, owija zamiast aloesowych liści w karty wydarte z dzieł sławnych, które był w ciągu życia napisał; wywołuje głośno wszystkie prawa zmarłego do nieśmiertelności; poświęca wprawdzie niewiele łez, ale za to wiele komplementów pamięci drogiego kolegi, poczém intonuje requiescat in pace. Większa liczba członków akademickiego grona, wielbionych mówców, mędrców i poetów, nie otrzymuje od potomności innego uczczenia, prócz téj uczonéj pochwały, odmówionéj poważnie nad swym opróżnionym fotelem, zanim w nim zasiędzie nowo-narodzony akademik.

Zazwyczaj w połowie sessyi zaczynają się chrzciny. Nowicyusz ubrany w zielone palmy i beret z piórami, które są ozdobą każdego członka Instytutu, odbiera w sanktuaryum nauki zawsze pozazdroszczone, a nigdy nie odrzucone pomazanie na wieczystą sławę.

Ceremoniał przyjęcia pana Legouvé nie różnił się w niczém od poprzednich, ale mowa jego zawierała ustępy, które echa poważnego gmachu podawały sobie zdziwione.

O drugiéj z południa, prezydujący p. Flourens zagaił posiedzenie. Po lewéj jego stronie siedział podsekretarz Akademii p. Alfred de Musset z twarzą zdradzającą mocne znudzenie, jakiém go przejmowała konieczna powaga urzędu; po prawéj, wieczysty sekretarz pan Villemain, którego uśmiech naprzemian szyderczy lub potakujący, wskazywał strony słabe lub szczęśliwe wyrażenia w mowach obu członków. Na przyległych fotelach siedzieli pp. Guizot, Cousin, de Broglie, Montalembert, Noailles, Odilon-Barrot, Viennet, de Vigny, Vaillant, Portalis, Saint-Marc Girardin: słowem, wszystkie znakomitości Akademii.

Przemowę swoję niepospolicie wypracowaną i świetną, pan Legouvé rozpoczął wspomnieniem ojca swego, zasłużonego literata, którego pamięci, jak mówił, zawdzięcza zaszczyt, jaki go dzisiaj spotyka. Osłoniwszy zręcznie swój obiór ojcowską opieką, autor Medei wykładał, jakie jest wedle niego stanowisko i cel tragedyi. Drugą połowę przemowy, wedle zwyczaju, poświęcił swemu poprzednikowi: z czego wywiązał się z godnością, bez niepotrzebnych panegiryków, a tém samém serdeczniéj. Opowiedział z czuciem i prostotą stosunki pana Ancelot z Kazimierzem Delavigne, jak początkowo rywalizowali z sobą, a późniéj byli najlepszemi przyjaciołmi; jak wrodzona prawość jego poprzednika pana Ancelot, pokonała wszystkie drobne literackie zawiści, od których tak rzadko który literat jest wolny: słowem, uchwycił szczęśliwie jedyny temat, na który bez kłamstwa można było zaintonować hymn pochwalny szanownego akademika, słynnego raczéj z dobroduszności, nie z uczoności swojéj.

Pan Ancelot należał do szkoły, któréj blask przelotny trwał bardzo krótko we Francyi: był on słabym naśladowcą Delilla, którego liryczne pienia zgłuszył potężny wybuch romantyzmu w 1828 roku. Obok Medytacyi, Oryentalów, Jesiennych liści, obok świetnych i błyskotliwych poezyj Musseta, zgasł niepowrotnie sam Delille, a cóż dopiéro naśladowcy jego, czyli podszewki, jak ich zowią Francuzi. Uczuł to Ancelot i wziął się do spekulacyi, wiersze zaś składał już tylko z nawyknienia. Oprócz tragedyi Ludwik IX, która była piérwszém i ostatniém słowem jego pisarskiego ta-

lentu, nigdy nic znakomitego nie napisał; głównym powodem przyjęcia go do Akademii było to, że posiadał rzadki dar pięknego czytania. W ustach jego najgorsza książka wydawała się niezła; tém sobie podobno do tyla zobowiązał uczone grono, iż go przyjęło w swój poczet.

Przytaczam te szczegóły, ażeby dać poznać czytelnikom całą trudność położenia, w jakiém znajdował się pan Legouvé, mając pisać panegiryk niewinnego poprzednika; a zarazem dać możność ocenienia sztuki, z jaką się z tego zadania wywiązał.

Odpowiedź Flourensa była długa, wypracowana wedle wszelkich klassycznych prawideł językowych, retorycznych i estetycznych; wypowiedziana w sposób zwracający uwagę słuchaczy na ważność każdego słowa, bo żadne nie stało tam napróżno. Na złośliwości nie zbywało jéj także: dowodem ustęp, w którym Flourens w następujący sposób tłumaczy sławę literacką i świetne powodzenie protektora płci pięknéj, ojca pana Legouvé: „Pod zasłoną obrony, któréj potrzeba może się wydawać zagadkową, znakomity ojciec pański uczynił z pochwał bodziec dla cnoty. Umiał pocieszać, głaskać, uwodzić dusze, ażeby je wznioślejszemi uczynić, a powoli tak uzacnić, iżby potrafiły znaleźć szczęście w obowiązku.” Następnie szanowny akademik, kilku słowy na właściwe odrzucił miejsce zawody i niesprawiedliwości, które obrońca kobiét tak jaskrawo odmalował w Medei. Flourens przemawiając w imieniu Akademii, nie dozwolił, ażeby ta wzięła nawet bierny udział w deklamacyach i narzekaniach tego rodzaju, powtarzanych tak często i na wszystkie tony przez młode autorskie pokolenie. Przytaczam kilka wyjątków z obydwóch przemów, z których czytelnik najlepiéj właściwy sąd o nich wyrobi.

Wspomniawszy o Ludwiku IX, tragedyi Ancelota, pan Legouvé tak daléj mówił:

„.....Wiem, że tragedya mało dziś znajduje zwolenników; jednakowoż ma ona tę wielką zasługę, że chociaż już kilkakrotnie wskazywano ją na śmierć, jednak żyje: ażeby ją wskrzesić, dość było jednego godnego jéj wielkości tłumacza. Przyczyna bytu tragedyi, tak dobrze jak komedyi i dramatu, leży w naturze człowie-

ka. Komedya i dramat przedstawiają w swych obrazach prawdę i rzeczywistość: zadaniem tragedyi jest ideał. Człowiek, mniéj więcéj zawsze ułomny i samolubny nie wystarcza jéj: tragedya chce mieć w człowieku zarazem człowieka i bohatera jak Cyd, człowieka i obywatela jak Horacy, człowieka i męczennika jak Polyeucte, albo człowieka i proroka jak Joad. Dziedziną komedyi i dramatu jest ziemia; tragedya potrzebuje koniecznie kawałka nieba. Nawet ludzkie namiętności przedstawione jéj pędzlem, obłóczą szatą ideału, jak to Racine cudownie urzeczywistnił w osobie Fedry. Fedra nie przestaje być Greczynką, nawet wtedy, kiedy w sercu jéj chrześciańskie budzą się uczucia; a jeżeli prawda, że Hippolit nadto podobny do dworzanina Ludwika XIV: to jedna więcéj nauka, jaką nam dał poeta, pokazując w tym samym utworze o co potrzeba się starać, a czego unikać.

„Rozmaite są sposoby tłumaczenia historyi na scenie: każdy z wielkich nowoczesnych tragików, Schiller, Corneille, Racine, Shakspeare, z innego na nią zapatrywał się stanowiska. Schiller nie dosięgnął ani Szekspirowskiéj prawdy, ani moralności Cornela: nie dlatego, żeby mniéj znał serce ludzkie niż piérwszy, lub mniéj był religijny niż drugi; ale że geniusz jego młody, chciwy kolorów i zakochany w abstrakcyi, ciągnął go mimowolnie ku teatralnym efektom i patetycznym schadzkom. Dla osiągnięcia scenicznego efektu nie wahał się układać sceny wprawdzie bardzo piękne, ale niemożebne moralnie i historycznie: jak naprzykład Maryi Stuart z Elżbietą, Wilhelma Tella z Janem-Ojcobójcą, Filipa II z Pozą".

Przebiegłszy zawód literacki swego poprzednika, Legouvé tak opowiadał daléj jego historyą:

.....„Rewolucya lipcowa zniszczyła całą fortunę pana Ancelot: stracił posadę, a ulotne pisma nie mogły zabezpieczyć go dostatecznie od grożącéj mu nędzy. Szczęściem, Opatrzność postawiła przy jego boku jednę z tych istot anielskich, których pomocy tak bardzo potrzebuje nasza męzka siła. Żona poety widząc upadłego na duchu męża, rzekła doń, przemawiając zarazem do czucia i rozsądku, tak jak tylko kobiéty mówić umieją: „Jesteśmy ubodzy, a nasza córka dorasta: cze-

mu nie chcesz użyć swoich zdolności na zebranie jéj posagu?" „Nie mam zdolności," odpowiedział zniechęcony mąż. „Jakto nie masz?" „Mówię ci, że nie mam: mam tylko trochę geniuszu, a ten jak widzisz nie popłaca." „Kto może więcéj, może i mniéj", szepnęła kobiéta. „Cóż więc chcesz żebym robił?" „Pisz powieści". „Powieści? może prozą?" Tu poeta zamilkł, a czując się obrażony w swéj literackiéj dumie, odrzucił z oburzeniem propozycyą.

„Ale miał do czynienia z tém, co jest najuporczywsze na świecie: z matką, starającą się o zapewnienie przyszłości swego dziecka. Matka napisała więc sama powieść i podpisała ją nazwiskiem męża. Powieść zyskała wielkie powodzenie: pan Ancelot odbierał zewsząd powinszowania, które chociaż prozą, podobały mu się dosyć. Spostrzegłszy to żona, opowiedziała mu pewnego wieczoru treść do napisania wodewillu. Przedmiot był wyborny. Dramaturg zapalił się do niego, i jeszcze tego wieczora plan został nakreślony. Ale potrzeba go było zapełnić, a poeta już ostygł w zapale. Żona zaproponowała mu, że napisze role kobiéce, jeżeli on męzkie napisze. Z tego podziału pracy wynikła śliczna komedyjka, która podobała się publiczności, a panu Ancelot otworzyła nową drogę do sławy.

„Ten rodzaj pisania na współkę, zwany kollaboracyą, bardzo się rozpowszechnił odtąd między francuzkiemi dramaturgami; niektóre poważne umysły ganią go i potępiają: co do mnie, zawdzięczam nadto drogą przyjaźń temu rodzajowi pracy, ażebym miał nie uznać szczęśliwego jéj wpływu na pisarzy i słuchaczy. Teatr już nie jest tém, czém był dawniéj; publiczność stała się zarazem sto razy łatwiejsza i sto razy więcéj wymagająca. Ażeby ją zadowolnić, potrzeba zgromadzić bardzo rozmaite zalety; a jest bardzo mało umysłów nawet pomiędzy najznakomitszemi, gdzieby tę rozmaitość napotkać można.

„Cóżto jest współpracownictwo? Rozmowa o jednym przedmiocie, a komedya napisana we dwoje lub czworo, wiernem odbiciem towarzyskich sprzeczności. Jesteśmy interesowani, chociażby przez patryotyzm do bronienia współzawodnictwa, które nietylko nie zabija

samoistności, ale podnosi talenta podrzędne, podnieca wyższe zdolności, a nadto rozpowszechnia po całéj Europie dowcip, obyczaje i uczucia francuzkie."

W końcu pan Legouvé temi słowy dowodzi umoralnienia społeczeństwa francuzkiego:

....„Skalą wielkości wieku nie jest sam tylko postęp, ale i dążenie ku niemu; kto chce dobrego, ten już tem samém jest lepszy: dzisiejszy ideał stanie się jutro rzeczywistością. Już nią jest nawet. Ileżto kobiét gruntowniejszém wykształceniem przysposobionych do rzeczywistéj roli małżonki, dopomaga mężom w ich umysłowéj lub handlowéj pracy; w trudnych zaś kolejach życia przynosi im, że tak powiem, drugą duszę w pomoc. A dzieci o ile więcéj kochane są teraz niż dawniéj! Dzisiaj widzimy ojców powracających do swych szkolnych książek, ażeby mogli lepiéj doglądać nauk swoich dzieci; są matki, które uczą się po grecku w sekrecie, ażeby mogły być korepetytorami synów.

„Życie familijne nie było nigdy więcéj rozwinięte we Francyi jak teraz; miłość rodziny przebija się nawet na scenie. Zapewne nikt nie posądzi o świętoszkostwo nowoczesnéj komedyi: w teatrach widzimy codziennie obsypywane poklaskami śmiałe myśli i dwuznaczne słowa, a jednakowoż, gdyby który z najśmielszych młodych dramaturgów poważył się przedstawić, co przedstawił Molier w Fourberies de Scapin, lub Skąpcu: syna naśmiewającego się z ojca po okradzeniu go; albo zmawiającego się z lokajem na zadanie mu plag cielesnych:—cała sala oburzona wygwizdałaby sztukę i wzgardziła bluźniercą, który śmiał podać na pośmiewisko godność ojcowską.

„Nie powątpiewajmy więc o pokoleniu, w którego sercu uczucia natury tak są rozwinięte. Autorowie! bierzcie natchnienia wasze z żywych źródeł; zawsze nosząc w sercu ideał rodziny, ulepszajcie się jako bracia, ojcowie, mężowie i syny—prawdziwa sława za tę kupuje się cenę. Ten tylko swój wiek przeżyje, kto zdoła odbić w swych dziełach, co w wieku tym było najwznioślejsze, przedstawić, co w nim nieśmiertelne".

Po komplementach zwyczajnych, Flourens w imieniu Akademii temi słowy odpowiedział panu Legouvé

na zdanie jego o dramatyczném współpracownictwie i pojmowaniu tragedyi:

...„Mówisz pan, że umysły surowe nie aprobują i lękają się współpracownictwa wprowadzonego do sztuki dramatycznéj we Francyi; rzeczywiście, nie mamy nadziei, ażeby z kollaboracyi urodził się kiedykolwiek nowy Mizantrop. Ale sztuka dramatyczna jest również rozmaita, jak potężna i żywotna; codziennie odmładza się ona, pożyczając nowéj formy od chwilowego popędu. Do układania tych jednodniowych przelotnych utworów, taka spółka różnorodnych talentów, które, jak słusznie pan powiedziałeś, kompletują się w połączeniu, może być bardzo dobra. Zresztą, theza pańska najlepsze znajduje poparcie w Adrienne Lecouvreur, sztuce lekkiéj i powabnéj, pełnéj wysokiego dowcipu i dokładnéj znajomości scenicznych efektów, które zdradzają współpracownika pańskiego, a zarazem szczęśliwie uzupełniają dzieło.

„Co do pojmowania tragedyi, która, jak pan słusznie powiedziałeś, ma przyczynę bytu w naturze człowieka, a celem jéj powinien być ideał; pozwolisz, iż wprowadzę niejakie restrykcye. Z pomocą fikcyi wpajać w społeczność zbawienne nauki, było odwiecznem zadaniem teatru; ale w tragedyi sztuka udoskonalona winna położyć sobie za obowiązek ograniczenie dziedziny ideału, a mianowicie też nie nadużywać daru poruszania słuchaczy. Autor powinien baczyć na to szczególniéj, żeby nie wlewać niepokoju w duszę, tę iskrę Bożą, którą w sobie nosimy; powinien zachować jéj tylko jedno ostateczne wrażenie: najwyższéj sprawiedliwości.

„Tragedya pańska Medea jest owocem długiéj i chwalebnéj pracy, któréj poświęciłeś się, chcąc wyjść ze zwyczajnego zakresu dzisiejszych dramaturgów; praca podniosła talent pana, i nadała mu powagę, która jest właściwym tonem tragedyi. Chwalebnéj wytrwałości swéj zawdzięczasz pan również nakreślenie pięknéj roli Orfeusza, w któréj przedstawiłeś poetę sprowadzonego do pierwotnego typu, odbierającego natchnienie od bogów i skupiającego całą potęgę swego talentu ku jednemu celowi: pobudzeniu ludzi do zgody i cnoty.

„Powiedziałeś pan, że tragedya potrzebuje koniecznie kawałka nieba. Nie sądzę, żeby fatalny ideał Medei mógł zająć tam miejsce. W pierwotnych swych utworach poetycznych zapisałeś myśl jednę, która niezawodnie łatwiéj, niż Medea porwać nas mogła do nieba: Bóg pośród nędzy ludzkiéj stworzył pocałunki dzieci dla łez matek".

„Napisałeś to pan pod wpływem miłości rodzinnéj, i onato natchnęła cię do rozwijania daléj myśli autora Zasługi kobiét. (Dzieło ojca pana Legouvé). Pod zasłoną obrony, któréj potrzeba może się wydawać zagadkową, ojciec pański uczynił z pochwał bodziec dla cnoty. Umiał pocieszać, głaskać, uwodzić dusze, ażeby je wznioślejszemi uczynić, a powoli tak uzacnić, żeby potrafiły znaleźć szczęście w obowiązku. Chwaląc i egzaltując poświęcenie, ojciec pański usunął skargę, zapobiegł gorzkim rozpamiętywaniom nad swą dolą: gdyż tam, gdzie jest prawdziwe przywiązanie, nie ma poświęcenia. Ażeby rady jego zostały przyjęte, pan Legouvé, jako doświadczony poeta, przybrał formy czci prawie bałwochwalczéj. Skromność niewieścia była do tyla wspaniałomyślną, że mu to przebaczyła; nie widząc w pochwałach przesady, przyjęła wszystko. Dzięki pochwale, nauka nie poszła w las. Książka powitaną została namiętnemi okrzykami wdzięczności; wdzięczności, któréj trwanie dowodzi, iż są entuzyazmy nieprzelotne.

„W ten sposób znalazłeś się pan niejako urodzonym obrońcą połowy rodzaju ludzkiego, a wspierany jéj sympatyą, przedsięwziąłeś malować jéj cierpienia. Po wielu probach napisałeś Medeę. Do téj historyi tylu zawodów i tylu niesprawiedliwości, czy nie mógłbyś pan odmalować jako pendant niemniéj czarny obraz cierpień i odpowiedzialności, jakie ciężą na drugiéj połowie rodu ludzkiego?

„Mój poprzednik, ksiądz Saint-Pierre czytając pewnego dnia dzieło kobiéty, wyrażającéj znakomicie płoche myśli, zawołał: „Jaka szkoda, że ona nie pisze tego, co ja myślę."

Dwie przemowy, z których najciekawsze przytoczyliśmy wyjątki, dlatego na szczególną zasługują uwagę, iż są wyrazem dwóch przeciwnych, nieustannie

ścierających się z soba opinij: walką ducha młodéj Francyi z duchem Akademii, które piérwszy raz dopiéro wystąpiły do tak blizkiego pojedynku, i wbrew zwyczajowi przyjętemu w poważném kole, wypowiedziały sobie, nie obwijając w bawełnę, wprost przeciwne zasady. Przyjęcie pana Legouvé było rodzajem skandalu, który poruszył wszystkie namiętności dwóch stronnictw, i dlatego zapewne długo w pamięci Paryżanów pozostanie.

W połowie kwietnia ma się odbyć przyjęcie do Akademii księcia Broglie. Pan Nisard będzie odpowiadał nowemu członkowi. Po téj recepcyi nastąpi przyjęcie Ponsarda. Dwa opróżnione fotele pp. Lacretelle i Molé nie mają jeszcze napewne wyznaczonych następców. Kandydatura pana Falloux nieco się chwieje: szanowne zgromadzenie obawia się słusznie, ażeby ten obiór nie skompromitował Instytutu w opinii publicznéj. Dla odzyskania względów ogółu, który corazto wstrętniejszy okazuje się dla Akademii, ta zamyśla podobno oddać dwa opróżnione miejsca pp. Augier i Sandeau; tak przynajmniéj życzą sobie rozsądni członkowie, ale na nieszczęcie, dobre natchnienia niezawsze odnoszą zwycięztwo w pałacu Mazarin.

Sprawozdawcy francuzcy, którzy jak wiadomo posiadają w tak wysokim stopniu talent chwalenia wszystkiego, co u nich wymyślono, wybudowano lub napisano, że co na miejscu jest ładne lub niezłe, reszcie świata wydaje się przecudne, kolosalne, olbrzymie: pisali wiele w ciągu ostatnich dwóch lat o upiększeniach lasku Bulońskiego. Po wszystkich dziennikach, tygodnikach i miesięcznikach brzmiały nieustannie idylle, opiewające zielone łąki, gaje, sztuczne kaskady, skały, rzeki i jeziora, gondole które po nich pływają, wzgórza i strumyki, które na gładkiéj powierzchni wywołane jakby laską czarodzieja, powstały, i przemieniły to niegdyś zarosłe niesfornemi krzakami pole, w cudny park angielski.

Jakoż rzeczywiście, nigdy może hymny pochwalne w pismach tutejszych nie były więcéj usprawiedliwione wartością opiewanego przedmiotu. Tą razą sumiennie

przyznać można, że chwalono co godném było pochwały; tém więcéj, że oprócz powierzchownych, miłych oku upiększeń, lasek Buloński stał się laboratoryum, w którém odbywają się obecnie ciekawe doświadczenia, mogące oddać wielkie przysługi nauce, i najużyteczniejszym jéj zastosowaniom. Chcę tu mówić o artyzejskiéj studni, kopanéj tamże przez inżyniera Kinda, i o sztucznem zarybieniu jezior przez pana Coste, które powiodło się bardzo pomyślnie.

Przodkowie nasi mawiali, że w winie prawda; możnaby dodać do tego przysłowia, że w wodzie zdrowie. Skoro ludzie z rozwagą wybierają pokarm, który ich przyzwyczajenie lub natura najlepiéj przyswaja: czemużby nie mieli dołożyć kosztów i pracy, aby napój, ta druga połowa konieczna do ich utrzymania, była jeżeli nie pomocną w odżywianiu, to przynajmniéj nieszkodliwą. Miasta i miasteczka, które swój grosz publiczny na upiększenia używają: sadzą drzewa, sypią groble, biją kanały, chcąc tym sposobem przysporzyć sobie zdrowia i życia, najprędzéj dopną celu, jeżeli zaczną od zaopatrzenia się w dostateczną ilość zdrowéj wody.

W Paryżu, gdzie woda dystylowana cyrkuluje pod ziemią tak, jak gaz lub korrespondencya telegraficzna, na jednego mieszkańca przypada dziennie dwa garnce wody, którą potrzeba przynieść i zapłacić. W konsumcyą nie wliczam téj massy wody, którą tryskają wielkie i małe fontanny, ku odświeżeniu powietrza lub przepłukania ścieków.

Wszystkie te potrzeby dotąd obsługiwały dwa rezerwoary i jedna pompa Chaillot. Dwa rezerwoary zasyca woda z Sekwany, w czém każdy dopatrzy circulum Viciosum; do wodociągu zlewa się cały strumień o milę za Paryżem położony. Często przypadek lub potrzeba czyszczenia, przerywa na wielu punktach miasta dystrybucyą wody. Zdarzyło się raz, że gdy przy zmianie inżyniera, który ma sobie poruczoną dostawę wody dla miasta, jeden rezerwoar przez kilka miesięcy nie był czyszczony, znaleziono na ścianach jego grubą warstwę jakiegoś czerwonego pokładu; warstwę tę utworzyły miryady czerwonych robaczków, które niedostrzeżone w bieżącéj wodzie, dorosły do rozmiarów

widzialnych w wodzie stojącéj, albo téż były nowym gatunkiem nieznanych piérwéj żyjątek.

W obec takich potrzeb, oddawna przemyśliwano w Paryżu nad otworzeniem nowéj arteryi podziemnéj; ale wiercenie studni artyzejskiéj wymaga wielkiego nakładu, przeto projekt odkładano. Dziś, kiedy odrabia się wszystko co dotąd zaniedbano, kiedy rozbudzona praca chce poświęceniem własném uprzyjemnić życie przyszłemu pokoleniu: nie cofnięto się i przed tém przedsięwzięciem.

Nowy system wiercenia przyszedł w pomoc projektowi. Pan Kind inżynier saski zaproponował municypalności Paryża, że wybije studnią artyzejską na swoje ryzyko w mieście lub za miastem, w miejscu któreby mu wyznaczono. Zobowiązał się dać jeden metr średnicy otworowi studni, i kopać tak głęboko (za granicę położył 720 metrów), dopókiby przychód dzienny wody nie dosięgnął 40,000 metrów sześciennych. Projekt przyjęty wykonywa się w lasku Bulońskim. Przekuwszy rękoma ludzkiemi skałę na 11 metrów głęboką, nastawiono maszynę parową i zaczęto wiercenie. Piérwsze dwa tygodnie zeszły na regulowaniu maszyny i wprawianiu do roboty ludzi.

Od sierpnia zeszłego roku do połowy lutego werznięto się w ziemię na 300 metrów. Pan Kind obiecuje, że z piérwszym maja będzie już 710 metrów głębokości. Rezultat byłby nadzwyczaj pomyślny, zwłaszcza w porównaniu ze studnią na przedmieściu Grenelle, którą przy 550 metrów głębokości kopano przez siedm lat.

Nowa studnia ma 60 centymetrów otworu w całéj głębokości, będzie sięgać na 20 metrów pod pokład zielonego i drobno-ziarnistego piaskowca, który leży na 550 metrów pod powierzchnią równiny Passy, i jest arteryą wodną. Ocembrowanie będzie dębowe. Woda wznosić się ma na 76 metrów wyżej powierzchni morza; a ta wysokość jest dostateczną na wszelkie posługi lasku Bulońskiego. Koszta są obrachowane na 350,000 franków, z warunkiem ukończenia roboty w czerwcu bieżącego roku.

Cała trudność tego rodzaju pracy leżała w tém, że dotąd używano do niéj świdra żelaznego. Pan Kind

zapatrując się na Chińczyków, składa swój świder z drewnianych prętów na kilka metrów długich, zbitych razem żelaznemi obręczami. Taki świder ma gatunkową ciężkość wody: ponieważ zaskórną wodę napotyka się już na 20 do 30 metrów głębokości, i takowa nie przestaje wypełniać otworu aż do końca operacyi; dlatego świder drewniany jest prawie unoszony, a wytrzymałość jego dostateczna, ażeby go ustrzedz od skręcenia, które jest nieuniknione przy świdrze żelaznym. Cały więc sekret nowego pomysłu zasadza się na tém, że ciężar gatunkowy świdra umorzony jest przez wodę, skutkiem czego z łatwością podnosić go i zniżać można.

Kiedy bity kafarem świder zmiażdżył już ziemię na kilka metrów, wydobywa go się, rozkłada na części, i zamiast nożyc, zakłada mu się na koniec wiadro z klapą, i na nowo spusza w ziemię. Poczém znów zakładają się nożyce, które za każdém podniesieniem lub opuszczeniem świdra, otwierają się lub zamykają, krusząc napotykane przedmioty.

Kafar uderza 20 razy w minutę na podźwignięty świder. Wiadro jest tylko spuszczane co 12 godzin. W niektórych miejscach kładą się rury blaszane, dla powstrzymywania osypującego się piasku, którego warstwy świder już przebił.

Obok innych korzyści, operacya ta rzuca wielkie światło na geologiczny skład skorupy ziemnéj. Dotąd nie różni się ona w niczém od napotkanych pokładów przy kopaniu studni Grenelle. Pod ziemią roślinną znaleziono cztero-metrową warstwę żółtego piasku, pomieszanego z wapnem; po niéj na 7 metrów gruby pokład wapienny; pod nim 20-metrowy pokład piasku zmieszany z muszelkami, a daléj 6 metrów sypkiego piasku, którego przekopanie było nader mozolne, bo grunt osypywał się nieustannie. Teraz zapuszczono się w pokłady krzemionkowe i kredowe, których wiercenie jest bardzo łatwe.

Probkę każdéj nowo natrafionéj warstwy ziemnéj, robotnicy odkładają osobno; a ludzie specyalni rysują z nich mappę, która będzie dokładną kartą geologiczną paryzkiego gruntu. Nadto pan Kind przyrzekł członkom Akademii wydziału geologicznego, iż skoro napo-

tka jaką warstwę, która wyda mu się godną uwagi, natychmiast każe wydobyć sporą jéj bryłę, i zakommunikuje takową Akademii, ażeby naocznie o jéj składzie przekonać się mogła.

Nie ulega już wątpliwości, iż koszt wiercenia studni artyzejskiéj w lasku Bulońskim nie przejdzie obliczonych przez Kinda 350,000 franków. Municypalność paryzka zachęcona taniością i szczęśliwym rezultatem roboty, zaraz po ukończeniu rozpoczętéj pracy ma wyznaczyć panu Kind kilka innych miejsc na kopanie podobnych studni w lasku, które zasyciłyby tamże wykopane jezioro i rzekę sztuczną, bez pomocy Sekwany i maszyn parowych, dostarczających dziś wody rzecznéj, a przy zaprowadzeniu artyzejskich studni, zwolnioneby zostały z téj mozolnéj i kosztownéj pracy.

— Przed trzema laty donosiliśmy czytelnikom naszym o uczynionéj przez pana Coste na wielką skalę probie zarybiania wody stojącéj rybami, które dotąd tylko w rzekach się poławiały. Piętnaście tysięcy łososiów i pstrągów wylęgłych sztucznie w laboratoryum pana Coste w Collége de France, wpuszczono wtedy do Bulońskiego jeziora, i zostawiono je własnemu przemysłowi, nie dając innego pożywienia, prócz zwykłych cząstek znajdujących się w wodzie Sekwany. Skromny ten regime posłużył nadspodziewanie sztucznym wychowańcom sztucznego jeziora, o czém przekonał, nawet niedowiarków, temi dniami dokonany prawdziwie cudowny połów.

Raz zapuszczoną na brzegu siecią, wyciągnięto sto dziesięć łososiów i pstrągów. Pomiędzy temi rybami było wiele rocznych, a już długich na 14 do 16 centymetrów; trzechletnie miały 44 do 50 centymetrów długości i ważyły około dwóch funtów, co na paryzkim targu daje każdemu z nich wartość przynajmniéj trzech franków.

Pan Coste na posiedzeniu Akademii zwrócił uwagę członków, iż żadna z tych ryb żyjąca w stanie natury nie dorasta w tak krótkim przeciągu czasu do rozmiaru jego wychowańców: o czém przekonał szanownych kollegów, pokazując im równego wieku i gatunku ryby wyłowione w Sekwanie.

Nadto, mięso tych ryb wylęgłych sztucznie ma smak wyborny, nieskończenie delikatniejszy od tych, które w stanie dzikości zostają.

Z powyższéj proby okazało się przeto, że każdą stojącą wodę można z pomyślnym rezultatem zarybić najprzedniejszym gatunkiem ryb rzecznych; i że te nietylko w niéj żyć będą, ale tam hodowane nabiorą lepszego od ryb rzecznych smaku. Tak więc pisciculturа wyszła nareszcie z dziedziny dyskussyi i przypuszczeń, a stała się jedną z najważniejszych zdobyczy cywilizacyi, mogącą oddać ludziom przysługi, których ważności obliczyć jeszcze dzisiaj nie można.

Oprócz nawały broszur politycznych różnéj wartości i różnéj treści, któremi w ostatnich czasach zasypano księgarnie paryzkie, książek mających wartość naukową lub historyczną pojawiło się bardzo mało, a i od tych uwaga powszechna zupełnie jest odwrócona, skutkiem ważności bieżących wypadków. Najważniejszą publikacyą zeszłego miesiąca jest Micheleta nowy tom historyi francuzkiéj w XVI wieku, obejmujący Wojny Religijne. Ale ponieważ dzieło to należy do rzędu tych, którym albo bardzo obszerny rozbiór poświęcić należy, albo ich téż wcale tykać się nie godzi: ograniczamy się przeto na prostém wymienieniu téj nader zajmującéj książki.

— Wyszły dwa piérwsze tomy dzieła pod napisem: Mémoires et Journal de l'Abbé le Dieu, sur la vie et les ouvrages de Bossuet. Ksiądz Le Dieu, autor kilku książek teologicznych, był przydany Bossuetowi w roku 1684, i pozostawał przy nim przez ostatnie lat dwadzieścia jego życia, jako sekretarz prywatny z tytułem kanonika jego katedralnego kościoła. Nie był on atoli z Bossuetem w stosunkach przyjaźni, jaka łączyła księdza Langeron z Fenelonem: był raczéj wiernym sługą swego biskupa. Jak sam powiada, przez cały ciąg pobytu przy nim, nie otrzymał od Bossueta żadnego zwierzenia: o wszystkich ważnych jego dziełach i przedsięwzięciach dowiadywał się po ich dokonaniu.

Dzieło księdza Le Dieu, jak to sam tytuł wskazuje, obejmuje dwa różne dzieła: Pamiętniki i Dziennik. Pamiętniki napisane wkrótce po śmierci Bossueta są starannie wykończonym obrazem życia, zdolności i cnót sławnego biskupa: znać tam człowieka, który żył z Bossuetem i mówi o nim z uwielbieniem, bo go kochał całą duszą. W dzienniku, pisanym zdaje się dla siebie samego w formie notatek, mających służyć jako materyał do dzieła, ksiądz Le Dieu mówi wprawdzie zawsze z uszanowaniem o Bussuecie, ale wspomnienia swoje zapisuje bez wyboru; ztąd napotyka się tam wiele trywialnych i niepotrzebnych szczegółów. W ten sposób nakreślone wizerunki są zapewne najwierniejsze i bardzo ciekawe dla potomności; ale zazwyczaj życiorys odkrywający dzień po dniu wszystkie sprawy i uczynki wielkiego męża, do niepoznania go pomniejsza.

Pamiętniki, w których autor nie drobiazgowo, ale ogólnie maluje swego bohatera, są nader pięknym jego obrazem. Ksiądz Le Dieu zaczyna od genealogii Bossueta, potém opowiada wychowanie jego domowe; następnie nauki w Dijon, szkole de Navarre i Metz, gdzie trawił życie na czytaniu biblii i dzieł św. Augustyna, gotując się do wielkiego zawodu duchownego, do którego powołanie czuł w sobie od dzieciństwa.

Daléj opowiada ksiądz Le Dieu wrażenie, jakie sprawiły w Paryżu piérwsze kazania Bossueta, i jego mowy pogrzebne, a następnie jego teologiczne zatargi z Fenelonem; w końcu opisuje ostatnie chwile tego wielkiego męża, a jako rzadki przykład pokory obok geniuszu, przytacza, iż skoro w ostatniéj chorobie Bossueta, proboszcz Vareddes wyraził mu swoje zadziwienie, że ten, któremu Bóg tak wielkie dał światło, jeszcze jego rady zasięga, odpowiedział mu: „Mylisz się: Bóg daje człowiekowi światło tylko dla drugich; jeżeli chodzi o sądzenie własnych postępków, częstokroć zostawia go w zupełnéj ciemności."

Dalszy ciąg tego dzieła wkrótce zapewne pojawi się w tutejszych księgarniach.

— Pan Villemain ogłosił Etudes d'histoire moderne. Większą część téj czysto-politycznéj książki zajmuje rozbiór powstania greckiego 1821 roku, oraz roli, jaką w niém odgrywała interwencya Zachodu.

— Pod redakcyą księdza Mulois piérwszego cesarskiego kapelana, wychodzić będzie: Encyklopedya ludowa, Dziennik dla wszystkich. Encyklopedya ta w formie dziennika, w alfabetycznym porządku rozbierać ma przedmioty obchodzące miejską i wiejską ludność. Cały tegoroczny odcinek tego pisma poświęcony zostanie badaniom środków uniknienia nędzy w Paryżu, nieznanych sposobów przemysłu i polepszenia losu robotników. Nowa ta publikacya rokuje wiele dobrego.

— Dziennik powszechny oświecenia publicznego donosi, iż na żądanie ministra oświecenia, rada cesarska zajęła się przejrzeniem Wieku Ludwika XIV Voltaira, celem zastosowania powyższego dzieła do użytku szkół. „Minister, powiada Dziennik powszechny, zadość uczynił tym sposobem wymaganiom opinii powszechnéj i życzeniu rodziców młodego pokolenia, którzy nie chcieliby, żeby ich dzieci były wychowane w zupełnéj niewiadomości o tak wielkim pisarzu, jakim był Voltaire, ale którzy również radziby im dać poznać tylko nieskazitelną część dzieł jego."

— Pod napisem Les Femmes d'Homère, pan Chamboulin wydał dość zajmującą książkę, w któréj rozbiera charaktery wszystkich bohaterek Iliady i Oddyssei. Autor położył sobie za cel wyjaśnić idee, które Homer uosobił w swych typach niewieścich, tak ogromnych, że trudno ich całość ogarnąć. Maluje najprzód Andromakę opłakującą zmarłego męża; po niéj Hekubę nieszczęśliwą monarchinią; płochą Helenę, któréj wiarołomstwo tyle pociągnęło za sobą nieszczęść; daléj piękną i cnotliwą Nausicae; królowę Aretę ubóstwianą od ludu swego; Eurykleę wielko-duszną niewolnicę: w końcu Penelopę, wzór wierności małżeńskiéj. Charaktery wymienionych kobiét pan Chamboulin określił jasno i zgodnie z oryginałem; dzieło jego niezmiernie moralne, służyć może użytecznie jako komentarz dla młodzieży, rapuszczającéj się w olbrzymie areny Homerowskich poematów.

— Pan Bruno ogłosił seryą Studyów Szekspirowskich. Piérwsza część już wydana, nosi tytuł: Don Garcia Fernandez; potém wyjdą Miłostki Trybuleta, i Akademicy Hejdelberscy. Autor

ma najlepsze chęci; szkoda, że siły nie odpowiadają zadaniu. Nowy komentator Szekspira niechcący zdefiniował wybornie dzieło swoje w kilku słowach, które na końcu przedmowy umieścił: J'ai la tête si vide et le coeur si plein, qu'on dirait que ma tête est tombée dans mon coeur."

— Méry napisał komedyą we trzech aktach wierszem: les deux Frontins, która, jak wszystkie jego utwory dramatyczne, została jednomyślnie przyjętą do Théâtre Français.

W teatrze Ambigu-Comique przedstawiono piérwszy raz Raj utracony Miltona, ułożony w formę czarodziejskiego dramatu przez pp. Dugué i Dennery. W wiekach średnich grywano na scenie podobne dramata pod nazwą tajemnic: w Hiszpanii przechowały się one najdłużéj. Lope de Vega i Calderon pisali jeszcze tak zwane autos sacramentales; za czasów Cornella, Calderon ułożył sztuk takich sześćdziesiąt ośm, a reprezentacye ich wówczas bardzo świetne, mogły nawet natchnąć Miltonowi myśl do napisania Raju Utraconego. Ale w dzisiejszym sceptyczno-krytycznym wieku nie zdaje nam się, ażeby ludzie posiadali jeszcze potrzebną duszy prostotę do ukochania dzieł takich, i mogli się zbudować widokiem tych biblijnych rozdziałów, przeistoczonych w akty dramatu. Z drugiéj strony poważny umysł dzisiejszego pokolenia rażą podobne igraszki. Sztuka przedstawiona w Ambigu nie jest wprawdzie niereligijna, ale wolelibyśmy, żeby jéj kosztowna wystawa wybrała sobie mniéj poważny przedmiot. Upadek aniołów i ludzi, skazanie ich na śmierć i pracę, ukaranie potopem skażonéj ludzkości, są to kwestye nadto wysokie, ażeby je można wprowadzać na teatralne deski; układać zaś rozmowy Boga z aniołami i szatanem, Adama z Ewą i tam daléj, wydaje nam się rzeczą nader trudną, któréj sam Milton niezawsze podołał.

JULIUSZ CEZAR.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEKŁAD Z SZEKSPIRA

PRZEZ

J. Paszkowskiego.

OSOBY.

JULIUSZ CEZAR.
OKTAWIUSZ CEZAR. } Tryumwirowie po śmierci Juliusza Cezara.
MAREK ANTONIUSZ. }
MAREK EMILIUSZ LEPIDUS. }
CYCERO. } Senatorowie.
POPILIUSZ LENA. }
PUBLIUSZ. }
MAREK BRUTUS. } Sprzysiężeni przeciw Juliuszowi Cezarowi.
KASSYUSZ. }
KASKA. }
TREBONIUSZ. }
LIGARYUSZ. }
DECYUSZ BRUTUS. }
METELLUS CYMBER. }
CYNNA. }
FLAWIUSZ. } Trybunowie.
MARULLUS. }
ARTEMIDORUS, Sofista z Knidos.
Wieszczek.
CYNNA, poeta.
Drugi poeta.
LUCYLIUSZ, TYTYNIUSZ, MESSALA, młodszy KATO, WOLUMNIUSZ, przyjaciele Brutusa i Kassyusza.
WARRO, KLITUS, KLAUDYUSZ, STRATO, LUCYUSZ, DARDANIUSZ, słudzy Brutusa.
PINDAR, sługa Kassyusza.
KALPURNIA, małżonka Juliusza Cezara.
PORCYA, małżonka Brutusa.
Senatorowie, Obywatele, Straże i inne osoby.

Scena odbywa się przez większą część sztuki w Rzymie; następnie w Sardes i pod Filippami.

AKT I.

SCENA PIERWSZA.

(Jedna z ulic Rzymu).

FLAWIUSZ, MARULLUS I GROMADA OBYWATELI.

FLAWIUSZ.

Precz ztąd: do domów, do domów próżniaki!
Czy to dziś święto? Jakto, czy nie wiecie,
Że w dzień roboczy, bez znaku professyi
Rzemieślnikowi włóczyć się nie wolno?
Jakiegoś Wasze rzemiosła?

PIERWSZY OBYWATEL.

Ja, panie? ja-m sobie cieśla.

MARULLUS.

Gdzież masz skórzany fartuch i liniał?
Dlaczego-ś dzisiaj tak strojnie wystąpił?
A Wasze, jakież Waścine rzemiosło?

DRUGI OBYWATEL.

Prawdę mówiąc, panie, daleko mi być znakomitym majstrem. Jestem sobie poprostu, jak to mówią, partacz.

MARULLUS.

Ale ja pytam o Waści rzemiosło:
Wprost odpowiadaj.

DRUGI OBYWATEL.

Jestto rzemiosło, którém zdaje mi się, iż mogę się z spokojném trudnić sumieniem. Łatam, panie, skórę tym, co nie statkują.

MARULLUS.

Jakie rzemiosło twoje, gburze? pytam:
Jakie rzemiosło?

DRUGI OBYWATEL.

Proszę was, panie, nie zaczynajcie ze mną tak z kopyta, bo na kopyto! mógłbym wam łatkę przypiąć.

MARULLUS.

Mnie łatkę przypiąć! Co przez to rozumiész,
Zuchwalcze?

DRUGI OBYWATEL.

Nie chcecie łatki, panie, no, to mógłbym wam dać przyszczepkę.

MARULLUS.

To tedy z ciebie naprawiacz obuwia?

DRUGI OBYWATEL.

Nieinaczéj, panie, z szydła tylko żyję. Nie mieszam się do interesów niczyich, nie wyłączając kobiécych, niczém inném jak szydłem. Słowem, panie, jestem chirurgiem starych chodaków; jeżeli im wielkie niebezpieczeństwo grozi, robię im operacyą, i mogę się pochlubić, że moja partanina służy niejednemu z owych wielkich panów, co na wołowéj skórze chodzą.

FLAWIUSZ.

Ale dlaczego-ś dziś nie przy warsztacie?
Dlaczego wodzisz po mieście tych ludzi?

DRUGI OBYWATEL.

Dlatego, panie, mówiąc między nami, żeby zdarli obuwie, i żeby mi się tym sposobem dostała robota. Ale rzetelnie mówiąc, świątkujemy dziś, panie, dlatego, żeby zobaczyć Cezara i cieszyć się jego tryumfem.

MARULLUS.

Cieszyć się? Z czego? Jakież on Rzymowi
Niesie podboje? Jakież zhołdowane
Przez niego ludy, spętanym orszakiem
Uwieńczyć mają koła jego wozu?
O głąby! o! wy bałwany nieczułe,
Stokroć nieczulsze od nieczułych głazów!
O! twarde serca, okrutni Rzymianie,
Zapomnieliście już o Pompejuszu?
Ileżto razy, nie tak dawno jeszcze,
Wdzieraliście się na mury i domy,
Na wieże, okna, nawet na kominy,
Z dziećmi na ręku; i tam siedzieliście
Całemi dniami, cierpliwie czekając,
Rychło Pompejusz, ów wielki Pompejusz

Przejeżdżać będzie przez ulice Rzymu.
A gdyście jego wóz ujrzeli zdala,
Nie wydaliście jednocześnie wszyscy
Takich okrzyków, że aż Tyber zadrżał
W swoich łożyskach, słysząc powtórzenie
Odgłosów waszych wzdłuż brzegów?
I wyżto dzisiaj przywdziewacie stroje?
I wyżto dzisiaj obchodzicie święto?!
I wyżto kwiaty dziś posypujecie
Na drodze temu, który tryumfuje
Dlatego, że krew Pompejusza przelał?!
Precz ztąd zmienniki!
Idźcie do domów, zegnijcie kolana,
Błagajcie bogów, błagajcie penatów
O odwrócenie klęsk, jakie podobna
Niewdzięczność musi pociągnąć za sobą.

FLAWIUSZ.

Odejdźcie dobrzy ludziska, odejdźcie;
Dla naprawienia zaś waszego błędu,
Zgromadźcie rzeszę równych wam biédaków
U brzegów Tybru, i dopóty lejcie
Łzy wasze w jego koryto, dopóki
Najniższy jego strumień nie podskoczy
Do najwyższego z okolicznych brzegów.
(Obywatele wychodzą).
Patrz, i najlichszy kruszec da się wzruszyć;
Świadomość winy krępuje im język:
Milcząc rozchodzą się. Idź ty tą stroną,
Ja tędy pójdę: pozdzieraj z posągów
Ozdoby, jeśli je na nich zobaczysz.

MARULLUS.

Nie będzież to krok zaśmiały?
Wszakże to Rzym dziś święci Luperkalia?

FLAWIUSZ.

Cóż z tego: wara trofeom Cezara
Wisieć na jakim-bądź posągu. Przejdę
Dokoła miasto, pospędzam gmin z ulic:
Ty zrób to samo skoro tłum spostrzeżesz.
Rosnące pióra u skrzydeł Cezara
Trzeba oskubać, powściągnąć wzlot jego:
Inaczéj mógłby wznieść się zawysoko,
I nas obrócić w drżących poddańczuków.
(Wychodzą obadwaj).

SCENA DRUGA.

(Plac publiczny w Rzymie).

Processyonalnie, z towarzyszeniem muzyki, wchodzi: CEZAR, ANTONIUSZ, *w pogotowiu do gonitwy;* KALPURNIA, PORCYA, DECYUSZ, CYCERO, BRUTUS, KASSYUSZ I KASKA; *za nimi wielki tłum ludu, wśród którego* WIESZCZEK.

CEZAR.

Kalpurnio!

KASKA.

Hola! milczcie: Cezar mówi!
(Muzyka ustaje).

CEZAR.

Kalpurnio!

KALPURNIA.

Jestem, panie.

CEZAR.

Stań na drodze
Antoniuszowi, gdy przebiegać będzie.
Gdzie jest Antoniusz?

ANTONIUSZ.

Cezarze, rozkazuj.

CEZAR.

Pamiętaj, biegnąc dotknąć się Kalpurnii.
Starzy albowiem zapewniają ludzie,
Że na niepłodnych niewiastach przestaje
Ciężyć przekleństwo, gdy się ich kto dotknie
Świętą gonitwę odbywając.

ANTONIUSZ.

Będę
O tém pamiętał: kiedy Cezar powie,
Zróbcie to, już to zostało spełnioném.

CEZAR.

Postąpmy daléj:
A nie pomińcie nic z zwykłych obrzędów.
(Muzyka).

WIESZCZEK.

Cezarze!

CEZAR.

Kto mnie wzywa?

KASKA.

Hola! Uciszcie się, Cezar chce mówić
(Muzyka ustaje).

CEZAR.

Kto się tam w ciżbie téj odezwał? Jakiś
Głos donośniejszy od muzyki wołał:
Cezarze! Cezar gotów go wysłuchać.

WIESZCZEK.

Strzeż się dnia Idus w marcu.

CEZAR.

Któż to taki?

BRUTUS.

To jakiś wieszczek daje ci przestrogę.

CEZAR.

Przywiedźcie go tu, niech ujrzę twarz jego.

KASKA.

Bracie, wyjdź z tłumu: przystąp do Cezara.

CEZAR.

Cóżeś to wasze mi powiedział? powtórz.

WIESZCZEK.

Strzeż się dnia Idus w marcu.

CEZAR.

To marzyciel.
Nie zatrzymujmy się. Naprzód panowie.
(Odgłos trąb. Wszyscy wychodzą, prócz Brutusa i Kassyusza).

KASSYUSZ.

Czy i ty pójdziesz przyjrzeć się gonitwie?

BRUTUS.

Ja, nie.

KASSYUSZ.

Proszę cię, pójdź.

BRUTUS.

Nie mam humoru do zabaw: nie jestem
W usposobieniu takiém jak Antoniusz.

Nie zatrzymuję cię jednak, Kassyuszu:
Idź, jeśli masz chęć.

KASSYUSZ.

Brutusie, już ja od pewnego czasu
Uważam ciebie: nie widzę w twych oczach
Owéj życzliwéj dobroci, do któréj
Zdawna przywykłem: zimno, obojętnie
Podajesz teraz dłoń przyjacielowi,
Który cię szczerze miłuje.

BRUTUS.

Kassyuszu!
Nie wiń mnie: jeślim wzrok pokrywał chmurą,
To nie dlaczego innego, jak tylko
Dla utajenia wnętrznych niepokojów.
Miotany jestem od pewnego czasu
Rozmaitemi troskami, myślami,
Mojéj jedynie głowie właściwemi,
Które rzucają może cień na moje
Postępowanie. Ale niech się na to
Nie żalą moi dobrzy przyjaciele,
(Do których rzędu pozwól mi i ciebie
Liczyć, Kassyuszu); niech obojętności
Mojéj za powód to jedynie dają,
Że biédny Brutus sam z sobą w niezgodzie,
Czule na drugich patrzeć zapomina.

KASSYUSZ.

Skoro tak, błędnie-m więc sobie Brutusie
Tłumaczył stan twéj duszy, i dlatego
Pierś ta przed tobą ukrywała dotąd
Ważne, wielkiego znaczenia pomysły.
Powiédz mi, proszę, Brutusie, czy możesz
Ujrzéć twarz własną?

BRUTUS.

Nie, Kassyuszu: oko
Nie może bowiem samo siebie widzieć,
Chyba w odbiciu.

KASSYUSZ.

Prawda: to też wielu
Boleje nad tém, Brutusie, że nie masz
Takich zwierciadeł, któreby ci mogły
Stawić przed oczy twą ukrytą wartość,
Abyś ją ujrzał widomie. Słyszałem
Najszanowniejszych Rzymian, (z wyłączeniem
Nieśmiertelnego Cezara), mówiących

Wśród utyskiwań nad niedolą wieku:
„Gdyby szlachetny Brutus chciał się przejrzéć!"

BRUTUS.

Na bogi, w jakieżto niebezpieczeństwo
Chcesz mię pociągnąć, Kassyuszu, żądając,
Ażebym w sobie szukał tego, czego
Znaleźćbym nie mógł?

KASSYUSZ.

Słuchaj mnie, Brutusie:
Skoro uznajesz, że nie możesz siebie
Widzieć inaczéj, jak tylko w odbiciu;
Ja, niby lustro, sprobuję ci odkryć
Tę twoję stronę, któréj jeszcze nie znasz.
Nie miéj szczerości mojéj w podejrzeniu,
Brutusie. Gdybym był gminnym pustakiem,
Gdybym, szafując przysięgą, za bezcen
Sprzedawał przyjaźń moję lada komu;
Gdybyś był świadom, że się komukolwiek
Przypochlebiałem, żem go czule ściskał,
A potém czernił za oczyma; gdybyś
Był świadom, że się z lada zbiegowiskiem
Łączę dla podłych uczt i pohulanek:
Wtedybyś mógł mnie niebezpiecznym sądzić.
(Odgłos trąb i okrzyki).

BRUTUS.

Cóżto za okrzyk? Lękam się, czy tylko
Lud nie chce królem obwołać Cezara.

KASSYUSZ.

Lękasz się tego? Byłżebyś więc temu
Przeciwny?

BRUTUS.

Byłbym przeciwny, Kassyuszu,
Pomimo tego, że mu bardzo sprzyjam.
Ale dlaczegoż mnie tu zatrzymujesz
Tak długo? Cóżeśto miał mi powiedzieć?
Jeżeli idzie o dobro ogółu,
Staw mi przed oczy honor obok śmierci,
A pewnie kroku nie cofnę; bo niech mię
Bogowie skarzą, jeżeli nie bardziéj
Miłuję honor, niż się śmierci lękam.

KASSYUSZ.

Znam ja tę twoję cnotę, o Brutusie!
Znam ją tak dobrze, jak rysy twéj twarzy.

W istocie, honor jest osnową tego,
O czém ci mówić zamierzyłem. Nie wiem,
Jak tam kto sobie wyobraża życie;
Ale co do mnie, mniemam: że na jedno
Wychodzi nie żyć wcale, jak żyć w ciągłéj
Obawie kogoś nam równego. Jam się
Urodził wolnym, tak samo jak Cezar;
Ty także: obu nas równie karmiono,
I oba, tak jak on, umiemy znosić
Zimowe chłody. Raz w dzień niepogodny,
Kiedy wzburzony Tyber wstrząsał brzegi,
Rzekł do mnie Cezar: „*Miałżebyś, Kassyuszu,*
Odwagę rzucić się ze mną w te fale,
I płynąć razem do tamtego punktu?"
Ledwie to wyrzekł, ja nierozebrany
Skoczyłem w rzekę, wzywając go, żeby
Zrobił toż samo; co on téż uczynił.
Nurt ryknął, myśmy smagali go siłą
Naszych muszkułów, roztrącali na bok,
Wstrzymywali go przekornemi pierśmi.
Aleśmy jeszcze nie dosięgli kresu;
Aliści Cezar zawołał: „*Kassyuszu,*
Ratuj mię, tonę!" Jak niegdyś Eneasz,
Nasz wielki pradziad, na barkach z pożaru
Troi starego wyniósł Anchizesa;
Tak i ja wtedy nawpół omdlałego
Cezara z Tybru wyniosłem: I tento
Człowiek jest dzisiaj bożyszczem, a Kassyusz
Nędzném stworzeniem; pokornie się musi
Chylić do ziemi, kiedy Cezar ledwie
Głową mu kiwnie z niechcenia. Kiedyśmy
Byli w Hiszpanii, miał on zimną febrę,
I uważałem jak drżał, ile razy
Przyszedł paroxyzm. Tak, to bóstwo drżało:
Z tchórzliwych jego lic uciekła farba,
Wzrok jego stracił blask, ten sam wzrok, który
Trwogą świat teraz krępuje. Słyszałem
Jego jęk, i te usta, które dzisiaj
Każą Rzymianom na czatach mieć słuchy,
I mowy jego do ksiąg zapisywać,
Wołały: „*daj mi wody Kassyuszu,*"
Jak chora dziéwka. O! bogi, słupieję,
Kiedy pomyślę, że tak kruchy człowiek
Może wybiegać nad majestat świata,
I palmę dzierżyć sam jeden.
(Okrzyki. Odgłos trąb).

BRUTUS.

Znów jednogłośne okrzyki!
Pewnie ten poklask jest oznaką jakichś
Nowych honorów, któremi Cezara
Lud obsypuje.

KASSYUSZ.

Tak, mój przyjacielu:
Rozkraczył się on na tym ciasnym świecie
Jak kolos, a my, maluczcy jak mrówki,
Przechodzić musim między olbrzymiemi
Jego nogami i zerkać, ażali
Gdzieś w kącie sobie nie upatrzym grobu.
Przecież czasami, kochany Brutusie,
Ludzie panami są swoich przeznaczeń:
Jeżeli nisko spadamy, częstokroć
Nie jest to wina gwiazd, ale nas samych.
Brutus i Cezar! czémże tu jest Cezar?
Czemuż to imię ma twoje zacierać?
Napisz je razem: twoje niemniéj piękne;
Wyrzecz je razem: twoje równie zabrzmi;
Zważ je: nie będzie pewnie twoje lżejszém;
Użyj obudwu do zaklęć: a Brutus
Wywoła duchów tak dobrze, jak Cezar.
(Okrzyki).
Jeszcze ten okrzyk! W imię wszystkich bogów,
Jakiemiż się to pokarmami żywi
Ten nasz potężny Cezar, że tak wyrósł?
Hańba ci, wieku! Rzymie, wysechł w tobie
Zdrój krwi szlachetnéj!.. W jakimż-to okresie
Ubiegłych czasów, od daty potopu,
Jeden mąż tylko sławą świat napełniał?
Kiedyżto kto mógł powiedzieć o Rzymie,
Że jego mury, te rozległe mury,
Jednego tylko męża w sobie mieszczą?
Dziś Rzym jest Rzymem, taż sama w nim przestrzeń,
Ale w nim tylko jeden mąż.
Opowiadali nam ojcowie nasi,
Że żył przed laty jakiś Brutus, który
Byłby był raczéj ścierpiał w Rzymie panem
Diabła, niż króla.

BRUTUS.

O! ja nie wątpię, że mi szczerze sprzyjasz;
Pojmuję trochę to, coś mi nasunął.
Co o tém wszystkiém myślę, późniéj powiem.
Teraz zaś proszę cię w imię przyjaźni,

Nie chciéj mię badać. To, coś mi powiedział,
Rozważę; tego, co mi jeszcze powiész,
Wysłucham: i mam nadzieję, że wkrótce
Znajdę sposobną chwilę do bliższego
Rozmówienia się w tak ważnéj materyi.
Tymczasem przestań na tém, przyjacielu:
Że Brutus prędzéjby wieśniakiem został,
Niżby uchodzić chciał za syna Rzymu
Pod tak twardemi warunkami, jakie
Zdaje się na nas wkładać czas obecny.

KASSYUSZ.

Przestaję na tém i cieszę się z tego,
Że słabe słowa moje wywołały
Z piersi Brutusa choć tyle zapału.
(*Cezar wraca z orszakiem swoim*).

BRUTUS.

Już po igrzyskach i Cezar powraca.

KASSYUSZ.

Kiedy nas będą mijać, uchwyć Kaskę
Za krawędź szaty: jeżeli dziś zaszło
Co ciekawego, on nam to opowié
Oryginalnym swoim stylem.

BRUTUS.

Dobrze, Kassyuszu: ale patrz, czy widzisz,
Jak się płomieni na czole Cezara
To zdradzające gniew znamię; a orszak
Jego wygląda jak zfukana gawiedź.
Kalpurnia blada, a Cycero błyska
Tym samym wzrokiem łasicy ognistym,
Jakiśmy nieraz u niego widzieli
Na Kapitolu, gdy senatorowie
Opponowali mu się w czasie obrad.

KASSYUSZ.

Kaska nam powié, co to wszystko znaczy.

CEZAR.

Antoniuszu!

ANTONIUSZ.

Cezarze!

CEZAR.

Otocz mię ludźmi poszytemi w ciało,
Którym się świecą policzki, i którzy
W nocy sypiają. Ten Kassyusz wygląda

Chudo i głodno; snadź zawiele myśli:
Z takiemi ludźmi niebezpiecznie.

ANTONIUSZ.

Oddal obawę, Cezarze; ten człowiek
Nie może się zwać niebezpiecznym: jestto
Szlachetny, dobrze myślący Rzymianin.

CEZAR.

Szkoda, że nie jest cokolwiek otylszy;
Ale ja się go nie obawiam; chociaż,
Gdyby me imię szło w parze z obawą,
Nie ma człowieka, któryby mnie bardziéj
Mógł niepokoić, jak ten suchy Kassyusz.
On wiele czyta, wiele obserwuje;
Wdaje się w rozbiór spraw ludzkich; nie lubi
Igrzysk, do których ty, mój Antoniuszu,
Taki masz pociąg; nie lubi muzyki;
Rzadko się śmieje, a gdy się rozśmieje,
To tak, jak gdyby sam z siebie chciał szydzić,
Jakby się z siebie samego naśmiewał,
Że go coś w świecie zdołało rozśmieszyć.
Ludzie takiego charakteru nigdy
Nie patrzą chętnie na wyższych od siebie;
Ztąd téż są oni wielce niebezpieczni.
Mowię ci o tém jak o rzeczy, któréj
Baćby się można, nie któréj się boję,
Boć nie przestałem być jeszcze Cezarem.
Pójdź tu na prawo, bo to ucho głuche,
I szczerze powiedz mi, co o nim myślisz.
(*Cezar z orszakiem wychodzi. Kaska pozostaje*).

KASKA.

Pociągnąłeś mnie za płaszcz, czy masz mi co do powiedzenia.

BRUTUS.

Nie inaczéj: Kasko, powiédz nam, co się to stało, że Cezar tak ponuro wygląda?

KASKA.

Albożeście to z nim nie byli? Jakto? nie byliście?

BRUTUS.

Gdybym z nim był, nie pytałbym Kaski co się stało.

KASKA.

Cóż się miało stać? Ofiarowano mu koronę, a on ją płazem ręki odepchnął: ot tak. Co widząc lud, dajlejże wrzeszczeć.

BRUTUS.

Cóż znaczył ów drugi okrzyk?

KASKA.

To, co i piérwszy.

BRUTUS.

Ale ten okrzyk trzy razy się powtórzył, cóż spowodowało ostatni?

KASKA.

To samo, co i piérwszy.

BRUTUS.

Więc mu po trzykroć ofiarowano koronę?

KASKA.

A jakże, i on ją po trzykroć odepchnął, jednakże za każdym razem łagodniéj; a za każdém jéj odepchnięciem, szanowni moi sąsiedzi huknęli z całego gardła.

BRUTUS.

Któż mu koronę podawał?

KASKA.

Któżby? Antoniusz.

BRUTUS.

Opowiédz nam to, Kasko, dokładnie.

KASKA.

Dam się obwiesić, jeżeli dokładnie opowiedzieć to potrafię; było to istotne dzieciństwo. Nie natężałem uwagi. Widziałem, że mu Marek Antoniusz podał koronę, to jest właściwie nie koronę, tylko pewien rodzaj tego, co królowie noszą na głowie; a on ją odepchnął, jak powiedziałem: chociaż o ile mogę sądzić, nie byłby jéj zatrzymał niechętnie. Po niejakim czasie podał mu ją znowu Antoniusz, i on ją znowu odepchnął; chociaż, o ile mogę sądzić, nie bez odrazy przyszło mu od niéj odjąć palce. Nareszcie podał mu ją Antoniusz po raz trzeci, i on ją po raz trzeci odepchnął; a za każdém takowém jego postąpieniem, motłoch wyć zaczął, klaskać w popękane dłonie, rzucać do góry obszarpane czapki, przyczém wyzionął taką dozę nieprzyjemnego oddechu z radości, że Cezar nie przyjął korony, że Cezarowi musiało się mgło zrobić, bo zemdlał i padł na ziemię. Co się mnie tyczy, nie śmiałem się rozśmiać, bom się bał usta otworzyć, i wciągnąć w siebie zepsute powietrze.

KASSYUSZ.

Zwolna, zwolna: mówisz więc, że Cezar zemdlał?

KASKA.

Padł na środku rynku: pianą mu się usta pokryły i głos mu się zatamował w piersiach.

BRUTUS.

Nie ma w tém nic nadzwyczajnego; on choruje na padaczkę.

KASSYUSZ.

Nie onto na nią choruje: ale ty, i ja, i nasz poczciwy Kaska.

KASKA.

Nie wiem, co chcesz przez to powiedzieć; wiem tylko tyle, że Cezar padł na ziemię, że ta hołota poklaskiwała mu lub sykała na niego w miarę, jak się jéj podobał lub nie podobał: tak, jak to robi komedyantom na teatrze. Jeżeli to nieprawda, to nie chcę się zwać poczciwym człowiekiem.

BRUTUS.

Cóż powiedział przyszedłszy do siebie?

KASKA.

Jeszcze przed swoim upadkiem widząc radość pospólstwa, z powodu, że nie przyjął korony, obnażył szyję na znak, że gotów ją sobie dać urznąć. Gdybym był prostym rzemieślnikiem i nie był go wtedy wziął za słowo, to niechby mnie była z temi szubrawcami ziemia pochłonęła. Potoczył się więc i upadł. Powróciwszy do zmysłów, rzekł: że jeżeli coś niestosownego zrobił lub powiedział, prosi szanowne publicum, aby to było na karb jego słabości policzone. Trzy czy cztery baby wpodle mnie stojące, wykrzyknęły: „*Niestety, poczciwa dusza!*"—i przebaczyły mu z całego serca. Ale tego nietrzeba brać tak ściśle, bo choćby im był Cezar matki kazał zarznąć, nie byłyby były mniéj czułe.

BRUTUS.

I dlategoto Cezar miał minę tak posępną?

KASKA.

Zdaje się, iż dlatego.

KASSYUSZ.

Niczże Cycero nie powiedział?

KASKA.

I owszem, mówił po grecku.

KASSYUSZ.

Cóż mówił?

KASKA.

Ba! i bardzo! Gdybym wam to powtórzył, nigdybym wam już w oczy nie mógł spojrzeć: ale ci, co go zrozumieli, śmieli się między sobą i potrząsali głowami. Co do mnie, było to dla mnie po grecku. Mogę wam jeszcze więcéj nowin udzielić: Marullus i Flawiusz zostali na odosobnienie skazani za zdzieranie ozdób z posągów Cezara. Bądźcie zdrowi. Było tam jeszcze więcéj dzieciństw, ale mi wywietrzały z pamięci.

KASSYUSZ.

Przyjdziesz-li do mnie na wieczerzę, Kasko?

KASKA.

Nie, jużem zamówiony gdzieindziéj.

KASSYUSZ.

To może jutro na obiad?

KASKA.

Zgoda, jeżeli żyw będę: twoja chęć dobra, i obiad twój wart jedzenia.

KASSYUSZ.

Będę cię oczekiwał.

KASKA.

Możesz. Bądźcie zdrowi obadwa.

(*Odchodzi*).

BRUTUS.

Jakże ten człowiek ociężał na duchu!
Kiedyśmy razem chodzili do szkoły,
Byłto chłop dziarski.

KASSYUSZ.

Jest on i dziś takim,
Ilekroć razy przychodzi mu spełnić
Jaki czyn piękny i śmiały, i tylko
Na pozór takim tępym się wydaje.
Jego rubaszność jest jak sos zaprawą
Jego dowcipu, i żołądki ludzkie
Sposobi z lepszym apetytem trawić
Jego wyrazy.

BRUTUS.

Być może. A teraz
Żegnam cię. Jutro, jeśli wola twoja,
Przyjdę do ciebie na dłuższą rozmowę;
Albo jeśli wolisz, sam przyjdź do mnie,
Będę na ciebie czekał.

KASSYUSZ.

Dobrze, przyjdę:
Tymczasem pomnij o świecie.

(*Brutus wychodzi*).

Wiedziałem
O tém, Brutusie, że szlachetnie myślisz;
Ale uważam, że twój grunt szacowny
Zmienić się może pod obcą uprawą.
Dlatego dobrzeto, kiedy szlachetnie
Myślący ludzie, zawsze się podobnych
Siebie trzymają: bo któż ma sam w sobie
Dosyć rękojmi, że się nie da uwieść?
Cezar coś na mnie krzywo patrzy, ale
Kocha Brutusa: gdybym był Brutusem
A ten Kassyuszem, mnieby nie polubił.
Téj nocy wrzucę mu przez okno listy
Odmiennéj ręki, jakoby przez różnych
Obywateli pisane; a listów
Tych treścią będą wysokie nadzieje,
Jakie Rzym w jego pokłada imieniu;
Przyczém nieznacznie napomkniętém będzie
O Cezarowém pięciu się do władzy.
Niechże się potém to bożyszcze krzepko
Trzyma na nogach: bo albo usuniem
Jego piedestał, albo sami runiem.

(*Wychodzi*).

SCENA TRZECIA.

(*Inna ulica w Rzymie*).

Grzmoty i błyskawice. Z przeciwnych stron wchodzą KASKA *z dobytym mieczem i* CYCERO.

CYCERO.

Cóżto za burza? Dobry wieczór, Kasko:
Odprowadziłżeś Cezara do domu?
Dlaczego taki zdyszany? i z miną
Tak przerażoną?

KASKA.

Możnaż być spokojnym,
Gdy cała ziemia, by wątła machina
Chwieje się w swoich posadach?
O! Cyceronie, widziałem ja burze
Takie, że wicher zdąsany
Sękate dęby wyrywał; widziałem
Dumny ocean wzdymający fale,
Wściekający się i plujący pianą
W twarz groźnym chmurom: ale nigdy dotąd,
Po tę noc, nigdy nie przyszło mi jeszcze
Być pośród dżdżącéj ogniem nawałnicy.
Albo w niebiosach jest domowa wojna,
Albo bogowie niemogąc już ścierpieć
Nadużyć świata, zsyłają zniszczenie.

CYCERO.

Cóżeśto widział tak osobliwego?

KASKA.

Niewolnik jeden, znany ci z widzenia,
Wzniósł lewą rękę, która zapłonęła
Gdyby dwadzieścia złączonych pochodni;
I mimo tego żaru pozostała
Nieuszkodzoną. Potém, (jeszczem dotąd
Nie schował miecza), gdym kapitol mijał,
Zaszedł mi drogę lew i wlepił we mnie
Wzrok gorejący, i nie zaczepiwszy
Zuchwale przeszedł koło mnie: a owdzie
Zbiegło się jakie sto kobiét, okropnie
Z trwogi pobladłych, które zapewniały
I przysięgały, że widziały orszak
Ludzi w płomieniach, szybko tam i nazad
Przechadzających się pośrodkiem ulic.
A wczoraj w samo południe ptak nocny
Usiadł na rynku i huczał i kwilił.
Niech mi nie mówi nikt, że takie dziwy,
Tak jednocześnie się pojawiające,
W porządku rzeczy są, w zgodzie z naturą;
Jam przekonany, że to są złowróżbe
Znaki dla kraju, w którym się trafiają.

CYCERO.

W dziwnych żyjemy czasach, ani słowa;
Lecz nieraz ludzie uważają rzeczy
Wedle pozoru ich, nie wedle wątku.
Czy jutro Cezar przyjdzie na kapitol?

KASKA.

Przyjdzie, bo kazał cię Antoniuszowi
Uprzedzić o tém, że będzie tam jutro.

CYCERO.

Dobranoc zatém, Kasko: w taką porę
Niebardzo chce się używać przechadzki.

KASKA.

Dobranoc wzajém, Cyceronie.

(*Cycero wychodzi*).

(*Kassyusz wchodzi*).

KASSYUSZ.

Kto tu?

KASKA.

Rzymianin.

KASSYUSZ.

Kaska, sądząc z głosu.

KASKA.

Dobry
Masz słuch, Kassyuszu. Cóżto za noc dzisiaj!

KASSYUSZ.

Wcale rozkoszna dla poczciwych ludzi.

KASKA.

Któż kiedy widział tak gniewne niebiosa?

KASSYUSZ.

Ci, co widzieli ziemię przepełnioną
Tak wielką massą zdrożności. Co do mnie,
Chodziłem sobie po ulicach szydząc
Z groźb atmosfery; i tak, jak mnie widzisz,
Z rozpiętą szatą nadstawiałem łono
Strzałom piorunów: a kiedy zębato
Błękitny rozbłysk zdawał się otwierać
Pierś firmamentu, jam mu się umyślnie
Za cel w centrownym kierunku podawał.

KASKA.

Dlaczegoś, bracie, tak doświadczał niebios?
Ludzi udziałem jest drżéć, gdy bogowie
Za pośrednictwem tych strasznych heroldów
Raczą nam swoję potęgę obwieszczać.

KASSYUSZ.

Zaflegmatyczny jesteś, Kasko; nie masz
Téj iskry życia, która znamionuje
Rzymian, albo ją w sobie zaniedbujesz.
Lica twe blade, wzrok twój osłupiały,
Ulegasz trwodze i z zdumieniem patrzysz
Na niepojętą niecierpliwość niebios.
Lecz gdybyś wejrzał w prawdziwą przyczynę
Tych zjawisk, gdybyś się chciał zastanowić
Nad rzeczywistém znaczeniem tych wszystkich
Ogniów, tych lotnych widm, ptaków i zwierząt,
Odstępujących od zwykłéj swéj normy;
Gdybyś pomyślał, dlaczego dziś starcy
Dzieciństwa robią, a dzieci rachują;
Dlaczego wszystko dziś wychodzi jakoś
Z karbów porządku natury, i bierze
Postać potworną: poznałbyś zaiste,
Że fenomena te sprowadza niebo,
Jako narzędzia trwogi i przestrogi,
Uprzedzające o jakichś ogólnych,
Potwornych zmianach. Mógłbym ja ci teraz,
Kasko, wymienić nazwisko człowieka,
Do téj okropnéj nocy podobnego;
Który grzmi, błyska, otwiéra grobowce,
I ryczy jak ów lew na kapitolu:
Człowieka, który osobiście nie jest
Silniejszy od nas obudwóch; lecz który
Nad miarę wzmógł się i stał się nam groźnym,
Tak właśnie, jako te nocne straszydła.

KASKA.

To Cezar: o nim myślałeś Kassyuszu?

KASSYUSZ.

Kto bądź, to jedno: bo Rzymianie tylko
Z rysów i z członków są podobni teraz
Do swoich przodków. Duchy ojców naszych
Wymarły, został nam tylko duch matek.
Jarzmo gniotące nas i obojętność,
Z jaką je znosim, pokazuje, żeśmy
Niewieściuchami.

KASKA.

Słyszałem, że jutro
Senat ma królem obwołać Cezara:
Wolno mu będzie używać korony
Gdzie tylko zechce, na morzu i lądzie,
Prócz tu, w Italii.

KASSYUSZ.

Wiem ja, jaki wtedy
Użytek zrobię z tego puginału;
Kassyusz uwolni od więzów Kassyusza.
W tym punkcie dają nieśmiertelni słabym
Wigor, a karzą niemocą tyranów.
Niczém kamienne wieże, niczém wały
Z kutego spiżu, niczém lochy, niczém
Żelazne pęta: nie wstrzymają one
Potęgi ducha, rwącej się na wolność.
Życiu, któremu szranki tego świata
Już się sprzykrzyły, nie brak nigdy środków
Do wydobycia się z nich raz nazawsze.
Ponieważ to wiém, niechże wszyscy wiedzą,
Że skoro zechcę, mogę zrzucić z siebie
Tę część niewoli, któraby się mogła
Stać mym udziałem.

KASKA.

I ja, i tak samo
Każdy niewolnik ma zawsze w swym ręku
Moc otrząśnienia się z więzów.

KASSYUSZ.

Zkądżeto proszę, Cezarowi przyszło
Chciéć być tyranem? Biédny człowiek! Wiem ja,
Żeby mu ani się śniło być wilkiem,
Gdyby nie wiedział, że Rzymianie owce:
Ni lwem, gdybyśmy nie byli sarnami.
Od wątłéj słomy zaczyna, kto szybko
Wielki chce ogień rozniecić. I cóżto,
Czyto Rzym śmieci, wiór albo łach jaki,
Aby miał żagwią być do oświecenia
Tak nikczemnego jestestwa jak Cezar?
Ale dokądże boleść mnie unosi?
Może ja mówię do służalca, który
Smakuje w więzach. Wiem, że w takim razie
Zmuszony będę zdać z słów moich sprawę:
Lecz mniejsza o to, jestem uzbrojony,
I obojętne mi niebezpieczeństwa.

KASKA.

Mówisz do Kaski, do człowieka, który
Nie jest bezczelnym szczekaczem. Daj rękę:
Pomyśl o środkach zaradzenia złemu,
A ja tą nogą tak postąpię naprzód,
Jak ten, co robi krok podwójny.

KASSYUSZ.

Zgoda:
Układ zrobiony. Wiédzże teraz Kasko,
Żem już nakłonił kilku najszlachetniéj
Myślących Rzymian, do przyjęcia ze mną
Udziału w pewném chlubnie hazardownėm
I nader płodném w skutki przedsięwzięciu.
Czekają oni na mnie o téj dobie
W Pompejuszowym portyku.
Ta noc, pod któréj zasłoną nie spotkasz
Żywego ducha; ta walka żywiołów,
Sprzyja nam: bo jest tak, jako nasz zamiar,
Krwawą, palącą i przerażającą.
(*Cynna wchodzi*).

KASKA.

Cicho! ktoś ku nam spiesznym zdąża krokiem.

KASSYUSZ.

To Cynna, jeden z naszych towarzyszów:
Znam go po chodzie. Cynno, gdzie tak spiesznie?

CYNNA.

Szukam cię: któż to jest? Metellus Cymber?

KASSYUSZ.

Nie Cymber: Kaska, świeżo zwerbowany
Przyjaciel. Cynno, czy na mnie czekają?

CYNNA.

Cieszę się z tego. Cóżto za noc! kilku
Z naszych widziało szczególne zjawiska.

KASSYUSZ.

Cynno, czy na mnie czekają?

CYNNA.

Czekają.
O! gdybyś także potrafił, Kassyuszu,
Na naszę stronę Brutusa przeciągnąć!

KASSYUSZ.

Bądź pod tym względem spokojny. Tymczasem,
Kochany Cynno, staraj się niezwłocznie
Złożyć to pismo na krześle pretorskiém.
Tak, aby Brutus je znalazł; to drugie
Wrzuć mu przez okno, a to trzecie przylep
Ponad statuą starego Brutusa.

Co uczyniwszy, jak można najprędzej
Wróć do portyku Pompejuszowego:
Już ja tam będę. Czy jest tam Treboniusz
I Decyusz Brutus?

CYNNA.

Są wszyscy zebrani,
Oprócz Metella Cymbra, który poszedł
Szukać cię w domu. Spieszę bez odwłoki,
I sprawię wszystko tak, jakeś mi zlecił.

KASSYUSZ.

A pomnij wrócić w miejsce umówione.
(*Cynna wychodzi*).
Pójdź, Kasko: zanim jutrzenka mrok spędzi,
Musimy jeszcze odwiedzić Brutusa.
Trzy jego części do nas już należą:
Reszta ulegnie przy piérwszéj rozmowie.

KASKA.

Wysoko stoi on w opinii ludu,
I uczestnictwo jego jak alchemia
Zamieni w cnotę to, coby w nas mogło
Wydać się niecnem.

KASSYUSZ.

Dobrze oceniłeś
Prawdziwą jego wartość i powody,
Które go czynią nam potrzebnym. Idźmy,
Bo już minęła północ; a przededniem
Musim go zbudzić i mieć jego słowo.
(*Wychodzą*).

AKT II.

SCENA PIÉRWSZA.

(*Tamże; ogród Brutusa*).

BRUTUS (*wchodzi*).

BRUTUS.

Lucyuszu, wstawaj!
Nie mogę dociec z biegu gwiazd, daleko
Jeszcze do rana. Lucyuszu, czy słyszysz?
Radbym módz zgrzeszyć snem tak twardym. Wstawaj,
Wstawaj, Lucyuszu!
(*Lucyusz wchodzi*).

LUCYUSZ.

Wołałeś na mnie, panie?

BRUTUS.

Idź zanieść świécę do mego pokoju:
A jak zapalisz ją, przyjdź mi tu donieść.

LUCYUSZ.

Stanie się, panie, jak każesz.
(*Wychodzi*).

BRUTUS.

Śmierć jego jest więc nieuchronną. Nie mam
Ja osobistéj do niego niechęci,
Jedynie tylko ze względu na ogół.
Korony pragnie: o ile ta żądza
Mogła grunt jego zmienić, to pytanie.
Blizką jest chwila wyklucia się żmii,
Trzeba więc bacznie kroki stawiać. Mamyż
Mu dać koronę? Jeśli mu ją damy,
Damy mu żądło, którém, skoro zechce,
Będzie mógł stać się niebezpiecznym. Władza
Ma to do siebie, że jéj trudno chodzić
W parze z sumieniem. Nie widziałem wprawdzie,
Ażeby kiedy namiętność w Cezarze
Przeciwważyła uczucie słuszności:
Wiemy atoli, że często pokora
Młodéj ambicyi służy za drabinę,
Do któréj zawżdy ten, co się pnie w górę
Twarz ma zwróconą, lecz gdy na najwyższym
Ujrzy się szczeblu, natychmiast się do niéj
Tyłem odwraca, spogląda w obłoki,
Z wzgardą za sobą zostawiając stopnie,
Po których przeszedł. Tak samo się może
Stać i z Cezarem; gdy się więc stać może,
Zapobiedz trzeba, aby się nie stało.
Że zaś spór z tego rodzaju
Osobistością bladoby wyglądał,
Tém go wypada ukoloryzować:
Że osobistość ta, wzmogłszy się bardziéj,
Mogłaby dane przekroczyć granice.
Zaczém uważać go należy jako
Jaje gadziny, któreby się stało
Fatalném, gdyby się z niego płód wylągł:
—I wcześnie zgnieść go w skorupie.

LUCYUSZ (*wchodzi*).

Panie, już świéca gore w twéj pracowni.
Szukając skałki na oknie, znalazłem

Ten oto papiér zapieczętowany;
A pewny jestem, że go tam nie było
Kiedy się kładłem.

BRUTUS.

Idź, połóż się jeszcze:
Jeszcze noc. Chłopcze, czy to jutro Idus?

LUCYUSZ.

Nie wiem dokładnie.

BRUTUS.

Zajrzyj w kalendarz i przyjdź mi powiedzieć.

LUCYUSZ.

Natychmiast, panie!

(*Wychodzi*).

BRUTUS.

Błyski wyziewów krążących w powietrzu
Tak jasno świecą, że mogę rozpoznać
Przy nich litery.

(*Rozkłada list i czyta*).

„*Ty śpisz, Brutusie. Ocknij się! Wejdź w siebie!*
Trzebaż, ażeby Rzym..... Mów! uderz! popraw!
Ty śpisz, Brutusie: Ocknij się!"
Podobnych odezw siła już podniosłem
Na różnych miejscach.
Trzebaż ażeby Rzym... toby się dało
W taki podobno sposób uzupełnić:
Trzebaż ażeby Rzym popadł pod władztwo
Jednego pana? Rzym? Przodkowie moi
Wygnali przecie z Rzymu Tarkwiniusza,
Kiedy go królem ogłoszono.
Mów! uderz! popraw! Wzywają mię tedy,
Abym głos zabrał i użył ramienia.
O! Rzymie! Ufaj, że jeżeli tylko
Pop[illegible]wa złego ma po tém nastąpić,
Otrzymasz z ręki Brutusa zupełne
Żądaniu twemu zadośćuczynienie.

(*Lucyusz wraca*).

LUCYUSZ.

Panie, czternaście dni marca już przeszło.

(*Pukanie zewnątrz*).

BRUTUS.

Dobrze. Pobiegnij do bramy; ktoś puka.

(*Lucyusz wychodzi*).

Odkąd mię Kassyusz przeciw Cezarowi
Podburzył, jeszcze nie zmrużyłem oka.
Między spełnieniem okropnego czynu
A piérwszém jego wszczepieniem się w umysł,
Wszystko pośrednie jest jako fantazma,
Lub sen straszliwy: duch wtedy odbywa
Walną naradę z wszystkiemi władzami,
I całe wnętrzne jestestwo człowieka,
Jakoby małe królestwo,
Zostaje w stanie chorobliwym buntu.
(*Lucyusz wraca*).

LUCYUSZ.

Panie, to brat twój, Kassyusz, jest u bramy.
Chce mówić z tobą.

BRUTUS.

Czy sam jest?

LUCYUSZ.

Nie, panie.
Jest w towarzystwie kilku.

BRUTUS.

Któż są tamci?

LUCYUSZ.

Nie wiem: wtłoczone mają kapelusze
Na same oczy i płaszcze napoły
Kryją im twarze, tak, żem w żaden sposób
Nie mógł rozpoznać ich rysów.

BRUTUS.

Niech wnijdą.
(*Lucyusz wychodzi*).
To sprzysiężeni. O spisku!
Czy się ty wstydzisz twe złowrogie czoło
Odsłaniać w nocy, gdy tylko złość czuwa?
O! w takim razie, gdzieżbyś znalazł za dnia
Tak ciemną ustroń, byś w niéj mógł pogrzebać
Potworne twoje oblicze? O spisku!
Nie szukaj mroku jaskiń ani pieczar;
Pokryj się raczej uśmiechem, słodyczą:
Bo gdybyś szczerą twą postać ukazał,
Nawet ponury Ereb nie zdołałby
Zatrzeć wrażenia twojego widoku.

KASSYUSZ, KASKA, DECYUSZ, CYNNA, METELLUS CYMBER I TREBONIUSZ *wchodzą.*

KASSYUSZ.

Zaśmiało może przychodzimy przerwać
Twój wypoczynek, Brutusie? Dzień dobry!
Nie przeszkadzamyż ci?

BRUTUS.

Już dawno wstałem.
Nie spałem całą noc. Czy to znajomi?

KASSYUSZ.

Wszyscy znajomi: nie ma tu nikogo,
Coby cię nie czcił, i każdy serdecznie
Pragnie, ażebyś miał o sobie samym
Takie mniemanie, jakie ma o tobie
Każdy szlachetnie myślący Rzymianin.
To jest Treboniusz.

BRUTUS.

Witam go w mym domu.

KASSYUSZ.

To, Decyusz Brutus.

BRUTUS.

Witam go podobnież.

KASSYUSZ.

To Kaska; tamto Cynna; to Metellus
Cymber.

BRUTUS.

Witam ich wszystkich najuprzejmiéj.
Cóżto za troska stanęła napoprzek
Między waszemi oczyma a nocą?

KASSYUSZ.

Mogęż cię prosić na ustęp?
(Rozmawiają pocichu).

DECYUSZ.

Wszak tu wschód? Czyliż tu dzień nie dochodzi?

KASKA.

Zdaje się, że nie.

CYNNA.

Przepraszam, i owszem;
Owe szarawe szlaki na obłokach
Są zwiastunami dnia.

KASKA.

Przyznajcie, że się obadwa mylicie:
Słońce tu wschodzi gdzie wskazuję mieczem,
I na tak wczesną jak dziś porę roku
Zabardzo zwraca się ku południowi.
Za dwa miesiące posunie się ono
Wyżej na północ i ranny wschód będzie
Tu prosto w stronie kapitolu.

BRUTUS.

Podajcie mi dłoń wszyscy po kolei.

KASSYUSZ.

I przedsięwzięcie swe stwierdźmy przysięgą.

BRUTUS.

Przysięgą? na co? Jeżeli współczucie,
Boleść dusz naszych, nadużycia czasu,
Słabą są dla nas pobudką: niech każdy
Wstecz się zawróci, w gminne skoczy łoże;
Niechaj tyrania z podniesioną głową
Grassuje, póki ostatni mąż z mężów
Z kolei losu nie padnie.
Ale jeżeli te wszystkie powody,
Jak się spodziewam, są dostatecznemi
Do obudzenia męztwa nawet w tchórzach,
I do nadania hartu nawet miękkim
Niewieścim sercom; o! rodacy moi,
Na cóż nam bodźca innego do czynu,
Jak własny nasz stan? innych ubezpieczeń,
Jak tajemnica Rzymian, jedno słowo
Ludzi niezdolnych kłamać? Na co przysiąg
Tam, gdzie prawości prawość zcicha ręczy,
Że to lub owo spełnim albo zginiem?
Niech przysięgają sektarze, oszusty,
Tchórze i dziady, i te chore dusze,
Którym pochlebia doznawana krzywda.
W złéj sprawie zwykle przysięgają tacy,
Którym nie daje wiary żaden mąż:
Ale my cnego przedsięwzięcia swego
I niepodległéj tęgości dusz naszych
Nie plammy myślą, że do naszéj sprawy

I do szczęsnego jéj przeprowadzenia
Potrzeba przysiąg; kiedy każda kropla
Krwi Rzymianina bękarcieje hańbą,
Jeżeli który, choćby najdrobniejszą,
Cząstkę danego przyrzeczenia złamie.

KASSYUSZ.

Lecz cóż Cycero? Mamyż go wybadać?
Ja mniemam, że on silnie krok nasz poprze.

KASKA.

Nie pomijajmy go.

CYNNA.

O! nieinaczéj!

METELLUS.

Starajmy się go pozyskać, koniecznie:
Bo jego srebrny włos kupi nam dobrą
Opinią świata i pochwalne głosy.
Jegoto zdanie, powiedzą, wpływ miało
Na nasz postępek, wiodło nasze dłonie;
I nasza młodość, nasza szorstkość zniknie
Pod płaszczem jego powagi.

BRUTUS.

Nie mówmy o nim; bądźmy mu życzliwi,
Ale nic więcéj. Nigdy się on nie wda
W sprawę przez kogo innego zaczętą.

KASSYUSZ.

Obejdźmy się więc bez niego.

KASKA.

W istocie,
Nie jestto człowiek dla nas.

DECYUSZ.

Samże ma tylko Cezar paść ofiarą?

KASSYUSZ.

Słusznie rzuciłeś tę kwestyą, Decyuszu:
Ja mniemam, żeby niestosownem było,
Gdyby Antoniusz, którego tak bardzo
Cezar miłuje, miał Cezara przeżyć.
Zawiłąbyśmy z nim mieli przeprawę;
Ma on, jak wiécie, takie środki w ręku,
Że gdyby użył ich, mógłby nam wszystkim
Bardzo zaszkodzić: dla zapobieżenia
Czemu, niech będzie zgładzon wraz z Cezarem.

BRUTUS.

Za krwawymby to było czynem, bracie,
Obrzynać członki po ucięciu głowy;
Trąciłoby to gniewem i zawiścią:
Antoniusz bowiem jest poprostu tylko
Członkiem Cezara. O! Kassyuszu, bądźmy
Ofiarnikami, a nie rzeźnikami.
Powstajem przeciw duchowi Cezara,
A duch krwi nie ma. O! gdybyśmy mogli
Ugodzić w jego duch nie szkodząc ciału!
Ale niestety, krew Cezara musi
Popłynąć! Skoro więc mamy go zabić,
O! przyjaciele, zabijmyż go śmiało,
Ale bez gniewu; poświęćmy go jako
Żertwę dla bogów, ale nie ćwiertujmy
Jako odprawę dla psów. Niechaj nasze
Serca tém będą względem rąk, czém owi
Wyrachowani w działaniu panowie,
Coto podżegłszy wściekłość swych podwładnych,
Łają ich wrzkomo po spełnionym czynie.
Wtedy postępek nasz będzie miał cechę
Potrzeby a nie zawiści: i w oczach
Ludu zbawcami będziem nie zbójcami.
Co się zaś tyczy Marka Antoniusza,
Nie myślmy o nim; nie więcéj on bowiem
Może uczynić, jak ramię Cezara,
Kiedy Cezara głowy już nie będzie.

KASSYUSZ.

Ja się go jednak lękam: bo serdeczna
Przychylność jego do Cezara..

BRUTUS.

Nie myśl
O nim, Kassyuszu: jeśli on istotnie
Kocha Cezara, to tylkoby biernie
Mógł dlań coś zrobić; mógłby co najwięcéj
Mieć go w pamięci i umrzéć dla niego.
Byłoby to już wiele z jego strony,
Bo lubi uczty, gry i towarzystwa.

TREBONIUSZ.

Nie mamy się go powodu obawiać:
Niech żyje. Ręczę, że nie umrze z żalu,
I jutro wróci do zwykłéj pustoty.

(Słychać bijącą godzinę).

BRUTUS.

Którażto bije?

KASSYUSZ.

Trzecia.

TREBONIUSZ.

Czas nam odejść.

KASSYUSZ.

Wątpliwą wszakże jest rzeczą, czy Cezar
Wyjdzie dziś z domu. Od pewnego czasu
Stał się on bardzo przesądnym; zupełnie
Inne, jak dawniéj ma wyobrażenia
O snach, przeczuciach i świętych obrzędach.
Być może, że ta noc dziwnie okropna,
Te nadzwyczajne zjawiska, nareszcie
Rada augurów wstrzymają go dzisiaj
Od ukazania się na kapitolu.

DECYUSZ.

O to nie troszczcie się: gdyby przyjść nie chciał,
Ja go do tego potrafię nakłonić:
Lubi on bowiem, kiedy mu się prawi,
Że do złowienia jednorożców służą
Drzewa, niedźwiedzi źwierciadła, lwów sieci,
Słoni, wądoły a ludzi pochlebstwa:
A kiedy mówię mu, że nienawidzi
Pochlebców, on mi odpowiada, tak jest;
Nie domyślając się, że wtedy właśnie
Najmocniéj został pochlebstwem ujęty.
Spuśćcie się na mnie:
Nagnę ja jego humor według woli,
I przyprowadzę wam go na kapitol.

KASSYUSZ.

My wszyscy raczéj pójdziemy po niego.

BRUTUS.

O ósméj. Czy to umówiony termin?

CYNNA.

Niech będzie: żaden z nas go nie uchybi.

METELLUS.

Kajus Ligaryusz nie cierpi Cezara,
I ten do niego także czuje niechęć,
Odkąd śmiał przed nim Pompejusza chwalić.
Dziwi mnie, że on na myśl wam nie przyszedł.

BRUTUS.

Biegnij do niego, kochany Metellu,
Poproś go do mnie: ja mu rzecz przełożę.
Ma on niejakie dla mnie obowiązki,
Mogę więc liczyć na niego.

KASSYUSZ.

Już ranek:
Musimy cię już pożegnać Brutusie.
Niech teraz każdy idzie w swoję stronę,
Niech pomni na to, co wyrzekł, i czynem
Dowiedzie, że jest prawym Rzymianinem.

BRUTUS.

Przybierzcie lica, zacni przyjaciele,
W maskę wesołą; niech gra naszych rysów
Nie wyda na jaw naszego zamiaru.
Starajmy się go umiejętnie pokryć
Na wzór aktorów naszych, wyuczoną
Jednostajnością obejścia. A teraz
Żegnam was, życząc wszystkim dnia dobrego.
(*Odchodzą wszyscy prócz Brutusa*).
Lucyuszu! Znowu zasnął. Spij mój chłopcze!
Ciesz się miodową rosą wypoczynku:
Nie znasz ty jeszcze owych widm dręczących,
Któremi troska napełnia pierś męża,
Dlatego spisz tak spokojnie.
(*Porcya wchodzi*).

PORCYA.

Brutusie, panie mój!

BRUTUS.

Porcya! tak wcześnie?
Nie jest to dobrze dla twojego zdrowia,
Tak się narażać na ostry chłód ranny.

PORCYA.

Podobnież i dla twojego, Brutusie.
Chyłkiem wykradłeś się z mojego łoża:
A wczoraj nagle powstałeś od stołu,
I skrzyżowawszy na piersiach ramiona,
Chodziłeś tonąc w myślach i wzdychając.
Kiedym spytała, co ci jest, pochmurno
Spojrzałeś na mnie: a gdym nalegała,
Toś się odwrócił i tupnąłeś nogą.
Ja nie zrażona, nastawałam jeszcze;
Tyś ciągle milczał. Poznałam nakoniec

Po gniewném ręki twojéj poruszeniu,
Żebyś się rad był mnie pozbyć. Odeszłam,
Bojąc się zwiększać niecierpliwość twoję,
Któréj zbyt jawne widziałam oznaki.
Myślałam zresztą, że to było tylko
Wypływem złego humoru; humoru,
Którego przystęp każdemu się trafia.
Ależ ten humor nie pozwala tobie
Ani jeść, ani rozmawiać; ten humor
Odbiera ci sen: gdyby twoja postać
Tak się zmieniła, jak twój stan wewnętrzny,
Nie poznałabym ciebie. O! mój mężu,
Wyjaw mi powód téj zmiany.

BRUTUS.

Nie jestem
Zdrów temi czasy: oto cały powód.

PORCYA.

Brutus roztropny jest; gdyby był nie zdrów,
Szukałby środków odzyskania zdrowia.

BRUTUS.

Tak ja téż czynię. Idź, połóż się, Porcyo.

PORCYA.

Brutus jest chory? godziż się choremu
Chodzić w tak lekkiéj odzieży, i wciągać
W siebie wyziewy wilgotnego ranku?
Brutus jest chory i porzuca zdrowe,
Krzepiące łoże, aby się narażać
Na zaraźliwy wpływ nocy? Doświadcza
Zgniłych powietrznych miazm, by tym sposobem
Wzmógł swą chorobę? Nie! Brutusie drogi,
W twoimto raczej umyśle jest jakiś
Zaród choroby, którybym ja z mocy
Praw mych w tym domu znać może powinna.
O! mężu, o! mój panie, na kolanach
Zaklinam ciebie, w imię moich niegdyś
Chwalonych wdzięków; w imię téj miłości,
Którąś mi ślubił, i owéj przysięgi,
Która nas w jedność nierozdzielną zsprzęgła:
Odkryj mi stronę ukrytą twéj duszy.
Co ci jest? jacyto ludzie téj nocy
Byli u ciebie: było ich tu bowiem
Sześciu czy siedmiu, a każdy starannie
Zasłaniał sobie twarz, choć było ciemno.

BRUTUS.

Powstań, kochana Porcyo.

PORCYA.

O! Brutusie,
Nie klęczałabym, gdybyś mnie ty kochał.
Czy jest w układzie naszego małżeństwa
Zawarowane, że nie będę mogła
Znać twych tajemnic? Jestżem ja połową
Twoją pod pewnym tylko, marnym względem;
Na to jedynie, aby z tobą dzielić
Twój stół i twoje łoże rozweselać,
I lada kiedy przemówić do ciebie?
Toż ja więc mieszkam tylko na przedmieściu
Powszednich uciech twoich? W takim razie
Porcya jest tylko prostą nałożnicą,
Ale nie żoną Brutusa.

BRUTUS.

Ty jesteś prawą, zacną żoną moją,
Tak drogą dla mnie jak ta krew,
Co wre w mém sercu stroskaném.

PORCYA.

Gdyby tak było, znałabym twe troski.
Jestem niewiastą, ale jestem przytém
Niewiastą, którą Brutus wziął za żonę;
Jestem niewiastą, ale jestem przytém
Niewiastą godną czci: — córką Katona.
Mniemaszli, że ja dzielę płci méj słabość,
Mając takiego ojca i małżonka?
Zwierz mi się, ja twéj ufności nie zwiodę.
Jużem stałości mojéj dała dowód,
Zadając sobie w udo z dobréj woli
Głęboką ranę: jęk z ust mych nie wyszedł,
A wyjśćżeby z nich miała tajemnica
Męża mojego?

BRUTUS.

O! bogowie, sprawcie,
Abym był godnym tak szlachetnéj duszy.
(*Słychać kołatanie*).
Ktoś puka: Porcyo, opuść mnie na chwilę:
Wkrótce podzieli pierś twa tajemnice
Mojego serca, odkryję ci wszelkie
Moje stosunki, objaśnię ci każdą
Z tych chmur, co moje zasępiają czoło:
Ale w téj chwili oddal się.
(*Porcya odchodzi*).

LUCYUSZ I LIGARYUSZ *(wchodzą)*.

Lucyuszu,
Któżto kołatał?

LUCYUSZ.

Jakiś chory, panie,
Pragnie pomówić z tobą.

BRUTUS.

To Ligaryusz,
O którym Cymber wspominał. Odejdź, chłopcze.
Cóż tam mój dzielny Ligaryuszu?

LIGARYUSZ.

Cherlak
Przyszedł ci oto powiedzieć dzień dobry!

BRUTUS.

Jakiżeśto czas wybrał, o! Kajuszu,
Do krępowania głowy bindą? Szkoda,
Że jesteś chory!

LIGARYUSZ.

Może nie tak bardzo,
Jeżeli Brutus ma na pogotowiu
Jaki czyn, godzien iść w parze z honorem.

BRUTUS.

Mam ja podobny czyn na pogotowiu,
Jeżeli tylko szlachetny Ligaryusz
Do wysłuchania mnie zdrowe ma ucho.

LIGARYUSZ.

Na wszystkich bogów, których czczą Rzymianie,
Nigdy nie byłem zdrowszy. Duszo Rzymu!
Synu szanownych lędźwi nieodrodny!
Ty jedném słowem, jako exorcysta,
Rozbudzasz duch mój z letargu. Mów! rozkaż!
A pójdę walczyć z niepodobieństwami
I wsiąść im na kark. Cóż jest do roboty?

BRUTUS.

Coś, co powrócić może chorym zdrowie.

LIGARYUSZ.

Ale czy nie ma tylko takich zdrowych,
Którychby trzeba przywieść o chorobę?

BRUTUS.

Są, mój Kajuszu. Wyłuszczę ci bliżéj
Rzecz całą, skoro iść będziem do kogoś,
Kogo się głównie ta sprawa dotyczy.

LIGARYUSZ.

Wyślij twą nogę naprzód, a ja moję
Z zapałem krok w krok powiodę do czynu,
Którego nie znam, ale dość mi na tém,
Że Brutus wzywa mnie do niego.

BRUTUS.

Pójdź więc.
(Wychodzą).

SCENA DRUGA.

(Tamże, komnata w pałacu Cezara).

Gzmoty i błyskawice. CEZAR *w nocném ubraniu wchodzi.*

CEZAR.

Niebo i ziemia szalały téj nocy:
Trzy razy przez sen krzyknęła Kalpurnia:
„*Hola! ratunku! Chcą Cezara zabić!*"
Jest tam kto?

SŁUGA *(wchodzi).*

Jestem, pąnie.

CEZAR.

Zarządź kapłanom ofiary, i spiesznie
Wracaj mi donieść o skutku ich wieszczby.

SŁUGA.

Stanie się temu zadość.
(Wychodzi).

KALPURNIA *(wchodząc).*

Jakto, Cezarze, chcesz wyjść? Dziś przynajmniéj
Pozostań w domu.

CEZAR.

Wyjdzie z domu Cezar.
Złe zawsze tylko z tyłu mi groziło;
Skoro spojrzało Cezarowi w oczy,
Pierzchło natychmiast.

KALPURNIA.

Nigdym ja tak wielkiéj
Do złych wróżb wagi nie przywiązywała,
Jak dziś; dziś one dreszczem mnie przejmują.
Opowiadał mi właśnie jeden sługa
Okropne rzeczy, które obok tego
Cośmy słyszeli sami i widzieli,
Wartom téj nocy miały się objawić.
Lwica wśród miasta poroniła młode;
Groby stanęły otworem, i z głębi
Podziemnych ciemnic wyrzuciły zmarłych.
Ogniem ziejące wojska, ustawione
W roty i hufce, jak zwykle na wojnie,
Walczyły z sobą zawzięcie na chmurach,
Tak, że aż krew się lała na kapitol,
Zgiełk bitwy dawał się słyszeć w powietrzu,
Konie parskały, jęczeli ginący;
A widma snuły się pośrodkiem ulic
Hucząc i kwiląc. Wszystko to, Cezarze,
Przechodzi zwykły bieg rzeczy, i musi
Przejmować trwogą.

CEZAR.

Któż uniknie kresu,
Komu go wola bogów naznaczyła?
Dlatego wyjdzie Cezar: bo te wszystkie
Złowrogie znaki tak dobrze się mogą
Całego świata tyczyć, jak Cezara.

KALPURNIA.

Gdy nędzarz kona, nie świecą komety;
Niebo płomieni się przed śmiercią książąt.

CEZAR.

Lękliwy stokroć umiera przed śmiercią;
Mężny kosztuje jéj tylko raz jeden.
Ze wszystkich dziwów, o których słyszałem,
To mi się zdaje być najosobliwszém,
Że ludzie boją się śmierci i szemrzą
Na to, że ona będąc nieuchronną,
Musi przyjść kiedyś.

(Sługa wchodzi).

Cóż augurowie?

SŁUGA.

Augurowie proszą,
Abyś dziś, panie, nie opuszczał domu.
W rozprutém wnętrzu zabitéj ofiary
Nie mogli znaleźć serca.

CEZAR.

Snadź bogowie
Chcą tym sposobem zawstydzić tchórzostwo.
Byłby i Cezar bydlęciem bez serca,
Gdyby z bojaźni w domu dziś pozostał.
Nie, tak nie będzie:
Niebezpieczeństwo wié dobrze, że Cezar
Niebezpieczniejszy jest od niego. Myśmy
Dwa lwy bliźnięce w jednym dniu zrodzone,
A ja i starszy jestem i straszniejszy:
Dlatego wyjdzie dziś Cezar.

KALPURNIA,

O panie!
Ufność zbyteczna usypia twą mądrość.
Nie wychodź dzisiaj: niech cię w domu wstrzyma
Nie twoja własna, ale moja bojaźń.
Marek Antoniusz pójdzie do senatu
I powié, że się czujesz dziś niezdrowym;
Błagam cię o to na kolanach.

CEZAR.

Dobrze:
Marek Antoniusz powié, żem niezdrowy,
I kaprysowi twemu dogadzając,
Zostanę w domu.

(DECYUSZ *wchodzi*).

Oto Decyusz Brutus,
Ten im obwieści me postanowienie.

DECYUSZ.

Wszelkich powodzeń Cezarze! Dzień dobry,
Wielki Cezarze! Przychodzę tu celem
Towarzyszenia ci do kapitolu.

CEZAR.

W sam czas przychodzisz, abyś senatorom
Uprzejme moje zaniósł pozdrowienie,
I uwiadomił ich, że dziś nie przyjdę
Do kapitolu; nie przyjdę, bo nie chcę.
Fałszem byłoby mówić, że nie mogę;

A większym jeszcze powiedzieć, że nie śmiem.
Nie chcę przyjść, tak im powiédz, mój Decyuszu.

KALPURNIA.

Powiédz, że Cezar słaby.

CEZAR.

Nie, to kłamstwo;
Cezar nie skłamie. Na tożem rozpostarł
Zwycięzkie ramię moje tak szeroko,
Abym się lękał siwobrodym starcom
Prawdę powiedzieć? Powiédz im Decyuszu,
Że Cezar nie chce przyjść.

DECYUSZ.

Wielki Cezarze,
Racz mi objawić przyczynę, ażebym
Donosząc o tém, nie został wyśmiany.

CEZAR.

Przyczyna tego leży w woli mojéj.
Nie chcę przyjść, to dość dla zaspokojenia
Przedostojnego grona senatorów.
Dla prywatnego zaś zaspokojenia
Twego, kochany Decyuszu, dodaję:
Oto Kalpurnia, żona moja, nie chce
Puścić mnie z domu. Śniło jéj się dzisiaj,
Jakoby moję statuę widziała,
Z któréj ze wszech stron przez mnóstwo otworów
Krew jak z fontanny tryskała; a wielu
Rzymian ochoczo, z uśmiechem na ustach
Przystępowało, i w krwawym tym stoku
Maczało dłonie. Upatruje ona
W tym śnie przestrogę, przepowiednię jakiejś
Wielkiéj niedoli; i klęcząc błagała,
Ażebym dzisiaj z domu nie wychodził.

DECYUSZ.

Nie takby sen ten potrzeba tłumaczyć:
Było to owszem fortunne widzenie.
Statua twoja, potężny Cezarze,
Mnogie strumienie krwi wyrzucająca,
Krwi, w któréj wielu Rzymian, jak powiadasz,
Z uśmiechem dłonie maczało, oznacza,
Że z ciebie wielki nasz Rzym czerpać będzie
Zdrój krwi ożywczéj, i że wielcy ludzie
Cisnąć się będą do ciebie po leki,
Maści, kordyały i rady zbawienne.
To się rozumié przez ów sen Kalpurnii.

CEZAR.

Wcaleś go nieźle wyłożył.

DECYUSZ.

I wcale
Nie czczy to wykład, jak się to okaże
Z dalszych słów moich; wiedz bowiem, że senat
Zamierzył dzisiaj koroną ozdobić
Skroń potężnego Cezara.
Gdybyś im doniósł, że przyjść nie chcesz, wieść ta
Mogłaby zły wpływ wywrzeć na ich chęci.
Byłby to zresztą żart, na który łatwo
Mógłby ktoś także żartem odpowiedzieć:
Czekajmy, póki małżonka Cezara
Nie będzie lepszych snów miewała. Gdyby
Cezar się schował, ażaliżby wtedy
Pomiędzy sobą nie szeptano: *patrzcie,*
Cezar się boi? Przebacz mi, Cezarze;
Miłość to moja dla twych cnót, dla ciebie,
Każe mi mówić w ten sposób, a rozum
Jest sprzymierzeńcem téj mojéj miłości.

CEZAR.

Jakże się teraz dziecinnemi zdają
Twoje obawy, Kalpurnio?
Wstydzę się, żem im uległ. Daj mi szaty;
Idę natychmiast.

PUBLIUSZ, BRUTUS, LIGARYUSZ, METELLUS. KASKA, TREBONIUSZ I CYNNA *wchodzą.*

Oto już i Publiusz
Przychodzi po mnie.

PUBLIUSZ.

Dzień dobry, Cezarze.

CEZAR.

Witaj, Publiuszu. Ho! i Marek Brutus;
Ranny dziś z ciebie ptak. Dzień dobry, Kasko.
Jakże się miewasz Kaju Ligaryuszu?
Wierz mi, że Cezar nigdy nie był takim
Nieprzyjacielem twoim, jak ta febra,
Od któréj schudłeś. Któraż to godzina,
Moi panowie?

BRUTUS.

Osma biła właśnie.

CEZAR.

Dzięki za trudy i uprzejmość waszę..
(*Antoniusz wchodzi*).
Patrzcie, Antoniusz! i on już na nogach,
Chociaż się lubi późno w noc weselić:
Dzień dobry, Marku Antoniuszu.

ANTONIUSZ.

Tegoż
Samego życzę cnemu Cezarowi.

CEZAR.

Powiédz tam, aby mój orszak był gotów.
Za złe mam sobie, gdy na mnie czekają.
A! Cynna: witaj Cymbrze! Treboniuszu!
Z tobą szeroko mam do pomówienia;
Pamiętaj o tém, i bądź w poblizkości,
Ażebym o tém nie zapomniał.

TREBONIUSZ.

Będę
Tuż, o! Cezarze; (*na stronie*) i tak blizko nawet,
Że radbyś potém ażebym był daléj.

CEZAR.

Terazże moi przyjaciele, pójdźcie
Skosztować mego wina: poczém wszyscy,
Jak tu jesteśmy udamy się razem,
Na podobieństwo drużyny przyjaciół.

BRUTUS.

Że podobieństwo bywa często różném
Od tożsamości, myśl ta, o! Cezarze,
Gorzkim napełnia smutkiem pierś Brutusa.
(*Wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(*Tamże. Ulica w poblizkości kapitolu*).

ARTEMIDORUS *wchodzi czytając list.*

ARTEMIDORUS.

Cezarze, strzeż się Brutusa, unikaj Kassyusza, nie zbliżaj się do Kaski; miéj Cynnę na oku, nie ufaj Trebo-

niuszowi; zważaj na Metella Cymbra; Decyusz Brutus nie lubi cię, naraziłeś się Ligaryuszowi. Jedna jest tylko myśl w tych wszystkich ludziach. a ta zwróconą jest przeciw tobie. Jeżeli nie jesteś nieśmiertelnym, miéj się na baczności. Zaufanie toruje drogę sprzysiężeniu. Niech cię potężni bogowie chronią!

Twój wielbiciel, *Artemidorus.*

Tędy ma Cezar przechodzić, tu czekać
Będę na niego, i niby błagając
O jakąś łaskę, oddam mu ten papier.
Serce mnie boli na myśl, że zasługa
Nie może obstać przed zębem zawiści.
Jeśli natychmiast przeczytasz to pismo,
Jeszcześć, Cezarze, ratunek nie zniknął;
Jeśli nie, los twój z zdrajcami się spiknął.

SCENA CZWARTA.

(Tamże. Inna część tejże saméj ulicy przed domem Brutusa).

PORCYA I LUCYUSZ *wchodzą:*

PORCYA.

Biegnij co żywo do senatu, chłopcze:
Nie odpowiadaj nic, tylko pospieszaj.
Czemu nie idziesz?

LUCYUSZ.

Bo nie wiem, o! pani,
Co mi masz zlecić.

PORCYA.

Wolałabym, żebyś
Już był z powrotem, niż żebym ci miała
Mówić dopiéro po co cię posyłam.
O! wytrwałości: bądź mi nieodstępną!
Staw nieprzeparłą zaporę
Pomiędzy sercem a ustami memi.
Męzki mam umysł, lecz siły niewieście:
A dla niewiasty skrytość jest nieznośną.
Jeszcześ tu?

LUCYUSZ.

Pani, cóż mam czynić? Pobiedz
Do kapitolu i wrócić, nic więcéj?

PORCYA.

Zobaczysz tylko jak twój pan wygląda,
Bo wyszedł chory. A uważaj dobrze
Co robi Cezar i kto będzie przy nim.
Cóżto za wrzawa? czy słyszysz?

LUCYUSZ.

Nie, pani,
Ja nic nie słyszę.

PORCYA.

Nadstaw pilnie ucha:
Zdawało mi się słyszeć odgłos walki,
A wiatr przynosił go od kapitolu.

LUCYUSZ.

Łaskawa pani, rzetelnie powiadam,
Że nic nie słyszę.

(*Wieszczek wchodzi*).

PORCYA.

Zbliż się tu, człowieku:
Zkąd idziesz?

WIESZCZEK.

Z domu, miłościwa pani.

PORCYA.

Która godzina?

WIESZCZEK.

Niespełna dziewiąta.

PORCYA.

Czy Cezar poszedł już do kapitolu?

WIESZCZEK.

Nie jeszcze, pani; idę właśnie zająć
Miejsce na drodze, którą on iść będzie.

PORCYA.

Masz pewnie jaką prośbę do Cezara?

WIESZCZEK.

Tak, pani. mam ją: jeśli Cezar zechce
Tak się okazać względnym dla Cezara
Iż mię wysłucha, to go prosić będę,
Ażeby sobie sam łaskę wyświadczył.

PORCYA.

Miałżebyś wiedzieć, że mu co zagraża?

WIESZCZEK.

Nie wiem nic co się stanie, ale z tego
Czego się lękam, wiele się stać może.
Żegnam cię pani. Ulica w tém miejscu
Trochę przyciasna: ów tłum senatorów,
Pretorów, gminnych supplikantów, który
W trop za Cezarem postępować będzie,
Zgniótłby takiego jak ja nieboraka.
Otwartsze sobie zajmę stanowisko,
I tam Cezara oczekiwać będę.

(Odchodzi).

PORCYA.

A ja tu muszę pozostać. Jak wątłém
Jest serce niewiast! O Brutusie! niech cię
Nieba wspierają w twojém przedsięwzięciu!—
Pewnie mnie Lucyusz zrozumiał.—I Brutus
Ma także prośbę do któréj się Cezar
Nie chce przychylić. Coraz mniéj sił czuję:
Biegnij kochany Lucyuszu i pozdrów
Odemnie pana. Powiédz mu, tak, powiédz,
Żeś mnie zostawił zdrową i wesołą,
I wracaj donieść mi co on ci powié.

(Dalszy ciąg nastąpi).

KRONIKA LITERACKA.

PRZEGLĄD MUZYKALNY.

Doręcznik muzyczny przez Józefa Sikorskiego.

> Muzyka jest drugą połową każdego wychowania, bo ona ukształca duszę człowieka.
>
> *Platon.*

Po ilości i jakości dzieł wydanych w jakim kraju, sądzić można o stopniu jego ukształcenia. Uczeni mężowie oświecają promieniami swéj nauki horyzont wszelkich umiejętności, czerpiąc ją u źródła wiedzy z wytrwałością, nie zawsze przez współczesnych uznaną i ocenioną. Składają oni owoce długoletnich studyj na ołtarzu dobra powszechnego, zlewając je do ogólnego skarbu naukowości, by służyły za stopnie, po których następne pokolenia coraz wyżéj wznosićby się mogły. Tym tylko sposobem społeczność na drodze oświaty rozwijać się może do nieskończoności, aż spełni missyą od Boga jéj naznaczoną.

Byli ludzie, którzy utrzymywali, że kwitnący stan literatury jest dowodem upadku duchowego w narodzie. Jeszcze to zdanie zastosowane do poezyi, może miéć pozór prawdy, gdyż powiedziano jest, że „co ma ożyć w pieśni, martwem być powinno;" lecz do nauk ścisłych, a szczególniéj sztuk pięknych, tego w żaden sposób stosować nie można. Weźmy za przykład Niemcy: pomijając liczne gałęzie naukowości wysoko rozwinięte w tym narodzie, obaczymy, że pod względem sztuk pięknych a szczególniéj muzyki, najwyżéj stoją w rzędzie ludów europejskich. Muzyka wsiąknęła tak dalece w obyczaje tego narodu, że stała się niejako elementem koniecznym dla jego egzystencyi; pochodzi to głównie z wielkiéj liczby genialnych kompozytorów, którzy muzykę w Niemczech doprowadzili do stopnia niezwykłego potęgi i sławy: Bach,

Hayden, Mozart, Beethoven i Mendelsohn, są głównemi ogniwami tego wielkiego łańcucha mistrzów, łączącego i opasującego cały naród. Ichto arcydzieła przemawiając od stu lat prawie szczytnemi natchnieniami do serca i duszy współziomków, zespoliły się, zbratały z ich bytem do takiego stopnia, iż stały się koniecznym pokarmem dla ducha umysłowego Germanów.

Ztądto uroczystości muzyczne, jak naprzykład przy odkryciu pomnika dla Beethovena, lub ostatnie dla uczczenia stuletniéj rocznicy urodzin Mozarta, są uroczystościami narodowemi, bo całe Niemcy w nich udział biorą, bo muzyka u nich nie jest uważaną jako zabawka, jako środek przyjemnego spędzenia czasu, lecz jako sztuka dana od Boga ludziom, jako najmilsza i najwdzięczniejsza z nauk, wzbudzająca tysiące szlachetnych rozkoszy umysłowych; nareszcie jako ogień święty zesłany tak szczodrze od Boga, a który czcią i uwielbieniem patryotyczném pielęgnuje i strzeże naród niemiecki.

W chwili obecnéj Niemcy rozdzielone są na dwa obozy: klassycyzmu i romantyzmu; toczą walkę zawziętą o pierwszeństwo mające nadać wszechwładzę panującą jednemu z tych dwóch rodzajów. Do piérwszego obozu należą wszyscy prawie wielcy kompozytorowie dawniejsi, jakoto: Hayden, Mozart, Beethoven i inni ich styl naśladujący; drugiego zaś, głównemi przedstawicielami są: Schumann, Berlioz, Liszt i Wagner (1). Prowincye południowe zostając więcéj pod wpływem piérwszych (z małemi tylko wyjątkami), wierne są tradycyom klassycznéj muzyki; przeciwnie północne hołdują utworom palącym się namiętnym żarem uczuć romantycznéj szkoły. Dlatego mylić się będzie ten, co zdaleka i tylko z dzienników zechce śledzić ruch muzyczny dzisiejszy w Niemczech. Redakcye pism peryodycznych podzielając opinią swych wyznawców, walczą bronią nasiąkłą uprzedzeniami stronnictwa; i tak naprzykład, z powodu koncertu danego w Berlinie, na którym Liszt swą symfonią i inne wyższego rodzaju dzieła wykonywał, jedne gazety nie miały dostatecznych słów na pochwały i uwielbienia dla niego, gdy tymczasem inne potępiały bezwarunkowo dzieła i tendencye sławnego artysty. Tak samo rzecz się ma z ostatnią operą Wagnera, tamże wystawioną pod tytułem *Tannhaeuser* (2). Czas nam pokaże, który z tych dwóch rodzajów tryumfować będzie. Według mego przekonania, jeden drugiemu krzywdy nie wyrządzi: prawdziwa wielkość i piękność każdego z nich zostanie po należytém i rozwa-

(1) Berlioz właściwie należy do Francyi, lecz szkoła romantyczna w Niemczech uważa go za swego wyznawcę i dzieła jego wysoko bardzo ceni.

(2) W przekonaniu Wagnera, muzyka pisana w operach sposobem dotychczas przyjętym, wstrzymuje bieg akcyi dramatycznéj. Wiadomo, że Wagner chcąc temu zaradzić, sam do swych oper treść układa, mając to głównie na uwadze, by muzyka nietylko akcyi nie wstrzymywała, lecz owszem dopomagała do jéj rozwoju.

żném przekonaniu załączoną do ogólnego bogactwa muzycznego, a może jaki inny w przyszłości nieznany nam rodzaj wywiąże się z tego.

Kto chce widzieć Niemców w obliczu muzyki, niech wejdzie do sali koncertowéj, gdzie się zwykle wyższego rzędu dzieła wykonywają, jeżeli będzie tak szczęśliwym, iż miejsce dla siebie dostanie; a przekona się z jaką czcią, powagą i skruchą przysłuchują się muzyce. Od lat dwóch podobno zaprowadzono ustawę w Saxonii, że nikt nie może być dyrektorem czyli naczelnikiem jakiéjkolwiek orkiestry, bez upoważnienia komitetu konserwatoryum, ustanowionego głównie w tym celu. Dawniéj kto chciał mógł sobie zwerbować muzyków, i w miejscach publicznych tojest placach, ogrodach, kawiarniach i t. d. urządzać muzykę: ztąd orkiestry przez niedołężnych i nieznających rzeczy ludzi prowadzone były nędzne; a tak ich się wiele namnożyło, że opinia publiczna troskliwa o dobroć muzyki, poczęła na to powstawać. Wyszła więc decyzya od władzy rządowéj, że tylko ci, którzy uzyskają patent na dyrektora orkiestry, mogą jedynie dzieła muzyczne publicznie wykonywać. Ażeby takowy otrzymać, potrzeba złożyć przed komitetem próbkę własnéj kompozycyi na orkiestrę: w tym względzie nie wymagają wielkich rzeczy. Następnie tenże komitet zadaje przykład kontrapunktowy, który należy w sposób zadowalniający opracować, a dopiéro po takim egzaminie pretendent otrzymuje patent, czyli prawo formowania orkiestry i przed publicznością może z nią występować. Od tego czasu mniéj jest kompanii muzycznych, ale są daleko lepsze, bo przez zdolnych i umiejętnych ludzi prowadzone; a często nawet w małym ogródku usłyszéć można najznakomitsze dzieła Beethovena, Mendelsohna i Wagnera, wcale dobrze wykonane. A owe liczne zgromadzenia tak powszechne, gdzie czas przepędzają na śpiewaniu różnych pieśni narodowych: owe *Liedertafel*, *Gesangverein*, gdzie nawet walczą o nadgrody w oddzielnych popisach: wszystko to przekonywa, jak w Niemczech lubią, poważają i cenią muzykę. Więc gdzie ona jest tak popularną i tak uprawianą, nic dziwnego, że i literatura muzyczna jest w kwitnącym stanie. Trudno byłoby zliczyć ilość dzieł teoretycznych od lat kilkudziesięciu wyszłych i ciągle jeszcze wychodzących, oprócz wielu gazet, wyłącznie treści muzycznéj poświęconych. Niżéj w tym względzie stoją Francuzi i Włosi, a najniżéj my, niestety! Parę dzieł naukowych o muzyce Jarmusiewicza, Kurpińskiego i kilka szkół na fortepian, to wszystko co dotychczas posiadamy. Przed kilką laty nasz krytyk J. Sikorski wydał dzieło większego znaczenia, ogólniejszego poglądu na całość muzyki; lecz zaledwie niewielu może osobom więcéj interesującym się nią jest wiadome, a jednakże zasługuje, by było powszechniéj znane. Tém dziełem jest: *Doręcznik Muzyczny*: *treściwe przedstawienie muzyki dzisiejszéj ze szczególném baczeniem na miejscowe potrzeby, przykładami w nutach do*

objaśnienia niektórych szczegółów niezbędnemi, i słownikiem wyrazów muzycznych. Wydany nakładem autora 1852 r. w Warszawie.

Obaczmy, jakie powody skłoniły p. Sikorskiego do wydania tego dzieła. „Muzyka (powiada on, wstęp i przedmowa) tak dziś upowszechniona, stanowiąca konieczną niemal część wychowania staranniejszego, nietylko jest sztuką, ale i umiejętnością także. Jako pierwsza ma podnietę i wzór w uczuciach i w życiu ludzkiém, jak tego dzieła mistrzów dowodzą; jako druga ma obszerną naukę w teoryą wcieloną. Więc oswojenie się z teoryą prowadzi w dziedzinę sztuki, więc nauka przybytek jéj otwiéra. Próżniactwo tylko i ciemnota bronią się sofizmatem, że ona natchnienie wysusza, zapał chłodzi, wikła zamiast prowadzić; bo i czemuż nikt dotąd za artystę powszechnie uznany, za rzetelnego znawcę i miłośnika okrzyknięty nie został, kto nauką pogardził? Dlatego też muzycy z zawodu, dlatego inni miłujący sztukę szanują naukową jéj stronę, i pragną jak najwięcéj ją poznać, by się godniejszemi sztuki pokazać. Od dwudziestu lat przeszło, jak niezupełnie rozwinięta jeszcze wyższa muzyki szkoła w Warszawie (konserwatoryum) zamkniętą została, niesłychanie trudno u nas o ogólniejsze nieco kształcenie się w muzyce. Ztąd, czy kto z powołania chce się jéj oddać, czy tylko oświeceńszym jéj miłośnikiem zostać, poprzestać musi na dorywczo chwytanych wiadomościach, albo niczém prawie nieułatwioną pracą je zbiérać. Szczęśliwy, jeśli znajomość obcych języków przyjdzie mu w pomoc, ułatwi używanie muzycznych rozkoszy, których wielka część od pojmowania, a więc od wykształcenia zależy; jeśli go usposobi do sumiennego pełnienia zawodu na całe życie obranego, obroni od rumienienia się za niewiadomość". Daléj mówi o potrzebie książki „mogącéj zawierać w sobie całość rzeczy muzycznych, by je choć zdaleka okazać", i słusznie robi uwagę, że takowa potrzebniejszą jest w nizkim stopniu ogólnego wykształcenia muzycznego u nas, niż konieczne także dzieła oddzielnemi gałęziami muzyki się zajmujące.

Oto powód pracy niniejszéj."

Następnie autor tłumaczy się, dlaczego tak a nie inaczéj ułożoną została.

„Przypuszczając istotną i ogólną jéj potrzebę, należało przygotować ją dla takich czytelników, których muzyka obchodzi, a łatwo podzielić ich na kategorye. Jedni pragnęliby dowiedzieć się bez mozołu, dlatego tylko, że ukształconemu człowiekowi wszystko wiedzieć przystoi, ale nie myślą nigdy zblizka, osobiście muzyką się zajmować. Są to miłośnicy łatwego użycia, radziby w autorze mieć kucharza zręcznego, by podał w treści pokarm leniwemu lub czém inném zabawnemu umysłowi; dla tych techniczność unikana być musi, bo ich odstrasza. Drudzy pragną napewno wiedzieć jak rzeczy stoją, cokolwiek techniki im nie zawadza i owszem ciekawie w nią zaglądają, pojmując, że tym sposobem lepiéj zrozumieją jéj płody; radziby nietylko wiedzieć

co to jest kontrapunkt, generałbass, fuga, symfonia, zkąd się to wszystko wzięło; ale i poznać czemu się to tak a nieinaczéj układa i t. d. Inni nakoniec chcą z gruntu rzecz wyrozumiéć, by ją tém lepiéj uprawiać: bo grają, śpiewają, komponują czasem lub uczą nawet. Ci radziby techniki jak najwięcéj, by do dna dotrzéć; gotowi są najzawilsze badać traktaty to przez zapał, to z przekonania o potrzebie i różnostronności nauki. I ci ostatni byliby najpilniejsi: oni to bowiem najpierwszemi są doradzcami, przewodnikami w smaku; od nich w wielkiéj części zależy, czy rosnące pokolenie skazane będzie na zarozumiałą ciemnotę, czy oświecone blaskiem sztuki godnéj tego nazwiska. Zbyt jednak mała ich liczba, książkę wyczerpującą przedmiot niepodobną jeszcze u nas czyni. Zdawało się nam, że piérwsze takiéj treści dzieło, a może na długo jedyne, dla wszystkich coś zawierać powinno"...

Autor w szczupłéj książce chcąc dać wyobrażenie wszystkiego, co wyczerpująco tomy wypełnia, wziął za zasadę plan ku temu najwłaściwszy i najprostszy.

Dzieło swoje podzielił na dwie główne części, tojest: piérwsza, *materyał muzyczny*, druga *zastosowanie materyału muzycznego*. Część piérwszą składają dwa działy: 1-szy *o jakości muzycznéj czyli nauka o tonie*. Tutaj rozwija zasadę i bogactwo systemu muzycznego począwszy od praw akustyki tonu, czyli jego przyczyny i dążności, aż do klassyfikacyi, nazwy i pisma, którém go wyraża.

Dział ten starannie przez autora opracowany nic nie pozostawia do życzenia; a szczególniéj przegląd i wykład gamm twardych i miękkich, tudzież o pokrewieństwie tonacyi, opisany w sposób jasny i zrozumiały, dostępny jest dla każdego, najmniéj nawet w tym względzie przygotowanego czytelnika.

Dział drugi, o ilości muzycznéj czyli nauka o rytmie, tak przez autora jest określony. „Czas, drugim jest muzyki żywiołem; prawie zawsze ściśle pomierzony, pojedyncze jego cząstki stosunkowo się do siebie mające, stanowią *rytm*. W wykonaniu muzyki, ścisłość ta przecież zachowaną jest o tyle tylko, o ile uczucie wykonywającego na to zezwala. Uczucie biegiem krwi, biciem serca rozrządza; a że w nichto jest podstawa duchowa pomiaru muzycznego, więc ścisłość jego względną się staje." Niniejszy peryod zamieszczony w odsyłaczu str. VI wymaga objaśnienia.

Rytm tak silnie działa, że można powiedzieć, iż on jest główną rzeczą w muzyce. Jak tylko bieg rytmu jest symetrycznie i dobrze oznaczony, chociażby zmienić tonacyą, skutek jego nie będzie wątpliwym. Przeciwnie niezmieniając jéj nawet, a nadać mu ruch inny, zatrze się natychmiast jego właściwy charakter i to tak dalece, iż zdawać się będzie, że się słyszy zupełnie co innego. Rytm działa potężniéj na duszę jak melodya lub harmonia. Możnaby rzec, iż on jest tém dla ucha, czém symetrya dla oka. Sta-

rożytni mieli słuszność utrzymując, że muzyka przyprowadzała do wściekłości ludzi lub ich zapędy łagodziła, stosownie do organizacyi mniéj więcéj uczuciowych: mamy tego dowody na Alexandrze Wielkim, Grachu i t. d.: było to najczęściéj dziełem rytmu".

Powyższą uwagę dlatego tylko uczyniłem, iż p. Sikorski zanadto niewyraźnie określił znaczenie rytmu, poświęcając go dowolnemu rozporządzeniu wykonywającego. Cały ten drugi dział, mający głównie na względzie podział czyli miarę czasu, tudzież akcent czyli tonowanie, kończy uwagami o tempie, tojest ruchu i objaśnieniami metronomu Maelzla, którego przeznaczeniem jest ujednostajnić ruch muzyczny na całym świecie.

Część druga: zastosowanie materyału muzycznego, dzieli się na cztery działy:

1) Melodyka czyli nauka o melodyi.
2) Harmonika, nauka o harmonii.
3) O formach muzycznych.
4) Organika czyli nauka o narzędziach muzycznych.

W założeniu do piérwszego działu powiada autor, że materyał muzyczny dany przez naturę człowiekowi, zbadany przez niego do celów artystycznych, w duchu właściwym sobie używany być winien; ztąd pochodzi wielka kompozycyi muzycznéj nauka. Na piérwszém tu miejscu staje kształcenie szeregu pojedynczych tonów, składanie z nich wyrazów i wyrażeń, czyniących z muzyki mowę powszechną, bo zrozumiałą wszędzie, gdzie sięga cywilizacya, która ją wywołała, i gdzie bije serce uczuciami przepełnione. Rozpoczyna go wykładem zarodu melodyi i najprostszego jéj rozwinięcia; pokazuje co to jest *zgłos* (motyw). Objaśnia trojakość formuły w melodyi, wspierając się zawsze przykładami; późniéj przychodzi do orzeczenia porządku rytmicznego różno-taktowego, kończy zaś, o ozdobieniu melodyi i jéj ważności.

Słusznie p. Sikorski w tym rozdziale powstaje na nadużycie, jakiego się często dopuszczają w szpeceniu melodyi, tego „kwiatu muzyki", jak się autor wyraził. dodatkami, niby ozdobami, obciążając nieraz do niepoznania jéj prostotę lub charakter.

Dawniejsza metoda śpiewu we Włoszech, szczególniéj w czasach, gdy opery Paisiella, Cimarosy i Guglielmi miały wzięcie, melodye szerokie i pełne prostoty mało wymagały fiorytór i innych dodatków tak dziś częstych. Dobre prowadzenie głosu, wytworne uczucie, dokładne frazowanie, były jedynemi zaletami, któremi śpiewak mógł błyszczeć. Lecz wyżéj wspomniani kompozytorowie sami swój styl formowali w szkole śpiewaków wykształconych ich poprzednikami, jakimi byli: Jomelli, Majo, Piccini i Sacchini; szkoła ta śpiewu szeroka, patetyczna, bierze swój początek z czasów Alexandra Scarlatti i Porpory. Wirtuozi obdarzeni zdolnościami nadzwyczajnemi, jak Farinelli, Caffarelli i Gabrielli, wprawdzie wbiegli w sfery śpiewu nazwanego *brawurą*, gdzie się rozwijała z korzyścią potęga giętkiego ich organu; lecz ten rodzaj wymagał długiéj i nadzwyczajnéj pracy i nie miał zasto-

sowania, jak tylko w kadencyach nazwanych *pointo d'orgue*. We wszystkich innych zdarzeniach, kilka tryllów, kilka grupp i appogiatór, składały główne ozdoby śpiewu, a prawdziwe jego zalety były: piękne prowadzenie głosu, nadzwyczajna łatwość wokalizacyi, nieposzlakowana czystość intonacyi; do tego potrzeba jeszcze dodać wysoko posuniętą sztukę oddychania w właściwém miejscu, i wyborną a czarującą dokładność czucia miarowego czyli rytmu. Ta ostatnia zaleta jest godną uwagi i powinna zastanowić wszystkich śpiewaków naszéj epoki, bo jest cokolwiek przez nich zaniedbaną. Im się zdaje, że expressya zależy na zwalnianiu lub przyspieszaniu pewnych części frazesu; na wstrzymywaniu co chwila taktu, by zatrzymywać się nad niektóremi nutami, chcąc im nadać wibracyą, że nawet ginie charakter rytmu i znaczenie właściwe ustępu śpiewanego. Są oni przekonani, że bez tych sztuczek nie zrobią efektu.

Znakomity śpiewak w końcu XVIII stulecia Garat, był nieporównanym w sztuce frazowania. Pełen czucia i zapału, śpiewając nawet *a tempo rubato*, nigdy sobie nie pozwalał najmniejszéj zmiany w takcie: wymagał on od orkiestry i akkompaniatora nadzwyczajnéj akuratności tempa, umiał bowiem przybyć zawsze na czas tam, gdzie oni, chociaż zdawał się poddawać całéj werwie expressyi dramatycznéj. „*Expressya, któréj się nabywa kosztem taktu*," powiadał on „*jest tylko grymasem, bo nie ma nic prawdy* (1).

W dziale czwartym autor wykłada naukę harmonii, wykazując sposobem zrozumiałym, jak z natury tonu harmonia się rodzi, w jakie układa się akkorda, jakim sposobem zyskują związek z melodyą, jak różnym ją darzyć mogą charakterem albo go od niéj zyskiwać, jak wedle praw jednakich się rozwijają i jakie sobie oddzielne pismo harmonia wyrobiła.

Ważne są powody mniemać, że starożytni nie znali harmonii. Tak wielu utrzymuje, i p. Sikorski dowodzi tego w niniejszém dziele. Lecz gdy sobie przypomnimy, że najświatlejsi i najznakomitsi mężowie owych czasów, jakoto: Pitagoras, Platon, Arystot, Polib i t. d. uprawiali i kształcili muzykę, czego mamy dowód

(1) Fetis. Wady w takcie i rytmie, o których mowa, nie są tylko udziałem śpiewaków, lecz nawet prawie wszystkich wirtuozów instrumentalnych. Nic trudniejszego dzisiaj dla orkiestry jak towarzyszyć skrzypkom, posiadającym jakąkolwiek wziętość. Zakłócanie ruchu w ich grze jest tak ustawiczne, że ta expressya grymasowa niszczy wszelkie znaczenie muzyki, którą wykonywają. Przypominam sobie, gdy Antoni Kątski miał pierwszą probę z orkiestrą Wielkiego Teatru Warszawskiego, a miał wykonać, zdaje mi się Koncert Humla *h* moll. Wszyscy byli przekonani, że tak jak brat jego Apollinary, powtarzać będzie po kilkanaście razy przynajmniéj każdy ustęp, nim skończy. Lecz z wielkiem zadziwieniem wszystkich członków orkiestry, bez żadnéj zmiany ruchu bez żadnego jéj nawet zatrzymania, bez zrobienia komukolwiek najmniejszéj uwagi, odegrał z wyborną dokładnością całe dzieło, jak gdyby na koncercie; za co huczne otrzymał od artystów oklaski, za tak rzadkie, sumienne i wolne od wszelkich indywidualnych zmian lub dodatków, wykonanie.

w ich dziełach aż do naszych czasów dochowanych, niepodobna przypuszczać, by harmonia choć w części nie była im znaną. Powiadają, że nie ma na to piśmiennych dowodów, i że gammy greckie, pisownia muzyczna i instrumenta powszechnie przez starożytnych używane, o jakich wiadomość posiadamy, dowodzą, że istnieć nie mogła. Prawda, że znaki muzyczne przez Greków nam zostawione, nie wskazują wyraźnie znajomości harmonij; lecz wiadomo, że w nutach swoich używali mnóstwa znaków dzisiaj dla nas będących tajemnicą, które stanowiły zapewne o rozciągłości, zmianie, lub całości frazesu; a kto wie, czy pomiędzy niemi nie było takich, coby drugi jaki ton do melodyi dodać nakazywały? U Hebrajczyków w dnie świąt uroczystych formowały się wielkie chóry z kapłanów, wyłącznie na tę posługę w świątyni utrzymywanych; przygrywali oni śpiewom swoim na różnych instrumentach, więc niepodobna, by to wszystko *unisono* mogło się odbywać; zresztą arfa, instrument wyłącznie zdający się być przeznaczonym tylko do wtórowania, a prawie niezmieniony z pierwotnego kształtu do dnia dzisiejszego, rzuca największą wątpliwość co do zdania przeczącego o istnieniu harmonii u starożytnych. Wiemy, że Dawid śpiewał wtórując sobie na arfie, i najszczytniejsze swoje psalmy przy jéj akompaniowaniu tworzył. Nakoniec, natura brzmienia struny na arfie jest ta sama, co na fortepianie; już nawet Pitagoras zauważał, że struna z spoczynku zbudzona drga, wydając kilka tonów, które nawet najniewprawniejsze ucho rozróżni. Pan Sikorski na 7 i 130 stronnicy Doręcznika jasno tego teoryą wykłada, więc jeszcze jeden powód więcéj do przypuszczania znajomości harmonii w czasach przedchrześciańskich. Mogła się ona ograniczać li tylko do użycia akkordów konsonujących, a przynajmniéj dwóch głównych; lecz ponieważ nie mamy na to żadnych pewników, więc tak dobrém może być jedno jak i drugie twierdzenie.

Dział ten o harmonii kończy autor wykładem generałbassu. Słusznie p. Sikorski zwraca uwagę na to powszechne mniemanie, jakoby wiadomość generałbassu była dowodem wielkiéj mądrości muzycznéj: jestto nauka o jednéj części pisma muzycznego z trochą znajomości harmonii połączona. „Przez samą wprawę można być wybornym generałbassistą, tojest umieć wyczytać cyfrowane bassy, jak można czytać po grecku nie wiedząc jakie ten i ten wyraz ma znaczenie. Że ztąd daleko jeszcze do kompozycyi, a nawet istotnéj znajomości harmonii albo muzykalności w szlachetniejszém tego wyrazu znaczeniu, łatwo się domyśleć. Przymiotnikiem muzykalności" mówi tenże daléj „obdarzają u nas każdego, kto się uczył grać lub śpiewać ile-tyle, choćby ani grać, ani śpiewać nie umiał; każdego kto zna nuty, choćby nie wiedział jak się nazywają: każdego niemal kto je widział tylko; każdego, kto ze *słuchu* coś wyśpiewa albo wyklepie na fortepianie; każdego wreszcie komu się podoba dać zdanie o muzyce i muzyku; kogo stać na taką dozę zuchwalstwa, że się i pisać ośmieli choćby nie

wiedział jaka różnica między *f* i *fis*. Na co mu to, kiedy ma czucie? O,biédna muzykalności!" Muzykalnością nazywać się powinno w ogólności wysokie ukształcenie, jeżeli nie w dziedzinie teoryi, to przynajmniéj w praktyce.

Od harmonii do kontrapunktu tylko jeden krok; więc autor w dziale piątym wykłada system téj ważnéj, trudnéj i najobszerniejszéj w kombinacye różnorodne nauki. Na więcéj szczegółowy opis potrzebaby wiele bardzo miejsca: p. Sikorski zaledwie szkielet jéj wykazał; niepodobna bowiem inaczéj uczynić w małéj książce, gdzie o wszystkiém trzeba było potrochu powiedzieć. Tutaj na każdym kroku spotyka się piszący z trudnościami, jakiemi są: brak wyrażeń technicznych w naszym języku. Ciekawe w tym ustępie są uwagi z tego względu autora i sposób w jaki się z niego wywiązał. Nie możemy w zupełności podzielać zdania, jakoby dziś fuga i canon samym tylko prawie uczniom, jako ćwiczenie, zostawione były. Spojrzyjmy naprzykład na każdy wyższy utwor muzyczny niemiecki lub francuzki, a przekonamy się, że jeżeli tam nie ma fugi albo canonu w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, to prawie każdy mniéj lub więcéj pisany jest w ich duchu. Rozdział w którym mowa o pieśni i jéj teoryi, zakończony jest taką definicyą „Pieśń jestto niewielki obraz jednego uczucia, w pewnych granicach zamkniętego. Pieśń może być mniéj więcéj rozwinięta, byle to rozwinięcie wszystko co wprowadza nowego, należało do głównego pomysłu, oddawało pod rozkazy tematu, główne uczucia znaczącego".

W ustępie o *muzyce głosowéj* zatrzymuje się autor nad pieśnią ludową. „Nie uczona a dowcipna, charakterystyczna, widocznie w natchnieniu stworzona, zadziwia krótkością, w któréj tyle dosadności, że rzadko przez uczonego kompozytora szczęśliwie naśladowaną być zdoła... Ocenili ją ludzie od niedawnego dopiéro czasu i zrozumieli, że ona jedyném jest źródłem, zkąd uczeńsza muzyka może czerpać wzory, by prawdziwie narodową została". Kończy się dział piąty opisem muzyki narzędziowéj i jéj licznych form, jakoto: koncertu, sonaty, symfonii i t. d. W tém miejscu ważną bardzo rzeczą są przypiski odnoszące się do krajowych kompozytorów.

Nakoniec dział szósty: *organika* czyli nauka o narzędziach muzycznych, uzupełnia to wielkiéj zasługi dzieło. Autor zastanawia się i opisuje charakter i własność głosu ludzkiego, jako też każdego instrumentu, należącego do składu orkiestry, dowodząc, że dźwięk tém jest w muzyce, czém farba w malarstwie. Lecz jak dźwięku opisać niepodobna, tak i koloru: więc autor chcąc dać pojąć zasadę na któréj się opiera sztuka łączenia różnostronnych instrumentów, ma nadzieję objaśnić całość dźwięku muzycznego. Na samym ostatku w miejscu, gdzie mowa o orkiestrze, instrumentacyi i partyturze, daje przykład z symfonii Hajdena, chociaż króciutki, by pokazać, jak się pisze muzyka na orkiestrę. Słownik abecadłowy treści, zawierający i używańsze wyrazy

w muzyce, i wyrażenia textem nie objęte, dodany na końcu, wypełnia tę trudną i chwalebną pracę.

Niech nam będzie wolno przytoczyć jeszcze słów kilka z przedmowy autora (str. IX).

„To, co się w niniejszéj książce zawiera, jakkolwiek nie wyczerpuje przedmiotu, nauczy pragnących go poznać bliżéj o jego naturze, środkach, dążności, potędze, niezmiernéj rozległości. Pomoże do zrozumienia muzyki wykonywającym i słuchającym, może zachwieje mniemaniem dosyć niestety upowszechnionym, że taniec albo wyjątek z opery są już czémś tak znakomitém, że o resztę nie dbać wolno; może oświeci, że muzyka nie na to istnieje, by nas *bawiła*, jak bawi kuglarz lub akrobata; zachęci może rodziców i opiekunów, by ich dzieci i wychowańcy nietylko *grać*, ale i muzyki się uczyli, bo piérwsze bez drugiego na niewiele się zdało, jak się o tém przekonywają ci nawet, których głos powszechny do lepiéj grających zalicza. Gdyby jeszcze udało się książce niniejszéj wmówić w niektórych nauczycieli potrzebę przyjęcia innéj rozleglejszéj metody (w uczeniu grania na fortepianie szczególniéj, bo najłatwiejsze przy nim zastosowanie), by nie szybkobiegaczów tylko, ale pojmujących rzecz kształcili, by choć dorywczo i wedle okoliczności wykładać chcieli szczegóły tutaj w rozmyślanym porządku przedstawione (choćby się na nie inaczéj zapatrywali); gdyby to wszystko nastąpiło, ileżby muzykalność ogółu, w którą on tak chętnie wierzy, zyskała? Byłby to tryumf przedmiotu książki niniejszéj nie jéj autora, który go przecież nie stworzył, ale opisał jak go widzi i pojmuje."

Do słów tak wymownie skreślonych dodać nam tylko wypada, by dzieło z taką prostotą, rozmysłem i nauką wypracowane, było w ręku wszystkich, którzy jakiekolwiek mają zamiłowanie do muzyki lub jéj się uczą. Dla dobra więc téj nadobnéj sztuki śmiało polecamy do użytku powszechnego Doręcznik muzyczny, bo ufni jesteśmy w korzyści, jakie ztąd ogół odniesie przez właściwsze poznanie jéj dziedziny; uczący się zaś, będąc cokolwiek przygotowanemi, znajdą w téj książce przewodnika, który ich wielu rzeczy pożytecznych i potrzebnych nauczy.

M. K.

Mechanika teoretyczna dla użytku inżynierów i techników, przez Juliusza Weisbacha i t. d., przełożona na język polski przez Stanisława Bakka *inżyniera. Warszawa.* 1856. *Nakładem Henryka Natansona.*

Do rzadkich zjawisk u nas policzyć należy ukazywanie się dzieł naukowych specyalnych wyższego zakresu; literatura nasza

nie grzeszy ich obfitością, zaledwie bowiem w każdéj gałęzi po kilka właściwych dzieł naliczyćby można.

Jakkolwiek różne są tego przyczyny, między niemi jednak, jedną z ważniejszych jest brak nakładców, którzyby nie licząc na zbyt szybki obrot dobrze procentującego kapitału, poprzestawali na jego zwrocie powolnym, ze stosownym zyskiem. Często słyszymy „piszę, napisałem, ale kto wydrukuje?" Wydawanie u nas własnym kosztem może tylko zniechęcić, odstraszyć.

Do dzieł wyszłych w latach ostatnich, które ze wszech względów zasługują na upowszechnienie i bliższe poznanie, należy Mechanika teoretyczna Weisbacha, wydana przez H. Natansona, któremu jesteśmy obowiązani za wydrukowanie w polskim języku znakomitego dzieła „Kosmos," napisanego przez sławnego Humboldta. Mechanika, o któréj wspomnieliśmy, przełożona z języka niemieckiego, należy, o ile nam się zdaje, do najlepszych dzieł traktujących o mechanice teoretycznéj w literaturze niemieckiéj. Tłumacz zamierzając obdarzyć nasze biedne w tym rodzaju piśmiennictwo, z wielkim postąpił rozmysłem przy wyborze oryginału. Jakże często przez niestosowny wybór czynimy swą pracę bezkorzystną dla ogółu, a co ważniejsza, pośrednio zrażamy publiczność od tłumaczeń dzieł naukowych, na których niedostatek zewsząd dochodzą zażalenia. Jeżeli już tak okoliczności każą, że tłumaczeniami żywić się musimy, dobrze wybierajmy przed rozpoczęciem pracy, czy tłumaczone dzieło zastąpi rzeczywiście brak dobrych polskich dzieł naukowych.

Dotąd posiadamy pierwszy tom, obejmujący mechanikę teoretyczną; spodziewać się wszakże należy, że skoro wyjdą następne tomy, mające obejmować mechanikę praktyczną, zapewne i te w polskim przekładzie ujrzymy. W tym tomie, autor te głównie części traktuje, które w praktycznych zawodach najczęstsze spotykają zastosowania; dlatego, aby praktyczniejszą uczynić swą pracę, Weisbach liczne załącza przykłady, które niejako za wzór posłużyć mogą, szczególniéj też dla osób samouczących, których u nas, pomimowolnie, najwięcéj się znajdzie.

Nadto chcąc swe dzieło przystępném uczynić dla większéj liczby czytelników, autor w tym kursie o ile możności ogranicza się na algebrze, rzadko wprowadzając rachunek różniczkowy lub całkowy. A wychodząc z tego przekonania, że osoby poświęcające się praktyce, mogą zapomnieć jeżeli nie główne zasady, to przynajmniéj szczególne przypadki różniczkowania funkcyi; zamieścił na wstępie krótki zarys rachunku wyższego, przedstawiając go w formie i duchu bardzo właściwie pojętym tak względnie do osób, dla których całe dzieło przeznacza, jako też względnie do przedmiotu traktowanego.

Zrobić tu można tłumaczowi uwagę, że właśnie nie chciał się przejąć celem tego wstępnego ustępu, i obawiając się, aby sposób zapatrywania się autora „nieznających rzeczy nie dopro-

wadził do mylnego wyobrażenia o nieścisłości prawa rachunku, przez opuszczanie wyrazów bardzo małych i t. d." uczynił parę dopisków rzecz wyjaśniających. Nie tu jest miejsce obszernie o tém mówić: jesteśmy o tém jednak przekonani, że autor mechaniki teoretycznéj pisał swe dzieło dla osób, które jeżeli dziś dobrze nie pamiętają, to kiedyś musieli się obszerniéj uczyć analizy wyższéj, i sposobem traktowania przez autora podanym w błąd wprowadzeni być nie mogą. Dodatek ten jest tylko przypomnieniem przepisów różniczkowania i całkowania dla osób poświęcających się mechanice praktycznéj, i pod tym względem Weisbach bardzo oględnie postąpił, wprowadzając sposób pojmowania różniczek za ilości, które zbliżając się ciągle do zera, ostatecznie stają się mniejsze od wszelkiéj ilości danéj czyli nieskończenie małe. Taki sposób pojmowania, podany piérwotnie przez Leibnitza, najwłaściwszym jest przy zastosowaniu rachunku do jeometryi i mechaniki, i zapewne dlatego Weisbach przeprowadza go w całém dziele.

Treści szczegółowéj niniejszego dzieła wypisywać nie uważam za rzecz potrzebną: dodać tylko wypada, że ta Mechanika teoretyczna bogatą jest we wszelkie szczegółowe roztrząsania, i może pod każdym względem zastąpić brak oddawna czuć się dający polskiego dzieła, w tym ważnym dla wszystkich zawodów technicznych przedmiocie.

Co do języka oddać należy sprawiedliwość tłumaczowi za pracę sumienną i starannie wykonaną. Być może, znajdują się pewne usterki lub małe niepoprawności: te jednak nikną w ogromie dzieła i wcale nie są w stanie ująć prawdziwéj zasługi, jaką p. Bakka dla literatury położył. Nie podzielamy np. z tłumaczem przekonania, aby spolszczenie wyrazu areometr na ciężkościomierz było zadowalające; podobnie możeby było lepiéj zamiast wyrazu ciężkość gatunkowa (poids, Gewicht) używać wyrazu ciężaru właściwego lub zresztą gatunkowego; zamiast waga bezwzględna, ciężar bezwzględny i t. p. Tłumacząc, możebym starał się spolszczyć wyraz dziwnie u nas brzmiący, choć dość często używany, wentylle, na klapy; podobnie możeby się utarł wyraz polski przez Libelta podany, zamiennik, w miejsce modulu.

Co się tyczy wydania, z przyjemnością można powiedzieć, że przychodzimy przecie do wydań swojskich pięknych nietylko pod względem druku, ale i powierzchowności; umieszczanie figur w texcie, powszechnie przyjęte za granicą, i u nas zdaje się wchodzi w użycie częstsze. Jak wielką to jest dogodnością dla osób czytających dzieła matematyczne, każdy pojmie i oceni, pamiętając na to, że wzrok nasz nietyle się psuje drobnym drukiem, co częstą zmianą odległości uważanego przedmiotu, jaka ma miejsce przy odszukiwaniu liter lub figur na osobnych tablicach, lub przy wykonywaniu rachunków za pomocą logarytmów.

S. P.

Wyrachowanie massy i wartości drzewa opałowego w klocach, oraz porównanie wartości tegoż z węglem kamiennym i torfem, przez Benedykta Alexandrowicza. *Warszawa.* 1855 *r.*

Mała ta, dwanaście stronnic obejmująca książeczka, zawiera tablicę przybliżonéj miąższości drzewa od 6 do 40 cali średnicy w cieńszym końcu, i od 6 do 40 stóp długości; tablicę wartości browarki od 6 do 40 stóp długości, w porównaniu do cen sążnia sześciennego drzewa w szczapach; tablicę porównawczą palności rozmaitego gatunku drzewa, oraz uwagi nad palnością węgla kamiennego i torfu.

Jakkolwiek przyjęta do obliczania miąższości zasada stałego przyrostu po $\frac{1}{4}$ części cala na każdy sążeń długości, daje wypadki różniące się od rzeczywistych, w miarę większéj różnicy pomiędzy średnicami w cienkim i grubym końcu, któréj przy ustanawianiu wartości drzewa opałowego nigdy z uwagi spuszczać nienależy; jakkolwiek trudno pojąć istotne znaczenie objaśnienia, że wyrachowanie miąższości obejmuje ilość stóp wypadłą ze średnicy w cieńszym końcu *zrównanéj przez stosunkowe podwyższenie rachunku o* $\frac{1}{4}$ *część cala na każdym sążniu długości i dodaniu już do objętości:* mimo to jednak obliczenia p. Alexandrowicza, dając przynajmniéj minimum miąższości i wartości drzewa opałowego w klocach, znajdować się powinny w ręku tych wszystkich, którzy dziś kupują i sprzedają drzewo opałowe, oceniając wartość jego na targu od oka, lub płacąc po składach ceny, których zasady bardzo często odgadnąć nie jest podobna.

Ocenienie stosunku palności rozmaitych gatunków drzewa, zależy od tylu rozlicznych względów, że otrzymane wypadki w praktyce prawie żadnego nie mogą miéć zastosowania. Toż samo powiedzieć można o porównaniu palności drzewa z węglem kamiennym i torfem, chociaż nie ulega zaprzeczeniu, że przy użyciu węgla kamiennego, koszta opału niemal o połowę są mniejsze, z ułatwieniem zaś jego dostawy, wypadki pod tym względem więcéj jeszcze przedstawią korzyści; a niedaleki zapewne czas, w którym, przynajmniej co do Warszawy, torf i węgiel kamienny zastąpią zupełnie w użyciu drzewo na opał.

K. S.

ROZMAITOŚCI.

O rzeźbiarstwie.

Widzieliśmy w tych dniach dzieło sztuki, które ze wszech względów zasługuje na uwagę miłośników i zwolenników sztuk pięknych: jestto gruppa rzeźbiona z marmuru karraryjskiego, sprowadzona niedawno z Włoch.

Kraina ta prawdziwa kolébka poezyi i sztuk pięknych, lubo w nowszym czasie nie wydała w malarstwie talentów swojskich, mogących się mierzyć z dawnemi swemi poprzednikami, nawet z wielkiemi artystami innych krajów; w rzeźbie zdołała utrzymać palmę pierwszeństwa i dawną chwałę przez dzieła nieśmiertelnego Kanowy i nowszych artystów jakiemi są: Tenerani, Bartolini, Marchesi i inni rzeźbiarze, między któremi znakomite miejsce zajmuje Benzoni w Rzymie, znany z dzieł swoich na wystawie powszechnéj w Londynie i Paryżu. Otóż tego dzieło oryginalne, prawie naturalnéj wielkości wykonane, oglądaliśmy przedstawiające Amora i Psyche.

Podstawa ozdobnie rzeźbioną jest z szarego marmuru, na któréj czterech stronach wpuszczone są cztéry płaskorzeźby z białego marmuru, przadstawiające zdarzenia z dziejów Psychy. Dwie dłuższe rzeźby przedstawiają ją w piekle, za pośrednictwem Amora proszącą Plutona o puszkę maści, za pomocą któréjby mogła zawsze piękność i młodość zachować, i w Olimpie być umieszczoną między nieśmiertelnemi bogami. Na dwóch mniejszych, ogląda Amora przy lampie mimo zakazu, i zostaje uniesioną przez Zefira do świątyni miłości.

Płaskorzeźby te pięknie są pomyślane, lecz niezbyt troskliwie, lubo z gustem wykonane: może dlatego, żeby niezbyt odrywały uwagę widza od dużéj gruppy, którą tylko objaśnić mają. Na téj bogatéj podstawie wznoszą się dwie powabne postaci; Amor skrzydlaty jakby ulatujący, wspina się na palcach i wznosi wyżéj wspomnioną puszkę; Psyche przymilając się głaszcze go prawą

ręką, a lewą go przytrzymuje, jakby go o ten upragniony dar prosiła. Gruppa ta tworzy niezrównaną harmonijną całość, i wykonaną jest po mistrzowsku w najmniejszych szczegółach. Bardzo piękną jest postać młodzieńczéj bogini, odziana lekką draperyą, lecz daleko powabniejszą głowa Amorka i cała postać jego.

Nawet dla samego technicznego wykończenia zasługuje ta rzeźba na pochwały, zwłaszcza dla sztucznego wyrobienia z marmuru rąk, draperyi i skrzydeł. Oprócz tego dzieło to jest bardzo korzystnie umieszczone w rotundzie oszklonéj oranżeryi, wpośród bujnéj wegetacyi zwrotnikowych roślin.

Kiedy promienie zachodzącego słońca ozłacają te postaci, zapominając o rzeźbie z kamienia, zdają się ukazywać widzowi jakieś magiczne postacie. Wszystkie piękności tego utworu trudno opisać: oko tylko wprawnego znawcy potrafi je wynaleźć.

W każdym razie czyni to dzieło zaszczyt talentowi artysty i dobremu gustowi nabywcy, który takowe nabył i sprowadził. Benzoni w pracach swoich mniéj zbliża się do Thorwaldsena, który w skromnych idealnych formach w stylu dawnych rzeźb greckich swe dzieła tworzył; bardziéj zaś do maniery Canowy, który się więcéj do malowniczości natury zbliżał, tojest nadawał więcéj miękkości ciału, i lekkości we włosach i akcessoryach.

U nas rzadko się zdarza widzieć dzieło nowszych artystów znakomitszych, bo oprócz téj gruppy, nie przypominam sobie nic innego prócz mniejszego modelu oryginalnego z bronzu do kolosalnéj Amazonki Kissa w Berlinie, nabytego w Paryżu przez p. Xawerego Pusłowskiego, i mniéj troskliwie wykonanych modeli Karyatyd, tegoż artysty, do wodociągów tutejszych; dlatego śmiem uwagę amatorów sztuki i młodszych rzeźbiarzy na tę pracę zwrócić; tem bardziéj iż wyznać trzeba, że u nas w tym zawodzie jeszcze wiele zostaje do życzenia, lubo nie brak i nam na zdolnych artystach w Warszawie, a za granicą rzeźbiarze jak Sosnowski, Władysław Oleszczyński i młody Stattler, zaszczyt nam robią w tym zawodzie.

A. L.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

64. Mowa Xięcia Henryka Hr. Platera miana w kościele w Pabijanicach w czasie obrzędu pochowania zwłok ś. p. Teressy Rotkiewicz, wdowy po ś. p. Tomaszu Rotkiewiczu Referendarzu Rady Stanu, zmarłej w Widzewie dnia 5 Listopada 1855 r. 8ka. Warszawa (bez roku) W drukarni J. Jaworskiego. Str. 8.

65. Roczniki Gospodarstwa Krajowego. Okresu drugiego Tom I. N. I i II. Ogólnego zbioru Tom XXV. Rok trzynasty. (Lipiec i Październik 1854). 8ka. Warszawa. Expedycya główna w księg. R. Friedlejna. W drukarni Gazety Codziennéj. Kart napis. I. i str. 317. Okresu drugiego Tom II N. I i II. Ogólnego zbioru Tom XVI. Rok trzynasty (Styczeń i Kwiecień 1855). Kart napis. I. i str. 316. Spisu rzeczy karta I. (Z 6 litografowanemi tab. i 1 drukowaną). Rsr. 3.

1856.

12. Katalog książek polskich w czytelni przy księgarni Aleksandra Nowoleckiego w Warszawie przy rogu ulicy Senatorskiéj.... Cena kop. 7½. 18ka. Warszawa. 1856. W drukarni Gazety Codziennéj. Str. 90.

13. Katalog książek polskich w czytelni przy księgarni I. Klukowskiego i W. Rafalskiego w Warszawie przy ulicy Miodowéj w domu W. Bujno, N. 497 lit. C. Cena kop. 7½. 18ka. Warszawa. 1856. W drukarni Gazety Codziennéj. Str. 94.

14. Katalog duplikatów biblioteki książąt Radziwiłłów niegdyś w Królikarni, oraz innych książek w różnych językach, wystawionych na sprzedaż publiczną w dniu 12 marca 1856 roku i dni następnych, za pośrednictwem księgarni Zygmunta Szteblera w Warszawie..... 8ka. Warszawa. 1856. W drukarni Gazety Codziennéj. Kart nap. 2 i str. 47.

15. Kuchmistrz Polski czyli poradnik napisany przez doświadczonego w pierwszych domach polskich kuchmistrza, zawierający sposoby tak przyrządzania najwykwintniejszych potraw, jako też wykaz stosownych pokarmów i napojów dla różnego wieku i organizmu. W dwóch tomach. 8ka. Warszawa. 1856. Tom I (druk St. Strąbskiego) kart. napis. 2 i str. 272. Rejestru str. X. Tom II (w drukarni Gazety Codziennéj) napisów kart 2 i str. 369. Rejestru str. X. Rsr. 2.

16. Kodex rolnictwa i zarazem uwagi dotyczące ogrodów, sadów, lasów i plantacyi, przez John Sinclair Baronet (,) założyciela Kommissyi Rolniczéj (,) z dodatkami wyjętemi z tłumaczenia Dombasl'a, IIIgo wydania (.) Z angielskiego. Tom drugi. 8ka. Warszawa. 1856. Nakładem Redakcyi Roczników Gosp. Krajowego. W drukarni St. Strąbskiego i Gazety Codziennej. Napisów i rejestru kart nieliczb. 6 i str. 568.

17. On perły szuka. Powieść P. Poutmartin. Przekład z francuzkiego Ignacego Badeniego Radcy Tajnego, Członka Towarzystwa Naukowego Krakowskiego. 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem tłumacza. W drukarni Gazety Codziennéj. Str. 272 (do str. VI znaczono rzym. liczbami). Rsr. 1 kop. 20.

18. Pan Starosta Kaniowski. Obraz powieściowo-historyczny w trzech rozdziałach przez Edwarda Tarszę. 16ka. Warszawa. 1856. W drukarni Gazety Codziennéj. Kart napis. 2 i str. 179.

19. Roczniki Gospodarstwa krajowego, Okresu drugiego Tom III. N. I i II. Ogólnego zbioru Tom XVII. Rok czternasty (Lipiec i Październik, 1855). 8ka. Warszawa. W księgarni E. Friedlejna. W drukarni Gazety Codziennej. Kart napis. I i str. 309; okresu drugiego Tom IV. N. I i II. Rok czternasty (Styczeń i Kwiecień, 1856). Kart napis. I, i str. 320. Rejestru karta I. Rsr. 3.

20. Zasady Geometryi. Wyłożone przez Clairaut. Z rozporządzenia Ministra Wychowania publicznego, przeznaczone dla szkół Okręgu Naukowego Warszawskiego. (Tłumaczył St. Przystański) 12ka. Warszawa, 1856. W drukarni Gazety Codziennej. Kart napis. 2. przedmowy str. XII i str. 154. (Ze 145 drzeworytami). W oprawie kop. 37½.

21. Z podań ludu i z obcej mowy. Przez Jana Prusinowskiego. 16ka. Warszawa. 1856. W drukarni S. Orgelbranda, nakład Czerniaka w Białocerkwi. Str. 126 i rejestru karta 1. Kop 60.

22. Ziemianin (.) czyli łatwy sposób powiększenia dochodów za pomocą wiejskiego gospodarstwa; praktyczne podręczne dziełko, obejmujące treściwe wiadomości o rolnictwie, o hodowli wszelkiego rodzaju domowych zwierząt, ich chorobach, leczeniu; o pszczołach etc, etc; tudzież zbiór mało dotąd znanych, lub zupełnie nowych zaradczych w domowém gospodarstwie środków, przez Jana Sikorskiego. *Z godłem.*

„Omnium rerum ex quibus aliquid acquiritur
nihil est agricultura melius, nihil uberius, nihil
dulcius, nihil homine libero dignius,"
Cicero, de Off, L. 1 n. 151.

Nakładem autora, 12ka. Wilno. 1856. Drukiem J. Zawadzkiego. Str. XXIV i 348.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

M. Fajans przygotowywa chromolitograficzny Kalendarz na rok 1857. Różni się tém od poprzednich, że wyjdzie w zmniejszonym formacie, z rycinami na dwie strony, a na każdéj po sześć miesięcy. Z jednéj strony pod drzewem, widzimy siedzących trzech naszych pierwszych poetów: Reja, Kochanowskiego i Klonowicza; z drugiéj w całych postaciach dwie figury historyczne. Taki szkic utworu znanego artysty Gersona, jużeśmy oglądali.

— Bibliografii krajowéj (o któréj już wspomnieliśmy) wyszedł zeszyt 2gi, i zawiera oprócz bibliografii książek, nut i rycin za r. 1855 i 1856: rozprawę K. Wł. Wójcickiego „o handlu księgarskim," oraz zapowiedź przeglądu pism peryodycznych. „Pisma peryodyczne (czytamy w odcinku tego pisma) treści naukowéj, pomieszczały często jużto ważne rozprawy objaśniające szczegółowe ustępy dziejów polskich, już ogłaszały same materyały. Oddawna uczuwać dawała się potrzeba, ażeby zająć się ich dokładnym spisem, który byłby wielką pomocą dla badaczy krajowych dziejów. Była myśl poprzednio zebrać w jedno dzieło te wszystkie rozproszone po różnych pismach zasoby; ale gdy nie doszła do skutku, uważamy za stosowne w Bibliografii krajowej spis taki czytelnikom naszym przedstawić. Zaczniemy od r. 1801 od Pamiętnika Franciszka Dmochowskiego, aż do pism obecnych. Z każdego szczegółowy spis podamy, nietylko rzeczy dotyczących dziejów polskich, ale i literatury krajowéj. Biblioteka Warszawska pod napisem „Bibliografii starożytnej" mieściła opis i treść, z wyjątkami nawet ważniejszych a rzadkich już tak dzieł, jak i broszur. Rzecz ta zwróciła uwagę badaczy literatury dawnéj, bo oznajmiała z rzadkościami starożytnego piśmiennictwa polskiego, i podawała mo-

żność ocenienia należycie tych zabytków. Ale niedługo trwała ta publikacya w Bibliotece Warsz: sądzimy, że w odcinku Bibliografii krajowej najwłaściwsze będzie dla niej miejsce." W końcu zapowiadają wydawcy, że: „nie odmówią miejsca opisom ważnych i ciekawych rękopismów." Zeszyt 3, który już jest pod prasą, obejmuje w odcinku: spis szczegółowy przedmiotów i materyałów dotyczących tak dziejów, jak i literatury krajowej z 20 tomów „Pamiętnika" F. Dmochowskiego.

— W r. b. upływa sto lat, jak szpital główny Dzieciątka Jezus w Warszawie wybudowany i zamieszkały został. Szpital przez kwestę ks. Gabryela Piotra Baudoin wybudowany został; sam założyciel był pierwszym rektorem tegoż szpitala, i zarządzał nim przez lat 12 aż do zgonu swego, do dnia 10 lutego 1768 r. Tyle zasłużony i godny pamięci mąż, nie ma jeszcze pomnika wystawionego, na który zasłużył. Że była myśl o nim, dowodzi przygotowany napis przez Ignacego Krasickiego, przeznaczony na nagrobek X. Baudouin'a.

„Którego święta miłość bliźniego ujęła,
Mężu prawy, spoczywaj wpośród twego dzieła.
Bajeczna starożytność niech rycerzów głosi:
Nędzna sława, co światu nieszczęście przynosi.
Nie ten godzien pamięci, kto gnębił, kto zdzierał,
Nie ten co łzy wyciskał, lecz kto je ocierał".

Może przypomnienie niniejsze pobudzi kogo, aby się zajął wystawieniem, odpowiednio zasługom zgasłego męża, chociażby skromnego. pomnika, z napisem, który Krasicki zostawił.

— Kiedy napróżno wyglądamy u nas pisma poświęconego badaniom archeologii krajowej, nauki, której zwolenników wielu liczymy: otrzymane z Pragi Czeskiej: „Památky Archaelogicke a Mistopisne" przekonywają, że Czechy już nas w tym względzie wyprzedzili. Mamy dzieła tego zeszytów 5 w 4ce, z rycinami i obszernym tekstem. Pismo to zaczęło wychodzić w r. 1854, nakładem Matícy czeskiéj, pod redakcyą Karola Władysława Zapa. Ryciny litografowane starannie przedstawiają tak plany, jak widoki już całych kościołów, już ich części; starożytnych zamków i domostw, zwracających uwagę pod względem osobliwości architektury, ołtarzy, fresków, krucyfixów; malowanych kart rękopismiennych, i monet. Pod względem wydania „Pamiątki" te nie mogą się porównać nawet z pięknem wydaniem „Wzorów sztuki średniowiecznej w dawnej Polsce" A. Przezdzieckiego i E. Rastawieckiego, których dzieło jest pomnikowem, wszelako w planie przyjęto szersze rozmiary, bo i zabytki budownictwa, i monety czeskie. Nasi wydawcy „Wzorów" słusznie ze swego dzieła usunęli tak opis monet, jak i medali polskich, bo już mamy w tym przedmiocie wielkiéj wartości dzieła K. Bandtkiego, K. Stronczyńskiego, Zagórskiego, Albertrandego, Bentkowskiego, Raczyńskiego, a nadto wielu miłośników przygotowywa do druku nowe prace: sądzimy przecież, że dla „Wzorów" nie obojętne być powinny i zabytki najdawniejszych pamiątek budowli tak zamków, jak kościołów, domostw i dworków ziemiańskich, z których już rzadkie tylko szczątki (wyjąwszy kościołów) pozostały na naszéj ziemi. Tym bardziej tego pragnąć musimy, mając dowody sumienności godnéj czci naszej, w wydawnictwie tego dzieła. Wzorów tych, „Seryi drugiéj" wyszły nowe zeszyty V, VI, VII i VIII, i obejmują: Grobowiec Kazimierza Jagiellończyka widziany z przyczołka, i z boku; postać tegoż króla na grobowcu; Pomnik grobowy Piotra z Bnina Moszyńskiego biskupa kijowskiego, w katedrze włocławskiéj; (tekst polski Edwarda Rastawieckiego, francuzki Alexandra Przezdzieckiego). Dwa wizerunki: Zygmunta Augusta króla polskiego i jego trzeciéj żony Katarzyny arcy-księżniczki austryackiéj, malowane roku 1553, czy nieco później przez Łukasza Kranacha syna. Chromolitografie są wielkości oryginałów. Matka Boska z dzieciątkiem Jezus, obrazek w kosztownéj oprawie z XVII wieku, własność niegdyś królowej Maryi Ludwiki, małżonki króla Władysława IV, a następnie Jana Kazimierza. (Tekst polski E. Rastawieckiego, francuzki A. Przezdzieckiego). Klejnoty polskie z XVI

wieku; orzeł polski dyamentowy z rubinami, wzięty (jak się słusznie domyśla A. Przezdziecki) ze skarbcu koronnego przez Henryka Walezyusza, i przewieziony do Paryża; łańcuch złoty z emalią, wedle podania wyjęty z grobu Zygmunta III przez T. Czackiego.

Lwów. (Z listu). Z drukarni zakładu Ossolińskich wyszły, nakładem Manieckiego: „Kazania i nauki na wszystkie uroczystości w ciągu całego roku, miane przez kapłana obrządku ormiańskiego Archidyecezyi lwowskiej.—Szkaplerz męki Jezusa Chrystusa i boleści Najświętszej Panny, czyli pobożne rozmyślania i t. d., tłumaczenie z francuzkiego, przez siostrę Ł. B.—Wykład popularny sztuki malowania farbami wodnemi: rzecz o krajo-widokach, dla szkół, pensyi i prywatnéj nauki. Z pism Jerzego Barrot, przełożył ś. p. Karol Balicki. W drukarni propagandy w Chełmnie, w Prusach Zachodnich wychodzi czasopismo: „Nadwiślanin", dwa razy na tydzień pod redakcyą Gołkowskiego.

Poznań. (Z listu 19 lutego 1856 r.). Wkrótce wyjdą powieści p. n. „Zarysy społeczeństwa XIX stulecia" zgrabnie i zajmująco napisane, ale na wskroś francuzkie.—P. Paulina Wilkońska znana w naszym świecie literackim i waszym, wdowa po powszechnie żałowanym autorze „Ramot i Ramotek", ukończyła powieść p. n. „Pani Podkomorzyna", którą ma ogłosić w Poznaniu. Obecnie wykończa w obszerniejszych ramach powieść p. n. „Irena". Załączam wam kilka szczegółów do życio-rysu ś. p. Jędrzeja Moraczewskiego, którego dopiero prace cenić zaczęto, gdy umarł. Smutna to dola dla pracownika sumiennego, kiedy za życia nie dozna współczucia należnego, w nagrodę trudów własnych. Jędrzej Moraczewski urodził się dnia 4 lutego 1802 r. we wsi Dusinie pod Gostyniem; pierwsze nauki szkolne pobierał w Poznaniu. W roku 1816 przeszedł do szkoły wojewódzkiej w Kaliszu, i tu nauki w r. 1822 ukończył. Tegoż roku udał się na wyższe nauki do Niemiec, mianowicie na uniwersytet lipski, a następnie heidelbergski, gdzie się głównie nauce historyi prawa i filozofii poświęcał. W r. 1825 wrócił w rodzinne strony, osiadł we wsi „Zielądkowie" pod Obornikami, i rozpoczął zawód literacki. Przełożył naprzód miarowym wierszem poezye Tybulla i wydał w Wrocławiu u Korna 1827. Niedługo wszakże przybył na uniwersytet warszawski, i w r. 1828 złożył examen magistrowski. Do r. 1830 mieszkał w Warszawie. Od r. 1842 osiadłszy stale w mieście Poznaniu, tu do śmierci zamieszkiwał. W tym roku wydał pierwszy tom dziejów Rzeczypospolitéj, a w r. 1855, w wigilią śmierci d. 19 lutego, oddał do druku tom IX i ostatni. Umarł o godzinie 8 z wieczora d. 20 lutego, rażony paraliżem płucowym. Pogrzeb odbyty dnia 23 t. m. i r. zgromadził tak liczną publiczność, jakiéj oddawna Poznań nie widział.

— Do współpracowników stałych „Czytelni niedzielnéj", których jużeśmy wyliczyli, należą jeszcze: Wł. Garbiński, Karol Kucz, St. Przystański, Dr. Esterejcher i p. Schlenker. PP. Garbińskiego i Kucza wieleśmy już w tem piśmie dostępnych czytali artykułów, równie jak p. Schlenkera, którego rozprawki popularne o soli, papierze, szkle i t. p. z zajęciem przyjęli czytelnicy. Professora Przystańskiego pogadanki z nauk przyrodzonych, a z hygieny doktora Esterejchera, odpowiadają w zupełności zadaniu tego pisma, tak treścią jak wybornym wykładem. Autor „Kłopotów starego komendanta" liczy się także do współpracowników; obrazek jego „Prawy sługa" z wielkiém zajęciem był czytany. Wiele artykułów mieści to pismo i samej redaktorki.

— A. Kosiński wynalazł rękopism z r. 1671, w którym jest najdokładniejszy spis szlachty pruskiéj. Rzecz dotąd zupełnie nieznana, a rzucająca wielkie światło na przeważającą stronę rodowitości polskiej szlachty w Prussach. W następnych zeszytach naszego pisma podamy sprawozdanie A. Kosińskiego z pomienionego rękopismu.

— Wkrótce rozpocznie się druk ważnego dzieła W. A. Maciejowskiego: „Historya Prawodawstw słowiańskich;" rzecz zupełnie przerobiona, i obejmująca sześć obszernych tomów. Od wydania pierwszéj edy-

cyi, pracował uczony autor nad tém dziełem przez lat kilkanaście, i obecnie zamierzył je wydać. Dla ułatwienia nabycia, ogłoszoną zostanie prenumerata. Druk dzieła ukończonym będzie w ciągu dwóch lat najdaléj.

— Zasłużony w zawodzie nauczycielskim professor Teodozy Sierociński przygotował do druku: „Pisma rozmaite uczniów i uczennic, poprawione i wydane przez T. Sierocińskiego professora emeryta". Jak szczęśliwa była myśl w ułożeniu tego dziełka, tak dla wielu będzie ciekawą i zajmującą rzeczą, spotkać się w wieku dojrzałym z pracą własną z lat młodocianych i szkolnych ławek.

— B. Lessmann księgarz warszawski drukuje: 1) Nowe wydanie Grammatyki Chapsala i Noela z ważnemi zmianami, zaprowadzonemi przez Akademią francuzką, oraz Zadania do tejże grammatyki w porządku prawideł ułożone, z dodaniem licznych uwag wyjaśniających różnicę języków: polskiego i francuzkiego, a niezbędnych dla uczącej się młodzieży. 2) Kurs drugi Metody praktycznej i łatwej nauczenia się w krótkim czasie języka niemieckiego, z zastosowaniem do użytku młodzieży polskiéj. 3) „Amelia matką" dzieło będące dalszym ciągiem „Pamiątki po dobréj matce" przez Klementynę z Tańskich Hofmanową.

— Oskar Kolberg ogłosił prospekt na dzieło p. n. „Pieśni ludu polskiego z melodyami i rycinami," o którém jużeśmy wspominali. W prospekcie mówi: „Mamy już zbiory pieśni ludowych, które okazały całe bogactwo tego skarbu dotąd niewyczerpanego. Wszelako zbiorom tym brakuje części najżywotniejszéj, bo dokładnie a sumiennie zebranych melodyj. Wpośród wielkiéj rodziny słowiańskiéj, lud nasz jeżeli nie stanął w piérwszym rzędzie co do układu poetycznego słowa, to niezawodnie piérwszeństwo trzyma co do melodyi muzycznéj. Text pieśni nie zawsze da wyobrażenie téj wzniosłej poezyi, w którą dopiéro rzewna melodya go przyodziewa: w niéj drga życie i uczucie ludu naszego". Dzieło to wychodzić będzie zeszytami: sześć zeszytów stanowi całość we dwóch tomach, z 10 kolorowanemi rycinami, przedstawiającemi jak najwiernéj ubiory ludu. Ryciny te z natury zdjęte wykonali artyści nasi Karol Markoni, i Antoni Kolberg, brat naszego wydawcy; mają one nietylko zaletę wierności ubiorów, ale i charakteru oblicza. Widzieliśmy probki wykonane w Dreznie, ściśle podług przesłanych rysunków, i musimy przyznać, iż nic do życzenia nie zostawiają. Dzieło to będzie prawdziwą skarbnicą dla utalentowanych kompozytorów naszych, i umiejących cenić narodową muzykę.

Wilno. (Z listu). „M. Orgelbrand drukuje swoim nakładem pocmat Wł. Syrokomli p. n. Wielki Czwartek.—Księgarnia Rubena Rafałowicza, która zakupiła cały nakład krotochwili p. n. „Hrabia na Wątorach" wyda wkrótce tegoż poety gawędę ludową i komedyą: tytuły obu tych prac nowych nie są wiadome. Wszyscy księgarze na przegony upędzają się za drukowaniem wszelkich utworów Syrokomli. Ledwie wyda się co pomyślał i co chce pisać, już księgarze zawierają umowy, i płacą z góry. W całéj Litwie téż prawda zyskał sobie bardzo popularne imię. Syrokomla z poetów, a wasz Tripplin z prozaików najpoczytniejsi: publikum czytające każdy ich utwór chwyta z upragnieniem. NB. największą część téj publiki składają piękne Litwinki. Czy co do naszego młodego wieszcza, taki nacisk księgarski nie wpłynie szkodliwie na jego utwory:—czas pokaże; pośpiech i zaliczenia kontraktowe na utwory niegotowe, trudno aby oddziałały korzystnie. Tomu trzeciego Literatury Syrokomla wcale nie pisze, i Bóg tylko wie, kiedy ta publikacya ukończoną będzie, i czy będzie ukończoną.—Zebrano znaczny zbiór medali nieznanych Raczyńskiemu; zaczynają się tu krzątać nietylko co do ich układu, ale napisania textu, jako dalsze tomy gabinetu Raczyńskiego. Że będzie więcéj jak jeden, to wiadomo, ale czy dwa, lub trzy, dopiéro później doniosę. Księgarnia Rubena Rafałowicza bierze nakład na siebie. Nie dziwię się, że u nas niewielką przywiązują czytelnicy wiarę do ogłasza-

nych prospektów, i nie skorzy do prenumeraty, gdy ciągłe mają zawody. Wapowskiego T. IV napróżno czekamy; Syrokomli dalszych tomów toż samo. Żywoty arcybiskupów gnieźnieńskich także nie skończono. Jakaś fatalność ciąży tu u nas nad prenumeratą; dlatego nie spodziewajcie się poparcia od nas na te dzieła, które wychodzą zeszytami. Pokup ich rozpocznie się dopiero jak wykończone zostaną".

(Wyjątek z listu). „Powoli wy Warszawiacy zapoznajecie się lepiéj z naszą Ukrainą. Michał Grabowski czyli Tarsza, dał już niejeden i bardzo szczęśliwie schwytany artystycznie obrazek ukraiński. Po nim Zenon Fisz, znany pod pseudonymem Tadeusza Padalicy, w powiastkach ze znakomitym talentem kreślonych, ślicznie maluje ten kraj poetyczny. Drukowaliście Zofią Żytkiewiczównę, opowieść pełną wdzięku, kolorytu i prawdy. Znacie zapewne jego powiastkę: Nestor malowany, w której dał tak dosadną postać towarzysza Żeleźniaka. Pisarz to rzeczywistego talentu, i jeden z najzdolniejszych ze stron naszych. Trzeci Marcinkowski, który się podpisuje zawsze A. Nowosielski. Mamy już jego wizerunek litografowany u was w Warszawie, w litografii Flecka. Płaszcz hiszpański zarzucony na ramionach, a w ręku widać autorska ulubiona laska, z ciekawym biuścikiem, ale czyim?— nie wiem: musi być to jednak ciekawa postać. Nowosielskiemu już sama Biblioteka dowiodła, że dobrze pisać po polsku nie umie: ale się teraz poprawia. Napisał on dzieło p. n. Lud Ukraiński. Może myślicie, że to są wdzięczne obrazki Grabowskiego lub Fisza. Przepraszam. Są to lingwistyczne badania języka, zwyczajów i obyczajów mieszkańców Ukrainy dla okazania, że pochodzi z Sanskrytu. Ucieszy się zapewne cień szanownego metrykanta Skorochoda Majewskiego, że znalazł w naszych czasach godnego następcę. Czy nauka i literatura z tych mrzonek Nowosielskiego co skorzysta, bardzo wątpimy: mybyśmy woleli wierne obrazki życia ludu, nie wywody i nakręcenia wyrazów i obyczaju do Sanskrytu. Podpiera się autor ogromną erudycyą, bo masz tu i greckich i łacińskich pisarzy, badaczy niemieckich i. w. i.; Rzecz przypisami rozrosła ogromnie. Lubo zwolennikiem jestem prawdziwéj nauki, zawsze ubolewam nad ludami, co praktycznie nie umieją pracować. Autor tego dzieła jest i wszechstronnym krytykiem; ale o tych krytykach nic nie powiem, bo macie je często w waszych gazetach umieszczane. Michał Grabowski już ukończył całą opowieść o staroście Kaniowskim, z któréj część wielce zajmującą Gazeta Codzienna umieściła w r. b. Pragnąć należy, aby pisarz ten wytrawny i umiejący tak władać piórem, malarz stepu i koliszczyzny, dał nam więcéj ukraińskich obrazków. Wiemy, że Zenon Fisz przygotowywa w tym rodzaju nowe opowieści; czekamy na nie z utęsknieniem, a to uczucie i w was się zapewne obudza, którzy tak miłujecie obrazy krajowe, a skreślone z talentem i prawdą".

— Znany badacz Pamiątek historycznych Warszawy, Alexander Wejnert, wydał „Starożytności Warszawy" Tom IV z ryciną, w starannéj i ozdobnéj edycyi. Tom ten zaczyna nową seryą, i objąć ma trzy tomy w sobie, czyli IV, V, i VI ogólnego zbioru. Autor w przedmowie zapowiada, że pragnie nie ustawać w zamierzonéj pracy; „nie przestanę, (pisze) póki sił stanie dorzucać zasobów, w téj nadziei, że kiedyś rodzinne moje miasto będzie się mogło szczycić dokładnemi dziejami". Życzymy powodzenia autorowi, aby myśl piękną i szlachetną mógł szczęśliwie dokonać.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować. — Warszawa, d. 14 (26) Kwietnia 1856 r. — Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański.*

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomiczném

WARSZAWSKIÉM.

Marzec, 1856.

Marzec 1856. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obse watoryum Astronomiczném Warszawskiém.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad po. ziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 n wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz. wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé-szczu	śnie-gu
1		755.88	757.78	758.49	758.26	+ 0°.4	+ 1°.7	+ 1°.8	+ 0°.4	89.2	noch. mgła	pochmurny	pochmurny	napół pog.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Z.		2.8
2		754.82	753.78	749.42	747.03	+ 0.4	+ 0.0	+ 1.4	+ 1.0	100.0	mgła	mgła	pochmurny	pochmurny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	1.8	
3		746.68	746.59	749.70	753.26	+ 0.6	+ 1.3	— 0.2	— 3.5	90.0	pochmurny	poch. śnieg	pochmurny	pogodny	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.		
4		751.77	752.64	753.03	753.54	— 4.1	— 3.2	— 4.2	— 6.3	81.0	napół pog.	lek. pochm.	pochmurny	napół pog.	Pn.	Pn.	Pn.	Pn.		
5		750.10	747.70	741.55	736.63	— 5.6	— 1.8	+ 0.2	+ 0.0	95.0	pochmurny	śnieg	śnieg	śnieg	PdW.	Pd.	Z.	PdZ.		8.0
6	☾.	735.17	740.43	747.15	751.49	— 0.2	— 9.3	— 9.2	— 14.9	87.7	pochmurny	napół pog.	pogodny	pogodny	Z.	Pn.	PnZ.	PnZ.		4.4
7		752.74	753.34	753.44	755.48	— 16.4	— 7.7	— 6.4	— 9.3	91.7	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	pochmurny	—	Z.	PnZ.	PnZ.		
8		755.54	754.36	749.36	746.58	— 11.7	— 7.4	+ 0.1	— 1.7	95.2	pogodny	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	PdZ.	PdZ.	PdZ.	Z.		
9		749.44	752.80	751.98	747.97	— 0.2	— 0.2	+ 1.5	+ 0.6	85.0	lek. pochm.	pogodny	pogodny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PdZ.	PdZ.		
10		741.96	741.36	743.11	745.95	+ 1.2	+ 1.7	+ 0.6	— 2.6	88.2	pochmurny	poch. desz.	pr. pochm.	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.		
11		743.44	744.70	748.86	752.87	— 2.6	— 1.3	— 1.3	— 7.7	88.5	lek. pochm.	pochmurny	pr. pochm.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		7.2
12		751.20	748.92	743.90	745.62	— 7.5	— 2.5	+ 1.6	— 2.5	86.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PdW.	Pd.	PdZ.	Z.		1.6
13	☽.	753.21	756.98	760.25	763.48	— 2.3	— 2.6	— 0.2	— 2.5	78.5	pochmurny	pr. pogodny	pogodny	lek. pochm.	PnZ.	Pn.	Pn.	Pn.		
14		766.75	768.84	769.66	771.73	— 7.6	— 4.2	— 3.1	— 8.0	78.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	W.	W.	—		
15		771.32	771.05	767.97	767.63	— 11.4	— 5.7	+ 0.6	— 4.4	72.8	pogodny	pogodny	pogodny	lek. pochm.	W.	PdW.	PdW.	—		
16		767.80	769.28	769.60	772.22	— 2.6	— 0.6	+ 0.7	— 5.4	75.0	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	W.	W.	PnW.	—		
17		772.39	772.49	770.76	770.08	— 9.1	— 0.0	+ 1.4	— 1.1	87.7	pogodny	pr. pochm.	pogodny	pog. mgła	W.	PdW.	Pn.	—		
18		768.67	768.63	766.94	766.88	— 3.6	+ 0.1	+ 4.1	— 2.5	88.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PdW.	Pd.		
19		765.34	764.79	761.96	760.90	— 5.2	+ 0.7	+ 4.8	— 1.3	83.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
20		759.39	759.44	756.92	755.74	— 3.9	+ 1.7	+ 6.5	— 0.7	77.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	Pd.	PdW.	PdW.		
21	☉.	755.02	754.79	75[illegible].25	752.34	— 4.4	+ 1.7	+ 8.7	+ 0.8	75.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	PdW.		
22		750.52	749.99	749.04	748.91	— 1.9	+ 6.0	+ 8.6	+ 3.3	82.5	lek. pochm.	smugi	lek. pochm.	deszcz	Pd.	PdZ.	—	Z.		
23		746.76	746.91	746.74	749.78	+ 2.3	+ 3.6	+ 6.5	— 1.1	88.8	mgła gruba	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	—	Z.	—	PnZ.	3.2	
24		750.70	751.34	749.80	749.06	— 1.3	+ 2.6	+ 3.6	+ 0.4	79.2	pogodny	lek. pochm.	pochmurny	napół pog.	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		
25		748.85	748.82	748.63	752.53	— 0.8	+ 0.8	+ 1.6	— 6.5	85.8	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pogodny	Z.	Z.	PnZ.	PnW.		
26		755.11	756.15	755.22	755.06	— 10.2	— 7.6	— 5.2	— 7.8	84.5	pogodny	pogodny	pochmurny	pochmurny	PnW.	PnW.	PnZ.	PnW.		2.8
27		753.62	753.44	752.44	751.82	— 10.5	— 3.3	— 0.4	— 4.2	87.2	pogodny	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	Z.	PnZ.	PnZ.	Pd.		
28		744.65	742.72	740.25	739.70	— 3.3	+ 1.4	+ 4.7	— 0.5	78.3	pochmurny	napół pog.	napół pog.	śnieg	Pd.	Z.	Z.	Z.		
29	☾.	743.60	744.98	748.79	753.34	— 5.2	— 4.2	— 2.8	— 6.7	85.7	śnieg	śnieg	pochmurny	pogodny	PnZ.	PnZ.	PnZ.	Pn.		5.6
30		754.80	755 11	754.58	754.81	— 7.4	— 3.5	+ 1.6	— 1.9	86.8	pogodny	pogodny	napół pog.	pogodny	Z.	Z.	Z.	Z.		
31		754.62	755.30	755.54	756.93	— 0.6	+ 2.7	+ 7.2	+ 3.1	78.7	pochmurny	lek. pochm.	lek. pochm	pochmurny	Z.	Z.	Pn.	PnZ.		
Śre.		753.931	754.369	753.817	754.439	— 4°.34	— 1°.26	+ 1°.12	— 3°.02	85.1									5.0	32.4

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	754.140	27	10.307
Najwyżej barometr dochodził d. 17 o g. 10 r.	772.49	28	6.442
Najniżej — — d. 6 o g. 6 r.	735.17	27	1.898
Średnia zmiana dzienna barometru	5.384		2.386
Największa zmiana dzienna barometru d. 12—13 o g. 10 w.	17.86		7.917
Średnia wysokość barometru jest wyższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	749.017	27	8.036
Średnia temperatura marca wynosi:	— 1°.87 C.	—	1°.49 R.
i ta jest niższa o	2.32 „		1.85 „
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	+ 0.45 „	+	0.36 „
Największe ciepło było d. 21 o g. 4 w.	+ 8.7 „	+	6.96 „
Największe zimno — d. 7 o g. 6 r.	— 16.4 „	—	13.12 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	3.539 „		2.831 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 6—7 o g. 6 r.	16.0 „		12.8 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: + 8°.0 R. d. 22 po połud.
Minimum: —13°.6 „ d. 7 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 85.1, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 4.10 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest przeszło o 0.02 mniejsza od normalnej.

Ilość wody spadłej z deszczu wynosi co do wysokości: 5.0 mil. czyli 2.22 lin. par.; z śniegu 32.4 mil. czyli 14.36 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 37.4 mil. czyli 16.58 lin. par.; ilość ta wody jest o 2.88 lin. par. mniejsza od tej, jaka średnio w marcu spada.

Dni pogodnych było 8, napół pogodnych 8, pochmurnych 15.
— deszczu 5 (d. 2, 8, 10, 22, 23).
— śniegu 15 (d. 1, 3, 4, 5, 6, 8, 10, 11, 12, 25, 26, 27, 28, 29, 30).
— gradu 5 (d. 3, 10, 13, 24, 25).
— mgły 4 (d. 1, 2, 17, 23).
Wichrów było 4 (4 Pn.).
Wiatrów mocnych 18 (6 Pn., 6 Z., 4 PnZ., 2 PnW.).
Wiatr panujący: Zachodni, często były także: Północno-Zachodnie.

Marzec r. b. był pogodny, suchy, zimny, niezbyt w śnieg obfity, blizko o 2 stop. R. zimniejszy niż zwykle. Początek miesiąca, a osobliwie pierwsze trzynaście dni były zimne, śnieżne i niepogodne. następne ośmnaście pogodne i suche. Najcieplejsze dni były: d. 1, 21, 22, 23, 24, 31; najzimniejsze d. 6, 7, 8, 14, 15, 26. Barometr przy wietrze wschodnim bardzo wysoko się utrzymywał, osobliwie w dniach 15, 16 i 17; d. 17 o godz. 10 rano wzniósł się do wysokości 28 cali 6.44 lin. par. tylko o 0.60 lin. par. mniej jak d. 6 marca 1852 r. Pod względem stanu nieba miesiąc ten pogodniejszy był niż zwykle, osobliwie od d. 13 do 21. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych jest jak 4,4:8,7:17,9. W r. b. stosunek tychże dni jest jak 8:8:15. Elektryczność atmosferyczna w dniach 13, 15, 18, 20, 21, była silna.

Biblioteka Sejmu Śląskiego

TEOFRAST,

I NIEKTÓRZY NOWSI BADACZE CHARAKTERÓW.

(Z księgi Szkiców i Fragmentów).

I.

Niewyczerpanym przedmiotem badania jest człowiek; dlatego może poczęści, iż siebie przedewszystkiém kochamy, sobą zajmować się lubimy: głównie przecież dlatego, że łączy w sobie tajemnice świata fizycznego i tajemnice ducha. Właściwie nawet badanie to tak może być różnostronne, na tak odmiennych może poruszać się polach, z tak rozmaitych wychodzić punktów widzenia, iż w jednę umiejętność wszystkiego objąć niepodobna. Można raczéj powiedzieć, iż większą część umiejętności ludzkich składają badania nad człowiekiem, uważanym to jako istota organiczna, to jako istota myśląca, to wiążąca społeczeństwa, nadająca sobie prawa, odbierająca lub tworząca religie, snująca pasmo dziejów, żyjąca wreszcie życiem nietylko indywidualném, rodzinném, społeczném, narodowém, ale jeszcze między-narodowém. Poza obrębem człowieka, w rzędzie umiejętności pozostają tylko: nauki matematyczne, nauka świata fizycznego, mechanika niebieska i Bóg. A może i te wszystkie odrębne poza granicami siebie samego leżące przedmioty odrzuciłby człowiek lub pominął, gdyby Boga nie znajdował naprzód w samym sobie, we własnéj myśli i sercu, świat nie wyzywał go ciągle do walki i pracy, a niebo nie otaczało sklepieniem jego głowy i blaskiem

ciał niebieskich tajemniczych, a wiecznie świecących nad nim i patrzących na niego; nie budziły w nim téj iskry nieśmiertelnéj rozumu, usiłującéj przedrzéć się do tajemnic świata Bożego i nurtować w przepaściach nieskończoności.

Wszystkie więc nitki, cały wątek umiejętności rozpina, rozprowadza człowiek naokoło siebie jak pająk nitki pajęczyny, sam sadowiąc się w środku. Wszystkie wychodzą z jego intuicyi lub rozumu, ale jedne pośrednio, drugie bezpośrednio do niego się odnoszą. Z tych znowu ostatnich jedne zatrudniają się człowiekiem zbiorowo, inne wyjątkowemi i nadzwyczajnemi indywidualnościami: te przeszłością, te teraźniejszością, każda ma odmienną stronę władz, usposobień lub faktów przez niego dokonanych na celu, i każda w oddzielny sposób przyczynia się do poznania człowieka.

Nie wchodzi w zamiar ani zakres naszego pisma, śledzić bieg i zakres tych szczegółowych umiejętności. Założywszy sobie mówić o pismach traktujących charaktery ludzkie, dosyć nam będzie zatrzymać się o ile można najkrócéj nad temi gałęziami literatury, które w jakibądź sposób objaśnienie, przedstawienie lub zbadanie tychże charakterów mają na celu; wskazać różnice dróg, jakiemi idą do celu; oznaczyć w jaki sposób każda z nich wedle natury swojej bierze się do opracowania różnych zjawisk moralnych, poetycznych lub historycznych, jakie w życiu i dziejach spotyka; i wreszcie oznaczyć, jak się właściwie ma gałąź literatury traktująca wyłącznie o charakterach do innych jéj pobratymczych.

Dlatego, że filozofia świat cały fenomenów moralnych i fizycznych obejmuje, niektóremi więc tylko ze swoich składowych części dotyka badania natury sił, skłonności, popędów i władz człowieka.

Zajmuje ją Bóg, świat widomy i związek jednego z drugim; niemniéj jednak wchodzi w naturę praw bytu i myślenia człowieka. Człowiek jest więc jéj przedmiotem, tak dobrze jako indywiduum, jak równie jako istota społeczna. Ale filozofia z natury swéj bierze rzecz tę zbiorowo, bada massę ludzi a nie człowieka; patrzy na przedmiot z tak wyniosłego stanowiska, iż jednostka ze swemi pojedyńczemi różnicami ginie dla niéj: zostaje za przedmiot summa pojedyńczości, wypadek obserwacyj szczegółowych, wynik massy uczuć, myśli, pojęć, sił, skłonności.

Filozofia zwłaszcza moralna niepospolitą może przynieść summę idei do praktycznego użycia społeczeństw; można w niéj znajdować określenia warunków bytu, zasad i praw myślenia i działania w stosunkach ludzi do ludzi i do Boga. Ale ona szuka prawd ogólnych, wiecznych, nigdy nie zmieniających się, trwałych, że tak powiemy nieśmiertelnych, jeżeli o nieśmiertelności może być mowa w odniesieniu się do życia ludzkości i jéj wędrówki po tym padole płaczu.

Jak dla malarza rozległego krajobrazu giną pojedyńcze rośliny pełne niezmiernego zajęcia dla botanika, a zostają tylko massy zieloności, smugi światła i cieni, gra kolorów, ustrój odmienny liści drzew, siła wegetacyi i ogólny wyraz i harmonia całości; tak dla filozofa-moralisty giną wszystkie różnice sił, uczuć, popędów serca, walk namiętności, zgoła wszystkie pojedyńcze fenomena: zostaje cyfra ogólna prawd, odnosić się mających do wszystkich ludzi, czasów i wieków.

Historya jest umiejętnością, która więcéj z człowiekiem czynnym i działającym, z objawami jego serca, rozumu i woli, jak z teoryami, prawdami i zasadami ogólnemi ma do czynienia. Wypadki i zdarzenia kreśli, do przyczyn je odnosi, skutki ich rozwija: nić swoję przędzie z rzeczywistości. Nie masz w niéj nic wiekuistego i niezmiennego, chyba górująca nad wszystkiemi wypadkami świata myśl i wola, która je wszystkie ogarnia i niewidomie w nich panuje. Prawdy szczególne odnoszące się do miejsca i czasu piérwsze w niéj zajmują miejsce. Nie ludzkość, ale narody w niéj występują; a z pomiędzy tych tylko jednostki górujące, mające ważny wpływ na losy ich, kulturę, wielkość, upadek i odrodzenie: głównie i wyłącznie prawie, prawodawcy, mężowie stanu, wojownicy. I tu więc niknie jednostka w znaczeniu moralném, wychodzi odznaczająca indywidualność w znaczeniu politycznem.

Pomimo tego historya jest jedném z najważniejszych źródeł znajomości serca i umysłu ludzkiego. Studyując człowieka w uroczystych chwilach życia i działania publicznego, odkrywa najciekawsze tajniki moralne: wskazuje sprężyny działań, pobudki; przedstawia skutki cnót i występków, stosunek zasad i wyobrażeń do wypadków dziejowych i losów państw; znaczenie pojedynczych ludzi łączy z katastrofami politycznemi. Biorąc tylko przeważne, odróżniające się wpływem i znaczeniem indywidualności, przedstawia niejako człowieka w próbkach

najwybitniejszych. W dziejach wychodzą na wierzch albo ludzie mający najczynniejszego ducha, albo najmocniejszą wolę, albo największy popęd inicyatywy, albo rozległe dary umysłu, albo na wysokiém stanowisku przeważne namiętności i wielką ambicyą. Poznaje się więc w historyi świat czynnéj i działającéj ludzkości i to w chwilach zastosowania tego działania, téj czynności do najważniejszych faktów życia narodów.

Jestto wiele, ale to nie wyczerpuje przedmiotu. Człowiek publiczny jest jednostką wśród wielu innych; życie publiczne cząstką niekiedy żywota, cząstką nieraz tak małą, że zaledwie ustęp jeden w długim jego zakresie stanowi. Nieraz mąż znakomity zkądinąd albo nie znajduje miejsca dla siebie, albo usuwa się prędko od życiu publicznego, albo późno bardzo i to na chwilę wychodzi na widownię polityczną. A przecież rozum jego rozwijał się ciągle, dojrzewał, działał, życie jego płynęło z korzyścią lub szkodą dla rodziny lub społeczeństwa, serce wrzało namiętnościami, kochał, spodziewał się, pragnął, doznawał zawodów, wierzył, wątpił, upadał, podnosił się.

To, co historyk z życia wielkich mężów usuwa jako nie swoje, lub w cieniu tylko stawia: to bierze i na pożytek swój obraca biograf. Przecież na tém się nie ogranicza: bierze całość żywota. Od młodości idzie krok w krok za rozwijającym się umysłem i sercem; patrzy na wychowanie, przykłady, świat otaczający młodzieńca; daléj na życie czynne męża, zasady, wiarę i przekonania; ukształcenie się tego, co jest summą wszystkich władz, uczuć i zdolności, tojest: charakteru; na związek wreszcie z światem otaczającym i wpływ na teraźniejszość i przyszłość. Biograf więc uzupełnia historyą śledząc i zapisując każdy krok życia takich ludzi, którzy z nią w jakibądź sposób są w stosunku. Objaśnia ją wykrywając tajniki charakterów, skryte sprężyny wypadków dziejowych.

Ale biograf jest zarazem filozofem-moralistą. Wgląda w głąb' ducha ludzkiego, śledzi zarody cnót i występków, przyczyny upadku i wzniesienia, wpływ wieku, obyczajów, wychowania; stawia wielkość geniuszu obok wartości moralnéj, i naznacza podług tego miejsce pomiędzy rzeczywiście wielkiemi lub fenomenalnemi istotami. Dlatego Plutarch jest nietylko nauczycielem młodzieńca i towarzyszem jego nieodstępnym, ale jeszcze doradzcą męża stanu, wojownika, żywą krynicą dla

poety i niewyczerpaną kopalnią dla mędrca, śledzącego tajniki myśli i serca ludzkiego.

Biografie są jeszcze ważnym materyałem do historyi umiejętności pojedynczych, odkryć, a mianowicie do historyi obyczajów i ich przekształceń, do oznaczenia ściślejszego charakteru i wyrazu pewnych epok i okresów w dziejach narodów i ludzkości. Obyczaje i charakter epoki wpływają na tworzenie się takich lub innych ludzi; nawzajem ludzie wyżsi kierują nieraz, lub przynajmniéj wpływ pewny na kierunek wyobrażeń i obyczajów wywierają. Myślący biograf obu tych stosunków pomijać nie może, a uchwyciwszy je ubogaca i objaśnia wewnętrzną historyą społeczeństwa, niknącą w wielkim obrazie wypadków ogólnych historycznych, a niemniéj przeto ważną dla dostrzegacza całego ruchu przeobrażeń społecznych.

W ostatnich czasach zjawili się filozofowie, którzy usiłowali większą jeszcze (jeżeli można) jak dotąd nadać ważność żywotom wielkich figur historycznych, przypisując im wpływ przeważny i stanowczy na bieg ludzkości i narodów. Nie byłoby się co sprzeciwiać temu kierunkowi, gdyby ten tylko miał skutek, iżby tych mężów wybranych i górujących nad pewnemi epokami dzieje i żywoty, uległy pilniejszemu jak dotąd rozważaniu i baczności. Jako przedstawiciele myśli i dążeń pewnych epok narodowych lub ludzkości, w najwyższym stopniu pociągają oni za sobą uwagę myślącego człowieka; ale z drugiéj strony zbyteczna rozciągłość dana téj myśli i zbyt rozległe jéj zastosowanie, byłoby nieraz sfałszowaniem, nieraz istotném zubożeniem historyi. Często wielkie intelligencye wyprzedzały swój wiek lub stały z nim w sprzeczności i wojnie; nieraz niepoznane i prześladowane ginęły marnie i nieszczęśliwie. Oprócz tego nie wszystko daje się objaśnić, wytłumaczyć, pojąć wpływem i działaniem geniuszu tych wybranych luminarzy ludzkości: bo też rzeczywiście nie oni sami są jéj kierownikami. Powiedziano słusznie, że jest ktoś, co ma więcéj rozumu jak najrozumniejszy z ludzi: ten ktoś, to są wszyscy. Otóż ten ktoś kieruje, popycha nieraz, pociąga za sobą nawet najpotężniejsze umysły. Dojrzewają one, wychowują się pod wpływem ducha czasu, wprzód nim same na niego działać poczną. Nie koniec na tém: ludzie mniejszych rozmiarów, podrzędni, niegrający ważnéj roli, częstokroć nieznani i znikli w zapomnieniu lub zmroku przeszłości, dają popęd, stwarzają pomysły, lub wskazują drogi, ma-

jące prowadzić do nowéj przyszłości. Małożto takich wielkich nieznajomych w dziejach kultury, wynalazków i umysłu ludzkiego! Przypadek, albo raczéj niewidoma a przeważna ręka Opatrzności, działa nieraz tak dziwnie, że zdaje się jakoby ludzie byli tylko prostemi narzędziami, prostemi aktorami dramatu, którego treść i słowa podyktowane są z wysoka.

Właściwiéj więc podobno, aby w filozoficznych poglądach na narody, zbyt szerokiego miejsca nie dawać pewnym wybranym indywidualnościom; tém więcéj, że kierowanym będąc to skłonnością, to duchem stronnictwa, to obłędem mimowolnym, łatwo tym sposobem podnosić nazbyt wysoko jednych, a omijać z krzywdą prawdy drugich, i jak powiedzieliśmy, błąkać umysły i ścieśniać pole historyczne, Właściwiéj zostawić, aby historya zachowała swoję dawną swobodę, niepodległość i szerokość koryta, i nie rozdzieliła się na łachy i ustępy psujące żeglugę. Właściwiéj, aby biografia została tém, czém była w literaturze: była ona dotąd gałęzią pomocniczą dla historyka i dopełnieniem historyi, ważnym materyałem dla moralisty, krynicą nieoszacowaną dla poety, szkołą dla młodzieńca. Piękneto i ważne stanowisko: szkodaby jéj tego utracić. Wedle teoryi filozoficznéj, o któréj mówiliśmy, miałaby być kluczem dziejów, punktem wyjścia w ich rozpatrywaniu, normą do mierzenia kroków ludzkości: na téj wysokości zaś utrzymaćby się nie potrafiła, i stracićby jeszcze mogła w téj przemianie dotychczasowe swe znaczenie.

Jakikolwiek jednak kierunek i rozmiary weźmie gałąź literatury biograficznéj, sądzimy, iż nie przestanie być najwyborniejszém studyum charakterów, zwłaszcza przy pomocy autobiografij, korrespondencyj prywatnych i pamiętników.

To wprowadza nas na nowe pole literatury, prawie nieznanéj u starożytnych, a nader ważnéj i rozległych rozmiarów w ostatnich czasach. Niepotrzeba szperać po obcych literaturach, dosyć jest spojrzéć na naszę własną, aby dostrzedz, jakie ważne stanowisko zajmują pamiętniki, jakie ważne przysługi oddają historyi obyczajów, dla których są bezwątpienia najbogatszém i najczystszém źródłem. Wszystkie księgi historyczne i cała piękna literatura jednéj epoki, nie zdołają nam tego światła na obyczaje swojego czasu rzucić, jakie rzucają na swój czas Pamiętniki Paska lub Kitowicza. Tém więcéj żałować nam przychodzi, że w téj gałęzi literatura nasza jest stosunkowo ubogą.

Pamiętniki w ogólności dlatego lepiéj malują czasy i obyczaje, aniżeli utwory artystyczno-literackie, iż biorą ludzi, rzeczy, wypadki jak były rzeczywiście; kiedy pisarz z wyobraźni i w widokach sztuki piszący, stwarza świat sztuczny, idealny, zapełnia go nieraz istotami konwencyonalnemi lub zkądinąd pożyczonemi i naśladowanemi: może zmyślać uczucia, przenosić je z innych czasów i obyczajów, fałszować pojęcia i myśli swojéj epoki dla efektu, oryginalności, lub innych jakich widoków. Rzadkie, wielkie tylko talenta biorą wszystko z natury; ale natomiast tyle w to kładą z własnego łona i z własnéj myśli, tak ubierają potęgą swojéj wyobraźni, iż rzeczywistość staje się ideałem. Bez wątpienia jest to zasługą. Sztuka, wyobraźnia, serce, uczucie, rozum nawet, nie mają przeciwko temu nic do powiedzenia; nawet pod tym warunkiem tylko literatura piękna może istnieć. Są potrzeby jednak i wymagania, którym ten sposób kreślenia ludzi i społeczeństwa zadosyć nie czyni. Filozof, historyk, moralista, chce czystéj prawdy, obrazu wiernego czasu i epoki, nawet ze wszystkiemi drobnostkami, szczegółami oddającemi żywo wszystkie drgnięcia umysłowe i obyczajowe. Chce widzieć ludzi jakimi byli, z ich śmiesznościami, ułomnościami, domowemi cnotami, zmiennościami myśli i uczuć, wybrykami dowcipu. Chce mieć przed oczami cały bieg coraz zmieniający się i zaledwie dający się pochwycić zwyczajów, form towarzyskich, stroju nawet, jako ich objawu zewnętrznego. To dają nam pamiętniki, i dlatego życzyćby można, aby ich więcéj bywało. Ale życzenie nasze odnosi się tylko do pamiętników pisanych z miłością prawdy, darem obserwacyi, bez celów efektu pisarskiego lub spekulacyi (1). Zdaje nam się, że większe rękojmie przedstawiają te, które nie są przeznaczone do ogłoszenia za życia. Wprawdzie i do tych zakrada się nieraz namiętność, błąd, jednostronność; ale jakież dzieło ludzkie bez błędów? Prawdę wydobywa się zawsze konfrontując różnego rodzaju świadectwa. Zresztą w tych rzeczach, które nie dotyczą piszącego osobiście, których jest widzem a nie działaczem, łatwo zachować bezstronność i utrzymać się w granicach umiarkowania. Niekoniecznie więc ludzie ważną rolę odgrywający, mogą ciekawe pamiętniki przekazywać potomności; tacy mogą

(1) Że takie Pamiętniki jak Warrena i Soplicy należą do zupełnie odmiennéj kategoryi dzieł sztuki, o tem zapewne dosyć napomknąć.

raczéj ważne objaśnienia dać dla historyi właściwéj. Ale aby wierny i szczegółowy obraz ludzi, obyczajów i społeczności skreślić, nietrzeba koniecznie być w ognisku wielkich wypadków: owszem lepiéj w pewnéj odległości, w położeniu niezawisłém, tylko mieć od Boga umiejętność patrzenia, choćby bez wielkich zalet pisarskich.

Nie masz ścisłéj i stale oznaczonéj granicy pomiędzy utworami ducha ludzkiego; jedne z drugimi spływają się i łączą: jakaś barwa tajemnicza jednoczy je, tak jak w obrazie powietrze oblewające przedmioty. Powiedziano słusznie, że wielki filozof musi mieć ducha poetycznego, a wielki poeta być głębokim filozofem: jestto niewątpliwie prawdą, chociaż te dwie gałęzie literatury są jakby przeciwieństwem jedna drugiéj. Cóż dopiéro mówić o innych utworach, które są jakby pośredniczącemi i tylko mniéj lub więcéj odnoszą się do jednego lub drugiego z oddziałów głównych, na jakie dzielą też utwory ducha ludzkiego, tojest do dzieł rozumu lub dzieł wyobraźni. Pomimo tego tajemniczego połączenia duchowego, są pewnecechy charakterystyczne, które tu chcieliśmy w krótkości ująć i oznaczyć z jednego tylko stanowiska, tojest ze stanowiska stosunku, jaki ma każda z pojedyńczych gałęzi literatury do znajomości ludzi, zgłębienia, określenia, obrazowania i nacechowania charakterów.

Mówiliśmy o stosunku filozofii, historyi, o biografiach, pamiętnikach: pominęliśmy listy, bo każdemu dostatecznie wiadomo, że jak pod pewnemi względami są one wybornem zwierciadłem ludzi i dopełnieniem znajomości ich serca i umysłu; tak znowu to, co piszący w najpoufniejszéj korrespondencyi wyjawia, nie może być dostatecznem do poznania, zgłębienia i osądzenia jego charakteru.

Przechodzimy do dramatu.

Nie będziemy tu rozszerzać się ani nad stanowiskiem, jakie zajmuje w literaturze, ani nad jego ważnością, ani nad warunkami jego doskonałości i piękności, bo to nie kurs literatury; ani będziem ubolewać nad ubóstwem jego w naszéj literaturze, choćby to było słusznie: należy nam tylko oznaczyć właściwość jego w przedstawianiu i studyowaniu charakterów. Pod tym względem dramat odrębne zajmuje stanowisko: bierze człowieka w jednéj z ważnych, stanowczych chwil jego życia i stawia go spełniającego czyn, mający wysokie, historyczne lub moralne znaczenie. Aby człowiek wzbudzał za-

jęcie musi być albo postacią historyczną, albo typem, uosobieniem idei, czasu, epoki. Tak samo wypadek będący przedmiotem dramatu, musi być albo dziejowy, albo, jak powiedzieliśmy, musi mieć wysokie moralne znaczenie. Czyn sam, walka wolnéj woli z namiętnościami, losem, ludźmi, rozwijają się widomie i dopełniają przed oczami widza. Pobudki czynów, głębie myśli i serca osób działających przedstawiają się w słowach, które w ich usta kładzie poeta. Nic się nie określa, nie opisuje. Dla analizy ludzi nie masz tu miejsca. Myśli zbiorowe, ogólne, spostrzeżenia nad wielą indywidualnościami dopełnione, niejako treścią doświadczenia i znajomości ludzi i świata będące, jakkolwiek nieodzowne, szczupłe tu znajdują zastosowanie. Dramat musi działać, nie rozumować. Wszystko w nim odnosić się musi do miejsca, czasu i położenia. Nic nie może odrywać uwagi i myśli widza, przenosić go w krainę abstrakcyi. Postaci jak ze spiżu jednym rzutem odlane to tylko mogą mówić, co do wypadku toczącego się ściśle się odnosi. A lubo treść charakteru człowieka w ważnéj chwili i w wielkiém zdarzeniu wychodzi w całości na jaw, to przecież są rysy i odcienia, które tylko rozważaniem całości życia pochwycić się dadzą.

Z tego widzimy, że dramat jakkolwiek na głębokich studyach ludzi i charakterów oparty, musi się z natury swéj ograniczać na wielkich poetycznych postaciach, do których łączą się ważne lub zajmujące pod moralnym albo historycznym względem zdarzenia, albo na postaciach typowych, wyobrażających idee, namiętności, przesądy, cnoty lub występki, cechy zbiorowe epoki, narodu, kast. Widzimy daléj, że poeta dramatyczny tylko niektóre strony charakteru osób wprowadzonych może odbijać w zwierciedle swém poetyczném: tojest te, które do danéj chwili, miejsca i akcyi są potrzebne, objaśniają ją, podnoszą, uwydatniają. Widzimy jeszcze, że w dramacie to tylko może mieć miejsce, co ma najwznioślejsze poetyczne piętno na sobie. Żałowaćby można dramaturga, któryby się poświęcił mikroskopowéj analizie charakterów: odbiegłby od swego powołania, opuścił cały wpływ dramatyczny. Zanurzone w medytacyi audytoryum, nie przejęłoby się drżeniem namiętności, trwogą i nadzieją, nie uniosło ogniem myśli i uczuć poety w świat nadziemski zachwycenia estetycznego. Pozostałoby na ziemi zadumane, może głęboko, może użytecznie, ale zimne i obojętne dla dramatu.

Dramat jest jedną z najwyższych, jeżeli nie najwyższą formą poetyczną. Wszystko w nim się zbiega, co poezya ma najszczytniejszego, najbardziéj poruszającego i wstrząsającego wszystkie sprężyny i działacze naszego ducha. To też tylko w nim miejsce dla tych wybranych rzadkich postaci, które pojawiają się niekiedy, równie rzadko jak wielkie czyny, wielkie idee, wielkie katastrofy. Są to szczupłe szranki tylko dla pewnych indywidualności, szczególném piętnem wielkości i poezyi oznaczonych od Boga pomiędzy wszystkiemi. Postaci tragiczne są to postaci wyjątkowe, przerastające innych głową, a oprócz tego otoczone tą aureolą wyłączną, aureolą tragiczności. Można wprowadzić do dramatu każdą postać dziejową, wydatną, z którą wiąże się jaki ważny wypadek, około któréj gromadzą się ludzie z wyłącznym obyczajem i sposobem myślenia, w któréj odbijają się czasy, z ich charakterem odrębnym. Przecież to nie są jeszcze zawsze postaci tragiczne. Liczba takich jest ograniczona. Są to, jak powiedzieliśmy, istoty wyjątkowe, palcem bożym naznaczone na to, aby służyły za jakąś wielką przestrogę, przykład, naukę; za kamień probierczy dla serca i rozumu przyszłych pokoleń; za światło świecące w ciemności; za źródło wiekuiste wzruszeń, łez, lub natchnień wielkich i bohaterskich. Jestto prawie przywilejem geniuszu odkryć lub stworzyć postać prawdziwie tragiczną, i nadać jéj w dramacie życie, i ten urok poetyczny, i tę siłę wstrząsającą, bez których-to warunków nie masz rzeczywistego dramatu. Mierni dramaturgowie odświeżają stare figury tragiczne, lub tworząc nowe, tworzą je pozbawione wielu lub wszystkich warunków tragiczności.

W postaciach i figurach przecież drugiego rzędu mógłby poeta dramatyczny składać zapas swoich znajomości serca ludzkiego i różnic charakterów zwyczajnych, codziennych, nie wyjątkowych, nie nadzwykłych, gdyby w saméj drugorzędności tych postaci nie leżała ku temu przeszkoda: bo właśnie dlatego, że nie są głównie działającemi, charaktery te nie mogą być dostatecznie widziane, nie mogą miéć zupełnéj wydatności. Są one w półcieniu, albo może są jakby tłem, na którém tém wydatniéj jaśnieje osoba główna, im więcéj sztucznem stopniowaniem barw i światła, rozjaśnią się główne punkta obrazu a przyćmią inne.

I dla tych przecież postaci, które oznaczyliśmy nazwą drugorzędnych w dramacie, kapitalnym warunkiem jest wdzięk

i urok poetyczny. Nie może wejść do dramatu żadna wybitniejsza postać, którejby tego warunku zabrakło. Wielcy poeci posiadają wprawdzie tejemnicę zamieniać, wszystko, czego się dotkną w złoto poezyi; ale może ta tajemnica leży w tém, iż nie dotykają się niczego, coby się nie dało w złoto poezyi zamienić. To przecież pewna że są postaci, charaktery i strony charakterów, które nie pojmujem iżby można kunsztownym blaskiem poezyi rozjaśnić, i skorupę prozaicznéj powłoki ziemskiéj z nich zedrzéć: i tu więc zakres poety dramatycznego ścieśniony jest warunkami sztuki.

Dramat oprócz tego że jest dziedziną najwyższych i najpoetyczniejszych, a więc wyjątkowych charakterów i indywidualności, jest jeszcze odbiciem poetyczném społeczeństwa, narodu, wiary, przekonań, wyobrażeń i zasad. Jestto tryumf kunsztu, że może ująć rozmaitość nieskończoną życia w jednę ścisłą, piękną, pełną myśli i poezyi chwilę; w małéj liczbie słów i w jedném wybitném zdarzeniu, oznaczyć pobudki działania i ukazać wydatne rysy epoki w najpoetyczniejszych formach. To też kunszt dramatyczny po wszystkie wieki, stał nieledwie w piérwszym rzędzie sztuki. Ale, jak powiedzieliśmy, jestto zawsze odbicie tylko najpoetyczniejszych, najwznioślejszych, najwięcéj bohaterskich postaci lub chwil życia narodów.

W ostatnich czasach zstąpił dramat z téj wysokości na jakiéj stawiano go dawniéj, i na jakiéj my go stawiamy; bierze za przedmiot życie codzienne, domowe i ludzi codziennych, wlewając w nich tylko namiętności tragiczne i stawiając ich w położeniach tragicznych. Lubo więc granice jego rozszerzyły się i wstęp dla charakterów więcéj ziemskich ułatwił; gdy jednak warunki tragiczności i poetyczności pozostały te same, wstęp do niego dla większéj nieco, zawsze jednak dla małéj liczby indywidualności jest otwarty.

Komedya ma swobodniejsze pole badania tajników i skrytości charakterów i serc: więcéj też może wymaga znajomości jednych i drugich. Zrobiono przynajmniéj spostrzeżenie, że najlepsze komedye napisane były przez pisarzy już w wieku dojrzałym będących, a mianowicie pomiędzy 40stym a 50tym rokiem ich życia. Ale jak postaci tragicznych, tak sytuacyi i figur komicznych liczba jest ograniczona przez sam warunek komiczności: komedya bowiem nie jest to wcale satyra w działaniu. Wielu już pisarzy dramatycznych upadło przez to, iż nie pojęli, jak od-

mienne są warunki jednéj i drugiéj. Warunkiem *sine quo non* komedyi jest komiczność, w całą akcyą przed oczami widza roztaczającą się wpleciona i ściśle z nią związana. Satyra może być surową, cierpką, gorzką; komedya musi być wesołą. Satyra może być dowcipną; komedya musi być dowcipną. Satyra więc wszystkiego może dotknąć, a komedya tych tylko i takie położenia, które przedstawiają stronę komiczną.

Ze wszystkich form poetycznych najswobodniejsza jest forma powieści: właściwie jest ona zlaniem wszystkich innych. Dramat, komedya, dydaktyzm, liryzm, wszystko się w niéj łączy lub przynajmniéj może łączyć do pewnego stopnia, z tym dodatkiem, że jak najobszerniejsze zostaje tu pole dla poezyi opisowej. Można powiedzieć, iż powieść dzisiejsza jest eklektyzmem poetycznym. Idylla i satyra, kronika i podania gminu spotykają się obok siebie w téj formie poezyi elastycznéj i swobodnéj, a niekiedy zdolna jest przybrać styl i polot epopei.

Taż sama nieograniczona wolność w treści, co i formie. Niczém tu nie jest związany poeta. Widzieliśmy z kolei historyą, archeologią, grammatykę, abstrakcyjne pomysły filozoficzne, eteryczną fantastyczność, medycynę, prawnictwo, zjawiska jasnowidzenia obok burz namiętności ludzkiego serca, obok spokojnego obrazu obyczajów i różnych sfer społeczeństwa, stanowiące grunt i treść główną powieści. Przemysł i organizacyą pracy, utopie polityczne, w które nasze czasy tak są bogate, i wszystkie kipiące i tlejące zadania czasowe wprowadziła w zakres swojego czarodziejskiego koła. W niéj, jak w zwierciedle magicznem, pokazuje poeta wszystko i wszystkiego tyle ile chce i ile mu potrzeba, oświecając sztucznem światłem do swojego wyboru. Ztąd korzyści, równie jak nadużycia i zbłąkania téj formy.

Nie masz wątpliwości, że żadna może nie odpowiada, nie dogadza więcéj potrzebom i żądaniom dzisiejszych społeczności. Potrzeba czytania rozszerzyła się, wzrosła, w takich nawet pokładach towarzyskich, dla których dawniéj książka była zupełnie obcą. Potrzeba czytania raz obudzona goni za coraz nowym pokarmem, i powieść zaspokaja najłatwiéj tę potrzebę i zarazem pobudza ją, wprowadzając coraz nowy świat zjawisk i zadań to naukowych, to socyalnych, to obyczajowych; utrzymuje w napięciu, cuci, otwiera umysły dla kwestyj, któreby na innéj drodze,

głowom, żadnego z niemi zetknięcia niemającym, nie zdołały się nastręczyć.

Oprócz tego trafną zrobiono uwagę, że życie nowoczesnych jest więcéj rodzinném, domowém, przez to wymaga rozrywek i zajęć, jakich dawniéj nie uczuwano potrzeby. Człowiek zamknięty, odosobniony w swojém kółku rodzinném, w ciasnym zakresie obowiązków i uciech żywota domowego, nie zrzeka się dlatego współczucia i zajęcia dla reszty świata; owszem, im mniéj osobą swą może należeć i wpływać do życia zbiorowego towarzyskiego, tém chętniéj myślą się do niego przenosi: chce tą lub ową drogą zjednoczyć się z tym ruchem, biegiem, życiem myśli, wypadków, pojęć, uczuć, do których współudziału czuje się od Boga powołanym. Spaja ten łańcuch związków społecznych myślą, słowem, przez posłannictwo poety przesłaném, któreto w innych formach społeczności, z powodu czynnego wmieszania się do ruchu towarzyskiego, mniéj było pożądaném.

Ciekawość wrodzona porywa nas jeszcze do poznania skrytości, tajemnic, zakątków, miejsc zacienionych i odsuniętych wśród społeczeństw porozdzielanych na kasty, wyznania, narodowości, stronnictwa, niemające często ze sobą związku i stosunku, odmienne sposobem życia i obyczajami, rozdzielone nienawiścią. Otóż powieść zaspakaja tę ciekawość, przenosi nas we wszystkie miejsca, czasy, sfery, zaułki społeczne, w jeden zajmujący obraz łączy wszystko, co granice prawa, obyczaje lub przesądy rozłączyły; wszędzie wyszukuje człowieka, ściga jego słabości i ułomności, podnosi cnoty, a jeżeli nawet unika roli pedagoga i moralisty, to jeszcze bawi, zagrzewa i podnosi ducha żywością farb, umiejętnym rysunkiem i samém żywém przedstawieniem wszystkiego co piękne i wzniosłe w obrazie życia ludzkiego.

Niemałato rozkosz dla człowieka zamkniętego wśród czterech ścian, przed gorejącém ogniskiem kominka, w ciszy domowéj, widzieć przed sobą roztaczający się, jakby przez zaklęcie, wielki i nieskończony dramat żywota we wszystkich jego różnicach, odcieniach, wielkie i małe, śmieszne i tragiczne: serce młodéj dziewczyny, uczucia biednéj sieroty, marzenia poety i wątek myśli bohatera, bogate opisy natury i wywołane z grobu obrazy przeszłości; niemałato mówię rozkosz, widzieć ten

fantastyczny dramat, toczący się przed naszą myślą, pod zaklęciem słowa poety.

Proza poetyczna powieści tak trywialna, tak nadęta pod piórem miernego pisarza, ma niekiedy pod piórem prawdziwego talentu taką lekką swobodę ruchu, taki wdzięk prostoty, taką płynność, potoczystość i zapał, iż nowego powabu dodaje tego rodzaju utworom. Dla społeczeństw mianowicie lubiących krzesła dobrze wyścielane, odzienia obszerne i wiszące, pojazdy na elastycznych resorach; dla społeczeństw, które pokochały komfort i odrzuciły wszystkie formy niewygodne, wszystko co je uciskało i gniotło, zacząwszy od przepisów klassyczności aż do ścisłych form surowości religijnéj, które w salonach leżą a w tańcu chodzą; ta miękka, giętka, łatwa, poddająca się na wszystkie strony, mogąca swobodnie nurzać się w marzeniu i abstrakcyi lub przybierać tok codziennéj rozmowy: taka mówimy proza poetyczna jest jakby uprzywilejowaną, jakby konieczną formą w literaturze.

Powieść więc w nowszych czasach stała się rzeczywistą potęgą w piśmiennictwie. Nie bez trafności jeden znakomity krytyk postawił ją jako pokarm duchowy na jednéj linii z kartoflami, uważanemi jako pokarm ciała. Porównanie to może daléj zachodzi jak przypuszczał ten, który je piérwszy zrobił. Powieści i kartofle prawie jednocześnie upowszechniły się, rozpostarły, stały potrzebą ogólną i ulubioném pożywieniem. Jedne i drugie na różne cele i pożytki obrócono, złe i dobre. Jedne i drugie mają własności pobudzające. Przy większéj objętości, mniejszą ilość części pożywnych zawierają jak inne rodzaje pokarmów. Jako wyłączne pożywienie użyte wydają pokolenia rachityczne, niezdrowe, pozbawione siły i krzepkości; a jak rozdział o literaturze szalonéj w pismach Mich. Grab. przekonywa, ulegają powieści chorobom, podobnie jak kartofle. Nie chcemy daléj posuwać tego porównania, powtarzamy przecież, że powieść stała się rzeczywistą potęgą w literaturze obecnéj. Naprózno niektórzy poważni krytycy jak Villemain i Menzel patrzyli na nią z góry i zaledwie wdawać się z nią chcieli; naprózno inni zarzucali jéj wodnistość; inni upominali o skłonności do sofizmatu, o lekkomyślność z jaką potrząsa najpoważniejszemi i najgłębszemi zadaniami, o gonienie za efektem. Naprózno mówię: ta gałąź nowoczesnéj literatury odpowiadała na zarzuty utworami pełnemi prawdy, życia i obrazami tak ponętnemi, ma-

lowniczemi, porywającemi obyczajów, taką znajomością serca ludzkiego i charakterów, że krytyce nic nie pozostało i nie pozostaje jak czuwać nad tym nowym prądem, a porzucić wszelkie pokusy, aby go wstrzymać.

Przez swój mianowicie stosunek do obyczajów, związek z nimi, wpływ jaki na nie wywierać może, powieść nowsza zyskała prawdziwe socyalne znacznie, nietylko literackie. Z nich snuje się: one jéj służą za wątek i osnowę. Ruchoma, ciekawa, wszędzie wglądająca, giętka jak żadna inna gałąź literatury, swobodna w swoich ruchach jak żadna inna forma, szeroko rozlana i ostatnich kończyn towarzystwa sięgająca, do każdego najniższego pojęcia przystając, ma najwięcéj łatwości rozprowadzenia pojęć pewnych i wyobrażeń, zniżenia innych do pojęcia wszystkich, wzruszania serc dla uczciwych i zacnych uczuć, obudzania sympatyi, poruszania sprężyn moralnych nieczynnych lub zardzewiałych, podnoszenia szlachetnych dążeń, jeżeli tylko szlachetne umysły nią się zajmują.

Co się tyczy związku powieści z charakterami ludzi i sposobu w jaki je maluje, nad tém jeszcze na chwilę zatrzymać się musimy, bo pod tym względem głównie powieść nas obchodzi tutaj: wszystko powiedziane o niéj dotąd, powiedziane było nawiasem.

Ludźmi przedewszystkiém zajmuje się powieść, bo obyczaje są jéj czołowém zadaniem, chociaż świat cały z jego cudami, dzieje, umiejętności, tajemniczą i poza-rozumową nawet sferę zjawisk, wprowadza niekiedy w swój zakres. Stwarzając i odtwarzając postaci wszystkich kast, warstw społecznych, narodowości, wieków, nastrojów duchowych, wprowadza nieskończoną ilość ludzi. Wszystko maluje co żyje, i co da się poruszyć życiem sztuki. W istocie powieść nowoczesna jest kopalnią niewyczerpaną charakterów. Ale bogactwo téj kopalni, bogactwo żył jéj kruszcowych, rozrzucone w nieskończonéj ilości warstw i pokładów innéj natury, przeznaczenia i pierwiastku. W tém leży niedogodność, Ktoby chciał za pośrednictwem powieści zapoznać się z ludźmi, tajemnicami ich serc i ciemnemi zaułkami ich charakterów, mógłżeby się odważyć kopać przez warstwy grube opisów natury, miejsc, zdarzeń przypadkowych, intryg, okoliczności pobocznych, dla zajęcia i wrażenia obmyślanych, aby się dokopać do żyły potrzebnego mu metalu? Mógłżeby odważyć pchać się przez różne

języki, wieki, narodowości, stosunki, których szczegółowemu badaniu powieść jest poświęcona, dla zdobycia tego, co część tylko jéj bogactwa stanowi? Prawda, że poszukiwania nierazby się wypłaciły szczerém zajęciem, wzruszającemi wrażeniami, nieraz może zbogaceniem umysłu i podniesieniem ducha. Zawsze owoc pracy nie byłby w stosunku do jéj ogromu, a zwłaszcza szukający nie szedłby najbliższą drogą do celu, który sobie założył. Oprócz tego zapominać nie możemy, że powieść jest gałęzią poezyi. Jako poezya ma swoje odrębne prawa, pogląd na świat, sferę działania i warunki tworzenia. Rzeczywistość wychodzi z niéj w postaci ideału; toż samo dzieje się z charakterami ludzi. Są powieściopisarze, którzy kreślą typy i charaktery ludzi, takie, jakiemi są rzeczywiście; ale są tacy, którzy tworzą ich takimi, jakiemi być powinni lub jakiemiby ich miéć chcieli; są i tacy, co tworzą ludzi jakich nigdy nie bywa i nie bywało. Jest więc w poetycznym obrazie odtworzonym w powieści mieszanina rzeczywistości i ideału, prawdy i złudzenia, światła słonecznego i ognia bengalskiego; mieszanina, którą nie każde oko rozróżnić potrafi, a która niejednego uwiedzie i zbłąka.

Otóżto są niedostateczności (ale niedostateczności z naszego obecnie przyjętego stanowiska uważane) w nauce charakterów, za pośrednictwem powieści. Z innego punktu patrząc, kreślenie idealne charakterów ma wielki poetyczny urok i ważny cel moralny. Dobrze jest przecież i pożytecznie popatrzéć czasem na ludzi wprost, dla zbadania ich jakimi są w istocie i dla oświecenia się w trudnéj sztuce życia. Dobrze też jest iść do tego celu drogą najkrótszą, opuszczając chodniki kwiatowe, cieniste, przez które prowadzi nas poezya; z zimną rozwagą zajrzéć wewnątrz duszy, umysłu i serca, zliczyć, zważyć, zmierzyć, rozkrajać skalpelem, popatrzéć przez mikroskop, zanalizować. Rzeczywiście obok znajomości człowieka jaką nam dają: historya, biografie, dramaty, komedya, powieść, zostawało jeszcze miejsce, otwarta droga oddzielna dla praktycznego filozofa-moralisty w badaniu charakterów. Drogą tą poszedł naprzód Teofrast, za nim inni, a pisma tego rodzaju stały się istotném dopełnieniem poszukiwań nad człowiekiem pod względem moralnym. O nich teraz.

II.

Nie pozostało jak 30 obrazków z ksiąg charakterów Teofrasta, ale te dają wyobrażenie całości. Zapowiedział w nich przecież studya cnót i występków: obrazy ostatnich tylko doszły do nas, piérwszych zaginęły. Ztądto może poszło, że ci, którzy późniéj studyowali charaktery na wzór jego, więcéj zawsze trzymali się wad i ułomności, zbywając lub pomijając cnoty, zalety, przymioty. Więcéj wprawdzie wszędzie złego jak dobrego, ale jeżeli księgi tego rodzaju mają na celu wpływ na formowanie charakterów, to do tego zarówno potrzeba przykładów piękna i dobrego, jak obrazów złego. Ostatnie same wyłącznie przed oczy stawione, poniżają, psują, każą serce: trzeba obok oddziałacza, coby je podnosił, uzacniał. Tak myślał Teofrast. Powiada on, że dzieło jego powinno być użyteczne dla potomności, bo wskaże jéj wzory do naśladowania, nauczy z kim się ludzie mają wiązać stosunkami bliższemi, i z kim współubiegać się w cnocie i mądrości.

Ale, jak powiedzieliśmy, samych wad tylko pozostały rysunki. Każda z nich stanowi oddzielny obrazek. Uderza nas we wszystkich forma prawdziwie atycka, owa niedościgniona grecka prostota, którą tylko czuć umiemy, do któréj naśladowania trafić nie jesteśmy w stanie. Jakaś filozoficzna spokojność wieje przez wszystkie kartki tych drobnych ułamków. Metoda raz przyjęta, nieodstępnie zachowuje się aż do końca. Wszędzie w niéj miara i ścisłość taż sama. Nigdzie zboczeń, odskoków: wszystko jak gdyby odlane ze spiżu lub wyryte dłutem, z kunsztem niepospolitym i z jednością myśli zadziwiającą. Taka jest zaś wyrazistość stylu i metody, że przeczytawszy jeden kawałek, możnaby nieznając drugich odgadnąć je za przypadkowém spotkaniem.

Ani teoryi, ani rozumowań ogólnych, ani zdań oderwanych nie wysyła autor naprzód, ani ich nie miesza do toku opowiadania: ztąd obrazy jego mają pewną jędrność i życie. Nie toną we mgle, ale wybitnie i wydatnie stoją na piérwszym planie: nic nie odrywa od nich uwagi i myśli czytelnika. Nie opisuje on obyczajów ateńskich, ale one same wpisują się w jego księgę wtenczas, kiedy kreśli ułomności, zdaje się wspólne

wszystkim wiekom, czasom i narodom. To nam wskazuje, iż dla odcechowania wieku i epoki, niepotrzeba oddzielnych szerokich opisów i obrazów: dosyć jest kreślić z prawdą ludzi w odbiciu ich cnót i wad, a obraz czasów i miejsca sam się znajdzie, bo każda myśl, słowo, rys wzięte z natury, już nosi na sobie piętno miejsca i czasu.

Ponieważ charaktery Teofrasta są tylko ułamkami zaginionéj całości, nie można z nich sądzić o stanowisku pisarza jako filozofa, męża stanu, o stosunku jego wyobrażeń do religii, praw i instytucyj ateńskich. Ogólny pogląd jego na ludzi, ich obowiązki, przeznaczenie, na źródło cnót i występków, na wychowanie, nie wychodzą na jaw w tych okruchach, które nas doszły. Może pisarz chciał pozostać na polu czysto praktycznem, może te części w których możnaby się było tego dopatrzéć, zaginęły. Ten brak stanowi stronę ujemną Teofrasta. Jeden tylko spotykamy fragment, odbijający w sobie cząstkę obyczajów politycznych, tojest rozdział: „o możnych w rzeczypospolitéj." Opisuje ich autor przechadzających się dumnie po placach publicznych, w wykwintnym stroju, odpychających tłum wzgardliwie; skarżących się na krzyki i przewagę adwokatów i mowców; na sąsiedztwo w naradach publicznych ludzi źle ubranych. Wskazuje ich ambicyą, chciwość władzy i urzędów, ich odosobnianie się od ludu i usiłowania usunięcia go od wpływu na sprawy publiczne. Ten jeden tylko, powtarzamy, znajduje się fragment dotyczący charakterów, z życia politycznego wziętych. Na to miejsce nieoszacowane spotykamy wskazówki owych praw zwyczajowych, tak odmiennych zawsze podług wieku, praw, religii i instytucyi, a tém ciekawszych, że tak zmiennych; owych praw etykiety ateńskiéj, tego co się godziło lub niegodziło według jéj wyobrażeń ówczesnych. Dowiadujemy się, jak raziło wyrafinowanych Ateńczyków zaniedbane obranie, obuwie grube i nieforemne, pachnidła pospolite i niewyszukane. Że nieprzyzwoitością było śpiewać w kąpieli, kupować samemu owoce i jeść je na ulicy. Dowiadujemy się, że ludzie próżni i lubiący ostentacyą przybijali na drzwiach swoich skórę z czoła wołu ofiarowanego bogom, ubraną we wstęgi i kwiaty, aby lud widział, jak wielki dar złożyli na ołtarzach. Że zdając sprawę z urzędów przywdziewali togi białe i wieńczyli się kwiatami. Dowiadujemy się, że było brutalstwem nie do przebaczenia, kiedy kto wśród uczty nie

chciał należeć z kolei do zabaw i wzbraniał się brać udziału w śpiewie, tańcu albo opowiadaniu, i wiele tym podobnych rysów, obyczajów, których nie wymieniamy.

Ciekawy jest jeszcze urywek o przesądach: pokazuje nam autor człowieka przejętego nieroztropną bojaźnią bogów, jak chodzi z listkiem laurowym w ustach, aby uroki do niego nie miały przystępu; jak buduje ołtarze na miejscu, gdzie spotkał węża; jak zlewa oliwą kamienie, poświęcone przesądem gminu; jak pozbywa spiesznie worek z mąką, w którym szczur dziurę przegryzł, bo to zła wróżba; jak unika usiąść na grobie, wnijść do domu położnicy; jak szuka u wrożbitów wytłumaczenia snów; jak w każdéj fontannie publicznéj głowę obmywa; jak się każe czyścić kapłanom, jak pluje spostrzegłszy człowieka w konwulsyach i t. d.

Wszystko to wchodzi mimowolnie do rysunku obyczajów, chociaż autor zamierzył tylko rysować charaktery. Niemniéj przeto jest szacownem, bo chętnie obok człowieka, którego serce i namiętności są zawsze jedne i też same, widzimy to tło zmienne, na którém malują się jego uczucia, myśli i czyny.

Te liczne rysy obyczajowe wmieszane w nieliczne ułamki Teofrasta, zdają się wypływać ze saméj jego metody kreślenia charakterów. Niewiele on wchodzi w głąb człowieka, nie szuka ukrytych sprężyn jego czynności, nie zapuszcza się w tajniki jego serca i umysłu: w czynach, w słowie, w ubraniu, ruchach, we wszystkich wskazówkach zewnętrznych szuka słowa zagadki i znajduje ją. Nie powiemy, żeby ta metoda była najlepsza, ale wskazujemy ją jako jemu właściwą, a mającą tę zaletę, iż obrazując charaktery, obrazuje zarazem czas, miejsce, epokę, zgoła obyczaje. Często jest przecież nazbyt powierzchowną i pomija to, co najważniejsze do poznania i zgłębienia serca ludzkiego; a dla dzisiejszych czasów, w których ogłada zewnętrzna i pewne konwencyonalne formy, zatarły wszelkie zewnętrzne różnice, i jakby powłoką jednostajności pomazały wszystkich, byłaby niedostateczną.

Rozpisaliśmy się nieco obszerniéj o Teofraście dlatego, że to jest ojciec zagajonéj przez nas materyi; nie mamy przecież bynajmniéj zamiaru wszystkich pisarzy idących w jego tropy podobnéj sekcyi, poddawać. Głównie mamy na celu pisma naszéj literatury w téj materyi, i do nich dążymy, a tylko dla porównania i miary zatrzymamy się na chwilę na Labruyerze, tak powszechnie znanym u nas.

On sam odróżniając dzieło swoje od fragmentów Teofrasta co do ducha i formy, tak o niém mówi: „Nasze charaktery odkrywają myśli, uczucia, drgnienia wewnętrzne ludzi; śledzą pierwiastki złego, zarody słabości, a z tych łatwo już wyprowadzić wnioski co zdolni są powiedzieć i zrobić, i podziwienie dla ich lekkomyślności i błędów ustaje samo przez się". Z tego widzimy, że Labruyere więcéj w głąb człowieka zagląda i więcéj sprężyny ruchu, działacze moralne, jak ruchy same, jak działanie obserwuje. W nim jak w wielu utworach nowoczesnych, duch góruje nad plastycznością grecką, nie dorównywając starożytnéj formie. Jakoż więcéj jest rozmaitości, bogactwa, treści, ducha filozoficznego w Labruyerze; ale układ, forma, szyk nie ma odlewowéj jednostajności i prostoty. Lękając się owszem téj jednostajności w dziele znacznych rozmiarów, ten ostatni, o ile może urozmaica formę, która nawet przy obfitości i rozmaitości uwag i spostrzeżeń jego, corazto inaczéj wyrażać się musiała i zmieniać jak sama rzecz. Jest, można powiedzieć, niewyczerpanym w bogactwie zmian, w jakie przyobleka swoje myśli, a czytający nieraz z wdzięcznością patrzy na tę troskliwość pisarza o to, aby zajęcie jego znużyć się mogące, podnieść i podtrzymywać, i z zadziwieniem na kunszt pisarski w wynajdywaniu coraz nowych ku temu środków. Raz są to myśli, spostrzeżenia, aforyzmy; to znowu portrety w krótkich ale dosadnych rysach; raz czujemy lękką ironią, drugi raz surową powagą pod jego piórem; tu allegoryą wzywa w pomoc i obleka prawdę gazową zasłoną. W samém kreśleniu portretów jakaż wyrazistość! Wszędzie zwięzły, poważny w myśli, wytworny w wysłowieniu. Rysunki ludzi tak dalece robione z natury, że wiadome są wzory z których były brane. To wplecenie aforyzmu, myśli oderwanych, uwag i spostrzeżeń do żywéj a urozmaiconéj galeryi ludzi, uderzających wszędzie podobieństwem, podoba się w czytaniu, bo je urozmaica, różnostronnością zajmuje umysł, bo wprawia w ruch i ćwiczy reflexyą i obserwacyą, przywięzuje do pisarza w którym widzi się ciągle nie prześladowcę wad i ułomności od których nikt z nas wolnym nie jest, ale przyjaciela ludzkości, który zastanawia się, porównywa, sądzi, szuka dróg dla prawdy i karcąc złe, nie omijając go, zarazem pobudza do cnoty, i świętość jéj, wpływ na człowieka i społeczeństwo, wskazuje.

Charaktery więc Labruyera nie są wcale satyrą, paszkwilem, nie mają tej własności ujemnéj, jaką pisma zajęte samém ściganiem złego wyłącznie posiadają, tojest, iż wstręt obudzają albo do ludzi, albo do pisarza. Wierny swojemu godłu; „*admonere voluimus non mordere; prodesse non laedere; consulere moribus hominum non officere*" pisze bez żółci, jest spokojny i sympatyczny.

Jakkolwiek nie jestto umysł téj potęgi i rozległości jak np. Pascal albo Demaistre, w granicach jakie sobie nakreślił nie brak mu na niepospolitéj przenikliwości i głębokości swojego rodzaju, tojest zastosowanej ściśle do strony praktyczno-moralnéj człowieka. To zaś go podnosi szczególniéj jako moralistę, że mu jest obcy wszelki duch stronnictwa, kasty, wyłączności, systematu jakiegoś wymarzonego w głowie mędrkującéj. Patrzy na ludzi z téj wysokości, na jakiéj powinien postawić się mędrzec, chcący wszystko okiem swego ducha ogarnąć, wszystko oznaczyć i ze wszystkiego zdać sobie sprawę. Trzeba pewnéj wyższości umysłu, aby się wyzuć z interesu, namiętności, przesądu i widzieć rzeczy, ludzi, stosunki jakiemi są w istocie, nie jakiemi je sobie marzy pisarz, lub jakby je chciał widzieć w interesie systematu, zasad i wyobrażeń, jakie poślubił.

Jest bez wątpienia ideał piękna moralnego, cnoty i obowiązku, i ten ideał musi tchnieniem swojém przejmować umysł pisarza moralisty i piórem jego kierować; ale z pewnością ten, kto jako bojownik stanie w szeregach, aby walczyć za formą polityczną, doktryną sektarską, albo teoryą naukową lub literacką, a pismo swoje mające być kodexem praw moralnych, użyje za narzędzie walki i przeleje w nie swoje, chwili obecnéj tylko dotyczące namiętności; ten, mówię, pewno zgubi głos wyższy ideału, a co gorzéj, uplątawszy nogi w fałszu lub obłudzie, upadnie zdeptany od współczesnych, zapomniany od późniejszych.

Księga Labruyera podobnie jak Teofrasta, tylko w większéj nierównie mierze, bo ta jest ułamkiem, a tamta całością, jest zarazem obrazem człowieka w ogólności i wizerunkiem obyczajów, wieku i społeczeństwa. W Labruyerze jest to nawet przewidziane i obmyślane. Nie będziemy się zatrzymywać nad tém, co przyniósł nowego i własnego do znajomości serca ludzkiego i gry jego namiętności, ani wskazywać dróg, jakiemi szedł do tego celu; nie będziemy się również zatrzymywać nad szczegółami i charakterystyką kreślonych przez niego obycza-

jów: zadalekoby nas to sprowadziło z wyznaczonéj sobie drogi. Niepodobna nam tylko nie wskazać na różnice wybijające się z obyczajów kreślonych przez Teofrasta i Labruyera od tych, na jakie dziś patrzymy.

I tak np. w 30stu fragmentach Teofrasta nie masz mowy o kobiecie. Cóż rzeczywiście mógł powiedzieć moralista o kobiecie ateńskiéj? Gdyby się znalazły wszystkie zagubione części charakterów, znalazłby chyba jaki fragment o hetajrach.

Labruyere również najmniejszą część swojego pisma poświęca kobietom. Ta sama szczupłość zakresu, w jakim tę materyą zawrzeć zdołał, wskazuje, że rola jaką w społeczeństwie ówczesném odgrywały, nie była wysoka i wydatna. Jakoż widzimy je w jego wizerunkach lekkiemi, zalotnemi, zeszpeconemi malowidłem, pogardzającemi wyższém ukształceniem umysłu.

Jakżeto odmiennéj sztuki, innego rysunku i pędzla musiałby użyć dzisiaj malarz-moralista dla skreślenia charakterów kobiecych, o tak wiele swobodniéj rozwijających się z postępem obyczajów, z rozszerzeniem granic zakreślonych ich wychowaniu, z rozkwitnięciem nieużytych wprzódy władz umysłu, z popędem do wolności, z jéj nadużyciami, ze zmianą położenia towarzyskiego, które stało się inném pod wpływem rozleglejszéj swobody, jaką prawa i obyczaje dla nich przyniosły.

Na to miejsce Labruyere obszernie mówi o rozmowie i towarzyskości. Jestto część pisma jego, do któréj klucz stracony dla naszego społeczeństwa. Możnaby tylko w księdze kreślącéj nasze obyczaje krótki rozdział napisać o wysychaniu powolném źródeł rozmowy towarzyskiéj i wskazać, że wszystkie inne powody zdolne są zbierać jeszcze ludzi w większe lub mniejsze gromady: przyjemności stołu, zalotność, interes, ciekawość, próżność, gra, rozpusta, ale nie ten najzacniejszy cel zbierania się ludzi, tojest: podział wspólny myśli, wrażeń, uczuć, wiadomości, wymiana nabytków moralnych i umysłowych, ścieranie się zdań, kojarzenie serc w miłość i przyjaźń, i wiązanie w duchowe braterstwo i wzajemne współczucie.

Nareszcie dodamy jeszcze, że w dziele Labruyera widzi się owę zupełność, jaka dzieła wykończone i dobrze obmyślane cechuje. To, co zamierzył dokonane jest w całości: wszystkie cechy i odcienia charakterów, różne pokłady społeczeństwa, wydatności obyczajowe, zbliżenia, porównania takich i innych

indywidualności, różnice, powody różnic w uczuciach i wyobrażeniach, objęte są mniéj więcéj; i rzeczywiście ludzie i obyczaje danegó czasu i społeczności odbijają się w niém jak w zwierciedle. Jest to więc jedna z niewielkiéj liczby książek, która dotrzymuje co obiecała.

Pomimo tego wszystkiego, co na pochwałę tego pisarza powiedzieliśmy, nie sądzim, iżby to miał być wzór od którego odstępować się nie godzi tym, którzy charaktery i obyczaje mają opisywać. Różnemi drogami idzie się do piękności i prawdy; różnemi wyrazy można zapukać do serca i przekonania ludzkiego, w coraz nowe formy oblekać żywe myśli i pojęcia. Nikt jeszcze daleko nie zaszedł ślepém naśladownictwem. Kształty w których wyraża się piśmiennictwo nie mogą być te same, kiedy wszystko zmienia się naokoło: pojęcia, summa wiadomości, obyczaje, zwyczaje, formy towarzyskie.

Spieszymy na własną niwę, a tutaj niepodobna nam pominąć jednego z dawniejszych naszych pisarzy.

Przestrogi polityczno-obyczajowe Andrzeja Maksymiliana Fredry nie są właściwie książką przeznaczoną badaniom nad charakterami, jak to już i tytuł sam wskazuje: są to raczéj zdania męża wytrawionego w długim zawodzie politycznym, który wiele doświadczył i o wielu ludzi się obtarł. Nie stracił widać w biegu swojego czynnego żywota żadnego doświadczenia: wszystko w swéj głowie rozważył i zapisał. Nic nie było dla niego straconem; wszystko weszło w skład jego myśli dojrzałéj: ludzie, księgi, wypadki. Doskonale widać w téj małéj książeczce świat jaki otaczał autora, i koło, w jakiém przebył pasmo swojego żywota. Życie polityczne stanowi tło główne obrazu, jak to przystało na pismo męża żyjącego w kraju, którego formy były tak swobodne, w którym wyższy urodzeniem i zdolnościami obywatel był ciągle pracami publicznemi zatrudniony. To téż cała jego sztuka życia obraca się w rzeczoném piśmie do celów politycznych; moralność dąży i nachyla się ku polityce, polityka skłania się i użycza ku moralności. Przecież taka jest siła rozumu i prawości, taki zasób wiary w téj niepospolitéj głowie, iż jedna i druga na tém sąsiedztwie nie cierpią. Moralność i wiara wychodzą z tego połączenia czyste i nieskażone; przestrogi polityczne uszlachetnione i podniesione. Fredro nie widzi wcale ludzi doskonałemi; nie pokłada w nich nieograniczonego zaufania, zanadto

jest skąpany w ukropie doświadczenia, ale zanadto ma cnotliwych przekonań i szlachetności w głowie i sercu, iżby wszystkimi pogardzał i nie przypuszczał innéj pobudki i podstawy czynności ludzkich, jak egoizm. I to głównie odróżnia go od słynnego autora Maxym Larochefoucaulda. Nie wieje w nim ten chłód ironii i pogardy dla serca ludzkiego, co w tym ostatnim. Ten bowiem zniża wszystkie cnoty, skłonności, popędy uczciwe: jedne nuża w błocie, drugim kładzie na czoło czapkę błazna lub arlekina. Zaszczepia choćby chwilowo jakieś zwątpienie w samego siebie w czytającym. Może mało powiedzieć zwątpienie: człowiek lęka się, wstydzi się samego siebie, kiedy się w niego wczytuje. Usiłując zedrzeć maskę obłudy i pozory cnoty, niszczy cnoty same w sercu ludzkiém, albo raczéj samo ich istnienie w wątpliwość podaje. Odjąwszy przez ciąg swoich maxym, nie jeden, a może cały powab i urok życia, w ostatniéj odejmuje jeszcze odwagę śmierci i usiłuje przekonać, że śmierć jest rzeczą straszną. Jakażto smutna księga moralności!

Nasz autor przestrog spokojny i chrześciański nie szpera w źródle czynności ludzkich, ani ich pobudek nie bada, i bierze człowieka za to, czém jest: za zlepek gliny i drogich kamieni, za mieszaninę wzniosłych, szlachetnych przymiotów i błędów, ułomności i słabości. Nie mówi on przecież tego o przyrodzeniu człowieka: strzeże się rozprawiać; wybija się to tylko na jaw z jego spostrzeżeń i przestróg, które ściśle krążą w kole żywota praktycznego. Snać nawykł działać i iść uczciwie i śmiało do pewnego celu, zamiast błądzić w ciemnościach zwątpienia i mędrkowania. Religijność i żywot publiczny posłużyły moraliście i oczyściły jego umysł z błędów sofisty. Każda przestroga Fredry ma cechę praktycznéj wartości i wychodzi z myśli nieskażonéj, miłującéj ludzi i cnotę, usiłującéj zadosyć uczynić obowiązkom względem Boga, ludzi i samego siebie. Ta praktyczna dążność jego, pomimo miłości ludzi i właśnie obok niéj i w zgodzie z nią, daje autorowi wielki zasób ostrożności i wyrozumowaną zręczność. Widzi on dobrze, że życie jest obowiązkiem, brzemieniem, poświęceniem, ale zarazem i kunsztem, sztuką, i téj właśnie sztuce kierowania sprawami, wpływania na ludzi, ujmowania ich serc i podbijania ich rozumów, większą część pracy swojéj poświęca. Jakkolwiek gruntowna, posilna, żywotna jest treść filozoficzna

przestróg Fredry, kryje się ona, nie wychodzi na zewnątrz w słowach: odgaduje się ją i widzi myślą na wylot w ciągu całego pisma. Głównem jego zadaniem, jak powiedzieliśmy, jest życie, mianowicie życie którego cząstką nieodłączną jest zawód publiczny. Niektóre z jego przestróg straciły o tyle zastosowanie, o ile formy dawnego społeczeństwa zmieniły się i ustąpiły miejsca innym, i o ile życie nasze ścieśniło się w wązkie koryto domowych obowiązków. Żadna z nich przecież nie straciła na prawdzie i istotnéj swéj wartości: głębokie znaczenie praktyczne prawd opartych na doświadczeniu, religii i znajomości ludzi pozostało toż samo. Dziś, jak przed stu laty, czyta się je ze zbudowaniem i pożytkiem. Umysł zamiast upadać i słabnąć w zwątpieniu, krzepi się niemi, wola się hartuje, zakres myśli rozszerza. To, co z własnego doświadczenia się uzbierało, dopełnia się doświadczeniem bogatém tego zacnego męża: to co się we własnéj myśli wyrobiło, waży się z czystém ziarnem jego poczciwéj i światłéj myśli. Szkoda przecież, że to tak treściwe, jędrne, a duchem i powagą zasad i stylu prawdziwe narodowe pisemko, wszystkie przykłady jakie w sobie zawiera, czerpało w dziejopisarzach i moralistach cudzoziemskich. Nigdzie prawie autor nie sięgnął koło siebie i nie zaczerpnął w krajowych wypadkach; nigdzie nie obejrzał się po domowe przykłady. Wiele mu to ujmy przynosi dzisiaj, i niewysłowionyby powab miało dla nas, gdyby nie ten błąd, który przecież był błędem wieku, ukształcenia ówczesnego i smaku, a nie autora samego.

Jak powiedzieliśmy na początku, *Przestrogi* Fredry nie są bynajmniéj dziełem, poświęconém studyowaniu charakterów; wszystko co tutaj o niém napisaliśmy, możnaby uważać za zboczenie od naszego przedmiotu, gdyby w swojéj całości i duchu nie było wybornym materyałem dla każdego, ktoby chciał rozpatrywać się w pismach, charakter narodu przedstawiających. Żywo malują się w niém nie osobiste, ale rodowe i narodowe przekonania, sposób zapatrywania się na ludzi, rzeczy, wypadki, tryb kierowania sprawą publiczną, równie jak własną łodzią, wśród prądu życia i nawałnic namiętności. Tę stronę pisma chcieliśmy podnieść i wskazać, bo nie jest obojętną dla naszego przedmiotu; ale oprócz tego są w niém rysy i pojedyńcze miejsca, które wprost malują pewne charaktery. Niepodobna przytaczać tutaj wszystkich; wskażemy tylko nie-

które, przytoczym jaki kawałek dla przykładu i porównania. Widać z tych miejsc, że autor byłby bardzo sposobny niepospolite rzeczy w tym rodzaju utworzyć, gdyby to był przedsięwziął: bo nie zbywa mu ani na duchu spostrzegawczym, ani na darze ujęcia w wybitne rysy cech umysłowych i fenomenów serca ludzkiego, ani na łatwości słowa jędrnego i treściwego.

I tak: mówi o stateczności i śmiałości, o wytrwałości; porównywa ludzi teoryi i ludzi czynu, bardzo trafnie mówi o ludziach geniuszu i wszechstronnych zdolności, o nieudolności wysokich rozumów do spraw drobnych, o różnych cechach rozumów *w radzie*; maluje fałszywych przyjaciół, ludzi umysłu miękkiego i gnuśnego, zazdrosnych, natrętów. Młodość i starość tak porównywa:

„Starych spracowanie, albo młodych usilność daleko się z sobą rozchodzą. Młodzi gadają albo wrzeszczą i łają; starzy robią. Tamci z pozoru sądzą, ci ważą rzeczy. Młodzi dla żywości wieku smakują w skwapliwości, a wydaje im się śmiałe i wielgomyślne, co jest często zuchwalstwem. Przejrzenie i opatrzenie się wcześniejsze znajduje się u sędziwych, dla czego częstokroć są odwłóczycielami, rzadziéj doświadczają albo się na powodzeniu sparzają; zcicha upatrują jedno okazyi, zmyślając niby śpiączkę i ociężałość. Młodzi skłonni do gniewu, skorzy do urazy. Męże dojrzali zmyślnie przeglądający i częstokroć spokojni; ale gdy się podczas trafi stanąć w sprawie, mądrze i obrotnie są mężnemi. Tamci przypatrują się rzeczom, siła widzą, coś wiedzą, ani przecie do końca poznają; ci, sprawy i co się ma robić równie przenikają, poznawają i rozeznawają. Młodzi dla swobodności pierwiastkowego wieku najmniej myślą o fałszu w rzeczach, dla czego łatwo dają się omamić, dla zbytnéj bezpieczności; podżyli zaś, że się sparzyli na bardzo siła powodzeniach przeciwnych, przypadków świadomi. Kolorami więc w rzeczach i dowodach gardzą, pozorne pomiatają, ale zdarłszy maszkarę, we środek rzeczy i sam grunt przepatrują i przestrzegają na wzór zawołanych łowczych, lis-li? lub zając, tedy srogi dzik, lub pewnie celniejszy jeleń ślad zostawił, po samych śladach gatunków zwierząt dochodząc; nacierają więc jako rzecz i okoliczność wyciąga".... „Młodzi wdzięcznomównością pospolicie nadrabiają i co takie radzi słuchają: ni o co niestojąc, podług pozorów tylko o rzeczach sądzą, zagadkami i bajkami uciesznie się zabawiają; a że dla niedokładnéj wiadomości w sprawach się przyczęsto chwieją, przetoż mitrężą

bardziéj rzeczy niż robią, zaczynają, potém opuszczają. Starzy trwają statecznie, że do końca spraw myślą dochodzą; ani dlatego nadaremnie się kuszą, co się nie według myśli ma kończyć, ale z rozmysłem poczynają. A że się nie zastanawiają na środkach (ale się udają do końca rzeczy, jako wytrawni w sprawach) o zarzutach krótko stanowiąc, ztąd młodzi burzyć się zwykli na starych, jakby to po prostu i nie biegle rzeczy robili, ze swoim dowcipkiem i ciekawością ich mierzają, sami do przyprawy rzeczy i słów wezwyczajeni. Mają atoli starzy doskonalszą i zupełną biegłość; doświadczając oni pod czas niekształtnego i bliższego na poratowanie się, ale że je sądzą za przygodniejsze, niż zdala zasiągnione. Dodaje krótko. Warowne albo inaczej niebezpieczne wcześniéj starzy upatrują i prawdziwie niby palcem wytykają. Jeśli zwłaszcza niegnuśny, ale dla nabycia mądrości, sprawowaniem rzeczy zabawiony żywot wiodą i czytaniem poważnych pisarzów, kiedy się długo bawią, coby dopełniło i dołożyło wieku. Młodzi nadto dają się powodować skłonnościom a nadewszystko widok i przyłuda pierwiastkowéj fortuny uwodzi ich i zwodzi. Starzy silniéj swemi chęciami i żądzami władną i przeto przystojnie i wczas drugiemi rządzą. Słowem młodych sprawowanie jest wesołe i z niejakąś zaprawą, coś poszło na wiosenną porę; męże wystali pracowite lata po sobie zostawują; bardziéj bowiem bezkunsztowny i poważny (a tak i przysmutny) tryb w sprawach zachowują; surowszemi są, ale w cnocie jednostajniejszemi. Młodzi są w czynieniu powolnemi i częstokroć płochemi. Ztąd mężom dostalszym wszystko się jak z płatka wywija, że ich nie zatrzymują sprawy, ani zastanawiają interesa, ale oni utrzymują je i kierują podług swej woli" i t. d.

Z epoki Stanisławowskiéj, daléj z epoki walki romantyzmu z klassycyzmem, równie jak z epoki odmłodzenia się literatury na żywiołach rodzinnych, nie zdarzyło nam się napotkać pisma materyi, którą zagailiśmy, wyłącznie poświęconego. Znalazłyby się po niektórych pisarzach naszych z tych czasów fragmenta mniejsze lub większe do niéj odnoszące się, lub związek z nią mające, ale tych nie będziem wyszukiwać. Współcześni dopiéro więcéj się nią zajęli.

Michał Wiszniewski dołożył kartkę do wielkiéj księgi charakterów. Mówimy kartkę, bo książka jego o charakterach rozumów ludzkich jest tylko badaniem jednéj strony przedmiotu. Rozum gra przeważną bardzo rolę w organizmie charakteru,

ale przecież jest tylko jego cząstką. Charakter bowiem jest summą wszystkich władz fizycznych i moralnych człowieka i zastosowaniem téj summy do wszystkich działań, jakiemi na zewnątrz się objawią. Więc temperament, wola, rozum, serce, fantazya, wpływ wiary, wychowania, powołania, wszystko to na niego się składa, wszystko co jest w człowieku i to, czego mu niedostaje.

Każde przeto badanie jednéj z części składowych wchodzących do organicznéj budowy charakteru, jest objaśnieniem samychże charakterów. Pism tego rodzaju jest mnóstwo, bo o czémże nie pisano. Pisano wiele w różnych językach o temperamencie, namiętnościach, uczuciach, o rozumie, o woli, o wychowaniu: zgoła o wszystkich jednostkach, których summa stanowi ogół charakteru człowieka. Pisano o pojedyńczych wadach i ułomnościach. Od Erazma do Jana-Pawła wieleżto wybornych charakterystyk głupstwa nie napisano? Pisano o wpływie klimatu, prawodawstwa, religii na charakter ludzi i narodów. Voltaire porównywał w historyi ducha i obyczaje różnych ludów, a Herder śledził ich charakter w poezyi i literaturze. Pisano o stosunku jednych władz do drugich. Kant oznaczył związek temperamentu z uczuciem estetyczném. Otóż wśród pism tego rodzaju, Charaktery rozumów ludzkich M. Wiszniewskiego niepoślednie zajmują miejsce. Pomysł i układ jest jemu właściwy. Pomimo pewnéj sztywności, która pedantyzmem trąci, książka ta będąca owocem dojrzałéj myśli i rozległéj nauki, ma istotną wartość. Otwiera nową sferę myśli i spostrzeżeń. Każdy może w niéj znaleźć zajęcie i pożytek, ale szczególniéj w ręce młodych ludzi mogłaby być podawana z korzyścią.

Dla badaczy charakterów, dzieło Wiszniewskiego ma tę wartość, iż podaje klucz do poznania pewnego rzędu, pewnéj kategoryi charakterów. Jak bowiem są ludzie, w których pierwiastkiem dominującym jest fantazya, serce, temperament; tak są inni, których pierwiastkiem poruszającym i władnącym jest rozum. Owoż Wiszniewski śledząc wszystkie jego tajniki, różnice, odcienia, działanie, powinowactwa, związki z wolą, fantazyą, sercem, nawyknieniami, sposobem życia i tym podobnemi przypadkowemi lub trwałemi stosunkami w ludziach się zdarzającemi, daje, jak powiedzieliśmy, klucz do zbadania takich charakterów. Tak więc każdy, co szuka rozprzestrzenienia swojego poglądu na rozumy ludzkie, jak ten co bada zawiłości

i tajemnice charakterów, a rozum śledzi tylko jako jeden z pierwiastków zapładniających, książki téj opuścić i pominąć nie może.

Piérwszém z rzędu w naszéj literaturze, z dzieł wyłącznie badaniu charakterów poświęconych, poważném treścią i samym rozmiarem swoim jest *Teofrast polski*. Sam tytuł wskazuje, iż odnosi się wprost do źródła z któregośmy wyszli w tym przeglądzie, lubo w formie od niego odbiega, a różnorodnością treści i naturą swą polemiczną zupełnie się od niego różni. Autor Teofrasta polskiego kładzie w przedmowie jakoby podwalinę do swojéj budowy: oznacza w szerokich rysach swój pogląd filozoficzny, moralny i historyczny. Broni uczucia religijnego w sercu ludzkiém. Kilku cięciami razi panteistyczną filozofią niemiecką i zły jéj wpływ na nasze piśmiennictwo. Podnosi myśl Demaistra o winie spadkowéj i expiacyi generacyi i pokoleń następnych. Potępia doktrynę fatalizmu historycznego, tkwiącą w zasadzie postępu bezwzględnego ludzkości. Rzuca słów kilka, z których widać, że uznaje upadek arystokracyi i upadek ten uważa za nieszczęście. Boleje nad rozlaniem się materyalizmu i chciwości zbogacenia się *per fas et nefas*. Wreszcie kończy uwagami nad niektóremi błędami, w jakie popadła umiejętność tegoczesna, historyozofia w swoich wnioskach o postępie i celach ludzkości, wnioskach nie zgadzających się z nauką kościoła i wiarą w rządy Opatrzności w świecie.

W tych uwagach ogólnych zasadniczych, o jakich dopiéro mówiliśmy, i w tych, jakie są rozprowadzone po całéj książce we wstępach rozumowanych i przypisach, łatwo dojrzéć wyrażenie się ducha zachowawczego, który we wszystkich społecznościach europejskich, wstrząśniętych rewolucyami i pchanych naprzód doktrynami nowemi, znajduje mniéj lub więcéj wymowne, mniéj lub więcéj logiczne, mniéj lub więcéj bezinteresowne organa. Nie piérwszy to raz w dziejach kultury europejskiéj zdarza się, iż umysły dzielą się w zapatrywaniu się na przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Nie piérwszy raz dwa powstałe ztąd obozy staczają bój zacięty. Bywało tak jednak nieomal zawsze, że po czasach w których umysły rozpadały się na dwa przeciwne prądy, w odwrotnym kierunku od siebie dążące, przyszłe pokolenia w kompromisie przeciwnych zasad i przekonań znajdowały dla siebie ocalenie i wskazówkę do przyszłych przeznaczeń.

Widzimy jeszcze w zasadach i wyobrażeniach fundamentalnych Teofrasta polskiego, iż idzie za stronnictwem, które niezadowolone kierunkiem i tokiem współczesnych idei na polu literatury i polityki, przestraszone eklektyzmem w sztuce, a panteizmem w filozofii, na wzór umysłów XV i XVI wieku, które znużone scholastycyzmem, odgrzebując literaturę starożytną sprowadziły wieki odrodzenia w literaturze, umiejętnościach i sztukach: usiłują zwracać się do innéj epoki przeszłości, aby w niéj czerpać nowe siły i wzory dla pokoleń dzisiejszych. Kierunek ten i dążenia te zjawiają się nieomal wszędzie: widoczne są w sztukach, poezyi, a do pewnego stopnia w filozofii i wyobrażeniach politycznych niektórych stronnictw. Na polu poezyi i sztuki niejednokrotnie pomyślne przyniosły owoce. Czy inne ważniejsze ztąd wypłyną pożytki dla nowoczesnego świata: przyszłość pokaże — nie chcemy przesądzać wyroków czasu. To pewna, że jak wszystkie usiłowania wieków odrodzenia nie odbudowały Rzymu i Grecyi, tak prace dzisiejsze nie wywołają z grobu wieków średnich; a jeżeli wyniosą jakie pożyteczne lekarstwo na niemoce czasów dzisiejszych: zasługi tych, którzy w tym kierunku pracują, będą sowicie wynagrodzone, a krytyki na nich miotane, pomszczone.

Zasady te przekonania, wyobrażenia i teorye pisarza pozostawiamy w pokoju: nie myślim ani podnosić tego co w nich podzielamy i za swoje przyznajemy, ani występować przeciwko temu, co odrzucamy; treść, zakres i zamiar pisma nie są potemu. Idąc tylko wprost do celu i oceniając dzieło jako przeznaczone do dania nam obrazu charakterów i obyczajów, powiedzieć musimy, że autor Teofrasta polskiego, wprowadzając na tak obszerną skalę te zasady, teorye, nadał pismu swojemu charakter polemiczny. Jakoż jest ono nieustającą kontrowersą z światem nowoczesnym. Wstąpił autor w szranki stronnictw bojujących, wypowiedział wojnę obyczajom, których przedsięwziął historyografią; a zstępując z wysokości, na któréj musi stanąć filozof-moralista badający charaktery i obyczaje, i wziąwszy się do walki, wniósł do dzieła swojego wszystkie namiętności wojny domowéj.

Ztąd poszło, iż Teofrast polski niezawsze może utrzymać szale bezstronności niezachwianą ręką, i niezawsze chce oddać sprawiedliwość temu, co w sobie dobre, ale do poślubionych przez niego teoryj nie przypada; niezawsze chce potępić, ba! nawet wskazać to, co złe w istocie, ale z jego wyobraże-

niami jest w zgodzie. Ztąd opuszczenia, któreby można niekiedy pomówić że są umyślnemi, bo z ducha położonych z góry zasad zdają się wypływać. Ztąd niesprawiedliwości krzyczące, wyrządzone niekiedy ludziom, powołaniom, stronnictwom i niektórym umiejętnościom. Ztąd czasem śmiałe sofizmata rzucone w zapale polemicznym. Ztąd gorycz słowa.

Na trzy właściwie działy rozpada Teofrast polski: na obrazy charakterów, na ustępy rozumowane i na część anegdotyczną. Trudno mieć za złe autorowi, że od ścisłości i jedności formy dotychczasowych wzorów odstąpił dla zbogacenia i urozmaicenia treści. Nie będziem się także wadzić z pisarzem Teofrasta pols. że przerzuca nas to w wiek XIX, to w wiek XVIII; bierze ludzi bez kolei z dwóch epok tak od siebie odległych i różnych. Niekiedy ustępy rozumowane nie wiadomo do jakich czasów się odnoszą i kogo dotyczą. Jedność i porządek dzieła na tém cierpi. Jak powiedzieliśmy jednak nie będziemy się o to z autorem wadzić, bo treść jest zażywotna, zapełna, zabogata, abyśmy na tych niedostatecznościach formy zatrzymywać się mieli. Wreszcie jak we wspomnieniach sędziwego pisarza, tak w jego dziele mieszają się dwie epoki, z których jedna jest dla nas obca, bo jéj nie pamiętamy, i odległa, bo w niéj nie żyliśmy.

Do ustępów rozumowanych tak dobrze jak do wstępu i do przypisów odnosi się to wszystko, cośmy na początku powiedzieli o ogóle pisma i stanowisku pisarza, i nie będziemy się już dłużéj nad tém zatrzymywać.

Częścią anegdotyczną nazywamy to wszystko, gdzie autor mówi o ludziach których znał, spotykał, lub o których słyszał; a chociaż każda z osób, o któréj mówi, podciągnięta pod pewną rubrykę, odpowiadającą jego charakterowi: uważamy je jednak jakby za kartki wyjęte z pamiętników. To nie zmniejsza ich interesu i wartości; jakoż czytają się te ustępy dzieła z niemałém zajęciem, i są niekiedy ciekawém dopełnieniem do historyi obyczajów u nas. Szkoda tylko, że tyle łotrów i tyle łotrostw wejdzie razem z niemi do tejże historyi.

Do téj metody anegdotycznéj kreślenia ludzi i charakterów, przyjętéj od Teofrasta polskiego, nie przyznałby się zapewne stary Teofrast grecki. O ile ten jest zwięzły, ścisły w raz przyjętéj formie, plastycznie uwydatniający przez objawy zewnętrzne poruszenia duszy; o tyle tamten szeroki, swobodny, szczegółowy. Dowcipne słówka, dykteryjki, zdarzenia, wszyst-

ko wprowadza, co nietylko charakter opisywany uwydatnić, ale i zajęcie czytelnika utrzymać i podnieść może. Teofrast polski rad rozprawia, naucza, żartuje. W niejednym rysie i pociągu pióra widać więcéj satyrycznéj werwy, niżeli umiarkowania i bezstronności moralisty.

Zbiór charakterów Teofrasta greckiego przypomina nam medaliony bronzowe, rznięte biegłą rękę mistrza, odlane wybornie, i oddające wiernie wyraz twarzy znajomych nam ludzi: Teofrasta polskiego raczéj portrety olejne w całéj wielkości, w których dużo akcessoryów.

Ta sama metoda zachowana jest w rysunku i obrazowaniu postaci uosobiających pewną stronę ujemno-moralną, pewną wadę, co w portretach osób wymienionych po nazwisku, i pod rubrykę pewnych wad lub charakterystycznych właściwości podciągniętych, a które do części anegdotycznéj zaliczyliśmy: wolnomyślny, matka kościoła, pyszno-skąpski, dorobnik, gbur, fakturą swoją podobne są do tamtych. Obok miękkości pędzla, zaniedbania niekiedy rysunku, jest prawda, nieraz wielkie naśladowanie natury i pilne w nią wpatrzenie się. Nieco więcéj zwięzłości i plastyczności, a mogłyby to być wyborne postaci.

Przebiegając obrazy skreślone przez Teofrasta polskiego, spostrzegamy z żalem jak wiele brakuje w téj galeryi, jakie w niéj luki znaczne i jak niemałoby jeszcze trzeba do niéj dołożyć, aby w szeregu ludzi i ich charakterów dała wyobrażenie obyczajów spółczesnych. Kobiéty np. które autor słusznie tak wysoko ceni, taką sprawiedliwość oddawać umié ich wrodzonéj szlachetności, przymiotom umysłu i serca, nader niedostatecznie są przedstawione; i to właśnie w epoce, w któréj charakter kobiét wydatniéj występować zaczyna w życiu i rzeczywistości, kiedy kobiety zawstydzać zaczynają, zdaniem niektórych moralistów i samego nawet autora Teofrasta polskiego potęgą moralną, drugą połowę rodzaju ludzkiego. Szkoda, że autor ze swego przeglądu obyczajowego wyłączył dumę narodową, hipokryzyą religijną, obłudę i egoizm wielkiego świata, kosmopolityzm możnych. Jakiżto zajmujący obraz byłby mógł przedstawić możnowładzcy spadłego ze swojéj wysokości, który zachował wszystkie tradycye, a upuścił władzę i mienie, *per fas et nefas* goni za jednem i za drugiem, niczego się nie wzdryga i nie wstydzi tylko pracy, a w poniżeniu największém zachowuje całą swoję pychę. Sztuka i przemysł i ich związek ze sferą moralną i obyczajową, uwydatnienie ich wpływu w charakterach, nic

dziwnego, że nie weszły do Teofrasta polskiego, bo też zaledwie wejść probują do życia narodowego; a choćby już w niém gościły, autor musiałby je odrzucić, wierny swojéj teoryi, jako niepłynące z tradycyj narodowych i niezgodne z duchem i powołaniem szlachectwa.

Teofrast polski, jak to już powiedzieliśmy, jestto książka głównie polemiczna; żywa, namiętna, często paradoxalna, mnóstwo myśli obudza: porusza namiętności, gniéw, wzgardę, współczucie, miłość naprzemiany; wyzywa do boju jak zniewaga i pociąga w świat błogi uczuć chrześciańskich. Wtenczas nawet, kiedy najmocniéj z autorem jesteśmy w niezgodzie, oddaje usługę naszemu umysłowi, bo nas zmusza do wyszukiwania dowodów przeciwnych i argumentów, w rozumie, w dziejach, i popędza do pracy myślenia i nauki. Jako obraz obyczajów i charakterów jest jednostronna, niedostateczna, niezupełna.

Jednę jeszcze uwagę mamy do zrobienia, zanim się z nim rozstaniemy. Nie dziwim się, że autor wytyka błędy naszéj społeczności, bo to cel jego pisma. Nie dziwim się, że się surowo z nią obchodzi; nawet wyrozumiemy do pewnego stopnia, że w niéj nie smakuje. Są w niéj grube i wielkie wady i przewinienia, sromotny upadek i rażące złe. Każdy umysł wyższy staje się u nas gorzkim i cierpkim w wynurzeniu zarzutów jéj czynionych; ale samo oburzenie, jakkolwiek z szlachetnych źródeł i powodów płynące, musi mieć swoje granice. Nie wszystko złe jest winą téj społeczności. Sąż przecie i cnoty i zalety; są tak dobrze w górze, jak i na dole. Zresztą ojciec chcąc dziécię które miłuje poprawić, musi się z niém obchodzić tak, aby uczucia godności w niém nie zabić; kapłan musi słowem miłości osłodzić gorzkie lekarstwo, jakie upadłemu grzesznikowi podaje; pan zepsutego i winowajczego sługę, powagą i słodyczą chrześciańską słowa, jedna dla siebie jego poszanowanie i ufność. Otóż nie to mamy za złe pisarzowi, że w dziele o którém mowa, sądzi surowo; ale że brak mu tego charakteru miłości bliźniego, współczucia pociągającego do siebie. Nic sympatycznego nie odezwie się nigdy wśród pełnego goryczy słowa. Zdaje się jak gdyby na to pisał, aby usprawiedliwić swoję pogardę dla wieku i społeczności. Żałujemy mocno, że tak pełne treści i niejednę prawdę żywotną zawierające pismo, tego powabu sympatycznego się wyrzekło, bo wpływ dobrego, jakie w sobie zawiera, byłby na tém zyskał.

Przechodzimy do ostatniego pisma na tém polu, do *Typów i Charakterów.*

Na którąkolwiek zwrócimy się stronę, gdziekolwiek stawimy stopę na polu naszéj literatury, wszędzie spotykamy ślady umysłowéj działalności autora Typów i Charakterów. Pisarz ten niezmordowany, z ruchomym, łatwym, jasnym umysłem, wszystko poruszył, wszystkiego dotknął; nic nie prześliznęło się po powierzchni jego duszy, wszystko z kolei w nią uderzyło, a każde jéj drgnienie pozostawiło ślad jakiś w jego pismach. Na jednych przedmiotach zatrzymał się dłużéj, skupił swoję uwagę i zbadał je bliżéj; po innych przesunął się, a trącił o nie jakby mimochodem. Te obszerniéj, te krócéj, te w osobnych dziełach, te w pisemkach ulotnych i artykułach traktował. Ale te nawet przedmioty, które zyskały honory oddzielnego dzieła, nie wszystkie można uważać jako wyczerpane; nie każde z dzieł jako całość wykończoną i zupełną.

Do rzędu tych ostatnich należy książka: Typy i Charaktery. Zdaje się, iż nie była jako całość obmyślana, wymodelowana i naraz z rozpuszczonego spiżu odlana. Raczéj widać składała się powoli z pism różnych epok, z rozmaitych studyów, w niejednakowém usposobieniu ducha i pod odmiennemi wrażeniami pisanych. Niektóre też niezupełnie wstawić się dają w ramy zakreślone przez autora. Bietka i Krystyna należą raczéj do fenomenów, jak aerolity wpośród kamieni. Rotmistrz Jakubowski jest powiastką drobnych rozmiarów. Trafny zkądinąd urywek o dowcipie jeszcze mniéj, sądzimy, zastosowaćby się dał do dzieła, któreby rościło prawo do ścisłego zamknięcia się w stale określonych granicach. Szlachcic jest właściwie typem, ale wieleżto razy ten typ skreślony już był w silniejszych rysach i bez tego pessymizmu, który często szarą, zbyt szarą farbą nawodzi obrazy i obrazki pana Kraszewskiego. Paliwoda i Zawalidroga odznaczają się humorystycznym akcentem, właściwym przedmiotowi; ale mówiąc nawiasem, w znaczeniu zwyczajnie przyjętém, paliwoda znaczy raczéj kłamcę, człowieka który rozpowiada rzeczy niepodobne, chwalcę, który szczyci się wykonaniem tego, co nigdy nie było i nie mogło być dokonane. Dobry człowiek, reformator, motyl są klassycznie skreślonemi charakterami.

Nie mamy potrzeby rozszerzać się nad tém, ile w rysunkach pojedynczych osób jest lekkości, śmiałości i siły; ile zwro-

tów zręcznych, ile uwag trafnych choć pobieżnie i jakby z niechcenia rzuconych. Biegły rysownik w każdym pociągu ołówka się cechuje. Ale pomimo tego książka ta nie zaspakaja: brak jéj myśli ogólnéj, cechy, wyrazu, charakteru. Nie odbija się w niéj ani człowiek w ogólności, ani pewne społeczeństwo, ani epoka. Jestto kilka trafnych rysów do historyi obyczajów różnych epok. Jestto zbiór fragmentów różnolitych, mających wiele zalet, oprócz wspólnéj rodowości, oprócz podobieństwa familijnego. Jestto album, w którém jest kilka rysunków z natury, kilka z pamięci lub fantazyi, arabesk o dowcipie i kilka karykatur. Każdy kawałek, jak to już powiedzieliśmy, robiony w innym czasie, pod inném wrażeniem i w inném usposobieniu fantazyi. Nie jestto przecież dzieło, któreby albo za filiacyą i przeniesienie na pole naszéj literatury i naszych obyczajów pierwowzorów Teofrasta i Labruyera uważać można, albo za utwór odmienny formą i treścią, ale w tym samym duchu poczęty. O wyższym poglądzie na człowieka, społeczność, epokę ani mowy przy niém być nie może. Zawsze jestto cegiełka do budowy, rys do obrazu obyczajów i charakterów rodzinnych, za który wdzięczność się należy znakomitemu pisarzowi.

Żałujemy, że autor Typów i Charakterów nie zwrócił większéj baczności i starania na dzieło, które przy jego wysokim talencie i duchu spostrzegawczym, mogło się było stać prawdziwym pomnikiem w literaturze. Skupiając w sobie treść tak pracowicie uzbieranych, taką przenikliwością oka i taką podniosłością umysłu nacechowanych pojęć, wyobrażeń i zdań autora o świecie, życiu i ludziach, byłoby jedną z tych trwałych budowli, których czas tak prędko nie trawi, a potomność starannie pielęgnuje. Niepospolite jego myśli i pogląd na stosunki społeczne byłyby zyskały na sile i wydatności w tém skupieniu, a forma sama dzieła takiego, wymagająca większéj ścisłości i systematyczności, byłaby wprowadziła pisarza na pole nowych uwag i spostrzeżeń, których w powieściach nie mógł dotknąć, albo przebiegł bez zgłębienia.

(Dokończenie nastąpi).

Wyjątki z Baśni p. t.

KSIĄŻĘ NA OSTROGU (*).

W najmilejsze brzęknę struny....

Bo ci w ustach skrzepły słowa,
I coś piersi ledwie dyszą,
I spuszczona na dół głowa,
I kozackie wąsy wiszą!

I ja nie znam co rozkosze,
Całe życie biédę noszę;
Lecz choć nieraz mi zaskurzy,
To ja śmieję się w najlepsze:
Zobaczymy kogo dłużéj,
Zobaczymy które przeprze!

Miałem chatę gdzieś pod słomą,
Gdziem się rodził, gdziem się bawił;
Aż tu ojcze, nie wiadomo
Zkądś na stepie czort się zjawił,
Jak wziął kręcić tumanami,
Nieść snopami, rwać dachami:
Tak najpierwéj z mojéj chaty
Porozrzucał snopki, łaty;
Potém w zęby złapał drzewo,
I na prawo i na lewo
Nuż szamotać śród wichury:
Pogryzł ściany w drobne wióry.

Miałem konia od Czumaka,
Kupił jego za psie grosze;
Czumak sprzedał konia ptaka,
Tożto chodził, widzieć proszę!

(*) Baśń ta napisaną była przez jednego z przyjacioł autora jeszcze w r. 1849, pod wrażeniem opowiadania o Ukrainie. *Przyp. aut.*

Niech daruje Pan Dobrodziéj,
Dziéwka w tańcu tak nie chodzi!
Czumak głupi zna się może
Na stokfiszu, na wyzinie,
I na sadle, co w rogoże,
W maty, w czorty jak owinie,
To i wiezie w woły siwe
Do Odessy, do Kijowa;
Nie Czumacza na to głowa
Żeby konie znać prawdziwe!
Wziął trzy woły na zamianę.
Oj! takiego jak bułany,
To już ojcze mój kochany
Chyba w niebie tam dostanę!

Zajeździłem konia w drodze
Do dziewczyny, do niewiernéj;
A dziś Boże miłosierny,
Z krzywym kijem po wsi chodzę!
Trudna rada, jednak żyję,
Na pociechę wódkę piję;
Wódkę piję, w torban dzwonię,
Miła w sercu dawna nuta!
I z dnia na dzień biedę gonię
Taki oto szałaputa.

Jeszcze tylko torban służy
O trzech strunach. Ej! ładaco,
Reszty kupić nie ma za co.
Niechaj służy jak najdłużéj,
Bo jedyna to pociecha!
Jak się spojrzę na to drewno,
Jak się do mnie tęskno, rzewno
Torbanisko to uśmiecha:
To mi w piersiach tak przestrono,
Tak stepowy wiatr tam wchodzi,
Tak się w duszy coś pogodzi,
Jak tych niebios jasne łono,
Kiedy zorzą nad stepami
Bożym świtem się rozpłonie!
Kładę palec nad strunami
I powoli brzęczę, dzwonię,
Aż zagrają dumy w głowie.
Niechże wtedy kto mnie powie
Że ja kozak nieszczęśliwy:
Ja szczęśliwy, jak Bóg żywy!

. . . . . O słobodzie
Zawsze pełna myśli głowa,
O słobodzie, o narodzie!...

Co to ojcze! wasza dola
Była jeszcze kiedyś gorszą,
Gdy Ostrogski wyszedł w pola
I nuż sprawnie grać pod *Orszą*.
Z nim mołodce, by step bujny,
Poruszany tchnieniem sławy;
Byłto hetman mądry, czujny,
Godny czapli i buławy.

Głowa harda, podgolona,
A wąs taki na ramiona;
Zawsze ręka z szablą razem,
Jak żelazo ze żelazem.
Gdy się modli, bierze skrucha,
Kiedy mówi, czuj duch słucha.

Kto nie zaznał co niedola,
Ten nie z chęcią idzie w pola:
Lecz Konstanty znał się na tém,
To i wiedział komu bratem!...

Oj! jak orzeł za szczeblami,
Tak on siedział za kratami.
Kajdanami, obrączkami,
Poprzerzynał białe nogi;
Żelaznemi naręczniami
Skrwawił ręce. Boże drogi!
W ciemnéj jamie, na rogoży,
Czy noc chmurna, czy dzień boży,
Kto się dowié? Ot swoboda,
Słup i łańcuch, chléb i woda!

I tak byłby zmarniał może
Wysiadując tę niewolę,
Gdyby nie był się w sokolę
Zmienił postać: i nad mury
Nie wyleciał ponad chmury
Na rodzinne Zaporoże!

Wtedy kozak, jak ja oto,
Siedział pieją̨c dumkę złotą,
A koń przy nim szczypał trawę.
Jedną razą, kiedy łzawe
Zwróci oczy, aż tu z góry
Leci sokół szparkopióry,

Leci, leci i upada;
A no, tak nasz brat zagada:
— „Hej! ty ptaku z któréj strony?
Czy daleka twoja droga,
Co tam robi utęskniony,
Uwięziony kniaź z Ostroga?"
Na to sokół:—„Bracie miły!
Przedzierzgnął się w ptasią postać,
I tak leciał co miał siły,
Byle się na stepy dostać.
I przyleciał w Zaporoże
Od poroga do poroga,
„Na koń bracia w imię boże!
Ja to jestem kniaź z Ostroga."
I przemienił się w hetmana,
W kozackiego atamana!

Ach! tak zaraz sto kureni
Konno, zbrojno, wystąpiło,
A co potém ojcze było!
Jeszcze dziś się step czerwieni,
Jak się szable rozmachały,
Jak się spisy rozigrały!

Jaka dusza! oh! jedyna:
Było weźmie żupan suty,
Pas ze złota, krasne buty,
To się śmieje hej! Dubyna!
Ty lackiego widzisz pana
Nie kozaków atamana.
— „Wirno batku" a gdzie smoła?
I z pięknego jak anioła
Czarny diabeł ojciec drogi
Kapią smołą ręce, nogi,
Taki miły, ot brat wierny,
Ach ty Boże miłosierny!

A w Stambule, w Trabiżondzie
Sułtanowi jak podkadził,
Wszystkie dziewki mu poczadził.
Płomień straszny jak na sądzie
Ostatecznym. Sułtan kłania,
A on jego wziął za ucho:
„Nie chcę twego przepraszania
A nie ujdziesz mi na sucho;
Dosyć tobie w świecie broić,
Trzeba ciebie uspokoić."

To się sułtan kłania, prosi,
Co ma tylko wszystko znosi:
Srebro, złoto, atłas biały,
Nic nie nada: „Weź ty sobie!
Na co nam się srebra zdały?
Ja atłasem nie ozdobię
Mojéj duszy" To znów błaga,
Ale wszystko nie pomaga!
Aż dopiéro na Talmudzie
Jak poprzysiągł: że nie ruszy
Chrześciańskiéj żadnéj duszy,
Tak dopiéro nasi ludzie
Odstąpili: „Dziękuj Bogu,
A znaj kniazia na Ostrogu."

Gdy postarzał, że z świetlicy
Nie mógł na świat wiele chodzić,
By tęsknotę ułagodzić,
Kazał sobie przy łożnicy
Na torbanie co dzień grywać,
I kozackie dumy śpiewać.
To jak nieraz się zasłucha,
Siedzi martwy jak bez ducha:
Ręce na pierś założone,
Tylko usta uśmiechnione,
Tylko wąs się czasem ruszy.
Kiedy mu tam coś do duszy
Jakoś więcéj przemówiło;
To się oko roziskrzyło,
I odetchnął jakby zdrowe
Pił powietrze, to stepowe!
Gdy usłyszał rżenie koni,
To leżący hetman stary
Wyschłą ręką macał broni,
Na pogany, na Tatary.
I tak oto miły panie,
Skończył hetman przy torbanie,
Sławny człowiek!....

To ja nieraz
Kiedy dziad pod cerkwią siedział,
Były grosze nie jak teraz,
To i dałem, by powiedział
Téj przeczystéj, temu zbawcy
O hetmanie, Ukrainie;
To dziad siwą głową skinie,
Więc jak z Bogiem się rozgada,
To mu z oczu łza upada.

Bo to mówią, że Piotr święty
Póty nieba nie odkryje,
Aż człek łzami się obmyje,
Aż to wszystko, co przeklęty
Czart narzuca, nie oczyści,
Wszystkich grzechów, nienawiści.

* * *

Jak nic nie mam, a coś czuję
Że się z światem poprobuję;
Stracił siodło, kożuch, konia,
Pogardziła harda Donia,
Nie ma maty, ani chaty,
Ukraina moja maty,
Puszczaj czortu! Piosnka dzwoni
Na dobranoc mojéj Doni!
Kiedy stepem w nocną ciszę
Kozak w siodle się kołysze,
A bułany pod nim prycha:
Uciekają wszystkie licha,
I kryją się w owéj porze
Jak tumany na jeziorze.
Kiedy słońce spojrzy na dno,
Tak zaginą i przepadną,
Jak to dzikich gęsi granie,
Co to lecą nad stepami,
I przelecą i czasami
Słychać tylko ich gęganie!

T. L.

JERMOŁA.

OBRAZKI WIEJSKIE

PRZEZ

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy).

Zmierzając do chaty garncarza, położonéj na wzgóreczku, gdzie pod wspaniałą starą gruszą widniał zasklepiony świeżemi garnkami piecyk garncarski; Jermoła począł się bardzo namyślać i zdało mu się wreszcie, jakoby wpadł na niewinny a szczęśliwy podstęp: rozjaśniła mu się twarz stara i pomarszczona, zatarł ręce, raźniéj i ochotniéj przestępując próg Prokopa.

Po wydaniu za mąż córki, stary zdun małyczkowski mieszkał z parobczakiem i gospodynią młodą jeszcze rekrutką, uchodzącą za jego ulubienicę, w opustoszonéj chacie, wiodąc życie wiejskiego hulaki i wygodnisia. Pracował mało, wierząc już w stare ruble, rzadko się brał do toczenia i wypalania, częściéj w karczmie zasiadywał, lub w domu z gosposią wywczasu zażywał.

I teraz właśnie zastał ich we dwoje Jermoła nad kwartą wódki i misą kwaśnego mléka ze śmietaną. Prokop poszpakowaciały już starzec, krzepki był jeszcze: ogromne chłopisko, barczysty, silny jak dąb,

z brodą po pas. Spojrzawszy nań znać było, że się jeszcze mógł poborykać z niedźwiedziem. W karczmie gdy sobie podpił, obawiali się go wszyscy, bo chłopami jak gruszkami rzucał, pod oś plecy podłożywszy wóz ładowny dźwigał, a korcem zboża zamiatał jak plewą.

W butach juchtowych po kolana, w szarawarach białych, skrojonych z kozacka, w szaréj koszuli z guzem ogromnym i sutym czerwonym pasie; Prokop siedział z łyżką nad misą naprzeciw rekrutki, która do niego białe wyszczerzała zęby i śmiała się ręką zasłaniając. Znać jéj niedorzeczności prawił, gdy Jermoła pokazał się z pobożném pozdrowieniem w progu.

— Sława Bohu!

Trochę się znali i wprzódy, ale Prokop dla każdego był gościnny póki nie podpił i nie zadarł się, a nie począł być strasznym; wstał więc z ławy, rekrutka uciekła, a starzy się przywitali.

— A z czém Pan Bóg prowadzi?—zapytał gospodarz—napijemy się na dobry czas?

— Napijemy — odparł Jermoła — choćto ja nie zwykły.

— E! jeden nie zaszkodzi.... i zaraz do dzieła, jeśli jakie macie....

— A jest tam coś trochę—rzekł przybyły—ale to długo gadać.

— No, to wcześnie zaczynać trzeba....

— Poczekajcie, niech trochę odetchnę...

— Jak sobie chcecie.

Powoli i rekrutka pokazała się z alkierza. Sprzątnięto misę, zostawując wódkę; poczęli stękać na czasy, na drożyznę, Prokop jął kląć rzemiosło i rozgadali się jakoś serdecznie.

— Otóżto trzeba wam wiedzieć — rzekł Jermoła nie bez obawy—że i ja jestem także syn garncarski, a dziadowie moi z dawien dawna byli zdunami.

— Oho! — z niejakiém podziwieniem odezwał się Prokop—doprawdy?

— Tak jest w istocie, ale ojciec i matka odumarli mnie w maleństwie: ledwie troszynkę mogłem się przypatrzéć rzemiosłu. Jeszcze dodziśdnia na dawnym naszym ogrodzie jest stare piecysko zielem zarosłe, ale ta ojcowizna poszła w obce ręce....

— Jak świat światem w Popielni o garncarzu słychać nie było.

— Bo ojciec był z Wołynia, a tu krótko robił.

— A to co innego—wódkę popijając rzekł Prokop.

— Otóż widzicie, na starość zachciało mi się powrócić do rzemiosła—wybąknął Jermoła.

Prokop spojrzał mu w oczy i poskrobał się w głowę coś mrucząc.

— To ty mi kawałek chleba chcesz odebrać?— ofuknął się groźno.

— E! posłuchajcieżno — rzekł Jermoła—jeszcze go może i wam dam: nie strachajcie się-no zawczasu.

— Gadajże, gadaj.

— Syna nie macie, córkę wydaliście za gospodarza, sami dosyć nachowaliście grosza: jużby wam i czas odpocząć. Tu glina nie do rzeczy, musicie jeździć z garnkami daleko, bo koło siebie ich nie sprzedacie, takieto nicpotém....

— O! o! a ostrożnieno bracie! co gadasz!—ofuknął się, pięścią w stół stukając gospodarz.

— Nie gniewajcie się: toć się bez was nic nie zrobi..

— Ty mnie chcesz obedrzéć!

— Nie! nie, jeszcze się wam z tego darmo kawał chleba okroi.

— A nu! to gadaj, czortby miał twoję duszę...

— Ot jak: ja sobie łatwo przypomnę rzemiosło, byle mi cokolwiek pokazać, bo ono we krwi jest... Założycie wy ze mną piec w Popielni, dopilnujemy razem

wypalenia, a za to póki waszego życia, połowę zarobku mego do was należéć będzie, choćbyście sobie do góry brzuchem leżeli....

Prokop bardzo zaczął trząść głową.

— Dobreby to było; a kto za was zaręczy?

— Wasz pan....

— Rotmister! stary rotmister!—krzyknął Prokop.

— A no, on! bo téż to on widząc gorzką moję dolę na starość, tę radę mi podał.

Prokop zafrasowany aż się za brodę targnął.

— Hde rym, hde krym! Rotmister! on tobie to poradził? Alboto wy wiecie co nasze rzemiosło? Wam się zdaje, że garnek zlepić jak grzędę skopać, albo piec wypalić i to mała sztuka. Atoć ja całe życie robię garnki i niezawsze mi się udaje.

— Bo wam już się niebardzo chce tém zajmować: macie grosz, chatę, chléb, a na co wam to?

— Nu! to prawda... ale ty mój stary także niełatwo się nauczysz: tu potrzeba młodéj głowy...

— Poprobujcie, i Rotmister wam będzie wdzięczen.

— Krocsetby diabłów zjadł ze swoim Rotmistrem, —mruczał Prokop—jemu człowieka obedrzéć to nic.

— A jeśli w Popielni lepsza się glina znajdzie na białe garnki? Wy to tylko palicie czarne, a to lichota....

Prokop aż się zerwał z gniewem; oczy mu krwią zachodziły.

— Lichota!—krzyknął—ej stary! jak cię pochwycę, to cię i twój Rotmister z moich łap nie wyrwie.

— A co wam z tego przyjdzie, jak biédnego człowieka i sierotę zgubicie—rzekł potulnie Jermoła.

To rozbroiło starego Prokopa. Uśmiechnął się.

— Jaką sierotę?—zapytał.

— A to nic nie wiecie?

— Nic, jeździło się po świecie; gadajże co to za sierota?

Rad z uspokojenia gospodarza, który choć gwałtowny i popędliwy, niezłe w istocie miał serce: dworak rozpoczął swoje dzieje z tą szczegółowością, z jaką zwykle wieśniacy każdą rzecz opowiadają, nie pomijając najdrobniejszéj okoliczności. A potrafił je tak rozpowiedzieć, że Prokopa i zajął i poruszył; zawołał gospodarz rekrutki żeby słuchała także, i ani się opatrzyli, jak godzina upłynęła wśród gawędy z Jermołą. Uczucie wywołało uczucie, zbudziła się w sercach litość; Prokop klął, ale już nie gościa, tylko te gadziny, które śmiały biédne dziecko porzucić tak na drodze na los szczęścia, na sierocą dolę. Położenie Jermoły usposobiło go do przyjścia mu w pomoc, a może téż i wspomnienie rotmistrza, którego się wszyscy obawiali, pomogło nieco do tego; dosyć, że gdy wstali od stołu po kilkogodzinnéj gawędzie, stary garncarz obiecał nazajutrz przyjechać do Popielni dla zobaczenia razem i dziecka i gliny.

Wziąwszy odeń słowo, które zapić potrzeba było dla mocy kieliszkiem wódki, Jermoła wstąpił jeszcze do dworu opowiedzieć się rotmistrzowi, i pospiesznie, naprost, ścieżyną przez lasy mało komu znaną pobiegł do Popielni, co chwila już niespokojniejszy będąc o swego wychowanka, że mu Horpyna spać nie da pieszczotami, lub przysmakami zakarmi.

Spocony, umęczony, z zaschłemi usty, padając ze znużenia, miotany niepewnością co jutro będzie z garncarzem i czy się uda lub nie proba; w obawie, żeby darmo czasu nie stracić, wrócił Jermoła do chaty kozaczychy, a pochwyciwszy Radionka, którego jak po pół-rocznem niewidzeniu wyściskał, niebardzo chcąc się spowiadać z tego co zrobił, pospieszył do swojéj chaty.

Nazajutrz raniuchno był już na nogach. Dziecko znów musiał zanieść Horpynie, bo nosić się z niém nie

było podobna: sam począł zamiatać i biegać przyspasabiając wódkę i obiad mięsny w piecyku dla spodziewanego Prokopa, którego lada czém zbyć nie wypadało, bo gębę miał popsutą.

Nie chybił zdun stary i około ósméj zajechał wózkiem jednokonnym przed karczmę. Umieszczono jakkolwiek konia pod ścianą obwaloną w zakątku; a że Prokop wódki się napiwszy naprzód zażądał widzieć siérotę, poszli po kilku kieliszkach do kozaczychy. Tu się ich widać spodziewano, a starucha sprzyjając Jermole, trochę też przez próżność chcąc się pokazać i wystąpić przed obcym, nagotowała krupniku z miodem, przyrządziła kiełbasę, największy przysmak na jaki zdobyć się mogła, a w dodatku i jajecznicę, co przyjęcie to podniosło do najwyższego stopnia przepychu, niepospolite dając Prokopowi wyobrażenie o zamożności domu.

Stary zdun wprawiony w doskonały humor, nie mógł się odchwalić sierotki: prawda, że Jermoła popisać się z nim umiał. Daléj tedy gdy nasz dworak wrzał z niecierpliwości, wyszli jakoś nareszcie szukać gliny we dwóch, choć Prokopowi od misy i flaszy niebardzo się chciało, i rad był odłożyć na kiedyindziéj.

Jermoła gorąco Pana Boga prosił, żeby się dobra glina znalazła, ale prawdę rzekłszy, ani pojęcia nie miał gdzie jéj szukać, ani nadziei znalezienia: ufał jednak że to się powiedzie więcéj w Opatrzność i los, niż ludzi. Słysząc zawsze, że dęby rosną na pokładzie glinianym; wiedząc, że glinę do obmazywania chat brano zawsze nieopodal od drzew, koło jego ogródka, w miejscu właśnie gdzie siérotkę znalazł, które się nawet glinkami nazywało: instynktem poprowadził tam zduna.

Wzięli z izby rydel, czyli jak go tam zowią zastup, i z milczącym Prokopem, który dla nadania sobie powagi obie ręce za pas pozakładał, poszli oba za pustkę na wzgórze.

— Ale to tu szczére piasczysko,—rzekł stary—glina musi być bardzo głęboko, i kto wié, czy się zda na co: niżéjby szukać jéj potrzeba.

Postąpili kilka kroków, i jakoś niedaleko dęba, który Jermoła Radionowym nazywał, dworakowi kopać się koniecznie zachciało.

Prokop, że to był rozkoszniś i fatygi nie lubił, zaraz sobie usiadł na ziemi, a Jermoła plunąwszy w dłoń, zamaszysto wziął się do kopania. Zrazu co odrzucił, licha było warte: piasek szary, piasek biały, piasek żółty i żwir, aż zastup coś twardszego napotkał i pokazała się glina... Ale i ta nicpotemu: prosto żółta i kamyczkowata, jeszcze w niéj nadto było piasku.

Pokazał na rydlu próbkę Prokopowi, ale ten na nią wzgardliwie spojrzawszy, ruszył tylko ramionami.

— Kopcieno daléj—rzekł sapiąc po kiełbasie i jajecznicy—a dajcie mi swoję fajkę.

Oddałby był nie lulkę, ale ostatnią koszulę Jermoła, byle załagodzić Prokopa; żywo więc pozbywszy się cybuszka, jął się dalszéj roboty w milczeniu.

Po téj glinie, coraz zsiadlejsza i gęstsza pokazała się druga, ale i z téj Prokop jeszcze nie był rad: nie byłato prawdziwa garncarska. Nareszcie w trzeciéj szychcie zazieleniało coś i pokazało się nie wiedzieć do czego podobnego, płowego, gęstego, zsiadłego jak kamień. Jermole aż w sercu zastygło: odrzucił precz dobytą ziemię, sparł się na zastupie i westchnął. Wtém oko Prokopa padło na odrobinę téj ziemi wyrzuconéj pod nogi, twarz mu pojaśniała, porwał ją w palce, roztarł, posmakował.

— O! o! toście to wy wiedzieli o téj glinie na pewniaka!—zawołał—wiecie wy co to za glina: takiéj tu nie ma nigdzie naokoło aż we Włodzimiercu!.. O! filut z ciebie stary!—zakrzyknął Prokop, rzucając fajkę.

Jermoła zaniemiał, ale mu wypadło udać, że istotnie szedł z wiadomością rzeczy, tam, gdzie w istocie Opatrzność go tylko prowadziła. Uśmiechnął się.

— A głęboko to tego: poprobujcieno? — zapytał garncarz...

O! o! będą garnki! i jakie! Na dwanaście mil nie ma takich prócz Włodzimierca... śliczna glina, choć ją łyżką jeść jak masło.

Jęli już oba kopać i rozgrzebywać, a warstwa tego drogiego pokładu pokazała się obfita. Przerzynały ją wprawdzie wązkie żyły bielszéj z piaskiem jeszcze i żwirem pomieszanéj, ale te zaledwie okazywały się i znikały, a zielonawa śliczna glina zdawała się niewyczerpaną... Zawiązali jéj w płachtę dobrą kupę dla sprobowania, i zapiwszy tę sprawę, Prokop siadł na wóz strasznie głową kiwając, a spiesząc do Małyczek.

Takim sposobem odkryto w Popielni glinę, o któréj wprzód nikt nie wiedział, i piérwszy garncarz z radością w sercu niewysłowioną, pokląkł się pomodlić w swéj izdebce, po odjeździe Prokopa.

— Dziécię chléb będzie miało!—wołał odchodząc od siebie z radości—dzięki ci Panie Boże, żeś mnie wysłuchał! Dziécię chléb będzie miało!

Pan Bóg radzi o swéj czeladzi, powiada przysłowie, a czeladź boża to wszyscy ludzie dobréj woli, w których życiu tak znać widoczną rękę i pomoc bożą, jak często w losach dzieci ciemności i zła, widome są skutki grzechu. Świat ten zbudowany tak przemądrze, kierowany tak cudownie, że na nim samo dobro spełnione owocuje naturą swoją, a złe niesie karę i zgniliznę jak chorobliwy pierwiastek. Często dla oczu ludzkich niewidocznemi zrazu są te działania wielkich owych czynników, ale w końcu wychodzi na jaw głośno, co się wśród ciszy fermentując przygotowywało. Często znowu ostateczne skutki dobra i zła spełnionego na świecie, poza granicami jego dopiéro się rozwijają: tam już sprawiedliwość boża każe ich się tyl-

ko domyślać. To pewna, że w żywocie ludzkim gdziekolwiek znajdziesz miłość i poświęcenie, za niemi idą w ślad spokój wewnętrzny, ubłogosławienie ducha, siły nadspodziewane, potęga sięgająca cudu. Nic dzielniéj nie kieruje wolą i nie nadaje jéj większego znaczenia. Miłość ma jasnowidzenia nieziemskie, ma wiedzę wlaną, instynktową, niechybność zdumiewającą.

Gdziekolwiek się ona i w jakiejkolwiek objawia formie, poznasz królowę: w zwierzęciu nawet wydziedziczoném, ilekroć je instynkt podnosi chwilowo do przeczucia miłości wyższéj, macierzyńskie przywiązanie, związek dwóch istot uszlachetnia je i niemal przybliża do człowieka. Nie ma smutniejszego bytu nad żywot anormalnie nacechowany samolubstwem, nienawiścią, wydzieleniem się z ogółu. Swiat stoi tą wielką więzią miłości, która go czyni całym i jednym, a w czyjém sercu jéj nie ma, odpadł od wielkiéj bożéj rodziny.

Miłość bezsilnego starca, jakim był Jermoła, przetworzyła go cudownie: nad grobem tchnęła weń życie nowe, i dała mu siły, jakich nie miał w młodości. Spytacie może: czemu-m tak maluczką istotę wybrał na przedstawiciela skutków tak wielkiego i wzniosłego uczucia? Ale jestże co małem i lichem z miłością w sercu? Zresztą powtórzę zawsze: natura maxime miranda in minimis. Prawda ta nie do jednego mikroskopowego świata naturalistów zastosować się daje: w świecie moralném czasby ją téż przystosować.

Po znalezieniu garncarskiéj gliny w Popielni, wielkim w życiu Jermoły wypadku, poszło już wszystko staremu jak z płatka, choć nie do wiary zdawało się prawie ludziom, żeby zgrzybiały niemal staruszek, jął się skutecznie zupełnie sobie nieznanego rzemiosła. Ale wola wszystkiém jest w człowieku, a kiedy nią skieruje uczucie silne, czegóż we dwoje nie dokażą?

Na probie w Małyczkach, gdzie się piec właśnie zasklepiał do wypalania, gdy parę garnków wytoczył

Prokop z nowéj gliny, i poznaczywszy, umieścił je między swojemi; kiedy następnie ostudzono je i rozebrano, wyszły potém dwa białe, śliczne, dzwoniące, lekkie, a tak różne od wyrabianych z małyczkowskiéj ziemi, że i Prokop i wszyscy przytomni osłupieli.

Żaden z nich nie pękł przy wypale, i kiedy je przywieziono do Popielni do chaty kozaczychy, zeszła się gromada podziwiać tę osobliwość, a Jermoła całował je i płakał.

Z Prokopem umowa o naukę, o postawienie pieca, urządzenie garncarskiego warsztatu stanęła bardzo łatwo; szło już tylko o ekonoma Hudnego, od którego też pozwolenia było potrzeba na kopanie gliny i wystawienie pieca w ogródku. Szczęściem pani ekonomowa obiecywała sobie z tego wygodę: podarowano jéj jeden z garnków na probę wyrobionych, i pan Hudny nie mógł być bardzo przeciwny. Nie chcąc jednak wyjątkowo odstąpić od prawa przyjętego, dał do zrozumienia, że Jermoła powinien mu się będzie opłacić. Tymczasem nowemu garncarzowi nim został rzemieślnikiem, tyle razem wypadków spadły na głowę, że nie miał im czém podołać; Prokop darmo się nie ofiarował, a warsztat i kopanie, i cegła, i przyrządy kosztowały także. Izba okazała się zamałą, drugą więc, obok potrzeba było wyłatać i oporządzić: czasu straciło się dużo, grosz zapaśny wprędce się wyszastał.

Nim cokolwiek przyszło z tego korzyści, trzeba się było zadłużyć po uszy. Przychodziło wprawdzie na myśl staremu ruszyć owo złoto Radionka, schowane skrzętnie, ale miał wstręt od tego; a obawiał się nie bez przyczyny, żeby pokazanie się dukata nie obudziło niepotrzebnych domysłów i nie spowodowało jakiego prześladowania.

Stara kozaczycha choć skrobiąc się i kiwając głową, ale że lubiła malca i Jermołę, potrosze rozwiązywała węzełki i podsycała go ciągle: im większy je-

dnak był wydatek, tém więcéj obawiała się, żeby całéj téj garncarki licho nie wzięło, i wyrzucała sobie, że do niéj namawiała w początku.

Prokop, którego rotmistrz zawołał do dworu i surowe dał mu napomnienie, żeby się zajął nauką Jermoły, potrosze w tém i swego pilnując zysku, wziął się zaraz do roboty.

Hudny dostał 20 złotych za pozwolenie kopania gliny i wystawienie pieca; najęto dwóch ludzi do wyporządzenia izby, i w kilka tygodni stary Jermoła już niesił, gnoił, toczył, suszył, zabierając się do wypalania piérwszych garnków popielańskich. Sam Prokop pilnował ognia, i tak ślicznie wyszły, że ich w stratę nadzwyczaj mało odpadło; a kiedy je rozstawiono w izbie aż się oczy radowały, tak wyglądały schludnie i pięknie, tak dzwoniły, obiecując być trwałemi. Probę gotowania i drugiego ognia wytrzymały zwycięzko; a że nowość i na wsi popłaca, w kilka dni nie było jednéj misy i jednego garnka na składzie, tak się doskonale sprzedały. Nie popłaciło to długów, ale kozaczycha odebrała część jakąś, grosz się staremu został, Prokop się pożywił swoją częścią, ekonomowa uprowidowała, a nadzieje na przyszłość jak najpiękniejsze się być zdawały.

W czasie całego tego zamętu, małego Radionka Jermoła nie spuścił z oka ani z rąk, o ile tylko mógł. Chłopak się też stawał coraz mniéj zawadny: rósł, roztropniał i już można było przewidziéć, jak śliczne zeń będzie pacholę. W najkłopotliwszych chwilach Jermoła porzucał go u Horpyny, która temu gościowi zawsze była bardzo rada; ale nocy nigdy mu nie dał przebyć pod obcym dachem, bo smutno już było na dłużéj pozostać bez dziécięcia. Nawet biédna koza w takich razach nie wiedziała co począć: zostawszy przy dziecku beczała za starym; pobiegłszy za Jermołą, tęskniła do Radionka.

Szczęściem najtrudniejsze do przebycia piérwsze chwile nauki i wprawy przeszły wprędce. Jermoła przekonał się o prawdzie przysłowia, że nie święci garnki lepią, i uczeń pojętny pochwycił żwawo piérwsze zasady swéj sztuki; ale toczenie i lepienie, przysposobienie gliny, daleko było łatwiejsze od układania garnków w piecu i wypalania ich. Tu umiarkowanie ognia, dopilnowanie go, zagaszenie w porę, poznanie dojrzałości, żeby wpół surowe lub przepalone nie wyszły: stanowiły dość trudne zadanie, potrzebujące i wprawy, i doświadczenia, i wiadomości pewnych.

Prokop, który chciał zawsze być staremu potrzebny, tajemnice owe półgębkiem tylko wyjawiał: musiał je odgadywać Jermoła, sam niejako domacując się prawdy. Silna wola skupiająca wszystkie władze umysłu na ten jeden przedmiot, i to mu wielce ułatwiała.

Piérwsze lody były przełamane, a gdy zima przeszła, a druga wiosna zalała brzegi Horynia; gdy znowu flisacy pokazali się nad rzeką, Jermoła już naprawdę został garncarzem, i cały swój zapas garnków sprzedał cieślom i robotnikom przy drzewie. Rozerwano je w okamgnieniu: ekonomowa się pogniéwała, stary swoje nawet garnuszki musiał pooddawać.

Mały Radionek rósł tymczasem szczęśliwie i tak się bujnie rozwijał, że w sercu było błogo nań patrzéć. Bełkotał już to słodkie imię ojca, które łzy z oczu wywoływało Jermole: probował chodzić, nie potrzebował staréj kozy, bo i ze skórką chleba dał sobie rady, a żydówka poczciwa służyła mu tylko do zabawy.

Przybyło i koźlę do tego gospodarstwa, za co się Jermoła nie gniewał, choć więcéj niém zajęta żydówka, przeniosła często naprzykrzone dowody swojego przywiązania na rodzonego syna. Radionek téż zabawiał się z tym braciszkiem jeszcze wcale niestrasznym w sposób tak śmieszny, że stary często patrząc na nich dwoje, brał się za boki; a że późniéj miał zawsze po-

wód do tego wyściskać dziecię, i koźlęciu był wdzięczny.

Do téj smutnéj i osamotnionéj przed rokiem pustki, dziś z podrzutkiem razem wstąpiły: nadzieja, wesele, i życie. Trudno było poznać Jermołę, tak wymłodniał, tak się stał czynnym i żwawym. Część karczmy, którą zajmował wyłatano, na nowo pokryto, wyporządzono drugą izdebkę, ogród gdzie teraz był piec miał już płoty i wrota porządne: widać było choć powolny wzrost zamożności. Do kozy i jéj synka przybył służka nowy, którego do pomocy wziął Jermoła: chłopak lat około dziesiątka, sierota także, zwany Huluk; samemu trudno już było podołać na wszystko, a wyrostka miał czém zapłacić. Kobiéty tylko brakowało w chacie, ale stara kozaczycha zastępowała im gospodynią: u niéj się chléb wypiekał, bieliznę szyła i prała, a poczęści warzyła strawę, i przygotowywała zapasy spiżarniane.

Ile razy Jermoła chwalił się swojém garncarstwem, wdowa zawsze przypominała mu ów pęknięty garnek, który do niego piérwszą myśl podał; a jak często zdarzenie to opowiadała, wyliczyć trudno. I jéj téż jakoś Bóg szczęścił w tém, czego najmocniéj pragnęła, bo Horpyna nareszcie wyszła za mąż bardzo świetnie. Pisarz ów, który oddawna do niéj dojeżdżał, umizgał się, kręcił, rozpatrzywszy lepiéj, a serca widać pohamować nie mogąc, naostatku oświadczył się staruszce. Nie było jéj to może zupełnie po myśli, bo choć córka szła za jednodworca i niby los robiła, ale wdowa wolałaby gospodarza, wieśniaka, któryby przy niéj został pryjmakiem. Chłopcu zaś o tém ani gadać było: na gospodarstwo wiejskie przechodzić nie myślał, wybierał się ekonomować i roił Bóg wié co: kozaczycha więc traciła córkę, i sama jak palec zostawała w Popielni na dożywociu. Po szumném weselu, kiedy żonę nazajutrz wziąwszy, pisarz odjechał z nią do domu:

wdowa w swéj pustéj chacie wytrwać nie potrafiła, tak jéj te kąty przypominające córkę osmutniały, i poszła na cały dzień do Jermoły. Odtąd rzadko doba upłynęła, żeby go nie odwiedziła, mogąc się z nim przynajmniéj wygadać o Horpynie, o swém sieroctwie, a taki i Radionek ją trochę obchodził, bawił i rozrywał: starucha przywiązała się doń powoli.

Przeskoczym teraz lat więcéj dziesiątka, i spojrzym znowu na tych, których porzuciliśmy dziećmi i starcami, pracujących z nadzieją na przyszłość.

Wiele się tu odmieniło, a naprzód niktby Radionka nie poznał, tak wyrósł i dojrzał zawcześnie.

Ludzie wiejscy, których dzieci pracą przybite powolniéj odrastają od ziemi, patrzyli nań z podziwieniem i potrząsali głowami, szepcząc pocichu, że w nim krew musiała być szczęśliwa i silna, która taki wzrost, wejrzenie i raźność mu dawała. W istocie ani go było porównać do rówieników ulicznych, ale też żaden z nich takiego jak Jermoła nie miał ojca, i nie wyrósł na kolanach ukochanym jedynakiem. Wśród tłumu zaraz na siebie ściągał oko: rysy twarzy miał bardzo regularne, owal nieco przedłużony, oczy piwne pełne życia, nos prosty, usta małe, i nieco wystające, co im nadawało wyraz szczególny, niby z odrobiną dumy, niby z uczuciem siły. Ten charakter fizyonomii powiększało jeszcze podgolenie głowy wysokie, będące we zwyczaju na Polesiu, istotnie twarz uszlachetniające uwydatnieniem czoła; na wierzchu tylko głowy pozostawiony włos długi, piękny, spadał na tył z fantazyą w puklach złocistych. W budowie jego ciała nie znać było, że mu brakło macierzyńskiego pokarmu: tak była silną i krzepką. Barczysty w ramionach obiecywał wzrost więcéj niż mierny, a wychowanie proste i nawyknienie wczesne do pracy, powietrza i niewygód, dało mu gibkość, sprężystość i zręczność niemal dzikiego zwierzątka.

W wejrzeniu Radionka malował się rozum bystry: śmiałe było i pewne, jakby o walce życia i ciężarach jego nie miało pojęcia, lub całkiem się ich nie obawiało. Gorących uczuć, ciekawy, żywy młody chłopak, wychowaniu starca troskliwemu i pieszczotliwemu winien był rozwinienie swoje, ciepłém sercem i miłością ojcowską przyspieszone. Miłość przelewa się w otaczające istoty, uzacnia, podnosi, nadaje rozum i władzę, jakiemi nic w świecie obdarzyć nie może. Otoczony opieką, czuwaniem i staraniem Jermoły, wszystko co go okalało od dzieciństwa widząc łagodném i przyjazném, przywykł do tych uczuć Radionek i upodobał w nich sobie: kochał wszystkich i czuł, że mu z tém było dobrze. Cała też wieś uważała go, rzec można, za swojego wychowańca; i wyjąwszy ekonoma Hudnego, zawsze jeszcze mieszkającego w Popielni, chociaż wybierającego się co roku na dzierżawę, który chłopca nie lubił, reszta go kochała i pieściła.

Wioskowa młodzież, chłopaki i dziewczęta szli na jego skinienie w każdéj sprawie, a on choć trochę lepiéj od nich wyglądał, choć więcéj umiał, nigdy nie pomyślał nadużyć swéj siły, albo się nią przechwalać. Usługiwał się drugim, ale nie szkodził nikomu. Żaden też ojciec ze krwi nie wychucha tak swego dziecięcia, jak Jermoła Radionka. W piérwszych latach hodował ciało; późniéj, gdy się oczy i usta otwarły, począł wypieszczać duszę i zbroić ją w siły na życie.

Instynkt przywiązania wskazał mu wybornie drogę, jaką miał postępować.

I stał się tu cud, który często niepostrzeżony przechodzi po świecie: nauczyciel wykształcił się razem z uczniem, wola wyrobiła serce, uczucie rozjaśniło rozum. Szukając dobra dla dziecka, Jermoła znalazł je dla siebie: z zamarłych nasion wyrosły owoce późne, ale piękne.

Chcąc nauczyć dziécię, musiał sam wprzód szukać nauki starzec: ślęczał, zgadywał, badał, modlił się i trafiał na to sercem, na co rzadko rozumem wpaść można.

Maluczko tam było téj nauki, ale wielkiéj. Dziécię umiało czytać, a innéj książki nie znało nad ewangelią..... Ta je odrazu wykarmiła zdrowém słowem życia.

Oprócz tego starzec zawsze w obawie, by sieroty zawcześnie nie odumarł, jak tylko rękami władać począł Radionek i siłę miał potemu, wprawiał go do rzemiosła, oswajał z potrzebniejszemi w powszedniém życiu tajemnicami, które oswobadzają człowieka, czyniąc go mniéj zależnym od drugich. Wieśniacy nasi wszyscy są jeszcze na tym stopniu pół-dzikich ludów, które wyższość ich nad ucywilizowanemi stanowią, mogąc bez cudzéj pomocy prawie wszystkie swe zaspokoić potrzeby. Chłopek umié mnóstwo rzeczy; codzień co innego robić będąc zmuszony, jest zarazem rolnikiem, cieślą, stolarzem, budowniczym, mularzem, farbiarzem, tkaczem, a w gwałtownéj potrzebie wynajduje łatwo środki poradzenia sobie.

Inaczéj się ma wcale z ludami w stanie wyższéj cywilizacyi żyjącemi, i spojonemi w solidarniejszą całość. Nie powiem żeby to stanowiło ich wyższość; przemienieni na osadników w krajach nowych angielscy wysłańcy, po większéj części upadają pod ciężarem życia, któremu podołać nie mogą. Nietylko w wielkich miastach, ale po wsiach nawet każdą rzecz kupuje się gotową, a zatém jedno się tylko umié, i zamianą zdobywa resztę. To prawda, że to jedno fabrykuje się dobrze, tanio i zyskuje na zamianie; ale takie wyłączenie człowieka i uczynienie prostém kółkiem machiny, które tylko na swojém miejscu na coś się przydało, a wyrzucone z osi nie przyda się nigdzie: nie może być zdrowéj cywilizacyi wynikłością. Nieopatrzny to i niespodziewany skutek zbytecznego podziału pracy, który

ma wielkie korzyści, ale posunięty do ostateczności jest także wielkiém niebezpieczeństwem. Myśmy w tym względzie nie podpadli jeszcze przesadzie, na jaką już Zachód chorować poczyna.

Jak każdy chłopek wiejski tego wieku, Jermoła umiał wiele rzeczy, które nabył w codziennych wypadkach pospolitego życia, a nie liczył ich nawet za umiejętność: przecież były to zapoznane skarby.

Z rzemiosła garncarz i garncarz wyborny, oprócz tego potrosze był rybakiem, nauczywszy się za zabawkę stawiania więcierzy i użycia ości; siekierą robił zręcznie, nie obca mu była ciesiołka, znał się z wozem, a w powszedniém gospodarstwie potrafił mnóstwu drobnych zajęć dać radę, które gdzieindziéj są rzemiosłem wyłącznem.

Gdy dziécię to tak szczęśliwie podrastało i stawało na nogi, Jermoła przez ten lat dziesiątek niewiele na oko postarzał. Powierzchownie zmienił się mało: trochę nagiął się tylko, skurczył, posuwał nogami czasem, ale wespół z synem przybranym garncarzował, krzątał się, i ciągła czynność utrzymywała w nim siły. W nauce życia, któréj niestety nie uczą nigdzie z katedry, wielka to także tajemnica czynność nieprzerywana; wielu starców zawczesnych sami się wyrzekli życia, któreby przedłużyć mogli, nie dając ognisku wygasać. W pracowitéj doli wieśniaka do ostatniéj godziny, do choroby ostatniéj, dnie są zawsze zajęte, ciało nie twardnieje w gnuśnym spoczynku: ruch je podsyca, krzepi, zastala. U nas często dobrowolnie pieszczota i niemoc umysłowa zabija ciało, nieużyte organa ulegają rodzajowi atrofii, władze moralne nawet niszczeją nie wprowadzone w czynność: kładziemy się spać i już późniéj nie wstajemy. Jermoła żył w ruchu i pracy, i niestarzejąc widocznie, zawiądł tylko.

Wprawdzie robota około garnków dość lekka i krzątanie się domowe, całém były jego zajęciem, bo

go w cięższych rzeczach wyręczał Radionek i Huluk; ale życie było nie próżne, a pod pozorem starości, ani godziny więcéj nie dawał sobie spoczynku. Spokój umysłu i serca wpływał na utrzymanie go w tym stanie błogiego bytu i zdrowia. Nigdy mu nawet na myśl nie przyszło, żeby kto kiedy o dziécię jego mógł się upomnieć i śmiał mu je odbierać. Jeszcze lat kilka, a spodziewał się je widzieć usadowione bezpiecznie, ożenione, niepotrzebujące pomocy, idące o własnych siłach. Garncarstwo szło im coraz a coraz pomyślniéj: stary Prokop zmarł coś w lat kilka po przelaniu swojéj umiejętności na Jermołę, piec jego utrzymywany zrazu przez parobka, późniéj coraz gorszych dostarczając wyrobów, upadł w ostatku całkowicie. Nie potrzebował tego Jermoła dla odbytu swoich garnków, które i tak rozprzedawały się wybornie; ale nie zaszkodziło mu i to, że Małyczki zasposabiały się w Popielni. Zresztą garnki tutejsze tak były lekkie, mocne, tyle miały przymiotów, że się z niemi zapraszać nie mieli potrzeby; a nawet rzadko wozić je musieli, i to nie daléj, jak na targ do miasteczka, gdzie żydzi i przyjezdni natychmiast je rozchwytywali. Sąsiedni zdunowie robili tylko czarne i kruche, ukazanie się więc białych na targu, zabiło całkiem odbyt pośledniejszych.

Jermoła robił wedle form i zwyczajów tylko różnych miar garnki gospodarskie, misy i hładysze, nie myśląc o czém inném; ale gdy podrosł Radionek, chłopak przebiegły a żywy, znudziło go wkrótce jedno toczyć a jedno. Najprzód owe czerwone pasy, pręgi i lęgotki zawsze jednostajne na wszystkich garnkach, począł coraz przemieniać i bawić się figlami, które na nich rysował; potém przyszła mu ochota dziwaczna wyrabiać niebywałych kształtów garnuszki, dzbanuszki, dwojaczki: aż do tego przyszedł, że i koniki ze świstałkami (zabytek indyjski pono, bo tam koniki takie gliniane są talizmanem strzegącym pól i ogrodów), i różne dla dzieci

małe zabawki wyrabiać sprobował. Wszystko źle się wypalało, nie udawało zrazu, ale stary na te trzpiotowate proby pozwalał.

Kiedy to piérwszy raz na targ wywieziono i rozstawiono na rynku, zleciały się baby i spostrzegłszy różne rzeczy nowe, bardzo potrząsały głowami: garnki niezwyczajnych rozmiarów przerażały je, przywykłe były już do swoich znajomych, krytykowały więc tę reformę niepotrzebną. Ale młodszym i dzieciakom tę drobnostki tanie a pocieszne podobały się: bogatsze gospodynie zamiast obwarzanków powiozły dzieciom koniki i dwojaczki maciupeńkie, a koniec końcem rozkupiło się to bardzo dobrze. Jermoła śmiał się i rad był, w głowę Radionka całował; chłopiec klaszcząc w ręce wieszał mu się na szyi.

Ale na tymże targu wpadły mu w oko gdzieś misy polewane, tygielki w środku zielone i różne wyroby ze szklistą powłoką, któréj dawać nie umieli; chłopiec począł się już tém niepokoić.

Wrócili do domu, Radionek posmutniał.

— A toż się cieszyć powinieneś—rzekł mu Jermoła—powiodło ci się nad moje spodziewanie; czego się znów chmurzysz moje dziecko?

Chłopak uściskał go w milczeniu.

— Ot co, ojcze—rzekł—polewa ta spać mi nie da.

— Polewa! znowu co nowego: a nam to na co? Garnki nasze i tak się dobrze dzięki Bogu sprzedają! Na polewane roboty innéj podobno gliny potrzeba, robota insza koło tego, zachód nowy: do czego sobie tém głowę suszyć?

— Ale bo to nie widziałeś ojcze, jaką cenę brał garncarz za polewane misy.... A jakie to harne!... malowane w liście różne i taki czyściejsze i mocniejsze... Ludzie mówią, że strawa się w to nie wjada i nie przechodzi, wymyć łatwiéj. Czemubyśmy, batku, i my nie mieli się nauczyć polewy?

— Ot! co ci się zachciewa — westchnął Jermoła ciężko, obawiając się zmiany, bo z dotychczasowéj doli był kontent.—Nie wiész dziecko, jak to rzecz trudna! Mnie już do nowego ciężko, tobie jeszcze zawczasu: gdy zechcesz to się i późniéj nauczysz.

Radionek nic już nie odpowiedział, ukrył w sobie gorące pragnienie, ale polewy nie zapomniał, tylko dla spokoju starego już o niéj nie mówił.

Ale ojciec, który pragnął nad wszystko dziecku swojemu dogodzić, choć nie był pewien czy się uda, i dlatego nie łudził go nadzieją zawcześnie, aby na zawodzie nie cierpiał: nie omieszkał starania, i począł przemyślać o owéj nieszczęsnéj i kłopotliwéj polewie. A że u niego nic się nie działo bez kozaczychy, więc poszedł wieczorem do niéj na radę.

Tu także lat dziesiątek wielkie, choć powolne zrobił zmiany: wdowa podupadła na siłach, choć zawsze jeszcze trzymała się na czele swojego gospodarstwa; Horpyna już gdzieś we wsi była ekonomową o mil parę, i zacząwszy nosić szlafroczki i chustki na głowie, a nareszcie czepeczki i kapelusze, niebardzo się do matki przyznawała, chcąc trochę za szlachciankę uchodzić. Rzadko już przyjeżdżała do Popielni i to zawsze tylko z jakąś potrzebą; ale stara Harasynicha błogosławiła chwile ciężkie, gotową będąc do datku, byle się przez dni kilka córką i wnuczętami pocieszyć. Gdy się przyszło rozstawać, a nigdy jéj nawet dziecka zostawić nie chciano, kozaczycha upłakała się: siedziała potém dni kilka milcząca u pieca łzy łykając, ale i w tém dogadzając córce, wstydu jéj sobą robić nie chciała i nie jeździła do niéj. Ten stan ciągłego pragnienia i samotności zrobił kozaczychę smutniejszą niż dawniéj była: jedyną dla niéj pociechą stał się Jermoła, z którym o Horpynie mówić mogła, poskarżyć się i poboleć; on nawzajem naradzał się z nią o Radionku i bez niéj nic wziął się do niczego ważniejszego. Te-

raz też, gdy się począł polewą zajmować, zaraz z nią do staréj przyjaciołki pospieszył, zostawiwszy Huluka i Radionka uprzątających coś koło warsztatu.

— No! a coście tam nowego przywieźli z jarmarku?—zapytała wdowa— nie było tam mojéj Horpyny?

— A była!—rzekł Jermoła—O! ani jéj poznać, taka teraz pani: przyjechali parą końmi w półszorkach rzemiennych, wózkiem malowanym: kudy mene wedesz!! Stanęli w karczmie i kupowali coś po sklepach!

— A nie pytała się ona o mnie?—westchnęła stara.

— Owszem, owszem, jakże nie: kazała się kłaniać—podchwycił dworak—wołała mnie umyślnie do siebie, pogładziła pod brodę mego Radionka.

— A miała z sobą które z dzieci?

— Nie, żadnego....

To rozpytywanie nie miałoby końca, gdyby smutny wyraz twarzy przyjaciela nie uderzył kozaczychy.

— A co ty, nie słaby?—zapytała—coś tobie jest?

— Oj! odgadliście matko—zawołał siadając na ławie staruszek—mam znowu biédę....

— A no! to mi ją powiédzcie, poradzimy.

— Trudno! Mój chłopak, jakto gorączka a młode, najrzał na targu polewanego naczynia; teraz mu go z głowy nie wybić, zachciało się polewy!

— A co? nie mówiłam?

— Mówiliście?

— Jakże nie! Przypomnijcieno sobie, jak zaczął koniki lepić, i te garnuszeczki nie do rzeczy, w które ledwie półkwaterek włazi: zarazem prorokowała, że mu się poczekawszy polewy zachce.

— Otóż się tak i stało—rzekł Jermoła—ani teraz wyperswadować; ja go trochę pomiarkowałem, ale chciałoby się dziecku dogodzić, a nie wiem jak.

— No! to pójdziesz się polewie przypatrzéć.

— Moja matko, jabym to zrobił, ale czy potrafię? Garnek zlepić to inna rzecz, polewa trudniejsza dale-

ko; bo to tam, słyszę, do niéj różne kramne rzeczy wchodzą: trzeba wiedzieć jak to smażyć.... Oczy mi nie służą, pamięć nie potemu — westchnął stary— A! a takby się chciało dziecku dogodzić!

— Cóż zrobicie?—spytała kozaczycha.

— Sam nie wiem jeszcze: kupić nie kupić, potargować można—rzekł Jermoła—juściżby choć sprobować potrzeba.

— Byłam tego pewna—odpowiedziała stara z uśmiechem—jakbyście to wy potrafili oprzéć się w czém swojemu dziecku. Znam ja to, znam; to tak właśnie, jak ja z moją Horpyną: człowiek stęknie, ale musi robić co oni zechcą.... Pójdziesz gdzieś nieboraku za polewą.

— Juściż pójdę—westchnął Jermoła — alebym chciał, żeby dziecko o tém nie wiedziało. A nuż się tam nie uda? będzie go już korciało: za to jak się zrobi, o to będzie radość!

— Zupełnie tak jak ze mną—zawołała kozaczycha—słowo w słowo. O mój Boże! ja to znam; ale dokądże pójdziecie?

— A cóż? wezmę trochę grosza i pociągnę do tych garncarzy, co na targ polewę wywożą: za pieniądze mnie nauczą. Bylebym ja cokolwiek rzecz pokosztował, byleby się zresztą zgodzili. Jak ja nie potrafię, zaprowadzę malca: on to odrazu pojmie! Boję się tylko, żeby mnie nie przegnali... A jak się tu do tego brać? przyjść z tém do nich żeby im chléb odbierać?

— Już to prawda, że nie z każdym tak pójdzie jak z Prokopem; ale nad syrotoju, Boh z kalitoju— dodała baba—jakoś to będzie.

— Takto i ja myślę—rzekł wstając Jermoła—Ja jutro niby za inną sprawą pociągnę do miasteczka: moja kumo, miejcie oko na Radionka, żeby z Hulukiem razem nie zmalowali czego, bo gotowi popłynąć dziurawém czółnem, albo co!

— E! to chłopcy stateczne.

— Niczego, chwała Bogu, ale pałki, szalone; jak im co do głowy zaświta, gotowi polecieć w las, pójść nad rzekę: uchowaj Boże jakiego nieszczęścia.

— Trudnoż mnie ich dopilnować.

— Ale najrzyjcie i przestrzeżcie.

Tak się starzy rozstali, a Jermoła powróciwszy do domu, zaraz chłopcu zapowiedział, że mu żydzi w miasteczku za garnki zawinili i kazali po jarmarku przyjść po pieniądze; że musi pójść długi odbierać, więc może kilka dni zabawi, przestrzegając, żeby pod jego niebytność domu pilnowali i wzięli się do roboty, a rzece i lasom dali pokój.

— A to wy pieszkiem iść myślicie?—zapytał Radionek.....

— A cóż? wszakci konno nie pojadę?—żartując odparł stary.

— Alebyście sobie wóz nająć mogli?

— E! pożal się Boże! Koni u nas we wsi nie ma prócz Chwedkowéj kobyły, któréj się nie doprosić; a wołami jechać, to lepiéj już iść piechotą. Przytém nogi zaklękają ustawicznie siedząc, trochę się człek rozprostuje.

Stary nie liczył lat swoich, a siedzeniu tylko przypisywał osłabienie nóg, które było skutkiem wieku. Żal mu było grosza wydać, bo od czasu jak się im cokolwiek lepiéj wiodło, składał dla Radionka co mógł, żeby na czarną godzinę nie zostawić go bez zapasu. Wolałby był z Chwedkiem pojechać, ale na to trzeba było wydatku, a dla siebie Jermoła był oszczędny.

Nie mógł go chłopak namówić, żeby furę najął; ale z wieczora cichaczem posłał Huluka na zwiady, czy kto nie jedzie do miasteczka, i za swój grosz tak najął wóz, żeby Chwedko nie powiadał, że jedzie najęty, ale darmo podwozi Jermołę, mając inną sprawę do miasteczka. Trafili szczęśliwie do Chwedka, że nie był za-

mówiony, a stary wziąwszy dwa złote, podjął się udawać i kłamać. Z wieczora już wszystko Radionek ułożył, a po powrocie Huluka ze wsi, przyszedł starego w rękę całując:

— Mój bat'ku—rzekł—tylko cośmy się spotkali z Chwedkiem; on jutro jedzie swoją kobyliną do miasteczka, nudno mu samemu, więc prosi się, żebyście z nim jechali: grosza nie dacie.

— Chwedko? gdzie? jak?—niedowierzająco spytał Jermoła, ściskając Radionka—ej, czy tylko nie bałamucisz, moje dziecko?

— Ale nie, poświadcież Huluk?—zawołał Radionek, który nad parobczakiem taką miał władzę, jaką zawsze daje wyższość umysłowa, połączona z sercem poczciwém.

— A jakże nie!—podchwycił chłopak gorąco.—Sam słyszałem jak prosił, żebyście się bez niego nie wyrywali, bo on tu jutro dodnia przed chatę zajedzie.

Jermoła pokiwał głową, myśląc już tylko, jak się daléj dostanie; ale rad był, że Chwedka mu złapali, i nóg nie namęczy: ucałował Radionka raz jeszcze i położył się spać, przemyśliwając o polewie.

Radionek milczący dumał o tém samém, a choć się nie odzywał, żeby starego nie męczyć, wciąż mu chodziło po głowie, jakiebyto on dzbanki i misy robił, jakby je ślicznie malował zielono, czerwono, czarno, biało i żółto, gdyby tylko umiał. Usiłował odgadnąć jaka w tém tajemnica być mogła; ale biédnemu dziecku bez żadnéj skazówki niepodobieństwem było wpaść na tor jakiś: wzdychał tylko i biedził się.

Nazajutrz raniuchno, na dzień się zabierało gorący, i od świtu straszliwie wypogodzone było niebo, co zawsze zapowiada niepogodę; nad lasami nawet białe maluczkie obłoczki polatując, zwiastowały zebrać się na

wieczór mającą burzę: słońce piekło, wiatru ani powiewu. Chwedko słownie przystawił się ze swoim wozem i szkapą, i co lepiéj, umiał Radionkowi dochować tajemnicy. Wszedł do chaty oznajmić się i fajkę zapalić, powołując Jermołę, jakby z łaski zajechał, i narzekając na tę podróż.

— No kumie, a prędko? Wybierajcieno się: we dwóch nam będzie weseléj. Licho mi nadało interesa do miasteczka, a tu skwar, a tu ogniem pali... Co to będzie o południu! trzeba pospieszać! Siadajcieno, siadajcie, nie marudźcie.

Jermoła pokryjomu tylko wziął z groszem węzełek zanadrę, zapalił lulkę i już był gotów.

— Jedziemy kumie.

Starzy przyjaciele umieścili się oba w półkoszku na wiązce siana, i dereszowata Chwedkowa kobyła zaprzężona w chomąto i dułę prostą, obejrzawszy się na swojego pana, wolno ruszyła drogą przez wioskę.

W tém życiu naszego ludu, stworzenia, które są mu pomocą, składają razem niejako towarzystwo jego: owieczka, koza, krówka, byczek, koń, nawet gęś i kura sąto wszystko przyjaciele serdeczni, druhowie: ileto po każdém z nich płaczu, choć z niemi ile kłopotu! Po przyjacielsku gniewają się na siebie, biją, kłócą, przeklinają, ale niechże bydlątko zachoruje lub broń Boże zdechnie, ile łez, jakie tam żale! Chwedkowa dereszowata, o któréj tu nareszcie wspomnieć muszę, bo na to ze wszech miar zasługuje, należała do tych istot wybranych, z któremi życie jest ciężkie, ale bez których obejść się nie można. Wielkich przymiotów i wad ogromnych, stanowiła bogactwo swego pana, jego utrapienie i pociechę, a w życiu jego niezmiernie ważną odegrywała rolę. Naprzód w téj wsi poleskiéj, jak inne tego rodzaju prawie całkiem obrabiającéj rolę wołami, była niemal jedynaczką; znano ją, szanowano powszechnie i na niéj opierały się wszystkie przyspieszo-

ne posyłki, do których najmowano Chwedka nieustannie. Zarabiał nią stary w rok najmniéj jakie trzysta złotych, tojest trzykroć więcéj niż dereszowata warta była, jeżdżąc do miasteczka z posyłkami, najmując się z żydkami i t. p. Woły woziły belki z lasu i odrabiały z chaty pańszczyznę, a sam Chwedko utrzymywał się całkiem z téj klaczy. Wyżywienie jéj niewiele go kosztowało, w lecie bowiem nie znała nic prócz zielonéj paszy podróżnéj, a zimą, zgoniny, sieczka, plewy, garść siana, rzadki garniec owsa wystarczały wstrzemięźliwéj z musu chudzinie. Niezbyt rosła, stara jak świat, bezdzietna zawsze, zdrowa i niezmiernie wytrwała, do pociągu silna: dereszowata miała moc charakteru i grzbietu nadzwyczajną. Maleńkim kłusikiem, w miarę obładowana, ciągnęła byle jéj nie pokazywać batoga; uderzona, stawała, i naówczas żadna siła ludzka ruszyć jéj z miejsca nie mogła. Chwedko téż dla proporcyi jako insignia nosił batóg, bo znów żaden wieśniak bez niego z domu nie wyjedzie; ale go nigdy kobyle nie pokazywał, a jeśli podpiwszy ćwiknął nieostrożnie, pewnie za to pół godziny w miejscu pokutować musiał. Instynkt dereszowatéj długiém nabyty doświadczeniem był nieomylny: wiedziała dokąd pan jechał, wiozła go, kierowała, omijała kałuże, wybierała drogę, zatrzymywała się gdzie było potrzeba z trafnością podziwienia godną, choć lejce jak batog, były tylko dla oka, i całkiem się z nią stawały bezużyteczne. Chwedko rozmawiał z nią jak z człowiekiem, przybierając tylko pewien głos donośniejszy, który klacz zaraz brała do siebie; swarzył się z nią, chwalił, pochlebiał, zachęcał, obiecywał, a o niéj tak rozprawiać lubił, dzieje jéj i czyny opowiadać, że w przysłowie poszła po wsi Chwedkowa kobyła. Gdy kto co nazbyt często powtarzał, śmiano się z niego, mówiąc: O! o! Chwedkowa kobyła!

Wywdzięczając mu się, dereszowata nikogo téż znać nie chciała prócz niego, i obcy człowiek nie miał

do niéj przystępu, tak była złośliwa i uparta: jeden Chwedko mógł sobie z nią dać rady. We wsi znali ją tak wszyscy, jak kozę Jermoły dawniéj, póki nie zdechła; jak gniadosza Hudnego i srokatą krowę Szmulowéj. Typ naszego konia wiejskiego: niepozorna, mała, grubo-płaska, koścista, z nogami grubawemi, ale dobrze zbudowanemi, na zębach z przywileju wrześniaków zawsze siódmy rok pokazująca: dereszowata z początku każdéj podróży nalegała na jednę nogę, ale ta ułoga ją mijała, gdy się nieco rozeszła i rozgrzała. Łeb miała dosyć duży, jedno oko nieco przybolałe, sierć miejscami powydrapywaną, bo się tarła w stajence o chruścianą ścianę, grzywę i ogon potrosze straciła, trzechby groszy za nią nie dał spojrzawszy: ale niejeden dobrze pasiony szkapa, z pozoru piękny, nie sprostałby jéj w wytrwałości. Cały dzień mogła nic nie jeść i żyć tylko napojem, bo żydzi i chłopi po sześć razy konie poją, pewni, że to poczęści zastąpi owies, którego szczędzą. Głód był dla niéj pospolitą rzeczą: na noc zaspakajała się trochą siana i garścią zgonin, nie przebierała w jadle, nie potrzebowała podściołu, trawę gryzła gdzie już tak było czarno, że zdaje się, iżby i gęś nie pożywiła się: skrzywdzić się jednak nie dała.

Zwąchawszy worek z owsem pewnie go odwiązała i wyjadła, odgryść się z qboroti potrafiła czując w tém korzyść lub wygódkę; cudzemu koniowi odebrała zawsze obrok choćby się o niego pokąsać przyszło, a obronić się czy psu, czy ludziom umiała nietylko kopytami, ale i zębami. Obcy musiał bardzo do niéj przystępować ostrożnie, gdyż na wszelki wypadek zawsze nieznajomego częstowała wierzgnieniem. Nieoszacowane to stworzenie, wedle najumiarkowańszéj rachuby, służyło Chwedkowi lat już ze dwadzieścia, a pewnie nie późniéj piątego roku było do zaprzęgu wzięte; dotąd jednak, prócz trochy początkowéj astmy, nie miała innego defektu.

Usiadłszy na wozie, pozapalawszy fajki, Chwedko i Jermoła niezważając już wcale na dereszowatą, która wzięła na siebie pokierowanie podróżą, poczęli gawędzić swobodnie.

— A pamiętacie, kumie, jakto ja wam kozę kupował?—rzekł stary śmiejąc się—hę! Szmul jeszcze mi to dodziśdnia pamięta.

— Bóg ci zapłać, Chwedku, ślicznie się nam udało; choć koza zdechła, ale mi dziecko wyżywiła.

— Niech Bóg szczęści, śliczny chłopak.

— Aż pociecha patrzéć, gdyby jagoda! A! a! co to za chłopiec—dodał Jermoła—rokby o nim potrzeba gadać, żeby wypowiedziéć, jakie to poczciwe, rozumne, i śliczne, i roztropne....

— Jak moja kobyła —dorzucił Chwedko— nie porównywając: coto za skarb dereszowata! A nu! wiu! staruszko! wiu, gołąbko! wiu, het!..... A wy się na starość wyprowadzili na garncarza?.....

— Ha! potrzebać było dać chléb dziecku.

— Zapewne..... Ale czyto myślicie, że się o niego rodzice nie upomną do końca?

— A któżby się śmiał upomnieć?—zawołał niespokojnie Jermoła— a na cóżby go rzucali, żeby się potém dopominać?

— Ta! to się różnie trafia—odparł Chwedko—bywa i tak, że rodzice się wyrzekną nazawsze; ale bywa, że potém przyjdą i powiedzą: oddaj nam nasze.

Jermoła aż się wzdrygnął.

— A jakie ono ich?—krzyknął—a coto? przecież go rzucili nieboraka precz! A kto go hodował, harował, pracował i chuchał? Więcéj on dziś mój niż ich....

— Myślicie? Ja to tam nie wiem—rzekł Chwedko— ale tak sobie kmetuję różnie..... A powiedzieliście malcowi jak do was przyszedł?

— Nie robiłem z tego tajemnicy—odparł Jermoła— zresztą i ludzie i cała wieś wié o tém, byliby bezemnie

dziecku wyśpiewali: na co było taić? Zarazem mu całą rzecz jak była wypowiedział, skoro do rozumu przyszedł; ale chłopak mówi, że gdyby się teraz i opatrzyli rodzice, on już mnie nie porzuci.

— Dobre dziecko.

— Złoty chłopiec, sokół, mój Radionek.

— E! powiedzcieno mi, po co wy do miasteczka jedziecie?—zagadnął po chwili Chwedko.

— A prawdę wam powiedzieć?—rzekł Jermoła.

— Jużciż: a cobyście mieli zmyślać?

— No, to ja nie do miasteczka jadę, a daléj.....

— Ot to! a chłopiec wasz mówił, że jedziecie długi u żydów odbierać?

— Takemto ja przed nim pobałamucił..... ale to co innego.

I tu Jermoła z westchnieniem opowiedział staremu historyą polewy, a Chwedko splunął ruszając ramionami.

— At! zachciało się dziecku kafli z pieca! Kiedy wam dobrze, trzymalibyście się tego co jest, a nie szukali lepiéj: czasem, kumie, zbyteczna mądrość to także głupstwo. Robicie proste garnki, na to macie kupców codzień: lada żebrak bez was sobie jadła nie uwarzy, najuboższy potrzebuje garnka. Z polewą to już inna rzecz: we wsi niewiele jéj kto weźmie, musicie do miasteczka. Żydzi od was będą szachrować, na targu sprzedaż licha: to całkiem co innego.

— Ale się chłopcu zachciało.....

— Zobaczycie, że to nicpotém.....

— A no: a cóż robić?

— Jeszczeż mniejsza o to, dla proby nie zginiecie; ale czy myślicie, że ci garncarze od polewy tak się rublem skuszą, że wam swój sekret wydadzą?

— A ja i dobrze zapłacę.

— Wszystko oni nie głupi za szeląg przedać złotówkę, wiedząc, że im chléb z gęby odbierzecie: boć dla zabawki tego nie będziecie robić.

Jermoła posmutniał i opuścił głowę.

— Wiemci to ja — rzekł — ale kiedy pan Bóg raz pomógł, nie opuści i do końca. Źle było z Prokopem, gliny téj anim wiedział gdzie szukać; a ot, znalazło się i pokleiło, i poszło: to i tu jakoś będzie.

Jakoś to będzie jest ostatecznym ludu argumentem, gdzie innych braknie: wszystko się na tém kończy, w tém jakoś jest wiara w Opatrzność i pośrednictwo Boże.

Wtém dereszowata, która była przywykła trochę siana przegryzać zawsze przed karczemką, na trzeciéj części drogi do miasteczka, położoną w lesie u granicy dwóch posiadłości, stanęła sama. Chwedko regularnie wypijał tu kieliszek wódki i fajkę sobie zapalał.

Zawstydziło go to jednak nieco, że bez jego pozwolenia zatrzymała się dereszowata; nie śmiał tak bez racyi pójść na porcyą, ale zsiadł z wozu i siano kobyle podrzucił.

— Ale parzy!—rzekł wytrząsając lulkę powoli.

— Jak ukropem.....

— Możebyście poszli pod dach, a ja się wódki napiję, bo czegoś po żołądku kręci.

— A skwar?

— E! nie! wódka ochłodzi.

— No, to pij zdrów, ja zapłacę—rzekł Jermoła złażąc z wozu.

Karczemka, o któréj mowa, była jedną z tych jamek żydowskich, w których oni czatują na biédną chłopka duszę. Nie kryła się nawet z tém, że wódką żyła: zajazdu przy niéj nie było, mała, odrapana z tynków, krzywa, w ziemię wsiadła, placykiem tylko obszernym, który przed nią był wydeptany, świadczyła jak była uczęszczaną.

Miejsce to u krzyżujących się trzech dróg, wśród zarośli dębowych i krzaków olszyny, szeroko wyjeż-

dżone wozami, dla oka badacza mieściło w sobie całą historyą Dubówki (tak się nazywała owa gospoda w gąszczach postawiona). Słomy, siana, łupin, ziarnek, resztek biesiady, skorup od jaj i czerepów pełno było dokoła, nie licząc śladów pobytu licznych furmanek, które się zatrzymywały przed Ickiem często dłużéj, niżeli chciały. Temi resztkami siana, słomy, plewy i czasem ziarna, tuczyła się krowa i kilka kóz żydowskich, wyuczonych doskonale złodziejstwa, bo ledwie się pokazał wóz, już pewnie jedno z tych stworzeń z tyłu cichaczem przykradło się do niego wyciągać pożywienie; a próżno je odpędzano batogiem, bo na stuknięcie drzwi odbiegały, ale w chwilę powracały z uporem głodu i łakomstwa. Starzy gospodarze dobrze znający miejscowość nigdy wozu nie zostawiali przed karczemką, żeby na nim żony lub dziecka z biczem nie posadzili, dla odpędzania napastników. A takieto było przebiegłe, że byleby się dzieciak zapatrzył lub baba zdrzémnęła, pewnie koza z tyłu się spiąwszy szkodę zrobiła.

Icek, miejscowy gospodarz, był żydek najlichszego rodzaju: rudy, kulawy, głupi, ale po głupiemu chytry, a zły najobrzydliwszym sposobem. Oszukiwał bezwstydnie, niekiedy aż do bójek przychodząc z chłopami, a zawsze guzy potém swoje umiejąc zamienić na gotowy grosz, i pobity czy bijący kierował tak, że mu się fatyga musiała opłacić.

Jak on tam żył w téj ciągłéj wrzawie dnia i nocy, w boju i pracy nieustannéj, nigdy prawie drzwi nie mogąc zamknąć i spać się nie kładąc chyba nadedniem na ławie: to należy do niezbadanych tajemnic, których rozwikłania zbyt szczegółowego psycho i fizyologicznego wymagałoby rozbioru.

Icek znał cały świat i wiedział naturę nietylko pojedyńczych ludzi, a częstych swych gości, ale nawet gromad sąsiednich. Z góry gdy zajeżdżały furmanki,

umiał się na ich przyjęcie przygotować uśmiechem, kułakiem, pokorą lub miną nadętą. Popielańscy—mówił—to wszystko wielkie panowie: bez cebuli lub czosnku nie zakąsają, każdy prawie kugla kupi. Z Małyczek to majstry i pijaki, z Wierzbna to cyganie, a z Jurków złodzieje.....

Głowę tylko Chwedkowéj kobyły zobaczywszy przez okno, poznał zaraz żyd kto jedzie; a że pusto było w karczemce, wyszedł na próg:

— Aj! gwałt—rzekł wyciągając się—Chwedko znowu do miasteczka; co ty tak bardzo je polubił? A! i stary garncarz; a to dziś nie targ, pewnie jaka okazya.

— Aha! okazya!

— A tymczasem dajno dobréj wódki.

— Co to jest dobréj?—ofuknął się Icek—alboto kiedy u mnie zła była? A waj! albo u waszego Morejne Szmula jest kiedy taka, jak moja: on połowę wody leje.

— Jużto prawda, że u Icka sprawiedliwa szumówka—rzekł Chwedko spluwając.

— Teraz taka, że na okoliczność nie ma podobnéj! Proszęno pokosztować; tylko panowie taką piją! Starka, dwuletnia, kupiona w Bębnowie. Drogo kosztuje, ale ja lubię recht.... u mnie tak.

Tak rozprawiając weszli do izby, do któréj wpadało się z progu jak do lochu, bo budynek był osiadł znacznie, sufit wisiał nad głowami, a tok zastępujący podłogę wrył się tak głęboko, że okna leżały na przyzbie. To położenie starego karczmiska, wzgórek przed nią, na którym fury stawały, brak ganku i spływ wody ku niéj, sprawiały, że u wnijścia wewnątrz stała wiekuista kałuża, przez którą przechodziło się po cegłach. Kaczki i gęsi żydowskie swobodnie się w niéj pluskały, a znajomi goście zgiąwszy się dla nizkich drzwi, z uwagą przebierali się przez to morze czarne,

aby się po kostki nie zamoczyć. Żyd nigdy nie pomyślał o zaradzeniu téj niedogodności. W czasie wielkiéj posuchy trafiło się wszakże, że kałuża gęsniała i przerabiała się na zsiadłe błoto; ale świeżo po dészczu, zajmowała połowę izby. Icek nie znajdował, żeby to co do życia przeszkadzało.

W izbie oprócz Ickowéj saméj, strasznéj baby, rozmamanéj i brudnéj, sześciorga dzieci różnego kalibru, sługi, kilka kóz, kur i gęsi, nie było przybylców; jakiś tylko kapotowy na ławie siadłszy, głowę na stole położył i drzémał. Wchodząc Chwedko opsnął się z cegły wśród kałuży, pośliznął, plusnął w wodę i krzyknął przekleństwem; a ów obcy się przebudził.

Zakrawał on nieco na mieszczanina, miarkując po kapocie wyszywanéj z klapami, zielonym pasie, wysokiéj czapce i kiju kutym, który przy nim wraz z węzełkiem leżał. Młody, najwięcéj trzydziesto-letni mężczyzna, twarzy rumianéj, wzrostu wysokiego, znać nie zaznał biédy, bo mu z oczu patrzała hulanka; nawet i teraz Ickową wódką z Bębnowa podpił widać sobie, bo ledwie głowę podniósłszy, zaśpiewał:

„Oj! budesz ty moja!"...

A gdy Chwedko topić się począł w kałuży, dodał:

— Gwałt! ratujcie! Popielańcy się topią!

Rozśmiał się Icek i drudzy, a rezolutny chłopak podparłszy się w boki, wpatrywać się począł w przybyłych.

— A zkądżeto nas znacie, żeśmy Popielańcy?—zapytał Jermoła.

— O! wa! wielka sztuka: wszyscy Popielańcy poznaczeni!

— Czemże? krzyżami na plecach?

— A to nie wiecie—odparł parobek—że wam krawcy wasi inaczéj kaptury szyją, jak gdzieindziéj na świecie?

W istocie tak było, że z dawien dawna, we wsi téj inny był krój sukmany na plecach, o czém zapo-

mnieli Jermoła i Chwedko; ale i oni jak inni pilnowali w tém święcie zwyczaju, i żadenby innéj siermięgi nie kupił i nie nosił, krom tak uszytéj, jak dziadowie używali.

— A wyto zkąd?—spytał Chwedko parobka.

— Z za siódmego morza, z za siódméj rzeki, z siódméj ziemi!—odparł wesoły hulaka.

— No! no! to i tam widać Popielańców znają.... Bez żartu, panie bracie, zkąd Pan Bóg prowadzi?

— Z Mrozowicy.

Byłato wielka osada szlachty czynszowéj, w któréj właśnie owi mieszkali garncarze, do których wybrał się Jermoła; tego aż tknęło coś, gdy nazwisko miejsca usłyszał.

— Z Mrozowicy? a dokąd? jeśli spytać wolno?

— W świat, gdzie oczy poniosą.

— O! to daleko!

— A cóż? już mi się unudziło nogi podkuliwszy na miejscu siedzieć: idę daléj biédy szukać....

— Na co jéj szukać?—rzekł Chwedko—ona i sama przychodzi.

— Alboto się jéj zlęknę! poborykamy się!—rzekł parobek.

— Czy nie krawiec?—spytał Jermoła—kiedyście się tak na naszych świtach poznali?

— A czemu nie? może i krawiec,—wesoło odparł rozpierając się Mrozowiczanin—zapytajcie czém ja nie byłem: byłem gospodarzem, byłem kowalem, byłem cieślą, byłem krawcem, byłem tkaczem, muzykusem i szewcem.... Tfu! Wszystko to kiepstwo! Ot! będę sobie panem!

— Tak myślicie? to najlepiéj podobno—rzekł śmiejąc się Chwedko—A! bodaj cię kołtunie! bodaj cię! Kłaniam się jaśnie panu!—i czapką do ziemi się pokłonił.

— Coś mi się widzi —przerwał Jermoła—że wy, coście już wszystkiém byli, to niedługo i panem pobędziecie: i to się wam naprzykrzy.

— A no! to sę zostanę dziadem: i to dobry stan, mnie wszystko jedno—rzekł chłopak i począł śpiewać:

„Kij u meni bratom.
Torba meni żinka....”

— To jakiś wesoły chłopiec—mruknął Jermoła—ale dobrze mi się trafia w sam czas; nim dereszowata zjé siano, a Chwedko wódkę cebulą z chlebem przekąsi, dowiem się od niego cokolwiek o Mrozowicy. E! bracie—rzekł zbliżając się do parobka—nie napijesz się wódki?

— Aby za cudze pieniądze, czemu nie! Cygan dla przyjaźni dał się powiesić!

— Dajcieno Icku, tylko téj, co z Bębnowa....

— Dawaj Icku, niewiaro, słyszysz!—wtorował Mrozowiczanin.

— Boto ja do Mrozowicy jadę umyślnie—rzekł zbliżając się i na ławie siadając Jermoła.

— A! a! weźcież ze dwa kije, i pozaszywajcie kieszenie, bo tam rozbójnicy i złodzieje....

— A! co gadacie?

— Zapytajcie tych, co tam byli: żywéj duszy poczciwéj.

— A garncarze?

— A, to najgorsze paskudztwo..

— Patrzcie, a tom się dobrze wybrał.

— A po co?

— Długoby gadać, a mało słuchać.

— I nie ma po co jechać—rzekł chłopak—chcecie co kupić popękanego, to ruszajcie.

— Ale gdzietam, mnie nie o to chodzi..

— Powiedźcież o co?

— Ale bo to...—skrobiąc się po głowie wybąknął Jermoła.

Chwedko, który się wódką dobrze pokrzepił, przerwał mowę i postanowił służyć za tłumacza. Trzeźwy

z podpiłym ciężko się zrozumieją, ale podchmielony z pijanym doskonale i łatwo.

— Bo to widzicie—szepnął na ucho parobkowi— Jermoła oto... niby, garncarz.... widzicie! O! ale nie od polewy! O! a jemu się zachciało nauczyć polewy! o!

— Tfu! a po cóż jemu z tém do Mrozowicy....

— A gdzież jéj będzie szukał?

— Ja go nauczę... Co da?

Jermoła i Chwedko posłupieli i popatrzyli na siebie.

— Bałamucicie! albo to wy i garncarzem byli?

— Otóżto że i syn garncarza jestem, i polewę umiém, bo koło tego robiłem lat sześć; ale to głupie rzemiosło, mnie się go nie chciało—odparł Mrozowiczanin:—smaruj się w glinie, paskudź się w tych zacierkach, piecz się w ogniu! Plunąłem i porzuciłem, ale choć i teraz dlatego pomagałem panu Marcinowi, i znam się dobrze na polewie, choćby jakiéj, choćby jakiego koloru... A u mnie taka wychodzi czysta, jak szkło.

— Pewnie?

— A no, to probę wam dam.

Jermoła aż się rozśmiał.

— Co chcesz?

— Co dasz?

Icko słysząc targ a nie zrozumiawszy o co chodzi, wpadł nagle między nich, myśląc, że się co sprzedaje: wścibił nosa i stanął osłupiawszy, bojąc się, żeby mu okazya jaka zysku nie uciekła.

— Co to wy targujecie?—szepnął.

— Kota w worku—odparł chłopak...

— Nu! co to kota gadać! co to kota gadać!—obruszył się gospodarz—co to jest? ja kupię!

— O polewę się targują!—dodał Chwedko.

Żyd nie zrozumiał jeszcze, ruszył ramionami i odszedł na kilka kroków, pilnując daléj z pod pieca i targu, i mohoryczu.

Targ w targ, stanęło na pięciu rublach gotówką, Przybito ręce, zapito wódką bębnowską, i Jermoła już począł się nazad wybierać do wsi z Mrozowiczaninem.

— No! to i ja już do miasteczka dziś nie pojadę!— wybąknął namyślając się Chwedko—i tak pewnieby mnię deszcz schlustał.

Siedli tedy na wóz z Siepakiem (tak się nazywał) we trojgu i zawrócili nazad do Popielni z wielkim gniewem Icka, który całego interesu zrozumieć nie mógł, a czuł pod nim jakieś niedostępne dla siebie pieniądze.

Tak tedy i polewa przyjechała do Popielni, a Jermoła znowu za nią Bogu jak za cud dziękował.

Było już około południa, bo się i w karczmie i po drodze nie spiesząc zamarudziło, gdy nasi podróżni namówiwszy dereszowatę do zawrotu, nazad do wsi ściągnęli i stanęli z Siepakiem przed drzwiami staréj karczmy. W progu zastali Radionka nad kołem toczącego olbrzymią hładyszę, i Huluka, który mu pomagał, wesoło z nim rozmawiającego.

Zobaczywszy ojca, dzieciak zdziwiony i przestraszony zarazem, porwał mu się pomagać.

— A co to ojcze? czy się wam co w drodze nie zrobiło, że tak prędko powracacie?

— Nic, moje dziecko, nic, owszem zdybaliśmy tego oto poczciwego chłopaka, który był przy garncarzach w Mrozowicy, i ofiaruje się nas polewy nauczyć.

Radionek z krzykiem podskoczył.

— Czyż to być może?

— Ot tak! jak mnie żywego widzicie!—zawołał Siepak—i rad jestem, że moim kochanym Mrozowiczanom figla wypłatam, bo mi łotry kością w gardle siedli.....

Ja tobi ne brat... ty meni ne swat...
Ne wertajsia wże nazad...

Począł śpiewać wziąwszy się w boki, i wyskoczywszy z wozu nuż się przyglądać z miną znawcy przyrządom garncarskim; ale znać w nim było wiejskiego próżniaka, który na wszystko rad z góry patrzéć i śmiać się z każdéj rzeczy. Przybór prostego zduna wydał mu się taką lichotą, tak ramionami ruszał, a brał się za boki oglądając go, że Jermoła i Radionek niezmiernie posmutnieli. Siepak gorzko się odzywał o ich wyrobach, nie miał ich za śmieci: podrzucał, tłukł i rozparłszy się zaraz na ławie, począł z góry wychwalać co sam robił i mógł dokazać.

Niepodobało się to Jermole, który znał się na ludziach, ale ścierpiał próżniackie wychwałki Siepaka, w nadziei, że coś od niego skorzysta, choć z mowy coraz mniéj miał w nim ufności.

Tymczasem Mrozowiczanin kazał sobie wódki postawić, słoninkę przypiekać, położył się spać, a na wieczór poszedł do karczmy.

Nazajutrz trzeba było do miasteczka po glejtę, po inne farby i ingredyencye do polewy potrzebne, gdy Radionek pod kierunkiem wciąż wyśpiewującego Siepaka robił według jego wskazówki potrzebne pod polewę naczynia. Gdy przyszło w ostatku do roboty, Siepak nad wszelkie spodziewanie okazał się zręczny, i tém niemniej zadziwił jak samochwalstwem swojém; ale ledwie pół godziny wytrwał w chacie, do karczmy uciekł, gdzie muzykę najął, pół wsi sprowadził i wódki wiadro postawiwszy, hulankę na dobre rozpoczął.

Wieczorem późnym pijaniuteńkiego Siepaka dwóch niemniéj od niego napiłych parobków przyprowadzili śpiewając, i położyli podedrzwiami Jermoły. Huluk i Radionek z politowaniem poglądali na niego.

Nierychło jakoś przyszło nareszcie do proby stanowczéj, ale nim się na to zebrało, pojętny wychowaniec Jermoły, z kilku wskazówek, ze słów, z roboty

czeladnika tyle skorzystał a raczéj domyślił się, że przygotowawcze czynności już mu nie były obce. Tak samo poszło i z resztą: dość dla niego było kilku wia domostek, opowiedzenia sposobu, wprowadzenie na drogę, a młode pojęcie dopełniało, czego brakło w nauczycielu. Rad był go się pozbyć Jermoła z domu, bo się lękał wpływu szkodliwego na Radionka, który z ciekawością dziecięcą poglądał na szaleńca; ale on dlań był przez los wyznaczoną istotą, dla obrzydzenia rodzaju życia, którego całą czczość widać było przez samo nieustanne powtarzanie i nagromadzanie przyjemności. Siepak zaprawdę ciekawy typ stanowił, typ jaki w całéj naiwności często powtarza się u ludu: zdatny, pojętny, zręczny, roztropny, przerzucał pracą i zabawą, zrażając się piérwszą, a nie mogąc drugiéj nasycić.

Czasem znowu dnie całe złamany hulankę wrzącą, spędzał leżąc do góry brzuchem na sianie, śpiewając na całe gardło i wzdychając piersiami całemi, jakby za chwilę miał skonać. Przez godzinę jakąś gotów był pracować zajadle: i ręka, która mu z początku drżała, niesłuchając go, w krótkim czasie nabywała wprawy zdumiewającéj; ale zaledwie ją uzyskał, lekceważąc zniechęcał się, rzucał wszystko, czepiał się piérwszego przechodzącego, poczynał żartobliwą rozmowę i szedł najczęściéj do karczmy, gdzie połowa życia jego za stołem schodziła.

Ledwie Radionek począł pod jego kierunkiem polewaną robotę, która się dosyć udawała, po kilku próbkach, Siepak którego już znudził pobyt w Popielni, Jermoła, karczma i spokojność jaka tu panowała; nieznajdując sobie towarzyszów do zabawy, upomniawszy się o resztę należnéj zapłaty, z nią razem przeniósł się do Szmula, gdzie trzy dni trwała pijatyka i muzyka szalona, a na czwartym wziąwszy tłumoczek z kijem na plecy, nie pożegnawszy się z nikim i nie dawszy do-

brego słowa, powlókł się daléj z wielkim żalem szynkarki i kilku towarzyszów hulanki, którzy kosztem jego codzień miłe pędzili wieczory.

Tyle go i widziano w Popielni.

Spokój na chwilę zmącony wrócił do staréj gospody Jermoły. Radionek wziął się gorąco do roboty, i zrazu chciał już wszystko tylko polewane robić, ale go stary opamiętał.

— Pamiętaj—rzekł—że to niedosyć zrobić, trzeba jeszcze sprzedać, żebyśmy mieli co jeść; niewiadomo jak nam pójdzie targ: jeśli nie zechcą naszych mis i dzbanów, lub zmuszą nas do sprzedawania ich po lichéj cenie, to choć cokolwiek kosztu powróci się z prostych garnków, które dotąd doskonale nam kupują. Kto to wié jak się uda z polewą, a porzuciwszy nasze garnki, nauczymy ludzi szukać ich gdzieindziéj.

Tym sposobem namówił jakoś Jermoła gorącego chłopca, że nawpół rozdzielił robotę. Dotąd szło im bardzo dobrze, obawiał się więc, by ta zmiana nie pogorszyła położenia; a Radionek tak pragnął nowości i rachować nie umiał, że dla niego bojaźń ojca zdawała się urojonym postrachem. Tymczasem u ludu naszego nic się w istocie odrazu nie przyjmuje: powoli i ostrożnie potrzeba z najmniejszą nowostką, bo silnie się on trzyma instynktem konserwacyjnym przy zwyczajach starych, nawet w najmniejszych rzeczach.

Pokazało się to zaraz po wypaleniu piérwszych pieców z prostém naczyniem i polewą. Nadchodził wielki prażnik i targ w miasteczku, zapas został przygotowany, Chwedkowa kobyła najęta; wóz naładowano starannie, i wyjechawszy z północy z Popielni, nadedniem stanęli w miasteczku Radionek z Jermołą. Mieli oni zwyczaj rozkładać się z towarem zawsze w jedném miejscu pod okapem głównego żydowskiego zajazdu, gdzie już do nich jak w dym szli kupujący po garnki, i cały dzień do nocy szła sprzedaż ogromnie, tak, że na

nią ledwie we dwóch można było wystarczyć. Rozpakowali się i teraz w zwykłym kącie garncarze nasi, dzieląc swój sklep na dwie połowy: robotę prostą i polewaną. Radionek oczekiwał na kupujących z nadzieją, Jermoła z obawą. Jak dzień poczęli się schodzić, ale kto tylko przyszedł, zawracał się do garnków. Naprożno podstawiano mu polewę, zniżając jéj cenę: gospodynie kiwały głowami nic nie mówiąc, inni otwarcie przyznawali się, że wolą się zasposobić u mrozowickich garncarzy. Nałóg przemagał, i ani piękność wyrobów, ani przystępne ich ceny nie pociągały: pokazywano przymioty, przekonywano o dobroci; niedowierzająco przyjmowali to ludzie i szli, gdzie chodzić przywykli. Radionek płakał pocichu, a stary sam go teraz pocieszał wmawiając, że tak być musi z początku, że trzeba zrazu przecierpieć i umięć czekać.

Nad wieczór trochę się polewy sprzedało nieznajomym, a garnków zabrakło. Zostało dużo niezbytego, a żyd za pół ceny zakupił to do klatki, bo się już Jermoła nazad wozić nie chciał z towarem.

Obrachowawszy, pokazała się strata.... Posmutniało dziecko; przez całą drogę stary pocieszał je jak umiał, przysposobiając tém małém niepowodzeniem do większych życia zawodów, które ani odwagi, ani nadziei łamać w człowieku nie powinny.

(Dokończenie nastąpi).

JULIUSZ CEZAR.

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH.

PRZEKŁAD Z SZEKSPIRA

PRZEZ

J. Paszkowskiego.

(Dokończenie).

AKT III.

SCENA PIERWSZA.

(Tamże. Kapitol. Posiedzenie senatu).

Tłum ludu na ulicy wiodącéj do Kapitolu: wśród tego tłumu ARTEMIDORUS I WIESZCZEK. *Odgłos trąb.* CEZAR, BRUTUS, KASSYUSZ, KASKA, DECYUSZ, METELLUS, TREBONIUSZ, CYNNA, ANTONIUSZ, LEPIDUS, POPILIUSZ, PUBLIUSZ *i inni wchodzą.*

CEZAR.

Idus marcowy nadszedł.

WIESZCZEK.

Tak, Cezarze;
Ale nie przeszedł.

ARTEMIDORUS.

Wspaniały Cezarze,
Cześć ci i chwała! Przeczytaj ten papiér.

DECYUSZ.

Treboniusz prosi, abyś w wolnéj chwili
Przejrzał to jego pokorne podanie.

ARTEMIDORUS.

Przejrzyj wprzód moje, Cezarze; bo moje
Bliżéj się ciebie dotyczy: przeczytaj,.
Wielki Cezarze.

CEZAR.

Co się nas dotyczy,
To się zachowa na koniec.

ARTEMIDORUS.

Przeczytaj
Zaraz, Cezarze; nie zwlekaj przeczytać.

CEZAR.

Cóż to za jakiś szaleniec?

PUBLIUSZ.

Precz z drogi!

CEZAR.

Dlaczegoż mi tu podania wręczacie?
Pójdźcie do sali obrad.

CEZAR *wchodzi do Kapitolu, za nim inni. Wszyscy senatorowie powstają.*

POPILIUSZ.

Życzę, ażeby się wam przedsięwzięcie
Wasze udało.

KASSYUSZ.

Jakie przedsięwzięcie,
Popiliu...?

POPILIUSZ.

Bądźcie zdrowi.
(Przystępuje do Cezara).

BRUTUS.

Co powiedział
Popiliusz Lena?

KASSYUSZ.

Powiedział, że życzy,
Ażeby się nam przedsięwzięcie nasze
Udało. Czyżby odkryto nasz zamiar?

BRUTUS.

Patrz, jak się zbliżył do Cezara.

KASSYUSZ.

Kasko
Śpiesz się, bo lękam się zdrady. Cóż mamy
Czynić Brutusie? Jeśli rzecz się wyda,
Cezar lub Kassyusz nie wyjdzie ztąd żywcem,
Bo sam śmierć sobie zadam.

BRUTUS.

Bądź spokojny;
Popiliusz Lena mówi o czémś inném,
Bo się uśmiecha, jak widzisz, i wyraz
Twarzy Cezara nic się nie odmienił.

KASSYUSZ.

Treboniusz czasu nie traci: patrz, oto
Odwodzi na bok Marka Antoniusza.
(*Antoniusz i Treboniusz wychodzą. Cezar i senatorowie zasiadają*).

DECYUSZ.

Gdzie jest Metellus Cymber? Niech wystąpi
I Cezarowi przedłoży swą prośbę.

BRUTUS.

Już on postąpił naprzód. Stańmy przy nim,
Ażeby poprzeć jego przedstawienie.

CYNNA.

Kasko, ty piérwszy dłoń wzniesiesz; bądź gotów.

CEZAR.

Czyśmy już wszyscy. Czyjąż naprzód prośbę
Cezar i jego senat ma rozpoznać?

METELLUS.

Dostojny, wielki, potężny Cezarze!
Metellus Cymber uchyla przed tobą
Korne swe czoło.

(*klęka*).

CEZAR.

Muszę cię uprzedzić
Cymbrze, że tego rodzaju przemowy
I uniżone gesta, mogą działać
Na krew zwyczajnych ludzi, i dzisiejsze
Postanowienia przeistaczać jutro
W wyroki godne żaków. Nie przypuszczaj

Tak niedorzecznéj myśli, aby Cezar
Do tego stopnia miał krew łaskotliwą,
Iżby jéj obieg mógł być przyśpieszony
Tém, co ją wzrusza w niedołężnych sercach;
Rozumiem przez te słodko-brzmiące słówka,
Korne submissye i nadskakiwania
Łaszących się psów stawiające obraz.
Twój brat skazany został na wygnanie;
Jeżeli za nim przychodzisz tu skomleć,
Odtrącam cię precz, jak pudla. Wiedz o tém,
Że Cezar krzywdy nie czyni nikomu,
I nie bez słusznych powodów wymaga,
Aby mu stało się zadość.

METELLUS.

Nie ma-ż tu głosów godniejszych od mego,
Któreby w uszach wielkiego Cezara
Miléj zabrzmiały, i silniéj poparły
Sprawę mojego wygnanego brata?

BRUTUS.

Nie przez pochlebstwo całuję dłoń twoję
Cezarze, prosząc, aby Publiusz Cymber
Niezwłocznie wolność powrotu uzyskał.

CEZAR.

Co słyszę? Brutus!

KASSYUSZ.

Przebacz mi, Cezarze,
Że się uniżam do nóg twych padając:
Na klęczkach błaga cię Kassyusz o rychłe
Ułaskawienie dla Publiusza Cymbra.

CEZAR.

Mógłbym wam uledz, gdybym był z was jednym;
Gdybym mógł kogo prośbami chcieć wzruszyć,
Wtedyby prośby wzruszyć mnie zdołały.
Ale-m ja stały jak gwiazda polarna,
Która pod względem swéj niewzruszoności
Na firmamencie nie ma sobie równéj.
Jest co nie-miara iskr na sklepie niebios,
Każda z nich płonie, każda jasno świeci;
Lecz tylko jedna trzyma się na miejscu:
Tak i na świecie jest bez liku mężów,
Każdy ma ciało, krew i światło swoje,
Ale w tym tłumie znam jednego tylko,
Który jak skała na swém stanowisku

Żadném wzruszeniem niezachwiany stoi.
Tym jednym jestem ja; że zaś nim jestem,
Pozwólcie, abym poniekąd wam dowiódł
W agitującéj się okoliczności:
Żem stały — Cymber poszedł na wygnanie;
Żem stały — Cymber na niém pozostanie.

CYNNA.

Łaski!

CEZAR.

Precz! Chceszże Olimp wzruszyć z posad?

DECYUSZ.

Wielki Cezarze!

CEZAR.

Oszczędzaj kolana.

KASKA.

Mówże ty za mnie, ręko!

(Uderza Cezara w kark puginałem. Cezar chwyta go za ramię. W tejże chwili otrzymuje pchnięcia od kilku innych sprzysiężonych, nakoniec od Marka Brutusa).

CEZAR.

Et tu, Brute?

Stań się więc dolo Cezara!

(Umiera. Senat i lud rozpierzcha się w nieładzie).

CYNNA.

Skonał już Cezar! Wolność przywrócona!
Biegnijcie, głoście tę wieść po ulicach.

KASSYUSZ.

A inni niech się udadzą na rynek,
I z mownic powrót wolności obwieszczą.

BRUTUS.

Senacie i ty ludu, oddal trwogę;
Pozostań w miejscu: spłaciliśmy dumie
Dług przynależny.

KASKA.

Idź ty na mownicę,
Brutusie.

DECYUSZ.

I ty, Kassyuszu.

BRUTUS.

Gdzież Publiusz?

CYNNA.

Stoi tu jeszcze nawpół odurzony
Zaszłym wypadkiem.

METELLUS.

Poczekajmy trochę,
Bo może jaki przyjaciel Cezara
Zechce wystąpić.

BRUTUS.

Nie mów o czekaniu.
Publiuszu, ocknij się, bądź dobréj myśli;
Nie myśli tu nikt krzywdy ci wyrządzić,
Ani komubądź z Rzymian: powiedz o tém
Wszystkim, Publiuszu.

KASSYUSZ.

Opuść nas Publiuszu,
Ażeby czasem lud wieku twojego,
Jeśli się na nas rzuci, nie zabaczył.

BRUTUS.

Uczyń tak, niechaj skutki tego czynu
Tylko na sprawców spłyną.
(*Treboniusz wraca*).

KASSYUSZ.

Gdzież Antoniusz?

TREBONIUSZ.

Pobiegł do domu zdjęty przerażeniem:
Męże, niewiasty, dzieci uciekają,
Krzyczą jak w sądny dzień.

BRUTUS.

Losie, zobaczym,
Co nam przeznaczasz. Że musimy umrzéć,
To nam wiadomo: o czas tylko idzie,
I liczbę pasem dni, które snuć mamy.

KASSYUSZ.

Tak, i kto sobie odcina naprzykład
Parę dziesiątków lat życia, ten sobie
Odcina tyleż lat obawy śmierci.

BRUTUS.

To przypuściwszy, śmierć jest dobrodziejstwem,
I myśmy dali Cezarowi wielki

Dowód przyjaźni, skracając mu liczbę
Lat, w ciągu których byłby się był musiał
Śmierci obawiać. A teraz, Rzymianie,
Idźmy na rynek i wznosząc do góry
Zbroczone miecze, wołajmy:
Wolność wrócona, niech się święci wolność!

KASSYUSZ.

Zróbmy tak: daléj!—Przez ileżto wieków
Wzniosła ta scena powtarzaną będzie
W nieznanych dotąd językach i formach?

BRUTUS.

Ileżto jeszcze razy na żart skona
Ten wielki Cezar, który jak proch teraz
U stóp posągu Pompejusza leży?

KASSYUSZ.

Ilekroć razy wznowi się ta scena,
Tylekroć razy nazwą nas zbawcami
Swojego kraju.

DECYUSZ.

Mamyż iść zaraz?

KASSYUSZ.

Idźmy: Brutus przodem;
W ślad jego kroków ponieśmy odważnie
Kwiat nieodrodnych rzymskich serc.
(*Sługa wchodzi*).

BRUTUS.

Któżto nachodzi? Antoniusza sługa.

SŁUGA.

Tak mi, Brutusie, pan mój klęknąć kazał,
Marek Antoniusz tak mi upaść kazał,
I tak na klęczkach kazał mi powiedzieć:
Brutus jest mężny, cny, mądry i prawy,
Cezar był silny, śmiały, wielki, słodki;
Powiédz, że kocham Brutusa i czczę go;
Żem się Cezara bał, czcił go i kochał.
Jeśli z Brutusa wolą zgodnem będzie,
Ażeby Marek Antoniusz bezpiecznie
Przybył do niego, i powziął wiadomość,
Co śmierć Cezara mogło spowodować:
Żyjący Brutus w Antoniusza sercu
Zastąpi miejsce zmarłego Cezara,
I stanie Marek Antoniusz przy boku
Cnego Brutusa, i z niezłomną wiarą

Podzieli jego los i wszelkie sprawy.
To ci oznajmia Antoniusz, mój pan.

BRUTUS.

Twój pan, zaiste, mądry jest i mężny;
Nigdym z téj strony źle o nim nie trzymał.
Idź mu powiedzieć odemnie, że śmiało
Może tu przybyć; stanie mu się zadość,
I na mój honor, powróci nietknięty.

SŁUGA.

Spieszę po niego:
(Odchodzi.)

BRUTUS.

Wiem, że będziemy mieć w nim przyjaciela.

KASSYUSZ.

Oby tak było! Ale jest coś we mnie,
Co go się lęka; i nieufność moja
Trudno się godzi z jego oświadczeniem.
(Antoniusz wchodzi).

BRUTUS

Otóż on.—Witaj, Marku Antoniuszu!

ANTONIUSZ.

Tyżto, Cezarze, leżysz tak nikczemnie?
W takżeto lichy zamknęły się wątek
Wszystkie zwycięztwa, wszystkie laury twoje,
Wszystkie tryumfy, trofea i łupy?
Żegnam cię.—Nie wiem ja, moi panowie,
Co zamierzacie: kto może być jeszcze
W waszém uznaniu potępienia godnym,
I kto ma zginąć: jeśli mnie to czeka,
Nie ma ku temu stosowniejszéj chwili,
Jak chwila śmierci Wielkiego Cezara;
Ani narzędzia odpowiedniejszego,
Jak te oręże wasze, uzacnione
Najszlachetniejszą krwią z wszystkich krwi świata.
O! jeśli macie jaką niechęć ku mnie,
Zaspokójcie ją teraz, błagam was,
Dopóki wasze purpurowe ręce
Tą krwią się dymią. Choćbym żył lat tysiąc,
Nigdy nie umrę chętniéj jak w téj chwili,
W tém miejscu, obok Cezara, z rąk waszych,
Wyboru, wzoru tegoczesnych mężów.

BRUTUS.

Nie żądaj od nas śmierci, Antoniuszu!
Musimy ci się wydawać okrutni,
Sądząc po rękach i obecnym czynie;
Ale ty widzisz tylko nasze ręce
I to zbroczone krwią ciało: nie widzisz
Gruntu serc naszych;—jest w nich wszakże litość.
Litość to nasza nad niedolą Rzymu
Śmierci Cezara stała się powodem:
Bo litość litość ruguje, jak ogień
Ruguje ogień. Co się ciebie tyczy,
Oręże nasze, Marku Antoniuszu,
Mają dla ciebie ołowiane ostrza:
Ramiona nasze silne przeciw złości,
I serca nasze skłonne do braterstwa
Stoją dla ciebie otworem:
Znajdziesz w nich przyjaźń, szczerość i szacunek.

KASSYUSZ.

Głos twój słuchany będzie przy rozdziale
Nowych godności.

BRUTUS.

Bądź tylko cierpliwym:
Ukoim pierwéj lud, potém ci powiém,
Dlaczego Brutus miłując Cezara,
Dłoń swoję przeciw Cezarowi podniósł.

ANTONIUSZ.

Znaną mi mądrość wasza. Niechże każdy
Skrwawioną poda mi rękę. Ty najprzód,
Marku Brutusie, pozwól mi prawicę
Swoję uścisnąć; pozwól mi toż samo
Kaju Kassyuszu; Decyuszu Brutusie,
I ty Metellu, i ty dzielny Cynno,
I ty mój mężny Kasko, i ty także
Cny Treboniuszu, ostatni z kolei,
Ale zaprawdę nie ostatni w sercu.
Szlachetni moi panowie: niestety!
Cóż mam powiedzieć? Kredyt mój na ślizkim
Gruncie spoczywa: jestem w oczach waszych
Na jednéj z dwóch dróg nagannych; myślicie,
Że ze mnie albo tchórz, albo pochlebca.
Żem cię, Cezarze, kochał. o! to prawda:
Jeśli w téj chwili duch twój patrzy na nas,
Nie boliż cię to gorzéj, jak śmierć, widzieć
Twojego Marka zawierającego
Z nieprzyjaciołmi twemi sojusz zgody,

I krwawe dłonie ich ściskającego
W obec twych martwych zwłok? O! wielki mężu!
Gdybym miał tyle ócz, ile ty ran,
Roniących tyle łez, ile z ran twoich
Krwi popłynęło: byłoby to z mojéj
Strony przystojniéj, jak zachodzić w przyjaźń
Z wrogami twemi. Przebacz mi Juliuszu!
Dzielny jeleniu! Tu uszczwano ciebie:
Tu padłeś. Oto stoją łowcy twoi,
Nacechowani i zarumienieni
Śladem twojego upadku. O! świecie!
Ty byłeś temu jeleniowi lasem,
A on był twoją, o! świecie, ozdobą.
Jakżeś podobny do pysznego zwierza,
Którego dłonie książąt powaliły!

KASSYUSZ.

Miarkuj się, Marku Antoniuszu.

ANTONIUSZ

Wybacz,
Kaju Kassyuszu: takby powiedzieli
Nieprzyjaciele Juliusza Cezara;
Skromnie to zatém ze wszech miar i zimne
Umiarkowanie w jego przyjacielu.

KASSYUSZ.

Niemam ci za złe, że Cezara chwalisz;
Ale na jakiéjż z nami chcesz stać stopie?
Chceszże się liczyć do naszych przyjacioł,
Czyli téż mamy obejść się bez ciebie?

ANTONIUSZ.

Podawszy wam dłoń, jużem wam dał poznać
Co myślę; ale w téj chwili na nowo
Tknięty zostałem widokiem Cezara.
Sprzyjam wam wszystkim, wszystkich was miłuję,
W nadziei, że mi raczycie oznajmić:
Pod jakim względem i dlaczego Cezar
Był niebezpiecznym.

BRUTUS.

Gdybyśmy w téj mierze
Milczeli, czyn nasz dzikoby wyglądał.
Powody nasze tak są sprawiedliwe,
Że choćbyś nawet był synem Cezara,
Byłbyś z nich kontent.

ANTONIUSZ.

Tego tylko żądam.
Teraz zaś proszę, abym mógł na rynek
Zanieść to ciało, i jako się godzi
Przyjacielowi, z publicznéj trybuny
Mieć na cześć jego mowę pogrzebową.

BRUTUS.

Masz k'temu wolność, Marku Antoniuszu.

KASSYUSZ.

Brutusie, słowo. (*Na stronie*). Na bogi! co czynisz?
Nie pozwalaj mu na to; nie wiész jaki
Wpływ na lud wywrzeć może jego mowa.

BRUTUS.

Nie troszcz się: ja wprzód wstąpię na mównicę,
I powód śmierci Cezara wyłożę.
Niechaj Antoniusz co chce potém mówi;
Postaram się wprzód dać do zrozumienia,
Że on za naszém mówi pozwoleniem,
Za naszą zgodą; że pragniemy szczerze,
Ażeby Cezar z wszelkiemi zwykłemi
Ceremoniami pogrzebiony został.
Nie stracim na tém nic: — zyskamy raczéj.

KASSYUSZ.

Nie wiem, co z tego wyniknie; jednakże
Nie jestem za tém.

BRUTUS.

Marku Antoniuszu,
Wolno ci zabrać to ciało; nie będziesz
Ganić nas w swojéj pogrzebowéj mowie:
Powiész jedynie o Cezarze wszystko,
Co się dobrego o nim da powiedzieć;
I dodasz, żeś do powiedzenia tego
Otrzymał od nas przyzwolenie.
Nie będziesz zresztą z pogrzebem Cezara
Nic mieć wspólnego, i rzecz swą mieć będziesz
Z téj saméj, co ja mownicy, i po mnie.

ANTONIUSZ.

Niech i tak będzie.

BRUTUS.

Uczyń więc potrzebne
Przygotowania i zdążaj za nami.

(*Wszyscy, prócz Antoniusza, wychodzą*).

ANTONIUSZ.

Przebacz mi, o! ty krwawa garści prochu,
Żem tak łagodny względem tych rzeźników!
Ty jesteś szczątkiem największego z ludzi,
Jacy kiedybądź żyli w toni czasów.
Biada przelewcom téj krwi tak szacownéj!
Tu, w obec tych ran, które nakształt niemych
Ust otwierają rubinowe wargi,
Piersi mych o głos prosząc, przepowiadam:
Że od téj chwili klątwa na Rzym padnie;
Domowa wściekłość i dziki bój bratni
Ze wszech stron będą szarpały Italią;
Mord i zniszczenie tak pójdzie w obyczaj,
I zgrozy tak się powszedniemi staną,
Że matki rzymskie uśmiechać się będą,
Widząc swe dzieci rwane zębem wojny;
Nałóg występków stłumi wszelką litość:
A duch Cezara, łaknąc zemsty, wyjdzie
Zpośrodka piekieł z Hekatą przy boku,
I krążyć będzie po kraju, wołając
Monarszym głosem: *biada!* A psy wojny
Głosowi temu odpowiadać będą,
Aż się ta zbrodnia ulotni ku niebu,
W wyziewach trupów wyzutych z pogrzebu.
(*Sługa wchodzi*).
Nie jestżeś ty u Oktawiusza w służbie?

SŁUGA.

Jestem w niéj, Marku Antoniuszu.

ANTONIUSZ.

Cezar
Pisał do niego, by przybył do Rzymu.

SŁUGA.

Odebrał on list jego i przybywa:
Mnie zaś polecił ustnie ci oznajmić,.....
Co widzę? Cezar!
(*spostrzegając ciało*).

ANTONIUSZ.

Serce twe wzbiera: idź, i płacz na stronie.
Jest snadź w wzruszeniu coś zaraźliwego:
Widząc te krople żalu w twoich oczach,
I moje także wilgnąć zaczynają.
Twój pan przybywa więc?

SŁUGA.

Tak jest: dziś jeszcze
Stanie na nocleg o siedm mil od Rzymu.

ANTONIUSZ.

Wracaj mu co tchu donieść, co się stało:
W Rzymie żałoba teraz, niebezpiecznie,
Nie byłby teraz w nim twój pan jak w domu;
Śpiesz go uprzedzić o tém. Ale czekaj:
Nie wprzód oddalisz się, aż ja to ciało
Zaniosę na plac publiczny: przemówić
Chcę tam do ludu, i zobaczyć, jak on
Przyjmie postępek tych okrutnych ludzi.
Będziesz mógł wtedy dokładnie młodemu
Oktawiuszowi stan rzeczy opisać.
Pomóż mi!

(*Wychodzą z ciałem Cezara*).

SCENA DRUGA.

(*Tamże. Forum*).

BRUTUS I LUCYUSZ *wchodzą; za niemi tłum obywateli.*

OBYWATELE.

Objaśnień chcemy, żądamy objaśnień!

BRUTUS.

Pójdźcie więc za mną, moi przyjaciele,
I posłuchajcie mnie. Bracie Kassyuszu,
Odwiedź część tłumu na inną ulicę.
Chcący mnie słuchać niech tu pozostaną;
Ci zaś, co wolą posłuchać Kassyusza,
Niech pójdą za nim. Śmierć Cezara będzie
Wszem wobec zaraz usprawiedliwioną.

PIERWSZY OBYWATEL.

Ja chcę Brutusa słyszeć.

DRUGI OBYWATEL.

Ja Kassyusza:
Niechaj oddzielnie mówią, mniejsza o to;
My ich powody porównamy potém.

(*Kassyusz odchodzi z pewną liczbą mieszczan, Brutus wstępuje na rostrum*).

TRZECI OBYWATEL.

Szlachetny Brutus wstąpił na mownicę:
Słuchajmy!

BRUTUS.

Bądźcie cierpliwi do końca.

Rzymianie! współobywatele i łaskawcy moi! Posłuchajcie mnie przez życzliwość dla mnie, i uciszcie się, abyście mnie mogli usłyszeć. Zawierzcie mi na uczciwość moję i miejcie wzgląd na moję uczciwość, abyście mi mogli zawierzyć; sądźcie mnie w swojéj mądrości, i zbierzcie zmysły wasze, abyście mnie lepiéj mogli osądzić. Jeżeli się w tém zgromadzeniu znajduje serdeczny jaki przyjaciel Cezara, niech wié, że Brutus nie mniéj od niego Cezara miłował. Jeżeli się zaś ten przyjaciel spyta, dlaczego Brutus podniósł na Cezara rękę, oto moja odpowiedź: nie przeto, żem mniéj Cezara kochał, ale żem bardziéj kochał Rzym. Woleliżbyście widzieć Cezara przy życiu, a sami żyć jak niewolnicy; niż widzieć Cezara zmarłym a sami żyć wolnemi? O ile mnie Cezar kochał, o tyle opłakuję go; o ile los mu sprzyjał, o tyle cieszę się z tego; o ile był walecznym, o tyle czczę go; o ile był dumnym, o tyle nie miałem dlań litości. Tak więc ma łzy za miłość; radość za szczęście; cześć za waleczność; a śmierć za dumę. Jestli tu kto tak podły, iżby chciał być służalcem? Niech się odezwie: bo zaiste, obraziłem go. Jestli tu kto tak nędzny, iżby nie chciał być Rzymianinem? Niech się odezwie; bo zaiste, obraziłem go. Jestli tu kto tak nikczemny, iżby ojczyzny swéj nie kochał? Niech się odezwie, bo zaiste obraziłem go. Zatrzymuję się i czekam na odpowiedź.

OBYWATELE (*jednogłośnie*).

Nikt z nas, Brutusie; nikt z nas!

BRUTUS.

Nikogo więc z was nie obraziłem? Nie postąpiłem sobie z Cezarem inaczéj, jak wybyście sobie z Brutusem postąpili. Śmierć jego zapisaną jest w Kapitolu: nie ujęto mu chwały, na którą zasłużył; ani powiększono win jego, za które śmierć poniósł.

ANTONIUSZ

(*wchodzi z orszakiem niosącym ciało Cezara*).

Oto się zbliża jego ciało pod żałobnym konwojem Marka Antoniusza, który aczkolwiek nie miał w jego śmierci udziału, otrzyma jednak udział w korzyściach z tej śmierci, tojest miejsce w rzeczypospolitéj. A ko-

muż z was ono zagrodzone? Kończę oświadczeniem, że ten sam sztylet, którym dla dobra Rzymu zabiłem najlepszego mego przyjaciela, zachowuję i dla siebie na przypadek, jeżeli się mojéj ojczyznie podoba zażądać śmierci mojéj.

OBYWATELE.

Żyj, żyj Brutusie, żyj!

PIERWSZY OBYWATEL.

Odprowadźmy go w tryumfie do domu.

DRUGI OBYWATEL.

I postawmy mu posąg obok przodków.

TRZECI OBYWATEL.

Niech będzie drugim Cezarem.

CZWARTY OBYWATEL.

Ukoronujmy lepszą część Cezara
W jego osobie.

PIERWSZY OBYWATEL.

Wznieśmy go na rękach
I z oklaskami zanieśmy do domu.

BRUTUS.

Ziomkowie moi!

DRUGI OBYWATEL.

Cicho! Brutus mówi.

PIERWSZY OBYWATEL.

Milczenie!

BRUTUS.

Drodzy ziomkowie, pozwólcie mi, proszę,
Odejść samemu, i przez miłość dla mnie
Zostańcie tutaj z Markiem Antoniuszem:
Uczcijcie zwłoki Cezara, uczcijcie
Mowę ku jego chwale zmierzającą,
Którą Antoniusz ma tu mieć niebawem
W skutku naszego pozwolenia. Niechaj
Prócz mnie jednego, nikt ztąd nie odejdzie
Przed wysłuchaniem mowy Antoniusza.

(*Wychodzi*).

PIERWSZY OBYWATEL.

Zgoda! Słuchajmy Marka Antoniusza,

TRZECI OBYWATEL.

Będziem go słuchać; niech zajmie mównicę.
Wstąp na mównicę, zacny Antoniuszu!

ANTONIUSZ.

Z łaski Brutusa winienem wam wdzięczność.

CZWARTY OBYWATEL.

Cóż on tam mówi o Brutusie?

TRZECI OBYWATEL.

Mówi,
Że nam z Brutusa łaski winien wdzięczność.

CZWARTY OBYWATEL.

Otby Brutusa lepiéj nie zaczepiał.

PIERWSZY OBYWATEL.

Cezar był tyran.

TRZECI OBYWATEL.

Rzecz jasna jak słońce:
Szczęście, że z niego Rzym jest oczyszczony.

DRUGI OBYWATEL.

Cicho! Słuchajmy, co powié Antoniusz.

ANTONIUSZ.

Mili Rzymianie!

OBYWATEL.

Cicho! już zaczyna.

ANTONIUSZ.

Rzymianie, bracia, rodacy, użyczcie
Ucha mym słowom. Nie przychodzę tutaj
Chwalić Cezara, przychodzę mu tylko
Oddać ostatnią pośmiertną przysługę.
Złe czyny ludzi żyją po ich śmierci,
Dobre—bywają częstokroć grzebane
Z ich popiołami. Tak się ma z Cezarem.
Szlachetny Brutus mówił wam, że Cezar
Był chciwym władzy: jeżeli to prawda,
Była to ciężka wina z jego strony,
I on téż ciężko ją odpokutował.
Za pozwoleniem Brutusa i innych,
(Bo Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny,
I tamci wszyscy są szanowni ludzie);
Przyszedłem tu mieć pogrzebową mowę
Na cześć Cezara. Był on przyjacielem

Moim, rzetelnym, dobrym, sprawiedliwym;
Lecz Brutus mówi, że on był ambitnym,
A Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny.
On mnogich jeńców sprowadził do Rzymu,
Których wykupem wzmógł się skarb publiczny:
Tożto był dowód ambitu Cezara?
Kiedy ubogi jęczał, płakał Cezar;
Ambit z twardszego jest kruszcu: jednakże
Brutus powiada, że on był ambitnym,
A Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny.
Pomnicie, jakem w czasie Luperkaliów
Po trzykroć razy koronę mu podał,
A on po trzykroć razy ją odepchnął.
Byłżeto ambit? Mimo tego jednak
Brutus powiada, że on był ambitnym,
A Brutus jest mąż ze wszech miar szanowny.
Nie zbijam tego, co Brutus powiedział,
Mówię tu tylko to, co wiém. Wy wszyscy
Miłowaliście go kiedyś i słusznie;
Słusznież to, że go dziś nie załujecie?
Snać rozum uciekł gdzieś między zwierzęta,
Bo go u ludzi nie ma. O przebaczcie!
Serce me przeszło do trumny Cezara:
Muszę zaczekać aż z niéj do mnie wróci.

PIERWSZY OBYWATEL.

Zda mi się, że on po części ma słuszność.

DRUGI OBYWATEL.

Jeśli tak o tém sądzisz, toć zaiste
Wielka się stała Cezarowi krzywda.

TRZECI OBYWATEL.

Doprawdy? Boję się, żeby ktoś gorszy
Po nim nie nastał.

CZWARTY OBYWATEL.

Czyście uważali?
Cezar po trzykroć nie przyjął korony;
Widoczna zatém, że nie był ambitny.

PIERWSZY OBYWATEL.

Jeżeli się to dowodnie pokaże,
Pewni ichmoście drogo to przypłacą.

DRUGI OBYWATEL.

Biédne człeczysko! Czerwone miał oczy
Od łez, jak węgiel.

TRZECI OBYWATEL.

Nie ma w całym Rzymie
Szlachetniejszego jak Antoniusz męża.

CZWARTY OBYWATEL.

Baczność, panowie, znów zaczyna mówić.

ANTONIUSZ.

Niestety, jeszcze nie daléj jak wczoraj,
Jedno Cezara słowo mogło z całym
Mierzyć się światem; dziś on leży tutaj,
I najbiedniejszy charłak nie pomyśli
Skłonić się przed nim. O! panowie moi!
Gdybym ja wasze umysły i serca
Pragnął do gniewu i zemsty zagrzewać,
Mógłbym Brutusa winić i Kassyusza,
Którzy, jak wiecie, są ludzie szanowni.
Nie chcę ja tego: wolałbym obwinić
Tego, co umarł, siebie i was wszystkich,
Niżbym miał winić tak szanownych ludzi.
Lecz oto pismo z pieczęcią Cezara,
Którem dziś znalazł w jego gabinecie:
Ostatnia to jest wola tego męża.
Skoro osnowa tego testamentu,
(Którego, że wam nie odczytam teraz,
Wybaczcie), będzie powszechnie wiadomą:
Obywatele tego miasta przyjdą
Całować rany zmarłego Cezara,
I chusty swoje we krwi jego maczać;
Co mówię! błagać chociażby o jeden
Włos z jego głowy na wieczną pamiątkę,
I umierając włos ten w testamentach
Swoich wspominać, jako drogi legat
Dzieciom go swoim przekazując.

CZWARTY OBYWATEL.

Cóż ten testament zawiera? Przeczytaj,
Przeczytaj go nam Marku Antoniuszu.

OBYWATELE.

Chcemy usłyszeć testament Cezara.

ANTONIUSZ.

Miejcie cierpliwość, moi przyjaciele,
Nie mogę go wam przeczytać; nie pora
Wam się dowiedzieć, jak was Cezar kochał.
Wyście nie drewna, nie głazy, lecz ludzie;
Ludźmi zaś będąc, nie możecie teraz
Słyszeć osnowy tego testamentu:

Toby uniosło was aż do szaleństwa.
Nie powinniście wiedzieć, że jesteście
Spadkobiercami jego, bo gdybyście
O tém wiedzieli, o! cóżby się stało!

CZWARTY OBYWATEL.

Przeczytaj nam ten testament; koniecznie
Chcemy go poznać. Przeczytaj natychmiast.

ANTONIUSZ.

Bądźcież cierpliwi; poczekajcie nieco.
Żałuję teraz, żem wam o tém wspomniał,
Boję się skrzywdzić tych szanownych ludzi,
Których sztylety przebiły Cezara.

CZWARTY OBYWATEL.

To zdrajcy: co mi za szanowni ludzie!

OBYWATELE

O! Antoniuszu! przeczytaj testament!

DRUGI OBYWATEL.

To nikczemnicy, bezwstydni mordercy!
Ależ testament, testament!

ANTONIUSZ.

Gwałtem więc chcecie, bym go wam przeczytał?
Stańcież w krąg tedy przy zwłokach Cezara,
I mnie pozwólcie podnieść całun tego,
Co w nim zapisał swą ostatnią wolę.
Mamże znijść? Czyliż zgadzacie się na to?

OBYWATELE.

Znijdź! znijdź!

(*Antoniusz zstępuje z mównicy*).

TRZECI OBYWATEL.

Zgadzamy się.

CZWARTY OBYWATEL.

Stańmy w krąg.

PIERWSZY OBYWATEL.

Stańmy opodal, usuńmy się.

DRUGI OBYWATEL.

Hej! zróbcie miejsce najszlachetniejszemu
Antoniuszowi!

ANTONIUSZ.

Nie tłoczcie się tak koło mnie, odstąpcie.

OBYWATELE.

Na bok! hej! na bok!

ANTONIUSZ.

Jeżeli macie łzy, lejcież je teraz.
Czy znacie ten płaszcz? Pomnę, kiedy Cezar
Po raz pierwszy na siebie zarzucił go
Byłoto w letni wieczór pod namiotem,
Tego dnia, kiedy pogromił był Nerwów.
Patrzcie! w to miejsce pchnął zawistny Kaska,
W to miejsce sztylet Kassyusza ugodził,
Tędy cios zadał Brutus ukochany;
A kiedy wyjął fatalne narzędzie,
Pomyślcie, ile krwi z Cezara trysło:
Buchnęła ona jak przez drzwi, chcąc ujrzeć,
Czylito Brutus tak silnie zapukał,
Czyli nie Brutus; bo Brutus, jak wiecie,
Był istnym w oczach Cezara aniołem.
Bogowie, wyście świadkami, jak bardzo,
Jak czule kochał go Cezar! Zaprawdę,
Byłto cios z wszystkich ciosów najdotkliwszy:
Skoro albowiem Cezar uczuł w piersiach
Sztylet Brutusa, niewdzięczność silniejsza
Od ramion zdrajców, wraz go pokonała.
Pękło mu serce, i twarz kryjąc płaszczem,
U stóp posągu Pompejuszowego,
Z którego ciekła krew, padł wielki Cezar.
O! jakiżto był upadek, rodacy!
Ja, wy, wszyscyśmy padli jednocześnie;
A krwawa zdrada nad naszym upadkiem
Wydała okrzyk radosny. Płaczecie,
Do łez jesteście rozrzewnieni: łzy te
Czynią wam zaszczyt. Czegoż wy płaczecie,
Poczciwe dusze? Płaczecie na widok
Przebitéj szaty waszego Cezara:
Spojrzcie tu, tu on sam leży zakłuty,
Zamordowany sztyletami zdrajców.

PIERWSZY OBYWATEL.

O opłakany widoku!

DRUGI OBYWATEL.

O szlachetny Cezarze!

TRZECI OBYWATEL.

O dniu żałoby!

CZWARTY OBYWATEL.

O zdrajcy! O nikczemnicy!

PIERWSZY OBYWATEL.

O zgrozo!

DRUGI OBYWATEL.

Zemsty nam trzeba: zemścijmy się. Daléj, biegnij, chwytaj ich, pal, kłuj, bij, zabijaj! Niech żaden zdrajca nie ujdzie żywy.

ANTONIUSZ.

Wstrzymajcie zapał, rodacy.

PIERWSZY OBYWATEL.

Cicho! szlachetny Antoniusz przemawia.

DRUGI OBYWATEL.

Gotowiśmy go słuchać, gotowiśmy pójść za nim, gotowiśmy z nim umrzeć.

ANTONIUSZ.

O! przyjaciele, drodzy przyjaciele,
Niech moje słowa nie będą wam bodźcem
Do tak nagłego wybuchu.
Sprawcy téj śmierci są to, jak mówiłem,
Szanowni ludzie; jakie osobliwe
Powody mieli do takiego czynu,
Tego, niestety, ja nie wiem: są oni
Niezaprzeczenie mądrzy i szanowni,
I niezawodnie wam się wytłumaczą.
Jam tu nie przyszedł kraść waszych affektów;
Nie jestem mowcą tak dobrym, jak Brutus:
Jestem, jak wiecie, dobroduszny prostak,
Do przyjaciela swego przywiązany;
I dobrze o tém wiedzą ci panowie,
Którzy mi o nim pozwolili mówić.
Brak mi dowcipu, słów, min i powagi,
Kunsztownych zwrotów i potęgi głosu:
Tego wszystkiego, co krew ludzi wzrusza.
Ja tylko mówię wprost prawdę; ja tylko
Wam opowiadam to, co wiecie sami.
Pokazuję wam rany kochanego
Cezara; biédne, nieme jego usta,
I im wymowę całą przekazuję.
Lecz gdybym ja był Brutusem, a Brutus
Był Antoniuszem: wtedyby Antoniusz
Nie szczędził pewnie swych piersi, i każdą
Ranę Cezara tak wymowną zrobił,
Że nawet głazy Rzymu poruszone
Z wściekłościąby się do buntu podniosły.

OBYWATELE.

I my bunt chcemy podnieść.

PIERWSZY OBYWATEL.

Spalmy Brutusa dom.

TRZECI OBYWATEL.

Idźmy, szukajmy sprzysiężonych.

ANTONIUSZ.

Posłuchajcie mnie pierwéj, posłuchajcie!

OBYWATELE.

Hola! Uciszcie się! Antoniusz mówi.

ANTONIUSZ.

O! przyjaciele, rodacy, nie wiecie
Co zamierzacie. Przez cóżto się Cezar
Stał godnym waszéj miłości? Niestety!
Nie wiecie sami:—ja wam tedy powiem.
Nie napomknąłżem wam o testamencie
Cezara? Czyście zapomnieli o tém?

OBYWATELE.

Prawda; testament:—czekajmy, słuchajmy.

ANTONIUSZ.

Oto jest w mowie będący testament,
A na nim pieczęć Cezara. Przeznacza
On nim każdemu obywatelowi
Rzymu, ba, nawet każdemu z pospólstwa,
Po siedmdziesiąt i pięć drachm.

DRUGI OBYWATEL.

Wielki Cezarze!—pomścim się za ciebie,

TRZECI OBYWATEL.

Wspaniałomyślny Cezarze!

ANTONIUSZ.

Wysłuchajcie mnie cierpliwie do końca.

OBYWATELE.

Hola! milczenie!

ANTONIUSZ.

Nadto, leguje on wam wszystkie swoje
Wille i świeżo sadzone ogrody
Z téj strony Tybru; oddaje to wszystko
Wam i następcom waszym w posiadanie

Na wieczne czasy, ku wspólnéj wygodzie
I przyjemności i wszelkiéj korzyści.
Takim był Cezar. Kiedyż na świat przyjdzie
Drugi podobny?

PIERWSZY OBYWATEL.

Nigdy, nigdy:—idźmy:
Spalmy na świętym placu jego ciało,
Lecz jednocześnie puśćmy także z dymem
Mieszkania zdrajców. Daléj, bierzcie ciało.

DRUGI OBYWATEL.

Rozniećcie ogień.

TRZECI OBYWATEL.

Walcie na kupę ławki.

CZWARTY OBYWATEL.

Rąbcie lamperye, okna, co się zdarzy.
(*Obywatele wychodzą unosząc ciało.*)

ANTONIUSZ.

Rzucona żagiew: nieprawość przerwała
Swoje zapory; niechże daléj działa.
Cóż tam?
(*Sługa wchodzi*).

SŁUGA.

Oktawiusz przybył już do Rzymu.

ANTONIUSZ.

Gdzież on jest?

SŁUGA.

W domu Cezara z Lepidem.

ANTONIUSZ.

Natychmiast spieszę do niego. W stosowną
Porę przybywa. Fortuna jest jakoś
W dobrym humorze i chce nam coś zrzucić
Z swojego rogu.

SŁUGA.

Mówią, że przed chwilą
Brutus i Kassyusz co tchu, jak szaleni
Pędzili konno przez ulice Rzymu.

ANTONIUSZ.

Snadź im już doniósł lud, jakem go wzruszył:
Tém lepiéj. Prowadź mnie do Oktawiusza.
(*Wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(Tamże. Ulica).

CYNNA *poeta, wchodzi.*

CYNNA.

Śniłem dziś, żem był z Cezarem na uczcie,
I rój mar groźnych napełnił mi umysł:
Nie miałem wcale ochoty wyjść z domu,
A przecież coś mnie wygnało.

(Obywatele wchodzą).

PIERWSZY OBYWATEL.

Jak się nazywasz?

DRUGI OBYWATEL.

Gdzie idziesz?

TRZECI OBYWATEL.

Gdzie mieszkasz?

CZWARTY OBYWATEL.

Jestżeś żonaty, czy nieożeniony?

DRUGI OBYWATEL.

Odpowiédz prosto.

PIERWSZY OBYWATEL.

I krótko.

CZWARTY OBYWATEL.

I rozsądnie.

TRZECI OBYWATEL.

I rzetelnie: tak ci radzim.

CYNNA.

Jak się nazywam? Gdzie idę? Gdzie mieszkam? Czym żonaty? Czy nieożeniony? Mam na to wszystko odpowiedzieć prosto, krótko, rozsądnie i rzetelnie. Rozsądnie mówiąc—jeszczem nieożeniony.

DRUGI OBYWATEL.

To się ma znaczyć: głupiec, kto się żeni. Boję się, żebyś za to nie dostał kuksa, bratku. Mów daléj, prosto.

CYNNA.

Idę prosto na pogrzeb Cezara.

DRUGI OBYWATEL.

Jako przyjaciel, czy jako nieprzyjaciel?

CYNNA.

Jako przyjaciel.

DRUGI OBYWATEL.

Na to pytanie prosto odpowiedział.

CZWARTY OBYWATEL.

A gdzie waść mieszkasz? Mów krótko.

CYNNA.

Krótko mieszkam w podle Kapitolu.

TRZECI OBYWATEL.

A jakie waści nazwisko? Mów rzetelnie.

CYNNA.

Rzetelnie, nazwisko moje: Cynna.

PIERWSZY OBYWATEL.

Rozszarpcie go na sztuki, to jeden z sprzysiężonych.

CYNNA.

Jam Cynna, poeta; jam Cynna, poeta!

CZWARTY OBYWATEL.

Rozszarpcie go za jego kiepskie wiersze, rozszarpcie go za kiepskie wiersze.

CYNNA.

Jam nie ten Cynna, co miał udział w spisku.

DRUGI OBYWATEL.

Mniejsza o to: nazywasz się Cynna, to dosyć. Wydrzyjcie mu to nazwisko z serca i niech sobie potém idzie zdrów.

TRZECI OBYWATEL.

Rozszarpcie go, rozszarpcie. Hej! głowni, pochodni! Do Brutusa, do Kassyusza! pal zdrajców! A inni do Decyuszowego, a inni do Ligaryuszowego domu, a inni do domu Kaski. Daléj, daléj!

(*Wychodzą*).

AKT IV.

SCENA PIERWSZA.

(Tamże. Komnata w domu Antoniusza).

ANTONIUSZ, OKTAWIUSZ I LEPID *siedzą przy stole.*

ANTONIUSZ.

Ci wszyscy mają więc umrzéć: nazwiska
Ich mam spisane.

OKTAWIUSZ.

Twój brat musi także
Umrzéć, Lepidzie; zgadzasz-li się na to?

LEPID.

Zgadzam się.

OKTAWIUSZ.

Umieść go więc, Antoniuszu,
Na liście.

LEPID.

Ale tylko pod warunkiem,
Że Publiusz, syn twéj siostry, Antoniuszu,
Podobnież śmierci ulegnie.

ANTONIUSZ.

Ulegnie.
Patrz, oto jedném pociągnięciem pióra
Jużem go skazał. A teraz, Lepidzie,
Chciéj nam tu przynieść Cezara testament,
Ażebyśmy się wspólnie naradzili.
Czy się co nie da obciąć z uciążliwych
Jego legatów.

LEPID.

Czy was tu zastanę?

OKTAWIUSZ.

Albo tu, albo w Kapitolu.

(Lepid wychodzi).

ANTONIUSZ.

Lekki to człowiek i bez żadnych zalet:
Zdatny jedynie do posyłek. Jestże

On wart mieć udział przy podziale świata,
I jednę trzecią część jego otrzymać?

OKTAWIUSZ.

Sameś tak sądził, skoroś go zawezwał
Do układania z nami czarnéj listy
Skazanych na śmierć i proskrypcyą.

ANTONIUSZ.

Więcéj
Ja, Oktawiuszu, niż ty, dni widziałem.
Jeśli na niego włożym część zaszczytów,
Co nas uwolni od pewnych drażliwych
Ciężarów władzy: dźwigać on je tylko
Będzie, jak osioł dźwiga wór ze złotem;
Pocić się, jęczyć w pracy, kierowany,
Lub popędzany po wytkniętéj drodze!
Skoro zaś skarb nasz doniesie, gdzie zechcem,
Wtedy zdejmiemy z niego drogi ciężar,
I usuniemy go na bok, jak osła,
Aby spokojnie z zwieszonemi uszy
Pasł się na trawie.

OKTAWIUSZ.

Rób jak chcesz: jednakże
Jestto odważny, doświadczony żołnierz.

ANTONIUSZ.

Takim jest także mój koń, Oktawiuszu;
Ja mu téż za to wyznaczam nie skąpą
Porcyą obroku; wkładam go do hoju,
Uczę go zwrotów, uczę jak i kiedy
Ma stać, kłusować lub ruszyć z kopyta:
Ruch jego ciała jest grą woli mojéj.
Tak samo prawie ma się rzecz z Lepidem:
I jego trzeba tresować, prowadzić,
Poganiać—bo duch jego jest leniwy.
Kocha się w sztukach, rupieciach i fraszkach,
I takie rzeczy, które już oddawna
Wyszły z użycia, na które my plujem,
U niego modą się stają. Nie miejmy
Go za nic więcéj jak za sprzęt przydatny.
Teraźże otwórz Oktawiuszu ucho
I wpuść w nie ważną wieść: Brutus i Kassyusz
Gromadzą wojska: trzeba nam niezwłocznie
Stawić im czoło. Obrachujmy przeto
Złączone siły nasze, powołajmy
Naszych przyjaciół i rozwińmy wszelkie

Możliwe środki; tymczasem zaś złóżmy
Walną naradę i pilnie rozważmy,
Jakby najlepiéj tajne złe wyśledzić,
A jawnym z pewnym skutkiem odpowiedzieć.

OKTAWIUSZ.

Zróbmy tak: bośmy na sztych wystawieni,
I obsadzeni mnóstwem nieprzyjacioł;
Ci zaś, co w oczy się śmieją, chowają
Nieraz jad w sercu.

(Wychodzą).

SCENA DRUGA.

(Przed namiotem Brutusa w obozie pod Sardes).

Odgłos kotłów. BRUTUS, LUCYLIUSZ I LUCYUSZ *wchodzą z żołnierzami*; TITINIUSZ I PINDAR *nadchodzą z przeciwnéj strony.*

BRUTUS.

Stój!

LUCYLIUSZ.

Wymień hasło!

BRUTUS.

Cóż tam, Lucyliuszu?
Gdzie Kassyusz? Rychłoż tu będzie?

LUCYLIUSZ.

Niebawem;
Pindar pozdrawia cię od niego, wodzu.
(*Pindar oddaje list Brutusowi*).

BRUTUS.

Pięknie pozdrawia mię. Twój pan, Pindarze,
Bądź w skutek zmiany, bądź też złych poszeptów,
Każe mi pragnąć, aby się odstało
To, co się stało; lecz skoro ma nadejść,
Porozumiemy się, mniemam.

PINDAR.

Nie wątpię,
Że mój pan takim jak jest się pokaże:
To jest zacności i honoru pełnym.

BRUTUS.

Któż o tém wątpi? Lucyliuszu, słowo.
(*Biorąc go na stronę*).
Jakże on ciebie przyjął?

LUCYLIUSZ.

Dosyć grzecznie,
I z oznakami szacunku; jednakże
Nie z tą serdeczną otwartością, ani
Poufałością swobodną, jak dawniéj.

BRUTUS.

Odmalowałeś obraz przyjaciela,
Którego zapał ochłódł. Z dawien dawna
Znajome to są dzieje, Lucyliuszu:
Że przyjaźń stygnąc przywdziewa subtelną
I wymuszoną szatę ceremonii.
Prosta rzetelność nienawidzi blichtrów,
Lecz ludzie zręcznie się układający
Są, jako owe konie paradiery,
Które na oko ogień obiecują,
Lecz niechno krwawą poczują ostrogę,
Wnet opuszczają grzywę, i jak chetki
Padają w probie. Idzież jego wojsko?

LUCYLIUSZ.

Dzisiejszéj jeszcze nocy zajmie ono
W Sardes kwatery. Większa jego część,
Tojest konnica, nadciąga z nim razem.
(*Marsz za sceną*).

BRUTUS.

Czy słyszysz? To on.—Biegnij, Lucyliuszu
Jak najuprzejmiéj na jego spotkanie.
(*Kassyusz wchodzi z żołnierzami*).

KASSYUSZ.

Hola! Stój!

BRUTUS.

Hola! Stój i wymień hasło.
(*Za sceną trzy razy: „Stój"*).

KASSYUSZ.

Szlachetny bracie, bardzoś mi uchybił.

BRUTUS.

Niech mię bogowie sądzą: nie uchybiam
Nieprzyjaciołom nawet, a miałżebym
Uchybiać bratu mojemu?

KASSYUSZ.

Brutusie,
Kształtna to forma ukrytéj niechęci!
Jeżeli chcesz w niéj trwać....

BRUTUS.

Zwolna, Kassyuszu:
Łagodnie wynurz swój żal. Znam cię dobrze.
Nie toczmy sporów tu w obec wojsk naszych,
Które powinny widzieć tylko naszę
Przyjaźń i zgodę. Każ im się usunąć:
Pójdziemy potém do mego namiotu;
Tam mi twe skargi wypowiész.

KASSYUSZ.

Pindarze,
Powiédz dowódzcom, aby swoje roty
W tył ztąd cofnęli nieco.

BRUTUS.

Lucyliuszu,
Uczyń podobnież. Niech się nikt nie waży
Wnijść do namiotu mojego przed końcem
Naszéj rozmowy. Lucyusz i Tytyniusz
Staną dlatego na straży u wnijścia.
(Wychodzą).

SCENA TRZECIA.

(W namiocie Brutusa. Lucyusz i Tytyniusz przechadzają się w pewnéj odległości).

BRUTUS I KASSYUSZ *wchodzą.*

KASSYUSZ.

Żeś mi uchybił, dowód na to taki:
Skazałeś na śmierć i okryłeś hańbą
Lucyusza Pellę, za to, że Sardyanom
Dał się przekupić; a kiedym listownie
Wstawiał się za nim, bom go znał, tyś listy
Moje odrzucił i prośbą pogardził.

BRUTUS.

Sameś uchybił sobie pisząc za nim.

KASSYUSZ.

W obecnych czasach niegodzi się wdawać
W zbytnie rozbiory ladajakiéj winy.

BRUTUS.

Pozwolisz sobie powiedzieć, Kassyuszu,
Że i na tobie cięży podejrzenie,
Jakobyś maczał rękę w nadużyciach;
Skrycie frymarcząc stopniami, i one
Niegodnym ludziom sprzedając za złoto.

KASSYUSZ.

Ja, moją rękę maczać w nadużyciach?
Wiész dobrze, że to Marek Brutus wyrzekł:
Inaczéj mowa ta, na wszystkie bogi,
Byłaby twoją ostatnią.

BRUTUS.

Nazwisko
Kassyusz, uzacnia niecność twych postępków,
I kara przed niém kryje głowę.

KASSYUSZ.

Kara!

BRUTUS.

Przypomnij sobie marzec, Idus marca:
Za cóżto, jeśli nie za świętą sprawę
Słuszności, zginął wielki Juliusz Cezar?
Jakiż nikczemnik w innéj, niż ta sprawie
Podniósł nań sztylet, tknął się jego ciała?
I myżto teraz, my, cośmy przeleli
Krew najpiérwszego z tegoczesnych mężów,
Za to jedynie, że cierpiał łupieztwa;
Myżto dziś mamy brudzić sobie palce
Plugawym wziątkiem, i rozległy zakres
Obywatelskich dostojeństw sprzedawać
Za garść barłogu? Zaprawdę, wolałbym
Sto razy być psem, co szczeka na księżyc,
Niżeli takim Rzymianinem.

KASSYUSZ.

Nie szczekaj na mnie, Brutusie, nie zniosę
Tego obejścia: chcąc mnie upokorzyć,
Zapominasz się: jam żołnierz, Brutusie,
Starszy od ciebie w praktyce; i prędzéj
Mógłbym ja tobie dyktować warunki,
Niż ty mnie.

BRUTUS.

Tegobyś nie mógł, Kassyuszu.

KASSYUSZ.

Mógłbym.

BRUTUS.

Powiadam, że nie.

KASSYUSZ.

Nie wyczerpuj
Méj cierpliwości; mógłbym się zapomnieć.
Miéj wzgląd na siebie, nie kuś mego gniewu.

BRUTUS.

Idź, gardzę tobą.

KASSYUSZ.

Czy podobna?

BRUTUS.

Słuchaj,
I nie przerywaj mi. Cóżto, czy myślisz,
Że ja wybrykom twoim kadzić będę;
Że zadrżę, gdy mi urąga szaleniec?

KASSYUSZ.

O bogi! bogi! mamże znieść to wszystko?

BRUTUS.

To wszystko? Więcéj jeszcze: Wrzéj z wściekłości.
Dopóki dumne twe serce nie pęknie,
Idź, pień się w obec twoich niewolników,
I każ służalcom twym truchleć. Co? jażbym
Miał się chwiać? ja stać na palcach przed tobą?
Czołgać się przed twym humorem? Na bogi,
Musisz sam w sobie strawić jad twéj żółci,
Chociażby ci miał wnętrzności rozsadzić.
Od dzisiaj gniew twój jest dla mnie igraszką
I pośmiewiskiem.

KASSYUSZ.

Do tegożto przyszło?

BRUTUS.

Mówisz, żeś lepszy żołnierz: dowiédz tego.
Zamień chełpliwość w czyn, będzie to dla mnie
Miłym widokiem; bo co się mnie tyczy,
Lubię się uczyć od szlachetnych ludzi.

KASSYUSZ.

Krzywdzisz mię ciągle, krzywdzisz mię, Brutusie
Pod każdym względem: mówiłem, żem starszy,
Nie zaś żem lepszy żołnierz. Czym ja mówił,
Żem lepszy?

BRUTUS.

Mniejsza mi o to, czyś mówił.

KASSYUSZ.

Cezar za życia nie śmiał mię tak drażnić.

BRUTUS.

Milcz: tyśto nie śmiał go tak niecierpliwić.

KASSYUSZ.

Jam nie śmiał?

BRUTUS.

Tak jest.

KASSYUSZ.

Jego niecierpliwić?

BRUTUS.

Tak jest: nie śmiałeś, bo ci miłe życie.

KASSYUSZ.

Nie dufaj zbytnie w mą przyjaźń, bo mógłbym
Zrobić coś, czegobym potém żałował.

BRUTUS.

Mógłbyś żałować tego, coś już zrobił.
Groźby twe niczém są dla mnie, Kassyuszu;
Bo mnie poczciwość tak warownie zbroi,
Że one koło mych uszu przechodzą,
Jak ów wiatr, którym gardzę. Posyłałem
Po pewną summę pieniędzy do ciebie:
Odmówiłeś mi onéj; posyłałem
Po nią do ciebie, bo nie umiem grosza
Podłemi zbierać środkami. Na bogi!
Wolałbym raczéj serce me stęplować,
I krew mą sączyć za drachmy, niż z twardych
Rąk biednych kmieci, pokątnym sposobem,
Wyciskać krwawo zarobione mienie.
Chciałem od ciebie pożyczyć pieniędzy
Na zapłacenie żołdu mym legionom;
Odmówiłeś mi: któżby po tym kroku
Poznał Kassyusza? Byłżebym ja sobie
Tak był postąpił z Kajusem Kassyuszem?
Jeżeli Marek Brutus kiedykolwiek
Do tego stopnia okaże się sknerą,
Iż nędzne swoje skrzynie na klucz zamknie
Przed przyjaciołmi: o! wtedy, bogowie,
Spuśćcie na niego wszystkie swe pioruny,
I w proch go zgniećcie!

KASSYUSZ.

Jam ci nie odmówił.

BRUTUS.

Odmówiłeś mi.

KASSYUSZ.

Nie, nie odmówiłem:
Jakiś półgłówek przyniósł ci tę bajkę.
Brutusie, ciężko zraniłeś mi serce:
Przyjaciel kryje wady przyjaciela;
A ty, Brutusie, zwiększasz owszem moje.

BRUTUS.

Nie zwiększam, gdy wprost sam tylko je znoszę.

KASSYUSZ.

Nie cierpisz mię więc?

BRUTUS.

Nie cierpię twych przywar.

KASSYUSZ.

Przyjazne oko nie dostrzega nigdy
Podobnych rzeczy.

BRUTUS.

Nie dostrzega onych
Oko podchlebców, chociażby tak wielkie
Były, jak Olimp.

KASSYUSZ.

Przybądź, Antoniuszu,
I ty, bezbrody Oktawiuszu, przybądź,
Nasycić zemstę swą we krwi Kassyusza.
Bo Kassyuszowi obrzydł już świat, skoro
Go nienawidzi ten, co mu był droższym
Nad wszystko w świecie; skoro nim brat gardzi,
Jak psem pomiata, wszystkie jego błędy
Notuje, uczy się onych napamięć,
Aby mu niemi z regestru pluł w oczy.
O! mógłbym z żalu we łzy się rozpłynąć!
Oto mój sztylet, oto moja pierś:
Bije w niéj serce pełniejsze, bogatsze
Od Plutusowych min; droższe od złota:
Wyrwij je, jeśli jesteś Rzymianinem.
Jam ci odmówił złota, daję-ć serce:
Uderz w nie, jakoś uderzył w Cezara;
Boś ty Cezara bardziéj nienawidził,
Aleś go lepiéj kochał niż Kassyusza.

BRUTUS.

Schowaj twój sztylet: gniewaj się i zżymaj,
Jeśli chcesz; wszelką masz wolność potemu.
Rób, co chcesz; zakał nazwijmy kaprysem.
O! mój Kassyuszu, tyś wprzągnięty w jedno
Jarzmo z jagnięciem, którego zawziętość
Równie jest trwałą, jak ogień krzemienia,
Który, skrzesany nieco silniéj, szparką
Wydaje iskrę i wnet znowu chłodnie.

KASSYUSZ.

Na toż żył Kassyusz, aby Brutusowi
Za pośmiech tylko i igraszkę służył,
Gdy go gwałtowna krew i żal uniesie?

BRUTUS.

Jeślim to wyrzekł, wyznaję, że byłem
Niemniéj gwałtowny.

KASSYUSZ.

Ty mi to wyznajesz?
Daj rękę.

BRUTUS.

Razem z sercem.

KASSYUSZ.

O Brutusie!

BRUTUS.

Czegoż chcesz więcéj?

KASSYUSZ.

Zechcesz że być odtąd
Pobłażającym dla mnie, gdy porywczość,
Którą mam z matki, sprawi kiedykolwiek,
Iż się zapomnę?

BRUTUS.

Będę nim, Kassyuszu!
Ilekroć razy okażesz się cierpkim
Względem Brutusa, on sobie pomyśli
O twojéj matce i chętnie-ć wybaczy.
(Hałas za sceną).

POETA *(za sceną).*

Wpuśćcie mię, wpuśćcie do wodzów; jest jakieś
Pomiędzy niemi nieporozumienie:
Nienależy ich samych pozostawiać.

LUCYLIUSZ *(za sceną).*

Nie wnijdziesz.

POETA *(za sceną).*

Chyba śmierć zdoła mnie wstrzymać.
(Wchodzi).

BRUTUS.

Cóżto jest, co się to znaczy?

POETA.

Wodzowie!
Wstydźcie się; wamże przystoi się waśnić?
Podajcie sobie dłonie, mir uderzcie:
Dawniéj ja od was żyję, więc mi wierzcie.

KASSYUSZ.

Cha, cha, jak nędznie rymuje ten Cynik!

BRUTUS.

Precz ztąd, zuchwały natręcie; precz zaraz.

KASSYUSZ.

Wybacz mu, już to taka jego mania.

BRUTUS.

Umiem cierpliwie słuchać jego dziwactw,
Kiedy stosowny do nich czas wybierze.
Wojna obejdzie się bez tych kuglarzy.
Precz ztąd, precz.

KASSYUSZ.

Oddal się, dobry człowieku.
(Poeta wychodzi).

(Lucyliusz i Tytyniusz wchodzą).

BRUTUS.

Idź, Lucyliuszu, i ty Tytyniuszu,
Kazać dowódzcom przygotować nocleg
Dla wojsk nadeszłych.

KASSYUSZ.

I wróćcie tu zaraz
Z Messalą.

(Lucyliusz i Tytyniusz wychodzą).

BRUTUS.

Chłopcze, przynieś puhar wina.

KASSYUSZ.

Nie spodziewałem się nigdy, Brutusie,
Abyś mógł tak być gniewnym.

BRUTUS.

O Kassyuszu,
Gdybyś znał wszystkie moje utrapienia!

KASSYUSZ.

Gdzież się podziała twoja filozofia,
Skoro chwilowym troskom się poddajesz?

BRUTUS.

Nikt smutków lepiéj odemnie nie znosi.
Porcya nie żyje.

KASSYUSZ.

Co! Porcya?

BRUTUS.

Nie żyje.

KASSYUSZ.

Dlaczegóżeś mię nie zabił na miejscu,
Kiedym cię przyszedł w takiéj chwili drażnić!
O niepowrotna, opłakana strato!
Na cóż umarła? cóż spowodowało
Tę śmierć tak nagłą?

BRUTUS.

Niespokojność o mnie,
A przytém rozpacz, że młody Oktawiusz,
Oraz Antoniusz przyszli do takiego
Stopnia potęgi; jednocześnie bowiem
Wieść ta mię doszła z wieścią o jéj śmierci.
To ją dotknęło tak, że w obłąkaniu,
Pod nieobecność sług połknęła ogień...

KASSYUSZ.

I tak umarła?

BRUTUS.

Tak.

KASSYUSZ.

O nieśmiertelni!

(*Lucyusz wchodzi z winem i światłem*).

BRUTUS.

Nie mówmy o niéj. Dobrze, daj tu puhar:
W nim wszelką niechęć pogrzebiem, Kassyuszu.

(*Pije*).

KASSYUSZ.

Szlachetny toast ten łechce mi serce:
Lucyuszu, napełń czarę aż po brzegi.
Pijąc za zdrowie mojego Brutusa
Nie mogę wypić zawiele.

(*Pije*).

(*Tytyniusz wchodzi z Messalą*).

BRUTUS.

Wnijdź, Tytyniuszu: witaj nam, Messalo!
Siądźmy tu teraz razem przy téj świécy
I radźmy, co nam pozostaje czynić.

KASSYUSZ.

Już cię więc nie ma, Porcyo!

BRUTUS.

Przestań, proszę.
Siądźcie, panowie. Odebrałem właśnie
Wieść, że Oktawiusz i Marek Antoniusz
Z ogromną siłą przeciwko nam ciągną,
I ku Filippom kierują swój pochód.

MESSALA.

I ja przed chwilą odebrałem listy
Podobnéj treści.

BRUTUS.

Z jakimże dodatkiem?

MESSALA.

Z tym, że Oktawiusz, Antoniusz i Lepid
Stu senatorów skazali na gardło.

BRUTUS.

W tym punkcie nie są zgodne nasze listy.
W moich jest mowa o siedemdziesięciu,
Którzy zginęli skutkiem ich proskrypcyi.
W liczbie tych był i Cycero.

KASSYUSZ.

Cycero?

MESSALA.

Tak jest, Cycero padł z innemi razem.
Nie miałżeś, wodzu, listów od swéj żony?

BRUTUS.

Nie miałem.

MESSALA.

I nic ci o niéj nie piszą?

BRUTUS.

Nic.

MESSALA.

To mnie dziwi.

BRUTUS.

Dlaczegóż mnie badasz?
Miałżebyś o niéj co wiedzieć?

MESSALA.

Nie, wodzu;
Nic nie wiem.

BRUTUS.

Jeśli jesteś Rzymianinem,
Powiédz mi prawdę.

MESSALA.

Znieśże, wodzu, prawdę,
Jako Rzymianin. Żona twa umarła,
I to sposobem nadzwyczajnym.

BRUTUS.

Żegnam cię, Porcyo! Messalo, my wszyscy
Musimy umrzéć. Często myśląc o tém,
Że kiedyś będę ją musiał utracić,
Znoszę dziś mężnie myśl, żem ją utracił.

MESSALA.

Tak wielkie serca znoszą wielkie ciosy.

KASSYUSZ.

W sztuce téj chciałbym ci zrównać, Brutusie;
Lecz siły moje sprostać ci nie mogą.

BRUTUS.

Wróćmy do rzeczy. Jakież wasze zdanie:
Mamyż się teraz udać ku Filippom?

KASSYUSZ.

Nie jestem za tém.

BRUTUS.

Jakiż tego powód?

KASSYUSZ.

Następujący: Według mego zdania,
Zawsze jest lepiéj, kiedy nieprzyjaciel

Nas szuka, nie my jego. Tym sposobem
Nuży on wojsko, wyczerpuje środki,
Słowem, przyprawia się sam o uszczerbek;
Kiedy tymczasem my, spokojnie siedząc,
Pełne i świeże zachowujem siły,
Zawsze gotowi dzielny stawić odpór.

BRUTUS.

Dobre powody winny zawsze lepszym
Miejsca ustąpić. Lud zamieszkujący
Całą od Sardes do Filippów przestrzeń,
Sprzyja nam tylko w przymuszony sposób,
Żywiąc tajemną niechęć za pobrane
Przez nas podatki. Gdyby nieprzyjaciel
Ciągnął tym krajem, powiększyłby siły,
I pokrzepiony tym nabytkiem, śmielej
Natarłby na nas. Utraci tę korzyść,
Jeżeli spiesznie stawimy mu czoło
Pod Filippami, dalszym niebezpiecznym
Pochodom jego zagradzając drogę.

KASSYUSZ.

Bracie, posłuchaj mnie.

BRUTUS.

Za pozwoleniem.
Trzeba ci jeszcze obok tego zważyć,
Żeśmy już wszelkie wyczerpali źródła;
Że nasze legie są już wypełnione:
Że nasza sprawa doszła dojrzałości;
Nieprzyjaciołom sił przybywa codzień,
A nam na szczycie przesilenie grozi.
W zabiegach ludzkich jest przypływ i odpływ:
Pora przypływu stosownie schwytana
Wiedzie do szczęścia; kto onę opuszcza,
Ten podróż życia po mieliznach z biédą
Musi odbywać. Myśmy teraz właśnie
Na tak wezbrane wypłynęli morze:
Trzeba nam z fali przyjaznéj korzystać,
Inaczéj okręt nasz zginie.

KASSYUSZ.

Chcesz tego,
Niechże tak będzie: postąpimy naprzód,
I stoczym z niemi bój pod Filippami.

BRUTUS.

Późna w rozmowie noc nas zaskoczyła.
Natura musi konieczności uledz:

Skrzepmy ją trochą snu. Jestże co więcéj
Do załatwienia?

KASSYUSZ.

Nic więcéj. Dobranoc.
Jutro ze świtem opuścimy leże
I marsz!

BRUTUS.

Lucyuszu, daj mi nocne szaty.
(*Lucyusz wychodzi*).
Bądź zdrów, kochany Messalo; dobranoc,
Cny Tytyniuszu; szlachetny Kassyuszu,
Dobranoc: śpijcie zdrowi.

KASSYUSZ.

Drogi bracie!
Źle się zaczęła ta noc. Niech się odtąd
Takie jak dzisiaj rozdwojenie nigdy,
Nigdy pomiędzy nami nie powtarza!
Dobrze, Brutusie?

BRUTUS.

Wszystko będzie dobrze.

KASSYUSZ.

Dobranoc, wodzu nasz.

BRUTUS.

Dobranoc, bracie.

TYTYNIUSZ I MESSALA.

Dobranoc, wodzu.

BRUTUS.

Żegnam was, koledzy.
(*Kassyusz, Tytyniusz i Messala wychodzą*).

LUCYUSZ.
(*przynosi nocne ubranie*).

Daj tu tę szatę. Gdzież jest twoja lutnia?

LUCYUSZ.

Jest tu w namiocie, panie.

BRUTUS.

Drzémiąc mówisz.
Nie mam ci tego za złe, biédny chłopcze;
Zadługoś czuwał. Zawołaj Klaudyusza
I jeszcze kogo; chciałbym, żeby przy mnie
Spali téj nocy.

LUCYUSZ.

Warronie! Klaudyuszu!
(*Warro i Klaudyusz wchodzą*).

WARRO.

Czy nas pan wołał?

BRUTUS.

Proszę was, przepędźcie
Tę noc pod moim namiotem. Być może,
Iż będę musiał was zbudzić i posłać
Z jakiém zleceniem do mojego brata
Kassyusza.

WARRO.

Stanie się, panie, jak każesz,
Będziem tu stali i czuwali.

BRUTUS.

Tego ja nie chcę: połóżcie się, śpijcie;
Może się jeszcze namyślę inaczéj.
Patrzaj, Lucyuszu, oto owa książka,
Któréj szukałem; wetknąłem ją wczoraj
W kieszeń téj nocnéj szaty.
(*Słudzy pokładają się*).

LUCYUSZ.

Pewny byłem,
Żeś mi jéj, panie, nie oddał.

BRUTUS.

Wybacz mi: złą mam pamięć, mój Lucyuszu;
Będzieszli jeszcze mógł unieść na chwilę
Ciężkie powieki, i ze strun twéj lutni
Wydobyć parę akkordów?

LUCYUSZ.

Panie, jeżeli ci to będzie miłem....

BRUTUS.

Będzie. Zabardzo trudzę cię, mój chłopcze,
Ale ty dla mnie chętnie trud ponosisz.

LUCYUSZ.

Panie, to moja powinność.

BRUTUS.

Nie żądam
Aby powinność przechodziła siły;
Wiem, że krew młoda potrzebuje wczasu.

LUCYUSZ.

Jużem się trochę przespał.

BRUTUS.

Dobrześ zrobił;
Będziesz mógł wkrótce znowu się położyć:
Wkrótce-ć uwolnię. Jeżeli bogowie
Żyć mi pozwolą, będziesz ze mnie kontent.
(*Muzyka i śpiew*).
Senna tych dźwięków melodya.
Nielitościwy śnie, jużżeto kładniesz
Twe ołowiane berło na tém dziecku,
Które cię pieśnią chce zakląć? Spij słodko
Lube pacholę: nie będę tak srogim,
Iżbym cię budził. Lecz on zgniecie lutnię,
Jak się pochyli: odłóżmy ją na bok.
Dobranoc, moja chłopczyno.
(*Bierze książkę*).
Zobaczmy,
Czy nie ma czasem znaku, gdzie stanąłem.
A! tu podobno.
(*Siada*).
(*Duch Cezara wchodzi*).
Jak źle się pali ta świeca!—Na bogi!
Któż się to zbliża? Chorobaż to wzroku
Stawia przedemną to widmo okropne?
Zbliża się ku mnie:—Stój! powiédz, czém jesteś,
Straszliwa maro, od któréj widoku
Krew moja marznie i włos mój się jeży?
Jestżeś ty jakim rzeczywistym tworem,
Bóstwem, aniołem lub wyrzutkiem piekieł?
Mów!

DUCH.

Jestem twoim złym duchem, Brutusie.

BRUTUS.

Po coś tu przyszedł? Czego chcesz?

DUCH.

Przyszedłem
Powiedzieć tobie, że mnie wkrótce ujrzysz
Pod Filippami.

BRUTUS.

Dobrze: mam więc ciebie
Zobaczyć znowu?

DUCH.

Tak, pod Filippami.
(*Znika*).

BRUTUS.

Pod Filippami mam cię tedy ujrzeć!
Teraz gdy serca nabrałem, ty znikasz,
Złowrogi duchu; byłbym był rad dłużéj
Z tobą pomówić. Hej, Lucyuszu, wstawaj!
Warro, Klaudyuszu, wstawajcie, wstawajcie!
Klaudyuszu!

LUCYUSZ.

Struny fałszywe są, panie.

BRUTUS.

Myśli, że jeszcze przygrywa na lutni.
Lucyuszu, przebudź się!

LUCYUSZ.

Panie, co każesz?

BRUTUS.

Miałżeś zły jaki sen, żeś tak wykrzyknął?

LUCYUSZ.

Nic o tém nie wiem, panie, czy krzyknąłem.

BRUTUS.

Krzyknąłeś, mówię. Nie widziałżeś czego?

LUCYUSZ.

Niczego, panie, nie widziałem.

BRUTUS.

Idź spać, Lucyuszu. Klaudyuszu, Warronie,
Wstawajcie!

WARRO.

Jestem, panie.

KLAUDYUSZ.

Jestem, panie.

BRUTUS.

Dlaczegożeście tak krzyknęli przez sen?

WARRO I KLAUDYUSZ.

Czyśmy krzyknęli, panie?

BRUTUS.

Nie inaczéj.
Nie widzieliścież nic?

WARRO.

Jam nic nie widział.

KLAUDYUSZ.

Ani ja.

BRUTUS.

Idźcie odemnie pozdrowić
Brata Kassyusza; powiedźcie mu, żeby
Wcześnie się z swemi pułkami wyprawił,
A my ruszymy za nim.

WARRO I KLAUDYUSZ.

Spieszym, panie.
(*Wychodzą*).

AKT V.

SCENA PIĖRWSZA.

(*Równiny pod Filppami*).

OKTAWIUSZ I ANTONIUSZ *z wojskiem wchodzą na scenę.*

OKTAWIUSZ.

Tak więc nadzieje moje, Antoniuszu,
Nie okazują się płonne. Mówiłeś,
Że nieprzyjaciel nie zechce zejść ku nam,
Tylko się trzymać będzie wzgórz i wyżyn;
Przecież inaczéj się stało: ich wojska
Stoją przed nami tu pod Filippami.
Chcą nas zastraszyć, dając nam odpowiedź
Piérwéj, niżeśmy przemówili do nich.

ANTONIUSZ.

Gardź tém: przenikam ja ich i wiem dobrze
Czemu tak czynią. Nie byliby oni
Wcale nie radzi być teraz gdzieindziéj;
I jeśli z trwożną junakieryą przyszli
Działać zaczepnie, to tylko dlatego,
Że tym pozorem myślą nas przekonać

O swéj odwadze: nie złudzą nas jednak.
(Goniec nadchodzi).

GONIEC.

Baczność, wodzowie: nieprzyjaciel śmiało
W zbitych szeregach postępuje ku nam;
Wojenne jego znaki powiewają.
Czas nagli coś przedsięwziąć.

ANTONIUSZ.

Oktawiuszu,
Poprowadź swoje kolumny na lewo.

OKTAWIUSZ.

Idź ty na lewo, ja w prawo się udam.

ANTONIUSZ.

Dlaczegoż mi się sprzeciwiasz?

OKTAWIUSZ.

Sprzeciwiasz?
Bynajmniéj: tylko tak chcę i tak czynię.
(Marsz).

Odgłos kotłów. BRUTUS, KASSYUSZ, LUCYLIUSZ, TYTYNIUSZ I MESSALA, *wchodzą na czele wojsk.*

BRUTUS.

Stoją: chcą widać rozmówić się z nami.

KASSYUSZ.

Zdaje się. Wstrzymaj pochód, Tytyniuszu:
Trzeba nam z niemi kilka słów zamienić.

OKTAWIUSZ.

Mamyż rozpocząć walkę?

ANTONIUSZ.

Nie, Cezarze,
Niech lepiéj oni nas zaatakują.
Postąpmy nieco; panowie dowódcy
Chcą piérwéj z nami zmierzyć się na słowa.

OKTAWIUSZ.

Nie ruszcie się na krok, aż damy sygnał.

BRUTUS.

Słowa przed rzezią. Takżeto, rodacy?

OKTAWIUSZ.

Nie przeto byśmy kochali się w słowach,
Tak jak wy.

BRUTUS.

Dobre słowa, Oktawiuszu,
Lepsze są, wierzaj. niż złośliwe ciosy.

ANTONIUSZ.

U was złośliwe ciosy w parze chodzą
Z dobremi słowy; świadczy o tém rana,
Którąście w łonie Cezara otwarli,
Wołając: *Żyj, żyj, Cezarze!*

KASSYUSZ.

Co twoje ciosy mogą, Antoniuszu,
Nikt jeszcze nie wié; ale słowa twoje
Niebezpiecznemi są dla pszczół hyblejskich,
Kradną im bowiem miód.

ANTONIUSZ.

Ale nie żądła.

BRUTUS.

I owszem, i głos; bo ty im odjąłeś
Możność brzęczenia, Marku Antoniuszu,
I mądrze grozisz piérwéj nim ukąsisz.

ANTONIUSZ.

Nędznicy! wyście tak nie uczynili,
Gdy wasze niecne sztylety zaszczękły
W piersiach Cezara; wyście wyszczerzyli
Zęby jak małpy, jak psy się łasili,
Jak niewolnicy pełzali, całując
Nogi Cezara, nim przeklęty Kaska,
Jak wściekły brytan, na kark mu się rzucił.
Nędzni pochlebcy!

KASSYUSZ.

Pochlebcy! Brutusie,
Twoja to wina. Nie byłby nam dzisiaj
Ten jadowity język tak nabluźnił,
Gdyby Kassyusza głos miał był przewagę.

OKTAWIUSZ.

Daléj do rzeczy! Jeżeli spór słowny
Potem okrywa nas, w sporze bojowym
Czerwieńsze krople niebawem wystąpią.
Patrzcie!
Oto dobywam miecz przeciw spiskowym.

Kiedyż, myślicie, miecz ten spocznie w pochwie?
Nie prędzéj, bogi świadkami, aż każda
Z dwudziestu dwóch ran Cezara zostanie
Zpełna pomszczoną; lub aż drugi Cezar
W ślady piérwszego zarzezany padnie
Ofiarą zdrajców.

BRUTUS.

Nie bój się, Cezarze,
Nie zginiesz ty z rąk zdrajców; chyba żeś ich
Z sobą sprowadził.

OKTAWIUSZ.

Tak tuszę: nie mojém
Jest przeznaczeniem paść z Brutusa ręki.

BRUTUS.

O! choćbyś ty był gwiazdą twego rodu,
Zaszczytniéj umrzéć nie mógłbyś, młodzieńcze.

KASSYUSZ.

Hardy żak, a z nim lalka i wszetecznik,
Nie warci tego zaszczytu.

ANTONIUSZ.

Po gębie
Poznać Kassyusza.

OKTAWIUSZ.

Idźmy, Antoniuszu.
Zdrajcy! rzucamy wam w oczy wyzwanie:
Jeżeli śmiecie dziś walczyć, wystąpcie:
Jeśli nie, czekać będziem aż wam przyjdzie
Lepszy apetyt.
(*Oktawiusz i Antoniusz oddalają się z wojskiem swojém*).

KASSYUSZ.

Dmij teraz wichrze, wrzéj falo, płyń łodzi!
Ryknęła burza, los grę swą zaczyna.

BRUTUS.

Hej, Lucyliuszu!

LUCYLIUSZ.

Co rozkażesz, panie?
(*Brutus rozmawia z nim na stronie*).

KASSYUSZ.

Messalo.

MESSALA.

Słucham cię, wodzu.

KASSYUSZ

Messalo,
Dziś jest rocznica mych urodzin: w dniu tym
Rodził się Kassyusz. Daj rękę, Messalo:
Bioręć za świadka, że wbrew woli, muszę
Tak, jak Pompejusz, stawiać wolność naszę
Na szalę jednéj bitwy. Wiesz, żem dotąd
Był zwolennikiem wiernym Epikura
I jego zasad: teraz zmieniam zdanie,
I wróżbom jakoś dowierzać zaczynam.
Kiedyśmy tu szli z pod Sardes, dwa orły
Siadły na naszych frontowych chorągwiach,
I przewiesiwszy łby, jak najspokojniéj
Jadły i piły z rąk żołnierzy naszych.
Dziś równo ze dniem uleciały one;
Natomiast ponad głowami naszemi
Latają kruki, wrony i krogulce,
I patrzą na nas z góry jak na zdobycz,
Na którą wkrótce będą mogły zapaść.
Czarne ich chmary są jak gdyby kirem,
Pod którym skonać mają nasze wojska.

MESSALA.

Nie myśl tak, wodzu.

KASSYUSZ.

Trochę tylko myślę;
Bom zresztą silny na duchu, i gotów
Niebezpieczeństwom śmiało stawić czoło.

BRUTUS.

Tak, Lucyliuszu.

KASSYUSZ.

No, szlachetny bracie,
Niechże nas dzisiaj bogowie wspierają,
Abyśmy mogli w pokoju i zgodzie
Pędzić dni nasze do późnego wieku!
Lecz że los ludzi zawsze jest wątpliwy,
Godzi się przeto być przygotowanym
Na gorsze. Jeśli przegramy tę bitwę,
Ostatnia to już będzie, o Brutusie,
Nasza rozmowa: powiédz mi więc szczerze,
Co w takim razie postanawiasz czynić?

BRUTUS.

To, co mi każe owa filozofia,
Dla któréj za złe miałem Katonowi,
Że sam śmierć sobie zadał. Nie wiem czemu,

Ale mi się to wydaje tchórzostwem,
A więc podłością, skracać sobie życie,
Z obawy czegoś, co może nastąpić.
Uzbrajam się więc w cierpliwość i czekam
Wyroku owych niezbadanych potęg,
Które tu nami rządzą.

KASSYUSZ.

Jeżeli zatém przegramy tę bitwę,
Pozwolisz na to, aby cię w tryumfie
Przeprowadzano po ulicach Rzymu?

BRUTUS.

O! nie, Kassyuszu. Zacny Rzymianinie,
Nie myśl, ażeby Brutus kiedykolwiek
Miał iść w kajdanach do Rzymu: duch jego
Tak się nie zniży. W każdym jednak razie
Dzień ten zakończyć musi to, co zaczął
Marcowy Idus. Czy się zobaczymy,
Nie wiem: dlatego na wszelki przypadek,
Odbierz ostatnie moje pożegnanie:
Na wieczne czasy żegnam cię, Kassyuszu!
Jeśli nam jeszcze przyjdzie się zobaczyć,
Zamienim uśmiech; jeżeli przeciwnie,
Bracie mój, w porę̨śmy się pożegnali.

KASSYUSZ.

Na wieczne czasy żegnam cię, Brutusie!
Jeśli nam jeszcze przyjdzie się zobaczyć,
Zamienim uśmiech; jeżeli przeciwnie,
Zaprawdę w porę̨śmy się pożegnali.

BRUTUS.

Idźmy więc. Gdyby można było wiedzieć
O końcu tego dnia, nim się on skończy!
Że się on skończy jednak, to rzecz pewna;
Zatém wiadomy koniec. Daléj! naprzód!
(*Wychodzą*).

SCENA DRUGA.

(*Tamże. Pole bitwy*).

Wojenna wrzawa. BRUTUS I MESSALA *wchodzą.*

BRUTUS.

Spiesz co tchu oddać to pismo legionom
Po tamtéj stronie.
(*Głośniejsza wrzawa*).

Niech natychmiast natrą,
Bo Oktawiusza skrzydło, jak uważam,
Powolnie działa. Nagły atak rzuci
Między nich popłoch. Spiesz co tchu, Messalo,
I każ im wszystkim uderzyć odrazu.
(*Wychodzą*).

SCENA TRZECIA.

(*Tamże. Inna część pola bitwy*).

Wrzawa wojenna. KASSYUSZ I TYTYNIUSZ *wchodzą.*

KASSYUSZ.

Patrz, Tytyniuszu: patrz, łotry pierzchają!
Musiałem zostać wrogiem własnych ludzi.
Chorąży mego legionu tył podał:
Przebiłem tchórza i wziąłem chorągiew.

TYTYNIUSZ.

Zawcześnie Brutus dał sygnał: za żywo
Wziął się do rzeczy zyskawszy przewagę
Nad Oktawiuszem: żołnierz jego poszedł
Rabować; myśmy tymczasem zostali
Przez Antoniusza wojsko otoczeni.
(*Pindar nadchodzi*).

PINDAR.

Chroń się, o panie, chroń się zląd czémprędzéj!
Marek Antoniusz jest już w twym obozie.
Chroń się, szlachetny panie.

KASSYUSZ.

Na tym wzgórku
Bezpieczny jestem. Patrzno, Tytyniuszu,
Naszże to obóz tam, gdzie widzę ogień?

TYTYNIUSZ.

Tak, to nasz, wodzu.

KASSYUSZ.

Tytyniuszu, siadaj
Na mego konia, utop w nim ostrogę,
I póty ją w nim dzierż, aż cię zaniesie
Do tych tam pułków i tu wróci z tobą;

Chcę bowiem wiedzieć, czyli owe pułki
Są przyjacielskie, czy nieprzyjacielskie.

TYTYNIUSZ.

Za chwilę będę tam i nazad, wodzu.
(*Wychodzi*).

KASSYUSZ.

Wstąpno, Pindarze, wyżéj na ten wzgórek:
Bo ja mam tępy wzrok; śledź Tytyniusza,
A jak co ujrzysz w polu, to mi powiédz.
(*Pindar wychodzi*).
Dziś się rodziłem: czas obiegł swe koło.
Gdziem zaczął, tam i skończę; życie moje
Stoi u mety. Cóż tam?

PINDAR
(*ze wzgórka*).

O panie!

KASSYUSZ.

Cóż tam?

PINDAR.

Tytyniusz został otoczony jazdą;
Ze wszech stron godzą nań. On sadzi naprzód.
Już są tuż przy nim. Broń się Tytyniuszu!
Ha! oto zsiada z koni kilku jeźdźców:
On także zsiada. Wzięli go:
(*Okrzyk*).
Wydają
Okrzyk radości.

KASSYUSZ.

Znijdź, nie patrz już więcéj.
Jakiżem podły tchórz, że jeszcze żyję,
Kiedy najlepszy mój przyjaciel został
W pęta ujęty przed memi oczyma.
(*Pindar wraca*).
Zbliż się tu, słuchaj:
W Partyi przed laty, wziąłem cię w niewolę:
Darowałem ci życie, tyś mi za to
Przysiągł wypełnić z całém poświęceniem
Wszystko, cobądź ci kiedykolwiek każę.
Nadeszła chwila: dotrzymaj przysięgi!
Wracam ci wolność; lecz piérwéj tym mieczem,
Który tkwił niegdyś w wnętrznościach Cezara
Przeszyj mi łono. Nie marnuj przełożeń:
Oto rękojeść. Skoro twarz zasłonię

Ot tak, pchnij ostrzem. Pomszczonyś Juliuszu!
Ten sam, coć zabił, miecz tonie w Kassyuszu.
(*Umiera*).

PINDAR.

Jestem więc wolny: nie byłbym nim jednak
Gdybym był wcześniéj panem mojéj woli.
Kassyuszu, żegnam cię! W świat idzie Pindar,
Gdzie nigdy rzymska nie postanie noga.
(*Wychodzi*).
(*Tytyniusz wraca z Messalą*).

MESSALA.

To tylko prosty odwet, Tytyniuszu,
Bo Brutus zadał taką samą klęskę
Oktawiuszowi, jak Antoniusz legiom
Kassyusza.

TYTYNIUSZ.

Wieść ta pocieszy Kassyusza.

MESSALA.

Gdzieżeś zostawił go?

TYTYNIUSZ.

Na tym pagórku,
Z sługą Pindarem.

MESSALA.

Nie onże to leży?

TYTYNIUSZ.

Ktoś, co tak leży, nie żyje. O bogi!

MESSALA.

Onżeto? powiédz.

TYTYNIUSZ.

On to był, Messalo,
Ale Kassyusza już nie ma. O słońce!
Jak twój promienny krąg krwawo zachodzi,
Tak krwawo zaszła Kassyuszowa gwiazda:
Zgasło z nią słońce Rzymu! Dzień nasz zamierzchł;
Chmur, dżdżów i cieniów zaczyna się państwo.
Ciąg naszych czynów przerwany. Zwątpienie
O naszéj sprawie czyn ten wywołało.

MESSALA.

Tak jest, zwątpienie czyn ten wywołało.
O! błędzie, dziécię fatalne rozpaczy!

Czemuż ty musisz wyobraźni ludzkiej
Przedstawiać rzeczy, które nie istnieją?
Poród twój zawsze przedwczesny i smutny,
Bo ty się nigdy szczęśliwie nie rodzisz:
Owszem zabijasz tę, co cię poczęła.

TYTYNIUSZ.

Gdzieżto jest Pindar? Pindarze!

MESSALA.

Poszukaj
Go, Tytyniuszu: ja tymczasem pójdę
Wieścią tą ucho Brutusowi przeszyć:
Przeszyć zaiste, bo najjadowitszy,
I najostrzejszy pocisk, byłby pewnie
Dla jego uszu równie pożądanym,
Jak wieść podobna.

TYTYNIUSZ.

Dobrze, idź Messalo,
A ja tymczasem poszukam Pindara.

(*Messala wychodzi*).

Dlaczegożeś mię wysłał, o Kassyuszu!
Czyliżem twoich nie spotkał przyjaciół?
Czyliż mi na skroń nie włożyli tego
Wieńca zwycięztwa, bym go tobie oddał?
Nie doszedłże cię ich radosny okrzyk?
Trzebaż ci było wszystko wziąć na opak?
Stało się. Odbierz ten wieniec: twój Brutus
Kazał mi włożyć go na twoje czoło.
Dopełniam tego. Przybywaj, Brutusie;
Patrz, jakem uczcił Kajusa Kassyusza.
Rzymianinowi tak przystoi kończyć.
Mieczu Kassyusza, pójdź mnie z nim połączyć!

(*Przebija się i umiera*).

Wojenna wrzawa. BRUTUS I MESSALA *wchodzą; za niemi młodszy* KATO, STRATO, WOLUMNIUSZ I LUCYLIUSZ.

BRUTUS.

Gdzie jego ciało, gdzie? Messalo, pokaż.

MESSALA.

Owdzie, a przy nim Tytyniusz w rozpaczy.

BRUTUS.

Tytyniusz na wznak leży.

KATO.

On zabity.

BRUTUS.

Jakżeś ty jeszcze potężny, Juliuszu!
Duch twój wkoło nas krąży i obraca
Oręże nasze w własne nasze piersi.
(*Głośniejsza wrzawa*).

KATO.

Zacny Tytyniusz! Patrzcie, jak sumiennie
Uwieńczył zimne czoło przyjaciela.

BRUTUS.

Jestże gdzie jeszcze dwóch podobnych Rzymian?
Ostatni z synów Rzymu, bądźcie zdrowi!
Nigdy on, nigdy równych wam nie wyda.
O! przyjaciele, winienem ja więcéj
Łez tym dwom mężom, niż ich tu wylewam.
Znajdę czas na to, bądź pewien Kassyuszu.
Wyprawcie drogie te zwłoki do Thassos;
Nie pogrzebiemy ich w obozie naszym,
Boby ten obrzęd odjął nam odwagę.
Pójdź, Lucyliuszu, pójdź młody Katonie;
Idźmy na nowy bój. Labro i Flawiusz
Niechaj prowadzą naprzód swoje hufce.
Teraz punkt ósma; zanim noc nastanie,
Raz jeszcze szczęścia sprobujmy, Rzymianie.

SCENA CZWARTA.

(*Inna strona pola bitwy*).

Wojenna wrzawa. Żołnierze obu wojsk wchodzą walcząc; następnie BRUTUS, KATO, LUCYLIUSZ *i inni.*

BRUTUS.

Jeszcze, o jeszcze, wytrwałości, bracia!

KATO.

Bękart, kto stchórzy: któż nie pójdzie za mną,
Skoro na polach zagrzmi moje imię?
Jestem syn Marka Katona; słyszycie!

Przyjaciel swobód, wróg ciemiężycieli;
Słyszycie? Jestem syn Marka Katona!
(*Naciera na nieprzyjaciół*).

BRUTUS.

A ja, jam Brutus, Marek Brutus; Brutus,
Wierny ojczyzny syn: wiedźcie, żem Brutus.
(*Rzuca się między walczących. Kato śmiertelnie raniony pada*).

LUCYLIUSZ.

I tyś legł młody, szlachetny Katonie!
Umierasz jak mąż chrobry, jak Tytyniusz,
I godzien jesteś nazwiska Katona.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Poddaj się albo giń.

LUCYLIUSZ.

Poddam się tobie,
Dlatego tylko, abym prędzéj zginął:
Masz złoto, ale zabij mię natychmiast.
(*Podaje mu pieniądze*).
Zabij Brutusa; zabójstwo to wiecznąć
Sławę przyniesie.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Nie mogę; taki jeniec...

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Idźcie donieść
Antoniuszowi, że Brutus pojmany.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Ja mu doniosę. Otóż i on.

ANTONIUSZ (*wchodzi*).

Wodzu.
Brutus pojmany, Brutus w naszych rękach.

ANTONIUSZ.

Gdzież on?

LUCYLIUSZ.

W bezpiecznem miejscu, Antoniuszu:
Mogę ci ręczyć, że żaden wróg żywcem
W niewolę cnego nie weźmie Brutusa.
Niech go bogowie chronią od téj hańby!
Czyli go żywym znajdziesz, czy umarłym,
Znajdziesz go zawsze tém, czém jest—Brutusem.

ANTONIUSZ.

Nie jestto Brutus, przyjacielu:
Ale upewniam cię, że zdobycz twoja
Niemniéj dlatego jest szacowną. Czuwaj
Nad tym człowiekiem, miéj dlań winne względy.
Podobnych ludzi, wolałbym zaiste
Mieć przyjaciołmi, jak nieprzyjaciołmi.
Idź, zobacz co się tam dzieje: czy Brutus
Żyje, czy zginął; i przynieś mi wieści
Do Oktawiusza namiotu.

(*Wychodzą*).

SCENA PIĄTA.

(*Inna strona pól*).

BRUTUS, DARDANIUSZ, KLITUS, STRATO I WOLUMNIUSZ *wchodzą*.

BRUTUS.

Pójdźcie tu, biédne przyjacioł mych szczątki!
Spocznijmy na téj skale.

KLITUS.

Statyliusz ujrzał był światło pochodni,
Ale nie wrócił; snadź wzięty lub zginął.

BRUTUS.

Siądź tu, Klitusie: słowa zabijają,
Czyn tylko zbawia. Posłuchaj, Klitusie.

(*Szepce mu*).

KLITUS.

Co? ja, mój wodzu? Nigdy, za nic w świecie.

BRUTUS.

Cicho więc.

KLITUS.

Prędzejbym zabił sam siebie.

BRUTUS.

Pójdź, Dardaniuszu, coś ci powiem.

(*Szepce mu*).

DARDANIUSZ.

Jażbym
Miał spełnić taki czyn?

KLITUS.

O Dardaniuszu!

DARDANIUSZ.

O Klitusie!

KLITUS.

Czegóżto Brutus zażądał od ciebie?

DARDANIUSZ.

Żebym go zabił: patrz, jak się zadumał.

KLITUS.

Boleść przepełnia tę szlachetną czarę,
Tak, że aż z oczu ścieka mu jéj gorycz.

BRUTUS.

Zbliż się, kochany Wolumniuszu, słuchaj.

WOLUMNIUSZ.

Co każesz, wodzu?

BRUTUS.

Słuchaj: duch Cezara
Po dwakroć mi się ukazał wśród nocy:
Raz w Sardes, drugi raz tu, na tych polach.
Ostatnia moja godzina nadeszła,
Wiem dobrze.

WOLUMNIUSZ.

Tak źle nie będzie, mój wodzu.

BRUTUS.

Będzie tak, pewny jestem, Wolumniuszu.
Sam widzisz, jaką rzeczy biorą postać;
Nieprzyjaciele nad dół nas zagnali:
Szlachetniéj będzie, samym w niego skoczyć,
Niż czekać aż nas wtrącą. Wolumniuszu,
Wiész, żeśmy razem chodzili do szkoły;
W imię tak dawnych stosunków przyjaźni,
Proszę cię, nadstaw ostrze mego miecza,
Abym się piersią nań rzucił.

WOLUMNIUSZ.

O! panie,
Takiéj przysługi nie czyni przyjaciel.
(*Wrzawa nieustająca*).

KLITUS.

Chroń się, o panie; zguba cię tu czeka.

BRUTUS.

Bądź mi zdrów, i ty, i ty Wolumniuszu.
Stratonie, spałeś, jak widzę, dotychczas;
I ty, Stratonie, bądź mi zdrów. Rodacy!
Serce me czuje pociechę, żem dotąd
Przez całe życie nie znalazł nikogo,
Coby mi święcie wiary nie dochował.
Więcéj zyskuję chwały w tym dniu klęski,
Niż jéj Oktawiusz i Marek Antoniusz
Odniosą z swego niecnego tryumfu.
Raz jeszcze, żegnam was. Z tém pożegnaniem
Usta Brutusa zamykają dzieje
Jego żywota: noc wzrok mi pomracza;
Członki me pragną spoczynku po trudach,
Z jakiemi wlokłem je do téj godziny.
(*Wrzawa. Słychać za sceną: uciekaj! uciekaj!*)

KLITUS.

Uciekaj, panie, uciekaj!

BRUTUS.

Idźcie; niebawem pospieszę za wami.
(*Dardaniusz, Klitus i Wolumniusz wychodzą*).
Stratonie, proszę cię, zostań tu przy mnie.
Poczciwy z ciebie człowiek; życie twoje
Zawsze prawością tchnęło i honorem.
Nadstaw mi miecz ten i odwróć się twarzą
Gdy się nań rzucę. Czy dobrze, Stratonie?

STRATO.

Podaj mi pierwéj rękę: o! mój wodzu,
Żegnam cię!

BRUTUS.

Bądź zdrów, poczciwy Stratonie!
Cezarze, teraz bądź zaspokojony.
Stokroć mi ciężéj przyszło przeciw tobie
Użyć téj stali, niż w obecnéj dobie.
(*Rzuca się na miecz i umiera*).

Wrzawa. Odwrót. OKTAWIUSZ I ANTONIUSZ *wchodzą; za niemi* MESSALA, LUCYLIUSZ *i ich wojsko.*

OKTAWIUSZ.

Co to za człowiek?

MESSALA.

Sługa Brutusa. Gdzie twój pan, Stratonie?

STRATO.

Wolny od jarzma, które ciebie tłoczy,
Zwycięzcy mogą miéć jego proch tylko:
Bo Brutus sam się jedynie pokonał,
I nikt nie zbierze chwały z jego śmierci....

LUCYLIUSZ.

Tak tylko Brutus mógł być znalezionym!....
Dzięki ci, składam, Brutusie, żeś sprawdził
To, co o tobie powiedział Lucyliusz.

OKTAWIUSZ.

Słudzy Brutusa znajdą miejsce u mnie.
Stratonie, chceszże mi czas swój poświęcić?

STRATO.

Jeśli Messala da za mną porękę.

OKTAWIUSZ.

Daj ją, Messalo.

MESSALA.

Opowiedz mi pierwéj,
Jakim rodzajem śmierci nasz pan zginął.

STRATO.

Padł na miecz, który ja mu nadstawiłem.

MESSALA.

Weź go więc do twych usług, Oktawiuszu,
Bo on ostatnią tą posługą dowiódł,
Jak wiernie umié służyć.

ANTONIUSZ.

Ze wszystkich Rzymian ten był najzacniejszy.
Wszystkich sprzysięgłych przeciw Cezarowi
Ślepa jedynie zawiść podżegała;
On jeden tylko w poczciwym zamiarze,
Dla ogólnego dobra wziął w tém udział.
Charakter jego był słodki, i wszelkie
Żywioły tak w nim były skojarzone,
Że się natura mogła nim poszczycić,
I rzec całemu światu: *Oto człowiek!*

OKTAWIUSZ.

Postąpmyż sobie z nim w miarę cnót jego,
I z czcią należną wyprawmy mu pogrzeb.
Niech jego zwłoki umieszczone będą
Przez tę noc w moim namiocie, z wystawą,
Jaka przystoi ciału wojownika.
Teraz zaś idźmy spocząć i szczęśliwém
Dnia dzisiejszego podzielić się żniwem,

(*Wychodzą*).

KRONIKA ZAGRANICZNA

LITERACKA, NAUKOWA I ARTYSTYCZNA.

„Franciszka" komedya w czterech aktach pani Georges Sand. — „Jak wam się podoba" wolny przekład z Szekspira, tejże.—Historya artystów żyjących Silvestra: listy z Rossyi Verneta. — Przedmowa Lamartina do kursu literatury. — „Les Contemplations", Wiktora Hugo. — Wiadomości literackie.

Dwie sztuki, których pani Sand równocześnie dostarczyła paryzkiéj scenie: zajmowały szczególniéj zeszłego miesiąca tutejszych sprawozdawców. Piérwsza, oryginalna komedya w czterech aktach, *Franciszka*, graną była w *Gymnase*; drugą *As You like it* Szekspira, w tłumaczeniu przedstawił *Théâtre Français*. Obiedwie te sztuki należą do rzędu utworów sielankowych, w których lubuje się teraz George Sand, a do których Szekspir także powracać lubił na wypoczynek po krwawych dramatach. Powodzenie obu komedyj było dosyć wątpliwe: piérwszéj dlatego, że Francuzi w żaden sposób nie mogą zasmakować w prostocie; drugiej dlatego, że autorka obraziła próżność Paryżanów w przedmowie do swego przekładu, gdzie usiłuje zwrócić uwagę Francuzów na *nieznane im* piękności Szekspirowskich dramatów, i za zasługę sobie poczytuje, iż piérwsza wtajemnicza ziomków w szczytne utwory, które *mało kto* czytał we Francyi. Ztąd krzyki, ironiczne koncepta, docinki, i śmiech sarkastyczny, który zabiłby w Paryżu nietylko tłumaczenie, ale nawet oryginalne arcydzieło.

— Jakto! my nie znamy Szekspira?—wołali jedni,—nasze to przychodzi oświecać wiejska babula, dobywająca z pod czepca nieśmiertelne prawdy, o których nam się ani śniło!—Inni stosowali adresa dziękczynne do pani Sand za to, iż dała Francyi po-

znać Szekspira, o którym przed nią nikt ani wiedział, ani słyszał; inni składali powinszowania *Komedyi francuzkiéj*, która chociaż ma tam kilku miejscowych poetków bazgraczy, jak Corneille, Racine, Moliere, ale odłożywszy na bok bezrozumną miłość do swoich dramaturgów, woli przedstawiać w tłumaczeniu cudzoziemskie *nieznane* arcydzieła; inni nakoniec proponowali, żeby wystawić osobny teatr w którymby grywano same tłumaczone sztuki, a resztę teatrów radzili pozamykać, bo już Francyi zabrakło na oryginalnych pomysłach i autorach: słowem byłato istna burza w szklance wody, wywołana jedną niebacznie wpuszczoną kroplą antypatycznéj mikstury, gryzącéj miłość własną. Kropla ta nietylko zniweczyła powodzenie *Franciszki*, ale podała w śmieszność niepospolity przekład sztuki Szekspira, chociaż rzecz, nie ubliżając w niczém dostojeństwu miejscowych dramaturgów, zasługiwała na gościnniejsze przyjęcie pod dachem Moliera.

Nowa komedya napisana podobnie jak *Pressoir*, *François le Champi*, *Maitre Favilla* i t. d. należy do galeryi owych półcieniowych obrazów, które pani Sand lubi przedstawiać na scenie. Tło sztuki proste, osoby nieco idealne, intryga wiąże się, rozwiązuje od niechcenia, które nie jest bez powabu. Żadnych szukanych efektów, ani naciąganych sytuacyj: koloryt blady, mało dowcipnych słówek, a za to wiele myśli poczciwych, mało ciała, wiele duszy, wiele wdzięku w tych prostych i zacnych figurach, których widok przenika i w zadumanie wtrąca: oto ogólna cecha téj sztuki.

Jak wszystkie teraźniejsze bohaterki pani Sand, *Franciszka* przypomina madony Holbeina z przyćmioną aureolą: zamknięta w sobie, cnotliwa, pełna tak wielkiéj cierpliwości, wyrozumienia i pobłażania, że możnaby ją nazwać szarą siostrą miłości. Jestto ideał niewieści protestanckiéj rodziny: spokojny, słodki, surowy, moralizujący, z duszą podobną do fijołka, do którego zbliżyć się potrzeba, aby woń jego poczuć. Jest coś może nadto wyrafinowanego w téj cnocie, nadto sztywnego i jednostajnego w téj perfekcyi; mniejsza doza doskonałości obudziłaby niezawodnie więcéj współczucia w śmiertelnikach, bo taka już natura ludzka i prawdziwszym uczyniłaby charakter Franciszki. Trudno to atoli nazwać wadą utworu, gdyż większa podobno sztuka stawiać ideały, niż malować ludzi z natury. Jeżeli

nie ma takich kobiét, zamknijmy oczy, ażebyśmy spokojniéj marzyć o nich mogli i lubować się wdziękiem téj mary.

Rola Franciszki jest ciągłą ofiarą i zaparciem się siebie na rzecz niewiernego i lekkomyślnego kochanka, który się odznacza brakiem charakteru. Henryk chociaż nibyto kocha Franciszkę, zatruwa jéj życie ciągłą zmiennością: zawiązuje intrygi tu i owdzie, nareszcie ma się żenić dla majątku z bogatą córką dorobkowicza. Ażeby módz doprowadzić do skutku zamierzone małżeństwo, potrzebuje pieniędzy: zaciąga długi, wystawia weksle, których nie płaci, skutkiem czego zamiast do ołtarza, poszedłby do więzienia, gdyby Franciszka sprzedawszy całe swoje mienie, nie wydźwignęła go z tego położenia.

Henryk już prawie przy stopniu ołtarza, gdzie ma przysięgać miłość bogatéj dziedziczce, niespodziewanym zwrotem ku cnocie, ocenia wartość Franciszki: zrywa z narzeczoną i powraca do dawnéj kochanki, składając u nóg jéj miłość swoję wraz z ręką. Ale przybywa zapóźno. Wszystko się kończy, wszystko zużywa i wyczerpuje na tym świecie: cierpliwość, wyrozumiałość, pobłażanie, nawet taka miłość jak Franciszki. Przywiązanie jéj do Henryka stargane ostatniém wysileniem, umarło: oczy jéj, w których oschła ostatnia łza miłosna, już tylko z litością spoglądają na słabe dziecko, kwilące u kolan. Miłość, to pajęcza tkanka: starga ją łatwo, kto z nią igra zadługo. Henryk roztrwonił cały zapas przywiązania, który posiadał w jéj sercu: daremnie szuka, już nie znajduje nic, oprócz politowania. Franciszka oddaje rękę człowiekowi, który ją prawdziwie kochał, a na dawnego swego ulubieńca rzuca przy rozstaniu wejrzenie jeszcze błyszczące, ale już nie miłością, lecz promieniem ognistego miecza, którym anioł wypędzał z raju grzesznika, który go własną winą utracił.

Uważana ze stanowiska dramatycznego *Franciszka*, zapewne nie wytrzyma krytyki; pojedyncze atoli sceny są tak pełne czucia i subtelnych spostrzeżeń, iż wykształconym umysłom zupełnie zastępują brak intrygi i efektów.

Zpomiędzy licznych dzieł Szekspira, pani Sand wybrała do tłumaczenia jednę z owych świeżych idylli, które są jakby nicią wiążącą ziemskie z czarodziejskiemi utworami wielkiego dramaturga. Nic dziwaczniejszego i milszego zarazem jak ta leśna sielanka, ochrzczona dziwném mianem *Jak wam się podoba*, gdzie wygnany monarcha kryje się z całym dworem w Ardeńskim le-

sie, i rzuciwszy koronę w krzaki, jak niegdyś doża wenecki swój pierścień w morze, zatrzymawszy zegarek, żeby mu niepotrzebnie godzin nie liczył: przepędza dni na łonie natury, poluje, łowi ryby i rozmawia o marnościach tego świata z Jakóbem, najrozumniejszym z Szekspirowskich filozofów.

Któż z nas czytając Szekspira, choć raz w życiu nie marzył o tém, jak przyjemnie byłoby porzucić ludzi i ukryć się wraz z nim w tajemniczym lesie Ardennów? Czyż może być milsze schronienie dla duszy rozczarowanéj, któréj już nie nęci sława, ani ułudne nie przywabiają oczy. Zdaje ci się, że słyszysz głos matki przyrody wołający cię w tę głuchą puszczę, któréj harmonijne szumy mają ukołysać twe bole; że widzisz te wzgórza pokryte zielonym płaszczem rozłożystych dębów, na których szczyty się wdarłszy, zaledwie dostrzegasz gdzie daleko dymiące kominy ludzkich pomieszkań, lub wiejską dzwonnicę wskazującą niebo.

Wszystko tu oddycha świeżością i spokojem: szum drzew wtoruje ludzkiéj mowie, lub odpowiada jéj echem; leśna dekoracya nagle odkrywając osoby, nadaje im fantastyczny urok zjawiska; nie słychać ich chodu, biegają cicho jakby po mchu stąpały. Rozalinda z Celią, jak dwie boginie, jawią się pod dębem, gdzie stary król odpoczywa z orszakiem myśliwych. Pośród głuchéj puszczy zawiązują się owe Szekspirowskie dyalogi, podobne do gry w rakiety, w któréj zapytany odbiera wolanta a odrzuca gwiazdę. Jedynemi świadkami tych scen brylantowych są leśne kwiaty i drzewa, jaka spłoszona sarna lub zadziwiony dzięcioł, który oderwawszy dziob od kory, wyciąga szyję i przysłuchuje się téj filozoficzno-fantastycznéj rozmowie, która błyszczy i ulata jak fruwające stada kolibrów.

Czy taka sztuka może być przedstawioną na scenie, lub czy nie lepiej ażeby znowu w książce pozostała, gdzie imaginacya czytelnika najwłaściwsze wymaluje do niéj dekoracye: jestto pytanie, na które różni różnie odpowiadają. Muzyka może najlepiéj zdołałaby wypowiedzieć te wdzięki Eolskiéj harfy i te chóry leśnéj przyrody; autor *Freyschuetza* może byłby najlepszym tłumaczem idylli Szekspira, oddając ją językiem duszy, który poczyna się tam, gdzie się kończy bezsilne słowo. Nie idzie za tém, ażebyśmy ganili przekład pani Sand. Przeciwnie wolne jéj tłumaczenie ma wielką zasługę, że uplastycznia oku i czyni przystępną scenie tę skrzydlatą fantazyą, ważącą się pomiędzy ziemią

a niebem. Niejeden zagorzały miłośnik Szekspira wolałby zapewne przekład dosłowny: to mu żal, że brakuje jakiegoś konceptu, to znów że obcięto przydługi monolog. Dla tych zostanie oryginał, publiczność zaś francuzka mieć będzie jeżeli nie zupełnie wierną, to przynajmniéj bardzo piękną kopią obrazu. George Sand prawie nic nie zmieniła w texcie, tylko nawlokła na nitkę perły, które Szekspir rozsypał na murawie Ardeńskiego lasu: kilka zaledwie dodała własnych w miejsce tych, które zaginęły w trawie, a i te tak dobrze dobrane, że ich odróżnić od prawdziwych nie można.

Wiersz Szekspira nie ginie w skrzydlatéj prozie pani Sand; drobne zmiany jakie wprowadziła, dokonane są z wielkim gustem i taktem. Słuchać głębokich myśli wypowiedzianych pięknym językiem, podziwiać polot imaginacyi i żywość uczucia: nie jestże to przyjemność wyższa jak rozwiązywać pracowicie zasupłany węzeł siedmio-aktowego dramatu? Jeżeli czyn bez myśli tak dobrze zazwyczaj przyjmowany bywa na teraźniejszych teatrach, czemużby raz dla odmiany nie miano przyjąć dobrze myśli bez czynu?

Jakoż subtelniejsza część mieszkańców Paryża, tak zwana paryzka *haute volée*, okazała wiele spółczucia Szekspirowskiéj komedyi. Dyrekcya teatru francuzkiego dołożyła wszelkiego starania, żeby wystawę uczynić jak najpiękniejszą, uważając słusznie, że dekoracya nietylko nie odrywa uwagi słuchacza, ale jest koniecznem dopełnieniem myśli ogólnéj dzieła. Wymalowano umyślnie kilka nowych płócien, w których wprowadzone zostały pożądane ulepszenia. W obrazie przedstawiającym las, drzewa już nie wyrastają z desek, jak to zwykle bywało dotąd: dęby zdają się wyrastać z rzeczywistego gruntu. Naśladuje go malowane płótno rozciągnięte na powierzchni nierównéj, w jednem miejscu zarosłéj trawą, w drugiém odkrywającéj piasek lub skały. To ulepszenie drobne na pozór, sprawia wielki efekt: nikną rażące deski, scena nabiera naturalności, aktorowie zaś jak figury na obrazie, stąpają po właściwym gruncie i oddychają właściwym powietrzem.

Wyszedł z druku ósmy poszyt *Historyi artystów żyjących* Teofila Silvestra. Dzieło to pisane z nadzwyczajną prostotą i bezstronnością, rzuca zupełnie nowe światło na tutej-

szych artystów, tyle razy a prawie zawsze fałszywie opisywanych przez miejscowych recenzentów. Dzisiaj kiedy sztuki piękne na Zachodzie stały się niejako jedną z koniecznych potrzeb życia, nie zbywa także na piszących o sztuce, a mianowicie też na tak zwanych „salonowych krytykach." Mimo to, sąd o wartości dzieł artystów żyjących nie jest wcale wyrobiony, dlatego, że na zdaniu tych krytyków wcale polegać nie można. W Paryżu, może z powodu elastyczniejszego sumienia, stosunek prywatny więcéj niż gdziekolwiek wiąże ludzi, a osobiste względy krępują ich lub zaślepiają w sądach: mianowicie też jeżeli takowe wydawać przyjdzie o rzeczy tak dowolnéj jak sztuka, którą z równą na pozór słusznością źle lub dobrze przedstawić można.

W Paryżu krytyka wybitniéj niż gdziekolwiek dzieli się na dwa obozy: jedni wynoszą pod niebiosa najdrobniejszy utwór pewnéj liczby artystów, opisują na klęczkach lada szkic nakreślony przez nich na ćwiartce papieru, i powiększają tak zalety owego dzieła, że w druku przybiera co najmniéj rozmiary *Sądu ostatecznego*; drudzy ganią zapalczywie to, co ubóstwiają piérwsi, odsądzają od czci, od wiary tamtych, a natomiast deifikują innych mistrzów o których ich koledzy wydali nieprzychylny wyrok, lub przemilczeli zupełnie.

Z takiéj dwulicowéj krytyki, choć zdolnie i pięknie napisanéj, pożytek żaden, bo pytam: jakiż sąd z tych wprost przeciwnych zdań, równie umiejętnie wypowiedzianych, zdołają wyciągnąć przyszłe pokolenia, kiedy nawet spółczesni, nienależący do żadnego z dwóch obozów i nie dzielący sympatyj lub niechęci, częstokroć zachwiani bywają w opinii, którą sobie sami wyrobili, sprzecznościami i sofizmatami wyczytanemi w bieżących sprawozdaniach.

Z tychto powodów oddawna dawała się czuć w nowożytnych Atenach potrzeba jakiejś książki, którąby przechowała potomności mniéj więcéj zbliżone do prawdy wizerunki swych artystów, i zaprowadziła mniéj więcéj sprawiedliwą pomiędzy nimi hierarchią. Autor tego rodzaju, chociaż niezupełnie jeszcze odpowiadający życzeniom ludzi sprawiedliwych, zjawił się w osobie pana Silvestre. Pan Silvestre człowiek zimny, a obok tego, co rzadko chodzi w parze, posiadający głębokie poczucie piękności, po długich studyach nowożytnych dzieł sztuki, nie znalazłszy w nich dość jasno wyświeconéj idei, przedsięwziął studyo-

wać ich twórców, badać charaktery, dowiadywać się co myślą i czy myślą artyści.

W ten sposób poznawszy przez nich samych ich dzieła, Silvestre wziął się śmiało do opisu malarzy i malowideł. Za wzór do téj pożytecznéj pracy posłużyły mu niedrukowane listy Diderota, w których tenże poufnie opisuje jednemu z książąt niemieckich charaktery spółczesnych malarzy i rzeźbiarzy francuzkich. Pan Silvestre naśladując zimny, zwięzły a jasny pogląd sławnego encyklopedysty, zapewne nie dorównywa mu talentem, ale go przewyższa odwagą, wypowiadając głośno prawdy, które Diderot śmiał tylko szeptać na ucho przyjacielowi.

Autor *Historyi Artystów żyjących* rozbiera żywych z niemniéj zimną krwią, jakby dessekował trupów: ręka mu nie drży, wzroku nie zaciemnia uczucie. Jest on podobny do chirurga, który uznawszy operacyą za konieczną, tnie swoję sztukę, nie zważając wcale na krzyki pacyenta. Prócz określenia charakterów i umysłu tutejszych sławnych malarzy, Silvestre podaje nauczające opisy właściwości, jakich każdy z artystów używa do malowania, nie pomijając najmniejszych szczegółów, jak np. przyrządzania i tarcia farb, gatunku pędzli, płótna, pokostu i t. d.

Prozaiczne studia Silvestra podobają się bardzo: może dlatego, że są oryginalne i mocno odbijają od czczéj kwiecistości zwykłych recenzyj. W piérwszych poszytach autor zestawił Ingra i Courbetta, dwóch malarzy stojących na dwóch przeciwnych krańcach klawiatury artystycznéj we Francyi. Daléj rozwinął filozoficzny i poważny system Chenavarda; daléj z wielkiém uwielbieniem opisał osobę i dzieła Eugeniusza Delacroix. W rozdziałach obejmujących biografią Verneta, napotykamy listy tegoż artysty pisane do żony w czasie podróży jego po Rossyi w roku 1842 i 1843. Listy te dane przez samego Verneta panu Silvestre, jako mające służyć za drogoskaz biografowi, tém więcéj uderzają, że nie były przeznaczone do druku. Nie ma w nich ani sztuki, ani frazesów z pawiemi ogonami; ani starannego obrobienia rzeczy przygotowanéj dla publiczności, często nawet nie ma loiki, bo list drugi pod inném napisany wrażeniem zaprzecza temu, co twierdził piérwszy: ale właśnie wszystkie te niedostatki dają tym listom cechę naturalną, tém powabniejszą, że wszędzie przebija żywy i elegancki dowcip najweselszego z malarzy francuzkich. W gruncie widać bystry sąd,

który artysta, jako o rzeczach nie należących do jego ukochanéj sfery, rzadko wypowiada, ale bardzo często domyślać się go każe.

Vernet zaproszony do Petersburga przez Cesarza Mikołaja, który go łaską swoją zaszczycał, podróżuje z nim po całéj Rossyi: ogląda obozy, miasta, pomniki, kościoły, krajobrazy, i w kilku słowach stara się o nich dać wyobrażenie żonie, pozostałéj w Paryżu. Nie mogąc wszystkich, podaję kilka listów Verneta, które nie wątpię, że zajmą czytelników naszych.

Petersburg, 17 czerwca 1842 roku.

„Przybywam z Peterhoffu; wszystko układa się wedle mych życzeń, prócz zamierzonéj podróży na Kaukaz, która zapewne nie przyjdzie do skutku. Cesarz przyjął mnie bardzo dobrze. Kazał mi powiedzieć, żebym go czekał na mostku, zkąd mnie zabierze z sobą najprzód na morską przejażdżkę, a potém odwiezie do pałacu, gdzie mi przygotowano mieszkanie. Pojmujesz, żem nie zapomniał stawić się na rendez-vous.

Cesarz wysiadłszy z powozu przyszedł do mnie z otwartemi rękoma i ucałował mnie w obadwa policzki, mówiąc: „Kochany Vernecie, czy jesteś mój?“ (êtes-vous à moi). „Jestem na Twe usługi N. Panie“ odpowiedziałem. „Jeżeli tak, rzekł Cesarz, nie puszczę cię tak prędko; pomówiemy późniéj; teraz myślmy tylko o fetach, które się tu gotują. Proszę cię, bądź zawsze przy moim boku.“

Otóż jestem na jakiś czas uwiązany jak wróbel na nici, ale mam nadzieję, że użyję dobrze dni wypoczynku.

W Peterhoffie skorośmy zamienili zwyczajne komplementa, książę Walkowski (zapewne Wołkoński) zapytał mnie, czym przywiózł jaki obraz dla N. Pana. Odpowiedziałem że nie, i dodałem, że nie mam zwyczaju rozwozić swoich towarów; że podróże są dla mnie wytchnieniem i rozrywką; że przybyłem do Rossyi i ofiarowałem moje usługi Cesarzowi jedynie w celu okazania mu méj wdzięczności za dawniejsze jego względy, o czém proszę, żeby zapewnił N. Pana, i t. d. Tym sposobem zniweczyłem wszelkie podobieństwo, jakieby istnieć mogło między mną, a niektóremi wojażującemi artystami, których postępowanie zostawiło tutaj niemiłe wspomnienia.“

Petersburg, 26 czerwca 1842.

„Pisałem wczoraj, i znowu piszę: na listach odemnie zbywać ci nie będzie. Odebrałem zaproszenie na familijną kolacyą do Cesarzowéj; były tylko trzy obce osoby. Mimo uprzejme przyjęcie, mimo poufałości jaka panowała w rozmowie, Niemcy byli sztywni jak sztaby żelaza. Trzeba przyznać, że Rossyanie mają daleko więcéj od nich towarzyskości i łatwości w pożyciu.

Rozmawiałem z księżniczkami, które są śliczne. Trzecia bardzo wyładniała przez czas jak jéj nie widziałem, ale W. K. Olga zawsze najpiękniejsza.

Cesarz jest na mnie nadzwyczaj łaskaw, co stawia mnie w nader wygodnéj pozycyi. Mam ochotę malować. Książę Woroncow żąda, żebym mu zrobił portret żony na koniu, taki sam, jak księżny Vinkinsztein. Zapewne zrobię. Cena 25,000 franków, a do tego pani jest piękna. Obaczymy.

Wyjeżdżamy dziś w nocy na wielką rewią, która ma trwać trzy dni. Prócz Karola przyjąłem sobie drugiego służącego, gdyż potrzebuję drogomana.“

Petersburg, w lipcu 1842.

„Znowu widziałem Cesarza, który mnie przyjął ze zwykłą uprzejmością. Rozmawialiśmy krótko. Pytał mi się, w jakim stanie odjechałem królewską rodzinę (Orleańską). Życzliwość dla niéj Cesarza Mikołaja nie ostygła, ale nie uważałem chwili za stosowną, ażeby przystąpić do wielkiéj explikacyi; książę Walkowski był przytomny... w tych dniach pewnie upatrzę stosowną porę.

W początku września mam się puścić z Cesarzem w tysiąc-milową podróż, którą odbyć mamy w siedm tygodni, nie wyjeżdżając za granicę państwa. Najdłuższe kursa bez wypoczynku będą trwały 48 godzin; na czas dłuższy zatrzymamy się tylko dwanaście razy. Cesarz, generałowie Orłów, Aldelberg, Ohaok (?) i ja, oto wszyscy podróżni: widzisz, że towarzystwo dobrane. Co tam obaczę, tego ci jeszcze dziś nie powiem, bo sam nie wiem; ale jeżeli można wnosić z liczby rozesłanych na wszystkie strony adjutantów, przygotowania muszą być wielkie. Nie będę ci mógł z nich zdawać sprawy. z podróży, zawsze jednak doniosę ci o stanie mego zdrowia. Ty pisz do mnie tylko raz do Warszawy, zresztą do Petersburga, jak zwykle.

Podróż którą przedsiębiorę jest nader ważna. Przez sześć tygodni będę nieustannie przy boku Cesarza. Zapewne niejedna ciekawa nastąpi rozmowa, w któréj pracować nie omieszkam nad pożądaném zbliżeniem. Mam nadzieję, że mi się uda, bo opinia powszechna już jest u nas przygotowana i pragnie widzieć Francyą połączoną z Rossyą; spodziewam się pomyślnie zakończyć sprawę (1).

Rodzina Cesarska wyjechała z Peterhoffu do Starego Sieła; korzystając z okazyi, udaję się do miasta po sprawunki potrzebne do podróży, jakoto: poduszkę skórzaną, worek na książki i szkice i t. p. Już dziś wieczorem Cesarz kazał mnie zapytać czym nie chory, i czy przyjdę jutro.

Hrabia Woyna, ambassador austryacki, powtórzył mi długą rozmową, którą Cesarz prowadził o mnie z królem pruskim, w któréj wychwalał bardzo mój charakter i stałość moich opinij. „Nie jesteśmy zawsze jednego zdania, rzekł w końcu Cesarz, i dlatego właśnie szanuję go: — ludzi otwartych jest bardzo mało.“

Moskwa, 15 września 1842.

„Wyjechałem sześć godzin pierwéj niż Cesarz, ażeby się módz zatrzymać w Nowogrodzie, gdzie chciałem obejrzéć malowniczy kościół, zbudowany w roku dziewięćsetnym. Drzwi tego gmachu przywiezione kiedyś z Konstantynopola, są ze złobionego bronzu. Jestto bardzo ciekawa starożytność z powodu mieszaniny świętości i pogaństwa. Malowidła greckie zdobiące wnętrze kościoła nieźle są zachowane; ale najciekawszy widok ogólny budynku: cały ułożony jest z baszt okrągłych różnéj wysokości, co zdaleka czyni go podobnym do murowanych organów. Dumanie moje przerwało przybycie Cesarza.

Zatrzymaliśmy się niedaleko Tuli dla przypatrzenia się manewrom czterech pułków kawaleryi, a wieczorem byliśmy z powrotem w Moskwie. W ciągu dnia zdarzył się zabawny wypadek: obiad w karczmie.

Pędziliśmy jak wiatr. Nagle Cesarz kazał stanąć, wszedł do stojącéj przy drodze karczemki, gdzie za pięć minut wezwał nas na obiad. Wyobraź sobie mały pokoik z desek, oświecony

(1) Z powyższego ustępu pokazuje się, że Vernet miał od Ludwika Filipa missyą pojednania dworu rossyjskiego z francuzkim.

dwiema łojówkami, a w nim stolik, cztery krzesła: Cesarza, dwóch generałów i malarza, jedzących kapuśniak i rozmawiających swobodnie. Rozmowa toczyła się o Konstantynopolu, Syryi, wejściu Francuzów do Moskwy, którego właśnie nadchodziła trzydziesta rocznica. Upewniam cię, że pogadanka była nader zajmująca. Gdybym sam nie miał w niéj udziału, sądziłbym, że mi się śni.

Dzisiaj cesarz zwiedzał pałac, który każe budować w środku Kremlina. Jestto gmach olbrzymi w byzantyńskim smaku bardzo dobrze zrozumianym, i pozostającym w harmonii z resztą otaczających go budynków."

Elizabethgrod, 30 września 1842.

„Z niespodzianki w niespodziankę wpadam. Doprawdy, Francuzi nie mają żadnego pojęcia o wnętrzu Rossyi, a mianowicie też o prowincych, które teraz przebywam. Wiem, że nie wszystko widzi w rzeczywistém świetle, kto podróżuje z monarchą; ale niemniejszego przeto nabieram przekonania, że wszystkie instytucye rządowe dążą do postępu. Wojskowe zakłady są przepyszne, a mianowicie *szkoła Kadetów*, która wydaje co rok przeszło sześć tysięcy oficerów. Szkoła ta prócz wysoko posuniętych nauk, celuje wygodném urządzeniem i wybornym dozorem uczni.

Kraj jest w ogóle płaski. Od wyjazdu z Moskwy aż tutaj same tylko równiny przecinane od czasu do czasu wąwozami, strumieniami lub rzekami; przebyliśmy już dwie wielkie: Wołgę i Dniepr. Na drodze pełno spotykamy kości, które ciągle zdają się powtarzać podróżnemu: *tu staczano bitwy*. Zwycięzcy i zwyciężeni śpią razem; równie bujna trawa rośnie na ciele Tatara, Polaka, Szweda i Kozaka. W gromadzie mogił znalazłem jeden zajmujący nagrobek: był na nim krzyż, a na krzyżu napis: „Piotr nie dba o życie, byleby żyła Rossya, wasza wiara i wasza pomyślność."

Czytając te słowa, dwa wielkie cienie stanęły mi w myśli: Karol XII i Napoleon, Pułtawa i Waterloo! Serce mi się ścisnęło kiedym rozmyślał nad podobieństwem tych dwóch bitew, gdzie się skruszyły dwie wielkie sławy. Tutaj przynajmniéj waleczni śpią razem pod mogiłami, które mówią o dzielności jednych i drugich. Ale pole bitwy pod Waterloo pokryte jest pomnikami, świadczącemi tylko o przegranéj Francuzów, a tryumfie

nieprzyjaciela. Żaden krzyż nie znaczy miejsca, gdzie spoczywają nasze pułki; mimo to świat wié, że poległy z nieustraszoném męztwem. Zamiast kamiennych pomników, bohaterski ich zapał zdobył sobie inne mogiły: pogrzebał się w nieśmiertelnéj admiracyi narodów.

Kraj zaczyna przybierać inny charakter; widać mnóstwo żydów. Spotykamy ich wszędzie, ale podłych, brudnych, chorych i biednych, a wszyscy się czołgają. Ubiór turecki pojawia się już między kobietami; jak przybędziemy na mołdawską granicę, odnajdę znowu wszystkie obyczaje mego ulubionego Wschodu, który co dzień więcéj kocham. Im bliżéj grobu, tém mnie więcéj przeszłość zachwyca, a ciemnieje przyszłość. Zdrów jestem zupełnie. Jaskółcze rzemiosło odbywam, jakby mi było lat dwadzieścia. Od czasu wyjazdu z Petersburga widziałem już 284 pułków."

Warszawa, 11 października 1842.

„Przyjęcie jakiego tutaj doznałem od wszystkich, pochlebiłoby mi niezmiernie, gdybym podobnego nie doznawał wszędzie. Ach! cóż za duma! zawołasz. Bynajmniéj. Wszystkich tych honorów nie przypisuję wcale mojéj zasłudze. To moja szczęśliwa gwiazda stawia mnie w tak przyjemnéj pozycyi. Cała moja zaleta żem za nią poszedł, zamiast chciéć jéj panować sposobem sztucznym. Upadek Ingra jest tego dowodem. Społeczność, która prędzéj czy późniéj oddaje każdemu sprawiedliwość, nie będąc tutaj podbudzaną przez klakierów, pogrzebała owę sławę wyhodowaną i dojrzałą w gorącéj szklarni: świeże powietrze ją zabiło. Obrazy Ingra grają tu bardzo smutną rolę: nie śmiałby się pewnie, słysząc, jak go tu ubierają. Jakkolwiek nie podzielałem entuzyazmu, jaki dzieła jego obudzają w Paryżu, zawsze utrzymywałem, że ma wielki talent. Szkoła jego może być zgubna, ale Ingres niemniéj przeto ma swoję indywidualność, chociaż natchnienia rabuje u starożytnych".

Petersburg, 22 listopada 1842.

„Podaję ci listę gubernij, przez które przejeżdżaliśmy: Tulska, Orelska, Kurska, Ukraińska, Katarynosławska, Taurycka, Kersońska, część Bessarabii, którą przebyć trzeba było chcąc zwiedzić Bender i Mołdawią; potém przez Podole i Wo-

łyń udaliśmy się do Księztwa Warszawskiego, a ztamtąd zwykłą drogą napowrót do Petersburga. Na mappie przekonasz się, że to spacer dość długi. Nie chciałem widzieć Odessy, gdyż tam nic nie ma ciekawego dla malarza. Miałem bardzo wygodną karetę, sześć koni, kamerdynera przy sobie, a na koźle służącego Rossyanina; rzeczy pozamykane w kufrach, prócz tego torbę, którą napełniano codziennie łakociami, żeby było co gryźć przez drogę, gdyż tylko raz na dzień stawaliśmy na obiad.

„Cesarz żyje po spartańsku; na zupę jada zwykle kapuśniak, w którym pływają kawałki słoniny i mięsa, trochę zwierzyny, rybę, ogórki kwaszone, a pije tylko wodę. Ja piłem wino; zresztą jadłem to, co wszyscy i smakowało mi dosyć. Skoro zatrzymaliśmy się gdzie na dni kilka, kuchnia była wykwintniejsza; w osadach dawano nam wojskowe kwatery po domach prywatnych: wtedy już nie było przysmaków, którychby nam nie ofiarowano. Dość było należeć do Cesarskiéj świty, żeby obywatel swój dom do góry nogami przewrócił z wielkiéj gościnności. Mnie dogadzano mianowicie, bo moje imię znają tam wszędzie. *Sławny Vernet* był celem ciekawości powszechnéj i odwiedzin wszystkich starych weteranów Francuzów, którzy tu pozostali po kampanii dwunastego roku. Większa ich część jest, albo była guwernerami; nie ma jednego z nich, któryby do mnie nie przebył z orszakiem swych uczni. Jedni mi mówili: „Sądziłem, żeś pan grubszy," a drudzy: „myślałem, żeś pan wyższy:" słowem przeszedłem przez przegląd Małéj i Wielkiéj Rossyi.

„Piszę, co mi przyjdzie pod pióro. Nie ma ładu ani składu; ciągła walka kilku idei w biédnéj głowie malarza: każda z nich chce wyjść piérwsza jak spektator z teatralnéj sali, kiedy wołają „gore!" Ułóż te myśli jak zechcesz. Wyobraź sobie, że uprzątasz moję pracownią; wtedy być może, że wszystko co tu piszę, zrozumiész".

Petersburg, 26 grudnia 1842.

„Dwadzieścia godzin nocy, a cztery godziny dnia chorego, miła rzecz! Jak tu malować? Jak tu żyć? Jak tu nie umrzéć z nudów? Do tego 19 stopni mrozu i nadzieja podwojenia dozy. Jednakowoż potrzeba przyznać, że zimno jest jedną z najmniejszych niedogodności tego kraju. Tylko nos cierpi: zresztą ciepło wszędzie, bo wyborne są opatrzenia przeciw ostro-

ści klimatu. Prawdziwa moja przyjemność jest jeździć sankami. Ale ponieważ wyjeżdżam tylko w nocy, szczęście trwa krótko: tyle, że przelecę z domu do domu.

„Jadam prawie zawsze w mieście, wieczorem bywam w wielkim świecie, i zawsze toż samo. Toż samo w całém znaczeniu tego słowa, bo nie ma żadnéj rozmaitości: kto widział jeden salon, tak dobrze jakby znał wszystkie; kto zjadł jeden obiad, wié jak tu smakuje każdy; kto słyszał jednę rozmowę, nie dowié się nic nowego nazajutrz. W salonie wszyscy siedzą; nie ma kominka, któryby, jak u nas, służył za punkt do oryentowania się. Gdzie cię posadzą, tam siedzieć musisz kamieniem; ani sposobu się wydostać: musisz mówić z tym, kto na cię patrzy. Jeżeli natrafisz na piękną kobiétę, ażeby jéj się podobać trzeba obgadywać drugich, albo słuchać jak ona obmawia; jeżeli brzydka, zawiąże z tobą rozmowę, ale chcąc pozyskać jéj względy trzeba utrzymywać, że świat cały diabła wart: inaczéj sam przepadniesz. Rozmowa jest tu nieustanną, bezkolorową i niesmaczną plotką, dlatego, że wychowanie ludzi salonowych jest jednakie, do jednéj doprowadzone wysokości, i że ich wrodzone lenistwo nigdy nie przekroczy poza tę granicę. Pojmujesz, że takie towarzystwo wkrótce się znudzi. Salon przedstawia tak smutną jednostajność, że nie ma nawet pola do obserwacyi. Czasem mówię sobie: zestarzałeś się mój kochany, i nic cię już tak nie zajmuje jak wtedy, kiedyś brał czynny udział w towarzyskich intrygach; ale nie, znam pełno młodzieży, z których każdy zmarznięty aż po brodę. Nie sztuka mieć dobre obyczaje, kiedy się nie ma namiętności.

„Już dziesiąta, dnieje, wezmę paletę i zagram w ślepą babkę z moimi pędzlami.”

Petersburg, d. 14 stycznia 1843.

„Śniegi stopniały, ulice miasta płucze nieustannie drobny dészczyk. W Boże Narodzenie mieliśmy tu bardzo oryginalny jarmark. Wszystkie targowiska były zapełnione mięsiwem, rybami i drobiem zmarzłym. Prowianty te zwykle konserwują się tym sposobem aż do postu. Nieszczęściem tego roku nagle przyszła odwilż i zniweczyła wszystkie zapasy. Ztąd rozpacz powszechna.

„Nic zabawniejszego, jak ten jarmark: spędziłem tam całe rano. Wyobraź sobie ulice pobudowane z wołów, baranów

i świń zamrożonych i poukładanych w piramidy; a wszystko sztywne jakby wystrugane z drzewa: do użytku rąbie się ogromnemi toporami.

„Jestto widok nader dziwny, mianowicie skoro noc nadejdzie; wtedy wszystkie te martwe ciała oświecają łojówkami, a przekupnie zasiadają w wołowym brzuchu lub na świńskim grzbiecie. Jeden zaczepia cię, drugi ciągnie za suknią, zachwalając swój towar, a krzyczą wszyscy razem. Zdarzył mi się zabawny wypadek na tym targu. Zapatrzyłem się był z czułością na ogromną maciorę, otoczoną mnóstwem prosiąt, które jak ona, leżały nieżywe na bruku. Przekupnie widząc mnie w téj kontemplacyi, sądzili, że chcę nabyć ową nieszczęsną Niobe; w okamgnieniu otoczyło mnie grono towarzyszek świętego Antoniego, których wdzięki wychwalali kupcy na wszystkie tony wymowniéj, niż wielu poetów piękność Wenery.

„Nie mogąc się z nimi rozmówić, z dobrą miną rejterowałem ku sankom, myśląc, że uda mi się wyjść cało: ale tam czekała mnie ostatnia porażka. Nie wsiadłem sam: nieszczęsna maciora przybyła ze mną, posadzono ją przy mnie, nie żądając zapłaty. Pojmujesz mój kłopot. Stojący obok żandarm nie mógł mnie zrozumieć, musiałem więc odjechać ze świnią. Przybywszy do domu zastałem moich gospodarstwa w sieni śmiejących się do rozpuku. Rzecz się wyjaśniła.

„Młody Wielhorski, u którego rodziców mieszkam, spostrzegłszy mnie spacerującego po targu, kupił ową maciorę i kazał mi ją zanieść do sanek. Koncept nielada, żeby mi kazać podróżować w parze z ogromną świnią, wyższą odemnie o głowę.

„Rodzina na któréj łonie tak miłéj doznaję gościnności, cieszy się blizkiém zamęzciem jednéj z córek. Narzeczeni kochają się jak turkawki. Prawdziwa to radość dla mnie samotnika patrzéć na szczęśliwych. Ojciec jest bardzo niepospolity człowiek, uczony, wielki pan, trochę hulaka. Matka była kiedyś prześliczna; od czasu jak się zajęła wychowaniem córek, nie bywa nigdzie. Stała się surowa i może zbyt nabożna, mimo to zachowała dość ciepła w duszy, żeby módz kochać i być kochaną. Starsza córka blondynka, już od kilku lat zamężna, sama karmi dziecko, maluje, gra na fortepianie. Surowe zasady nie dozwalają jéj chodzić do teatru; z literatury nowożytnéj czyta tylko pisma swego męża, który jest młody, sil-

nie zbudowany szlachcic, grający potężnie w karty i śmiejący się tylko z tego, co sam powié. Reszta siostr ma włosy czarne i obiecuje szczodrzéj jak najstarsza spłacić swój dług społeczności; ale dotąd wszystkie niezachwianie stąpają po drodze cnoty, nie przypuszczając, żeby uczciwa kobiéta mogła czytać coś więcéj nad *Naśladowanie Chrystusa.* Prócz córek jest jeszcze syn, dobry i miły chłopiec, ale słabowity i wiecznie cierpiący.

„Reszta domu uzupełniająca obraz przy stole jadalnym, składa się z samych guwernerów i guwernantek; piérwsi uszczęśliwieni, iż porzucili książki, grają na klarynetach i fletach. Guwernantek jest trzy: jedna Angielka w zielonych okularach i szarym kapeluszu; druga Polka, jakaś sentymentalna osoba *poussant des soupirs à renverser les meubles*; trzecia Niemka, która jé za wszystkich, jé aż strach! Gdybym był łatwiejszy do połknięcia, zarazbym dom opuścił. *Oh! la Gaillarde!* Oto szczęka, którą zacytować warto!...

„Już nie mam papieru; kończę przeto ten list i wysyłam czémprędzéj z obawy, żeby go Niemka nie zjadła".

Petersburg, 12 lutego 1843.

„Wracam z dworskiego balu. Rozmawiałem długo z Cesarzem o kościele św. Izaaka; mówiłem jak z katedry. Wyłożyłem moje zdania o koniecznéj jednolitości kompozycyi wewnętrznych malowideł. Tyle tam potrzeba obrazów, że jeden człowiek przez najdłuższe życie nie wykonałby ich, gdyby je miał robić sam, a nawet tylko poprawiać. Potrzeba więc, żeby jeden genialny artysta podjął się kompozycyi kartonów, któreby trzydziestu lub czterdziestu artystów wykończyło; tym sposobem tylko może być jedność, choć sto rąk nad nią pracować będzie. Zresztą projekt mój nie napotyka żadnych trudności, ponieważ wszystkie obrazy mają być malowane na skórze w ogniu złoconéj, którą przybić będzie można po ukończeniu.

„Mówiłem długo cały zajęty moim przedmiotem, ale w końcu kilka słów Cesarza rzuconych nawiasem, na inny wcale tor skierowały moje myśli. Kiedy zapytywany, ile czasu potrzeba będzie do ukończenia kościoła, odpowiedziałem, że tego dokładnie oznaczyć nie można: Cesarz rzekł: „Wszystko musi

być ukończone w ciągu lat pięciu; chciałbym tam choć jednéj mszy wysłuchać, bo wiem że pracuję dla syna, i że niedługo pożyję.

„Ta przepowiednia rychłéj śmierci, objawiona pośród balu, w słowach tak prostych, i w ustach człowieka w kwiecie wieku i zdrowia, miała w sobie coś tak dziwnego, żem się wzdrygnął i zamyślił głęboko, opanowany mnóstwem różnorodnych uczuć, których istnienia nie przypuszczałem w sobie, zwłaszcza w czasie roztopów."

Petersburg, w lutym 1843 r.

„Muszę ci opowiedzieć kilka szczegółów o zaślubinach hrabianki Apolonii Wielhorskiéj, teraźniejszéj Winerelinoff. Ceremonia odbyła się u dworu o siódméj wieczorem. Panna-młoda pojechała najpiérwsza do Cesarzowéj, która w takich razach wedle zwyczaju ubiéra oblubienicę w dyamenty koronne. Niedługo przybyłem z panem-młodym i rodziną jako świadek. Cesarz zaprowadził pannę-młodą do zamkowéj kaplicy, gdzie duchowieństwo dopełniło zwykłego obrzędu. Rozpostarto na ziemi sztukę różowéj materyi, na któréj mieli uklęknąć małżonkowie. Jest przesąd, że kto piérwszy na niéj uklęknie, będzie panem w domu; żadne przeto nie chciało uklęknąć piérwéj: zabobonnie oboje razem podnieśli nogę. Teraz może już się sprzeczają o to, kto ją pierwéj postawił.

„Ceremonia trwała godzinę. Po błogosławieństwie wszyscy wrócili na pokoje, gdzie nalano gościom puhary szampańskiego wina, które tak kobiéty jak mężczyzni obowiązani są wypić duszkiem. Potém Cesarz udał się naprzód do mieszkania nowożeńców i zawiesił święte obrazy, następnie na progu oczekiwał na zaślubionych, którzy za nim weszli, i klękli przed nim. W domu nowożeńców znów cukierki i szampan powrócił. Tyle co do materyalnego obrzędu.

„Co do części moralnéj zaślubin, niespodziewana okoliczność dała mi miarę wagi religijnéj, jaką przywiązuje panna-młoda do przysięgi, któréj ma dokonać przed Bogiem. Przy ołtarzu odpięła się jéj bransoletka i trzymała ją w ręku. Spostrzegłszy to Cesarz, z rycerską grzecznością przeszedł całą kaplicę, ażeby odebrać żenujący klejnot. Panna-młoda oddała mu bransoletkę, nie patrząc wcale na niego, ani mu dziękując najmniejszém skinieniem. Ten brak grzeczności w takiéj chwili, był oceniony od obecnych: ty także jesteś nadto religijna, żebyś go nie miała ocenić."

Petersburg, 17 kwietnia 1843.

„Dostałem od Cesarza dorożkę i trzy konie. Nie wiem co z tém począć; czy ją tu komu darować przed wyjazdem, sprzedać nie mogę, czy zabrać? Jeżeli tak uczynię, to przygotuj się, że będziesz jezdzić w Paryżu końmi, które biegają jak wiatr... Tylko po rusku mogą być zaprzężone, a posłuszne tylko Tatarowi z kwadratową twarzą, rzadką brodą i szerokiemi barkami, który jada tylko końskie mięso. Ztąd widzę, jak ci się fizyonomia wydłuża, ztąd słyszę jak mówisz: „O niedołęga! zawsze same głupstwa robi" i różne tym podobne komplementa. Ale jakże zrobić? Na pocieszenie skreślę ci obraz przyjemności, jakich możesz się spodziewać od nowych przyjaciół. Twój Tatar nie umié ani słowa po francuzku, ja ani słowa po rusku: będziemy tedy rozmawiali na migi: przypomni ci to niemowlęctwo Filipa. Dorożka jestto mały powozik na czterech kołach nie wyższy od taburetа, niezmiernie przyjazny trawieniu, skutkiem twardości swych resorów, mianowicie jeżeli skacze po tutejszym bruku. Jak tylko raz sprobujesz przyjemności takiéj jazdy, wzgardzisz wszystkiemi powozami paryzkiemi. A do tego jak usłyszysz wykrzykniki woźnicy: *padi*, *padi dourah*, *na prava*, *na leva!* i t. d. reszty nauczysz się sama".

Petersburg, 3 kwietnia 1843.

Wymalowałem dla Cesarza małego Napoleona na koniu, za co podarował mi powóz. Wystaw sobie, w Wielką Niedzielę wołają mnie na wystawę prezentów, które N. Pan zwykł rozdawać w tym dniu. Wchodzę i znajduję kopią mego obrazu na przepysznym wazonie, na trzy stopy wysokim, formy Medicis, naśladowanéj ze sewrskich wzorów. Po drugiéj stronie wazonu był ozdobiony cesarskim herbem napis: „*Panu Horacemu Vernetowi w dowód szacunku za jego znakomity talent*". Pojmujesz jak byłem rad z tak pochlebnego daru. Takie przezenta dają się tylko monarchom lub książętom. Udałem się natychmiast do księcia Wołkowskiego, prosząc go, żeby oświadczył Cesarzowi wdzięczność moję. Książę powiedział, że najmilszą oznaką wdzięczności będzie dla N. Pana, jeżeli udam się dziś wieczorem na nabożeństwo do dworskiéj kaplicy.

Była to nowa łaska, bo prócz ambassadora austryackiego i mnie, nikogo z obcych nie przypuszczono. Obrządek jest bar-

dzo ciekawy. W kościele zgromadził się tylko dwór i deputacye wszystkich oficerów gwardyjskich, co jednak razem czyniło do 3000 osób.

Około północy rodzina Cesarska weszła do kaplicy. Po ewangelii każdy zosobna przychodził do Cesarza, a ten mówił: „Chrystus zmartwychwstał.“ „Tak jest,” odpowiadał stojący przed nim, i całował N. Pana w oba policzki. Cesarzowa dawała rękę do pocałowania.

Prawda, że to dziwny obyczaj? Ale najciekawsze jest to, że po mszy Cesarz całuje piérwszą osobę, którą spotka wychodząc. Zwyczajnie honor ten dostaje się stojącemu na warcie szyldwachowi. Przed kilką laty pocałował grenadyera z preobrażeńskiego pułku, mówiąc mu: „Chrystus zmartwychwstał.“ A żołnierz na to: „Nie! N. Panie.“ Byłto żyd. Odtąd wszystkich żydów oddano do marynarki.

Jeszcze tu muszę pozostać do 15 lipca. Nie wiem jak ten czas przesiedzę! Zdaje mi się, żem już wyszafował wszystką odwagę, albo téż, że naprzód uciekła na statek i tam mnie czeka. Tam ją pewnie znajdę, a skoro siądę na okręt, wydawać mi się będzie, jakbym już widział moję parafialną dzwonnicę: Paryż! Co za radość!“

Horacy Vernet.

Mimo poparcia jakie znajduje w całém piśmiennictwie francuzkiém, *Kurs literatury* Lamartina został przyjęty dość ozięble. Napróżno we wszystkich księgarniach i redakcyach zaprowadzono biura przenumeraty; napróżno główne dzienniki umieszczały gorące odezwy, wystosowane do serca publiczności, przedstawiając, że jest obowiązkiem każdego Francuza rzucić w formie abonamentu grosz jaki do skarbonki Ojca ojczyzny i poetów, który na starość zamiast odpoczywać na laurach, zapracowuje się dla zdobycia kawałka powszedniego chleba. Daremnie te odezwy podpisywali *in gremio* najsławniejsi w kraju literaci: ogół pozostał niemy, głuchy i obojętny, nawet po przeczytaniu przedmowy, którą autor dołączył do piérwszego poszytu swéj publikacyi; przedmowy rozpacznéj, bolejącéj i płaczliwéj, która byłaby bardzo właściwa w ustach jakiéj podupadłéj na siłach a zwątpiałéj na duchu niewiasty, ale razi w ustach wielkiego Lamartina.

Ta przesadzona pokora w piśmie człowieka tak dumnego jak Lamartine; ta spowiedź przed tłumem, którym gardzi; ten upadek genialnego wieszcza, który winien otwierać przed narodem skarbnice wiary i nadziei, a otwiera otchłań zwątpienia, do którego doszedł po sześćdziesięciu latach nieskazitelnego życia: ma w sobie coś nader przykrego i dziwnie mroczy tę dotąd jasną postać, stojącą na szczycie francuzkiego Parnasu. Wszakże jakkolwiek smutne jest to przeobrażenie, nie znałby nikt Lamartina, ktoby go nie widział dzisiaj. Przedmowa do *Kursu literatury* jest wiernym, bo własną ręką nakreślonym obrazem obecnego stanu duszy autora *Medytacyi*:—jest jego ostatniém słowem, które powtórzyć mamy sobie za obowiązek.

.....„Są rzeczy, które się mówią raz tylko w życiu, ale wypowiedzieć je trzeba: bez tego nie zrozumielibyście wszech-potężnéj władzy, jaką miłość literatury wywiéra na życie człowieka prywatnego i publicznego.

„Będę szczery: otworzę wam najskrytsze zakątki serca. Tak zwana przyzwoitość nie dozwala błachym pisarzom obnażać swéj duszy, ale serce nabrzmiałe goryczą nie wstydzi się zrywać marne opony, które osłaniają jego rany. Gdyby Laokon wijący się w wężowych skrętach nie był nagi, widzianożby jego tortury?

„Pod zwodniczym pozorem życie moje nie jest z tych, którychby pozazdrościć można; więcéj powiem, jest ono skończone: *je ne vis pas, je survis.* Byłem kiedyś człowiekiem uczuciowym, człowiekiem czynu, poetą, mówcą; wszystko to już umarło we mnie: został tylko literat, a literat jeżeli wyłącznie literaturą żyje, szczęśliwym być nie może. Wiek mi niebardzo cięży jeszcze, więcéj ciężą rany serdeczne. Przeżyte lata, jak Makbeta jędze stają za mną, i przez ramię wytykają mi palcem nie wawrzyny, ale grób, w którym, daj Boże! żebym spoczął co rychléj.

„Nie mam nic, do czegobym mógł się uśmiechnąć, ani w przeszłości, ani w przyszłości; zestarzałem się bezpotomnie w mym pustym domu, otoczony grobami wszystkich, których kochałem: nie mogę już wyjść z mieszkania, żebym się nie potrącił o jeden z tych głazów, pod któremi spoczywa miłość moja i nadzieje. Są to jakby żyły krwawe, wyrwane z żyjącego serca, i pogrzebane przedemną, kiedy to serce bije jeszcze w mych piersiach jak zegar, którego zapomniano zatrzymać opuszczając domostwo, i wydzwania godziny, których nikt już nie słucha.

„Wszystko życie jakie mi pozostało skupiłem w kilku sercach i maleńkiéj posiadłości. Ukochane serca cierpią przezemnie, a posiadłość nie jestem pewny, czy mi nie będzie odebraną jutro, i czy nie będę musiał, jak Dante, umierać na jakim zagranicznym gościńcu. Ognisko, które ogrzewało mego ojca i które mnie jeszcze grzeje, nie do mnie należy; obca ręka może je zgasić kiedy zechce, może je sprzedawać i odprzedawać dowolnie: również jak łoże mojéj matki, również jak psa, który litościwie liże mi ręce, kiedy nań patrzę marszcząc brwi z rozpaczy! Z tego mienia mam zdawać rachunki obcym, którzy polegając na mym honorze i pracowitości, złożyli tu dziedzictwo swych dzieci, owoc własnych zabiegów!...

„Gdybym codziennie nie pracował dla nich, co mówię? gdybym sypiał po nocach, albo gdyby choroba (od czego Boże zachowaj przed czasem) zatrzymała na chwilę me pióro, to narzędzie, które zużywam dla nich: poczciwi ci ludzie zginęliby wraz ze mną, lub byliby zmuszeni szukać w popiołach moich swéj fortuny. Znaleźliby ją zapewne, ale dopiéro po mojéj śmierci.

„Oto widzicie, dlaczego znoszę pracę często nad siły, na którą skazany jestem. Cóż powiecie: tę pracę, tę cnotę z przymusu, ale w końcu cnotę zawsze, są tacy, którzy mi wyrzucają, zowiąc ją próżném pragnieniem sławy, które mnie dręczy jeszcze nad grobem! Ludzie nieloiczni w swych zarzutach, czemuż nie zarzucacie temu, co rozbija na gościńcu kamienie, że zawadza na publicznéj drodze, kiedy tą pracą żywi żonę, starca i dziecko!

„Mieszkańcy Samos łżyli kiedyś Homera, mówiąc, że im zacieśnia wązkie drogi na wyspie, recytując swe wiersze przed domami. A gdzież je miał wypowiadać, jeżeli nie na drodze, on, który nie miał innéj katedry prócz niebieskiego sklepienia? Dzisiaj druk jest tém dla pisarza, czém było sklepienie nieba dla Homera.

„Nie jestem Homerem, a jednak krytycy moi twardsi są niż obywatele z Samos. Karty, na których zarzucają mi, że stawiam méj próżności pomniki, nie atramentem, ale krwawym potem są pisane! Nie imię moje staram ja się powiększyć, ale fortunę tych, których to imię jest całém mieniem, Imię moje! wiem ja, tak jak wy wiecie, co ono warte i co je czeka. Bóg mi świadkiem, iż wolałbym, żeby nigdy nie było wymówione, a resztę dni moich oddałbym za to, żeby mogło już być po-

grzebane wraz z tym, co je nosił, w cichym dole, bez śladu *tam*, bez pamięci *tutaj!* Potrzeba przypuszczać niezwykłą dozę próżności w człowieku, który żył długo, i widział co ja widziałem, ażeby sądzić, iż chodzi mu jeszcze o to echo nicestwa, które zwie się ludzką pamięcią. Bylebym żył w pamięci Boga, o ludzką nie dbam! Życie nie jest już niczém dla mnie.

„Życie w méj samotności, po probach, jakie przeszedłem i przechodzę, podobne jest do tych widowisk, z których wychodzisz ostatni, wstrzymywany ciżbą, i widzisz, spojrzawszy w pustą salę, jak dymią gasnące lampy, jak odzierają ściany z dekoracyj, jak fatalna, naga rzeczywistość powraca na tę scenę przed chwilą tak jasną i pełną złudzeń.

„I czegożbym miał tearz żałować z tego życia? Nie byłżem przytomny śmierci wszystkich moich złudzeń? Mógłżebym miéć ochotę śpiewać tu jeszcze zagasłém tchnieniem strofy, którebym zakończył łkaniem? Mógłżebym rozpoczynać na nowo polityczne walki, w którychby już nie poznano mego głosu? Mogęż ufać w te formy rządów, które naród porzuca z równą skwapliwością, z jaką je zdobywał? Jestemże szalony dotyla, ażebym mógł wierzyć, iż zdołam ulać lub wykuć z marmuru kolosalny posąg ludzkości, kiedy Bóg największym rzeźbiarzom dał na zlepienie jéj tylko trochę piasku lub gliny? Po co żyć, ażeby liczyć wkoło siebie ruiny tego, co się stawiało w myśli! Szczęśliwi ci, co umierają w czynie, zabici rewolucyą, w którą się wmieszali. Śmierć ich jest męczeństwem, ale jest także przytułkiem! A męka życia czyż za nic się liczy?

„Co do mnie byłbym już tysiąc razy umarł śmiercią Katona, gdybym miał religią Katona; ale mam inną: wielbię Boga w zamiarach jego. Mniemam, iż cierpliwa śmierć ostatniego żebraka na słomie, wznioślejszą jest od niecierpliwéj śmierci Katona na mieczu. Kto tak umiera, ucieka—a uciec się nie godzi. Katon się buntuje, żebrak jest posłuszny; być posłusznym Bogu— oto prawdziwa chwała!

„Jest jeszcze jeden wzgląd potępiający te gwałtowne a paradne skony: albo życie jest dobrodziejstwem, albo męczeństwem. Jeżeli jest dobrodziejstwem, trzeba w niém smakować do końca, choćby gorzkiem było; jeżeli jest męczeństwem, trzeba je znosić jako tajemniczą a pożyteczną expiacyą błędów naszych.

„Żyję więc, ale jak widzicie nie na różach. Sam Katon nie miał pewnie większego odemnie wstrętu do swéj epoki. Liczę i czuję jedne po drugich, nie przeklinając ich, wszystkie kamienie, któremi mnie zabijają. Nie obwiniam ludzi; nie—byłabyto niesprawiedliwość lub głupota. Ludzi zawsze znajdowałem dobrych, tylko los okrutny:—oto szczera prawda."

Wiktor Hugo wydał w Paryżu nowy zbiór poezyj pod napisem: *Les contemplations*. Pojawienie się tych dwóch tomów, z których piérwszy nosi tytuł *Autrefois*, drugi *Aujourd'hui*, było tém większą niespodzianką, że autor Hernaniego od szesnastu lat żadnych lirycznych nie ogłosił poezyj. Dziesięć tysięcy wierszy zgromadzonych w tém wydaniu, dzielą się na dwie części: piérwsza obejmuje peryod od 1830 do 1843, druga od 1843 do 1855. Książka znajduje ogromny odbyt: ogół, ciągnie ku niéj niewygasła miłość dla wielkiego poety; niechętnych, nadzieja wyszukania jakiéj nowéj broni na nieprzyjaciela. Dosyć, że z tych lub owych pobudek kupują wszyscy; piérwszą edycyą wyczerpano we dwadzieścia cztery godzin. Paryżanie znudzeni monotonną czczością rytmów, które się pojawiały w przeciągu ostatnich lat kilku, tak ubogich w wyższe płody, z upragnieniem rzucili się w głęboką rzekę poezyj, która od dwudziestu pięciu lat w złych i dobrych czasach, płynie ciągle, podsycana natchnieniem i nauką. Dwadzieścia pięć lat, mówi w przedmowie autor, zamknąłem w tych dwóh tomach; *grande mortalis aevi spalium*. Książka ta sama napisała się we mnie; życie sącząc się po kropli przez wypadki i cierpienia, złożyło ją w mém sercu. Ci, co weń spojrzą, obaczą własne postaci odbite w smutnéj i głębokiéj wodzie, która się powoli zebrała na dnie duszy."

Jestto najprostsza i najprawdziwsza definicya téj książki. *Kontemplacye* nazwaćby można dagierotypem ludzkiego życia, który mógł odbić tylko ten, kto czuł, kochał i cierpiał. Wszystkie uczucia znajdziesz tam z kolei: nadzieje młodości, rozczarowania dojrzałego wieku, walki, bole, oburzenia i jęki złamanéj duszy. Wiktor Hugo jak Dante, spełnił do dna kielich goryczy. W południu chwały los rzucił go na obcą ziemię dziwne przeznaczenie poetów..... dziwne koleje ludzi.

„Których myśli, jak dymy wiecznie nad dach ulatują,
Ktorych sercu nie może szczęście domowe wystarczyć."

„Poeto nasz! woła jeden z tutejszych znakomitych sprawozdawców, z czcią religijną przyjmujemy ten wonny snopek, który nam przysyłasz z wygnania. Nie zapomnieliśmy ani twojego geniuszu, ani twéj chwały, ani promieni złotych, któremi oświeciłeś nasze kolebki. Wszyscy pamiętamy twój cichy dom otwarty dla nas, kiedyś był z nami; wszyscy ścigamy cię myślą na dzikiéj skale, gdzie teraz przebywasz. Burza strzaskała twą nawę, wielki poeto; aleś ty ocalał, żyjesz i żyć będziesz w sercach Francuzów, dopóki Francyi stanie!"

Słychać, że pani Hugo pisze życie męża; on zaś od czasu wyjazdu z Francyi napisał wiele nowych dzieł, które zapewne nierychło wyjdą na widok publiczny. Ci, co je czytali w rękopisie nie mogą dosyć nachwalić trzech poematów, pod napisem: *Dieu*, *la Fin de Satan*, i *les petites Epopées*. Są podobno także w tece poety trzy dramata: *Homo*, *le Théâtre en liberté*, *les Drames de l'Invisible;* z poezyj ulotnych: *les Chansons des rues et des bois* i wielki filozoficzny poemat, który ma być koroną geniuszu Wiktora Hugo: *Essai d'explication.*

— W tydzień po przyjęciu księcia de Broglie, odbyło się w Akademii wotowanie na następcę pana Molé. Kandydatami byli: p. Augier, Falloux i Teofil Gautier. Głosy akademików podzieliły się jak następuje:

Za panem Augier wotowali: pp. Dupin, Empis, Flourens, Lebrun, Legouvé, Mérimée, Musset, Nisard, Pongerville, Sainte-Beuve, Segur, Scribe, Viennet, de Vigny: razem głosów czternaście.

Za panem Falloux: p. p. Barante, Berryer, Brifaut, de Broglie, Cousin, Dupanloup, Guizot, Mignet, Montalembert, Noailles, Pasquier, Patin, Rémusat, Saint-Marc Girardin, Salvandy, Sacy, Tocqueville, Villemain, Vitet: razem głosów dziewiętnaście.

Lamartine sam jeden wotował za Teofilem Gautier; pan Thiers i inni członkowie nie byli obecni. Pan Falloux przeto większością pięciu głosów został mianowany członkiem Akademii wbrew opinii publicznéj, która bardzo gwałtownie przeciw obiorowi jego powstawała. Oficyalna recepcya pana Falloux odbędzie się dopiéro w jesieni. Fotel, który został mu przy-

sądzony był od wieków w posiadaniu samych sławnych mężów z rodu lub nauki: w roku 1653 zasiadał w nim Pelisson; 1693 Fenelon; 1715 de Boze; 1754 hrabia Clermont; 1771 Dubelloy; 1775 książę Duras; 1803 Garat; 1816 kardynał Beausset; 1825 biskup de Quélen; 1840 Molé; 1856 Falloux.—Méry umieścił w Revue Contemporaine długi artykuł, w którym dowodzi potrzeby rozwiązania Akademii, a zastąpienia jéj towarzystwem literackiém, złożoném z pięciuset członków.

— Pan Guizot wydał trzecią część *Historyi angielskiéj*, nad którą od trzydziestu lat pracuje. Nowe dwa tomy obejmują protektorat Cromwella. Francuzcy krytycy tego dzieła porównywając je z historyą Macaulaya, przyznają jednozgodnie pierwszeństwo téj ostatniéj: twierdzą oni, że dziejopis angielski opowiada z większém życiem, daleko jest oryginalniejszy, sprawiedliwszy, nadto podaje mnóstwo nieznanych szczegółów, na których Guizotowi zbywa.

— Remusat wydał także *Historyą Anglii w* XVIII *wieku*.

— Pan Figuier wydał dwa nowe dzieła: piérwsze *Alchemia i Alchimiści*, *szkic historyczno-krytyczny*, zaleca się mnóstwem wiadomości dotyczących téj nauki, dla których zebrania musiał autor pracować wiele, i ogromne stosy dzieł przerzucić; drugie ważniejsze, bo traktujące kwestye żywotne, we trzech tomach pod napisem: *Exposition et histoire des principales découvertes scientifiques modernes*, jest najpraktyczniejszą i najgruntowniejszą z tego rodzaju książek, jakie dotąd napisano we francuzkim języku, a których wiele natchnęła wystawa powszechna.

GENEALOGIA PORTRETOWA

SAPIEHÓW

W KOŚCIELE PARAFIALNYM ŚWIĘTÉJ ANNY W KODNIU.

PRZEZ

Józefa Łoskiego.

(Z rycin̨ą).

Wiadomo jest każdemu umiejącemu cenić zabytki przeszłości, jak drogocenną po praojcach naszych spuścizną są dawne portrety. Ze stanowiska sztuki zapatrując się na nie, widzimy w nich bogaty materyał dla malarstwa historycznego. Artysta chcący przedstawić wypadek dziejowy, nietylko skwapliwie z dawnych portretów kopiuje oblicza osób dawno znikłych z téj ziemi, ale nadto ich ubiór i starożytna zbroja nieocenionym dla niego będą nabytkiem. W nich badacz przeszłości śledzić będzie stanu sztuki w danéj epoce; filozof, historyk i poeta z równém jak artysta zajęciem wpatruje się w odwieczną postać sławnego męża, stara się wybadać duszę, która ją ożywiała, niejednę niepojętą jéj stronę odgadnąć: wreszcie każdy człowiek chociażby nie był specyalnie naukowym, ani też artystą, gdy ma serce i myśléć umié, z zajęciem i współczuciem patrzéć będzie na nieme, a jednak tak wymowne zmarłych postaci. Dzieła ich dobre czy złe tém żywiéj staną mu przed oczyma; poczuje ku nim uwielbienie lub wzgardę, niejedna myśl piękna zabłyśnie mu w duszy, kto wié? może wzbudzi w nim poprawę, posta-

nowienie, lub tylko westchnienie wywoła!.... Kochajmyż więc stare, zatarte praojców portrety!

Przejęty będąc takiemi uczuciami dla tych kawałków płótna, nieraz niestety tak bezbożnie poniewieranych, często nasuwała mi się myśl: aby, gdy nie jest w méj mocy ocalić je od zguby i otoczyć tą czcią i poszanowaniem, których są godne, gdy również trudno byłoby mi rozpowszechnić je rysunkiem; aby przynajmniéj zebrać troskliwie wiadomość niemal o każdym starożytnym wizerunku, i chociażby w suchym na pozór spisie uwiadomić ziomków, gdzie jeszcze rozproszone znajdują się te pamiątki. Praca taka, każdy to przyzna, artystom naszym i amatorom nader byłaby pożyteczną, a niejednemu z braci szlachty miło zapewne byłoby dowiedzieć się o konterfekcie jakiego antenaty, o którego istnieniu nie wiedział. Do takiéj pracy, wiem, że wiele gotowych znalazłoby się materyałów w dziełach szanownych badaczy, którzy w tych kilku latach stworzyli nam dzieje naszéj sztuki: mam tu między innemi na myśli dzieło barona Edwarda Rastawieckiego, lecz wieleż rzeczy jest jeszcze nietkniętych, nieopisanych. Co więcéj, w biografiach malarzy lub w opisie zbiorów i galeryj, autorowie wymieniając szczegółowo obrazy znaczniejsze sławnych mistrzów, zwykle mniejszą zwracają uwagę na portrety, jako na dzieła podrzędne; gdy zaś te miernego są pędzla, nieraz nawet na wzmiankę u nich nie zasługują. Z mego zaś stanowiska zapatrując się na dawny portret, chociażby on miernego artysty był dziełem, a nawet nie przedstawiał historycznéj osoby, jak tylko ma charakter wieku, już za ważny uznaję go zabytek. W przedsięwziętéj w tym celu wędrówce artystycznéj nietylko pociągałyby mnie ku sobie wyniosłe mury starożytnego kościoła, zamku lub pałacu możnych: pragnąłbym zajrzéć do niejednego szlacheckiego dworku w nadziei, czy tam nie znajdę na ścianie jakiego męzkiego marsowego oblicza, lub jakiéj poczciwéj matrony. Nie opuściłbym żadnego płótna, któreby wymaganiom moim odpowiadało: dlatego też te moje *pia desideria* nieprędko ziszczone być mogą. Tak myślałem, zbierając potrosze za pomocą pióra i ołówka materyały do téj pracy, gdy uprzejma zachęta kilku światłych osób skłoniła mnie do ogłoszenia małego wyjątku z notat i rysunków moich. Jestto opis genealogii portretowanéj Sapiehów w kościele kodeńskim, czyli *Moles Genealogica Sapicharum*, jak ją pełen

erudycyi monograf Kodnia, Jan Fryderyk Sapieha w dziele swém łacińskiém nazywa (1).

W miasteczku Kodniu, w dawném województwie brzesko-litewskiém, a dzisiaj w gubernii lubelskiéj, powiecie bialskim położoném, wznosi się piękny kościół parafialny pod wezwaniem św. Anny, zbudowany około roku 1630.

Kościół ten w stylu odrodzenia, pod względem sztuki dotąd nie oceniony, ani też w rysunku nie ogłoszony, posiada dwie główne ozdoby: piérwsza, która największy blask rzuca na całą osadę jest cudowny obraz Matki Boskiéj, zwanéj „*De Guadelluppe*," po częstochowskim jeden z najbardziéj w kraju naszym słynących. Po tym świętym obrazie, drugą najznakomitszą ozdobą świątyni jest bez wątpienia genealogia portretowa Sapiehów umieszczona w kaplicy Św. Krzyża naprzeciw kaplicy Matki Boskiéj cudownéj.

Wchodząc do kaplicy Św. Krzyża, cała ściana z prawéj strony będąca, pokryta jest od sklepienia aż na dół portretami wielkości naturalnéj do pasa, malowanemi na płótnie.

Portrety te, jak widzimy na załączonéj rycinie umieszczone jedne przy drugich, oddzielone są między sobą wązką ramą, tak, że ogół stanowi jakby jeden ogromny obraz: co sprawia widok wspaniały. Przestrzeń zajęta tą galeryą obejmuje około 220 łokci kwadratowych.

Opisując te portrety Sapiehów wiem, że nie donoszę wam nic nowego. Kodeń, mimo że dziś zupełnie zapomniany i w stanie blizkim upadku, jak większa część naszych miasteczek, miał swą epokę świetniejszą i był szczęśliwszy pod tym względem od wielu miast znaczniejszych: miał nawet kilku historyków, którzy obszernie dzieje cudownego obrazu, kościoła i mia-

(1) Jeżeli pojedynczy starożytny portret za szacowny uznaję zabytek, cóż dopiéro powiedzieć mam o tych wspaniałych zbiorach portretów familijnych, porządkiem genealogicznym ułożonych, które dotąd w niejednym znakomitym domu przechowują się. W tych postępujących jedne po drugich generacyach magnatów, którzy przyznać należy, że przodkowali niegdyś społeczeństwu polskiemu, nietylko poznajemy z typów twarzy, ubiorów i akcessoryj, charakter, obyczaje i stopień cywilizacyi narodu; ale co więcéj, dojrzeć można żywotną ideę, która przewodniczyła téj lub owéj epoce i przerabianie się ducha ludzkości w ciągu wieków. Zarzuci mi kto może, że przesadzam, przypisując tyle głębokiego znaczenia powierzchownéj łupinie ludzkiéj: pewna to jednak, że odbijamy na sobie i otaczających przedmiotach cechę właściwą naszemu moralnemu usposobieniu, dążnościom, ideom. Myśl tę nie podaję tu za nową, gdyż wielu obserwatorów już to dawno zauważało.

sta, opisywali. Mimo jednak, że Jan Fryderyk Sapieha poświęcił mu gruby tom in folio, który Innocentemu XIII papieżowi i Augustowi II królowi polskiemu ofiarował, a inni pisarze prozą i wierszem opiewali sławę cudownego obrazu i przechwalali piękność kościoła; jednak żaden z nich nie zastanowił się bliżéj nad tą galeryą portretów (1). Z tegoczesnych autorów, p. Michał Baliński opisując Kodeń w 3cim tomie „Starożytnéj Polski" zaledwie o nich wspomina; p. Sobieszczański w swém dziele „O sztukach pięknych" zupełnie je pominął: jeden tylko p. Kraszewski trafnie choć pobieżnie ocenia je w swym opisie Kodnia, zaleca zwiedzanie ich wszystkim artystom, i z obawy jakich nowoczesnych Wandalów, jak również z powodu ważno-

(1) Oto jest spis dzieł dotyczących Kodnia, które mam pod ręką; przytaczam je wszystkie z powodu, że znajdują się między niemi i mało znane:

1) „Historya przezacnego obrazu kodeńskiego przenajdostojniejszéj Panny Maryi, świętemu Grzegorzowi Wielkiemu ulubionego, de Guadeluppe nazwanego, od Urbana VIII papieża Jaśnie Wielmożnemu Mikołajowi hrabi S. P. R. na Kodniu Sapieże kasztelanowi wileńskiemu w r. 1635 ofiarowanego i t. d. przez ks. Jakuba Walickiego altarystę kodeńskiego. *Cum permissu superiorum.* Thorunii, apud Johan Christian Laurer, MDCCXX". Książka ta in 4-to ma str. 207 i regestr alfabetyczny. Najdawniejsze to jest dzieło, o ile mi wiadomo, wydane o Kodniu i najważniejsze nietylko co do historyi tego miasta, obrazu i kościoła, ale nawet co do historyi domu Sapiehów; a jednak nie znali go bibliografowie nasi: Bentkowski, Chłędowski ani też J. I. Kraszewski i M. Baliński, którzy wszystkie wiadomości o Kodniu z dzieła Jana Fryderyka Sapiehy zaczerpnęli. Ciekawa ta książka mieści najprzód poemat na cześć Matki Boskiéj kodeńskiéj, całą historyą cudownego obrazu, z autentyków spisaną; opis kościoła, wszystkie znajdujące się w nim nagrobki, bulle papiezkie, dyploma biskupie, przywileje miasta, fundusze, legata kościelne, z oryginałów dosłownie przedrukowane, oraz genealogią Sapiehów z przydaniem szczegółów o życiu każdego, którą prawie przepisał Niesiecki w Koronie polskiéj.

2) „Monumenta antiquitatum Marianarum i t. d. przez Jana Fryderyka Łukasza Sapiehę, kasztelana trockiego, w r. 1721 w Warszawie wydane. Dzieło to w łacińskim języku in folio na dwie części podzielone, bardzo rozwlekłe, było tak słusznie przez p. Kraszewskiego krytykowane z niestosownéj i ciężkiéj erudycyi, z którą popisywał się w niém autor.

3) Toż samo dzieło przetłumaczone na polski język przez księdza Albrychta Stawskiego, p. t. „Monumenta albo zebranie starożytnych ozdób przenajświętszéj Boga-Rodzicy Panny Maryi, etc. r. 1723."

4) W nader rzadkiéj książce do nabożeństwa p. t. „Serdeczne do Boga, matki jego i św. patronów westchnienia etc." Sandomiriae, Typis Coll. Soc. Jesu 1724, przez ks. Albrychta Stawskiego, ofiarowanéj Annie Wincencyi z Fredrów Sapieżynie wojewodzinie trockiéj, jest na końcu, jakby osobne dziełko p. t: „Memoryał starożytnych ozdób przezacnego Boga-Rodzicy obrazu de Gwadalupi Kodeńskiego, z oryginalnéj historyi po łacinie i po polsku obszernym stylem świeżo wydanéj wykonotowany i przez ks. A. Stawskiego do druku podany w r. 1724 w Sandomierzu." Ta obszerna książka do nabożeństwa (in 12o str. 1318), zawiera

ści archeologicznéj tych portretów, pragnie, aby rozpowszechnione być mogły rysunkiem. Życzenie to podzielałem oddawna z pełnym zasług pisarzem naszym (1).

Zamieszkując stale w pobliżu upadłego sapieżyńskiego grodu, ile razy znajdowałem się w tamecznym kościele, zawsze uderzało mnie wspaniałością swą to odwieczne zebranie kilkunastu pokoleń zasłużonéj w kraju rodziny, które jakiś nieznany artysta potęgą sztuki z grobów do życia powołał, i tu w obliczu ołtarza w jednym poważnym orszaku połączył. Żałowałem, że tak piękny pomnik przeszłości niedość ceniony od teraźniejszych ludzi, niszczeje pod wpływem czasu, i powoli tlała myśl, aby te starożytne wizerunki okazać ziomkom; nakoniec po długiéj zwłoce, w roku bieżącym zabrawszy się do pracy, skopiowałem wszystkie portrety Sapiehów z podpisami i herbami. W ogóle galerya ta zawiera siedmdziesiąt pięć portretów z długiemi w języku łacińskim podpisami, wymieniającemi nietylko nazwiska, urzędy, datę śmierci, ale nieraz i główne czyny przedstawionych mężów, które w wielu miejscach z powodu zatarcia zaledwie odczytane być mogły (2). Niektóre z nich blizko na dwa-

wiele modlitw do matki Boskiéj kodeńskiéj, pieśń do błog. Józefata, opisującą jego męczeństwo w Połocku, do patronów polskich do wszystkich relikwij znajdujących się w kościele kodeńskim i t. d.

5) W dziele p. t. „Obrazy z życia i podróży" p. Kraszewskiego, Wilno 1842: Opis Kodnia, i wyobrażenie cerkwi zamkowéj w tém mieście.

6) W. Athaeneum krótki opis Kodnia p. Kraszewskiego.

7) Starożytna Polska p. Balińskiego i Lipińskiego, tom 3, str. 745. Opis Kodnia wyjęty po większéj części z dzieła Sapiehy.

Do historyi domu Sapiehów, która nieraz blizko dotyczy dziejów Kodnia, patrz „Historya Illustrissimae domus Sapiehanae etc. p. Misztołta; Życie Sapiehów Kognowickiego, i wiele innych.

(1) Pan Kraszewski mówi o tych portretach Sapieżyńskich między innemi te słowa: „Piękna, ciekawa pamiątka, najlepsza historya strojów męzkich polskich, któraby warta była upowszechnienia rysunkiem;" a dalej: „Rysownik, artysta mógłby tu wyczerpać wiele materyałów, wiele typów twarzy ciekawych, wiele strojów, któreby się użyć dały. Zalecamy artystom naszym obejrzenie téj kaplicy." (Ob. Wspomnienia z życia i podróży tom I). Gdy w r. b. widząc się z p. Kraszewskim w Romanowie, powiedziałem mu o mym zamiarze skopiowania portretów Sapieżyńskich w Kodniu będących, mąż ten niespracowany na polu literatury i sztuki, gotów zawsze do nowych w tym celu poświęceń, nietylko zachęcał mnie mocno do tego i udzielił wiele światłych uwag, ale nawet oświadczył się z wszelką z swéj strony do publikacyi téj pomocą. Składam mu tutaj w imieniu sztuki i archeologii krajowéj publiczne podziękowanie.

(2) W podpisach tych obok imion, które gdy powtarzają się, numerowane są podług zwyczaju przez panujących książąt przyjętego; dodane są wielu Sapiehom szumno-brzmiące przydomki, odpowiednie ich

dzieścia łokci w górze są umieszczone, inne przez czas i niedbałość ludzką znacznie uszkodzone. Dodajmy do tego brak dostatecznego światła, i że obrazy te przytwierdzone są w ogólnéj ramie tak, że zdejmowane ze ściany być nie mogą: a będziecie mieli wyobrażenie o trudnościach, jakie pokonać trzeba było.

Po skopiowaniu wszystkich portretów (każdy z osobna formatu in 8-vo), chcąc dać wyobrażenie całości, odrobiłem załączającą się tu tablicę, która przedstawia w tym samym, co w kościele porządku, całą genealogią Sapiehów. Rozpatrzmy się w niéj nieco (1).

Na samym szczycie tego poważnego pomnika, w purpurze, w mitrach książęcych na głowie i z berłami w ręku, spoglądają na nas z odległéj przeszłości: Witenes, i syn jego Gedymin Wielcy książęta litewscy, od których znakomity ród Sapiehów pochodzi. Pod niemi siódmy syn Gedymina Narymund książę Pińskie, i dwaj jego synowie Jerzy i Punigayło zwany *Sophia*: z tych piérwszy jest protoplastą rodu książąt Rożyńskich, a drugi Sapiehów (2). Ten szereg portretów zakończa Sunigał

czynom i zasłudze; i tak hetmani i wojownicy nazywani są: Magnus, Victoriosus, Strenuus, Bellator, Belli fulmen, Gentium Domitor i t. p.; ludzie zasługi cywilnéj: Gentis decus, protectio Lithuaniae, Liberalis, Pater demens, pius, justus; takim wreszcie, którzy widać nie mieli jakiéj wyższej moralnej zasługi, dano przydomek od pewnéj cechy fizycznéj, jak np: imberbis, pulcher, senex i t. p. Na załączonéj tu w tak drobnym rozmiarze tablicy, musiałem ograniczyć się dla braku miejsca na umieszczeniu tylko imienia, urzędu i daty.

(1) Genealogia ta jest ułożona w porządku chronologicznym; przeglądać ją trzeba rzędami, zaczynając od lewéj strony, czyli tak, jak się zwyczajnie czyta.

(2) W tém miejscu genealogia niniejsza prostuje błędy Bartosza Paprockiego, który pisze: „Od Narymunda syna Gedyminowego nie wiem o potomstwie." (Gniazdo cnoty str. 1145). Poprzednio zaś tamże pisze, że protoplastą domu kniaziów Rożyńskich jest Koryat piąty syn Gedymina; tymczasem podług kodeńskiéj genealogii, jak również innych wiarogodnych źródeł wiadomo (patrz w dziełach Walickiego, Misztołta, Sapiehy, Kognowickiego i Niesieckiego), że Narymund siódmy syn Gedymina, miał synów trzech, t. j. Alexandra Podolskiego (Niesiecki nazywa go Bazylim), Jerzego Bełzkiego księcia, od którego idzie linia książąt Rożyńskich, i trzeciego Punigayłę Narymundowicza, który, że w pogaństwie do saméj śmierci utrzymał się, gdy inni członkowie jego rodziny przyjęli chrystyanizm, dlatego zwanym był od swoich współwyznawców po grecku *Sophia*, t. j. mądry. Ten Punigayło *Sophia* jest głową całego rodu Sapiehów. Syn jego Sunigał przyjąwszy na chrzcie świętym imię *Simeona* był kasztelanem trockim; odrzucił on pogańską nazwę przodków (Narymundowicz), a zachował przydomek ojca, który następnie na Sopiha, w końcu zaś na Sapiehę przemieniono. Ten Sunigał podpisał unię Litwy z Koroną w r. 1401, a na sejmie w Horodle obrał sobie i dla potomków herb Lis.

czyli Simeon kasztelan trocki, piérwszy w swym rodzie chrześcianin.

Portrety tych sześciu znakomitości historycznych, które na rycinie widzimy górujące nad całą galeryą Sapiehów, najmniejszą posiadają wartość w oczach archeologa. Dwaj książęta Witenes i Gedymin są w malarstwie oklepanym kommunatem wszystkich panujących. Otoczeni symbolami władzy monarchicznéj, nie mają nic charakteryzującego ich narodowość lub epokę; i gdyby nie podpisy, mogliby tak dobrze przedstawiać jakich odwiecznych książąt germańskich, jak i litewskich.

Czterej pod niemi znajdujący się mężowie, z tych piérwszy w złocistéj szacie bogato klejnotami naszytéj, a trzej inni całkiem zakuci w zbrojach, zdają się być kopiami z drzeworytów po dawnych naszych kronikach lub w herbarzu Paprockiego znajdujących się; i nic w tém dziwnego, skoro nie mamy prawie, o ile wiem, współczesnych wizerunków pogańskich Litwinów z XIVgo wieku (1).

Za to począwszy od Jana wojewody podlaskiego (piérwszy w trzecim rzędzie) zaręczyć można, że wszystkie portrety są kopiami z oryginałów, w domu Sapiehów od wieków przechowywanych, tak z nich pełna uroku woń przeszłości powiewa (2). Jan, czyli Iwan, wojewoda podlaski, hetman, marszałek W. Ks. Lit., założyciel miasta Kodnia i głowa, jak już mowiłem, jednéj linii Sapieżyńskiéj, wyobrażony jest w wielkim futrzanym kołpaku, w szubie, z laską marszałkowską w jednéj, a z buła-

(1) Jednym z najdawniejszych tego rodzaju zabytków są resztki malowideł al fresco na ruinach zamku w Trokach, przedstawiające sceny z dziejów Witolda. (Ob. Wspomnienia Trok p. W. Smokowskiego w Atheneum 1841 str. 166). Co zaś do portretu Witolda, który znajdował się w Nieświeżu i znany jest powszechnie z litografii, ten błędnie dotąd uważanym był za współczesny, gdyż ma charakter malowania z XVI wieku.

(2) Iwan Sapieha mając nadane od króla Zygmunta I wiele włości nad Bugiem, piérwszy przemieszkiwał w tych stronach; a jako założyciel Kodnia, pewnie zostawił swój wizerunek w tamecznym zamku. Przodkowie jego przebywali w odległych ztąd województwach na Litwie, gdzie posiadali obszerne dobra: ztąd portretów ich pewnie w Kodniu nie było, tém bardziej, że to była epoka, w któréj sztuki zaledwie pojawiać się w tych stronach zaczynały (*).

(*) Co do portretów Sapieżyńskich w Kodniu, muszą one być autentyczne, gdyż kilkanaście z nich porównywałem z dawnemi wizerunkami téj familii w innych stronach znajdującemi się, oraz ze sztychowanemi ich portretami, i znalazłem zupełne między niemi podobieństwo, a nieraz zupełne powtórzenie.

wą w drugiéj ręce; licznie rozrodzeni potomkowie jego zajmują następujące pięć rzędów téj galeryi, co czyni łącznie z Iwanem 52 portretów doprowadzonych do piérwszych lat XVIIIgo wieku, epoki, w któréj genealogia niniejsza odmalowaną była. Dwa ostatnie dolne rzędy zajmuje linia Siewierska Sapiehów, któréj protoplasta Bohdan (Theodatus) wojewoda smoleński, a brat Iwana, ożeniwszy się z Maryą księżniczką Siewierską był panem na tém księztwie, dopóki prowincya ta w skutek wojny z Rossyą nie odpadła od Polski. Jegoto portret rozpoczyna przedostatni szereg genealogii, kończącéj się na młodzieńcu w stroju francuzkim, pod którym nie ma podpisu. Nie jest zamiarem moim rozszerzać się nad tak wielką liczbą wizerunków, odkładam to do późniejszego bardziéj obszernego wydania; zwrócę tu jednak uwagę na kilka z tych postaci, których imiona najświetniéj błyszczą na kartach naszéj historyi.

Ten starzec z głową siwizną okrytą, czołem wyniosłém a szlachetném, to najpiérwsza ozdoba całego rodu, Lew Sapieha hetman i kanclerz W. Lit., (piérwszy w czwartym rzędzie) mąż wielkiéj cnoty, równie w boju jak w radzie znamienity: jemuto kraj zawdzięcza ułożenie i wydanie Statutu litewskiego.

Pod portretem Lwa, ten mąż równie jak on sędziwy, to Paweł wojewoda nowogrodzki i marszałek W. Ks. Lit. syn Iwana, a drugi dziedzic Kodnia; onto zbudował w tém mieście gotycką obok zamku cerkiew, która dotąd istnieje. Był posłem od Zygmunta Augusta króla polskiego do Maksymiliana II cesarza. Zwano go dla lat sędziwych *Saecularis Nestor*, a dla zasług w ojczyznie *Protectio Lithuaniae.*

Pod nim syn jego Mikołaj wojewoda wileński i marszałek W. Ks. Lit:, trzeci dziedzic Kodnia, posłował także do cesarza Maksymiliana II i od niego kawalerem Złotego Runa, i hrabią Państwa Rzymskiego na Kodniu kreowany; odtąd tytułu tego Sapiehowie dziedzice tych dóbr używali, odrzuciwszy wszelkie inne świetniejsze, do których mieli prawa (1).

(1) Mimo niezaprzeczonych praw do tytułu książęcego, jako pochodzący z rodu Gedymina, Sapiehowie podobnie jak kilka innych rodzin krajowych, szanując zasadę równości obywateli w rzeczypospolitéj, nie używali go wcale; co więcéj, gdy za panowania Władysława IV cesarz niemiecki Janowi Stanisławowi Sapieże marszałkowi W .Ks. Lit. i posłowi polskiemu na swym dworze nadał tytuł księcia S. P. R. nie przyjął on tego zaszczytu. Później w XVIII wieku cesarz Leopold nadał znowu tę godność Michałowi Sapieże koniuszemu W. Ks. Lit. i generałowi swych

W samym środku galeryi najwięcéj zwraca uwagę widza mąż z wąsami i brodą z szwedzka, trzymający w ręku mały kościołek. Ważnato zwłaszcza dla miejscowości figura, Mikołaj kasztelan wileński, fundator kościoła kodeńskiego; onto uniesiony zbytnią żądzą posiadania świętości, wykradł cudowny obraz Matki Boskiéj z oratoryum papiezkiego w Watykanie. Szczegóły tego nadużycia żarliwości religijnéj, wiadome są ogólnie ze Starożytnéj Polski i z opisu Kodnia przez p. Kraszewskiego. Cały ubrany czarno Mikołaj, trzyma w ręku model wystawionego przez siebie kościoła. Ciekawy to rysunek, z niego bowiem jedynie dowiadujemy się o pierwotnéj budowie kościoła kodeńskiego, który następnie ważnym uległ zmianom. Był on wtedy piękniejszym, gdyż oprócz wieży frontowéj, zdobiły go trzy kopuły, obecnie zaś dwie nad kaplicami nie istnieją; główna zaś nad nawą środkową kopuła, przez nakrycie jéj dachem blaszanym, znacznie zeszpeconą została. Na portrecie fundatora ukazuje się w głębi wizerunek cudownego obrazu Matki Boskiéj kodeńskiéj.

Obok Mikołaja zwanego *pobożnym*, uderzają szczególnością ubiorów bracia jego Krzysztof i Alexander: piérwszy kawaler jerozolimski, a drugi maltański. Piękneto postaci, lecz to już, równie jak Mikołaj, nie Polacy; chociażbyś nie znał ich życia, patrząc na nich, poznasz, że włócząc się całe życie po świecie przesiąkli na wskróś obczyzną, i nie omylisz się: dowiadujemy się bowiem z podpisu, że oba pomarli we Włoszech, a co więcéj, Krzysztof ma przydomek *Continuus viator*. Kazimiérz syn fundatora kościoła, to jeszcze Polak prawdziwy; drugi zaś syn jego Jan Ferdynand, to jakaś postać dziwaczna srogością wojennego rynsztunku. Ten napół rzymski, napół średniowieczny rycerz, w misiurce druciánéj na głowie i w takimże kaftanie, w prawéj ręce dzierży włócznię wzniesioną do pchnięcia, a w lewéj tarczę złotą z wyobrażeniem straszliwéj Meduzy. Począwszy od panowania Władysława IV, pojawia się tu coraz więcéj tych egzotycznych figur: przyznać jednak trzeba, że w rodzie Sapiehów mniéj ich napotkasz jak w niektórych innych domach polskich i litewskich, łączących się nieraz z domami cudzoziemskiemi przez związki małżeńskie.

wojsk. Dopiéro familia ta otrzymawszy od króla Stanisława Augusta na sejmie extraordynaryjnym r. 1767 i 8-go potwierdzenie tytułu książęcego, odtąd używać go poczęła (ob. Konstytucye sejmu extraordynaryjnego w Warszawie r. 1767, 5-go października zaczętego, a r. 1768 d. 5 marca ukończonego w Warszawie, str. 340.

Kto czytał prześliczną powieść Kraszewskiego *Dwa światy*, ten pewnie oglądając tę galeryą Sapieżyńskich portretów, przypomni mu się opowiadanie pana Atanazego o rodzie Karlińskich; zamieszczone tam uwagi o zmianie fizyonomij, ubioru i całych postaci polskich panów, uderzają tu swoją trafnością i prawdą.

Mężowie z czasów Jagiełłów, Batorego, a w części jeszcze za Zygmunta III, są to prawdziwi słowiańscy panowie; twarze surowe ale bez dzikości, długie ich brody tchną prostotą pełną szlachetnéj powagi. Tak to odmienne od dzisiejszych postaci, że mimo różnicy plemienia, więcéj one do senatorów rzymskich z czasów najścia Brennusa i Gallów podobne, niż do naszego zkarlałego pokolenia. Lecz patrzcie, jak wszystko z czasem się przeistacza: podgolone czupryny zmieniają się w podstrzyżone z szwedzka włosy, lub w monstrualne francuzkie peruki; miejsce śmiało, lecz bez sztuki zakręconych wąsów i bród poważnych, zastępują już gdzieniegdzie wąsy w górę najeżone i spiczaste wandykowskie bródki; co więcéj, niektórzy nasi panowie jakby czarami zmienieni w zręcznych aktorów, przybierają inne rysy, inną fizyonomią (1). Ze śmiałego wejrzenia jakiém dotąd nasz lud na świat spogląda, z tych oczu mocno otwartych, robią się oczy *en amende* zlekka przymknięte, z niewieścią zalotnością patrzące, usta jakby na myśl rozkoszy mile się uśmiechają, rysy twarzy stają się drobniejsze, a cera bardziéj delikatna; słowem, ówcześni panowie są to markizowie lub paziowie z dworu Ludwików francuzkich, jeżeli zaś który z nich przywdział zbroję, to tylko dla przepychu i próżnéj ostentacyi, bo widok jéj na polu bitwy nie przerazi nieprzyjaciół. Na szczęście podobnych typów kilka tylko naliczyliśmy w zajmującéj nas genealogii Sapiehów; najwybitniejszym zaś w tym rodzaju jest portret Mikołaja VI starosty mścisławskiego: twarz jego delikatna, olbrzymia i ślicznie utrefiona peruka i ubiór, przypominają nieco postać Ludwika XIV w młodym wieku. Podobnie czysto francuzkie typy napotykamy w portretach Leona Karola, Michała III i ostatniego w całéj figurze młodzieńca, pod którym nie ma podpisu (2).

(1) Uwagi niniejsze stosujemy nie do wszystkich wizerunków Sapieżyńskich z XVII i XVIII wieku, ale tylko do niektórych.

(2) Porównawszy ten portret z wizerunkiem księcia Kazimierza Sapiehy, będącego w ratuszu w Warszawie, nabrałem przekonania, że to jest wyobrażenie tego ostatniego w młodym bardzo wieku.

Zwracam tu jeszcze uwagę na wizerunki kilku znakomitości dziejowych. Siódmy szereg genealogii rozpoczyna Jan IX pisarz polny litewski, którego Jan Kazimiérz mianował hetmanem polnym litewskim po śmierci Gąsiewskiego. Na skórzanym kaftanie ma on drucianą koszulę z polerowanéj stali, przerabianą złotem na rękawach; dwie taśmy ponsowego koloru krzyżują się na piersiach, rękawy i pas ponsowe: wszystko to stanowi ubiór jaki rzadko napotyka się na dawnych portretach. W przedostatnim rzędzie portret Jana starosty uświatskiego przypomina sztychowany wizerunek tego sławnego wojownika, umieszczony w Panowaniu Zygmunta III. Nakoniec w dwóch ostatnich rzędach mamy portrety trzech hetmanów wielkich litewskich, tojest: Pawła V, Kazimierza IV i Jana XI, które tak ze względu na piastowane przez nich najpiérwsze godności wojskowe, jak również dla przepychu zbroi, zasługują na uwagę.

W rysunku moim tak drobnym nie można było oddać świetności ubiorów, głównie zaś rozmaitości i silnego efektu kolorów, jakie na oryginale różnobarwność płaszczów, drogocennych futer, bogactwo spinek, buław hetmańskich i lasek marszałkowskich, portretom tym nadaje. Przepych ten nie jest fantazyą artysty, gdyż ze starożytnéj cechy klejnotów tych poznać można, że musiał on je mieć przed oczyma. Każdy płaszcz spięty jest ogromną spinką, drogiemi kamieniami wysadzaną; między wielu innemi najwięcéj zadziwia bogactwem i wielkością brylantów spinka Kazimierza IV hetmana i wojewody wileńskiego, oraz Benedykta I podskarbiego w. ks. lit. jakby w kształcie pochwy od miecza. Wszystkie te szczegóły ubioru starałem się oddać wiernie w portretach skopiowanych na większą skalę, które chciałbym, jeżeli Bóg dozwoli, w osobném wydaniu koloryzowane ogłosić: tam więc odsyłam amatora, a teraz jeszcze słów kilka o wartości téj galeryi portretów pod względem sztuki.

Lubo powyższe obrazy zblizka widziane nie przedstawiają tego wykończenia, jakie lubimy widzieć w portretach, ale zważywszy na ogrom téj galeryi i efekt ogólny, wyznać trzeba, że artysta odpowiedział swemu zadaniu: rysunek poprawny, koloryt świetny a niezbyt rażący, najbardziéj zaś cenimy to, że potrafił oddać właściwy każdéj twarzy charakter. Sztukę tę, zdaje mi się, że dawni malarze lepiéj posiadali od wielu dzisiejszych.

W dawnych portretach nieraz niedołężnie namazanych, charakter osób wybitnie jest oddany; w dzisiejszych zaś lubo nieraz zbytecznie wylizanych, najczęściéj go nie ma. Winaźto artystów, czy pozbawionych charakteru twarzy naszych?—nie wiem.

Nie znam zbioru portretów Radziwiłłowskich w Nieświeżu, ale znając licznie rozproszone w kraju naszym dawne portrety po kościołach i klasztorach, a między innemi resztki galeryi portretowéj Radziwiłłów, niegdyś w zamku bialskim licznie nagromadzonéj, zapewnić mogę, że genealogia Sapiehów w Kodniu lubo nie jest arcydziełem sztuki, jednak do lepszych tego rodzaju zabytków pędzla w kraju naszym policzoną być może.

Z żalem lubownik krajowych pamiątek spostrzega, że wiele z tych portretów znacznie jest uszkodzonych. Najlepiéj dochowały się umieszczone wysoko, gdzie ich barbarzyńska ręka dosięgnąć mi mogła; niżéj położone w gorszym są stanie, farby w wielu miejscach zniknęły, znajdziesz hak wbity w piersi sławnego męża, szramę szeroką lub napis zniszczony; jak zaś widzicie na przyłączonéj rycinie, czterech portretów na dole brakuje. Miejscowa wieść niesie, że one zniszczonemi zostały w r. 1812. W téj pamiętnéj w dziejach świata epoce, wojska nieprzyjacielskie zrabowały kościół i w grobach nawet skarbów szukając, kości kilku Sapiehów w trumnach znieważyły. Gdy dzisiaj nie możemy obawiać się podobnych nadużyć, jakże pożądaném jest, aby zajęto się restauracyą tego pięknego pomnika przeszłéj wielkości jednéj ze starożytnych rodzin krajowych: nikt jednak dotąd o tém nie pomyślał, mimo że tak małéj na to potrzebaby ofiary, bo kilku tysięcy złotych.

Lecz zapytacie: kto i kiedy malował te portrety? Na to w krótkości odpowiedzieć mogę, że Jan Łukasz Sapieha kasztelan trocki, a potém kanclerz W. ks. Lit., którego na rycinie pod imieniem Jana XII wyobrażonego widzimy, pod portretem Mikołaja fundatora kościoła, wzniósł ten pomnik całéj swéj rodzinie około r. 1720. Oprócz tego kościół kodeński po fundatorze swym najwięcéj zawdzięcza panu temu ozdób i przywilejów, a mianowicie, że uzyskał w Rzymie przywilej na infułacyą. W r. 1709 przybudował dwie kaplice i nową z frontu do kościoła facyatę. Miłośnik i znawca sztuk pięknych zakupił we Włoszech za kilka tysięcy skudów obrazów, i niemi kościół kodeński ozdobił; wzniósł grobowce poprzednikom swoim, na-

koniec chcąc rozgłosić po świecie sławę cudownego obrazu N. Panny Maryi kodeńskiéj i całéj świątyni, napisał o niéj kilka razy wspomniane przezemnie dzieło (1). Umarł w r. 1751 i ma w kościele kodeńskim pięknéj rzeźby nagrobek, który postawił sobie za życia.

Nazwiska malarza, który całą tę galeryą malował, wynaleźć nie mogłem ani na portretach, ani w książkach opisujących Kodeń, ani nakoniec w małéj liczbie rękopismów, które znajdują się w skarbcu kościelnym. Mimo że nie wszystkie obrazy równie są wykończone, zdaje mi się, że jednéj ręki są dziełem. Dwa tylko w ostatnich rzędach w całéj figurze portrety z pewnością przez innego malarza wykonane były: delikatniejszy pędzel, odmienny koloryt i pewne manierowanie w układzie figur w stylu szkoły francuzkiéj XVIII wieku, przekonywają nas o tém. Nie były one malowane do niniejszéj galeryi, jak to widać z formatu, i zapewne znacznie późniéj po jéj ukończeniu umieszczone tu zostały. Jak już mówiłem, ostatni ze wszystkich wizerunek przedstawia młodego księcia Kazimierza Sapiehę generała artyleryi litewskiéj: zrobię tu więc uwagę, że przez dziwny traf, który smutną miał być wróżbą, iż linia kodeńska Sapiehów na nim wygaśnie, już miejsca w téj galeryi dla dalszych potomków zabrakło.

Oprócz portretu księcia Kazimierza Sapiehy marszałka wielkiego sejmu, ważniejszą kościół kodeński po nim posiada pamiątkę, bo reszty ziemskie tego męża, które w grobie familijnym pod kaplicą Matki Boskiéj cudownéj spoczywają.

(1) Niesiecki w Herbarzu swym wymienia kilka innych wydanych dzieł przez Fryderyka Sapiehę, między niemi sztychowaną genealogią Sapiehów. Rzadki ten zabytek posiada w zbiorach swych p. Kraszewski.

D. 10 października 1855 r.

KRONIKA LITERACKA.

O pracach naukowych Kommissyi ustanowionéj przy uniwersytecie św. Włodzimierza, dla opisania Kijowskiego Naukowego Okręgu. 1849 — 1853.

Ukraina, od czasu jak poznano ją w utworach wieszczy, zajęła niepodrzędne miejsce w literaturze naszéj. Od lat przeszło dwudziestu na wszech krańcach ziemi naszéj czytają z zajęciem co piszą o niéj, badają jéj historyczne koleje, znajomią się z jéj podaniami i pieśniami ludowemi; a pisarze, nawet ci, co znają ją li z książek, ustawicznie probują odwzorowywać przeszłe historyczne jéj życie. Ztąd historyczna, podaniowa, i że tak powiém, poetyczna strona téj krainy, już nam wiadomą została przynajmniéj w główniejszych zarysach; są nawet obrazy z życia towarzyskiego współczesnego, a ostatniemi czasy niektóre pisma warszawskie zamówiły ztąd kilku pisarzy na stałych dla siebie korrespondentów. Widzimy, iż każde nasze odezwanie się, choćby nieudolne, zyskuje na interesie ze względu jedynie na miejscowość. Odbicie się więc tego światła, jakie nań rzucili poeci, trwa na obrazie ciągle i nie przestaje zachwycać widzów.

Wiadomą jest koléj takiego wypadku. Za wrażeniem poetyczném, za farbą i natchnieniem, idzie analiza. Poeta i malarz prowadzą za sobą przemysłowca i mędrca, którzy z innego punktu poglądają i oceniają te przedmioty, i nowe, różne od tamtych, z rozmaitych objawów wyprowadzają wnioski. Człowiek, jakby się nie pieścił długo pustynnym wdziękiem przyrody, chociażby zaczerpnął niemało z niéj natchnień do swych obrazów, musi w końcu spojrzéć na przedmiot z utylitarnego stanowiska i zacząć badanie pod względem osobistych korzyści. Nauka, znajdując

kątek ziemi, którego jeszcze nie zbadała z cyrklem, motyką lub szkiełkiem, równie skwapliwie toruje sobie drogę w pokładach przyrodzonych jéj skarbów; a obadwa te rodzaje badań rok po roku wyraźniejszemi rysami znaczą to oblicze, i zbliżają je do grona dawniejszych przez oświatę i przemysł, gdzie odpowiednie zdobywa sobie miejsce.

Dziś właśnie w tym peryodzie czynnego życia zostaje Ukraina. Gospodarskie i przemysłowe jéj stanowisko szybkie robi postępy, tém korzystniejsze, że całém jéj zadaniem nie jest zasada, ale umiejętne jéj zastosowanie. Myślący i czynny Zachód pracuje dla niéj na wszystko: wynajduje, bada, ulepsza i rzecz prawie gotową podaje do rąk przedsiębiercy; gdy tymczasem nauka obznajamia go ze skarbami, jakie ma pod ręką i naprowadza na drogę korzystnego ich zużytkowania.

Powiém tu o kilku rodzajach jéj czynności, już dość ciekawych samych przez się, lecz ciekawszych ze względu zupełnéj naszéj o nich niewiadomości.

Uniwersytet kijowski św. Włodzimierza, pomimo że datował założenie swe od 1830 roku, żadną wszakże nie odznaczył się czynnością co do badań miejscowych, prawie do 1848 roku. Miał on w swém gronie ludzi zdolnych, ale zbywało mu na środkach, a może i na idei zastosowania zasobów wiedzy i nauki do miejsca, na którém zaszczepiano ją teoretycznie. Jak zwykle zdarza się w podobnych okolicznościach, jeden szczęśliwy pomysł dał zaród myśli żywotnéj i skierował prace ogólne do prawdziwszych celów. Prefessor Kessler i adjunkt Rogowicz, w roku 1848 wystąpili z prośbą do Rady uniwersyteckiéj, ażeby im pozwolono przedsięwziąć podróż na Kaukaz w celu naukowym. Miejscem poszukiwań ich naturalno-historycznych miał być Dagestan, a za pozwolenie i wsparcie stosownym pieniężnym zasiłkiem, zobowiązywali się ofiarować do muzeum uniwersytetu wszelkie uzbierane tam kollekcye.

Otrzymano pozwolenie, dano wsparcie, i ci dwaj uczeni w towarzystwie dodanego im studenta, odbyli zamierzoną wędrówkę. Ale ta piękna myśl znalazła na miejscu zastosowanie lepsze. Rzucono pytanie: do jakiego stopnia zbadano kraj, w środku którego leży Kijów; i czy nie korzystniéj byłoby, zamiast badań w krainach dalekich, robić naukowe poszukiwania w okolicy własnéj? Zebrano natenczas skrzętnie wszelkie stosowne materyały, z których okazało się, iż miejscowość kijowskiego naukowego okręgu, do którego obwodu zaliczają się pięć okolicznych gubernii: kijowska, wołyńska, podolska, czernihowska i połtawska, nie jest zbadaną w jednakim stopniu. Lepiéj od innych są opisane prowincye leżące po prawéj stronie Dniepru, jako posiadające od lat dawniejszych wyższe naukowe zakłady.

Wprawdzie, mineralogia i geognostyka tego kraju wiadome już były z prac kilku badaczy, lecz w zaogólnych rysach.

Pod względem geognostycznym pisali o nim: Andrzejowski (1), Eichwald (2), Dubois de Montpereux (3), Pusch (4), Murchison (5); botanicznym: Jundziłł (6), Besser (7), Eichwald (8), Hildenschtedt (9), autor „*Badań w przedmiocie rzeczy przyrodzonych w Galicyi, w Królestwie Polskiém, na Wołyniu i na Podolu*" (10) i inni, a notaty odnoszące się do zoologii, znaleziono w pismach Ejchwalda, Andrzejewskiego i Kesslera. Do prac tych wpływali wszyscy prawie naturaliści będący przy uniwersytecie kijowskim: Besser, Zienowicz, Andrzejewski; a z nowszych, professorowie: Trautfetter, Kessler; adjunkci: Teofilaktow i Rogowicz, a także ogrodnik Hochgutt.

Ci ostatni posiadali nadto mniéj więcéj wykończone prace, lecz ze względu na obecne wymagania nauki, oddać je do druku w tym stanie, jak były, nie mogli. Postanowiono więc wszelkie już uzbierane materyały ułożyć systematycznie, dopełnić je najnowszemi badaniami i wydać w osobnym tomie. Dla zredagowania tych prac, ustanowiono wyłączny komitet, złożony z członków fizyko-matematycznego fakultetu, i nakreślono plan do działań przyszłych.

Byłto plan obszerny. Weszły tu: mineralogia i geologia, botanika, zoologia, geografia i statystyka, technologia i astronomia. Programmata pomyślane były dobrze i ułożone systematycznie, jak to umieją robić ludzie fachowi i uczeni. Środki jakiemi rozrządzali nie były odpowiednie, a raczéj wystarczające do téj skali. Żeby dać o tém pojęcie, dość jest przebiedz plan ułożony dla geograficzno-statystyczno-historycznego opisania kraju, który jeśliby mógł być wykonany, obdarzyłby nas najzupełniejszym opisem, jakiego w całym kraju nie posiadamy dotąd.

Piérwsze prace Kesslera, Teofilaktowa, Rogowicza, dokonane w 1849 roku, tak zdały się być korzystne i interesujące, iż pomyślano wnet o ustanowieniu przy uniwersytecie kijowskim stałéj kommissyi na podobnéj zasadzie, jak kommissya archeologiczna, dla wyszukiwania starożytności i wydawania historycznych aktów. Postanowiono miéć w jéj składzie prezesa, członków i sekretarza; zaprosić do uczestnictwa obywateli miejscowych: sło-

(1) Rys botaniczny. Wilno. 1823.
(2) Naturhistorische Skizze von Lithauen, Volhynien und Podolien. Wilno. 1830.
(3) Conchiologie fossile du Plateau Wolhyni-Podolien. Berlin. 1831.
(4) Polens Paleontologie. Stuttgard. 1837.
(5) The geologie of Russia in Europe and the Ural-Mountains. London. 1845.
(6) Opisanie roślin w Litwie, na Wołyniu, Podolu i Ukrainie i t. d. Wilno. 1830.
(7) Enumeratio plantarum hujusque in Volhynia, Podolia, gub. Kijoviensi, Bessarabia cis-tiraica et circa Odessam collectarum. Wilno 1822, i: Aperçu de la géographie physique de Volhynie et de Podolie.
(8) Naturhistorische Skizze von Lithauen etc. Wilno. 1830.
(9) Reisen durch Russland. (10) Lwów. 1845 r.

wem rozwinąć wszelkie środki, ażeby jak najzupełniéj odpowiedzieć zadaniu. Projekt ten przez pośrednictwo ministra Narodowego oświecenia przedstawiony został Najjaśniejszemu Panu, i pozyskał zatwierdzenie 22 grudnia 1850 roku, a w roku następnym, 21 lutego, kommissya otwartą została.

JW. kijowski wojenny, podolski i wołyński generał-gubernator, pod którego głównym kierunkiem kommissya rozpoczęła swe prace, zamianował na prezesa rzeczywistego radcę stanu Józefowicza, pomocnika honorowego kuratora; na wiceprezesa rektora uniwersytetu Trautfettera, i sekretarza, urzędnika do szczególnych poleceń przy kijowskim cywilnym gubernatorze, znanego już z prac statystycznych, Żórawskiego. Nasamprzód przystąpiono do rozklassyfikowania zajęć pomiędzy członków, i w tym celu przedmioty wchodzące do składu czynności, rozdzielono na cztéry główne i siedm ubocznych oddziałów. Piérwszy główny obejmował matematyczną i fizyczną geografią. Drugi, naturalno-historyczny, mineralogią, geologią, botanikę i zoologią. Trzeci, przemysłowy, gospodarstwo i technikę, i nakoniec czwarty był statystyczny. Na redaktorów wybrani zostali: przy wydziale piérwszym: Fiodorow; przy drugim: Teofilaktow, i dla botaniki, Rogowicz; dla zoologii, Kessler. Przy trzecim, dla gospodarstwa, Jabubowski; dla techniki, Tychomandrycki. Nakoniec przy czwartym statystycznym, Żórawski.

Przy końcu 1851 roku kommissya liczyła już członków rzeczywistych 39, honorowych 60, i współpracowników 13. A do 1 maja 1853 roku człon. rzeczyw. 67, honorowych 71; współpracowników 22. W liczbie członków honorowych znajdujemy wiele imion polskich, znanych zaszczytnie w kraju tutejszym, jakoto: Z. Hołowińskiego, hr. Ilińskiego, Jotejko, Korzeniowskiego, hr. Moszczeńskiego, Orzeszko, hr. Platera, K. Podwysockiego, Poniatowskich, hr. Potockich, Sanguszko, Sarneckiego, hr. Chołoniewskiego, hr. Czackich, ks. Czetwertyńskiego. Jaczewskiego i wielu innych.

Z prac dokonanych już i zawartych w dwóch tomach pod tytułem: „Труды Коммисіи учрежденной при Императорскомъ Университетѣ Св. Владиміра для описанія губ. Кіевскаго Учебнаго округа. Кіевъ. 1851 и 1853 годы" jako téż ze sprawozdań ogłoszonych o pracach mających wejść do tomu trzeciego i następnych, widzimy, iż wyłączna uwaga kommissyi zwróconą została, zwłaszcza w ostatnich latach, na statystykę kraju. Redaktor tego wydziału, Żórawski, nakreślił plan dla niéj tak obszerny, iż urzeczywistnienie onego sumienne, zebranie rozmaitych danych, nie może być pracą jednego roku ani kilku ludzi. Zadaniem jego jest nietylko zebranie ogólnych wiadomości wchodzących zwykle do prac tego rodzaju, lecz nadto ułożenie pomniejszych szczegółowych programmatów dla niektórych przedmiotów. W tych programmatach zwraca on uwagę na kilka ważnych gospodarsko-statystycznych kwestyj, któ-

rych rozwiązanie pod względem nauki i miejscowych potrzeb, byłoby ważne. Kommissya spodziewa się po téj pracy najkorzystniejszych następstw i zwraca na nią wyłączną uwagę czytelnika.

Lecz w pierwszych dwóch tomach żadnych nam jeszcze nie podano owoców statystycznych zajęć. Wiemy tylko ze sprawozdania kommissyi, że wiele osób wchodzących do jéj składu, piszą rozmaite statystyczne i gospodarskie artykuły, zbierają wiadomości i obrabiają oddzielne, umyślnie na ten cel w planie wyróżnione przedmioty. Takiemi są np. o handlu żelazem, o żelaznych rudach, o szczegółowych opisaniach dóbr prywatnych i t. p; nadto, z liczby przygotowanych do trzeciego tomu artykułów, zwracają na siebie szczególną uwagę: artykuł Łukomskiego „*O cukrownictwie w połtawskiéj gubernii, w stosunku do gospodarstwa krajowego i techniki*". Tarnowskiego. „*O wpływie nauki na przemysł*" gdzie ten wpływ objaśnia postępem cukrownictwa u nas i t. p. Jako zaś materyały mające wejść do składu statystyki ogólnéj kraju, zasługują na uwagę prace: Witkowskiego: o jarmarkach i skali ich obrotów; Fiodorowa: o ludności żydowskiéj w 5 guberniach nauk. okręgu; Żórawskiego: o ludności ogólnie wziętéj w tychże guberniach, i t. p. Z artykułów opracowanych oddzielnie, pomieszczony został w tomie drugim artykuł Tarnowskiego pod tytułem: „*O familijnych podziałach w Małéj Rusi*". Jestto pogląd ze stanowiska gospodarskiego na fakt dość szczególny w swoim rodzaju: rozdziałów familijnych, ku czemu mają nieprzezwyciężoną skłonność w ogóle wszyscy wieśniacy ukraińscy. Autor powiada, że byłoby rzeczą nader ciekawą rozwiązać pytanie: kiedy i z jakich przyczyn nastąpiły te familijne rozdziały w Małéj Rusi? I my uważamy takie pytanie za wielkiéj wagi pod względem historycznym. Ludy słowiańskie cechowała w dawnych czasach patryarchalność rządów. Starszy stopniem pokrewieństwa lub wiekiem zawsze bywał głową rodziny i nią rządził, a radę składali starcowie. Dlaczego zwyczaj ten przestał istnieć w Ukrainie, kiedy widzimy że trwa dotąd w Rossyi i plemionach słowiańskich za Dunajem? Na Ukrainie nietylko pokrewni lub dalecy familianci nie żyją wspólnie na jedném gospodarstwie, ale syn, jak tylko się ożenił, oddziela się od ojca, buduje osobną chatę i własną zaprowadza gospodarkę. Dwaj bracia żonaci prawie nigdy nie mieszkają w jednéj izbie. Nawet tam, gdzie ubóstwo lub inne jakie przyczyny stają im na przeszkodzie, postrzega się we wspólném ich pożyciu nieuszanowanie względem starszych i odosobnienie się w pracy. Bracia, zmuszeni mieszkać w jednéj chacie, nietylko że dzielą się ruchomościami; ale najczęściéj mają oddzielne stoły i osobno przyrządzone pokarmy. Żonaty syn, zmuszony mieszkać wraz z ojcem, oddziela troskliwie własność swą od ojcowskiéj, i w gospodarstwie ojca nowe, własne zakłada gospodarstwo. Wszystko to dowodzi, że w plemieniu tém upadła władza patryarchalna,

władza rodu. Autor powiada, iż zdarzyło mu się raz tylko spotkać familią odznaczającą się czystą moralnością, zgodą i jednością. Wzięła go chęć poznać ją bliżéj. „Kto u was zastępuje głowę rodziny, ojca?" zapytał on braci. „Bóg — odpowiedzieli mu wszyscy." Dalsze badania przekonały go, że starszy brat nie miał tu zwierzchniéj władzy. „Któż u was kieruje gospodarstwem?— zapytał. „Ja, odpowiedział starszy, poradziwszy się uprzednio z moimi braćmi." „Któż wymierza karę za wykroczenia?." „Jeśli który z braci zawini, więc ja; a jeśli ja wykroczę, więc bracia."

Ta nieprzeparta chęć do rozdziałów familijnych wpływa niekorzystnie na byt gospodarski ukraińskiego wieśniaka. Autor rozwijając tę myśl dzieli najprzód ludność wioski na trzy rodzaje wieku: na dzieci do lat 16, na dorosłych od 16 do 60, i starców od 60. Piérwszy i trzeci zalicza do klassy nieroboczéj. Tym sposobem wypada, iż prawie połowa ludności każdéj wioski składa się z ludzi zdatnych do pracy: druga przeciwnie, z niezdatnych. Z tego stosunku wynika obowiązujące prawo, według którego każdy zdatny do pracy człowiek, prócz utrzymania samego siebie, winien jeszcze żywić jednę niezdatną do pracy duszę. Wielkie korporacye towarzyskie składają się zmałych, a między temi najliczniejsze są osady wiejskie. Te znowu zwykłą koleją składają się z familij, połączonych wzajemnemi obowiązkami życia. W każdéj z nich muszą powtarzać się wszelkie warunki towarzyskiego bytu, jego rozmaite koleje i zmiany. Jeśli każde zmniejszenie się sił wspólnych sprowadza ściślejszy między pozostałemi związek; za to każde podobne wyłamanie się niejako z pod ogólnego prawa, silniéj dotyka i oddziaływa szkodliwiéj na pomyślność tych pozostałych. Ztąd wypada, iż im mniejsze stowarzyszenie lub rodzina, tém dotkliwiéj działają na nie klęski, wynikające z nadwerężenia równowagi.

Drobnostkowy podział wywiera szkodliwe następstwa. Urządzenie osobnego gospodarstwa zawsze wypada drogo: tém więcéj kosztuje zaprowadzenie kilku oddzielnych, bo miasto jednéj chaty, należy budować kilka, i w tymże stosunku zaopatrzyć każdą w konieczne gospodarskie narzędzia i sprzęty. Toż samo dzieje się z utrzymaniem tych gospodarstw nadal. Bydło równie podlega ustawicznym podziałom, więc większa część gospodarzy pozostaje bez bydła, i dla uprawy własnego pola wynajmuje je u drugich. Niezawsze jest możność oddzielić jednego z familii dla oddania go na naukę jakiegobądź rzemiosła, ztąd Małorusini cierpią stosunkowo więcéj na braku rzemieślników i tracą na korzyści, jaka dałaby się osiągnąć od połączenia rzemiosł z rolnictwem. Cierpią oni zawsze na brak zapasowych kapitałów, a ztąd każdy sprzęt, każde narzędzie kosztuje ich drożéj, bo kupują je w małéj ilości i na rozdrób. Śmierć lub kalectwo ojca lub męża, pogrąża pozostałą familią w nędzy, z któréj nawet po przywróconéj równowadze trudno bywa powstać.

Niektórzy obywatele, powiada autor, starali się przeszkodzić następstwom podziałów, odradzając wieśniakom takowe, lub niepozwalając na nie wcale; lecz wszelkie ich usiłowania nie przynosiły pożądanego skutku. W rzeczy saméj, cóż dobrego nastąpić może z takiego przymusu? Czy nie roztropniéj więc byłoby starać się uchylić zgubne następstwa podziałów przez rozporządzenia i ustawy, zgodne z tym zwyczajem?

Jeśli żywy organizm podpada jakiemubądź nienaturalnemu rozprzężeniu, ale zawiera jeszcze w sobie siły żywotne; zwykle postrzegamy w nim pewne oddziaływanie, neutralizujące chorobę. Symptomata podobnego oddziaływania znajdujemy i w bycie ukraińskiego ludu. Autor wylicza ich kilka: szlachetna gotowość do ofiar i wsparcia; stosunek wzajemnéj pomocy pieszych i ciągłych w uprawie roli i zasiewie; nakoniec: kredyt.

Piérwszy środek istotnie ma miejsce na Ukrainie, lecz pobudki te i ich następstwa tak są zawarunkowane, iż żadnym sposobem do rachunku wejść nie mogą, i jedyném znamieniem pozostanie chlubne świadectwo współczucia i miłości bliźniego, dowodzące czynem istnienia w sercach gminu téj chrześciańskiéj cnoty. Drugi ma zastosowanie rozległe, a zasadza się na tém, iż bogatszy chłopek, tojest: posiadający bydło, orze i zasiewa niwę ubogiego pieszaka, a bierze za to połowę plonu. Wieśniacy posiadający każdy po jednéj parze wołów, sprzęgają się na trzy lub cztery pary, i orzą tym sposobem kolejno pola swoje. Piesi odbywają rozmaite robocizny ciągłym w czasie letnim, i za to wymawiają sobie orkę ich niwy. Co do kredytu, ten równie ma miejsce, lecz ile nam się zdaje, ani jest powszechnym, ani się praktykuje na tak dogodnych warunkach, ażeby mógł być jedną z głównych przyczyn wpływających na urównoważenie wad organizacyi społecznéj.

I autor artykułu nie myśli o tém inaczéj; owszem, utrzymuje on, iż te wszystkie środki wynikłe z potrzeby, podtrzymują byt włościan, lecz nie podnoszą go do stopnia pomyślności. Rzuca więc tu myśl, iż los rodzin tak rozdrobnionych, powinien zostawać pod ciągłą opieką pewnego uorganizowanego wiejskiego stowarzyszenia. „Lecz, powiada daléj, jakakolwiekby to była opiekuńcza władza, czy wyrażona stowarzyszeniem, czy zjednoczona w osobie obywatela, czy pochodząca od rządu, natenczas tylko może być korzystną, zbawienne wywrzéć skutki, jeśli kardynalną jéj zasadą będzie rozwijać instytucyą swoję na zasadach właśnie téj organizacyi, rozdrabniającéj do nieskończoności familijne ogniwa i ich materyalne zasoby."

Ściśle biorąc na uwagę podany przez autora środek, nie możemy go ani bezwzględnie odrzucać, ani przyjmować. Autor nie rozwinął swego projektu, nie objaśnił nam na jakich zasadach dałoby się uorganizować owo stowarzyszenie, zkąd czerpałoby konieczne fundusze; czy byłoby poprostu wspierającém jak jałmużną, czy udzielałoby się rodzajem pożyczki; ktoby niém rządził

i z jaką władzą; czy działania jego ograniczałyby się li wspieraniem potrzebnych bez względu na przyczyny sprowadzające ubóstwo, czy byłoby ono razem instytucyą kontrolującą te przyczyny z władzą decydującą o charakterze ich? Sąto kwestye wszakże konieczne przy ułożeniu jakiegobądź statutu, chociażby dla wiejskiéj gminy, jeśli go chcemy mieć zastosowanym powszechnie.

Nam się zdaje, iż zamiast przystąpienia wprost do ustawy tak nowéj, a niewyrozumowanéj pod wszystkiemi względami, czy nielepiéj byłoby wpatrzéć się piérwéj w rozmaite rządy prywatne obywateli ukraińskich, odznaczające się dobrym bytem włościan, i zbadać dokładnie jak sobie radzą tu i owdzie w przypadkach, o jakich mówi autor. Jak się powiodły reformy te w tém miejscu, tamte w inném? dlaczego jedne okazały się niepraktyczne. drugie lepsze? Mając pod ręką rozmaite proby, możeby znalazł się środek podciągnienia owych wypadków pod jednę ustawę.

Autor nic nie wspomina o bezpośredniéj władzy obywatela, nie mówi o koniecznem jego uczestnictwie w każdém takiém przedsięwzięciu; a wszakże jest on tu główną osią, na któréj obraca się cały mechanizm familijnych podziałów, bo dokonywać się musi za jego pozwoleniem i od niego brać drzewo na budowę a ziemię z łanów: co już samą kwestyą sprowadza do możności obrachowania jéj przez cyfry. Co tu pomoże wiejskie stowarzyszenie, zasilając oddzielającego się familii członka kilkunastą rublami, kiedy mu obywatel nie da ziemi na sadybę i kilku dziesięcin ze swego pola? A nie dać może przez proste wyrachowanie, że tym sposobem uszczupla własne łany i na tém traci. U nas, gdzie pańszczyzna odbywa się z chaty, bez względu na ilość dusz zdatnych do pracy, kwestya podziałów familijnych ułatwia się sama przez się, bo dokonywa się z korzyścią dla stron obudwu. Za zrobienie nowego wydziału ziemi i sadybę, dla oddzielającego się włościanina, obywatel zyskuje na rok pańszczyzny od niego, wraz z żoną, dni 188. Gdzie gruntów mało, a produkta mają odbyt i stosunkowie wyższą cenę, tam obywatel traci więcéj, wyzuwając się z trzech dziesięcin ziemi i sadyby, niżli zyskuje na pańszczyznie; ale zastosowanie powyższe nie może już wcale mieć miejsca w Ukrainie zadnieprzańskiéj. Tam pańszczyzna odbywa się od duszy, po trzy dni w każdym tygodniu z każdéj, ile ich jest w chacie, a ilość gruntu w posiadaniu włościanina jest jednaka, tojest, na jeden tylko inwentarzowy numer. Tu oczywista strata na stronie obywatela, jeśliby zechciał zadość czynić żądaniom oddziałów familijnych, bo musi oddzielającemu się wieśniakowi dać drzewo na chatę, sadybę i kilka dziesięcin ornego pola, a pańszczyzny nie zyskuje ani dnia więcéj nad to, co miał przedtém. Nie wspomina także autor o inném jeszcze rodzaju powinności włościańskich, praktykującym się wyłącznie w wielu powiatach gubernii: połtawskiéj i ekaterynosławskiéj, które muszą znowu w inném stosunku równoważyć obowiązki wzajemne dziedzica do poddanego; mianowicie o tych dobrach, gdzie włościanin nie ma swego pola, a dziedzic zasiewa łan ogólny i używa pańszczyzny

ile mu trzeba bez żadnego rachunku. Potém wspólnemi siłami zbiera plon, i z ogólnego urodzaju oddziela włościanom część trzecią. Są jeszcze, zwłaszcza w niektórych powiatach południowych gub. ekaterynosławskiéj i chersońskiéj, dobra prywatne, gdzie każda zdatna do pracy osoba odbywa prócz trzech dni pańszczyznianych, dzień czwarty; a za to obywatel przyjmuje na siebie opłatę wszelkich podatków do skarbu. Gdzie więc taka jest zależność włościanina od obywatela, gdzie działy familijne bezpośrednio muszą dotykać interesów dziedzica, tam wątpię, czy same przez się stowarzyszenia wiejskie coś zrobić mogą.

Wypadki częste działów familijnych, o jakich mówi autor, dokonywają się ciągle przed naszemi oczyma; patrzymy więc na nie, znamy je, poczęści sami zmuszeni jesteśmy mieć wpływ na nie. I cóż? wszystko to, widzimy, reguluje się u nas pod wpływem mnóstwa przyczyn, które w danéj miejscowości, przy pewnych warunkach są dobre, ale nie będą już takiemi gdzieindziéj. Klecić z tego wszystkiego jakąś formułkę, niepodobna. Oprzéć prawo na nieomylném współczuciu obywatela, zrobić je zależném od jakichś szlachetnych usposobień indywidualnych, lub zmusić przez prawo do poświęcenia korzyści własnych gwoli kaprysom massy, która jakby przez upor nie chce zaniechać szkodliwego zwyczaju rozdrabiania się w oddzielne familijne kółka, byłoby równie niesprawiedliwém i nie poprowadziłoby do niczego. Z lepszym już skutkiem, według mojego przekonania, dałoby się zastosować prawo, na mocy którego każdy oddzielający się członek familii nie miałby prawa prosić o wydział pierwéj, aż złoży dowód, że potrafił zaopatrzyć się przez pracę w konieczny kapitalik na zbudowanie chaty i zaopatrzenie się gospodarstwem. Tym sposobem wstępowałby na własne gospodarstwo nie obciążony żadnym długiem, i już jeśliby nie mógł pomnożyć dobytku, przynajmniéj rychło nie zapadałby w nędzę, na wypadek klęsk nieprzewidzianych. Praca uprzednia, z któréj zebrał konieczny fundusz, byłaby już w części rękojmią dalszego jego prowadzenia się; a warunek któremu podledz musiał byłby niejako pożyteczną karą za wyłamanie się z form, gubiące własną rodzinę, obywatela i społeczność. A zresztą to, czy inne prawidło, zawsze mogłoby się znaleźć, stosownie do miejscowych warunków okolicy, majątku i skali powinności włościańskich. Bijemy tu głównie na zasadę samego prawa, i jeśli, jak gotowiśmy utrzymywać z autorem, konieczności działów familijnych poddać się musim; to znowu pod żadnym względem ustępstwa tego nie należy robić, nie pociągnąwszy stronę powodową do pewnego rodzaju kary lub wynagrodzenia, czyniącego zadość moralnéj idei prawa: i to właśnie na korzyść tych społecznych cząstek, które mogą najdotkliwiéj ucierpiéć na tém.

Z opisu autora, mniéj świadomy miejscowości czytelnik mógłby powziąć przekonanie, że chodzi tu istotnie o konieczne zaradzenie nędzy; że ciało społeczne cierpi na tę ranę, a ekono-

miści, nasi, jak na Zachodzie, są powołani do obmyślenia rozmaitych środków, niszczących złe w zarodzie. Tak nie jest. Autor chciał widzieć w téj kwestyi przeszkodę do polepszenia bytu włościan; ale nie obecną ich nędzę. Ukraiński wieśniak przestaje na małém, jest leniwy, a ziemię ma urodzajną i środków do wyżywienia się dosyć. Jeszcze on żadnego z tych środków nie wyeksploatował ostatecznie, chociaż dziś nawet mógłby zdobywać drugie tyle, ile już korzysta. Nadto sam kraj ten ma przed sobą najświetniejszą przyszłość, która mu otworzy nowe źródła do zarobkowania i polepszenia bytu. Probę tego widzimy na przemyśle cukrownictwa.

Ale najciekawszą bez wątpienia kwestyą dla nas jestto upadek zupełny w tym narodzie patryarchalnéj władzy; zkąd poszło, iż plemię jedno z najliczniejszych w słowiańszczyznie, plemię które przechowało najpiękniejsze podaniowe legendy i mythy, które żyło silném politycznem życiem: mogło niepostrzeżenie, bez żadnych widomych reform i wstrząśnień, tak, że tego przeistoczenia nie zanotował nikt z badaczy, zniszczyć w łonie swém stare. święte prawo Słowian. prawo władzy starszego w rodzie. Wypadek takiéj natury nie mógł być przypadkowym, tém bardziej nagłym. Musiały na to pracować wieki, jak pracowały na tę czarną warstwę żyznéj ziemi, która pokrywa płaszczyzny Ukrainy. Musieliśmy przy rozwiązywaniu sobie tego pytania prześledzić dawne dzieje tego kraju, jego instytucye i zwyczaje którym podlegał; i, zdaje się nam, że przyczyn téj zmiany szukać należy w kolejach historycznego życia i wyjątkowém położeniu tego ludu. Kraj narażony na ustawiczne wojny i napady, nie zasłoniony górami ani lasami, stojący otworem dla okolicznych wrogów, mógłże oddawać się spokojnym zatrudnieniom około roli, żyć odosobnionym i przez kilka wieków na jedném miejscu? Życie tylko ciche, rolnicze, ustala patryarchalną władzę. W jednostajnym lat biegu nie wyrabiają się potężne czyny ani zdolności, nie obudza się samodzielność, i oczywiście, doświadczenie zdobywa najwięcéj. Niewywołany żadną koniecznością do poczucia sił własnych i rozwinięcia przymiotów wrodzonych, młodzieniec tamtych czasów opóźniał lata dojrzałości; patrzał bojaźliwie w przyszłość, a w długim szeregu lat ojca, lub jeszcze dłuższym dziada, widział znamię nieomylnéj mądrości. Było też tak istotnie, tylko że ta mądrość leżała nie w wieku, lecz w doświadczeniu zdobytém za pomocą lat długich. Nie człowiek je wywoływał życiem energicznem i czynném: owszem, to życie w pasmie całego stulecia rozwijało przed nim fazy rozmaite zjawisk; a ile mu ich pokazało, w jakim stopniu oddziałało na bierną jego istotę, o tyle był on mędrszym. Kto żył dłużéj, ten widział więcéj, mówi u nas przysłowie, i zapewne nie jestto sentencyą moralną nowéj daty. Krąży jeszcze między ludem ukraińskim bajka następnéj treści: „Kiedyś, dawno, bardzo dawno, był głód wielki, i król, dla zmniejszenia ludności, rozkazał pozabijać wszystkich starców, żeby przynajmniéj ocalić od śmier-

ci młodych. Wszędzie w państwie spełniono ten rozkaz, ale w jednéj rodzinie pożałowano starą głowę i schowano ojca do jakiegoś lochu, gdzie synowie żywili go jak mogli. Już jak tam karmili, to karmili; ale przeżył staruszek do jesieni. Przyszedł czas siejby, a siać nie ma czego. Otoż weszli synowie do ojca i mówią mu z płaczem:—Teraz ojcze i ty umrzesz i my pomrzemy z tobą: zjedliśmy wszystko i posiać nie ma czego. A ojciec im na to:—Pójdźcie i obedrzyjcie wszystkie dachy ze słomy, omłóćcie tę słomę, a tam znajdziecie ziarna tyle, że starczy wam na posiew. Poszli synowie, zrobili jak im powiedział ojciec i istotnie namłócili tyle, że starczyło na obsianie kawałka pola. Doszła o tém wiadomość do króla. Każe ich król zawołać do siebie i pyta: zkąd wzięliście zboże na posiew? Ci powiadają—że oto tak a tak: pozdzieraliśmy słomę z dachów, omłócili ją i ziarnem tém obsieli pole; ale nic nie powiedzieli o ojcu. Król na to:—któż wam dał tak mądrą radę? — Samiśmy doradzili sobie. — Nieprawda wasza, rzekł król i jak zaczął ich pytać, oni się nie przyznawali długo, a nakoniec padli do nóg i wyznali, że ojciec, którego schowali i karmili skrycie. Otóżto, co stara głowa, to nie młoda! Żeby ci synowie zabili swego ojca, któżby dał radę? A tak zaczęto młócić dachy i uzbierano tyle ziarna, że starczyło na posiew i od śmierci głodnéj wybawili się ludzie. Natenczas król wezwał staruszka i zapytał go:—Zkąd on wiedział, że w starych strzechach mogło się znaleźć ziarno? A staruszek pokłonił się i rzekł:—Dawno już, bardzo dawno był taki głód jak teraz. Otóż pamiętam, że starzy ludzie tak robili i obsiewali pola. Otóż-to! A od tego czasu aż do teraźniejszego roku nie było głodu; więc nikt nie wiedział tego sposobu; a jak starzy wyginęli, to i poradzić nie było komu."

Dla kogóż tu niejasny moralny sens téj bajeczki, niezaprzeczenie dawnéj jak wszystkie kazki nasze? Doświadczenie jest tu rozumem, a rozum nietylko nie zdobył się na żaden zaradczy środek, ale co więcéj, popełnił błąd, wytępiając starych. Wszystkie prawdy czerpią się z tradycyj, których posiadaczami są starzy; bez tych zginąłby kraj cały, bo młódź pozostałaby bez wiedzy. Przenieśmy teraz tę garstkę osady z spokojnego ustronia na punkt kraju inny; wystawmy na konieczność walki, trudy koczowniczego życia, napady i klęski; prześledźmy uważnie rozmaite koleje tego niespokojnego życia, a obaczymy zaraz, że wyolbrzymieje ono w heroizm osobisty i w groźną uorganizuje się całość. Młodzieniec rozwinie uśpione zdolności w przygodach, a siłę w boju; wspólna zaś potrzeba ochrony nakaże stowarzyszenie się, gdzie już nie przewodzi stary, ale waleczny. Starzec wreszcie zejdzie do rzędu słabych kobiét, i cała władza jego ograniczy się na wpływie moralném na dziecko. Wypada ztąd, że węzeł władzy patryarchalnéj przeobraża się w uczuciowy, a władza istotna jednoczy się i organizuje w stowarzyszeniu pojętém ogólniéj, od którego krok jeden do stowarzyszenia się w naród cały.

Na Ukrainie pojęcia te rozwinęły się jeszcze dosadniéj pod wpływem ustaw zakonu rycerskiego, jakim bez wątpienia był zakon zaporozki. Niepodobna, ażeby to awanturnicze i surowe w regułach życie, jednoczące węzłem zupełnéj równości rozmaitego pochodzenia ludzi, nie oddziaływało na Ukrainę, któréj najlepsza cząstka właśnie prezentowaną była w Zaporożu i potém powracała do domów. Jakie już wtedy były stosunki ojca do syna i nawzajem, mamy probkę z jednéj wybornéj powieści małoruskiego pisarza Gogola, gdzie pułkownik zaporozki Taras Bulba, mieszkający w Małéjrusi, przybywającym do domu z kijowskiéj akademii synom, każe na wstępie sprobować się z nim na kułaki, i gęste a bolesne odbiera razy. Lecz myliłby się każdy, ktoby z tych objawów przyszedł do wniosku, posądzającego o niemoralność lud ukraiński, zwłaszcza w stosunku dzieci do rodziców. Szacunek i miłość są wyryte głęboko w tych sercach, chociaż nie przyświecają na zewnątrz ogładą: nie ma tylko uznania władzy w pojęciu jéj cywilném.

Drugą przyczyną podtrzymującą ten sam stosunek przy warunkach obecnego bytu, jest bezsprzecznie duch czasu, inny stopień oświaty, odmienna od dawnéj stosunkowość ludów, i w ogóle niepodobny do tamtych system całego życia. Nietylko na Ukrainie, ale wszędzie widzim dążność do wywalczenia niezależnego bytu w pojęciu jego ekonomicznem. Idea własności, wiara w siły własne, stały się dziś dostępne pojęciom nawet gminnym, i dążność taka naganną być nie może. Obywatel, ekonomista, patrząc na ten objaw z punktu gospodarskiego, oceniając w massie korzyści i szkody, widzą w tém rozprzężenie zasobów materyalnych wieśniaka i mitrężenie społecznego ciała; ale to ustawiczne wydzielanie się cząstek z massy, gdzie miały one znaczenie bierne lub niezupełne, i usiłowanie stateczne do stworzenia sobie własnéj sfery bytu, jest znamieniem moralnéj godności człowieka, symptomatem jego wyzwalania się i peryodem przechodu z życia organicznego do wyższego.

Jest jeszcze jedna okoliczność w artykule p. Tarnowskiego, na którą musim zwrócić uwagę czytelnika. Autor w dążności ukraińskiego ludu do stowarzyszeń rozmaitego rodzaju, jak np. w robotach polowych, kosowicy, tłokach, czumaczce i t. p. upatruje słusznie środek zaradczy, wywołany koniecznością i oparty na zwyczaju, radząc zastosować go do potrzeb obecnych; ale myli się przyznając mu pewne ogólniejsze znaczenie, które w rozwinięciu mogłoby zaradzić złemu o jakiém mowa. Stowarzyszenia ukraińskiego ludu wywołane zostały potrzebą ochrony wzajemnéj, i noszą cechę dawnych społecznych ustaw owych czasów, w których nie było bezpieczeństwa dla jednostki, ani poszanowania dla własności cudzéj. Były one koniecznem oddziaływaniem na bezład i prawo mocniejszego; gdy dzisiejsze znowu stowarzyszenia zachodniéj Europy są skutkiem ładu społecznego, i nie skupiają do ograniczonych środków, jak tamte, prac

wspólnych, lecz rozwijają je na zasadach wiary publicznéj i prawa, do rozmiarów olbrzymich. Tamte, że wyrażę się przez porównanie, wyobrażały sprzężaj licznéj zgrai koni, których używano razem dlatego, że wóz był mechaniki piérwotnéj a złe drogi, nie mógł przeto być ciągnionym stosowną liczbą siły; gdy dzisiejszych stowarzyszeń jest zadaniem pojmować tę zasadę w odwrotném jéj znaczeniu.

Tyle tylko mamy do zanotowania z oddziału prac statystycznych. Jeśli zwróciliśmy szczególną uwagę czytelnika na artykuł p. Tarnowskiego, to dlatego, że dotknął kwestyi żywotnéj, leżącéj u nas jeszcze odłogiem, a którą słusznie byłoby zbadać pod wszelkiemi względami przed zmianą, jaka wcześniéj czy późniéj nastąpić musi. Sądząc z planu nakreślonego przez kommissyą dla statystycznego wydziału, wątpić należy, ażeby go wykonano prędko. Byłaby to jednakże praca, z któréj dałoby się poczerpnąć wiele ciekawych rzeczy i objaśniłoby się kilka nierozwikłanych pytań. Żałować nam tylko przychodzi: dlaczego część historyczną kraju, tak dobrze i szczegółowie określoną w planie, nie wzięto dotąd do obrobienia, i w piérwszych dwóch tomach nie mamy jeszcze żadnéj z téj rubryki proby, wyjąwszy artykułu Szulgina „*O starożytności miasteczka Iskorości*," o którym wiemy tyle tylko ze sprawozdania, że napisany został.

Przechodzimy następnie do prac kommissyi, czysto-naukowéj treści.

Adjunkt Teofilaktow zebrał z dwukrotnych wycieczek po kraju ciekawe postrzeżenia pod względem mineralogicznym i geognostycznym. Już powiedzieliśmy na wstępie, że poszukiwania w tym przedmiocie uczonych, jak professora Ejchwalda, Murchissona, i t. d. pomimo niezaprzeczonéj ich wartości, były zaogólne. Słuszna więc było miejscowym uczonym sprawdzić te poszukiwania i w niektórych szczegółach rozpatrzéć się bliżéj. Teofilaktow postanowił: 1) zbadać krystaliczne gatunki pod względem mineralogicznym i geognostycznym; 2) określić stosunek rodzajów krystalicznych względem utworów osadowych.

„Pod względem geognostycznym, powiada autor, kijowska gubernia dałaby się rozdzielić na dwie połowy, z których jedna, większa, składa się z formacyi krystalicznych; druga z utworów osadowych, rozmaitych co do ich dawności. Obiedwie te połowy pokryte są jednakim grubym pokładem napływowym, gliniasto-piasczystego rodzaju. Ten pokład napływowy okrywa istotną granicę obudwu tych części, chociaż w przypuszczeniu nakreślić ją można linią przez Pieniaziewicze, Byszów, Bohusław, Korsuń, Horodyszcze i Kamionkę". Ztąd utrzymuje autor, iż „na mappie Murchissona, wschodnią granicę krystalicznych gatunków należałoby przenieść o wiele ku wschodowi". Na północy, zachodzie i południu, łączą się one z massami tegoż samego rodza-

ju, leżącemi w guberniach: mińskiéj, wołyńskiéj, podolskiéj i chersońskiéj. Pokłady osadowe opierają się o Dniepr.

Mówiąc najprzód o rodzajach krystalicznych, zakreśla im granice od granitów błot pińskich do granitów gubernii chersońskiéj, a strony: wschodnią i zachodnią opiera o pokłady osadowe rozmaitego rodzaju. Całą tę massę granitu uważa być częścią owego olbrzymiego ellipsoidu, który się rozciąga od gubernii mińskiéj do Azowskiego morza.

Granica zachodnia téj części idzie przez Horodnicę, Stróżów, Korzec, Zwiahel. po Bohu, na Proskurów, Międzybóż, Winnicę, Brailów, Krystopól, Sawrań, Koniecpole; wschodnia, przez Owrucz, Pieniaziewicze, Tomaszówkę, Bohusław, Korsuń, Horodnicę i Kamionkę. Tym sposobem granica zachodnia rozciąga się w prostym kierunku od północy na południe (od Horodnicy do Proskurowa), następnie zwraca się na wschód-południe i postępuje jakby w kierunku rzeki Bohu; wschodnia idzie równolegle z Dnieprem od północo-zachodu ku południo-wschodowi, i dopiéro za Czehrynem zawraca się cokolwiek na południe. Największa szerokość téj massy dochodzi wiorst 280 między Proskurowem a Bohusławiem. W tych granicach rodzajów krystalicznych, Teofilaktow nigdzie nie odkrył pokładów osadowych.

Jakże zdziwiłby się podróżny, który przeczytawszy o téj massie granitu, zalegającéj kraj cały, nie znalazłby jéj w rzeczywistości! Rzecz cała objaśnia się tém, iż powierzchnia opisywanéj miejscowości nie ma właściwie gór żadnych, a przerzniętą jest tylko mnóstwem jarów i dolin, formujących tym sposobem spłaszczone oddzielne wyżyny. Zapełniwszy te wklęsłości, cała powierzchnia stałaby się podobną do chersońskiego stepu. Różnica w tém tylko, iż w miejscowościach krystalicznego rodzaju, znajduje się większa liczba wklęsłości i dolin, jak w chersońskich stepach. Górzystość niektórych okolic właśnie zależy od głębokości leżących w ich łonie dolin i jarów. Ogromne pokłady osadowe ukrywają przed okiem badacza krystaliczne rodzaje, i badać je tylko można na wybrzeżach rzek i w rozpadlinach. Tém głębiéj pokazują się one, im bliżéj są pokładów osadowych: tém płyciéj, im daléj od nich na wydętym grzbiecie ellipsoidu.

Krystaliczny obwód gubernij: kijowskiéj, podolskiéj i wołyńskiéj, składa się ze cztérech rodzajów: *granitu, sienitu, hyperstenu i opalowego granitu.* Pierwszy dzieli autor na dwa główne rodzaje: szary i czerwony, i utrzymuje, że oprócz różnicy w kolorach, pochodzącéj od ortozu, znajdują się w nich petroleiczne i geognostyczne własności, wyróżniające dobitnie jeden od drugiego.

Szary granit składa się z szarawego lub białawego ortozu, brunatnego koloru dwuosiowego łyszczyku i szarawego lub matowego kwarcu. Łyszczyku w nim stosunkowo więcéj niżli w czerwonym, ztąd autor nazywa go granitem łyszczykowym. Kryształy granitu i albitu charakteryzują go, chociaż tego ostat-

niego ma on bardzo niewielką dozę. Szary granit rozkłada się nader bystro w stosunku do czerwonego.

Fajansową glinę znajdującą się przy Korcu, Horodnicy i Baranówce, autor uważa za rozkład chemiczny ortozu szarego granitu.

Czerwony granit składa się ze znacznéj ilości rozwiniętego w nim ortozu, koloru czerwonego, oliwkoglazu zielonawego, łyszczyku blaszkowatego czarnego (jednoosiowego) i z ziarn kwarcu błękitnego koloru. Mniéj posiada łyszczyku niżli granit szary: ztąd gnejso-granit jest właściwy szarym tylko granitom. Kryształów granatu nie posiada wcale, a znajdująca się w nim blenda rogowa spaja czerwony granit z sienitem. Rozkłada się w małéj ilości, co robi go zdatnym do użycia na budowy.

Szary granit napełnia północną stronę opisywanego kraju; znajduje się około Owrucza i Berdyczowa przy brzegach Horynia, Słuczy, Teterowa, na miejscowościach bagnistych, jednostajnych i stosunkowo mniéj zasiedlonych.

Autor opisuje następnie wszelkie mniéj więcéj wyraźne odmiany szarego granitu, dostrzeżone w Owruczu nad brzegami Słuczy, Kurczyka, Teterowa, Hnyłopiata: w Jahniatynie, Pleskowie, Skale, Rajgrodzie, Krystopolu, Antonówce, Czarnéj Kamionce i Korsuniu, i zwraca wyłączną uwagę na granit antonowiecki i kamioński, gdzie miejscowość pokryta wyniosłemi i malowniczemi skałami, obnażonemi w większéj części przy brzegach Górnego Tykiczu, pozwala jasno widzieć stosunek granitu szarego do czerwonego. Przedstawicielem pierwszego jest tam gnejso-granit. Miałko ziarnista massa onego składa się z blaszkowatego czarnego łyszczyku, ułożonego nakształt warstw łupkowych, z białego ortozu i szarego kwarcu. Gnejso-granit znajduje się tam całemi oddzielnemi massami wśród czerwonego granitu, który jest panującym. Zaś w Czarnéj Kamionce, ten sam gnejso-granit ukazuje się w przewyższającéj ilości, a czerwony przecina go dwiema żyłami.

Czerwony granit w stosunku do szarego, posiadł najpiękniejszą część kraju. Malownicze doliny i wzgórza leżą na nim. Większe zaludnienie okolic, brak bagnisk, dosadnie odróżniają miejsce rozwinięcia się wyłącznie czerwonego, od takowegoż rozwinięcia się wyłącznie szarego granitu. Znajduje się on w Zwiahlu, przy brzegach Kamionki około Żytomierza, przy rzece Irszy, przy Irpieni nieopodal Łuczyna, przy Bohu, Sobi, Rosi, w Humaniu, przy Górnym Tykiczu, w Szaulisie, Wesołym-kącie, Zwinogródce, Jampolu, Kuryłowcach i Chomenkach. Autor powiada, iż najdoskonalsze przecięcia wszystkich naszych krystalicznych rodzajów, znajdują się w humańskim powiecie, a czerwony granit tamtejszy ma tę szczególność pod geognostycznym względem, iż miałko ziarniste i małołyszczykowe jego formacye posiadają piękne kryształy rogowéj blendy; zaś grubo-ziarniste więcéj łyszczykowe, prawie nie mają ich.

Obok czerwonego granitu znajdował autor w kilku miejscach kwarcyty (krzemieńce). Już prof. Ejchwald dostrzegł je obok międzybożskich granitów. Teofilaktow znalazł je także w ogromnych massach nieopodal od Żorniszcz (w lipowieckim pow). i nieopodal od Berezówki (przy Górnym Tykiczu w humań. pow.). O stosunku piérwszych do otaczających rodzajów granitu, nic powiedzieć nie można, z przyczyny że są nakryte pokładami osadowemi. Kwarcyt (krzemieniec) berezowiecki wyróżnia się cokolwiek i formuje niekształtne massy pośród czerwonego granitu, lub bywa przecięty żyłami granitu. Żyły te posiadają podłużne, tabliczkowe kryształy białego ortozu, albitu i szarawego kwarcu; łyszczyku nie mają wcale. Kwarc granitu jest jakby dalszym ciągiem kwarcytowéj massy, i sformowany został w ziarnistą granitową massę przy pomocy kryształów ortozu i albitu. Autor uważa te kwarcyty jako ogromne wydzielenie się kwarcu z granitowéj massy.

Przy opisywaniu czerwonego granitu, autor wspominał nieraz o charakteryzującéj ten rodzaj cząstce, rogowéj blendzie. Jestto właśnie dodatek, towarzyszący czerwonym granitom przy łączeniu się ich z *sienitem*. Autor znalazł go w stanie zupełnie rozwiniętym w okolicach Korsunia, Horodyszcz i Chłystunówki.

Pod imieniem *granitu opalowego*, autor rozumie ten sam rodzaj, który prof. Ejchwald nazywa gliniastym feldspatowym porfirem. Zachodzi różnica w tém, iż pr. Ejchwald uważa tu porfir jako zamianę zbitego ortozu i nazywa go *pelikanitem*, na cześć wiadomego doktora Pelikana; Teofilaktow przeciwnie nie odnosi go do ortozu, lecz do opalu, a ztąd rodzaj ten granitu nazywa opalowym. Ma to być według jego zdania przeobrażenie granitu, który pod żadnym względem nie można nazwać porfirem.

Składa się on w największéj części z pelikanitu, potém kwarcu i błyszczyku; ten ostatni zresztą często bywa zastąpiony talkiem. Odpowiednio do ilości tych elementów, stosowne przybiera kształty: granitu, gnejsu lub porfiru. Gdy w opalowym granicie znajdują się kryształy ortozu, przechodzi on natenczas do rodzajów średnich; gdy zaś ortoz zupełnie zastępuje pelikanit, jest on natenczas naszym szarym granitem, berdyczowskim. Między normalnym a opalowym granitem zachodzi taka sama różnica, jaka istnieje między sienitem, topazowemi i turmalinowemi rodzajami i normalnym granitem. W żadném zresztą przeobrażeniu opalowego granitu nie masz kryształów granatu, jak to ma miejsce w naszych szarych granitach.

Znajduje się on w największéj ilości w berdyczowskim i lipowieckim powiatach. Dobywa się przez jamy z powierzchni ziemi. W okolicy Mecherzyniec-Wołoskich najlepsze znajdują się rodzaje opalowego granitu. Zwyczajny opal (hydrofan) i szlachetny opal, znajdują się tam w formie cienkich żyłek lub blaszek; lecz ten ostatni nader rzadko. Jeszcze rzadziéj można

znaleźć zwyczajny opal, jako odosobnione ziarnko, wśród ziarn pelikanitu, kwarcu i łyszczyku. Bywa on natenczas spojony z massą pelikanitu.

Znajduje się on także przy brzegach Rosi, w Bułajach i Spiczyńcach, około Pohrebyszcz i Podosów, Andrusówki, Zozowa i przy rzece Budnówce; około Oradówki, Szaulichy, przy Górnym-Tykiczu i w 5 wiorstach ku wschodowi nieopodal Wesołego-Kąta. W gubernii podolskiéj w Bandurówce, Pohurcach i przy rzece Witekli. *Hypersten* jest nadzwyczaj ciekawym rodzajem w szeregu krystalicznych granitów i wyłącznie znajduje się przy brzegach niewielkiéj rzeczki Bystryjowki we wsi Kamiennym-brodzie (radomyślskiego powiatu) Jeszcze przed poszukiwaniami Teofilaktowa, pisano o nim dużo. Obywatel wsi Kamiennego-brodu Zenon Fisch, postanowił był sprzedać go skarbowi i w tym celu zlecono pr. Segetowi zająć się chemicznym tego kamienia rozbiorem. Hypersten ma dwa przeobrażenia: porfirowe, miałko-ziarniste z kryształami labradoru wielkości od ½ do 2 cali i więcéj; i granitowe, grubo-ziarniste. Teofilaktów utrzymuje, że przejście z jednego do drugiego rodzaju jest stopniowe; Seget zaś dzieli go na dwie odrębne części. W Hyperstenie, jako istotne i zasadnicze pierwiastki figurują: labrador i hypersten. Kryształy i ziarna labradoru są w przewyższającéj ilości. Wielkość ich od kilku linij dochodzi niekiedy do pięciu cali, w kierunku długości głównéj osi. Proste kryształy są nader drobne i rzadko się znajdują; podwójne zaś z charakteryzującemi je żyłkami w spojeniach, zaliczają się do zwykłéj formy. Oprócz zrastania się kryształów nakształt albitu, są jeszcze zrastania, jakie widzimy w karlsbadzkim ortozie. Ziarna labradoru rozmaitéj wielkości częściéj znajdują się w porfirowym hyperstenie. Kryształy są koloru szarego, przechodzącego w czarny lub jasno-zielony; ziarna zaś światło-szarego lub popielatego. Kąty łamania się światła w kryształach tworzą nader piękną grę kolorów: zielonego, błękitnego, żółtego i czerwonego. Piérwsze dwa są panujące, a zielony zawsze się postrzega we środku, przepleciony paskami błękitnego. Czerwony kolor daje się widzieć niezawsze. Na szczególną uwagę zasługuje układ tych kolorów pasmami rozmaitéj wielkości, odpowiednio do ścian sześciościanu. Kryształy i ziarna hyperstenu znajdują się w niewielkiéj ilości, są koloru brunatnego, a na spojeniach przechodzą w blask mocny perłowo-muszlowy, zbliżający się do metalicznego. Można tamże często widzieć kryształy hyperstenu zrośnięte z kryształami labradoru. Grubo-ziarnisty hypersten ma wiele rozpadlin i wywietrza się prędzéj od miałko-ziarnistego: w obrobieniu zaś, piérwszy o wiele jest piękniejszy. Jestto jedyny kamień prowincyj naszych użyty na wyroby szlachetniejsze chociaż przez zupełny brak zakładów szlifierskich, proby te w małéj nader są liczbie. Wszelkie ozdoby marmurowe możnaby zastąpić wybornie tym hyperstenem, i rozumiem że przewyż-

szyłby go on o wiele w piękności. Po odszlifowaniu, płytą zwykle przybiera kolor ciemny, a rozmaicie rzucone kryształy dają grę kolorów bardzo effektowną i mieniącą się ustawicznie, stosownie do punktu łamania się światła.

Teofilaktow przechodzi następnie do uwag nad wzajemnym stosunkiem krystalicznych rodzajów, i tych znowu do napływowych; i powiada, iż granit czerwony jest u nas formacyi późniejszéj od szarego; a opalowy granit uważa jakby niedokończoną formacyą elementów, jednoczesną wszakże co do powstania, z szarym. Czerwony w stosunku do opalowego uważa późniejszym; co zaś do hyperstenu, wyznaje, iż o stosunku jego do innych krystalicznych rodzajów, nic pewnego powiedzieć nie może.

O stosunkowéj dawności tych rodzajów robi następne postrzeżenia: Piérwsza połowa przecięcia idealnego do rzeki Bohu, zupełnie podobna do takowego od Jampola do Winnicy. Czerwony granit i sienit jampolski pokryte są horyzontalnie leżącemi na nich osadami sylurskiéj, kredowéj i tryasowéj gromad. Takież położenie zatrzymują rodzaje tryasowe na granitach bużskich. Ztąd Blede słusznie wnosi, iż granitowy ellipsoid służył za łoże dla sylurskiego morza, i granity guber. podolskiéj dawniejsze są od napływów, jakie tylko znajdują się na nich. Z drugiéj strony ellipsoidu pod osadami kredowemi okolic Kaniowa, pokrytemi tryasowemi warstwami, leżą osady juraskie (formacyi oxforckiéj gliny), których pokład wiadomym nam nie jest. Granit rzek Rosi i Olszany, bezpośrednio pokryty osadami tryasowéj gromady. Warstwy jurassowych i kredowych pokładów leżą w falistym kształcie. Falowanie to daje się zrozumieć w następnym przykładzie: na prawym brzegu Dniepru od Kijowa do Rzyszczowa leżą horyzontalnie rozmaite rodzaje tryasowéj gromady, i glina kijowska ciągle w jednakim utrzymuje się stosunku nad powierzchnią rzeki. Około Rzyszczowa już pod tą gliną spotykają się twarde piaskowce tryasowéj gromady, a w podniesieniu się ich widzim przyczynę uchylenia się łożyska Dnieprowego ku Monastyrkom. Za Rzyszczowem dają się widzieć wyborne przecięcia rozmaitych rodzajów. Jurasskie i kredowe pokłady leżą tu o dziesięć sążni wyżéj nad powierzchnią wody, a ta ich wydętość wpłynęła silnie na nadwerężenie horyzontalnéj piérwszéj formy. Pagórki Hryhorówki, Przeniczników, Buczaka i Kaniowa pokryte są twardym piaskowcem téj saméj natury, któryśmy widzieli w Rzyszczowie leżącym równolegle z powierzchnią wody. Te wszakże wydęcia nie są dokoła w jednakowym stopniu.

Skutkiem takiego podniesienia, było pokazanie się jurassowych i kredowych osad, i nadto silne rozparcie pokładu piaskowca i gliny tryasowéj gromady. W wielu miejscach znikł on dziś zupełnie i napływy leżą bezpośrednio na kredowych osadach.

Takie podniesienie się trzech gromad rązem, dokonało się wszakże na niewielkiéj przestrzeni stron wschodnich kaniowskie-

go, czerkaskiego i czehryńskiego powiatów, i jakby od uderzeń z dołu do góry, jak to można wnosić z falistéj powierzchni osadów.

Ztąd wniosek: że owo wstrząśnienie musiało nastąpić już po sformowaniu się pokładów staréj tryasowéj gromady. Autor nie zgaduje przyczyny, lecz utrzymuje, że nie mogło ono być skutkiem tworzenia się całéj massy granitowego elipsoidu, ani nawet żadnego z jego rodzajów.

Horyzontalne, a więc niezmienione położenie osadów sylurskiéj, kredowéj i tryasowéj gromad na granitach podolskich, każe nam przypuścić, że znaczna część granitowego elipsoidu, w dawne epoki sylurskiego, kredowego i tryasowego morza, była jakby wyspą, któréj rodzaje dostarczały materyi rozmaitym osadom. Jeśliby wstrząśnienie tych rodzajów miało się dokonać z przyczyny granitowego, tak zwłaszcza ogromnego jak nasz elipsoidu, to niewątpliwie zmiana taka w inny sposób wyraziéby się była powinna. Ztąd autor wnosi, że chociaż czerwony granit późniéj powstał od szarego, ale przed sformowaniem się sulurskich osadów. Przez to wczesne powstanie krystalicznych rodzajów, tłumaczy się i brak zupełny u nas rodzajów metamorficznych (przeobrażonych).

Niemniéj ciekawe są poszukiwania autora nad jurasowemi i kredowemi osadami; lecz te dokonane zostały li w gub: kijowskiéj i głównie nad brzegami Dniepru, w okolicach Rzyszczowa i Kaniowa. Zachodnią granicą tych osadów uważa linią od Trachtymirowa do Moszen, północną i wschodnią Dniepr, a Moszniańskie góry są ostatnim punktem wystającym ku południowi, na którym kończy się rozwinięcie drugiego peryodu kijowskich osadów.

Jeszcze w roku 1832 opisał je Du Bois de Montpéreux, i jemu właściwie winniśmy odkrycie osadów drugiego peryodu w gub. kijowskiéj. Osady juraskiéj gromady znajdujące się u nas, rozdziela autor na trzy stopnie: piérwszy, od spodu, składa się z miękkiéj gliny ciemno-brunatnego koloru, szypiącéj w kwasach i zawierającéj drobne blaszki łyszczyku i kryształy gipsu; środkowy zawiera szaro-zielony, drobny i sypki piasek, w którym dają się postrzegać nieregularne rozgałęzienia twardego piaskowcu.— Obadwa te gatunki składają się z nadzwyczaj drobnych, białawych i szarych ziarn kwarcu, blaszkowatego łyszczyku i ziarn glaukonitu. Grubość jego dochodzi czterech i pół sążni, a organicznych szczątków autor nie znajdował w nim wcale. Trzeci wreszcie, zmienny co do składowych części i miąższości, zawiera cienki łupek żelezistéj gliny szarego koloru, mieszczącéj w sobie gips i blaszki łyszczyku. W glinie téj ciągną się rzędami twarde gliniasto-żelaziste rozgałęzienia. Pod gliną leży cienkim słojem żelazisto-gliniasty gruby piasek. Miąższość pokładu nie przechodzi jednego sążnia.

Wszystkie te trzy piętra kijowskiéj jurassowéj gromady i stosunek ich względny, doskonale dają się postrzegać w obnaże-

niach między Trachtymirowem a Monastyrkiem. Autor po rozważném zbadaniu tak samych osadów, jak organicznych szczątków, utrzymuje, że powinny być zaliczone do oxfordzkiéj formacyi.

Osady kredowéj gromady odznaczają się jednostajnością rodzajów i składają się z szarawo-zielonych i ciemno-zielonych sypkich piasków, zawierających twarde, piasczyste, szarawo-zielone lub krzemionkowe, ciemno-zielone massy. Pokrywają one osady jurassowe i wszędzie powtarzają na sobie zmiany, jakim podlegały tamte. Wiele rodzajów zielonych piasków gub. Kijowskiéj są jedno-rodzajowe z osadami gromady kredowéj gub. podolskiéj. Znajdowane w nich skamieniałości każą się domyślać formacyi ich dawnéj i każą odnieść ją do epoki, którą określają pod imieniem *Terrain Albien* francuzcy geologowie.

W roku 1851 Teofilaktów udał się na Podole, wyłącznie w celu zbadania doliny Dniestrowéj. Ta wycieczka wzbogaciła go wielą ważnemi wiadomościami, które ma uporządkować i wydać wkrótce. Tymczasem podał on kilka rysów z téj podróży, tyczących się wyłącznie doliny Dniestrowéj pod geologicznym względem.

Dolina Dniestrowa na przestrzeni między Żwańcem a Kamionką, ma formę wężykowatéj rozpadliny, szerokości od 1 do 3 wiorst. Ściany jéj są skaliste prostopadłe, lub odarniowane i pochyłe. Autor zanotował tam jedno szczególnie rzadkie zjawisko, mianowicie: że brzegi Dniestru przechodzą kolejno z wyniosłego do poziomego położenia, w tym sposobie, iż wyniosłości dwóch następujących górnych brzegów łączą się z mniéj lub więcéj oddalonemi od rzeki i w półkole zarysowanemi wyżynami; a górne brzegi w téj saméj ścianie doliny wyobrażają jakby linie nowych kątów. To się powtarza na obudwu jéj brzegach, z tą tylko różnicą, iż górne brzegi jednéj strony odpowiadają poziomym brzegom strony przeciwnéj; a w rzadkiém zdarzeniu zbliżają się obie ściany do siebie i są skaliste lub pochyłe; Dniestr kolejno omywa jeden brzeg lub drugi.

Ściany doliny Dniestrowéj formują dwa terrasy: z tych dolny wyraźnie odkreślony, leży nad rodzajami przechodowych formacyj; zwierzchni zaś nad rodzajami kredowéj lub spodniemi warstwami tryasowéj gromady.

Lewy brzeg Dniestru ma mnóstwo ubocznych dolin i jarów, z których wiele służą za łożyska znaczniejszym rzekom. Ciekawe i trafne są jego postrzeżenia o formowaniu się u nas rzek pomniejszych, a co mówi o dolinie Dniestrowej, to da się zastosować w wielu miejscach i u nas. On powiada, że początek jaru i jego wielkość zależą właściwie od miąższości warstw, które go pokrywają; że ściany jaru obnażając się stopniowo, odkrywają źródła, z których formuje się rzeczka. Ztąd punktem piérwotnego wyjścia doliny i jaru jest właśnie ściana Dniestru, a teraźniejszy powstał z następnego sformowania się rzeczki; jest to więc postęp z ciągle ponawiającym się odwrotnym ruchem. Gdy tę zasadę

przystosujemy do rzeki, okaże się, iż jéj obecny początek jest właśnie ostatnim punktem stopniowego zwiększania się, a ujście właściwie początkiem piérwotnego sformowania się. Więc posuwanie się rzeki było stopniowo cofające się, a zwiększanie pochodziło od odkrywających się źródeł (1).

Tamże zanotował autor w wielu miejscach ogromne usunięcia się warstw, od podmycia brzegów. Te, co są nieopodal Krzywego-Woza, Kalusa i w mohilewskich jarach, nastręczają ciekawe zjawiska łękowatych skrzywień w łupkach przechodowego utworu, co nastąpiło w skutek silnego ściśnienia ich boków w chwilę spadnięcia.

Obnażone granity znajdują się w dolinie Dniestrowéj przy Ożewie, Mohilewie i Jampolu. A więc leżą równolegle do pasma granitów naszych, gdyż Dniestr od Ożewa płynie w tym samym kierunku.

Osadowe utwory wchodzące do składu ścian Dniestrowéj doliny, należą do trzech rozmaitych gromad: dewońskiéj, kredowéj i tryasowéj. Dewońska przy Żwańcu i Brazie dochodzi 15 sążni miąższości i nie jest pokrytą kredowym ani tryasowym pokładem. Przed i za Kalusem grubość ta zmniejsza się, a za Kuźminem ginie zupełnie, a natomiast na równi z powierzchnią Dniestru daje się widzieć kredowy margiel. Co się tyczy stratygraficznych stosunków rodzaju jednego względem drugiego, autor daje tu dość szczegółowe opisanie ułożenia się tych rodzajów, składających się z wapienia, gliniastych łupków i szaréj waki, a z badania przychodzi do wniosku, że wszystkie musiały powstać jednoczasowie.

O pokładach utworów kredowych i tryasowych pobieżne daje objaśnienia, bo dokładniejsze zbadanie ich zostawia na późniéj.

Tyle o mineralogii i geologii.

Teraz przechodzimy do sprawozdania z oddziału botanicznego. Miał on trzech pracowników: Trautfettera, adjunkta Rogowicza i Augustynowicza. Jeśli się nie mylimy, obadwa ostatni są Małorusini, i za przedmiot swych poszukiwań wzięli florę gubernij zadnieprzańskich. Rogowicz zwiedził powiaty: perejasławski, pyryatyński, łochwicki i łubieński, gdzie badał lasowe rośliny; a w powiatach: chorolskim, połtawskim i konstantynogrodzkim, stepowe i rosnące na iłach solonośnych. Te ostatnie są celujące w gub. połtawskiéj pod względem bogactwa i rozmaitości roślinnych. Następnie zwiedził okolice aż do Kremeńczuga i dolinę Dnieprową, wyraźnie różniącą się od stepowéj flory.

(1) Co mówi tu autor o formowaniu się rzek, jeszcze istotniéj dałoby się zastosować do formowania się suchych ukraińskich i podolskich jarów, z tą różnicą, iż co się tam przypisuje działaniom źródeł, tu należy przypisać działaniom wiosennych wód i deszczów.

Jego poszukiwania dały następne wnioski: Flora północnéj części gub. połtawskiéj aż do Suły, jest zupełnie podobną do téj, jaka się znajduje w gub. czernihowskiéj i kijowskiéj. Miejscowość lewego brzegu Suły staje się więcéj jednostajną. Iły solonośne znajdują się w niewielkiéj ilości, a brzegi rzek porastają lasami w większéj części dębowemi i topolowemi (quercus pedunculata Ehrh. i populus alba L.). Pomimo téj jednostajności, nowe formy roślinne spotykają się stopniowo w coraz większéj ilości, im się daléj posuwa ku południowi. Rogowicz przeprawił się z powiatu zołotonoszskiego przez Dniepr i zrobił kilka wycieczek, w okolicach Czerkas, Smiły, Szpoły, Humania, Zwinogródka Bohusławia, Kaniowa i Międzyrzecza. Tu znalazł on kilka rzadkich exemplarzy: następnie udał się do gubernii połtawskiéj, a ztamtąd do północnych powiatów gubernii czernihowskiéj. Z wycieczek tych przywiózł 1364 rodzajów i 5000 exemplarzy.

Augustynowicz dał dość obszerną pracę pod tytułem: „*O lekarskich roślinach rosnących w stanie dzikim w gub. połtawskiéj.*" Powiat łubieński jest celującym pod względem przygotowania tych roślin dla tamtejszéj skarbowéj apteki, jak równie prywatnéj, która znaczny prowadzi niemi handel. Wieśniacy zajmują się zbieraniem korzeni, liści i nasion, i sprzedają je ponader umiarkowanych cenach. Są tam nadto dwa botaniczne ogrody: jeden nie opodal od miasta Łubny, drugi we wsi Tertach. W liczbie mnóstwa innych roślin posiadają one: Aconitum Napellus, Atropa Belladona, Capsicum annuum, Digitalis purpurea, Lactuca virosa, Matricaria Chamomilla, Mentha crispa, Mentha piperita, Papaver somniferum, i t. p.

To wyjątkowe bogactwo pod względem botanicznym, zawdzięcza powiat łubieński urozmaiconéj miejscowości, która posiada na niewielkiéj przestrzeni rozmaite pokłady ziemi, wyniosłości i bagna, doliny i ługi nad brzegami Suły i Udaju, a także stepy i lasy.

Roślinność pow. łubieńskiego rozgatunkował autor na 25 odrębnych i znaczniejszych familij, potém szczegółowie opisał roślinę każdą, dodając oparte na doświadczeniu postrzeżenia lekarskich własności lub sposobu używania ich przez pospólstwo do leków, nastojów, naléwek i innych potrzeb, i załączając do każdego naukowego nazwiska, ludowe, pod któremi znane są na Ukrainie. Jestto praca dokonana sumiennie i pożyteczna ze względu na jéj naukowo-praktyczny wykład.

Rektor uniwersytetu Trautfetter napisał niewielki artykuł pod tytułem: „*O roślinno-geograficznych okręgach Rossyi europejskiéj.*" Szczegółowiéj traktuje on ten przedmiot w dziele swojém: „*Die pflanzengeographischen Verhältnisse des Europeischen Russlands*"; wszakże są i tu ważne i pożyteczne postrzeżenia. Dzieli on Rossyą na cztéry roślinne obwody, a te znowu na 18 okręgów. *a*) Północna Rossya: pas bagien (tundrów) całkowicie bezleśny;

b) Zachodnia: pas europejskiéj jodły, leśny; *c*) Wchodnia: pas sybirskich, choinowych (iglastych gatunków; *d*) Południowa: pas drzew liściowych.

Kijowski naukowy obwód, według powyższéj klassyfikacyi autora, leży w granicach dwóch ostatnich obwodów i ma pięć roślinnych okręgów. Część północna gub. czernihowskiéj, północno-wschodnia wołyńskiéj i kąt północny kijowskiéj, gdzie przy sośnie i europejskiéj jedlinie rośnie grab pospolity, należy do okręgu pospolitego grabu; południowo-zachodnia część gub. wołyńskiéj, gdzie obok europejskiéj jedliny i sosny, rośnie buk, należy do okręgu buku; lecz wszystkie te miejscowości słuszna jest odnieść do obwodu Zachodniéj Rossyi, czyli pasa europejskiéj jodły.

Część południowa gub. czernihowskiéj i prawie cała połtawska, nie mają europejskiéj jodły, a z gatunku choinowych, posiadają li sosnę i przy niéj pospolitą leśną gruszę: więc należą do okręgu pospolitéj gruszy. Daléj: południowo-wschodnia część Wołynia i gub. kijowska i podolska, także nie posiadają europejskiéj jodły, lecz już tu się spotyka prócz sosny, pospolita leśna grusza i pospolita leśna czereśnia; ztąd formują one bezpośrednio okrąg, który autor zowie okręgiem czereśni. Nakoniec południowy pas gub. podolskiéj, kijowskiéj i połtawskiéj, pozbawiony jest lasów, a natomiast posiada odkryte, żyzne stepy, co mu nakazuje zaliczyć go do okręgu traw dolinowych. Wszystkie zaś wzięte razem, wchodzą do składu obwodu południowego, czyli pasa drzew liściowych. Do artykułu tego, dla tém jaśniejszego zrozumienia owych podziałów, dołączona jest mappka.

Drugą pracą Trautfettera jest „*Opisanie familij naturalnych, wchodzących do składu flory gubernij kijowskiego naukowego okręgu.*" Ponieważ botanicy dotąd nie mają stałych prawideł co do istotnego skreślenia roślinnych familij i ich rozgatunkowania autor więc trzymał się następnéj formuły:

Regnum Vegetabile
- Cormophyta
  - Phanerogamae
    - Embryonathae
      - Angiospermae
        - Cotyledoneae
          - Dicotyledones
          - Monocotyledones
        - Acotyledones
      - Gymnospermae
    - Athalamicae
  - Gymnosporae
- Tallophyta

Następnie opisał szczegółowie wyróżnienia charakterystyczne każdéj klassy i uporządkował je systematycznie. Nic nie powiemy za

ani przeciw wyłożonéj tu metody, która li botaników z professyi interesować może, i służy raczéj za normę dla prac przyszłych.

Nakoniec winniśmy wspomnieć tu, iż członek kommissyi Warzański, przygotowuje do druku: „*Opisanie flory gubernii połtawskiéj.*"

W zoologicznym wydziale, jak dotąd, jeden Kessler okazał się najczynniejszym współpracownikiem. Jeszcze w 1849 roku przedsięwziął on odbyć naukową wycieczkę do południowych okolicznych gubernij, w celu zebrania dokładnych wiadomości o swiszczach i susłach, nadzwyczaj rozrodzonych w stepowych okolicach, a także o kilku gatunkach ptaków południowego pasa Rossyi.

Podczas piérwszéj podróży przez zadnieprzańskie okolice, zwiedził on te ogromne stepy, które się rozciągają nad Orzelą w konstantynogrodzkim powiecie, i służą za główne siedlisko dla mnóstwa świszczów, susłów, chomików, skoczków nocnych, ślepców i t. p. W drugiéj podróży przejechał południowe powiaty gub. kijowskiéj i dni dziesięć bawił w bałckich stepach, leżących na wschodnim brzegu Dniestru, i znanych z mnóstwa drapieżnych ptaków, gnieżdżących się w skalistych brzegach rzeki.

O świszczach (Arctomys baibac Pall.) powiada, iż nie znalazł ich w tak wielkiéj ilości, jak o tém twierdzili podróżni dawniejsi. Zapewne wyniszczono je, jak i zwierzęta inne w miarę, zasiedlania się kraju. Utrzymuje, że nie masz ich wcale w gub. kijowskiéj, podolskiéj i czernihowskiéj; a w połtawskiéj widział je tylko w konstantynogrodzkim powiecie, wyłącznie w dwóch dolinach (bałkach) wszakże w znacznéj ilości.

W guberniach naszych znajdują się dwa rodzaje susłów, a nie jeden, jak powszechnie mniemano dotąd. Jeden z nich jest centkowany (Spermophilus guttatus Femm.), drugi szary (Spermophilus musicus Ménétr). Piérwszy znajduje się w południowych powiatach gub. kijowskiéj, podolskiéj i czernihowskiéj, a nawet w północnym pasie gub. połtawskiéj. Drugi, którego znajdowano przedtém wyłącznie na Kaukazie i w okolicach Rostowa nad Donem, jest dziś i w południowych powiatach gub. połtawskiéj. Obadwa te rodzaje znajdują się tam w ogromnéj ilości i zrządzają szkody w zbożu i basztanach; lecz gdzie mieszka jeden rodzaj, tam nie ma drugiego. Kessler notuje, iż lud nazywa ich nie susłami jak gdzieindziéj, lecz *owraszkami.*

Skoczki nocne znajdywał autor w chorolskim i konstantynogrodzkim pow. gub. połtaw.: są to zwierzątka nocne, a ztąd mniéj znane jak suśliki; nigdzie ich zresztą nie masz w takiéj ilości. Piérwsze (w chorol. pow.) odnosi autor do rodzaju *Dipus jaculus* Pall., drugie do r. *Dipus vexillarius* Eversm. Ten ostatni widziany był piérwéj wyłącznie na wyniosłych stepach między Kaspijskiém i Aralskiém morzem.

Prócz zwyczajnych chomików, znajdują się w gub. połtaw. czarne chomiki. Pallas i inni utrzymywali, że pochodzą one z wypadkowéj różnicy; Kessler zaś dowodzi, że są osobnym rodzajem.

W gub. czernihowskiéj znalazł Kessler małą mysz, *Mus betulinus* Pall. znajdowaną dotąd wyłącznie w Syberyi, któréj jedyny exemplarz posiada tylko muzeum petersburskiéj Akademii nauk.

W Humaniu, w podziemnym wodociągu słynnego tamecznego ogrodu, udało się mu złowić kilka niedoperzy z rodzaju *Vespertilio Daubentonii* Leisl. Raz tylko znajdowany był ten gatunek w Rossyi nad Dunajem, przez pr. Nordmanna.

Na Podolu, w pow. bałckim, znalazł Kessler kilka drapieżnych ptaków, należących do rodzajów najrzadszych południowych krain. Sęp szary (*Vultur fulvus* L.), sokół czerwony (*Falco cenehris* Naum.) i orzeł-karzełek (*Aquila pennata* Gmel.). Piérwsze dwa rodzaje gnieżdżą się na skałach Dniestrowych, a ostatni w pięknych dąbrowach znajdujących się w okolicach Bałty.

Na stepie bałckim znajduje się także sokoł-bałaban (*Falco lanarius* Pall.). Nikt go nie znajdował od czasów Pallasa i już myślano, że zaginął ten rodzaj. W lasach graniczących ze stepami gub. kijow. i podol. gnieździ się w znacznéj ilości muchołówka (*Mussicapa parva* Bechst.). Kessler miał możność zbadać wielorakie jéj odmiany względnie do płci i wzrostu, a także śledzić za sposobem jéj życia. Piękną tę ptaszynę, jak dotąd, widziano tylko bardzo rzadko w południowych Niemczech i Węgrzech, a także w odesskim botanicznym ogrodzie; ztąd nie miano żadnych dokładnych o niéj wiadomości.

Było powszechném mniemaniem zoologów, iż opisany przez pr. Nordmanna piaskownik czarno-skrzydły (*Glareola melanoptera*) znajduje się wyłącznie w stepach opasujących Kaspijskie i Czarne morza; tymczasem Kessler przekonał się, iż ptak ten bystrolotny nietylko że się gnieździ w wielkiéj ilości w gub. połtawskiéj, lecz znajduje się także w konotopskim powiecie, (gub. czernih.) i w białocerkiewskich stepach, gub. kijowskiéj.

Na szerokiéj, piaszczystéj dolinie rzeki Worskli, nieopodal Połtawy, Kessler znalazł rozrodzoną obficie jaszczurkę różno-kolorową (*Eremias variabilis* Pall.) Piękny ten płaz widziany był przez Nordmanna li przy kaspijskim stepie. Później znajdowano go w Krymie i na Podolu; ale nie wiedziano wcale, żeby mógł być tak posuniętym ku północy.

Kesslerowi udało się także zbadać w szczegółach sposób życia i wewnętrzną organizacyą naszéj tarantuli (*Lycosa songarensis* Laxm.) Tak np. przekonał się on, że pająk ten znajduje się nawet w Konotopie, a więc pod $51\frac{1}{2}^0$ północnéj szerokości; że jak hiszpański, bywa ścigany od pewnego dużego owadu z rodzaju *Calicurgus*, który ukąszeniem swém wprawia go w odrętwienie i potém zakopuje w ziemię, złożywszy uprzednio jaja swe pod skórę jego; że przy otworze nory robi stopień, na który chroni się, w razie zalania jéj wodą. Kessler pisze zupełną monografią tego pająka, i urywek z niéj już był drukowany w *Bulletin de la Société de naturalistes de Moscou*, 1849.

Gabinet zoologiczny przy uniwersytecie kijowskim pozyskał od Kesslera 23 exempl. zwierząt ssących, około 40 ptaków, wyborne exemplarze jaszczurek wszelkiego rodzaju, dwóch czarnych żmij (*Vipera prester Pall.*), znaczną ilość owadów, pająków i wszystkie rodzaje suślików, chomików, świszczów i t. p.

W liczbie przywiezionych tysiąconogów, znajduje się kilka podolskich exemplarzy téj jadowitéj czterdziestonóżki (*Scolopendra cingulata* Brandt), która w południowéj Europie zwykle daje się postrzegać w tych miejscach, gdzie i niedźwiadki.

Oprócz powyżéj wymienionych poszukiwań, Kessler opisał w czterech odrębnych artykułach, już wydrukowanych w piérwszym i drugim tomie *Prac kommissyi, płazy i ptaki* kijowskiego naukowego okręgu. W piérwszym pod tytułem: *Płazy* powiada, iż w okolicach naszych znajdują się prawie wszystkie rodzaje płazów, właściwych północnéj i umiarkowanéj strefie Europy; a nadto kilka należących już do południowéj strefy Europy i graniczącéj z nią Azyi.

Przeświadczamy się z tego opisu, iż wszystkie rodzaje płazów, właściwe naszym stronom nietylko iż nie są jadowite, wyjąwszy żmii, lecz w większéj części pożyteczne, jako wyniszczające szkodliwe owady. Pomimo tego, nie umiejąc je rozróżniać, boją się ich w ogólności, jak np. węża gładkiego i żmiję biorąc za jedno, liczą zarówno jadowitemi. Autor rozdziela opisywane przez się płazy na cztery oddziały: żółwie, jaszczurki, gady i żaby. Weszło do opisów w ogóle rodzajów 16 i odmian 25. Opisy są dokonane z najdrobniejszemi szczegółami.

Drugi artykuł zawiera opisanie *ptaków drapieżnych* i *należących do rzędu kurzego;* trzeci *o ptakach rzędu wróblowatego.* Ptaków drap. opisano rodz. 38, kur. 8., rzęd. wróbl. z podziałami. w ogóle rodz. 122. Czwarty nakoniec: *O ptakach błotnych i pływających,* (szczudlatych i płetwonogich). Piérwszych znajduje się w opisie rodz. 24, odmian 52; drugich rodz. 11, odm. 46.

Widzimy, że w oddziale zoologicznym najczynniejszym i jedynym pracownikiem był Kessler. Prace jego mają tém większą zasługę ze względu na jasność i szczegółowość wykładu. Ważny to przyczynek do historyi naturalnéj naszego kraju. Teraz zajmuje się on badaniem peryodycznych przelotów ptastwa, i już ciekawe zebrał w tym przedmiocie wiadomości od Belkiego z Kamieńca Podolskiego, Regulskiego z Nowéj Uszycy, Krzyżanowskiego z Milatyna, Michałowskiego z Kucharów (radom. pow.), Waszańskiego z Połtawy, Augustynowicza z Łubnów, Iliaszenka z Perejasławia i Taraczkowa z Orła.

Wypada nam jeszcze zanotować tutaj pracę z oddziału geografii matematycznéj, dokonaną według planu nakreślonego uprzednio przez prof. Fiodorowa. Studenci (dziś kandydaci) kijowskiego uniwersytetu: Pilipenko i Nite, wysłani zostali dla oznaczenia geograficznego położenia następnych punktów gub.

kijowskiéj: Białéj-cerkwi, Czerkas, Czehryna, Kaniowa i Korsunia. Astronom uniwersyteckiego obserwatoryum Połuchtowicz oznaczył je na Wołyniu: we Włodzimierzu, Radziwiłowie i Zwiahlu, a student Łapicki (dziś kandydat) miał podobne polecenie do oznaczenia geograficznego położenia na punktach: Złotopola, Zwinogrodka i Humania.

Geograficzną szerokość wszystkich tych punktów stosowano wyłącznie do wymiarów zenitowych odległości gwiazdy biegunowéj a *Ursae minoris*, posługując się teodolitem astronomicznym Ertel'a. Długość geograficzną oznaczano w części za pomocą dwóch chronometrów, w części postrzeżeniami nad południkiem podczas przechodu księżyca i gwiazd przyległych. Czas oznaczano na każdym punkcie wyłącznie postrzeżeniami nad gwiazdami stałemi w chwilę przejścia ich przez południk, za pomocą przenośnego astronomicznego narzędzia, wyrobu Ertel'a; w części zaś wymierzano go wedle stosunkowéj wysokości słońca za pomocą teodolitu.

Otrzymano ztąd następną summę wypadków geograficznéj szerokości, wziętych odrębnie dla każdego punktu: dla Białéj-cerkwi 6, Czerkas 12, Czehryna 14, Kaniowa 12, Korsunia 8, Złotopola 6, Zwinogródka 2, Humania 10, Włodzimierza (Wołyń) 7, Radziwiłowa 8, Zwiahla 2.

Szczegółowe sprawozdanie o téj pracy ma dać pr. Fiodorow do jednego z następnych tomów prac naukowych kommissyi. Wszakże wspomnieć tu musim, iż tè tylko kulminacye księżycowe weszły tu do postrzeżeń, którym odpowiedne są w obserwatoryum kijowskiém. Przeniesienie zaś czasu z Włodzimierza do Zwiahla, a ztamtąd do Kijowa, uskuteczniono podczas najgorszéj zimowéj drogi, na prostym, trzęsącym wózku.

Nakoniec dajemy tu miejsce kilku uwagom nad artykułem Wołoszyńskiego treści numizmatycznéj: *O monetach wykopanych nie opodal od Niežyna 1852 r.* Znaleziono je właściwie między wsią Magierki i futorem Bobrykiem, w liczbie sztuk do 200, wszystkie srebrne, a umieszczone były w glinianém naczyniu mającém formę naszego garnka. Kilkadziesiąt sztuk potrafiono ocalić od zatracenia, i dziś weszły one do ogólnego zbioru numizmatów uniwersytetu kijowskiego, który, jak wiadomo, posiada bogatą kollekcyą tego rodzaju.

Polegając na różnicy stępla i napisów, rozdzielono je na pięć rodzajów i badano każdy jak najdokładniéj. Wiadomo, iż archeologowie rossyjscy nie odkryli dotąd żadnych śladów o biciu monety przed XIVtym wiekiem; i że wszystkie znajdowane pieniądze z tamtéj epoki, uważali raczéj za monetę tych słowiańskich południowych plemion, które zostawały w najbliższych stosunkach z Bizantyjskiém państwem. Przypuszczenia te gmatwały się najbardziéj imionami własnemi panujących książąt, z których: Włodzimierze, Jarosławy i Świętosławy, byli zarówno na dzielnicach Rusi jak i w zadunajskim kraju. Wołoszyński usiłuje

dowieść, iż znalezione w okolicy Nieżyna monety, prawdopodobniéj należy nazwać ruskiemi niż słowiańskiemi; a wspiera swe dowodzenia miejscem ich wykopania i różnicą co do objętości i formy, odmiennych od wiadomych bizantyjskich exemplarzy. Kwestya pozostała nierozstrzygniętą ostatecznie, i sam autor nie daje jéj jako pewnik; wszakże zdanie to rzuca nowe światło na kilka wątpliwości archeologicznych, które w późniejszym czasie rozjaśnione być mogą. Do artykułu dołączone są wizerunki tych monet, ze szczegółowém opisaniem każdéj.

Kończąc nasz artykuł, wyszczególniamy niektóre celniejsze przedmioty, złożone w darze bibliotece kommissyi:

Rossyjskie geograficzne towarzystwo nadesłało nową mappę Aralskiego morza i Chiwy, zrobioną przez Chanykowa; Arendarenko dał plan fortecy w Perejasławiu, zdjęty 1846 r.; plan starożytnéj twierdzy w powiecie zińkowskim, plan starożytnéj twierdzy w Glińsku, plan szwedzkich okopów przy m. Perewołoczne, plan starożytnéj twierdzy w Bielsku, mappę główniejszych rzek i jarów w gub. połtawskiéj i mappę etnograficzną téjże gubernii. Roskoszenko ofiarował książkę pod tytułem: *Antonii Possevini Societatis Jesu Moscovia. Wilna, 1587 r.* i t. p.

Oto jest wyszczególnienie prac naukowych kommissyi kijowskiéj. Daruje nam czytelnik, jeśli zatrzymaliśmy uwagę jego cokolwiek dłużéj na przedmiotach ściśle naukowéj treści: lecz zrobiliśmy to z wyrachowania. Sześć lat trwa już owo stowarzyszenie, ma tak rozgałęzione stosunki, tyle wiadomych imion polskich, nie obcych nawet piśmiennictwu naszemu, wchodzą do składu jego; tyle już różnorodnych prac rozpoczęto o kraju, który interesować nas powinien i musi, bo z nim wiąże się cała historyczna przeszłość Polski, na nim wzeszły najpiękniejsze kwiaty poezyi naszéj: a któż chciał poświęcić chwil kilka, ażeby donieść wam o tém wszystkiém? A jeśli wiadomostka pobieżna ma się udzielać tak trudno, cóż już myśléć o przyswojeniu literaturze naszéj jakich wyjątków z owéj pracy? Bartoszewicz, Malinowski, Wojcicki i inni, chwytają co mogą, o czém gdzieś zasłyszą że się robi, a ma stosunek do nas, i wiadomości te ogłaszają w gazetach; ale nikt z indexu nie chce dojść do zródła i wszystko kończy się na wzmiance.

Nie chcieliśmy więc, ażeby i w obecném zdarzeniu skończyło się na wzmiance. Daliśmy sprawozdanie ile można szczegółowe, z któregoby czytelnik mógł zrozumiéć znaczenie tych prac, i aby może ktoś zachęcił się do przekładu artykułów obchodzących nas bliżéj (1). *Tadeusz Padalica.*

(1) Ktoby życzył nabyć wyżej opisane dwa tomy prac naukowych, może się zgłosić do kommisanta Pawła Dołżykowa w Kijowie, nadsyłając za tom piérwszy rsr. 4 kop. 80, a za drugi rsr. 4; lub do księgarni Józefa Zawadzkiego, tamże.

Przegląd muzykalny.

Koncerta amatorskie. — Mozart i jego Don Juan. — Słówko o ogólnéj u nas dążności muzykalnéj. — Historya o jednym fortepianie Erarda. — Koncerta pp. Prüme, Albano, Haumana, Thalgrüna, panny Ortolani. — Muzyka kościelna w Wielkim Tygodniu. — Lubowski i Brzowski.

Najobfitszą w wypadki mogące zajmować miłośnika muzyki u nas, jest epoka czasu zawarta pomiędzy Nowym Rokiem a Wielkanocą. W niéjto co rocznie mają miejsce amatorskie koncerta, dawane zwykle w celu dobroczynnym. Amatorowie muzyki chętnie w nich udział biorą, bo wiedzą dobrze, że ofiara ich talentów mile przez ogół przyjętą, i za zasługę w sprawie ulżenia cierpiącéj ludzkości policzoną im będzie. Warszawa pod tym względem słusznie za wzór dla reszty kraju służyć może, gdyż nie było przykładu, by jakiekolwiek usiłowanie podjęte w chęci przyniesienia ulgi ubótswu, nie osiągnęło pożądanego skutku.

W żadném może inném mieście jak w Warszawie, mieszkańcy nie znajdują się w tak ciągłéj styczności ze sprawami dobrego dla bliźnich uczynku; więc że są tak liczne i stałe, należą do głównych cech charakteryzujących nasze społeczeństwo, a nawet wszczepiły się głęboko w obyczaje naszego miasta. Teatra, bale, loterye fantowe i t. d. hojnym groszem zasilają każdego roku te szlachetne przedsięwzięcia, które uświęcone zwyczajem, stają się pomnikami wiary chrześciańskiéj, ugruntowanemi na podstawie współczucia i miłości dla bliźnich, a biorących początek w świętém źródle prawd ewangelicznych.

Wiadome są fundusze wpływające do kass licznych instytucyj dobroczynnych. Ztądto zapewne pochodzi, że pomimo upodobania do muzyki, jakiém się nasi mieszkańcy odznaczają, koncerta dawane przez najznakomitszych nieraz artystów małą niekiedy liczbę słuchaczy miewają; gdy te, co przez rodzime, amatorskie tylko talenta, lecz w celu dobroczynnym są urządzone, tłumy publiczności zawsze sprowadzają. Nie było przykładu, by który się nie powiódł, czyto dla braku członków udział w nim biorących, czy dla braku słuchaczy; a koncert dawany zwykle w poście przez Resursę Kupiecką, należy do świetniejszych, ważniejszych w kronice miasta naszego wypadków, i w dziedzinie muzyki wywiera wielki wpływ na podniecenie ruchu tutejszego świata muzykalnego.

Nie mamy potrzeby rozwodzić się nad zasługą, jaka spływa na tych, którzy talentami swemi przychodzą w pomoc tym pięknym przedsięwzięciom. Ofiara, jaką z siebie czynią, jest niezawodnie przez wszystkich należycie ocenioną; więc w niniejszym przeglądzie pozostaje nam tylko imiona ich przekazać powszechnéj pamięci, jako jedyną nagrodę ich trudów, i załączyć szczere

życzenie, by znalazły w przyszłości godnych chwalebnego czynu naśladowników.

Koncert w Resursie Kupieckiéj wykonanym został dnia 27 lutego b. r.; zaraz po nim, bo 8 marca, w domu hr. Augusta Potockiego danym był drugi, wraz z loteryą fantową i obrazami z żywych osób na dochód zakładów starców i kalek. Ponieważ osoby, które w obu tych koncertach udział brały, z małemi tylko wyjątkami były prawie te same: zatém uznaliśmy za rzecz najwłaściwszą podciągnąć je pod jedno sprawozdanie.

We wszystkich tego rodzaju koncertach, część muzyki wokalnéj znacznie przemaga instrumentalną. Naprzód w ogólności, pomiędzy kobietami nie zbywa nam na pięknych głosach, a ukształcenie śpiewających mniéj wymaga czasu i pracy: a potém, jakeśmy to już poprzednio wykazali (1), od lat wielu istniejące w niektórych kościołach chóry z samych prawie amatorów złożone, ułatwiają wielce wszystkie podobne przedsięwzięcia.

Pomiędzy amatorkami muzyki naszego miasta, pani Reszke posiada najwięcéj rozgłosu, i nie bez słuszności: głos jéj piękny i silny lubo niezbyt obszerny, mechanizm znacznie wyrobiony, sposób jego użycia pełen smaku, kształcony widocznie na wzorach włoskiéj szkoły: jedném słowem metoda tak wyborna, że dla niejednéj śpiewaczki byłaby już rękojmią świetnego artystycznego powodzenia. To też odśpiewanie aryi z Freischütza, tego genialnego utworu znakomitego niemieckiego kompozytora, i Barkaroli z chórem z opery *Etoile du Nord* Mejerbeera na koncercie w Resursie, nic do życzenia nie pozostawia, a budzi tylko w nas żal, że tak rzadko szanowna amatorka obdarza licznych wielbicieli swego talentu podobnie szczęśliwie dokonanym wyborem dzieł przez siebie wykonanych: bo *cavatina* Mercadantego, zdaje mi się z opery *Eleonora*, chociaż dobrze wykonana na koncercie w domu hr. Potockich, nie mogła w zupełności zadowolnić tych, co mieli przyjemność słyszéć panią Reszkę śpiewającą w Resursie. Już te ciągłe cavatiny, canzonetty, cabaletty i t. d. przestały oddawna być rzadkością dla naszych słuchaczy; zresztą są one polem popisu dla wszystkich początkowych śpiewaczek, od takiéj zaś znakomitéj amatorki, jak pani Reszke, wolno nam się czegoś innego, bogatszego w treść muzyczną spodziewać: tém więcéj, że sama wyborem w Resursowym koncercie uczynionym, do tego wymagania nas upoważniła.

Wprawdzie pani R. miała zamiar wykonać aryą Thomasa z opery *Le songe d'une nuit d'été*, lecz podobno fortepian przeznaczony do akkompaniamentu był tak nizko strojny, że trzeba było inny wybór uczynić. Wykonanie mazurka Nowakowskiego: *Ach! tyś spóźnił się!* jest tutaj wyjątkiem: bo chociaż to

(1) Biblioteka Warszawska za miesiąc luty 1856 r.

kompozycya mała, ale tak piękna i tak zawsze dla nas miła, gdyż uszczknięta na ojczystéj niwie, że wśród najpoważniejszych obcych utworów wdzięczną się nam wydać musi. W każdym razie, najmocniéj przepraszamy zacną amatorkę za powyższe uwagi; wiemy bowiem dobrze, iż gdy mowa o koncertach na ubogich, nie służy nam prawo narzucania zdań lub sądzenia krytycznego osób w nich udział biorących: lecz jedynie powodowani uznaniem niepospolitego jéj talentu, i szczerém pragnieniem postępu ogólnego sztuki muzycznéj u nas, ośmieliliśmy się takowe uczynić.

Żaden koncert amatorski nie obejdzie się bez uczestnictwa panny Cichorskiéj. Piękny jéj głos contr-altowy, tak rzadki w ogólności, kształconym był przez Dobrskiego u nas, a Lambertego w Medyolanie. Rady i uwagi takich nauczycieli musiały zbawiennie wpływać na wydoskonalenie organu, dlatego i znawcy nawet słusznie podziwiają wyborne prowadzenie głosu, deklamacyą i sumienne wykonanie każdego ustępu, odśpiewanego przez tę utalentowaną amatorkę. Oprócz sekstettu Mozarta w którym panna C. udział wzięła w Resursie (o czém będzie niżéj), na koncercie u hr. Potockich wykonała romans Belliniego z towarzyszeniem wiolonczelli, pod tytułem: *Sorgi o Padre.*

Panna Idźkowska posiada głos sopranowy miły i nadzwyczajnie czystego dźwięku. Z prawdziwą przyjemnością słuchano ustępów przez tę amatorkę wykonanych, a było ich trzy; w piérwszym czyli Resursowym koncercie: sekstet z *Poliuto* Donizettego, *Die Thraene*, *Kueckena* i *Angelo mio* Marianiego; a w drugim dwa, czyli arya z opery *Genoveffa del Brabante* Pedrotti, i część solowa w finale z *Westalki* Mercadantego. Pragnęlibyśmy tylko, by panna Idź. częściéj nam się w podobnych koncertach słyszeć dawała, gdyż taki głos mile słuchanym zawsze będzie.

Do osób po raz piérwszy przed publicznością naszą występujących, najprzód policzyć należy panią hr. Maurycową Potocką. Opinia krążąca w kółkach muzykalnych pochlebną była dla téj amatorki, a wykonaniem aryi z opery *Vepres Siciliennes* Verdego w Resursie, tudzież duettu Alarego *Giulio* z panem Negronim, i aryi z chórem z *Przysięgi*, najlepszéj opery Mercadantego, pani Potocka dowiodła, że w zupełności na takową zasługuje. Głos *mezzo-sopranowy* bardzo przyjemny, dosyć wyrobiony; sposób zaś wykonania, nawet wiele wymagających w tym względzie, dostatecznie zadowolnił.

Wystąpienie księżniczki Janiny Czetwertyńskiéj na koncercie u hr. Potockich, słusznie było interesującém dla niektórych słuchaczy; Kuryer bowiem warszawski donosił kilka razy o nadzwyczajnym talencie téj amatorki, która już w kościele Pijarskim kilka razy słyszeć się dała, a mianowicie w modlitwie Stradelli. Księżniczka odśpiewała z p. Negronim duet

buffo z opery Donizettego, *Borgomastro*. Rodzaj ten rzadko u nas w podobnych zdarzeniach słyszany, nie wymaga głosu wielkiego, ale za to znacznéj wprawy w wymawianiu języka włoskiego, pewności intonacyi, swobody w frazowaniu. Wybornym wzorem śpiewaka *buffo* był u nas przed dwoma laty Zuchini, a i p. Negroniemu potrzeba oddać sprawiedliwość, że oswojony jest z tym rodzajem śpiewu należycie, i umié go nauczyć: czego mieliśmy dowód w powyższym duecie, wcale dobrze wykonanym. Przystępując teraz do ocenienia dwóch sekstettów wykonanych w Resursie, przyznać potrzeba, że osoby, które się ich odśpiewania podjęły, w sposób bardzo zadowalniający z tego się wywiązały. Pierwszy z *Peliuto* (panna Żylińska, pp. de Fryze, T. Zachorowski, Szymański, Einert, i Rożniecki) nie przedstawiał zbyt wiele trudności: styl bowiem jego nadto przystępny i łatwy do wykonania, dla osób posiadających wiele wprawy do zbiorowéj muzyki; za to drugi z Don Juana, Mozarta, zasługuje na bliższą rozwagę.

Żaden z kompozytorów nie jest w stanie wyrazić w muzyce z taką dokładnością najdelikatniejsze odcienia charakterów, uczuć i namiętności, nie szkodząc zarazem ogólnéj całości w trudnych nieraz szczególach obrazowania dramatycznego, jak Mozart. Jego Don Juan pozostanie na zawsze niezrównaném pod tym względem arcydziełem, i w najpóźniejsze czasy jedynym w doskonałości modelem, Dzieje muzyki nie przedstawiają nam doskonalszéj organizcyi muzycznéj nad Mozarta. Bogactwo i piękność pomysłów, ogromna wiedza i swobodne władanie wszystkiemi jéj tajnikami, były przyczyną, że każda chwila jego natchnienia nie będąc krępowaną trudnościami technicznemi, stwarzała arcydzieła w różnych rodzajach muzyki; a że w poetycznéj duszy swojéj posiadał niesłychane zasoby uczuć, ztąd w muzyce dramatycznéj, któréj jest zadaniem jak najwierniéj takowe malować, geniusz Mozarta jest najszczytniejszym.

Mozart mając lat czternaście, napisał w r. 1770 dla teatru *la Scala* w Medyolanie operę, pod tytułem *Mitridate re di Ponte*, i tamże była wystawioną doznawszy znacznego powodzenia. W trzy lata później dano drugą jego operę *Lucio Silla*, lecz te dwie opery utopione w powodzi licznych naówczas miejscowych kompozytorów, nie zwróciły na siebie wielkiéj uwagi, i na tém się tylko ograniczyło powodzenie, jakiego we Włoszech, w kraju najwięcéj muzykalnie wykształconym, doznał.

Około 1807 roku, kilku panów włoskich, których Napoleon ciągnął za sobą w kampaniach 1805 i 1806 r., słysząc w Mnichowie wiele dzieł Mozarta, zapragnęli, by ich ziomkowie takowe poznali; i w skutekto ich starania, postanowiono wystawić *Porwanie seraju*. Jednakże nie było to rzeczą tak łatwą jak się zrazu zdawało: bo chcąc wykonać taką operę, potrzeba, ażeby grający umieli dobrze czytać nuty, a przedewszystkiém, by w takt grać umieli. Nie byłato bowiem muzyka łatwo w ucho

wpadająca, którąby raz lub dwa razy posłyszawszy, napamięć już wszyscy umieli. Śpiewacy i orkiestra nie mogli sobie dać rady w tym oceanie nut, czerniących partyturę niemieckiego kompozytora; nie umiano ani wejść na czas w miejscu oznaczoném, ani taktu właściwego utrzymać. Przyzwyczajenie i lenistwo nie mogąc przełamać dawnéj rutyny, ani pokonać niezwyklych trudności w téj operze zawartych, wzięło górę, i okrzyczano muzykę Mozarta jako *barbarzyńską!* I byliby ją zarzucili zupełnie, gdyby nie kilku młodych, bogatych i z pewném znaczeniem ludzi, którzy powodowani uczuciem pychy narodowéj, znajdowali, iż byłoby ubliżającém dla Włochów rzucać dlatego tylko muzykę, że się jéj nie jest w stanie wykonać, jako zbyt trudnéj. Zagrozili przytém antreprenerowi, że mu odejmą protekcyą, jeżeli w mowie będącéj opery nie wystawi. Nareszcie wykonano dzieło Mozarta. Biedny Mozart! niepodobna sobie wyobrazić, co się działo na tém przedstawieniu. Wszystkie większe ustępy, a nadewszystko finały w takim nieładzie, rozprzężeniu i niezgodzie były oddane, iż zdawało się, że całe piekło sprzysięgło się na uszy słuchaczów. Oburzenie publiczne było tak wielkie, prasa tak gwałtownie wystąpiła przeciwko nieszczęśliwemu Mozartowi, że imię jego stało się postrachem dla amatorów spokojnéj, lekkiéj a słodkiéj muzyki Paisiela, Zingarelli, Fioravanti, Sacchini i t. d. Więc o wystawieniu Don Juana i myśléć nawet nie można było, a ktoby się z tém odezwał, za źle myślącego Włocha byłby niezawodnie okrzyknięty!

Jednakże pewien magnat lombardzki odbierając wówczas bardzo często listy z Wiednia, w których pisywano o Mozarcie, jako o największym kompozytorze na świecie, postanowił koniecznie położyć tamę przesądom i uprzedzeniom tak silnie rozwiniętym względem twórcy Don Juana. W tym celu dobrał kilku najlepszych wirtuozów, jakich mógł znaleźć w Medyolanie, zamknął ich w swym pałacu, a otoczywszy dostatkami i przepychem, kazał im pracować w nadzwyczajnym sekrecie nad ważniejszemi ustępami Don Juana. Gdy w przeciągu sześciu miesięcy byli w stanie wygrać takowe w takcie i bez zmyłki, dobrał stosowną liczbę śpiewaków i śpiewaczek, zaleciwszy im również jak największą tajemnicę. W ośm tygodni dzieło było gotowe i sam ów amator począł w mieście wspominać o możności wykonania Don Juana, i że on tego tak trudnego przedsięwzięcia podejmuje się dokonać. Całe miasto z niedowierzaniem o téj excentryczności bogatego melomana mówić zaczęło. On sam wyzywał na zakłady, utrzymując, że każe odegrać ważniejsze miejsca Don Juana, i że spuści się na sąd znanych powszechnie ludzi, zdolnych w podobnéj rzeczy wyrokować: a pewnym jest naprzód, że oddadzą sprawiedliwość Mozartowi, który tyle przynajmniéj wart, co Mayer i Paer, wzięci bardzo w tamtych czasach kompozytorowie niemieccy we Włoszech. *Umierano ze śmiechu* słysząc tak zuchwałe twierdzenia. Nare-

szcie nadeszła chwila przez wszystkich z największą niecierpliwością oczekiwana, i w mieszkaniu wiejskiém bogatego amatora, z niesłychaném powodzeniem wykonanie nastąpiło. Zdarzenie to stało się głośném w całych Włoszech, i zaraz w Rzymie około 1811 roku przedstawiono Don Juana. Prawda, że z orkiestrą długi czas rady sobie dać nie można było, lecz jakoś pomału wprawiono się w egzekucyą. Później w 1814 w teatrze *la Scala* taż opera z zapałem była przyjętą, i od tego czasu, Mozart przestał być dla Włochów *barbarzyńcą*. Chociaż utwory tego genialnego kompozytora nie wzbudzały tamże nigdy takiego entuzyazmu, ani nie stały się tak popularnemi, jak niektóre Rossyniego, Donizettego a nawet i Verdego, podziśdzień atoli imię Mozarta we Włoszech szanowane jest powszechnie.

U nas, Don Juan nigdy także nie wywoływał wielkiego zapału w publiczności; ogół uznaje geniusz Mozarta, wierząc bliżéj wtajemniczonym w jego nieśmiertelne dzieła; lecz przecie nasi amatorowie kiedyniekiedy wykonywając pomiędzy sobą niektóre ustępy z Don Juana, oswoili się z tą kompozycyą, a na koncercie w Resursie odśpiewali sekstet z drugiego aktu, słusznie za arcy-dzieło w swym rodzaju uważany.

Leporello przebrany w suknie swego pana, wchodzi do domu donny Elwiry, która go przyjmuje w swe objęcia, sądząc, że to jéj małżonek. Podczas gdy Leporello szuka drzwi, by się mógł wymknąć przed grożącém mu niebezpieczeństwem, wchodzi donna Anna, don Ottawio, Zerlina i Masetto: wszyscy rozgniewani na Don Juana; i w chwili gdy się chcą pomścić na sprawcy wszystkich nieszczęść swoich, Leporello się odkrywa i kim jest wyznaje... Okrzyk zadziwienia wyrażony cudowną modulacyą, grupuje rozpierzchłe głosy, i po nim idzie prześliczny ustęp, pełen uczonéj kombinacyi głosów. By wyrazić czułość Elwiry, głęboki smutek Anny, tkliwość zbolałego serca don Ottawio i Zerliny, wściekłość Masetta i tchórzostwo Leporella, tak różnych w odcienia uczuciowe; wyrazić powtarzam z taką nadzwyczajną dokładnością, tylko takiemu mistrzowi jest dane. Wykonanie tego sekstettu, należącego do większych i trudniejszych numerów w Don Juanie, było staranne, pod względem czystości intonacyi bardzo dobre, a najważniejsza, że to, co niegdyś najbieglejszemu w muzyce narodowi było prawie niedostępne do wykonania, nasi utalentowani amatorowie, tojest, panny Cichorska, Idźkowska, Żylińska, tudzież panowie de Fryze, Izbiński i Rożniecki, jednę tylko probę zrobiwszy, wykonali i wywiązali się z zadania w sposób nadzwyczaj dla nich zaszczytny.

Więc, jak widzimy, muzyka wokalna, która zawsze większą część naszych koncertów amatorskich stanowi, godnie była reprezentowaną; wprawdzie niewiele nowych rzeczy w programach się znajdowało, i niewiele nowych talentów przed publicznością się ukazało, ale za to muzyka instrumentalna pod tym

ostatnim względem była ciekawszą. Oprócz fortepianu, słyszeliśmy skrzypce i wiolonczellę, najpiękniejsze, najtrudniejsze i najrzadzéj dające się słyszéć na amatorskich koncertach instrumenta.

Panny Halpert i Młodecka należały w domu hr. Potockich do wybornego odegrania uwertury z Oberona na dwa fortepiany, wraz z panami Noch i Peschke (1). Następnie w drugiéj części tegoż koncertu, panna Młodecka odegrała z niepospolitą wprawą fantazyą Thalberga z Hugonottów. Tamże młody amator p. Jaworski, uczeń p. Hornziel'a członka orkiestry Teatru Wielkiego, po raz piérwszy wykonał na skrzypcach waryacye Beriota. Dobra szkoła, czysta intonacya, są to zalety, ktore wiele na przyszłość rokują. To samo można powiedzieć o Marcellim Le Brun uczniu p. Hermana, z tą tylko różnicą, że młodziutki ten amator, jedénaście lat mający, stosunkowo nad wiek swój więcéj posiada mechanizmu na wiolonczell jako tego spodziewaćby się wypadało. Odegrał on barkarollę z towarzyszeniem fortepianu kompozycyi Lee. Przyjęcie jakiego doznał było nagrodą za pracę, i powinno wzmocnić go jeszcze w zamiłowaniu do muzyki. Najwięcéj zajęcia wzbudziło wystąpienie pana Kleczyńskiego. Fortepian lubo znanym jest powszechnie i oddawna żaden amatorski koncert bez niego obejść się nie może, lecz że na programie w Resursie czytano, iż pan K. wykona Adagio i Allegro z koncertu F. *minor*, utwor znakomitego ziomka Chopina, ciekawość była powszechną. I w istocie, gra tego utalentowanego amatora należy do rzędu wyższéj egzekucyi.

Adagio czyli larghetto było tak pięknie odegrane, każdy frazes w recitatiwach tak dobrze wypowiedziany, tudzież taka miękkość w legatach, bez których nie ma dobrego wykonania w kompozycyach Chopina, a przedewszystkiém passaże szczególniéj w Allegro, którego, mówiąc nawiasem, tempo było cokolwiek zażywe, jasne i zrozumiałe: że z prawdziwą przyjemnością słuchano p. Kleczyńskiego, a niemałą ma w tém zasługę p. Krzyżanowski, bo taki uczeń będąc wiernem odbiciem pojęcia i wiedzy nauczyciela, prawdziwy zaszczyt mu przynosi.

Tylko co wymienieni młodzi amatorowie, piérwsze swe kroki w świecie muzykalnym, piérwsze swéj pracy owoce, złożyli na ołtarzu cierpiącéj ludzkości. Dobra to wróżba dla nich samych: ofiara taka miłą jest Bogu i ludziom; sądzę nawet, że pomimo dowodów współczucia i zachęty, poklaskiem słuchaczy okazanych, w sercu swojém znajdą dostateczne wynagrodzenie z chwalebnie spełnionego uczynku. Nam zaś miło jest notować tak widoczny u nas postęp w muzyce instrumentalnéj. Od

(1) Pan Noch, staranném urządzeniem i dyrygowaniem koncertu Resursowego, zyskał sobie niemałą zasługę; również jako i p. Peschke, przewodniczący muzyce u hr. Potockich.

dawnego czasu, oprócz śpiewów i fortepianu, nie słyszano na koncertach amatorskich innéj muzyki; dzisiaj, jak tego mamy świeże dowody, pojawiają się skrzypce i wiolonczella: a zatém kółko zwykłych popisów zaczyna się rozszerzać. Upodobanie i chęć kształcenia się na tych narzędziach wzrasta, i śmiało patrzymy w przyszłość dziejów muzyki amatorskiéj, bo zaprawdę nie zbraknie jéj żywiołów do egzystencyi: a ponieważ celem jéj zwykle jest niesienie pomocy biédnym i cierpiącym, podwójnie więc z tego się cieszymy.

A teraz niech nam wolno będzie poczynić niektóre uwagi tyczące się muzyki w ogólności.

Już w rozbiorze Doręcznika muzycznego mówiliśmy o potrzebie staranniejszego kształcenia się w muzyce. Zdaje mi się, iż dzisiaj dostatecznie wszyscy pojmują, że muzyka nie jest prostą tylko zabawką, że ma ona cel wyższy. Jako jedna z sztuk za pośrednictwem tonów do duszy naszéj przemawiająca, jako jedyny język łączący duszę naszę z światem nadzmysłowym, zasługuje na bliższe, godniejsze poznanie: a do tego przyjść tylko możemy, wnikając za pomocą nauki w jéj zasady, prawa, znaczenie, bo im daléj posuwać się będziemy na drodze doskonalszego kształcenia, tém silniéj wzmagać się w nas musi pragnienie poznania tajników uroczéj dziedziny sztuki. Więc dopóki muzyka różnostronniéj uprawianą nie będzie, trudno zaiste wymagać postępu. Wszędzie tylko słyszymy fortepian, wszyscy na nim grać pragną, jak gdyby nie było innych, również wdzięcznych, a nawet piękniejszych nad niego instrumentów. Słusznie płeć piękna jego sobie upodobała i jemu się poświęca, bo jest łatwiejszym od wielu innych narzędzi muzycznych, sam w sobie zupełniejszy, i dla skromnéj niewiasty, któréj świat cały jest niejako w szczupłym kółku ścian domowych zawarty—najwłaściwszy. Lecz zdaniem mojém, mężczyzni, silniejsi i wytrwalsi fizycznie, przeznaczeni do obszerniejszego działania i wpływu na rzeczy tyczące się sztuki i umiejętności, powinniby innemi drogami zmierzać do zaspokajania i dogadzania skłonnościom muzycznym. Za granicą łatwo jest zebrać z samych amatorów orkiestrę nawet; u nas, oprócz pewnéj liczby grających na skrzypcach, zaledwie dwóch lub trzech jest amatorów flotrowersu, klarynettu lub wiolonczelli: oto wszystko, co posiadamy, a zatém nie można myśleć o skompletowaniu większéj muzyki, tak każdy garnie się do fortepianu. Nie ma domu, gdzieby nie było jednego lub kilku nawet tych instrumentów. Jęczą biédne fortepiany pod nawałem palców, jak grad sypiących się na klawisze, dopóki nie ochrypną ich dźwięki; by je oddawszy na kuracyą w ręce fabrykantów, na nowo pod naciskiem niemiłosiernych dłoni głosy wydawały. Smutne jest nieraz przeznaczenie tych pięknych instrumentów! W domach, gdzie liczna dziatwa, a mianowicie na pensyach, gdzie wielu uczniów lekcye muzyki pobiera, po całych dniach bez litości się z niemi obcho-

dzą. A przecież, we mnie przynajmniéj, widok instrumentu obudza tę myśl, że ponieważ w każdym odgłosie z głębi jego wnętrza wychodzącym tyle jest czasem życia, tak silnie nieraz do duszy naszéj przemawia, iż zdaje się, jakoby twórca jego zostawił w nim cząstkę swego ducha, oczekującą tylko na dotknięcie biegłéj ręki, by znak życia okazać! Znakomity kompozytor i krytyk francuzki Hektor Berlioz, w dziele pod tytułem: *Les Soirées de L'Orchestre*, przytacza zdarzenie osnute na tle fantastycznéj wyobraźni, które ze względu na jego oryginalność, czytelnikom naszym opowiemy.

.....„Oto fakt w całéj niewytłumaczonéj i strasznéj prostocie. Gdy się konkursa w Konserwatoryum rozpoczęły, Auber dnia tego zdecydowany na wszystko, ogłosił popis na fortepianie. Dzielni i wytrwali sędziowie nie okazali żadnéj oznaki przerażenia, chociaż ich uwiadomiono, że jest trzydziestu jeden kandydatów, których słuchać mają: czyli ośmnaście kobiét i trzynastu mężczyzn. Koncert Mendelssohna G *minor* wybrany został na konkurs. Więc kolejno trzydzieści jeden razy koncert ma być odegrany, chyba, że który z grających dostanie ataku apopleksyi. Lecz ja nie będąc tak nierozsądnym, bym się miał znajdować na podobném posiedzeniu, dopiéro w kilka godzin późniéj przechodząc przez dziedziniec Konserwatoryum, słyszę, jak jeden z uczniów mówi te słowa:

— Ach! biédny Erard! co za nieszczęście!

— Erard, cóż mu się stało?

— Jakto! więc pan nie byłeś na konkursie fortepianowym?

— Oczywiście że nie: ale cóż się stało?

— Wyobraź pan sobie, że Erard był tak dobrym, iż na ten dzień pożyczył nam przepyszny fortepian, który tylko co skończył; i tak był z niego zadowolnionym, że postanowił go wysłać na wystawę powszechną. Ton piekielny, bass jakiego nigdy nie słyszano: jedném słowem instrument nadzwyczajny. Klawiatura była nieco zaciężką, lecz właśnie dlatego nam go udzielił. Erard zna swoję rzecz i ma doświadczenie; powiedział sobie: trzydziestu jeden uczniów grających koncert, rozruszają moje klawisze, i to im na dobre wyjdzie. Tak, tak, lecz nie przewidział biédny człowiek, że jego klawisze rozruszają się w sposób tak straszliwy. Jeden koncert wykonany trzydzieści jeden razy z rzędu tego samego dnia! Kto mógł się spodziewać skutków podobnego powtarzania? Piérwszy uczeń, który wystąpił, dociągnął jakoś do końca, nie żałując ręki na tak ciężkim fortepianie; drugi, to samo; trzeciemu, instrument nietyle się już opierał; piątemu mniéj jeszcze. Nie wiem jak się wydał szóstemu, bo w chwili gdy się zbliżał do niego, pobiegłem szukać eteru dla jednego z naszych sędziów, któremu się słabo zrobiło. Siódmy kończył, gdym wrócił, i słyszałem jak mówił idąc po skończeniu za kulisy: „Ten fortepian nie jest tak ciężki, jak mówiono: przeciwnie, znajduję go wybornym. Dziesię-

ciu, albo dwunastu konkurentów tego samego było zdania, z tych zaś ostatni zapewniali, że nietylko nie jest wcale ciężkim w dotknięciu, lecz nawet bardzo lekkim.

Około godziny trzy kwadranse na trzecią, doszliśmy do numeru 26, a zaczęto o dziesiątéj; teraz przyszła koléj na pannę Hermancyą Lévy, która niecierpi ciężkich fortepianów. Nic więcéj nie mogło być dla niéj sprzyjające: każdy się skarżył w téj chwili, że nie można było dotknąć klawisza, ażeby się zaraz nie odezwał; to téż tak nam lekko odegrała koncert, że odrazu otrzymała piérwszą nagrodę, a jeżeli mówię odrazu, to się ma znaczyć, że panny Vidal i Roux również były uznane za godne z nią nagrody (1). Te dwie panny korzystały wiele z lekkości klawiatury, lekkości posuniętéj do takiego stopnia, że dmuchnąwszy z wierzchu w klawisze, głos można było wydobyć. Widziano téż kiedy podobny instrument? W chwili gdy mieliśmy słuchać nr. 29, jeszcze raz wyjść byłem zmuszony dla wyszukania doktora, bo drugi z naszych sędziów zrobił się tak czerwonym, iż trzeba było koniecznie krew mu puścić. Konkurs na fortepianie—to nie ma z czém żartować! Właśnie w sam czas doktór przybył. Gdym wrócił do *foye* z teatru, spotkałem się z nr. 29; mały Plauté, cały blady, trzęsący się od stóp do głowy rzekł: „Nie wiem, co się fortepianowi zrobiło, lecz klawisze same się poruszają. Możnaby przysiądz, że się kto ukrył w środku i pałeczki podnosi. Ja się boję.—Dajżesz pokój, malcze, odpowiedział mały Cohen trzy lata od niego starszy.—Puść mię, zobaczysz, że ja się nie boję. Cohen (nr. 30) wchodzi na estradę, siada przy fortepianie, nie patrząc nawet na klawisze gra cały koncert doskonale; i po ostatnim akkordzie, wchwili, gdy wstawał, patrzymy: aż tu sam fortepian zaczyna grać koncert! Biédny chłopiec jakiś czas zucha udawał; lecz po chwili osłupienia, drapnął co miał siły z estrady. Odtąd fortepian, którego głos wzrastał co chwila, począł wygrywać gammy, trylle, arpedzie. Publiczność nie widząc nikogo przy instrumencie, a słysząc go wydającego tony dziesięć razy mocniejsze niż pierwéj, zaczęła się poruszać z miejsca; jedni się śmieli, drudzy trwożyli: wszyscy byli mocno zdziwieni, jak to łatwo się domyślić. Jeden tylko sędzia z głębi loży nie mogąc dojrzéć estrady, a myśląc, że p. Cohen zaczyna koncert na nowo, wrzasnął: „Dosyć! dosyć! dosyć! przestań już! Niech wejdzie nr. 31 i ostatni." Byliśmy zmuszeni wołać do niego: „Panie sędzio, nikt nie gra; to fortepian tak się wyuczył koncertu Mendelssohna, że sam go wygrywa bez niczyjéj pomocy. Niech pan zobaczy". „Doprawdy, lecz to nieprzyzwoicie: przywołajcie Erarda. Spieszcie się! może będzie w stanie pohamować

(1) Panny H. Lévy i Roux, fortepianistki wysoko bardzo dzisiaj cenione w Paryżu.

ten okropny instrument." Szukamy Erarda. Przez ten czas, rozbójnik fortepian skończywszy koncert, zaczął go znów od początku na chwilę nie ustając, i ciągle, ciągle z coraz wzrastającym wrzaskiem, jak gdyby na czterech tuzinach fortepianów grali unisono: passaże, tremolle, gammy w sekstach, tercye w podwójnych oktawach, akkordy kolumnowe, potrójne trylle, pedał forte, powódź tonów, Belzebub i cała rzesza diabłów. Erard wbiega, lecz nie wie co ma robić: fortepian, który sam siebie nie poznaje, i jego także znać nie chce. Kazał przynieść wody święconéji pokropił klawisze—nic nie pomaga: dowód, że tam czary miejsca nie miały, i że to był tylko skutek naturalny trzydziesto-krotnego wykonania jednego i tego samego koncertu. Otworzyli instrument, wydobyli klawiaturę, która ciągle się ruszała; rzucili go na środek dziedzińca, gdzie p. Erard oburzony i zagniewany kazał go porąbać siekierą w drobne kawałki. Lecz co się dzieje: każdy kawałek tańczy, skacze, trzęsie się na bruku, rzuca się pomiędzy nasze nogi, odbija się od muru i to tak dalece, że aż ślusarz blizko mieszkający pozbierał cęgami całą tę wściekłą mechanikę i rzucił ją w ogień swéj kuźni. Biédny Erard! tak piękny instrument! Nam wszystkim z żalu serce się krajało. Ale cóż, tym tylko sposobem można się go było pozbyć. Trudno, ażeby trzydzieści razy z rzędu odegranego koncertu w ciągu dnia jednego, fortepian nie nauczył się napamięć. Zaprawdę, Mendelssohn nie powinien się uskarżać na brak egzekutorów swoich kompozycyj; lecz jakieżto opłakane skutki pociąga za sobą!

M. K.

(Dokończenie nastąpi).

List otwarty Wacława Alexandra Maciejowskiego do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj, z powodu wzmianki w jéj piśmie przez p. Alexandra Tyszyńskiego o najnowszém dziele jego uczynionéj.

Szanowna Redakcyo!

Prosił mnie jeden ze znajomych, ażebym mu poufnie objawił swe zdanie o przypisku, który p. Tyszyński do artykułu swego „o krótkich wiadomościach z dziejów piśmiennictwa polskiego", do Biblioteki Warszawskiéj (1) podanego, zrobił, i w nim o *Piśmiennictwo* téż moje *w Warszawie u Orgelbranda 1851—2* w trzech tomach wydane zawadził. Odpowiedziałem mu przysłowiem

(1) Poszyt marcowy z r. b. stron. 591, 592.

wielkopolskiém „że się nie zda i psu na budę" co tam napisał szanowny autor Amerykanki w Polsce, i że wiedząc o tém dobrze, jak jest stronny w swych zdaniach, raz na zawsze u siebie postanowiłem nie zważać na nic, cokolwiek o mnie powié. Ale nie przestał na takiéj odpowiedzi mój znajomy, i owszem odparł ją temi słowy: „że się nie pisze na to, com wyrzekł: bo jeżeli za nic sobie ważę co kto powié o mém dziele, to może znajdą się tacy, którzy słowa p. Tyszyńskiego wezmą za coś; milcząc więc utwierdzę ich w mniemaniu, żem w najnowszém swém dziele istotnie popełnił rażące błędy; że, jak mi autor Amerykanki zarzuca, ułożyłem dzieło o literaturze polskiéj nie praktycznie, nie opowiedziawszy jéj historyi ani koleją gałęzi nauk, ani epok, lecz koleją jakowąś, którą raz zwrotami, a drugi raz obrotami nazywam i t. p."

Uznawszy więc słuszność uwag tych, przerywam milczenie, by wykazać: że autor Amerykanki przekręcił znowu, com o literaturze, którą od piśmiennictwa odróżniam, powiedział; że myśli méj o zwrotach i obrotach literatury jak należało nie przedstawił; że o ścisłém łączeniu się polskiéj literatury z łacińską dobitnie w dziele mém wyrażoném przemilczał, ani powiedział, dla jakich to przyczyn pisarzów jednych w piérwszym, innych zaś, a między nimi Wujka i Orzechowskiego, w drugim stawiam rzędzie.

Nie ma literatury ten naród, który, jak dotąd Madziarowie, a nawet niejeden z ludów słowiańskich, pisaniną zabawiając się zwyczajną, niczém artystycznie i w duchu narodowości swéj obrobioném poszczycić się nie może. Bo, że przykład na to z poezyi wezmę, nie dosyć jest wyśpiewać pieśń na nutę narodowi właściwą, nie dosyć przedstawić w niéj obraz rodowości i narodowości najwyrazistszy: ale powinna jeszcze pieśń przedstawić się tak, że najściślejsze wymaganie krytyki nie mogłoby jéj odmówić miejsca w rzędzie arcytworów europejskiéj literatury. Ciągnie się przez wieki pieśń polska, zawsze taż sama, zawsze narodowa; ale niezawsze odznaczająca się artyzmem. Sam nawet artyzm bywa różny, gdyż w miarę stopnia cywilizacyi narodu postępuje i wstecz się cofa, czyniąc *zwroty*: które, nie mając oznaczonych ram czasu, zachodzą za siebie, spływają jak bałwany wód, albo fale obłoków, lub jak barwy przedstawiającego się w różném załamaniu światła, jaśnieją. Troiste są one w literaturze każdego ludu, do pewnego przynajmniéj stopnia już rozwiniętéj, która jeżeli za takową uchodzić zechce, powinna mieć w sobie zwrot ludowéj poezyi, wykazujący, jak się w ustnym śpiewie ludowa objawiła pieśń; jak ją wylewano na papier, (*piśmiennictwo*), jak wlewając w nią artyzm, używano za tło do dzieł w duchu prawdziwie narodowym pisanych (*literatura*). Powiedziałem, jak poezya polska pod tym uważana względem, uczyniła do wieku XVII postęp; jak w tymże wieku cofnąwszy się wstecz, olbrzymi zrobiła znowu krok za naszych czasów. Nie będąc bowiem pewny, czy siły starczą na to, com przedsięwziął, podałem, po obszernym poezyi téj aż do r.

1650 wykładzie, główne zarysy dalszego kierunku zwrotów téjże poezyi do wieku XIX rozwiniętéj. Co p. Tyszyński wyopaczywszy rzekł: „że miłość polemiki tak mnie dalece uniosła, iż mówiąc o wieku XVI nie oparłem się aż o lata obecnie upływające."

Nie ma dziś w Europie narodu, któryby choć piśmiennictwa nie miał: że zaś są takie ludy, u których się nie dopatrzysz literatury, przyczyna tego leży w piszących, ilekroć ci pisarkami są tylko, na pisarzów nie ukształtowawszy się jeszcze. Pisarzami zaś nazywam tych mężów, którzy porwani od ducha czasu, przebiegali niezmierzone nauk pole w rozlicznym kierunku, czyniąc na niém *obroty* w różnych gałęziach nauk i umiejętności, tudzież w sztukach pięknych. Prace ich zamknie w epokach historyk-szkolarz; historyk-pragmatyk, jakich mieli starożytni Grecy i Rzymianie, nie uczyni tego, lecz ujmie ją dla dogodności czytelnika w pewne ramy, którym zwroty za przestwor naznaczywszy bytu, oznaczy przez nie postęp lub wsteczną literatury dążność. To też dzisiejsi historycy zarzucają epoki, jako szkolarstwa zabytek.

Tylko piszących w ojczystym języku miał nasz naród za pisarzów prawdziwie polskich. Jeżeli w obcym wyborne pisali dzieła, był im wdzięczny za to, ale do rzędu cudzoziemskich policzał ich. Los ten spotkał Orzechowskiego, który piękne po łacinie a liche po polsku pisał dzieła. Nieraz, bo niezawsze, skorzystał z jego światła naród, ale pośrednio tylko. O nim, jako o mądrym po łacinie Polaku, nie mogąc wiele mówić w samém dziele, odesłałem go do dodatków, które da Bóg nastąpią. Tam też będzie i o tych Polakach, którzy po niemiecku lub po francuzku pisali. Tylko o nich bowiem godziło się mówić w samém dziele o tyle, o ile z nich który zrósł się że tak powiem z piśmiennictwem lub literaturą ojczystą, o ile wzorem się stał dla piszących po polsku i t. p. (Marcin Kromer niech posłuży za przykład). Ale o tych, którzy dlatego tylko po łacinie pisali, ażeby ich czytała zagranica, którzy w pisaniu szukali próżnéj dla siebie chwały, nie dbali o swój naród i t. p. o tych nie można było rozprawiać nie powiedziawszy wprzód o polskich w ogóle wszystkich, ilukolwiek zaznać z nich mogłem. Bo chociaż największa część pisarzów niższego rzędu ojczystéj używających mowy, była podobną do trutni, które chodząc około pszczół roboczych służą im do rozpłodnienia jedynie; i chociaż pisarze ci, niby owe trutnie, są przeznaczeni na to, by rozsiewali po świecie myśli autorów genialnych, nie będąc sami w stanie utworzyć coś znakomitego, coś godnego, coś przyjemnego; nie zdolni ni wosku ulepić na świécę ofiarną dla ołtarza Pana zastępów niebieskich, ni miodu zrobić na posmak dla ludzi: jednakże był i z tych pismaków a nawet bazgraczy większy, niż z piszących liche broszury łacińskie pożytek. Ich prace bowiem przydały się przynajmniéj dla grammatyka, dla frazeologa; a tych, zwłaszcza też nadętych panegirzystów, jałowych moralistów, czczych publicystów i po-

lityków prace, jakich krociami natworzył nam przez swe pisma Orzechowski, istnych, jakim był sam, warchołów, nikomu się nie przydały na nic. Jeden tylko zbieracz barbaryzmów łacińskich mógł ztąd nagromadzić jakowy zasób dla przyszłego Diukanża polskiego (1). I o tychto piśmidłach miałem się rozpisywać równie troskliwie, jak o pismach i pisemkach polskich?

W tymże, co Orzechowskiego rzędzie położyłem Wujka, a położyłem przeto, że nic artystycznego nie utworzywszy, nie mógł stanąć w piérwszym poczcie pisarzów. Czemże się bowiem odznaczył Wujek?—pracowitością, a niczém więcéj. Przyznaję, że i przez to położył dla piśmiennictwa polskiego zasługi wielkie, za co téż nie szczędziłem mu pochwał; ale że się nad poziom nie wzniósł, że nie miał oryginalnych pomysłów, że nie był w stanie dać polotu swéj myśli, przeto musiał stanąć poza Skargą, i pomieszczonym być w drugim rzędzie. Lecz przypatrzmy się szczegółowi temu, jest on bowiem niemałéj w historyi piśmiennictwa i literatury wagi.

Pisarkowie i pisarze dawali obrot zwrotowi, czyli raczéj dawali go drudzy sami od siebie, a piérwsi wtedy tylko, jeżeli pachołując tamtym, służyli do rozpłodnienia wielkiéj ich myśli. Wszelako i piśmiennictwo, nawet nie kierujące się lub kierujące mało wielkich pisarzów myślą, miało swoje zasługi, swoje obroty, ilekroć pochodziło od mężów, którzy jeżeli nie artyzmem, to nauką i wysłowieniem celowali. Pod tym uważany względem Wujek, wyższym jest od wielu pisarzów innych, i chociaż artystą nie jest, nie może być na téj, co Piotr Moskorzowski ważony szali. Lubo o tym Piotrze, tam, co i o jego ojcu, a więc przy pisarzach piérwszego rozprawiałem rzędu, przecież wyraźnie oświadczyłem tamże, żem go tu jedynie przeto położył, iż wydawał dzieła tejże treści co Moskorzowski Jarosz. Daleko mu wszelako było do nauki jaką Wujek posiadał, do stylu jakim ten pisał. Tak téż obok Marcina Bielskiego, obok Jana Kochanowskiego położyłem innych Bielskich, innych Kochanowskich, z wyraźném nadmienieniem przyczyny, dla któréj o nich w tém mówić chciałem miejscu.

Minął się szanowny autor Amerykanki i w tém z prawdą, co o niepraktyczności wykładu mego, o różnicy piśmiennictwa a literatury ludowéj, o miłości jaką ku polemice mam, powiedział. Baczny czytelnik rozważywszy rzecz należycie odgadnie łatwo, kto z nas praktyczniejszy: czy on, który za epokami, czy ja, który za zwrotami i obrotami obstaję. Pochlebiam sobie, że i tego nie powié, jakobym raczéj dla tych, co już literaturę polską znają, niż dla tych co ją poznać chcą, miał pisać; jakobym nie przedstawił literatury polskiej ani koleją gałęzi i nauk, ani epok: jest bowiem u mnie jedno i drugie, a jest jak sobie pochlebiam praktyczniéj, niż u moich poprzedników wyłożone. O epokach już myśl

(1) Du Cange zebrał słownik barbarzyńskiéj łaciny.

moję objawiłem, o gałęziach nauk dosyć powiedzieć, że wykazawszy w tomie pierwszym co każdy z osobna uczynił pisarz, opowiadałem następnie w drugim, co uczynili dla oświaty w ogóle, gdy się wszyscy wzięli za ręce, i gdy znowu każdy z nich oryginalnie się wyrażał, czyli po swojemu *obracał się w każdym zwrocie.* Obrot więc częścią będąc zwrotu tyloraki jest, ile jest gałęzi nauk. Rozważając je, przeszedłem tém samém każdą naukę. Kto myśleć umié i lubi, dowié się z tychże zwrotów i obrotów, jaki był początek piśmiennictwa naszego, jaki rozwój i postęp; a dowiedziawszy się, fałsz zada twierdzeniu; „że ja przystępując do opowiadania historyi literatury, przypuszczam w swym czytelniku poprzednią znajomość swego przedmiotu, i zamiast opowiadać go, zajmuję się tylko polemiką niektórych szczegółów, po fakta zaś odsyłam zwykle do pism innych; że z dzieła mojego nie pozna czytelnik literatury polskiéj; że nie pozna ani jéj biegu historycznego w ogóle, ani historyi jéj gałęzi."

I w tém się szanowny autor Amerykanki pomylił, co o ludowéj literaturze powiedział, twierdząc: „że ta literatura, a piśmiennictwo, są to według tego, jak obie przedstawiłem, dwa jednoczesne i równoległe przez wszystkie wieki kierunki;" bo i owszem są to rożnoczesne i różnoległe zwroty. Dosyć spojrzéć na broszury w trzecim wymienione tomie, dosyć zawarte w nich piosnki z Sobótką Jana Kochanowskiego zestawić razem, i znowu tę z Sobótką Seweryna Goszczyńskiego porównać, ażeby się przekonać o tém, że pieśń ludowa przechodząc z piśmiennictwa w literaturę, czyniła rzeczywiście postępy wielkie i czyni je dotąd. Toż samo się działo z klechdą. Przedstawiając i tę przez zwroty i obroty, wykazać usiłowałem, jak ją sobie obrazował lud; jaką w tém obrazowaniu odgrywała jego wyobraźnia rolę; i jak mylnie zaprzeczali utworom tego rodzaju historyczności pisarze dzisiejsi, niby bijąc w to: że we wszystkiém, co sobie opowiadał lud, wyobraźnia główną odgrywała rolę, a rzeczywistości w pogadankach jego nie było i nie ma żadnéj.

Nie ja, ale owszem autor Amerykanki dowiódł tego na sobie, że się od miłości polemiki dał owładnąć zupełnie. Ja, pamiętny na to, co rzekł przed wieki Rzymianin, mówiąc: „pomyśl nad tém, co masz przedsięwziąć, nie chwytaj za myśl lekkomyślnie, ale gdy pomyślisz przystępuj rączo do dzieła" (1); na to, mowię, pomnąc, nie puszczałem nigdy w obieg méj myśli, pókim jéj nie rozważył i nie wytrawił w sobie: ale wtedy broniłem jéj statecznie, dopóki mi ktoś nie dowiódł, że i on długo nad tą samą dumając myślą, znalazł ją błędną. Wtedy ustępowałem już, i nie spierałem się o to, by miéć koniecznie ostatnie słowo. Nigdy też nie groziłem pismu, dla którego pracowałem, że go od-

(1) *Nam priusquam facias cogita, et postquam cogitaveris mature facto opus est.* (Salustius w Katyliny życiu).

stąpię, gdy w kolumnach swych nie otworzy dla mnie miejsca, a nie zamknie go dla przeciwnika mojego. Myślałem bowiem, że ludzie nie są w ciemię bici i poznają się na farbowanych lisach, że wyjaśni się prawda, i jeżeli nie zaraz, to późniéj oceniona należycie będzie.

Raczy szanowna Redakcya umieścić w swém piśmie to moje poufne wyznanie. Uczyniłem go k'woli nalegania o to na mnie, uczyniłem na usilne prośby, uczyniłem niechętnie; bo lepiéj było na coś inszego obrócić ten czas, aniżeli marnotrawić go, wyjaśniając rzecz, samą z siebie, jak rozumiem, jasną.

Pisałem
w Warszawie, w miesiącu maju 1856 r.

WIADOMOŚCI
na drodze postępu nauk przyrodzonych.

Przyrząd ciepłorodny bez ognia, przez pp. Beaumont i Meyer.

Wydawca pisma czasowego Cosmos, ksiądz Magno, unosi się nad wynalazkiem przyrządu rodzącego ciepło (thermogène) panów Beaumont i Meyer, znajdującego się na wystawie paryzkiéj; podziwia pomysł przyrządu, z którego strumień pary gwiżdżąc uchodzi, a nie wymaga paliwa i ognia.

Przyrząd to jednak prosty, i w niewielu wyrazach tu go opiszemy: kocioł cylindrowy z grubéj blachy żelaznéj, długi 2 metry (6′6½ angiel.); średnicy 50 cent. (18½″ ang.); środkiem niego przechodzi rura miedziana nieco ostrokręgowa, w jednym bowiem końcu ma 35 cent. (13¾″ ang.); a w drugim 30 cent. (11,8 cali ang.) średnicy. W rurze téj miedzianéj obraca się, wymiarami mu odpowiadający walec, również nieco stożkowy drewniany, okręcony ślimakowo raz koło razu liną konopną, nasycaną ciągle olejem; przez środek tego walca przechodzi na wylot oś żelazna, zakończona czopami, obracającemi się w panewkach. Ruch udziela się za pomocą korby, sposobem jakimbądź, używając czyto siły rąk ludzkich, czy téż innéj, np. korzystając z siły wiatru, spadku wody i t. p.

Obrot walca sprawia tarcie na pozór łagodne, a jednakże jest ono dostatecznem aby przemienić wodę w parę zapełniającą kocioł, otaczający ów cylinder czyli rurę miedzianą; a co większa, zużycie linki konopnéj i powierzchni miedzi, nawet po wielu miesiącach ciągłego działania jest nader nieznaczne.

Przez tarcie zużywać się jednak mogą z czasem dwie powierzchnie, tojest walca okręconego konopną powłoką, i wnętrza cylindra czyli blachy miedzianéj, a zatém zmniejszałoby się tarcie i stopień wywiązywanego ciepła. Temu zaradza przyrząd oddzielny (dajmy na to sprężyna), który w grubym końcu przy-

ciska walec drewniany i wpycha go stopniowo coraz więcéj w rurę, tak, aby tarcie się nie zmniejszało.

Oddzielne naczynie z olejem wpuszcza zwolna po kropelce tłuszczu tego, który po splotach konopnych linki, ślimakowo się na całą powierzchnię walca rozkłada.

Sam kocioł opatrzony jest w klapę bezpieczeństwa, świstawkę, pływaka, paromierz (manometr), ciepłomierz, pompę pożywną do wody, rurę parową przeprowadzającą parę, gdzieby tego zachodziła potrzeba dla zastosowania jéj działania.

Przyrząd opisany na wystawie paryzkiéj zwracał na się oczy zwiedzających, gdzie zastosowano go do przyrządzania otrzymaną parą gorącéj czekolady, któréj filiżankę zaraz przytém sprzedawano po 30 centimów.

Robili też oddzielne doświadczenie nad tą machiną pp. Fortoul i Petit, i w sprawozdaniu swém dowodzą, że gdy kocioł był napełniony 400 litrami czyli kwartami wody, a walcowi drewnianemu nadano ruch z prędkością 400 obrotów na minutę, po kilku godzinach temperatura wody podniosła się do 130 stopni Cels.; a skoro para doszła do ciśnienia dwóch atmosfer, wówczas gwiżdżąc uchodzić zaczęła klapą z kotła. Przyrząd pp. Beaumont i Meyer stał się przedmiotem wielu sporów między fizykami: jedni upatrują w nim tylko zamianę użytéj siły ruchu na sprawienie ciepła; inni zaród wielkich zastosowań zwłaszcza tam, gdzie opał drogi a siła poruszająca czyli ruchodawcza darmo do rozrządzania się przedstawia.

Co bądź, pomysł to świetny, który bardzo może być użytecznym.

KRONIKA BIBLIOGRAFICZNA.

1855.

66. Jak się u nas żenią. Obrazek spółczesny przez L. Sz. 8ka. Lwów. 1855. Nakład H. W. Kallenbacha. (druk E. Winiarza). Napisów i rejestr. Kart 4 i str. 272. Rsr. 1 kop. 80.

67. Listy z Krakowa. Napisał Józef Kremer. Tom pierwszy. (Wstępne zasady estetyki). Wydanie drugie poprawne i pomnożone. Z portretem autora. 8ka. Wilno. 1855. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 348. Tom drugi. Dzieje artystycznej fantazyi. Część pierwsza. Str. 412.

68. Los opiekun (.) Powieść przez Alexandra Niewiarowskiego. 12ka. Wilno. 1855. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Str. 162.

69. Nauka prozy przez Jana Rymarkiewicza, Dokt. Fil. i Nauczyciela wyższego przy Król. Gimnazyum Stej Maryi Magdaleny w Poznaniu. 8ka. Poznań. 1855. Nakładem J. K. Żupańskiego (druk N. Kamieńskiego i spółki). Napisów karta 1, rejestru i przedmowy str. IV i 123. Kop. 80.

70. Nowomodne zaloty. Komedja w jednym akcie. Oryginalnie napisana. 16ka. Kijów. 1855. Tłocznia J. K. Wallnera. Str. 63. (autorem jest J. K. Gregorowicz).

71. Nowy Ekonom wiejski czyli szkoła porządnego wykonywania głównych robót w roli, narzędziami zaprzęgowemi udoskonalonemi lub dawnemi, z oszczędzeniem czasu i wydatku przez Maxymiliana Żelkowskiego O. P. i N. A. M. b. professora praktyki rolniczej i prawa wiejskiego w szkole Grignon. 16ka. Kraków. 1855. Druk J. Czecha (nakład autora). Str. XXII i 223. (z 6 tablicami). Rsr. 1 kop. 60.

72. O płodzeniu i rozwijaniu się zapłodnionego jaja. Przełożył z francuzkiego (Longet, Physiologie. T. 2—fasc. 3-e) Adam Kozaczyński kandydat filozofii, Uczeń Medycyny. (Rękopism pośmiertny). Z dwoma *(dwiema)* tablicami rycin kolorowanych. 8ka. Kijów. 1855. W drukarni Uniwersyteckiej (Józefa Zawadzkiego). Napisów kart 2, od wydawcy str. III, i 59.

73. Powieść bez tytułu, przez J. I. Kraszewskiego. *Z godłem:*

Militia est vita hominis super terram.
Legenda średniowieczna.

4 tomy we 2ch. 12ka. Wilno. 1855. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Tom I str. 356. Tom II, str. 396.

74. Sny życia naszego (,) Poezye przez Wincentego Gaździckiego. 12ka. Warszawa. 1855. Nakład i druk S. Orgelbranda. Str. 110. Kop. 60.

75. Uczony. Powieść w dwóch tomach Jana Zachariasiewicza. 8ka. 2 tomy. Lwów. 1855. Nakładem H. W. Kallenbacha. Tom I kart 4 i str. 214. Tom II kart 4 i str. 239.

76. Wyrachowanie massy i wartości stosunkowej drzewa opałowego w klocach (,) oraz porównanie palności tegoż z węglem kamiennym i torfem. Przez Benedykta Alexandrowicza. Cena kop. sr. 20 (złp. 1 gr. 10). 8ka. Warszawa. 1855. (Nakład autora, druk J. Jaworskiego). Kart 2 i str. 12.

1856.

23. Dwie komedyjki przez J. I. Kraszewskiego. Portret (,) komedyjka we 3ch aktach. Łatwiej popsuć niż naprawić (,) przypowiastka we 3ch aktach. 12ka. Wilno. 1856. Nakład i druk Józefa Zawadzkiego. str. 245.

24. Gawęd, rymów ulotnych i przekładów Władysława Syrokomli poczet trzeci. 16ka. Wilno. 1856. Nakładem i drukiem Józefa Zawadzkiego. Kart napis. i przedmowy str. VIII i 247.

25. Grobowy napis Bolesława Wielkiego w Poznaniu, tudzież grobowiec Bolesława Śmiałego w Ossjaku. 8ka. Poznań. 1856. Nakładem J. K. Żupańskiego (druk L. Merzbacha). Str. 31. Kop. 40.

26. Hrabia na Wątorach, krotochwila wierszem, z XVI wieku, przez Władysława Syrokomlę. *Z godłem:*

„Comes de Wątory
Jeden kmieć a trzy dwory,"
Rysiński. *Proverbiorum.*
Centuria VI.

12ka. Wilno. 1856. Czcionkami A. Marcinowskiego. Napisów i przypis. (J. Korzeniowskiemu) kart 3, przedmowy str. IV i 108. Rsr. 1.

27. Mechanika teoretyczna dla użytku inżynierów i techników. Przez Juliusza Weisbacha. Professora przy królewsko-saskiéj górniczéj Akademii w Freybergu. Przełożył z drugiego wydania niemieckiego na język polski Stanisław Bakka inżynier. 8ka. Warszawa. 1856. Z 630 drzeworytami w texcie. Nakładem Henryka Natansona (druk J. Jaworskiego). Kart napis. 2 i str. 798. Rejestru str. 11. Rsr. 4 kop. 50.

28. Metoda uczenia czterech działań początkowych Arytmetyki na kartkach ułożona przez Władysława Olędzkiego. Cena exemplarza złp. 3 gr. 10. 12ka. Warszawa. 1856. Nakład autora, druk J. Jaworskiego. Str. 44. (z 14 tablicami).

29. Polska (.) Dzieje i rzeczy jej rozpatrywane przez Joachima Lelewela. Tom IV (zawiera). Dostojności i urzędy. Herby w Polszcze. Pojedynki w Polszcze. Grobowe królów polskich pomniki. Pszczoły i bartnictwo w Polszcze. 8ka. Poznań. 1856. Nakład J. K. Żupańskiego (druk L. Merzbacha). Napisów i porządku rzeczy str. IX, i 533. (z 2ma tabl. nagrobków). Rsr. 4 kop. 80.

30. Salomon. Dramat z XVI wieku, w trzech aktach przez Wacława Szymanowskiego. 8ka. Warszawa. 1856. Druk J. Ungra. Str. 103. Rsr. 1.

31. Szuler. Obrazek. Napisał Andrzej Janowicz. 18ka. Kijów. 1856. W drukarni T. Gliksberga. Kart 2 i str. 96. Rsr. 1.

32. Technologia leśna czyli nauka korzystnego użycia drzewa i produktów leśnych przez Alberta Thieriot C. K. Rzeczywistego radzcę leśnego..... Z 90 drzeworytami. 8ka. Kraków. 1856. Nakładem D. E. Friedlejna (druk Breitkopfa i Hertla w Lipsku). Rsr. 2 kop. 25.

33. Teodora Narbutta pomniejsze pisma historyczne (,) szczególnie do historyi Litwy odnoszące się. *Z godłem:*

Ileż wypadków, ileż to wrażeń
Każdy odświeża mu kątek:
Gdy lotem wspomnień, na skrzydłach marzeń
Ulata w kraju pamiątek!
Al. Karłowicz.

Z dziesięciu rycinami 8ka. Wilno. 1856. Nakład i druk T. Glücksberga. Kart napis. 2 i str. 300. Rejestru karta 1.

34. Żydówka (,) opera w pięciu aktach (,) z muzyką F. Halevy (.) Tłumaczenie z francuzkiego E. Scribe i podkład pod muzykę Jana Chęcińskiego. 16ka. Warszawa. 1856. Nakładem Bernstejna, (druk Jaworskiego). Kart 4 i str. 88.

Doniesienia literackie.

WARSZAWA.

Wystawa archeologiczna w salach pałacu hr. Augusta Potockiego już się urządza. Bogate zbiory z Willanowa, i ze zbrojowni Wincentego hr. Krasińskiego, podeprą najsilniej tę wystawę; wszyscy posiadający prywatne zbiory, ofiarowali je na ten piękny użytek, bo dochód z téj wystawy, obróconym zostanie na cel dobroczynny. Katalog naukowy objaśni dokładnie wszystkie szczegółowe zabytki zebrane tu razem.

— Józef Korzeniowski, po napisaniu powieści: „Wyprawa po żonę," ma na ukończeniu powieść we 4 tomach p. n. „Krewni," którą Gazeta Warszawska ma drukować.—Kronika wiadomości krajowych i zagranicznych zapowiedziała, iż wkrótce ogłosi powieść J. I. Kraszewskiego p. n. „Choroby wieku" i Pamiętniki Rulikowskiego.—Gazeta Codzienna rozpoczyna druk nowej powieści Z. Kaczkowskiego.—Czytelnia Niedzielna, do której jako współpracownicy stali należą także J. Papłoński, Florvan Czermiński, prof. Czajkowski i Luceński, niefylko w Warszawie chętne znalazła przyjęcie, ale i po wsiach ma licznych prenumeratorów. Pogadanki starego rolnika, J K. Gregorowicza, zwróciły uwagę naszych ziemian. W nich autor zamierzył dać popularny (językiem ludu) wykład najpotrzebniejszych dla rolnika wiadomości.

— Józef Szaniawski archiwista akt dawnych kaliskich i sieradzkich w Kaliszu, którego Opis dawnej ziemi sieradzkiej ogłosiliśmy w naszém piśmie, zajmuje się obecnie ułożeniem słownika łacińsko polskiego, dobrej i kuchennej łaciny, sposobem encyklopedycznym, z wyjaśnieniami historycznemi, prawnemi, geograficznemi it. p., a to celem zrobienia go użytecznym dla archiwistów i dla czytających średniowiecznych autorów.

— Znany z wielu prac szacownych professor szkół lubelskich Felix Jezierski, przełożył z najcelniejszych utworów sławnego angielskiego poety Longfellowa *Złotą legendę*, i *Ewangielinę*: pierwszą z podań średniowiecznych, drugą z dziejów anglo-amerykańskich.

— Pani Seweryna z Żochowskich Pruszakowa ogłosiła prospekt na pismo nie peryodyczne, ale tomowe, p. n. Rozrywki dla młodocianego wieku, którego treścią będą powieści, zarysy obyczajów, literatury, podróży, i t. p. przedmiotów, łączących moralność, naukę, i rozrywkę, a z szczególna troskliwością dla młodego wieku zastosowanych. Pismo to wychodzić będzie zeszytami: trzy zeszyty stanowią tom obejmujący od 400 do 480 stronnic. Prenumerata po kop. 30 za zeszyt, czyli kop. 90 (złp. 6) za tom jeden. Znakomitsi literaci nasi, jak i znane literatki, przyrzekli czynną i gorliwą pomoc temu pismu, które niewątpliwe znajdzie współczucie i upowszechnienie.

— Paulina Wilkońska drukuje w Poznaniu dwie swoje powieści: Panią podkomorzynę, w jednym tomie, i Irenę w dwóch częściach. W Poznaniu J. K. Żupański, którego wszystkie niemal nakłady są istotném wzbogaceniem literatury naszéj, zamierza ogłosić w IV tomach Zbiór rękopismów do dziejów i literatury polskiej. Będą to pomniki zupełnie nieznane dotąd, a wielkie rzucające światło na przeszłość historyczną. Nakładem tegoż wychodzą ryciny w stalorytach, przeznaczone do znakomitszych utworów poetycznych naszych. Już wiele postąpiono w illustracyi téj co do Maryi Malczeskiego. Prześliczny jest staloryt utworu A. Zalewskiego, przedstawiający starego miecznika na cmentarzu, klęczącego i opartego o grobowiec Maryi, a pod nim dwu-wiersz z poematu:

„Znaleźli go w cmentarzu: przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach, klęczał nachylony".

— Nakładem tegoż księgarza wyszły: „Dzieje panowania Augusta II od śmierci Jana III do chwili wstąpienia Karola XII na ziemię polską".

Godna uwagi przedmowa, z nowego stanowiska skreślona, wnika głębiéj w dziejowy rozwój XVII i XVIII wieku, i wykrywa sprężyny, które późniejszy rozstrój narodu spowodowały.

— Wincenty Pol, ogłasza drukiem poezye swoje p. n.: Z podróży po burzy. Tytuły pojedynczych części są: 1. Wiele, mało, przebolało. 2. Cierpienie bez ceny. Treny — nie treny. 3. Z klasztoru i z boru. 4. Ze dworu.

— Józef Korzeniowski otrzymawszy w darze exemplarz nowéj powieści K. Wł. Wojcickiego p. n. Pałac i Dworek, takim wierszem podziękował autorowi:

„Dworek i pałac razem odebrałem:
Przeczytam jeszcze, chociaż już czytałem.
A że w pałacu pusto bywa w worku,
W sercu i głowie: często zaś we dworku
Jest właśnie tyle mąki, ile trzeba
By był dostatek pierogów i chleba;
Tyle się z ulów pszczółek wyroiło,
By gorycz życia czém osłodzić było;
Że tam dla oka ściele się murawa,
Dla głowy z cieniem szumna lipa stawa,
Dla gości zawsze brama się otwiera
I przyjaciela ściska ręka szczera;
Że tam się baczniéj dobra czyta księga,
Myśl bujniéj rośnie i wyżéj dosięga,
A serce, które uzdrawia prostota,
Pragnie pokoju, ciszy, a nie złota:
Więc autorowi życzę nie pałaców,
Jaki niegdyś *Paców*,
Lecz życzę, by go spotkała siwizna
We dworku takim, jak Mereczowczyzna!"

— Maxymilian Fajans wydaje „Album widoków warszawskich." Pierwszy zeszyt, który wkrótce wyjdzie, zawiera cztery widoki wodotrysków z otaczającemi je gmachami, dokładnie i wiernie odrobione. Okładka z ryciną fantastyczną odznacza się trafnym pomysłem, i zręcznością wykonania.

— Felicyan Faleński, syn znanego historyka naszego, ogłosił drukiem zbiór swoich poezyj, p. n. „Kwiaty i kolce". Utwory te, z wyjątkiem niektórych, zalecające się prawdziwie wyższym talentem, tchnieniem poetycznem i wybornym językiem, stawiają autora w rzędzie niepoślednim poetów naszych. Sprawiedliwa krytyka potrafi ocenić wysoką ich wartość.

— P. A. Zabierzowski z Radomia ogłosił prospekt na dzieło p. n. „Praktyczne budownictwo wiejskie". Zawierać będzie plany na rozmaite budowle wiejskie, a mianowicie: domy mieszkalne, tak zwane dwory, oficyny dla służby, gorzelnie, spichrze, stodoły, obory, stajnie, owczarnie, domki włościańskie, plebanie, kościoły, kaplice, i t. p. Do każdéj z tych budowli dołączone będą: wykaz materyałów potrzebnych, i ceny praktykujące się w kraju naszym do ugody rzemieślników: słowem, najsumienniejsze kosztorysy. Dzieło to będzie wychodzić zeszytami, w seryach: XII zeszytów (co miesiąc jeden) stanowić ma jednę seryą. Obszernych więc będzie rozmiarów, gdy wydawca nie oznaczył ilości zeszytów i seryj.

— S. Orgelbrand kończąc wielkie przedsięwzięcie wydawnictwa Historyi powszechnéj Cezara Kantu, zamierzył jeszcze wydać obszerniejsze dzieło: Encyklopedyą powszechną. Przed kilkunastą laty, księgarnia E. Glücksberga zaczęła wydawać Encyklopedyą: myśl ta znalazła współczucie niemałe, kiedy zebrało się wówczas do 3,000 prenumeratorów. Wkrótce nieregularność wydawnictwa zaczęła ich liczbę coraz zmniej-

szać, tak, iż przedsięwzięcie całe, z niemałym podjęte kosztem, skutkiem niedołężności redakcyi upadło. Zostały tylko na pamiątkę cztery tomy, które dziś na makulaturę służą.

Nowy wydawca, przedsiębierczy, który dowiódł czytającéj publiczności, jak znakomite nakłady jest w stanie ponieść i wywiązać się z obowiązań swoich, z całą oględnością i rozwagą przystępuje do wydawnictwa tak ogromnego dzieła, które obejmować ma najmniej 15 dużych tomów, i w ciągu lat 3ch będzie ukończone. Zapewnił już sobie pomoc znanych literatów, i przygotował potrzebne ku temu materyały. Nie będzie tu jednego redaktora głównego, ale kilku, stosownie do podziału nauk. S. Orgelbrand wprowadza w prenumeracie nowość, bo żadnych zaliczań brać nie chce: każdy zeszyt po cenie kop. sr. 30 sprzedawanym będzie. Spodziewamy się, że to dzieło znajdzie miłe przyjęcie, bacząc na wielki użytek, jaki dla ogółu przynieść może.

— H. Natanson zamierza wydawnictwo Encyklopedyi wyłącznie polskiéj. Jakie temu dziełu chce nadać rozmiary wydawca, nie wiemy; po ogłoszeniu prospektu podamy obszerniejszą wiadomość. Myśl to trafna, bo w tem dziele jest dostateczne pole do obszerniejszego rozwinięcia przedmiotów wyłącznie krajowych.

— P. Barankiewicz przełożył wierszem dramat W. Hugo: Ernani. Przekład ten zalecający się artystycznem wykończeniem, wkrótce podamy czytelnikom naszym.

— Franciszek Kowalski znany tłumacz komedyj Moliera, autor Wspomnień, które z takiém zajęciem czytaliśmy ogłoszone w Gazecie Warszawskiéj, pobudzony rozprawą J. I. Kraszewskiego: o legendach herbowych, wierszem je ułożył. Wkrótce dzieło to zajmujące podaniami historycznemi, ma być ogłoszone drukiem.

Wilno. (Z listu). „Maurycy Orgelbrand rozpocznie w ciągu trzech miesięcy druk swego słownika. Syrokomli druk poematu: Wielki Czwartek, już ukończony. „Stare wrota" we dwóch częściach wyjdą niebawem. Poemat ten szczególnego natchnienia, zajmie jedno z pierwszych miejsc pomiędzy utworami tego rodzaju".

Lwów. (Wyjątek z listu Jana Wagilewicza do W. A. Maciejowskiego). „Otrzymawszy list od szanownego pana, większą niż dotąd zwróciłem był uwagę na dackie zielne nazwy Dyoskorydesa, i w tym celu wypisałem z Grimma *Gesch. der. deutsch. Spr.* takowe. Poczém zestawiłem jego wykład z pojaśnieniem szan. pana, i bez wahania przyznałem panu pierwszeństwo, bo nie znalazłem w Grimmie téj szczerości, która jest główną cechą badania naukowego: pomijam jego najdowolniejsze naciągania. Prócz tego, inne powody skłoniły mię wziąć pojaśnienia pana, jako jedynie stosowne. Jakoż w swojem dziele: „Wywód początków Słowian od Trakoillyrów," przy wzmiance zielnych nazw dackich, wspominam zaszczytnie o panu, i to z przekonania i bez żadnego pochlebstwa. Chociaż z drugiéj strony, przyznam się panu, że jeszcze nie ze wszystkiem podzielam zdanie, iż nazwy te należą właściwym Dakom, i pochodzą od Dyoskorydesa, współczesnego Trajanowi. Wątpliwość moja pochodzi głównie ztąd, iż Apulejusz ma takoż w rozprawie de *virtute herbarum* zielne nazwy dackie, jak uwiadamia Grimm. We Lwowie nie masz z tą rozprawą Apulejusza, ale w Słowniku łacińsko-niemieckim Drümmelego, znachodzą się nazwy zielne dackie Dyoskorydesa, podane jako łacińskie z Apulejusza, o których nic Grimm nie mówi, mianowicie *mantia*, *olma*, *sciare*, *simptax*. Skoro więc biblioteka Instytutu Ossolińskiego nabędzie jedno z lepszych wydań dawniejszych, będę mógł coś stanowczego w tym względzie powiedzieć. Ztemwszystkiem przypuściwszy nawet, że te zielne nazwy należą do ludności mieszkającéj w Dacyi po podboju Trajanowym: przybysze zgromadzeni z całego państwa rzymskiego przyjęli od krajowców niemało wyrazów, między niemi szczególnie na zioła, bądź że takowe tylko w saméj Dacyi rosły, bądź dla ich użytku. A nawet owe niby łacińskie nazwy według Apulejusza mogą być

właściwe dackie, ponieważ rzymski język był w późniejszych czasach przepołowiony obcemi żywiołami. Dotąd te nazwy zielne dackie dały się wyszukać w słowiańskich językach: *zoftil*, *perunik*, *delan*, *kukulinda*, *zeba*, *pegryn*. Bardzo dobrze mi wiadomo, że do stanowczego przeprowadzenia początków Słowian jeszcze wiele brakuje: jednakowo dotychczasowe prace pod tym względem dają rękojmię, że zostaną wkrótce jasno wykazane, ponieważ, jakbym ja sądził, stoją tu tylko jedynie archeologiczne przesądy: jakto naprzykład, spowinowacenie najróżniejszych ludów, przeniesienie tegoczesnych pojęć w czasy dawne, i inne tego rodzaju gmatwaniny, wbrew świadectwu wszystkich pisarzów. Przygotowuję do druku rozprawę: „O stosunku języka starosłowiańskiego do polskiego," chociaż z drukiem jeszcze nie ze wszystkiem załatwiłem się. Chcę ją wydać razem z rozprawką o pierwiastkach języka starosławiańskiego, pod tytułem: „Studya filologiczne". W dziele tem złożyłem nową teoryą o językach słowiańskich, i spodziewam się, że potrafi ono zsadzić z bardzo hardego stanowiska naszych filologów. Mam ja jeszcze inne niektóre prawie zupełnie nkończone roboty, tylko niełatwo znaleźć nakładzcy. Także zająłem się wypracowaniem uzupełniającego tomu Słownika Lindego i z grubsza już takowy ukończyłem. tojest spisałem wszystkie wyrazy przez niego opuszczone, a używane w pospolitéj mowie. Zresztą zbieram materyały z pisarzów dawnych jemu nieznanych, co wiele pracy i czasu kosztuje. Zamyślam pod tym względem wyczerpać wszystko, co ma Instytut Ossolińskiego".

Lwów. „Tomu 2go Słownika Lindego drukuje się już 61 arkusz. —Józef Dzierzkowski wydał powieść p. n. Król dziadów, z wielkim talentem obrobioną".

---

† Dnia 15 kwietnia r. b. zmarł w Łęczycy Marcelli Rostkowski, autor Gawęd i Domków na rybakach. Pismo nasze umieściło kilka utworów jego pióra, zalecających się artystycznem obrobieniem. Postępowaniem szlachetném i godnością charakteru, zjednał sobie szacunek tych wszystkich, którzy go bliżej poznali.

† Dnia 17 kwietnia r. b. zmarł z powszechnym żalem we wsi Jeziorna za Willanowem nauczyciel tamtejszéj szkółki elementarnéj, Józef Wodzyński. Skromny i cichy, lubo otrzymał wyższe nauki, poświęcił się szczerze przyjętemu zawodowi i wielu wykształcił uczniów: ztąd zjednał sobie piękne imię i wdzięczną pamięć. Zostawił w rękopismie: „Encyklopedyą dla włościan".

OD REDAKCYI.

Z niniejszym poszytem kończy się przedpłata na półrocze I^sze^ Biblioteki Warszawskiéj r. b. Dla uniknienia zwłoki w odbiorze dalszych zeszytów, raczą szanowni prenumeratorowie zamieszkali w Królestwie, wnieść zwykłą przedpłatę i na półrocze II^gie^, którą przyjmują wszystkie urzędy i stacye pocztowe.

Redakcya Biblioteki Warszawskiéj.

Wolno drukować. — Warszawa, d. 15 (27) Maja 1856 r. — Starszy Cenzor, *F. Sobieszczański*.

DOSTRZEŻENIA METEOROLOGICZNE

w Obserwatoryum Astronomicznem

WARSZAWSKIEM.

***Kwiecień*, 1856.**

Kwiecień 1856. **Dostrzeżenia Meteorologiczne w Obser. watoryum Astronomiczném Warszawskiém.**

Miejsce dostrzeżeń wzniesione jest 367,6 stóp paryzkich nad poziom morza, jego szérokość geogr. 52°13'5", długość w czasie 1g. 14m.45s.,7 czyli w łuku 18°41'25,"5 na wschód względem południka paryzkiego.

Dnia	Odmiany Księżyca	BAROMETR w milimetrach sprowadzony do 0°				TERMOMETR stustopniowy				PSYCHROMETR wilgotność na 100 cz. średn. dzienna	STAN NIEBA				KIERUNEK WIATRU				Wysokość wody spadłéj w milim. z	
		6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.	6 god.rano	10 god.rano	4 godz. w.	10 godz. w.		6 godz. rano	10 godz. rano	4 godz.wiecz.	10 godz.wiecz.	6 god. r.	10 god. r.	4 god.w.	10 god.w.	dé-szczu	śnie-gu
1		758.43	759.29	758.97	758.93	+ 0°.2	+ 3°.6	+ 3°.9	+ 1°.3	87.2	pochmurny	pochmurny	pochmurny	pochmurny	PnZ.	Pn.	PnW.	W.		
2		758.95	759.18	757.81	758.12	— 1.0	+ 3.6	+ 6.3	— 0.9	64.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	PdW.	W.		
3		758.77	759.26	757.82	757.38	— 3.3	+ 2.3	+ 7.5	+ 0.4	66.7	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
4		755.14	754.13	750.37	748.63	— 2.6	+ 5.3	+ 12.6	+ 5.2	69.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
5	☾.	745.65	746.40	745.40	743.06	+ 6.1	+ 10.7	+ 12.9	+ 7.7	81.5	lek. pochm.	lek. pochm.	pochmurny	poch. dész.	PdZ.	Z.	PdZ.	W.	1.2	
6		741.52	741.49	741.91	743.67	+ 6.5	+ 9.6	+ 15.4	+ 7.5	81.0	pochmurny	pogodny	pr. pogodny	poch. dész.	PnW.	PnW.	Z.	Z.	8.0	
7		744.75	745.21	744.57	743.96	+ 6.3	+ 9.3	+ 13.0	+ 6.9	86.0	pochmurny	pochmurny	pogodny	pogodny	Z.	Z.	PnW.	PdW.	10.6	
8		742.59	742.62	742.90	743.74	+ 5.0	+ 10.8	+ 10.5	+ 6.3	84.5	pochmurny	lek. zamat.	pochmurny	napół pog.	PdW.	PdZ.	Z.	Z.		
9		744.06	744.23	743.09	743.54	+ 3.9	+ 9.3	+ 14.4	+ 8.5	70.8	pr. pogodny	pogodny	pr. pogodny	pogodny	Z.	Pd.	PdW.	PdW.		
10		742.34	742.04	742.27	743.54	+ 5.8	+ 13.3	+ 10.4	+ 6.5	82.7	lek. pochm.	lek. pochm.	poch. dész.	pogodny	—	PdW.	Z.	PdZ.	10.0	
11		743.82	744.21	744.17	745.77	+ 4.3	+ 11.6	+ 12.2	+ 8.4	85.5	pochmurny	lek. pochm.	poch. dész.	lek. pochm.	Pd.	Pd.	Z.	Z.	3.2	
12	☽.	748.27	749.25	749.10	749.41	+ 6.9	+ 9.6	+ 13.1	+ 7.9	78.8	lek. pochm.	pochmurny	lek. pochm.	lek. pochm.	Z.	Z.	PnZ.	Pd.		
13		746.02	746.93	746.91	747.00	+ 9.1	+ 14.4	+ 16.4	+ 10.0	76.2	pochmurny	pochmurny	poch. dész.	pogodny	Pd.	Z.	PnZ.	PnW.	1.0	
14		745.94	745.22	744.67	746.08	+ 8.9	+ 15.0	+ 14.2	+ 9.1	74.5	lek. pochm.	lek. pochm.	lek. pochm.	lek. pochm.	PnW.	PdW.	PnW.	PnW.		
15		746.62	747.88	747.94	749.72	+ 6.5	+ 5.6	+ 7.3	+ 2.9	75.8	pochmurny	pochmurny	lek. pochm.	pochmurny	PnW.	Pn.	PnW.	PnW.		
16		750.37	751.19	750.59	752.73	— 0.2	+ 2.7	+ 7.5	+ 3.1	70.7	pogodny	pogodny	pogodny	pr. pochm.	PnW.	PnW.	PnW.	PnW.		
17		753.05	752.85	750.24	749.39	+ 0.0	+ 5.0	+ 10.4	+ 3.6	67.3	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	Pn.	Pn.	PnZ.	—		
18		746.98	745.78	742.80	742.85	+ 1.6	+ 9.4	+ 13.3	+ 5.2	62.7	pogodny	lek. pochm.	lek. pochm.	lek. pochm.	Z.	Z.	PnZ.	Z.		
19		744.60	747.32	748.70	749.69	+ 1.7	+ 3.2	+ 4.2	— 0.6	69.3	pochmurny	napół pog.	pr. pogodny	pogodny	PnW.	PnW.	PnZ.	PnZ.		
20	☾.	746.93	746.53	744.92	748.88	— 0.4	+ 4.9	+ 5.0	+ 0.7	77.5	pochmurny	poch. śnieg	poch. dész.	pogodny	Z.	Z.	Z.	PnZ.	4.4	2.2
21		751.89	753.17	752.37	751.88	— 0.9	+ 2.1	+ 7.7	+ 2.7	67.5	napół pog.	pogodny	pr. pogodny	lek. pochm.	PnZ.	Pn.	PnZ.	PdZ.		
22		749.78	749.68	748.47	748.96	+ 2.6	+ 8.0	+ 11.2	+ 6.5	70.0	pr. pogodny	pochmurny	pochmurny	pogodny	PdZ.	Z.	Z.	Z.		
23		750.11	750.74	749.52	749.57	+ 3.8	+ 8.0	+ 14.5	+ 7.1	76.2	poch. l. mg.	pochmurny	lek. pochm.	pogodny	PnW.	PnW.	PnW.	W.		
24		750.06	750.03	749.67	750.46	+ 5.3	+ 12.9	+ 18.4	+ 12.7	61.5	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	—	PdZ.	PnZ.	Pn.		
25		751.10	750.43	747.62	746.18	+ 6.3	+ 16.5	+ 21.1	+ 12.7	61.0	pogodny	pogodny	pogodny	pogodny	PnW.	PdW.	PdW.	Pd.		
26		745.19	745.17	743.04	742.84	+ 11.3	+ 17.8	+ 23.5	+ 15.5	53.0	napół pog.	napół pog.	pogodny	pogodny	PdZ.	PdZ.	PnZ.	Pd.		
27		743.42	743.44	741.31	741.72	+ 11.8	+ 20.0	+ 24.5	+ 16.4	52.0	lek. zamgl.	pogodny	lek. zamgl.	pogodny	PdZ.	PdZ.	—	—		
28	☾.	741.79	741.25	739.07	739.85	+ 12.1	+ 20.1	+ 25.1	+ 16.9	55.5	napół pog.	lek. zamgl.	pr. pogodny	pogodny	PdW.	PdW.	Pd.	Pd.		
29		739.21	738.34	738.28	738.64	+ 13.8	+ 24.0	+ 24.6	+ 17.7	47.8	pr. pogodny	pogodny	lek. pochm.	pr. pochm.	Pd.	Z.	PdW.	PdW.		
30		740.39	741 87	743.00	744.77	+ 13.8	+ 16.1	+ 16.4	+ 9.7	65.2	pochmurny	pochmurny	pogodny	pr. pogodny	PdZ.	Z.	Z.	PnZ.		
śre.		747.591	747.838	746.917	747.367	+ 4°.84	+10°.16	+13°.25	+ 7°.25	70.7									38.4	2.2

	m.	c.	l.
Średnia wysokość barometru miesięczna	747.428	27	7.332
Najwyżej barometr dochodził d. 1 o g. 10 r.	759.29	28	0.591
Najniżej — — d. 29 o g. 4 w.	738.28	27	3.276
Średnia zmiana dzienna barometru	2.739		1.214
Największa zmiana dzienna barometru d. 4—5 o g. 6 r.	9.49		4.207
Średnia wysokość barometru jest niższa o od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	1.796		0.796
	749.224	27	8.128
Średnia temperatura kwietnia wynosi:	+ 8°.88 C.		+ 7°.10 R.
i ta jest wyższa o	1.68 „		1.34 „
od stanu normalnego z 30 lat poprzedzających	+ 7.20 „		+ 5.76 „
Największe ciepło było d. 28 o g. 4 w.	+ 25.1 „		+ 20.08 „
Największe zimno — d. 3 o g. 6 r.	— 3.3 „		— 2.64 „
Średnia zmiana dzienna temperatury	2.464 „		1.971 „
Największa zmiana dzienna temperatury d. 14—15 o g. 10 r.	9.4 „		7.52 „

Termometrograf wskazał:
Maximum: +22°.0 R. d. 29 po połud.
Minimum: — 2°.9 „ d. 3 rano.

Średnia wilgotność powietrza miesięczna jest 70.7, biorąc 100 za zupełne nasycenie atmosfery parą wodną; albo co do ciężaru 6.42 gramów na jednym metrze sześciennym powietrza; wilgotność ta jest blizko o 0.04 niższa od normalnéj.

Ilość wody spadłéj z deszczu wynosi co do wysokości: 38.4 mil. czyli 17.02 lin. par.; z śniegu 2.2 mil. czyli 0.97 lin. par.; razem z deszczu i śniegu 40.6 mil. czyli 17.99 lin. par.; ilość ta wody jest o 9.08 lin. par. większa od téj, jaka zwykle u nas w kwietniu spada.

Dni pogodnych było 9, napół pogodnych 9, pochmurnych 12.
— deszczu 8 (d. 5, 6, 7, 8, 10, 11, 13, 20).
— śniegu 3 (d. 1, 19, 20).
— gradu 4 (d. 1. 10, 11, 20).
— mgły 1 (d. 23).
— grzmotów 3 (d. 6, 10, 11).
— błyskawic bez grzmotów 1 (d. 6).
Wichrów było 1 (Z.).
Wiatrów mocnych 10 (3 PnW., 2 Z., 2 Pd., 1 Pn., 1 PnZ., 1 PdZ.).
Wiatr panujący: zachodni częste były także północno-wschodnie i południowo-wschodnie.

Kwiecień r. b. był suchy, pogodny, blizko o półtora stopnia R. cieplejszy niż zwykle. Pierwsze cztery dni, oraz dni 19, 20. 21 były znacznie chłodne; przeciwnie dziesięć dni od d. 5 do 15 i ostatnie ośm dni były ciepłe a nawet gorące jak wśród lata. Najcieplejsze dni były d. 24, 25, 26, 27, 28, 29, 30; najzimniejsze d. 1, 2, 3, 4, 19, 20, 21. Dnia 10 i 11 po południu dały się słyszeć grzmoty powtarzane przy błyskawicach deszczu i gradzie. Po znacznych ciepłach w dniu 19 nastąpiła nagła zmiana temperatury, w ciągu dnia pruszył chwilowy śnieg, w nocy z d. 19 na 20 spadł śnieg i na cal wysoko i pokrył murawy już zielone. W stanie normalnym stosunek dni pogodnych do napół pogodnych i pochmurnych jest jak 5,5 : 11,7 : 12,8, w r. b. stosunek tychże dni jest jak 9 : 9 : 12; co pokazuje iż kwiecień r. b. pogodniejszy był nieco niż zwykle. Z przyczyny znacznego ciepła krzewy i drzewa rozwinęły się o pół miesiąca wcześniéj niż lat innych. Powietrze było suche. Ostatni mróz dochodzący — 1.1 stop. R. był dnia 21 z rana; ostatni śnieg pruszył d. 20. Elektryczność atmosferyczna w dniach 4, 6 8, 11, a osobliwie d. 25, 26 była silna. Największa wysokość wody na Wiśle dochodziła stóp 8, cali 11 dnia 12; najmniejsza stóp. 3 cali 10 dnia 30.

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE DRUGIM

Z R. 1856.

—

Filozofia.

Stron.

Teofrast i niektórzy nowsi badacze charakterów. (Z księgi Szkiców i Fragmentów)..... 421

Materyały historyczne.

Normanowie i Germanowie, z uwagą na dzieło p. A. Muncha: Der Norske Folks Historie, tudzież poglądem na Germanią przez Tacyta opisaną i jéj u polskich pisarzów wziętość. Przez *Wacława Alexandra Maciejowskiego*..... 201

Najdawniejsze dzieje salin krakowskich aż do żupnictwa Jana Bonara, czyli do r. 1515, przez *Hieronima Łabęckiego*..... 265

Genealogia portretowa Sapiehów w kościele parafialnym Świętéj Anny w Kodniu. Przez *Józefa Łoskiego*. (Z ryciną)..... 588

Podróże i opisy.

Listy z Syberyi *Agatona Gillera*..... 186

Literatura.

Stron.

Przysłowia kaszubskie, przez *K. Wł. Wójcickiego*..... 105
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Historya angielska Macaulaya.—Literatura hiszpańska; dzieła pana Guell y Rente.— Zdjęcie z krzyża, fresk Teodora Chasseriau.— Henryk Heine.— Wiadomości literackie..... 115
Przegląd literatury zagranicznej. Literatura angielska. Powieściopisarki angielskie..... 140
Kronika zagraniczna literacka, naukowa i artystyczna. Giulia Grisi.— Ristori: Myrrha i Rosmunda Alfierego. — Przyjęcie pana Legouvé do Akademii.—Studnia artyzejska w lasku Bulońskim.— Gospodarstwo rybne pana Coste.— Wiadomości literackie..... 326
Kronika zagraniczna literacka naukowa i artystyczna. „Franciszka“ komedya w czterech aktach pani Georges Sand.— „Jak wam się podoba“ wolny przekład z Szekspira, téjże.—Historya artystów żyjących Silvestra: listy z Rossyi Verneta. — Przedmowa Lamartina do kursu literatury.—„Les Contemplations“, Wiktora Hugo. — Wiadomości literackie..... 565

Powieści.

Jermoła. Obrazki wiejskie przez *J. I. Kraszewskiego*..... 1, 227, 462

Poezye.

Wiara, przez *Wład. Rog*..... 34
Dwie drogi, powieść fantastyczna..... 66
Miód, ustęp z poematu „Piast“, przez *Deotymę*..... 137
Nad kolebką, przez *W. Korotyńskiego*..... 225
Śmiech (naśladowanie z francuzkiego), przez *Antoniego Czajkowskiego*..... 307
Wyjątki z baśni p. t. Książę na Ostrogu, przez *T. L.*..... 456

Dramat.

Juliusz Cezar. Tragedya w pięciu aktach, przekład z Szekspira przez *J. Paszkowskiego*..... 353, 503

Sztuki piękne.

Ikonografia. (Część archeologii ogólnéj). O nimbach, aureolach, glorvach i symbolach świętych używanych na obrazach, przez *Józefa Łepkowskiego*. (Z 3 tablicami rycin)..... 36
O rzeźbiarstwie. Przez *A. L.*..... 409
Przegląd muzykalny. Koncerta amatorskie. — Mozart i jego Don Juan.—Słówko o ogólnéj u nas dążności muzykalnéj. — Histo-

rya o jednym fortepianie Erarda.— Koncerta pp. Prüme, Albano, Haumana, Thalgrüna, panny Ortolani.— Muzyka kościelna w Wielkim Tygodniu.— Lubowski i Brzowski. Przez *M. K.*... 629

Rozbiory.

Do szanownych wydawców Słowiańsko-Polskiego Słownika Lindego, i czysto-polskiego Słownika zapowiedzianego przez Maurycego Orgelbranda z Wilna. Przez *Fran. Xawerego Malinowskiego.* 175
Przegląd muzykalny. Doręcznik muzyczny przez Józefa Sikorskiego. Przez *M. K.*... 396
Mechanika teoretyczna dla użytku inżynierów i techników, przez Juliusza Weisbacha i t. d., przełożona na język polski przez Stanisława Bakkę inżyniera. Warszawa. 1856. Przez *S. P.*... 405
Wyrachowanie massy i wartości drzewa opałowego w klocach, oraz porównanie wartości tegoż z węglem kamiennym i torfem, przez Benedykta Alexandrowicza. Warszawa. 1855. Przez *K. S.* 408
O pracach naukowych Kommissyi ustanowionéj przy uniwersytecie św. Włodzimierza, dla opisania Kijowskiego Naukowego Okręgu. 1849—1853. Przez *Tadeusza Padalicę*... 601

Nauki przyrodzone.

Wiadomości na drodze postępu nauk przyrodzonych:
Przyrząd ciepłorodny bez ognia, przez pp. *Beaumont* i *Meyer*. 645

Technologia.

O wypieku chleba, przez *St. Przystańskiego*... 309

Korrespondencya.

List otwarty Wacława Alexandra Maciejowskiego do redakcyi Biblioteki Warszawskiéj z powodu wzmianki w jéj piśmie przez p. Alexandra Tyszyńskiego o najnowszém dziele jego uczynionéj.. 639

Kronika bibliograficzna... 193, 411, 647

Doniesienia literackie... 195, 412, 649
Dostrzeżenia meteorologiczne czynione w obserwatoryum astronomicznem warszawskiém:
za miesiąc luty r. b.... 197
— — marzec r. b.... 417
— — kwiecień r. b.... 653
Od redakcyi... 652

